

Linia piękna

Alan Hollinghurst

Tłumaczenie Lesław Haliński

Dla Francisa Wyndhama

Pragnę wyrazić głęboką wdzięczność
ośrodkowi pracy twórczej w Yaddo,
gdzie powstało kilka części
niniejszej powieści
A. H.

„Co wiesz o tej sprawie?” rzekł Król do Alicji.

„Nic”, odrzekła Alicja.

„*W ogóle nic?*” nalegał Król.

„W ogóle nic”, powiedziała Alicja.

„To bardzo istotne!” powiedział Król, zwracając się do przysięgłych. Ci już zaczęli pisać na tabliczkach, kiedy Biały Królik im przerwał: „Jego Królewska Mość ma oczywiście na myśli: *nieistotne!*” rzekł tonem pełnym szacunku, ale równocześnie marszcząc się do niego i wyczyniając miny.

„Oczywiście miałem na myśli: *nieistotne* – zawtórował mu pośpiesznie Król i dalej powtarzał sobie półgłosem: – istotne... nieistotne... nieistotne... istotne...” jak gdyby próbował, które słowo lepiej mu zabrzmi.

Przygody Alicji w Krainie Czarów, rozdział 12

(przeł. Robert Stiller)

**AKORD
MIŁOSNY**

(1983)

1

Książka Petera Crowthera o ostatnich wyborach parlamentarnych właśnie trafiła do dystrybucji. Nosiła tytuł *Torysi jak lawina*, a pomysłowy sprzedawca w księgarni Dillon's przystroił witrynę na podobieństwo kłęski żywiolowej, do której autor porównał przytłaczające zwycięstwo konserwatystów: złotawy wizerunek triumfującej pani premier wyrywał się ku klientom spośród połyskliwej masy toczących się kamieni. Nick zatrzymał się przed witryną, po chwili zaś wszedł do księgarni, by przekartkować jeden z egzemplarzy. Zetknął się kiedyś osobiście z Crowtherem, o którym ktoś mówił mu, że jest ledwie „drętym pismakiem”, a który zdaniem innego rozmówcy zasługiwał na miano „zgryźliwego analityka”. Wertując książkę, Nick uśmiechał się niepewnie; trudno mu było orzec, czy bliżej prawdy jest opinia pierwsza, czy może stan faktyczny lepiej oddaje drugie z zasłyszanych określeń. Szybkość, z jaką ten tytuł ukazał się na rynku, raptem dwa miesiące po wyborach, wskazywała raczej na tendencyjność publikacji, co siłą rzeczy musiało odbić się na jakości tekstu. Z kolei cała „zgryźliwość” wydawała się koncentrować wyłącznie w działalności polityków opozycyjnych. Nick uważnie przyjrzał się zdjęciom, ale tylko na jednym z nich znalazł Geralda; była to zbiorowa fotografia „stu jeden nowych torysów w Izbie Gmin”, na której za sprawą przebiegłości bądź szybkiego refleksu Gerald siedział w pierwszym rządzie nowo wybranych. Jego spojrzenie i uśmiech pozwalały przypuszczać, że oczyma wyobraźni widział się już w roli jednego z ministrów. Tenże uśmiech, myślał zapewne, ten biały kołnierzyk przy ciemnej koszuli i lekko zagięta chusteczka w górnej kieszeni marynarki zyskają niebawem wielką sławę, podczas gdy wyszczerzone zęby i zmarszczone czoła kolegów z tylnych rzędów pokryją się patyną zapomnienia. W samym tekście nazwisko Geralda Feddena, „nowego posła z okręgu Barwick”, figurowało jednak tylko dwa razy: dostrzeżono w nim partyjnego bon vivanta oraz przedstawiciela „wymierającego gatunku parlamentarzystów konserwatywnych, którzy skończyli prywatne liceum i studia w Oksfordzie lub Cambridge”. Wychodząc,

Nick obojętnie wzruszył ramionami, lecz na ulicy poczuł spóźnioną dumę – przecież w promowanej książce zamieszczono wizerunek znanego mu osobiście człowieka.

Umówiona wcześniej randka w ciemno miała odbyć się o ósmej, toteż gorący dzień sierpniowy falował nerwowo, a ulgę dawały jedynie krótkie orzeźwiające chwile zmysłowych fantazji. Randka była nie tyle w ciemno, ile prędyj „na półciemno”, jak wyraziła się Catherine Fedden, gdy Nick pokazał jej zdjęcie i list. Nadawca, mężczyzna imieniem Leo, przypadł jej do gustu, ponieważ był „straszenie” w jej typie. Zaniepokoił ją tylko jego charakter pisma, który z jednej strony świadczył o staranności, z drugiej wszakże wskazywał na impulsywną osobowość. Catherine korzystała z książki *Grafologia. Umysł jak na dłoni*, ostrzegającej ją przed ludźmi o takich czy innych skłonnościach bądź zahamowaniach („Artysta czy wariat?”, „Czuły czy brutal?”). – Te ogromne akcenty górne, kochany... – tłumaczyła. – Ja tutaj widzę wybujałe ego. – Oboje pochylili się z zagryzionymi wargami nad kwadracikiem taniego, błękitnego papieru listowego. – Jesteś pewna, że to nie jest po prostu silny popęd seksualny? – zapytał Nick. – Nie sędzę – usłyszał w odpowiedzi. Był podniecony, a nawet w pewnym sensie rozczulony otrzymanym od nieznajomego liścikiem. Mimo to musiał przyznać, że te czytane raz po raz słowa nie budziły jednoznacznych oczekiwań. „Cześć Nick! W odp. na twój list. Pracuję: Dział Kadr (Londyn, Urząd Okręgu Brent). Możemy się spotkać. Omówić «pasje» i «cele życiowe». Powiedz gdzie i kiedy”. I zamaszyste L – skrót od Leo – na prawie pół niezapisanej strony.

Do białego przestronnego domu Feddenów w Notting Hill Nick wprowadził się zaledwie przed kilkoma tygodniami. Jego pokój mieścił się na poddaszu, należącym do młodszego pokolenia i wciąż tchnącym aurą młodzieńczego buntu i nastoletnich sekretów. Niezmiennie zadbana izdebka Toby’ego położona była naprzeciw schodów, pokój Nicka wychodził na balustradę, a lokum Catherine znajdowało się na samym końcu korytarza. Nick, który nie miał rodzeństwa, uważał się za odszukanego po latach brata obojga najmłodszych Feddenów. Sprowadził go tutaj Toby, który chciał, by jego przyjaciel mógł spędzić długie ekscytujące wakacje z dala od swojej niezbyt atrakcyjnej rodziny – ten sam Toby, którego roznegliżowaną obecność ciągle wyczuwało się na całym poddaszu. Toby nie wiedział zapewne, dlaczego w ogóle zaprzyjaźnił się z Nickiem, lecz dobrodusznie ten fakt zaakceptował. Od kilku miesięcy, jakie minęły od ukończenia oksfordzkich studiów, rzadko pojawiał się w domu, poleciewszy wcześniej swego

uniwersyteckiego kompana uwadze młodszej siostry i gościnnych rodziców. Nick został więc przyjacielem rodziny, budząc jej zaufanie swoją powagą i swoiście powściągliwą ogładą towarzyską, której on sam w sobie nie dostrzegał, a która pomogła mu zdobyć status lokatora Feddenów. Kiedy Gerald wygrał w okręgu Barwick, czyli w rodzinnych okolicach Nicka, układ ten okrzyknięto z humorem „iście poetyckim zrządzeniem losu”.

Gerald i Rachel byli jeszcze we Francji, a ich planowany na koniec miesiąca powrót budził w Nicku ledwo zauważalne uczucie niechęci. Codziennie rano przychodziła gosposia, aby przyrządzić posiłki dla domowników, i również co dzień wpadała na chwilę sekretarka Geralda, ażeby w okularach słonecznych na czubku głowy przejrzeć ogromną ilość napływających do Geralda listów. Ogrodnik anonsował się rykiem kosiarki do trawy, a pan Duke, majster od wszystkiego (tytułowany przez Feddenów „Jego Miłością”¹), pracował tu i ówdzie nad tym i owym drobiazgiem do naprawienia. Nick czuł się tam niemalże jak u siebie w domu. Lubił wracać wieczorem do Kensington Park Gardens, gdy szeroka, bezdrzewna ulica przyjmowała ostatnie promienie słońca, a dwa rzędy białych domów patrzyły sobie w błyszczące okna z tolerancją typową dla bogatych sąsiadów. Lubił otwierać trzy zamki w zielonych drzwiach wejściowych, lubił zamykać je za sobą. Napawał się emanującym z domu poczuciem bezpieczeństwa, kiedy zaglądał do pomalowanej na czerwono jadalni, gdy wchodził po schodach do podwójnego salonu, gdy pisał się wyżej jeszcze, mijając uchylone drzwi białych pokoi sypialnych. Z parterowego holu na pierwszą kondygnację wiodły schody marmurowe, na wyższe zaś piętra wchodziło się po trzeszczących intymnie stopniach dębowych. Nick wyobrażał sobie, że prowadzi nimi któregoś z nowych przyjaciół, na przykład Leo, pokazując mu dom Feddenów, jakby należał lub miał należeć w przyszłości do niego – wraz ze wszystkimi obrazami i falistymi francuskimi meblami, które tak bardzo kontrastowały z otoczeniem znanym mu z domu rodzinnego. Ich ciemne, połyskliwe drewno zawsze towarzyszyło Nickowi serią wątpliwych, ulotnych refleksów. Zdążył już wcześniej spenetrować cały ten gmach: od trójkątnych kredensów na poddaszu aż po piwniczną rupieciarnię, ów gabinet osobliwości, nazywany przez Geralda *trou de gloire*. Nad kominkiem w salonie wisiał obraz Guardiego *Capriccio of veneziano* w połączanej rokokowej ramie, a przeciwległą ścianę zdobiły dwa okazałe lustra, których obramowanie również pokryto warstwą

¹ Duke (ang.) – książkę (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

pożłoty. Podobnie jak jego idol, Henry James, Nick sądził, że umie „znieść duże nagromadzenie złoceń”.

Kiedy Toby’emu zdarzało się zawitać w rodzinne progi, z salonu dobiegała głośna muzyka. Miał też zwyczaj przesiadywać w ojcowskim gabinecie, mieszczącym się w tylnej części domu, skąd wydzwaniał za granicę i gdzie sączył dżin z tonikiem. Nie czynił tego bynajmniej na przekór rodzicom, ale – przeciwnie – naśladował ich swobodny sposób bycia we własnym domu. Potem schodził do ogrodu, szybkim ruchem ściągał koszulę i wyciągnięty na leżaku, zagłębiał się w dział sportowy dziennika „Daily Telegraph”. Dojrawszy go z balkonu, Nick czym prędzej zbiegał na dół, świadom, że wysportowane ciało Toby’ego lubi być oglądane, że piękno odznacza się szerokim gestem. Gdy pili razem piwo, Toby pytał: – Z moją siostrunią wszystko w porządku? Mam nadzieję, że się za bardzo nie rozszalała. – A Nick odpowiadał: – Ma się dobrze, gwarantuję – i zasłaniając oczy przed zachodzącym sierpniowym słońcem, posyłał przyjacielowi uspokajający uśmiech, w którym kryły się także inne, niewypowiedziane emocje.

Chwiejne nastroje Catherine należały do mitologicznej osnowy domostwa Feddenów, jaka wytworzyła się w umyśle Nicka. Toby opowiedział mu o nich w sekrecie jeszcze na studiach, kiedy pewnego wieczoru rozmawiali ze sobą nad jeziorem. – Ona jest bardzo chimeryczna – mówił, najwyraźniej zadowolony z wyboru odpowiedniego przymiotnika. – Taaa... Miewa humory. – Od tej chwili dom Toby’ego wypełnił się w wyobraźni Nicka migotliwymi nastrojami jego siostry i zaczął tętnić od nadmiaru emocji, tak jak oksfordzkie powietrze tętniło zapachem jeziornej wody. – Wiesz... Ona cięła się żyłką po rękach. – Toby wzdrygnął się i pokiwał głową. – Dzięki Bogu, jakoś z tego wyrosła. – To już zabrzmiało groźniej niż zwykle „humory”, więc kiedy Nick ujrzał Catherine po raz pierwszy, mimowolnie skierował wzrok na jej ręce. Na jednym przedramieniu widniała para równoległych linii o długości kilku centymetrów, na drugim zaś wzorek z prostokątnych blizn, które do złudzenia przypominały litery i mogły układać się w wyraz ELLE. Te dawno już zagojone rany stanowiły bodaj jedyny ślad po wypartym z pamięci dramacie. Zdarzało się, że Catherine wodziła po nich machinalnie którymś z palców.

– Zaopiekuj się naszą Kotką² – tak Gerald zwrócił się do Nicka przed wyjazdem, sugerując, że zadanie jest proste, acz odpowiedzialne. Wprawdzie to Catherine była tu u siebie, lecz właśnie Nickowi przypadł w udziale nadzór nad domem. Catherine sprawiała wrażenie osoby pomieszkującej tu kątem, jakby to ona, nie Nick, podnajmowała tylko jeden z pokoi. Dziwiła się uwielbieniu, jakim on darzył te majestatyczne wnętrza, i podkpiwała z jego nabożnego stosunku do obrazów i mebli. – Okropny z ciebie snob – śmiała się prowokacyjnie. Jako że w pewnym sensie to jej własna rodzina miała być przedmiotem owego snobizmu, Nick poczuł się cokolwiek urażony. – Niezupełnie – odparł, jakby zawarte w tym słowie niepełne potwierdzenie mogło najłatwiej zadać kłam usłyszanemu zarzutowi. – Po prostu lubię piękne przedmioty. – Catherine rozglądała się dokoła komicznie, jak gdyby otaczała ją zbieranina bezwartościowych gratów. Pod nieobecność rodziców wykazywała umiarkowaną skłonność do zachowań buntowniczych, co w jej przypadku oznaczało na ogół palenie papierosów i zapraszanie do domu zupełnie obcych ludzi. Pewnego wieczoru Nick zastał ją w kuchni ze starym czarnoskórym taksówkarzem, któremu przy drinku zdradzała wartość polis ubezpieczeniowych na ten czy inny przedmiot w domu.

Miała ledwie dziewiętnaście lat, a już mogła się pochwalić długą listą nieudanych związków. Każdy z jej byłych facetów oznaczony był pogardliwym epitetem – Kompociarz, Szybkoschnący lub Kontroler Jakości – i bardzo często do jednego z takich określeń sprowadzała się cała wiedza Nicka na temat tych panów. Wielu z nich wybrała zapewne tylko dlatego, że nie pasowali do Kensington Park Gardens. Tyczyło się to walijskiego trampa po czterdziestce, którego poznała w komisie płytowym, urodziwego punka z wytatuowanym na szyi słówkiem JEBAĆ, a także mieszkającego po sąsiedzku rastafarianina, który jęczał coś o Babilonie i wieścił upadek Margaret Thatcher. Pozostali rekrutowali się spośród uczniów prywatnych liceów bądź należeli do młodych elegancików, którzy wykonując wolne zawody, próbują wyrobić sobie pozycję na coraz bardziej kurczącym się rynku. Catherine była osóbką drobną, ale zarazem nader odważną; to, co mężczyźni w niej pociągali, umiało również odstraszyć. Nick, sam jeszcze skrycie niewinny, odczuwał swoisty respekt dla jej doświadczenia z mężczyznami – wszak taka ilość porażek musiała się wiązać z pokaźnym odsetkiem wstępnych sukcesów.

² Cat (ang.) – kot; w oryginale jako zdrobnienie od imienia Catherine.

Nie był w stanie ocenić jej urody. Geny dwojga przystojnych rodziców objawiły się tutaj w innej konfiguracji niż u dyskretnie pięknego Toby'ego: duże, serdeczne usta Geralda gnieździły się nieforemnie na owalnej twarzy Rachel To właśnie na te usta przelewały się wszystkie emocje Catherine.

Upodobała sobie ton sarkastyczny, a gdy wypła trochę alkoholu, zręcznie naśladowała głosy członków rodziny; Nickowi wydawało się wtedy, że jej rodzice nigdzie nie wyjechali. Zaczynała od Geralda, imitując jego krotochwilny bas, jego wysublimowany gust, jego ulubione cytaty z *Alicji*. „Och, Catherine. Z tobą nawet ostrzyga by się wściekła”³. Albo: „Pamiętasz, Nick, cztery rodzaje arytmetyki? Wodowanie, obejmowanie, mrożenie i obrzydzenie”. Nick wtórował jej ze świadomością, że łamie zasady dobrego wychowania. Bardziej odpowiadał mu styl Rachel, pobrzmiewający arystokratyczną cudzoziemszczyzną. Słowo „group”⁴ miało w jej wydaniu coś germańskiego, a wyraz „philistine”⁵, wymawiany z francuska, odnosił się automatycznie do każdego, kto artykułował go inaczej. Nick wypróbował to na Catherine, która roześmiała się wprawdzie, lecz nie wyglądała na szczerze zachwyconą. Toby'ego nie ruszała w ogóle, bo i trudno go było „uchwycić”. Naśladowała za to pociesznie swą matkę chrzestną, księżnę Flintshire, de domo Sharon Feingold, z którą Rachel przyjaźniła się w szkole Cranbome Chase i której obecność w życiu rodziny łączono komicznie z „Jego Miłością”. Poślubiony przez Sharon księżę miał przetrącony kręgosłup i kruszejący zameczek, stąd też fortuna Feingoldów, pochodząca zresztą z wyrobu octu, okazała się dlań nadzwyczaj przydatna. Nick nie znał księżnej osobiście, lecz ujrzawszy, jak Catherine wciela się w ten bezmyślny wulkan energii, uznał, że dostał już owego zaszczytu, nie narażając się przy tym na nieuchronne zażenowanie.

Nigdy nie zdradził się przed Catherine ze swoją słabością do jej brata. Obawiał się, że byłaby tym jedynie rozbawiona. Często jednak, właściwie przez cały ten rozedrgany tydzień niecierpliwego oczekiwania, poruszali temat randki z Leo. Wiedzieli o nim tyle co nic, lecz ich bogata wyobraźnia umiała stworzyć wiarygodną postać, opierając się na kilku wątkach przesłankach. Mieli zatem błękitny liścik z podejrzanymi akcentami

³ Wszystkie cytaty z *Przygód Alicji w Kramie Czarów* w przekładzie Roberta Stillera.

⁴ Group (ang.) – grupa.

⁵ Philistine (ang.) – filister.

górnymi; mieli do dyspozycji głos, słyszany wyłącznie przez Nicka w trakcie nienaturalnie swobodnej rozmowy telefonicznej – głos o akcencie londyńskim, niekoniecznie należący do mężczyzny czarnoskórego, choć wyróżniający się specyficzną ironią; mieli wreszcie barwną fotografię, z której wysnuli prosty wniosek: jeżeli nawet Leo nie jest tak przystojny, za jakiego sam się uważa, to tak czy inaczej warto na nim zawiesić oko. Na zdjęciu Leo, ubrany w ciemną skórzaną kurtkę, widoczny tylko od pasa w górę, siedział na ławce w parku i trudno było wobec tego oszacować jego wzrost. Patrzył gdzieś w bok, marszcząc brwi, co nadawało jego rysom wyraz posępnej powagi. Za jego plecami majaczyła srebrnoszara rama opartego o ławkę roweru.

Treść anonsu („Czarn. facet pod 30-stkę, b. przystojny, pasje: kino, muzyka, polityka, pozna inteligentnego faceta o podob. zainter., lat 18-40) zatarła się już nieco pod wpływem fantazji Nicka oraz złowróżbnych przeczuć Catherine, która umiejscowiła Leo w znanej jej dobrze sferze marnego seksu i zakłamania. Nick musiał nawet co pewien czas przypominać sobie, że na tę randkę umówił się on, nie zaś jego przyjaciółka. Wracając do domu owego wieczoru, raz jeszcze przebiegł myślą oczekiwania przyszłego kochanka. Bał się, że nie spełni jego wymagań. Był co prawda inteligentny, skończył z wyróżnieniem studia w Oksfordzie, ale muzyka i polityka posiadały przecież odmienne znaczenie dla różnych ludzi – przekonał się o tym w domu Feddenów. Otuchy dodawał mu za to szeroki przedział wiekowy. Nick miał dopiero dwadzieścia lat, lecz mógłby mieć ich dwakroć więcej, a Leo i tak chciałby się z nim spotkać. Może nawet będą ze sobą przez dwie kolejne dekady, taką to bowiem obietnicę odczytał Nick między wierszami anonsu.

Poranna korespondencja ciągle leżała rozrzucona w holu. Z góry nie dobiegał żaden dźwięk, ale wyczuwalne w całym domu napięcie mówiło Nickowi, że nie jest sam. Zgarniając listy, zauważył adresowaną do siebie pocztówkę od Geralda. Widniało na niej czarno-białe zdjęcie romańskiego portalu, z figurami świętych po bokach i jaskrawym wizerunkiem Sądu Ostatecznego na tympanonie. *Eglise de Podier, XII siècle*. Gerald pisał niecierpliwie, dużymi literami, z których wiele ginęło pod jego grubą stalówką. Autor *Grafologii* dostrzegłby tu zapewne ego równie wybijające, jak u Leo, ale kartka robiła nade wszystko wrażenie kreślonej w ogromnym pośpiechu. Końcowe pozdrowienie mogło brzmieć „ukłony” albo „całuję” lub nawet, zupełnie już absurdalnie, „witam”, tak że trudno było określić, jaki jest właściwie stosunek nadawcy do adresata. Nick stwierdził teraz jedynie, że Feddenowie przyjemnie spędzają wakacje. Z jednej

strony ucieszyła go ta pocztówka, z drugiej jednak przypomniała mu, że sierpniowa idylla z wolna dobiega końca.

Wszedł do kuchni, w której Catherine – bo któżby inny – zostawiła istne pobojuwisko po porannej wizycie Eleny. Wysunięte z szafek szuflady ze sztukami przechylały się ciężko ku podłodze, a w całym pomieszczeniu wyczuwało się obecność nieproszonego gościa. Nick pobiegł do jadalni, gdzie skonstatował, że na kominku dalej tyka Boule'owski zegar, że srebrny sejf ciągle jest szczelnie zamknięty, że Lenbachowskie portrety protoplastów Racheli spoglądają w przestrzeń równie posepnie, jak Leo na fotografii. W salonie na piętrze okna wychodzące na lukowaty balkon były otwarte, dolna szafka w ozdobnej biblioteczce straszyla rozwartymi drzwiczkami, lecz błękitna laguna Guardiiego wciąż mieniła się nad kominkiem. Mieszkając w takim domu, człowiek otoczony był nieustannie aurą włamania i grabieży. Nick wyjrzał z balkonu, lecz w ogrodzie nie dostrzegł żywej duszy. Spokojniejszy już, pokonał dystans dzielący go od poddasza. Gdy trema przed randką z Leo znów dała znać o sobie, przyjął ją z ulgą jako chwilową przerwę w obowiązkowych lękach o bezpieczeństwo domu. Spostrzegłszy, że Catherine jest u siebie, zawołał ją po imieniu. Przeciąg zatrzasnął drzwi do jego pokoju, w którym zrobiło się bardzo duszno; leżące na biurku pod oknem notatki i książki parzyły w dłonie. – Przez chwilę myślałem, że ktoś się włamał – krzyknął Nick, ale wszelkie obawy z tym związane zdążyły już go opuścić.

Zdjął z wieszaków dwie koszule i przeglądał się właśnie w lustrze, gdy do pokoju weszła Catherine. Od razu poczuł, że ma ochotę go dotknąć, lecz nie jest zdolna tego uczynić. Nie patrzyła na odbicie w lustrze; jej wzrok spoczął na jego ramionach, jak gdyby to one wiedziały, co teraz winno się wydarzyć. Na ustach błąkał się jej niepewny uśmiech osoby, która dopiero co wygrała z bólem. Nick uśmiechnął się szeroko; wolał przedłużyć tę chwilę o kilka sekund i stworzyć iluzję, że to tylko jedna z ich wielu wspólnych zabaw. – Niebieska czy biała? – zapytał, przykładając do torsu obydwie koszule, aby po chwili opuścić je na podłogę. Widział już zbliżający się wieczór, widział, jak Leo wraca rowerem do domu w Willesden. – Obie są kiepskie, prawda?

Catherine usiadła na łóżku, pochyliła się i spojrzała na niego, posyłając mu swój słabiutki, acz złowieszczy uśmiech. Codziennie widywał ją w tej kusej kwiecistej sukience, w której lubiła paradować po mieście. Kupiła ją na targu staroci na Portobello Road, bo pewnie uznała, że właśnie w czymś takim należy tam chodzić, lecz teraz ta kiecka na

ramiączkach, odsłaniająca całe plecy i prawie całe nogi, wyglądała raczej na część bielizny. Nick usiadł przy Catherine, objął ją i pogładził po ramionach, jakby miał do czynienia ze zziębniętą dziewczynką, chociaż w istocie jej ciało było ciepłe niczym ułożonego gorączką dziecka. Pozwoliła mu na to, lecz moment później odsunęła się nieco. – Jak mam ci pomóc? – Gdy zadawał to pytanie, uświadomił sobie, że jego samego też trzeba by pocieszyć. W głębi lustra dostrzegł dwoje młodych ludzi, pogrążonych w nieskrywanym kryzysie.

– Proszę cię, zabierz te rzeczy z mojego pokoju – powiedziała. – Tak, zanieś je na dół.

– Okej.

Nick poszedł do jej pokoju, w którym jak zwykle zaciągnięte były zasłony, a w powietrzu unosił się kwaśny fetor nikotyny. Na lampie wisiała gęsta czerwona gaza o niepokojącym zapachu, nadając specyficzne zabarwienie rozrzuconej dokoła pościeli, bieliźnie i płytom gramofonowym. Szafki i szuflady wyglądały na splądrowane, tak jakby nieistniejący włamywacz właśnie tutaj usiłował bezowocnie coś znaleźć. Nick rozglądał się naokoło i próbował zachować zimną krew. Jego umysł pracował szybko i odpowiedzialnie, choć jeszcze przez moment wolał powstrzymać się od wyciągania wniosków. Patrzył, mruczając pod nosem, na biurko, łóżko i małą rupieciarnię na cudnej starej szafie z drewna kasztanowego. W narożniku pokoju, na ceramicznej obudowie do umywalki, Catherine rozłożyła niczym chirurg swoje narzędzia operacyjne: ciężki nóż do mięsa, łukowaty tasak o dwóch rączkach, parę ostrych jak brzytwa noży do filetowania oraz nożyce do mięsa, które Gerald ostatnio naprawiał. Nick zgarnął to wszystko niezgrabnym ruchem i zniósł ostrożnie na dół. Poczuł przypływ szacunku do tych przedmiotów, zaprawiony wszakże sporą dozą goryczy.

Catherine nalegała, by do nikogo nie dzwonił, sugerując, że jeśli to uczyni, sprawy przybiorą obrót gorszy od obecnego. Nick chodził tam i z powrotem, ogarnięty nerwową niepewnością. Jego bezradność w tej sytuacji wynikała po części z nieznamomości świata, w którym przyszło mu teraz się poruszać. Oczywiście wyobraźni widział już rozwścieczonych rodziców dziewczyny i pierwszą skazę w kronice jego pożycia z Feddenami. Zawiódł ich zaufanie; on to przewidział, oni nie. Bał się, że popełni błąd, bał się przedsięwziąć jakiegokolwiek kroki. Może powinien skontaktować się z Tobym? Ale Catherine miała brata za nic, w najlepszym przypadku traktowała go z uprzejmą nieuwagą. Nick starał się

uporządkować elementy tej układanki. Miał miejsce rytualny kryzys, który trwał może godzinę, może minutę, może całe popołudnie. Może był właśnie tylko – rytuałem. Teraz Catherine ucichła, zobojętniała, zaczęła ziewać. Nick pomyślał, że chyba cały ten epizod został skutecznie wyparty z pamięci. Niewykluczone zresztą, że jego powrót do domu od początku wpisany był w jej plany. W zaistniałych okolicznościach nie mógł rzecz jasna odmówić, gdy poprosiła, by nie zostawiał jej samej. – Jasne... Nigdzie nie pójde. – Powiedział to ze ściśniętym gardłem, widząc w oddali umykającą przed nim szansę. Wtedy, nad jeziorem, Toby mówił mu, że czasem nie wolno zostawiać jej samej, że czasem ktoś musi być w pobliżu. Nick pragnął wówczas dzielić z Tobym ten trudny obowiązek, pragnął zanurzyć się w romantycznej aurze domostwa Feddenów. A teraz proszę: miast oddać się własnej romantyce w pubie przy Chepstow Castle, musiał dotrzymać towarzystwa Catherine, która nie umiała wyjaśnić, dlaczego w grę nie wchodził nikt inny.

Zaciągnął ją do salonu, gdzie od razu podeszła do szafki z płytami i wybrała jedną na chybił trafił. Może dała w ten sposób do zrozumienia, że stać ją już wprowadzić na jakieś działanie, ale działanie z rozmysłem jeszcze ją przerasta. Coś zgrzytnęło i muzyka nagle wypełniła pomieszczenie – widocznie ramię gramofonu ustawione było na odtwarzanie singla. – No proszę! – rzucił Nick. Trafili na środkową część *Scherza z IV Symfonii* Schumanna. Obserwował przyjaciółkę kątem oka i widział, jak muzyka daje jej ukojenie, jak Catherine płynie wraz z nią, może niezupełnie świadomie, lecz z poczuciem wdzięczności za okazaną opiekę. Mimo że wciąż doskwierała mu niepewność, przez kilka chwil on również dał się wciągnąć w sekwencje dźwięków. Na krótki moment wróciło trio, po którym nastąpiło magiczne przejście do finału, opartego, co oczywiste, na finale Piątej Beethovena. Mógł jej o tym opowiedzieć: o tym, że jest to w gruncie rzeczy druga symfonia tego kompozytora i że cały materiał wysnuł on z tematu głównego pierwszej części, nie licząc drugiego, zaskakującego w tym miejscu, tematu finału... Cofnąwszy się o krok, postanowił nagle, że zaraz zejdzie na dół i bezzwłocznie zadzwoni do rodziców Catherine. Ale gdy tylko opuścił salon, przypomniał mu się Leo i uzmysłowił sobie, że traci jedyną sposobność spotkania z nim. Wykreślił więc jego numer, odkładając na później telefon do Francji. Nie wiedział, jak się przed nim wytłumaczyć, bo przecież takich rzeczy nie zdradza się nieznanym, a wersja poddana autocenzurze brzmiałaby

jak naciągana wymówka. Znow bał się, że popełni błąd. Wybierając numer, kilka razy odchrząknął.

Leo od razu podniósł słuchawkę. Jadł właśnie kolację i musiał jeszcze przygotować się do wyjścia. Poinformował o tym głosem nieco ironicznym – tym samym, który Nick słyszał już wcześniej, a który zagubił się gdzieś w odmętach jego pamięci. Kiedy Nick przeszedł do przeprosin, Leo szybko pojął, w czym rzecz, i odparł przyjaznym tonem, że jemu to również jest na rękę, bo dopadło go śmiertelne zmęczenie. – Rozumiem – powiedział Nick i pomyślał, że Leo mógłby być trochę bardziej rozczarowany. – Na pewno nie masz nic przeciwko temu? – dodał.

– To żaden problem, stary – odrzekł Leo cichym głosem, jakby słyszały go też osoby trzecie.

– Ja naprawdę chcę się z tobą spotkać.

Pauza. I odpowiedź:

– Ja z tobą też.

– Co powiesz na weekend?

– Nie. W weekend nie mogę.

Nick miał ochotę zapytać dlaczego, ale domyślał się, jak brzmi odpowiedź: na weekend Leo umówił się z innymi konkurentami i, by tak rzec, przesłuchiwał innych kandydatów.

– W przyszłym tygodniu? – Nick wzruszył ramionami. Wolał spotkać się z Leo przed powrotem Geralda i Rachel; wolał mieć jeszcze do dyspozycji ich dom.

– Tak – odparł Leo. – Wybierasz się na paradę?

– Może w sobotę. W niedzielę musimy wyjechać, a wolę spotkać się z tobą przed wyjazdem. – Nick miał apetyt na udział w paradzie, lecz czuł zarazem, że jest to w większym stopniu domena jego rozmówcy. Obawiał się, że Leo szybko zniknie mu z oczu, wtapiając się w płynący ulicą gęsty strumień ludzi.

– Najlepiej zadzwoń do mnie w przyszłym tygodniu – powiedział Leo.

– Zadzwonię na mur. – Nick sam przed sobą udawał, że umowa istotnie została zawarta, lecz nagle poczuł, jak tężeje mu twarz, jak opadają go złe przeczucia. – Słuchaj... Mnie naprawdę jest głupio, że jednak nie dzisiaj... Jakoś ci to wynagrodzę. – Kolejna pauza. Nick wiedział, że w tej chwili ważą się jego losy, może cała jego przyszłość. Ale potem Leo szepnął chrapliwie: – No jasne, że mi wynagrodzisz. – I kiedy Nick się

roześmiał, Leo odłożył słuchawkę. Zatem ta pauza była znaczącym milczeniem współspiskowca, współuczestnika zмовы dwóch obcych sobie ludzi. Nick również odłożył słuchawkę i podszedł do wiszącego w holu dużego, łukowatego, oprawnego w złocenia lustra. Odetchnął z ulgą i poweselał, stwierdziwszy, że jest mężczyzną przystojnym: niskim, acz solidnie zbudowanym, o gładkiej skórze i kręconych włosach. Oczyma duszy widział, jak Leo się w nim zakochuje. Potem rumieńce znikły mu z twarzy i ruszył w górę po schodach.

Kiedy zrobiło się chłodniej, Nick i Catherine zeszli do ogrodu, by po chwili, przekroczywszy bramę, znaleźć się w ogrodach miejskich. Dla Nicka ogrody miejskie stanowiły o romantycznej aurze Londynu w takim samym stopniu, jak dom Feddenów. Pod względem zajmowanego obszaru mogły się równać ze śródmiejskimi parkami niektórych starych europejskich metropolii, tyle że miały prywatnych właścicieli, a dostępu do nich strzegło wysokie, zarośnięte krzewami ogrodzenie z epoki wiktoriańskiej. Na okalających je z trzech stron ulicach znajdowało się kilka miejsc, z których postronni mogli dojrzeć pary mieszane, przechadzające się wśród roślących kasztanowców i platanów, bądź też staruszkę czekającą cierpliwie na swego ślamazarnego pieska. Latem trafiały się wieczory, ubarwione śpiewem drożdów i kosów, kiedy Nick dostrzegał za ogrodzeniem takiego czy innego chłopca. Ogarnięty zdumiewającą zazdrością, zastanawiał się wtedy, jakże ów chłopiec przyjąłby skierowany doń uśmiech, świadom, że posiano go z niedostępnego ogrodu. Tam zaś, za ogrodzeniem, kręta ścieżka – niczym szlak do dyskretnego wychodka – wiodła do ukrytej za żywopłotem z modrzewi szopy ogrodnika; był tam też mały placyk dla dzieci, z piaskownicą i zjeżdżalnią, gdzie niańki odziane w staromodne uniformy plotkowały jak, nie przymierzając, dziewczynki na wagarach; był tam wreszcie kort tenisowy, który tętnił rytmicznymi serwami, wymianą piłek tudzież krzykami ogłaszających werdykt sędziów i przypominał Nickowi o bliźnich i rozmaitych zajęciach, jakim można się oddawać u schyłku sierpniowego dnia.

Tuż za domami ciągnęła się szeroka wysypana żwirem alejka. Wzdłuż niej biegły dwa rowy odpływowe o metalowym wykończeniu, do których wpadała czasem jakaś zbłąkana piłka. Spoczywały w nich już pierwsze liście platanów, pokryte kurzem, lecz ciągle zielone, znamionujące zbliżający się kres upalnego i bezdeszczowego lata. Nick i

Catherine spacerowali tam teraz pod rękę niczym niespieszna para staruszków; Nick czuł, że jego relacje z Catherine przybrały nowy, może nawet bardziej oficjalny odcień. Co pewien czas mijali niewygodne żeliwne ławki z epoki wiktoriańskiej, między którymi rozsiadły się tu i ówdzie gromadki piknikowiczów.

– Już trochę lepiej? – zapytał Nick, a Catherine kiwnęła głową i nieco mocniej wtuliła się w jego ramię. Znow poczuł ciężącą na nim odpowiedzialność, której brzmie wręcz go przygniatało. Wyobraził sobie, jak wyglądają oboje w oczach piknikowiczów lub nadbiegającego z przeciwka amatora wieczornego joggingu; nie, nie wyglądają wcale jak para staruszków, tylko jak dwoje nastolatków: chuda dziewczyna o dużych nerwowych ustach i poważny niewysoki blondynek, który udaje, że nie zapuścił się bynajmniej na wody zbyt dlań głębokie. Przypomniał sobie, że musi zadzwonić do Francji – oby słuchawkę podniosła Rachel, bo Gerald nie zawsze umie poradzić sobie w takich sytuacjach. Nick wolałby wiedzieć więcej o tym, co właśnie przytrafiło się Catherine, ale i on nie należał tego wieczoru do ludzi idealnie zrównoważonych. – Będzie dobrze – zapewnił. Pomyślał, że jeśli zada jej konkretne pytanie, burza rozpęta się na nowo. – Ciekaw jestem, co się stało... – Wymówił te słowa w taki sposób, jakby nawiązywały one do jakiejś zamierzchłej tajemnicy. W oczach Catherine malowała się niepewność i smutek. Milczała. – Nie chcesz o tym rozmawiać? – Nick dosłyszał we własnym pytaniu trudno uchwytny ton współczucia, typowy dla jego ojca. To właśnie tak w domu Guestów próbowano uporać się z rodzinnymi problemami; niczego nie nazywano po imieniu i nigdy nie było wiadomo, czy mówiący okazuje zrozumienie, czy też tchórzliwie ucieka przed konfrontacją z rzeczywistością.

– Wolę do tego nie wracać.

– Wiesz... Mnie możesz opowiedzieć...

U krańca alejki stał domek ogrodnika, skulony pokornie przy kremowym murze pod jednym z tarasów, a za nim znajdowała się wychodząca na ulicę brama. Zatrzymali się tam, by poprzez żelazne sploty patrzeć przez chwilę na przejeżdżające z rzadka samochody. Czekając, Nick myślał z rozpaczą o Leo, który ma dla siebie cały ten letni wieczór.

– Wtedy wszystko robi się czarne i błyszczący – odezwała się Catherine.

– Tak?

– Kiedy masz dola, jest inaczej. Chandra jest brązowa.

– Tak...

– Nie, ty nie zrozumiesz...

– Nie, proszę cię, mów dalej.

– To jest jak ten samochód. – Ruchem głowy wskazała czarnego daimlera, który zatrzymał się po drugiej stronie ulicy i z którego wysiadał w tej chwili jakiś nobliwy staruszek. W dachu auta odbijało się żółte światło latarni, a gdy daimler odjeżdżał, owe refleksy przeniosły się na boczne okna i drzwiczki.

– To musi być piękne.

– W pewnym sensie takie jest. Ale nie o to chodzi.

Nick odniósł wrażenie, że podane mu wyjaśnienie przerasta możliwości jego tępego, pozbawionego wyobraźni umysłu.

– I pewnie jest straszne – dodał. – Bo przecież...

– To jest trucizna, rozumiesz? Błyszczą, ale zabijają. Chce cię wykończyć. I ty o tym wiesz. – Odsunęła się od Nicka, żeby zyskać swobodę gestu. – Widzisz cały świat taki, jaki jest naprawdę. – Rozpostarła ramiona, chcąc ten świat ukazać bądź go od siebie odepchnąć. – Wszystko wygląda tak samo. Wszystko jest odstręczające. W tym nie da się żyć, jakbyś trafił na Marsa czy coś w tym rodzaju. – Wpatrywała się w niego zmętniałym wzrokiem. – Proszę uprzejmie, nic lepszego z siebie nie wycisnę. – Co rzekłszy, odwróciła się i ruszyła przed siebie. Nick poszedł za nią.

– Ale potem się zmienia... – powiedział.

– Tak, Nick. Potem się zmienia – odparła głosem osoby urażonej, cechującym niekiedy kogoś, kto sam się bezwiednie zdemaskował.

– Próbuję tylko cię zrozumieć. – Nick pomyślał, że jej obecne łzy świadczą o powrocie do zdrowia, i objął ją ramieniem. Jednakże kilka sekund później Catherine uwolniła się z jego uścisku, jak gdyby odrzucała jego zaloty, jakby sądziła, że usiłował ją właśnie wykorzystać.

Później, już w salonie, Catherine powiedziała:

– O Boże. Miałaś się dzisiaj spotkać z Leo.

Nick nie mógł uwierzyć, że dopiero teraz sobie o tym przypomniała.

– Nic się nie stało – odrzekł. – Przełożyłem randkę na przyszły tydzień. Uśmiechnęła się niewesoło.

– No, on naprawdę nie był w twoim typie...

Schumann ustąpił miejsca The Clash, ich zaś zastąpiła potem męcząca, napięta cisza. Nick modlił się, żeby Catherine nie puszczała już żadnej muzyki, bo jej ulubione płyty budziły w nim zaciekle opór. Spojrzał na zegarek. We Francji było godzinę później, a o tej porze nie wypadało już dzwonić do Feddenów. Ta racjonalna, uzasadniona zwłoka przyniosła mu jakże pożądaną ulgę. Podszedł do zaniedbanego fortepianu, na którego czarnym wieku leżało kilka albumów z reprodukcjami; stojące tam również brązowe popiersie Liszta patrzyło na niego z politowaniem, kiedy próbował odegrać *a vista* jeden z utworów Mozarta. Nickowi wszystkie te chybotliwe nutki kojarzyły się ze spadającymi na piasek kroplami deszczu; pomyślał, że ten wieczór mógł wyglądać inaczej. W jego odbiorze proste *Andante* przekształciło się w ożywiony dialog między optymizmem i nawrotami cierpienia, niepotrzebnie wzmagając zarówno pogodę ducha, jak i dogłębny ból. Po chwili Catherine podniosła się z miejsca i rzuciła: – Kochany, na litość boską... To, kurwa, nie jest żaden pogrzeb.

– Przepraszam, kochana – powiedział Nick i zaimprovizował kilka taktów muzyki określanej przez nich jako „hotelowa”. Następnie wstał i wyszedł na balkon. Słowa „kochany” i „kochana”, które pojawiały się w ich rozmowach od niedawna, stanowiły dla Nicka integralny element konspiracyjnej atmosfery panującej w Kensington Park Gardens. Na chłodnym balkonie pomyślał wszelako, że tylko gra napisaną dla niego rolę i że Catherine jest mu przeraźliwie obca. Jej wizja pięknego toksycznego wszechświata zamigotała mu nagle przed oczyma, aby równie szybko się rozwiać.

W pobliskim ogródku odbywało się jakieś przyjęcie, wypełniając nieruchome powietrze niegłośnym zgiełkiem ludzkich głosów. Towarzystwo zabawiał niejaki Geoffrey – panie co pewien czas wykrzykiwały to imię między ledwo słyszalnymi urywkami jego monologu. Dalej, w ogrodach miejskich, ktoś spacerował z podskakującym wesoło białym pieskiem, który w późnowiecznym zmroku wyglądał jak nafosforyzowany. Nad drzewami i dachami Londynu unosiła się matowa poświata, zabarwiająca na fioletowo wyższe partie nieba. Latem, gdy wszystkie okna były otwarte, noc składała się z cieni przeplatanych różnymi dźwiękami: szelestem liści, warkotem samochodowych silników, przytłumionymi klaksonami i piskami hamulców; dochodziły do tego krzyki i nakładające się na siebie melodie z odbiorników radiowych. Nick zatęsknił za Leo, który kilka mil na północ od niego pędził gdzieś na swym srebrzystym rowerze. I wróciły te same pytania: w którym parku zrobiono to zdjęcie i kto spośród – zapewne –

najbliższych przyjaciół Leo jest tego zdjęcia autorem. Cały jego organizm trawiła frustracja, wyżerało zniecierpliwienie. Żwirową alejką wracała już dziewczyna z białym pieskiem. Nick był ciekaw, czy patrząc na niego, ujrzałaby budzącą zazdrość osobę, znieruchomiałą dumnie na tle wykwintnie rozświetlonego pokoju. Przechylając się nad żelazną poręczą, poczuł, że w wonnej aurze nadciągającej nocy rysuje się przed nim nowa wizja przyszłości, od której nie ma już odwrotu.

2

– Dla każdego coś miłego! – oznajmił Gerald, wchodząc do kuchni i grzechocząc torbą z brązowego papieru. – Każdemu należy się nagroda! – Był opalony i tryskał energią. Znowu wypełnił dom swoją próżnością i pewnością siebie, a jego solenne obietnice zabrzmiały jak reakcja na aplauz. Na torbie widniało logo słynnej wytwórni specjałów garmazeryjnych z Perigueux – niebieska gęś z głową w kole ratunkowym i dziobem po disneyowsku wygiętym w błogi uśmiech.

– O nie. Tylko nie pasztet z gęsich wątróbek – zaprotestowała Catherine.

– Nasza Mruczka dostanie galaretkę z pigwy – powiedział Gerald, wyjmując słoik z kratkowanym wieczkiem i przesuwając go po stole.

– Dzięki – odparta Catherine, która nie tknąwszy nawet podarunku, oddaliła się w stronę okna.

– A cóż ja miałem dla Tobiasa?

– Ten... No... – Rachel usiłowała pomóc mu gestem. – *Carnet*.

– Ma się rozumieć. – Gerald znowu pogrzebał w torbie i podał synowi niewielki notes w zamszowej oprawie o silnym zapachu.

– Dzięki, tato – powiedział Toby. Ubrany w szorty, półleżał w tej chwili na długiej kanapie kuchennej i kątem oka czytał gazetę, słuchając zarazem relacji matki. Ściana za jego plecami wyglądała jak najweselsza karta z rodzinnej kroniki Feddenów, wisiały tam bowiem oprawione w ramki zdjęcia z wakacji, fotografie ze znanymi ludźmi tudzież dwie złośliwe karykatury Geralda, kupione przezeń od rysowników. Kiedy Gerald był w kuchni, goście mimowiednie porównywali go z jego szczerzącą zęby, garbatonosą podobizną. Porównanie okazywało się dla niego korzystne, chociaż budziło też podejrzenia, że za tą miłą dla oka maską czai się jednak drapieżna bestia.

Biegając teraz między domem a samochodem, w płóciennych spodniach i lekkich półbutach, Gerald sypał anegdotami z życia we francuskim dworku i opisywał pokrótce

miejscowych oryginałów; pragnął w ten sposób swe dzieci zarówno rozbawić, jak i wzbudzić w nich żal. – Jaka szkoda, że nie byliśmy tam wszyscy razem. Ty, Nick, też mógłbyś do nas kiedyś dołączyć.

– Z największą przyjemnością – odrzekł Nick tonem subtelnej zachęty. Lato z Feddenami we francuskim dworku stanowiło perspektywę nader kuszącą, mniej przecież atrakcyjną niż pobyt w Londynie bez nich. Jakże inaczej wyglądało to wszystko po ich hałaśliwym powrocie! Skończył się okres kurateli nad domem i córką, a całą radość z ponownego spotkania mąciła Nickowi młodzieńcza melancholia, świadomość mijającego czasu i straconych okazji. Chciałby usłyszeć choćby jedno słowo podzięk, które uśmierzyłoby pewnie ten tajemniczy ból. Nie wspomniał naturalnie o swoim największym osiągnięciu, o wsparciu dla Catherine w jej chwilowym kryzysie, lecz gdyby ten temat jednak wypłynął, Nick mógłby z czystym sumieniem streścić przebieg wydarzeń i przedstawić własny w nich udział. Catherine, jak się wydaje, zauważyła to przemilczenie, o czym świadczyła jej obecna nerwowość. Nick z kolei doszedł do wniosku, że w obecności niewiedzących o niczym rodziców staje niejako po stronie córki i że tym samym sprawa nigdy nie trafi na wokandę.

– Cieszymy się bardzo – powiedział Gerald – że zajęłaś się Kotką, co chadza własnymi drogami. Nie sprawiła kłopotu, jak miemam?

– No cóż... – Nick uśmiechnął się szeroko i spuścił oczy.

Jako człowiek spoza rodziny, nie miał żadnego przydomka i nie był objęty błazenadą rodzinnego żargonu. On sam otrzymał w prezencie buteleczkę wody kolońskiej o nazwie Je promets. Powąchał ją z uznaniem dla darczyńców, uwzględniających osobowość obdaro wywanego; jego rodzice, rzecz jasna, nigdy nie ofiarowaliby mu czegoś o tak dwuznacznym zapachu. – Mam nadzieję, że dobrze trafiłem – powiedział Gerald, jak gdyby wybierając ten prezent, wielkodusznie wykroczył poza granice swoich kompetencji.

– Jest cudowna. Stokrotne dzięki – odparł Nick. Jako człowiek spoza rodziny mógł znów delectować się dobrymi manierami i przyjemnością, jaką dawało mu respektowanie domowej etykiety. Toby i Catherine mogli się dąsać i stroić fochy, mieli prawo nie śmiać się z żartów swoich rodziców, natomiast Nick konwersował z panem i panią domu tonem pełnej harmonii i zgody. – Mieliście ładną pogodę? – Powiem szczerze: przepiękną. – Ruch na szosach był duży? – Stanowczo za duży! – Chciałbym

kiedys zobaczyć ten kościółek w Podier. – Z pewnością bardzo by ci się spodobał. – Tak to snuły się ich rozmówki. Nawet różnice zdań, na przykład na tle Gerald owej słabości do Ryszarda Straussa, nie tworzyły najmniejszych dysonansów, a wpisując się w klimat niewymuszonej harmonii, dawały jedynie kolejny wyraz obopólnej aprobachie, transponowanej tu tylko do bardziej ekscytującej tonacji.

W bagażniku rangę rovera zostało jeszcze kilka skrzynek wina i Nick zaproponował, że pomoże zanieść je do domu. Mimowolnie wzrok jego spoczął na irytująco jędrnych pośladkach Geralda, wzmocnionych, jak się można domyślić, codziennym pływaniem i grą w tenisa. Opalone nogi parlamentarzysty również wskazywały na duży potencjał seksualny, którego Nick nie przypisałby nigdy mężczyźnie czterdziestopięcioletniemu. Pomyślał, że to pewnie za sprawą Leo reaguje także na mniej atrakcyjnych mężczyzn z większą niż dotąd uwagą.

– Za to wszystko celnicy zdrowo obdarli nas ze skóry – powiedział Gerald, kiedy ostatnia skrzynka znalazła się już w domu.

– Gdyby w EWG zniesiono wszystkie bariery celne, nie miałbyś czym się przejmować – zauważył Toby.

Gerald uśmiechnął się słabo na znak, że nie da się sprowokować.

Kilka butelek przeznaczono dla Eleny, która pośród nerwowej krzątaniny przy przekazaniu władzy nad domem zdążyła włożyć je do swojej czarnej reklamówki. Ta sześćdziesięcioparoletnia wdowa cieszyła się szczerą sympatią Feddenów, którzy dokładali wszelkich starań, by nie traktować jej protekcjonalnie. Nick czuł się w jej obecności niezręcznie – zawinił zresztą on sam przez jeden akt błędnie adresowanej kurtuazji. Gdy po raz pierwszy zjawił się w Kensington Park Gardens, powitał go Toby, który jednak tuż potem wyszedł na chwilę, oznajmiwszy, że wkrótce do domu wróci matka. Usłyszawszy otwierające się drzwi, Nick zszedł do holu i przedstawił się eleganckiej kobiecie o kruczoczarnych włosach, zajętej właśnie sortowaniem poczty. Gdy opowiadał jej z ożywieniem o obrazie, który podziwiał wcześniej w salonie, widząc jej skromny uśmiech, słysząc łagodnie potakujące uwagi, zdał sobie sprawę, że nie rozmawia bynajmniej z panią Rachel, tylko z Włoszką, zatrudnioną tu w charakterze gosposi. Nie ma naturalnie nic zdrożnego w okazywaniu uwagi gosposi, której poglądy na temat Guardiego mogą być równie intrygujące, jak zdanie Rachel, i pewnie ciekawsze niż sądy

Geralda; to jednak, co dla Eleny miało wiele niewątpliwego uroku, Nick zapamiętał jako drobne faux pas.

Mimo wszystko, kiedy siedział teraz obok Toby'ego i czuł bijący od niego zapach mydła i kawy, kiedy ocierał się o jego nagie kolano, gdy pochylał się, by sięgnąć po cukierniczkę, Nick stwierdził, że odniósł niezaprzeczalny sukces. Od incydentu z Eleną upłynął już rok, a przez dwanaście minionych miesięcy udało mu się nasączyć ten dom tyloma skojarzeniami! Wziął do ręki notes w zamszowej oprawie, aby okazać, że również ten – niedoceniony przez Toby'ego – podarunek zasługuje na baczną uwagę. Gładząc go dłonią, wyobrażał sobie, że wodzi nią po ciele Toby'ego, w jakimś ciepłym, pokrytym włosami miejscu. Ponieważ Toby często powtarzał, że chciałby parać się dziennikarstwem, taki prezent poniekąd go obrażał, bo najwyraźniej kupiono go wyłącznie z poczucia obowiązku, a jego wysoka cena miała jedynie zakamuflować okazywane synowi lekceważenie. Notesu nie dało się całkowicie otworzyć i nadawał się on tylko do wpisania kilku adresów i „pomysłów”. Trudno więc było wyobrazić sobie, że Toby skorzysta z niego, szykując relację z pikiety bądź dopychając się do otoczonego przez kamery ministra.

– Pewnie słyszeliście już o Maltbym – powiedział Toby.

Nick poczuł nieprzyjemne mrowienie, typowe dla zbliżającej się reakcji alergicznej. Hector Maltby, podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, dał się niedawno przyłapać z męską prostytutką; było to w jego jaguarze, zaparkowanym opodal restauracji Jack Straw's Castle. Tuż potem nastąpiła dymisja, tuż potem rozpadło się jego małżeństwo. Gazety rozpisywały się o tym przez cały ubiegły tydzień, toteż Nick niezbyt chyba mądrze popadł nagle w zakłopotanie, czerwieniąc się, jakby to jego samego w rzeczonym jaguarze przyłapano in flagranti. Nawet w tolerancyjnej kuchni Feddenów sztywniał cały z niepokoju na każdą wzmiankę o homoseksualizmie. Bał się, że będzie zmuszony przełknąć kolejną, choćby pośrednio doń tylko skierowaną obelgę; bał się żartów, na które wypada odpowiedzieć słabym uśmiechem. I nawet przypadek tego żalostnego tłuszciocha Maltby'ego, tej żywej karykatury „nowego torysa”, wydawał się aluzyjnie wskazywać na niepozorną osobę Nicka i jej podejrzane sąsiedztwo z pięknie opaloną nogą Toby'ego.

– Hector to stary dureń – oświadczył Gerald.

– Nas to raczej nie wprawilo w zdumienie – powiedziala Rachel, znamienym dla niej, z lekka ironicznym tonem.

– Znacie go osobiście? – zapytal Toby rzeczowym głosem, jak rasowy dziennikarz, którym tak bardzo chcial zostac.

– Co nieco – odparla Rachel.

– Ani troche – odparl Gerald.

Catherine ciagle wygladala przez okno, udajac sama przed soba, ze nie nalezy do rodziny Feddenów.

– Nie rozumiem, czemu on musi isc do wienienia – powiedziala.

– Alez on wcale nie trafi za kratki, nasza niemadra Mruczusiu – wyjasnil Gerald. – Chyba ze dotarly do ciebie jakies nieznane mi informacje. Jego po prostu nakryto ze spuszczoneymi spodniami. – Popatrzyll na Nicka, jak gdyby czekal na jego wsparcie.

– Tez mi sie tak wydaje – odrzekl Nick, starajac sie, by kazde z tych pieciu slow zabrzmialo swobodnie i mądrze zarazem. Wizja Maltby'ego ze spuszczoneymi spodniami napawala go wstrętem; ten okryty nieslawą poseł nie zaslugiwal zreszta na wyrazy solidarnosci. Nick gustowal raczej w estetycznie roziskrzonych obrazach zycia gejowskiego, kierowal myśli ku czekajacym na niego w swietlanej przyszłości rozebranym ciałom na slonecznym wybrzezu.

– Nie rozumiem, czemu musial podac sie do dymisji – powiedziala Catherine. – Lubi, jak mu ktos czasem obciagnie. Co z tego?

Gerald probowal przejść nad tym do porzadku dziennego, lecz byl najwyrazniej wstrzasniety. – Nie, nie. Musial odejść. Nie mial wyboru. – W jego niespokojnym i niepokojacym przy tym głosie odezwalo sie poczucie odpowiedzialności oraz świadomość przynależności partyjnej.

– Jeszcze dobrze na tym wyjdzie – powiedziala rozbawiona nagle Catherine. – Dowie sie, kim jest naprawde.

Gerald zmarszczyl brwi i wyciagnal ze skrzynki butelke wina.

– Masz doprawdy dziwne pojecie o tym, na czym czlowiek dobrze wychodzi – odrzekl w przyplywie hamowanej irytacji. – A przy kolacji moze nam towarzyszye Podier St-Eustache.

– Mmm... Cudownie – mruknęła Rachel. – Rzecz cała, moja kochana, polega na tym, że takie postęпки są wulgarne i niebezpieczne – dodała kategorycznie, co nieczęsto jej się zdarzało.

– Zjesz z nami, Nick? – zapytał Gerald.

Nick uśmiechnął się i odwrócił wzrok, gdyż wraz z tą propozycją wrócił problem jego dalszego statusu w domu Feddenów. W jakim stopniu, jak często powinien korzystać z ich gościnności? Wspomnieli kiedyś, że w swoim czasie poproszą go o stosowną subwencję.

– Strasznie mi przykro, ale dzisiaj nie mogę – powiedział.

– Jaka szkoda! To w końcu nasz pierwszy wieczór po powrocie... Nie był pewien, jak to ująć. Catherine obserwowała jego wahanie z szelmowskim uśmiechem.

– Nie, Nick dziś nie może, bo ma randkę.

Rozdrażniła go jej bezpośredniość w odniesieniu do tak intymnych planów, ten rażący brak wdzięczności za jego milczenie. Zarumienił się i poczuł, jak przez kuchnię przepływa niemły prąd. Odniósł wrażenie, że wszyscy mruczą coś pod nosem; dwuznacznie, zachęcająco czy z zakłopotaniem – tego stwierdzić nie umiał.

Nick nigdy wcześniej nie miał randki z mężczyzną i był znacznie mniej doświadczony, niż wydawało się Catherine. W trakcie ich długich rozmów pozwolił, by kilka jego fantazji zyskało status wydarzeń rzeczywistych, a parę razy zwyczajnie skłamał; nie prostował też niektórych domysłów, które na jego temat wysnuła Catherine. Owe bez reszty wyimaginowane romanse zagnieździły się w jego umyśle niczym fakty przywołane z pamięci – po części za sprawą wysiłku, jaki musiał włożyć w ich wymyślanie i powtarzanie. Okazywany mu czasem subtelny sceptycyzm przywiódł go do wniosku, że wprawdzie słuchacze mu nie wierzą, lecz sądzą przy tym, iż on już za chwilę uwierzy samemu sobie. Ujawnił się na ostatnim roku studiów w Oksfordzie, a zyskaną dzięki temu swobodę wykorzystywał, flirtując z heteroseksualnymi rówieśnikami. Sercem oddany był Toby'emu, z nim jednak flirtować nie wypadało, ba, zakrawałoby to na świętokradztwo. Nie mógł jeszcze pogodzić się z faktem, że jego pierwszym kochankiem nie będzie ani Toby, ani też żaden z dostrzeżonych za ogrodzeniem heteryków; jego pierwszy kochanek będzie gejem – musiał to przyjąć do wiadomości. Zwykle cioty, których postawę pochwalał, których się bał i które niepewnie naśladował, na ogół odnosiły się doń z rezerwą, choć był przecież ładny i niegłupi. Innymi słowy nie chciały

iść z nim do łóżka. Nick reagował poczuciem ulgi i zniechęceniem, po czym udawał się na powrót do świata seksualnych fantazji. Tam zaś przedstawienie trwało bez końca, aktorzy nigdy się nie męczyli, a jedynym minusem mogła okazać się nużąca powtarzalność odgrywanych epizodów. Nic więc dziwnego, że randka z Leo, doprowadzona do skutku mimo wszelkich przeszkód, jakie stawiał przed nimi system czyniący tę schadzki w ogóle możliwą, miała dla Nicka tak wielkie znaczenie. Przystanął jeszcze przed łukowatym, oprawnym w złocenia lustrem, które rejestrowało każdy ruch w holu, a które teraz nie chciało udzielić mu swej aprobaty. Kiedy zamknąwszy za sobą drzwi, ruszył ulicą, oszołomiła go własna samotność. Musiał przypomnieć sobie, że robi to wszystko dla przyjemności, bo czuł się już jak straceniec.

Po drodze zaczął znów zastanawiać się nad swoimi „pasjami” i „celami życiowymi”, które Leo ku zaskoczeniu Nicka wybrał na temat ich pierwszej rozmowy. Wiedział, że „pasje” to niekiedy sprawa dość śliska, że wspólne zamięłowanie do tego czy owego może szybko wprowadzić dwóch nieznajomych w stan bliski ekstazy i miłosnej nieomal rywalizacji; taka wspólna namiętność musiała wszelako istnieć. Co do „celów życiowych”, Nick sądził, że trudno mu będzie o nich mówić, nie oszukując samego siebie, nie wychodząc na mięczaka i osobnika, który w gruncie rzeczy celów nie ma. Gerald mógłby powiedzieć: „Chcę być ministrem spraw wewnętrznych”, i takie dictum skwitowano by co prawda uśmiechem, lecz nie odmówiono by mu osadzenia w rzeczywistości. Tymczasem Nick pragnął tylko być kochany przez przystojnego Murzyna pod trzydziestkę, mającego srebrzysty rower i posadę w jednym z miejskich urzędów.

Po raz setny wybiegł myślami do niewielkiego pubu przy Chepstow Castle, który wybrał ze względu na panujący tam intymny półmrok; bywalcy sąsiednich barów rzadko tam zaglądali, a w letnie wieczory, gdy wszyscy woleli rozsiąść się na trotuarze, wewnątrz pubu było na ogół pustawe. Dokoła wisiały podświetlone na bursztynowo wiekowe reklamy whisky i stare zdjęcia zaprzężonych w konie wozów. Nick widział już, jak siedzi obok Leo, a ich dłonie splatają się sekretnie na zakurczonym pluszu...

Zbliżając się do pubu, zauważył, że przy drzwiach stoi jakiś czarny mężczyzna. Natychmiast rozpoznał w nim Leo, lecz udął, że go nie widzi. Zatem Leo jest raczej niski i nosi teraz krótką brodę. Dlaczego czeka na ulicy? Nick podszedł do niego nerwowym krokiem.

– Jeśli nie chcesz się ze mną spotkać... – zaczął Leo, uśmiechając się niepewnie.

Nick zawahał się, po czym wybuchnął śmiechem i wyciągnął rękę.

– Myślałem, że będziesz w środku.

Leo kiwnął głową i skierował wzrok na ulicę.

– Stąd mogłem cię zobaczyć.

– Aha... – Nick znów się roześmiał.

– Poza tym bałem się o rower, bo w tej okolicy...

Przy najbliższej latarni istotnie stał elegancki, lekki jak piórko, bezcenny, futurystyczny rower.

– Nikt go stąd nie ukradnie. – Nick ciągle wpatrywał się ze zmarszczonymi brwiami w ten pojazd. Dziwił się, że Leo uważa tę okolicę za niebezpieczną. Co prawda sam również był tego zdania; trzy, cztery ulice dalej mieściły się puby, do których wolałby nigdy nie wchodzić, tak wielką okryte były niesławą. No, ale tutaj... Minął ich właśnie wysoki rastafarianin, który skinieniem głowy pozdrowił Leo, ten zaś odpowiedział mu w taki sam sposób, jakby od dawna dobrze się znali.

– Pogadamy na zewnątrz, co?

Nick poszedł do pubu po drinki. Stanąwszy przy barku, rozejrzał się po pubie; przy stolikach rozmawiała całkiem okazała grupka klientów, którzy pewnie zbierali się tam regularnie, a cały lokal wydawał się jaśniejszy, niż to zapamiętał ze swych poprzednich wizyt, w każdym razie jaśniejszy, niżby tego pragnął. Wszystko wydawało mu się inne, odmienione. Zamówił dwie cole, tyle że swoją szklankę wzmocnił dwoma kieliszkami rumu, bo sądził, że przyda mu się coś dla kurażu. Nigdy wcześniej nie pił rumu i dziwił się zawsze, że ktokolwiek może delektować się colą. Głowę ciągle wypełniał mu obraz człowieka, którego tak bardzo chciał poznać, którego dotyk poczuł przez moment, którego zostawił przed pubem, zakłopotany w obliczu mężczyzny z krwi i kości. W swoich opadających dzinsach i obcisłej niebieskiej koszulce Leo był aż nazbyt seksowny, zbyt bliski najśmielszym marzeniom. Jego uwodzicielski sposób bycia mógł napawać niepokojem. Nick odebrał zamówione napoje i zanim wyszedł na zewnątrz, wzdrygnął się nerwowo.

Ponieważ miejsc siedzących już nie było, stanęli obaj przy ścianie budynku, podpierając się o wyłożony brązowymi płytkami parapet. Na półprzeźroczystym szkłe okna wygrawerowano słowo ALKOHOL, w którym wiktoriańskie litery zdumiewały wymyślnymi szeryfami, splecionymi ze sobą niczym pnącza. Leo bez żenady przyglądał

się Nickowi, bo w końcu po to tu przyszedł, a Nick zarumienił się i szeroko uśmiechnął. Leo również wyszczerzył zęby.

– Widzę, że zapuszczasz brodę – powiedział Nick.

– Tak... Mam wrażliwą skórę. Przy goleniu krew się leje. Dosłownie. – Leo dawał wyraźnie do zrozumienia, że lubi mówić krótko i konkretnie. – A jak się nie golę, to mam te wrastające włosy, straszne gówno, słowo daję. Muszę je usuwać szpilką. – Powiódł drobną, delikatną dłonią po swoim parodniowym zaroście, a Nick dostrzegł na jego twarzy krostki po goleniu, które wcześniej widział u innych czarnoskórych mężczyzn. – Nie ruszam niczego przez cztery, może pięć dni, a potem golę się solidnie i załatwiam dwie sprawy za jednym zamachem.

– Rozumiem,.. – Nick uśmiechnął się, również dlatego, że dowiadywał się nieznanego mu wcześniej rzeczy.

– Ale ludziska mnie jeszcze poznają. – Leo mrugnął znacząco.

– Ależ ja wcale nie... – Nick był za bardzo nieśmiały, by ową nieśmiałość usprawiedliwić. Jego wzrok krążył między luźnymi w kroczu spodniami Leo i miękką poduszką jego włosów, unikając jednakże ładnej twarzy rozmówcy. Wcześniej po prostu wierzył na słowo, że Leo jest bardzo przystojny, lecz teraz nie mógł otrząsnąć się z szoku w zetknięciu ze wszystkim, co w nim piękne, osobliwie obce, nawet brzydkie. Znaczenie słowa „ludziska” zaczynało do niego z wolna docierać. – No dobrze – powiedział. Łyknął coli z rumem i poczuł w żołądku kojące pieczenie. – Pewnie dostałeś sporo listów, prawda? – Gdy był zdenerwowany, zadawał czasem pytania, na które wolałby nie znać odpowiedzi.

Leo sapnął z udawanego wycieńczenia.

– Tak, tak. Nie na wszystkie odpowiadam. Niektóre to chyba jakiś żart. Nie ma w nich zdjęć, a jeśli są, to okropne. Albo te od staruszków... Dostałem nawet list od kobiety, od lesbijki, która pytała, czy nie chcę zostać ojcem jej dziecka. – Leo zachmurzył się nagle, niby to oburzony, lecz sądząc po jego spojrzeniu, ta propozycja mile polectała jego próżność. – A to, co czasem wypisują... Ohyda! Przecież nie idzie mi tylko o szybkie bzykanko, no nie? Nie w tym rzecz...

– Pełna zgoda – odparł Nick. „Bzykanko” brzmiało w jego uszach zbyt nonszalancko jak na wyraz odnoszący się do czynności, która tak mocno absorbowwała jego myśli.

– Bywało się już tutaj, bywało – rzekł Leo i popatrzył w głąb ulicy, jak gdyby mógł tam dojrzeć samego siebie. – A twoja fotka mi się spodobała. Masz fajny charakter pisma.

– Dzięki. Ty też.

Leo kiwnął głową na znak, że przyjmuje komplement.

– I nie robisz błędów.

Nick znowu się roześmiał.

– Tak. W tym jestem dobry. – Bał się wcześniej, że jego list sprawia wrażenie, jakby wyszedł spod pióra pedantycznego prawniczka, lecz teraz uznał, że na szczęście się mylił. Gdy nad nim śleczął, najmniej chyba zajęty był ortografią. – Nigdy nie wiem, jak się pisze „skuwka”.

– Ja też – odrzekł Leo i zachichotał. – Mieszkasz w całkiem fajnym domku – powiedział, zmieniając temat.

– A... owszem... – wydukał Nick, jakby z trudem przywoływał z pamięci miejsce wspomniane przez Leo.

– Przejeżdżałem tam rowerem parę dni temu. Chciałem nawet zadzwonić do drzwi.

– Hm... Szkoda, że tego nie zrobiłeś. Miałem właściwie cały dom dla siebie. – Aż go zemdlilo na myśl o utraconej okazji.

– Tak? Widziałem, jak wchodzi tam jakaś dziewczyna...

– To musiała być Catherine.

Leo znów kiwnął głową.

– Catherine to twoja siostra, tak?

– Nie, nie mam siostry. Catherine to siostra mojego przyjaciela, Toby'ego. – Nick uśmiechnął się i utkwil wzrok w Leo. – To nie jest mój dom.

– Aha... – mruknął Leo. – Uhm...

– Boże... Ja przecież nie wywodzę się z takich sfer. Ja tam mieszkam, nic więcej. Ten dom to własność rodziców Toby'ego. Ja mam tylko pokój na poddaszu. – Nick zdziwił się, że tak szybko rozprawił się ze swoją iluzoryczną przynależnością do rodziny Feddenów.

Leo wyglądał na nieco zawiedzionego.

– Rozumiem – powiedział, kręcąc głową.

– To znaczy... Jestem z nimi blisko zaprzyjaźniony, to prawie moja druga rodzina, ale długo tam nie zabawię. Oni mają mi tylko pomóc na początku studiów.

– A ja już myślałem, że trafił mi się przemiły bogaty chłopaczek...

Nick nie był pewien, czy Leo powiedział to serio; zupełnie go nie znał, co nie przeszkodziło mu zresztą przed chwilą wyobrazić ich sobie nagich w królewskim łożu Feddenów. Może to właśnie dlatego dostał odpowiedź na swój list, skomponowany wszak na najdroższym papierze listowym.

– Przykro mi – rzucił żartobliwym tonem. Łyknął jeszcze coli z rumem; naprawdę nie był to jego ulubiony drink. Czysty granat zmierzchającego nieba jak zwykle przepoił go uczuciem osamotnienia.

– Ja tylko żartowałem – roześmiał się Leo.

– Wiem – odparł Nick, krzywiąc usta. Leo ścisnął go delikatnie za ramię, tuż przy kołnierzyku, i wolno odsunął rękę. Nick również klepnął go po ramieniu. Poczł nagle osobliwe odprężenie. Przez palce Leo przeniknął jakiś prąd i Nick widział już, jak całują się namiętnie; ta wizja zdawała się teraz równie realna, jak całe to niezręczne rendez-vous na chodniku przed pubem.

– Ale ci twoi przyjaciele muszą mieć trochę kasy – zauważył Leo.

Nick wołał nie zaprzeczać.

– Wręcz śpią na pieniądzach.

– Taaa... – mruknął wciąż uśmiechnięty Leo. Może ten fakt go ucieszył, a może wywołał w nim odruch potępienia. Nick wiedział, że za moment pojawią się kolejne pytania, i postanowił nie mówić nic o Geraldzie. Ten wieczór i tak wymagał od niego ogromnej odwagi. Konserwatywny poseł zepsułby pozostałą część randki jak nieproszona przyzwoitka – spłoszony Leo mógł wskoczyć na rower i zniknąć. Mógł jednak wspomnieć o rodzinie Rachel, jeśli okaże się to wskazane. Tymczasem Leo opróżnił swoją szklankę i spytał: – Jeszcze raz to samo?

Nick pospiesznie dokończył drinka i odparł:

– Dzięki. Chociaż... tym razem wezmę colę z rumem.

Pół godziny później, gdy niebo już poczerniało, a latarnie uliczne z różowych zrobiły się złote, Nick wpadł w swoisty trans, wywołany bliskością nowego przyjaciela i pewnością, że wszystko się uda. Przepeliąta go zaprawiona lekkim przeczuleniem, acz

bez wątpienia szczerą radość, jak gdyby zdjęto zeń ciężar osobistej odpowiedzialności. Przy jednym z długich stolików zwolniło się kilka miejsc. Nick i Leo usiedli na tej samej ławce i pochyleni ku sobie wyglądali jak pogrążeni w niedostrzegalnej dla innych rozgrywce. Swoboda i dobry humor, jaki dawał Nickowi rum, zespoliły się w nim nierozłącznie z intymną atmosferą, gęstniejącą wraz z gęstniejącym mrokiem.

Zastanawiał się, jak widzą ich pozostali klienci, na przykład parka przy tym samym stoliku. Otaczał ich coraz większy gwar, niosący ze sobą niejasne poczucie heteryckiego zagrożenia. Nick podejrzewał, że z innymi facetami Leo spotykał się w pubach gejowskich i że on pod tym względem zawałił sprawę. Myślał teraz z żalem o swobodzie, na jaką mogliby sobie w takim miejscu pozwolić. Miał ochotę pogłodzić Leo po szyi, miał ochotę go pocałować.

W rozmowie nie poruszali tematów intymnych. Nick nie umiał zainteresować Leo swoimi sprawami, a nieśmiałe nawiązania do własnej rodziny i przeszłości nie spotkały się z żadną reakcją. Parę razy uległ pokusie wtrącenia starannie wcześniej przemyślanego żartu, ale i te próby trafiły w próżnię. Tylko dwukrotnie udało mu się wzbudzić zaniekawienie rozmówcy: kiedy z nieszczerą beztróską zaprzeczył, jakoby Toby, choć był mężczyzną atrakcyjnym, naprawdę go pociągał (Leo uznałby go za dziwaka, gdyby kochał kogoś tak długo i tak bezsensownie), i kiedy opisał pokrótce losy bankierskiej rodziny Rachel, na co Leo odpowiedział kwaśnym uśmiechem, piętnującym ten jakże krzykliwy przejaw braku sprawiedliwości społecznej. Nick zauważył, że jego towarzysz w sarkastyczny sposób odnosi się do każdej wzmianki o pieniądzach; kiedy więc wyznał, że jego ojciec jest antykwariuszem, pomyślał, iż to pokryte patyną wieków słowo zabrzmiało jak symbol przynależności do klas wyższych. Na użytek eleganckich kolegów z Oksfordu Nick zdołał przeobrazić wizerunek swego rodzica – człowieka z łatanami na łokciach, jeżdżącego półciężarówką volvo pełną zawiniętych w koce luster i windsorskich krzesel – w postać godną większej estymy, w wybitnego eksperta i przyjaciela miejscowej arystokracji. Obecnie zaś wołał na wszelki wypadek pomniejszyć znaczenie ojca. Niepotrzebnie, ponieważ okazało się, że eks-facet Leo, Pete, prowadził sklep z antykami przy targu staroci na Portobello Road. – Głównie francuszczyzna – mówił Leo. – Złoczone brązy, bouille. – Po raz pierwszy powiedział coś konkretnego o własnej przeszłości. I szybko zmienił temat.

Leo był z pewnością niemałym egotystą; grafologiczna diagnoza Catherine okazała się zatem trafna. Nie lubił wszakże ujawniać swych głębszych uczuć, a o sobie mówił w sposób, w jaki Nick nie umiałby wypowiedzieć się nigdy; podkreślał otóż nieustannie, iż jest z „tych, co” czy „facetem, który”. „Ja jestem z tych, co potrzebują dużo seksu”. Albo: „Taki już jestem, zawsze mówię, co myślę”. Nick zastanawiał się, czy może przypadkiem w którymś momencie mu nie zaprzeczył. – Nie jestem pamiętliwy – mówił Leo. – To oczywiste – odparł Nick i aż się wzdrygnął z zakłopotania. Z drugiej strony taka umiejętność bądź taktyka mogła okazać się nader przydatna w świecie randek z gazetowych anonsów, choćby nawet nieśmiałość i wrodzona subtelność Nicka nie pozwalała mu odpowiadać w analogiczny sposób („Ja jestem z tych, co wolą Pope’a od Wordswortha”; „Mam fioła na punkcie seksu, ale nigdy jeszcze się z nikim nie kochałem”). Wieczór robił się przez to bardziej ekscytujący. Nick nie przyszedł tu przecież, żeby wymieniać się automatycznie zrozumiałymi uwagami z którymś ze swoich oksfordzkich przyjaciół. Podobała mu się wykazywana przez Leo mało taktowna pewność siebie. Milczące poczucie wyższości podpowiadało mu jednocześnie, że każda z usłyszanych przechwałek stanowi jedynie otwartą negację skrywanego wahania.

Przy trzecim drinku Nick, rozgrzany już i cokolwiek podniecony, swobodnie patrzył na usta i szyję Leo i wyobrażał sobie, jak rozpina jego obcisłą niebieską koszulkę. Przymknięte na chwilę oczy przyjaciela odczytał jako sekretny i ironiczny zarazem sygnał; Leo zorientował się już chyba, że Nick jest lekko wstawiony. Nie wiedział, czy należy w tej sytuacji zrewanżować się jakimś równie wymownym gestem, zatem uśmiechnął się szeroko i pociągnął kolejny łyk swego drinka. Odnosił wrażenie, że Leo pija colę od dziecka i że ten fakt jest tak oczywisty, tak naturalny, iż trudno go niemal zauważyć. W rodzinie Nicka na colę spoglądano krytycznie, jak na tysiące innych zjawisk – w domu nigdy nie widział ani jednej puszki czy butelki z tym napojem. Szklanka coli, którą trzyma! teraz w dłoni, stanowiła więc poniekąd oznakę uległości, z czego Leo rzecz jasna sprawy sobie nie zdawał. Później ten słodko-cierpki smak, podobny do smaku niektórych lekarstw, miał mu się kojarzyć z pozostałymi doświadczeniami tego wieczoru, z poczuciem swobody, z ciemnością. Gdy Leo ziewnął, Nick ujrzał garnitur białych, nieskażonych działaniem cukru zębów, przy których jego własne uzębienie, nierówne i zeszpeczone plombami, prezentowało się raczej ubogo. Położył dłoń na przedramieniu Leo i szybko tego pożałował, bo Leo od razu popatrzył na zegarek.

– Czas leci – powiedział. – Nie mogę wrócić za późno.

Nick spuścił oczy i mruknął:

– A musisz wracać?

Próbował zdobyć się na uśmiech, lecz wiedział, że jego twarz zeszywniała z niepokoju; wodził nerwowo wilgotną szklanką po nieco chropawym blacie stołu. Gdy uniósł wzrok, Leo patrzył na niego sceptycznie, unosząc brew.

– Nie mogę za późno wrócić od ciebie – wyjaśnił.

Nick uśmiechnął się i zaczerwienił. Ten nagły zwrot akcji był jak nagroda wręczona dziecku, które już obawiało się kary.

– Chyba nie możemy... – Musiał niestety wypowiedzieć te słowa.

Leo nie spuszczał zeń wzroku.

– Za mało miejsca?

Nick wzdrygnął się; milczał. Nie miał śmiałości uczynić czegoś takiego. Po prostu nie mógł zachować się niewdzięcznie względem Geralda i Rachel. Takie postęпки są w końcu wulgarne i niebezpieczne. Konsekwencje były łatwe do przewidzenia – ich wesołe, harmonijne pogaduszki skończyłyby się raz na zawsze.

– U mnie raczej nie... Ale możemy pójść do ciebie.

Leo wzruszył ramionami.

– To niezbyt praktyczne – powiedział.

– Mogę pojechać autobusem. – Nick przestudiował wcześniej przewodnik po Londynie, aby sprawdzić, gdzie mieszka Leo, jaka to dzielnica, jakie są tam zabytki i jak tam dotrzeć środkami komunikacji publicznej.

– Nieee... – Leo odwrócił wzrok, zakłopotany, z wymuszonym uśmiechem na twarzy. – Moja stara jest w domu. – Ta pierwsza oznaka wstydu, pokryta cockneyowską i karaibską zarazem ironią, sprawiła, że Nick niemal zerwał się z miejsca, by go ucałować.

– Ona jest strasznie religijna – powiedział i zachichotał smutno.

– Rozumiem – odrzekł Nick. Sytuacja istotnie zrobiła się niewesoła: lato, wieczór i dwóch mężczyzn bez własnego lokum. Było w tym coś romantycznego. – Mam pomysł – rzucił ostrożnie. – Jeżeli zgodzisz się, żebyśmy zostali... hm... na dworze...

– Wszystko jedno. – Leo obejrzał się leniwie przez ramię. – Nie spuszczałam portek na ulicy.

– Nie, nie...

– Aż taką zdziłą nie jestem.

Nick roześmiał się nerwowo. Nie był pewien, co naprawdę mają na myśli ludzie mówiący, że „uprawiali seks na ulicy”. Za pół roku pewnie się dowie, zrozumie to wyrażenie, gdy pozna już kilka prostych faktów. Leo przesunął się i wyciągnął nogi spod ławki; był gotów do działania i najwyraźniej zakładał, że jego towarzysz świetnie zna dalszą procedurę. Po chwili Nick szedł już obok niego z promiennym uśmiechem, upojony własnym szczęściem. Był uległy, bezsilny, poddawał się logice wydarzeń, która za pół godziny miała doprowadzić do oczywistego finału. Serce biło mu jak młotem, wzburzone niezwykłością zaistniałej sytuacji, choć z drugiej strony, gdy Leo przykucnął, by odpiąć linkę zabezpieczającą rower, wszystko wydawało się jak najbardziej zwyczajne i naturalne. Powinien się przyznać, pomyślał, że będzie to jego pierwszy raz, ale szybko doszedł do wniosku, że takie wyznanie znudzi Leo albo nawet go zniechęci. Patrzył na precyzyjnie wygolony kark tego obcego mu człowieka, którego już za moment będzie mógł dotykać. Na metce przykrótkiej koszulki Leo widniało logo Miss Selfridge, ujawniające kolejny aspekt jego próżności, kolejny z jego drobnych sekretów; Nickowi z radości zakręciło się w głowie, takie to było wzruszające, tak bardzo seksowne. Widział napięte mocno mięśnie kręgosłupa i odstające w pasie luźne dżinsy; widział też oświetloną przez latarnię brązową szczelinę między pośladkami i napiętą gumkę slipów.

Otworzył bramę i przepuścił Leo przodem.

– W ogrodach nie wolno jeździć na rowerze, lecz mniemam, iż można rower prowadzić.

Leo nie łapał jeszcze poetyki heroikomicznej.

– Mniemam, że dupczenie też jest tu zabronione.

Gdy brama zatrzasnęła się za nimi z niegłośnym brzękiem, znaleźli się obaj w mrocznym ogrodzie, otoczeni przez gęstwinę krzewów. Nick chciał ód razu przyciągnąć Leo do siebie, chciał od razu go pocałować, ale opadły go wątpliwości. Dupczenie to termin jednoznaczny, bardzo zachęcający, tyle że niezbyt romantyczny... Sunęli ostrożnie przed siebie, podpierając się wzajemnie, gdy któremuś zdarzyło się zejść z wydeptanej ścieżki. Zrobiło się chłodno, lecz Nick bynajmniej nie dygotał z zimna, tylko ze spazmatycznego podniecenia. Palce mu zeszywniały jak od za ciasnych rękawiczek. Rad był, że w niemal zupełnej ciemności nie widać jego dziwnego uśmiechu, w którym

mieszają się ekscytacja i niepokój. Miał wielką nadzieję, że to on będzie dupczyć, ale nie wiedział, jak zapadają takie ustalenia; pewnie samo to jakoś wychodzi. Chyba że najpierw jeden, potem drugi... Leo trzymał dłoń na siodełku roweru, który niejako wyrywał się do przodu, i drżał, równie zniecierpliwiony jak Nick. Dotarli w końcu na polankę. Po prawej rosły półkolem stare platany oraz duży czerwony buk, którego gałęzie opadały do samej ziemi, tworząc duży kloszowaty namiot, cienisty i chłodny nawet w samo południe. Po lewej biegła zwirowa alejka, za nią zaś, nieco wyżej, ciągnął się rząd budynków, w których raz po raz zapalały się i gasły światła. Idąc skrajem polanki, Nick szukał wzrokiem domu Feddenów. Dostrzegł wreszcie balkon na pierwszym piętrze i dumnie rozświetlony salon za oszklonymi drzwiami.

– Daleko jeszcze? – zapytał Leo.

– Jesteśmy prawie na miejscu. – Nick zachichotał. Był ciekaw, czy Leo naprawdę zrobił się zrzedliwy, czy może tylko udaje. Wyprzedził go nieco, żeby sumiennie zlustrować teren. Gdy jego oczy przyzwyczyły się już do półmroku, stwierdził, że żadne z pobliskich miejsc nie jest wystarczająco odosobnione – przenikało tu światło ulicznych latarni oraz irytujące ludzkie głosy. Nie można też było zapomnieć o błakających się po ogrodach mieszkańcach, o rozmarzonych piknikowiczach i pannach z białymi pieskami. Zatrzymał się pod czerwonym bukiem, lecz jego gałęzie okazały się szorstkie i drażniące, a pod stopami szeleściły opadłe liście. Wracając, wpadł na Leo i musiał chwycić go w pasie, żeby nie upaść. – Przepraszam... – Pod jedwabistą koszulką kryło się ciepłe sprężyste ciało, niepokojąco wręcz piękne, niewiarygodnie kuszące. Oby tylko się nie ośmieszył! Za plecami Leo rozbłysło nagle nieistniejące światełko i pojawili się tam pozostali mężczyźni jego życia: anonimowi partnerzy do seksu, panowie z ogłoszenia, byli faceci, stary Pete... Nick widział ich drapieżne oczy, ich wąsy, ich erotyczną pewnością siebie. I czym prędzej zaczął prowadzić Leo w stronę szopy ogrodnika.

– No dobra, tu jest okej – powiedział Leo, opierając rower o modrzewiowy żywopłot. Przez moment chciał odruchowo przypiąć go linką, lecz zreflektował się szybko i zachichotał. Nick sprawdził, czy drzwi od szopy da się otworzyć, choć widział, że są zamknięte na kłódkę. Obok stała nadłamana ławka, a przy niej metalowa taczka. Rosło tam kilka wawrzynów i jeden cis, którego kwaśny zapach mieszał się z lekko słodkawą wonią dużej przyzmy kompostu, przykrytej świeżo skoszoną trawą i siatką z drutu. Leo

zbliżył się do Nicka i przez chwilę stał z odwróconym wzrokiem obok pryzmy, wodząc dłonią po trawie.

– Wiesz, że kompost jest w środku bardzo gorący? – zapytał.

– Tak. – Nick wiedział o tym od zawsze.

– Lepiej nie dotykać. To koło stu stopni.

– Naprawdę? – Wyciągnął rękę jak znużone dziecko.

– No dobra – rzucił Leo, kiedy ręka towarzysza objęła go w pasie; otoczył wtedy ramieniem szyję Nicka i przyciągnął go całego do siebie. – No dobra... – Wyszeptawszy te słowa, przylgnął zaskakująco miękkimi ustami do policzka, potem do szyi Nicka, który tymczasem gorączkowo, z zapartym tchem wodził dłonią po jego plecach. Usta Nicka szukały ust Leo, aż w końcu je napotkały i zespoliły się z nimi w spiesznym pocałunku. Nick miał wrażenie, że dość bezradnie przyznaje się w ten sposób do palącej go żądzy, lecz zdumiał go fakt, iż Leo również go pożąda, sądząc po namiętności, z jaką poruszały się jego kończyny. Gdy odkleili się od siebie, Leo uśmiechał się słabo, a zadyszany Nick myślał jedynie o natychmiastowym podjęciu przerwanej czynności.

Całowali się jeszcze przez minutę lub dwie – Nick stracił rachubę czasu, wprowadzony w trans zmysłowych rytmów przez miękkość ust przyjaciela i ekspansywność jego języka. Wciąż zadziwiała go okazana mu z taką pasją wzajemność, a raczej to, iż on sam stanowi dla kogoś przedmiot pożądania. Bezlądna rozmowa w pubie wcale na ten stan rzeczy nie wskazywała. Nick nigdy nie czyta! o tym w żadnej książce, był aż do bólu gotowy i zupełnie nieprzygotowany. Poczul, jak dłoń przyjaciela błąka się w jego lokowa tych włosach, i on też uniósł drugą dłoń, aby popieścić pokrytą zarostem i kros tka mi twarz Leo, aby zatopić ją w jego gęstych włosach. Rozumiał już istotę całowania, ale znał również jej ograniczenia – był to instynktowny środek ekspresji, sposób na wyrażenie pasji, niemogący wszelako jej zaspokoić. Jego prawa ręka, trzymana dotąd na talii Leo, oderwała się niepewnie, wciąż zaskoczona udzieloną jej swobodą, i powędrowała leniwie na pełne pośladki, ażeby ścisnąć je po chwili przez warstwę wysłużonego miękkiego džinsu. Na górnej części uda poczul sztywny, nieco przekrzywiony penis Leo; pojął, że wolno mu już włożyć rękę do jego spodni i wsunąć ją pod krótkie, mocno napięte slipy. Środkowy palec pomknął ku głębokiej szczelinie, gładkiej jak u dziecka, a gdy przycisnął się do suchego zwieracza, Leo jęknął z rozkoszy.

– Niedobry chłopczyk – powiedział.

Odsunął się od Nicka, który zrazu nie chciał go oswobodzić z uścisku, a potem wypuścił, roześmiawszy się ponuro. – Zaraz wracam – powiedział Leo i zniknął za szopą. Nick został sam, znowu sam; wzdychając ciężko, wsłuchiwał się w miękkie pomruki Londynu, w wieczorny wiatr poruszający nieznacznie czarnymi wawrzynami. Co Leo tam robił? Chyba szukał czegoś w bocznej sakwie roweru. Był wprawdzie cudowny, był jak z bajki, ale Nick poczuł ciarki na plecach, gdy pomyślał, że znalazł się sam na sam, w zupełnej ciemności, z zupełnie obcym mu człowiekiem, że to ryzyko, że jest naiwny, że wszystko może się wydarzyć. Leo wrócił – jeszcze jeden cień pośród mnogości innych cieni. – Myślę, że to się nam przyda – powiedział, a świadomość ryzyka ponownie nabrała pięknych barw nastrojowej przygody.

Nazajutrz Nick często przebiegał myślami dalszą sekwencję wypadków: wziął podaną mu tubkę żelu, starannie złożoną, w trzech czwartych pustą, i utkwił w niej wzrok pełen ulgi i zakłopotania; następnie odwrócił Leo tyłem do siebie, rozpiął mu dżinsy, uwolnił erekcję z uścisku slipów i popchnął go lekko w stronę ławki, o którą Leo oparł się rękami, wtedy zaś Nick przyklęknął, aby ustami i językiem złożyć hołd składany wcześniej od lat w wyobraźni tysiącom innym mężczyznom. Przekonanie o zgorszeniu, z jakim powszechnie kojarzyło się to, co robi, zapewne bawiło go bardziej aniżeli samo doznanie, niż niewyraźny, acz bardzo intymny zapach. Zsunął własne spodnie i slipy na wysokość kolan, uśmiechnął się na widok swego wyzwolonego nagle kutasa i podarował ten uśmiech Leo, całując znów jego zwieracz. Później, kiedy już go posuwał, rozkosz mieszała się w nim z zaciekawieniem, i nie mógł się nie roześmiać. – Fajnie, że cię to bawi – mruknął Leo. – Nie, nie o to chodzi – odparł Nick. A jednak było w tym coś naprawdę zabawnego; było coś zabawnego w błogich dreszczach, które biegły w górę po kręgosłupie, ścisnęły za szyję i rozpląwały się potem po rękach, aż po opuszki palców. Emocje pierwszego razu nie opuszczały go też, gdy zwolniwszy uścisk jednej dłoni na biodrach kochanka, pomógł mu rozpiąć i zdjąć koszulkę, gdy jego ciało tkwiło już przed nim nagie. To wszystko było takie proste. A jeszcze minionego wieczoru obawiał się, że coś sknoci...

– Uważaj na koszulkę – powiedział Leo. – Należy do mojej siostry.

Po tych słowach Nick kochał się z nim jeszcze namiętniej, sam nie wiedział dlaczego. – Masz taki gładki tyłeczek – szepnął, głaszcząc Leo po krótkich miękkich włoskach na klatce piersiowej i brzuchu.

– Tak... Bo go gołę... – odparł Leo między jękami, między coraz szybszymi i śmielszymi pchnięciami Nicka. – Zarasta mi, kurwa... A na rowerze... – Nick pocałował go w kark. Biedny Leo! Zarośnięty tyłek i wrastające włoski na twarzy; istny męczennik torturowany przez wytwory własnego naskórka. – Taaa... Właśnie tak... – wyznał słodko. Podpierał się teraz jedną ręką, a drugą onanizował się z mechanicznym pośpiechem. Nick coraz bardziej odpływał w niebyt, ale tuż przed orgazmem ujrzał nagle samego siebie, nieskrywanego już przez drzewa i krzewy, oświetlonego zniecka przez wszystkie światła Londynu – oto drobny Nick Guest z Barwick, syn Dona i Dot Guestów, pieprzy się pod osłoną nocy z obcym mężczyzną w ogrodzie w Notting Hill. Leo miał rację: Nick zachowywał się jak niedobry chłopczyk, który jednakże niczego lepszego nigdy wcześniej nie zaznał.

Później Nick siedział na ławce przy żwirowej alejce, a Leo odlewał się obok na trawniku. Nie dowiedzieli się nigdy, czy wysoki przygarbiony mężczyzna w białej koszuli, który miał za moment do nich zagadnąć, dostrzegł ich już wtedy. Leo usiadł obok Nicka, ten zaś poczuł, że musi się teraz rozegrać ostatnia, bardziej oficjalna część kończącej się randki. Niespodziewanie ogarnął go smutek; pomyślał, że niepotrzebnie okazał swą bezgraniczną radość, choć przecież nie mógł w sobie zdławić oczywistego poczucia sukcesu, a jego stęsknione za miłością umysł i ciało pragnęły więcej i więcej. W wieczornym powietrzu zawisły jako jedyne dwa krótkie imiona: Nick i Leo; ich smutny, cierpki, znamionujący doświadczenie zapach mieszał się z wonią sennych wawrzynów i azalii.

Wysoki mężczyzna minął ich najpierw, po czym zawahał się i odwrócił.

– To jest ogród tylko dla mieszkańców.

– Proszę?

Padające z okien światła ukazały twarz ogorzałą, wypoczętą, miękką, zniewieściałą, zwieńczoną cienką warstwą siwych włosów.

– Mówiłem tylko, że to ogród prywatny.

– A, rozumiem. My tu mieszkamy. – Czasownikiem tym objął Nick również Leo, który chrząknął niegłośnie tytułem gniewnego potwierdzenia. Trzymając dłonie na kolanach, wyglądał nieomal jak właściciel ogrodu, a szeroko rozstawione nogi wyrażały seksowność i oburzenie zarazem.

– A! Rozumiem... – Mężczyzna spoglądał na nich z ukosa, krzywiąc usta w półuśmiechu. – Chyba nigdy tu panów nie widziałem. – Starał się nie patrzeć na Leo, będącego rzecz jasna pretekstem do tej nerwowej wymiany zdań. Raz jeszcze tego wieczoru objawiła się Nickowi kolejna oczywista prawda: towarzyszył mu czarny mężczyzna.

– Dziwne, bo często tu bywam – odrzekł Nick i wskazał gestem furtkę do ogrodu Feddenów. – Mieszkam pod numerem czterdziestym ósmym.

– Rozumiem, rozumiem... – Mężczyzna ruszył przed siebie, lecz uczyniwszy kilka kroków, odwrócił się i sceptycznie, acz z wyraźnym zaciekawieniem dodał: – Przecież tam mieszkają Feddenowie...

– Zgadza się – odparł Nick cichym głosem.

Mężczyzna był najwyraźniej zaintrygowany, a w sączącym się z okien łagodnym nieregularnym świetle przypominał Nickowi aktora w plenerowym spektaklu studenckiego teatru.

– Dobry Boże. To pan tu mieszka! Wspaniale! Cudownie! Cała przyjemność po mojej stronie. Nazywam się Geoffrey Titchfield, mieszkam pod pięćdziesiątym drugim, ale my mamy tylko parterowy domek... nie tak jak... nie tak jak co poniektórzy.

Nick kiwnął głową i uśmiechnął się kurtuazyjnie. – Nick Guest, miło mi. – Swoista solidarność z Leo powstrzymała go przed podniesieniem się z miejsca i uściśnięciem ręki wysokiemu mężczyźnie. Był to oczywiście ten sam Geoffrey, którego głos słyszał wieczorem z balkonu tuż po przełożeniu randki z Leo; to właśnie wtedy niekończący się śmiech jego gości czynił samotność jeszcze bardziej dotkliwą. Teraz stał tu we własnej osobie, a Nick miał poczucie, że go przechytrył, że pieprzył się z Leo w prywatnych ogrodach miejskich, że odniósł nad nim sekretne zwycięstwo.

– Tak, tak – ciągnął Geoffrey. – To doprawdy wyborna nowina. Spotykamy się czasem w komitecie mieszkańców, to dla nas ogromny zaszczyt. Dobry stary Gerald...

– W gruncie rzeczy jestem tylko przyjacielem Toby’ego – wyjaśni! Nick.

– Parę dni temu wszyscyśmy sobie mówili: tak, jeszcze przed końcem roku Gerald Fedden wejdzie do rządu. Proszę przekazać mu od nas najserdeczniejsze pozdrowienia, od nas, to znaczy: od Geoffreya i Trudi. – Nick bez przekonania kiwnął głową na znak zgody. – Takich torysów nam trzeba. Wspaniały sąsiad i, trudno tego nie zauważyć,

doskonały parlamentarzysta. – Wymawiając to słowo, modulował głos w taki sposób, by akcent padł na każdą z sześciu sylab.

– To bez wątpienia przemiły człowiek – przyznał Nick, a żeby zakończyć już tę rozmowę, dodał: – Tak naprawdę ja przyjaźnię się bliżej z Tobym i Catherine.

Po odejściu Geoffreya Leo wstał z ławki i zajął się rowerem. Nick nie miał pojęcia, co powiedzieć, by jeszcze bardziej nie pogorszyć sytuacji, tak więc przez chwilę szli obok siebie w milczeniu. Starał się nie patrzeć na dom Feddenów, na swoje okno pod samym dachem, lecz wydawało mu się, że ten dom w pewnym sensie go obserwuje, że werdykt „wulgarne i niebezpieczne” prześladowuje go, dławi i psuje smak odniesionego triumfu.

– No tak – mruknął Leo. – Dwa rodzaje włazidupstwa w ciągu dziesięciu minut. – Nick roześmiał się, trącił go w ramię i od razu wrócił mu dobry humor. – No to bywaj zdrów, przyjacielu – powiedział Leo, gdy Nick otwierał bramę. Na ulicę wymknęli się niemal ukradkiem. Nick bał się, że ostatnie zdanie Leo posiada znaczenie odwrotne od dosłownego. Wolał więc się upewnić.

– Chcę się z tobą widywać – powiedział, a każde z tych pięciu prostych słów kłuło go w oczy jak migotliwe światełka aut pędzących przed nimi do innych dzielnic miasta, rozpoznawalnych tylko po sięgającej nieba poświacie.

Leo pochylił się nad rowerem, by poprawić ustawienia reflektorów, co uczyniwszy, oparł swój pojazd o ogrodzenie. – Podejdz no tu – powiedział, znowu wpadając w cockneyowski akcent, którym umiał maskować ustępstwa i małe kapitulacje. – Czas się uścisnąć.

Nick podszedł do niego, ale tym razem obejmował go niepewnie, inaczej niż ledwie kilka minut wcześniej przy pryzmie kompostu. Ich czoła zetknęły się ze sobą, idealnie do siebie przylegając, i Nick pocałował go zaciśniętymi ustami; wtedy z mijającego ich auta rozległ się klakson i sarkastyczny okrzyk. – Walcie się – prychnął Leo, choć w uszach Nicka ten okrzyk miał w sobie coś z serdecznych gratulacji.

Leo wsiadł na rower; jedną stopę wygiął na chodniku jak baletnica, drugą zaś wsunął w uniesiony nosek. Przez cały ten wieczór Nicka zżerała swoista zazdrość o Leo, ponieważ rower wydawał się zajmować w jego sercu miejsce bodaj najświętsze, a teraz do tej zazdrości doszła nienawiść, bo właśnie na tymże rowerze jego kochanek miał go za moment opuścić. – Wiesz... Zostało jeszcze kilku gości... – Nick bezmyślnie kiwnął głową. – Ale nie stawiam na tobie krzyżyka. – Usadowił się na siodełku, złapał

równowagę, ruszył do przodu, ale zatoczył jeszcze wokół Nicka kilka szerokich kręgów. – Poza tym – dodał – jesteś, kurwa, niezły w te klocki. – Mrugnął, uśmiechnął się i popędził w dół wzgórza, nie oglądając się za siebie.

3

Urodziny Nicka przypadały osiem dni po dwudziestych pierwszych urodzinach Toby'ego i rzucono pomysł, by zorganizować wspólne przyjęcie. – Rzecz jest wszak oczywista – oznajmił Gerald, a Rachel uznała to za „pomysł fascynujący”. Jako że owa impreza miała odbyć się w Hawkeswood, czyli w wiejskiej rezydencji brata Rachel, lorda Kesslera, Nick niemal się przeraził towarzyskim splendorem, który musiał się z tym wiązać i spłynąć również na niego i w którym trzeba też samemu się jakoś odnaleźć. Potem jednakże nie wracano już do tego tematu, a Nick uznał, że nie wypada mu o tej sprawie przypominać Feddenom. Zgodził się więc, by jego matka urządziła rodzinne party w Barwick, tydzień po imprezie Toby'ego w Hawkeswood. Zaakceptował ten fakt z rezygnacją.

Przyjęcie Toby'ego zaplanowano na ostatnią niedzielę sierpnia, czyli na dzień, w którym parada⁶ osiąga punkt kulminacyjny, a większość mieszkańców Notting Hill, zamknąwszy szczelnie drzwi i okna, wyjeżdża gdzieś za miasto. Modlą się przy tym o swój dobytek, ponieważ od czasu zamieszek sprzed dwóch lat parada budziła tyleż radości, ile obaw. Leżąc w łóżku poprzedniego wieczoru, Nick słyszał dobiegający z dołu rytm reggae, zmieszany – niby puls rozkoszy – z westchnieniami drzew w ogrodzie. Była to jego druga noc bez Leo. Leża! zatem z otwartymi oczami i myślał o przyjacielu z osobliwym uczuciem ekstatycznego smutku, w którym wracały wszystkie spędzone z nim chwile, a ból utraty był równie wyraźny, jak dreszcz odniesionego sukcesu.

Nazajutrz o jedenastej wszyscy zgromadzili się w holu. Nick zauważył, że Gerald jest pod krawatem, więc szybko wbiegł na poddasze, by uzupełnić swój strój o ten element garderoby. Rachel miała na sobie białą płócienną sukienkę, a jej ciemne włosy, poprzetykane pasemkami siwizny, świeżo przycięte i ufryzowane, wywołały już zasłużoną

⁶ Parada – Notting Hill Carnival, czyli parada uliczna organizowana przez społeczność karaibską w Londynie, odbywająca się od roku 1964 w dzielnicy Notting Hill w każdy ostatni weekend sierpnia.

falę komplementów. Jej uśmiech świadczył, że jest gotowa do wyjazdu, co wywołało podziw Nicka dla niebywale sprawnego mechanizmu rodzinnej komunikacji. Wraz z Eleną wrzucili do rangę rovera skromny bagaż na jedną noc, a potem Gerald wiózł ich już zatłoczonymi ulicami Londynu; mijając liczne patrole policyjne, pozdrawiał je skinieniem głowy i uniesioną znad kierownicy dłonią. Nick, tkwiący na tylnym siedzeniu z Eleną, czuł jednocześnie zażenowanie i dumę. Bał się bardzo, że zauważy gdzieś Leo i że zostanie przezeń dostrzeżony. Oczyma wyobraźni widział, jak jego kochanek krąży w pobliżu na swoim rowerze, i sam zapragnął wtopić się w płaszącą ciżbę. Widział, jak Leo tańczy wesoło z nieznanymi, jak czeka na swoją kolej w zatłoczonym gęsto szalecie. Z tęsknoty aż jęknął, lecz zdołał przekształcić ten jęk w chrząknięcie i okrzyk: – Patrzcie tylko! Zdumiewające, prawda?

Na bocznej uliczce do udziału w paradzie szykowało się kilkunastu czarnoskórych młodzieńców z żółtymi skrzydłami i ogonami jak u rajskich ptaków. – Rzeczywiście cudowne – przyznała Rachel.

– Tylko ta nieprzyjemna muzyka... – odezwała się Elena, wzdrygając się żartobliwie. Nick nie skomentował tych słów, bo zachodziła w nim właśnie wewnętrzna przemiana, ów niemożliwy do przewidzenia krótki proces, kiedy to dawne uprzedzenia przekształcają się w nowe fascynacje. Ta muzyka szokowała go wręcz swym wyrazistym, monotonnym rytmem, który tak doskonale oddawał istotę jego obecnych pragnień. Nagle jeden system nagłośnieniowy zderzył się z innym, przedstawiając Nickowi dwie różne, acz pięknie ze sobą kolidujące wersje czekającej go przyszłości. Wszystko to trwało nie więcej niż czterdzieści, pięćdziesiąt sekund, bo już po chwili rangę rover jechał zwykłą ulicą wylotową, uczęszczaną głównie przez innych weekendowiczów.

Doszedł do wniosku, że jeśli nie może być z Leo, to najlepiej znaleźć się daleko od miasta. Gerald wjechał na szosę A40, gdzie rozwinął imponującą prędkość, jak gdyby eskortowała go policyjna ochrona. Niebawem trafili jednak na roboty drogowe i musieli się wlec w żółwym tempie wraz z innymi samochodami; tak zresztą w tamtym okresie było wszędzie. Pokonali ostatnią z okrężnych dróg, przejechali ostatnie skrzyżowanie ze światłami i dostali się na podobnie zakorkowaną autostradę biegnącą przez brzydki, płaski, na poły wiejski krajobraz. Nick patrzył bez słowa na tę częściowo rozkopaną betonową pustynię i pola, po których rozwrzeszczane wyrostki jeździły na terenowych rowerach, dając tym wyraz pogardzie dla jakiegokolwiek celowości i sensu. Nie ciekawiła

ich parada w Notting Hill, nie słyszeli nigdy o Hawkeswood, a ten dzień pragnęli spędzić właśnie tu, nie gdzie indziej. Tymczasem opodał, na autostradzie przyszłości, dalej ciągnął się sznur unieruchomionych przez zator aut.

Nick jak zwykle chciał znać wszystkie fakty. – Gdzie jesteśmy? – zapytał. – To chyba Middlesex...?

– Tak sędę – odparł Gerald. Nie znosił takich opóźnień i ogarniało go już zniecierpliwienie.

– Nieprzyjemnie tu, prawda? – powiedziała Elena.

– No, niezbyt... – przyznał Nick, choć zawahał się i pomyślał wesoło, że mógłby zaprzeczyć i wdać się w dyskusję; wtedy czas mijałby szybciej. Wiedział, że Elena obawia się tego przyjęcia i niepokoi rolę, jaką musi na nim odegrać. Zadała już kilka pytań o Falesa, nowego szefa służby domowej w Hawkeswood, z którym będzie musiała wejść w jakąś bliżej nieokreśloną relację.

– Jeśli Lionel ma nas uraczyć lunchem – odezwał się Gerald – powinniśmy zatrzymać się gdzieś i zadzwonić do niego przed przyjazdem. Ani chybi spóźnimy się trochę.

– Lionel się na nas nie obrazi – odparła Rachel. – Przygotuje coś na chybcika.

– Hm... Słowa „Lionel” i „na chybcika” nie mogą się raczej znaleźć w tym samym zdaniu. – W tonie Geralda pobrzmiwała zarówno ironia, jak i troska o szwagra, któremu wypada dotrzymać danego słowa. Rachel usiadła wygodniej, zupełnie odprężona.

– Będzie dobrze – zapewniła małżonka. I rzeczywiście w tej samej chwili samochody ruszyły, i znowu wrócił pogodny nastrój, jedyny, jaki Gerald tolerował. Nick myślał o staromodnym imieniu Lionel. Było ono rzecz jasna blisko spokrewnione z Leo, tyle że Lionel był małym lwem z rodowego herbu, a Leo oznaczał duże groźne zwierzę.

Pięć minut później znów stanęli.

– Pieprzony korek! – warknął Gerald, czym najwyraźniej wprawił Elenę w niewielkie zakłopotanie.

– Korek i cała reszta – uzupełnił wesoło Nick. – Chciałbym już zobaczyć ten dom!

– No cóż... Będiesz do tego zmuszony – odrzekł Gerald.

– Tak, ten dom... – Rachel zaśmiała się tajemniczo.

– A może on ci się wcale nie podoba? – zapytał Nick. – W końcu w nim dorastałaś i pewnie patrzysz na wszystko inaczej. – Wydawało mu się, że w tym stwierdzeniu objawia się jego poczucie niższości.

– Sama nie wiem – odparła Rachel. – Nie wiem, czy lubię ten dom, czy nie.

– Warto dodać, jak mniemam – wtrącił się Gerald – że Hawkeswood to przede wszystkim wyposażenie. Sam budynek jest wiktoriańskim monstrum.

– Mmm... – W ustach Rachel takie mruknięcie albo przeciągłe „wieceem” zawierało w sobie zdumiewający ładunek sceptycyzmu. Nick uwielbiał takie arystokratyczne niedopowiedzenia, taką oszczędność środków wyrazu, takie subtelne cieniowanie ledwo uchwytnych potwierżeń i zaprzeczeń. Sam pragnął osiąść tę umiejętność, która tak bardzo różniła się od niby to lekkich, acz wymęczonych odzywek Geralda, że czasem można było się zastanawiać, czy on w ogóle rozumie swoją żonę.

– A mnie spodoba się i dom, i jego zawartość – oświadczył Nick.

Rachel spojrzała na niego z wdzięcznością, lecz wielu szczegółów już nie podała, a Nick poczuł się nieco zlekceważony. Może po prostu nie była w stanie opisać miejsca, które znała od dziecka? Nie traktowała Nicka z góry i dała mu tylko do zrozumienia, że jej ten temat nie interesuje. Los się do niej uśmiechnął i miał opisywać, mogła mieszkać i korzystać. – Wiesz oczywiście, że jest tam sporo sztuki nowoczesnej i kilka Rembrandtów – powiedziała z uśmiechem, jakby przypomniał się jej nagle pewien godny uwagi detal.

Hawkeswood wybudowano w latach osiemdziesiątych XIX wieku na zlecenie pierwszego barona Kesslera. Gmach wznosił się na sztucznie spłaszczonym wierzchołku wzgórza pośród lasów bukowych hrabstwa Buckinghamshire, które od tego czasu zdążyły zasłonić go w całości, wyjąwszy kilka najwyższych wieżyczek. Najpierw trzeba było przejechać slalomem przez długi ciąg połączonych ze sobą wiosek, potem minąć stróżówkę i przemieszczać się dalej po zboczu w otoczeniu skubiących trawę jeleni. Gdy ukazały się wreszcie połyskujące w słońcu okna Hawkeswood, usta Nicka wygięły się w szerokim uśmiechu, jego oczy zaś krytycznie, a może z podziwem – sam już nie wiedział jak – przesuwają się po stromych łupkowych dachach i kamiennych ścianach koloru musztardowego. Wcześniej zapoznał się z górnolotnym opisem tej posiadłości w przewodniku architektonicznym Pevsnera, gdzie mowa była o siedemnastowiecznym *château*, przerobionym pod kątem współczesnych wygod: ze szlifowanym szkłem w

oknach, z ogrzewaniem podłogowym, licznymi łazienkami i bieżącą wodą; ta pisemna charakterystyka nie przygotowała go jednak na to, co przyszło mu teraz zobaczyć. Gerald zatrzymał samochód przy *porte cochère*, wszyscy wysiedli i weszli do środka, Nick jako ostatni, witani w drzwiach przez Falesa, szefa służby domowej, ubranego w pasiaste spodnie. Znaleźli się w głównym holu wysokim na dwa piętra, z ogromnym kominkiem, zbudowanym z fragmentów barokowego grobowca, i galerią arkadową na górze. Nick odniósł wrażenie, że w tym, co widzi, osobliwie, acz zgrabnie krzyżuje się bogato wyposażone muzeum z luksusowym hotelem.

Posiłek „na chybicka” okazał się wybornym lekkim lunchem, który spożyli przy okrągłym stole w pokoju wyłożonym bładoniebieską rokokową boazerią, przeniesioną tu z jakiejś paryskiej rezydencji. Wyżej, na owalnym plafonie, dwie nagie kobiety trzymały wieniec z róż. W pejzażu nad kominkiem Nick od razu rozpoznał dzieło Cézanne’a i przypomniał sobie, uśmiechając się w duchu, o swojej niższej pozycji społecznej. Była to jedna z tych chwil, które mogą wyczarować tylko ludzie majątni i która spadła na Nicka wraz z opisującymi ją słowami, tak iż bez zwłoki począł referować swoje przeżycia wyobrażonemu słuchaczowi, równie jak on podatnemu na oddziaływanie pięknych przedmiotów. Nie wiedział, czy wypada zdradzić się z tym zachwytem, ale wyręczył go lord Kessler, który siadając przy stole, powiedział:

– Jak widać, przeniosłem tu tego Cézanne’a.

Rachel spojrzała na obraz i rzuciła: – O, rzeczywiście. – Była odprężona, niemalże senna. Przywitała brata gestem na poły oficjalnym, na poły swobodnym, i wskazała Nickowi miejsce za stołem. Gerald patrzył na obraz krytycznym wzrokiem, jak gdyby przeglądał właśnie dokument, który w przyszłości może okazać się dlań przydatny.

– Jest przepiękny – zaryzykował Nick.

– Tak, jest ładniutki, nieprawdaż? – powiedział lord.

Kessler miał koło sześćdziesiątki, był niższy od Rachel i nieco bardziej od niej zaokrąglony. Ubrany był w trzyczęściowy garnitur, niehołdujący żadnym modom, niezależny od presji pogody, którym komunikował wszakże jednoznacznie, że niczego innego mężczyzna w jego wieku nosić nie powinien. Konsumpcji popijanego winem reńskim łososia oddawał się z przyjemnością człowieka, który przez całe życie jadał lunchy w salach konferencyjnych, wiejskich zajazdach i drogich restauracjach. – Kiedy przyjadą Tobias i Catherine? – zapytał.

– Trudno dokładnie określić godzinę – odparł Gerald. – Toby jedzie tu ze swoją dziewczyną, Sophie Tipper, córką Maurice’a Tippera, bardzo obiecującą aktorką. – Spojrzał na Rachel, ta zaś poprawiła go:

– Nie, ona jest bardziej niż obiecująca... – Jej uwaga zapowiadała coś więcej, co już prawie było wypowiedziane, a co litościwie zachowała dla siebie. Nickowi wydawało się czasem, że jedynie status dziecka zapewnia niektórym z jego przyjaciół jakiegokolwiek zainteresowanie ze strony nieustannie zajętych rodziców. Zauważył, że lord Kessler prychnął i mruknął coś ironicznie na dźwięk nazwiska Maurice’a Tippera – jeden bogacz kpiący z drugiego. Historia z Sophie Tipper ciągnęła się bezproduktywnie od drugiego roku oksfordzkich studiów Toby’ego, jak gdyby ten ostatni, spotykając się z córką finansowego magnata, jedynie grzecznie spełniał oczekiwania rodziny.

– Natomiast Catherine – podjął Gerald – przybędzie tu ze swoim tak zwanym chłopakiem, którego imię wyleciało mi z pamięci i którego nigdy na oczy nie widziałem. – Uśmiechnął się do własnych słów. – Na pewno się spóźnią, a jak już przyjadą, to zapiszczą oponami. A o sprawkach Catherine więcej od nas wie chyba Nick.

Nick wiedział niewiele. – Mówisz o Russellu, prawda? – zapytał. – Tak, jest całkiem sympatyczny. To bardzo przedsiębiorczy fotoreporter. – Próbował imitować ich sposób mówienia, przejąc ich ogląd rzeczywistości. Russell został „chłopakiem” Catherine zaledwie dzień wcześniej, i to wyłącznie, jak podejrzewał Nick, w odpowiedzi na udaną randkę z Leo, dokładnie i rzetelnie przyjaciółce opisaną. Nick nie miał przyjemności poznać Russella, ale na wszelki wypadek wołał zaznaczyć raz jeszcze: – Jest naprawdę bardzo sympatyczny.

– No, sypialni mamy tu od groma – powiedział lord. – Poza tym Fales, jak się właśnie dowiedziałem, zarezerwował pokoje w całkiem przyzwoitych zajazdach Fox and Hounds i Horse and Groom. Co do szczegółowych rozwiązań, ja oczy odwracam. – Kessler nigdy się nie ożenił, lecz nie było w nim nic z homoseksualisty, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Do młodych ludzi, z którymi musiał się stykać, odnosił się z wyniosłą rezerwą. – A pani premier nie dojedzie.

– Pani premier nie dojedzie – powtórzył za nim Gerald, jak gdyby przez moment jej przyjazd był w ogóle możliwy.

– Odetchnąłem z ulgą, przyznaję.

– Tak, ja też czuję ulgę – rzekła Rachel.

Gerald mruknął coś w żartobliwym proteście i powiedział, że mimo to spodziewać się można kilku członków gabinetu, między innymi ministra spraw wewnętrznych.

– Z nimi sobie poradzimy – podsumował lord Kessler i potrząsnął dzwonkiem na służbę.

Po lunchu przeszli wolnym krokiem przez kilkanaście dużych pokoi, cichych i przesiąkniętych silnym czerstwym zapachem typowym dla wiejskiej posiadłości w gorący letni dzień. Nick znał już tę atmosferę z dzieciństwa, z wielkich domostw pod Barwick, w których jego ojciec nakręcał stare zegary. W owych znacznie starszych budynkach czuło się też jednak nierzadko zapach psów i wilgoci, tutaj zaś otaczała go bogata kolekcja sztuki późnowiktoriańskiej: obrazy, gobeliny, meble, ceramika... W obliczu takich wspaniałości dom Feddenów w Kensington Park Gardens wyglądał raczej ubogo. Tu większość mebli miała rodowód francuski i wprawiała widza w nieklamany zachwyt. Nick włókł się za resztą towarzystwa, z sercem bijącym jak młotem, z głową pełną domysłów człowieka dobrze wykształconego. – A ten... wspaniały sekretarzyk jest w stylu Ludwika Piętnastego, prawda, sir? – zapytał. Ojciec nauczył go zwracać się do wszystkich lordów per „sir”, ponieważ spotkania z miejscową arystokracją wpisane były w naturę jego fachu. Teraz Nick z przyjemnością wymówił to słówko tonem wrodzonej pokory.

Lord Kessler rozejrzał się dokoła i odrzekł z uśmiechem:

– A, owszem. Nie myli się pan ani trochę. Wykonano go dla markizy de Pompadour.

– Zdumiewające! – Przez chwilę podziwiali to niewielkie biurko o gruszkowatych nogach – z drzewa różanego, prawda? – ozdobione liśćmi z pozłacanego brązu. Kessler wysunął jedną z szufladek, w której zagrzechotały małe chińskie pudełka, a zamykając ją, powiedział: – Zna się pan na meblach.

– Co nieco – potwierdził Nick. – Mój ojciec jest antykwariuszem.

– Tak, tak, właśnie, właśnie – wtrącił się Gerald, jak gdyby Nick przyznał, że jest synem śmieciarza. – Jest nawet moim wyborcą.

– Powinien pan wobec tego uważnie wszystko obejrzeć – rzekł Kessler. – Rzucić okiem na każdy detal.

– Korzystaj z okazji, Nick – dodał Gerald. – Ten dom nie jest nigdy udostępniany zwiedzającym.

Lord Kessler zaprowadził Nicka do biblioteki, w której książki zapewne liczyły się mniej aniżeli ich oprawy, te zaś liczyły się w dwójnasób. Pokryte złoceniami grzbiety, widoczne za pozłacaną kratką rzeźbionych i również złożonych regałów, tworzyły nastrój złowrogiego przepychu. Były to wprawdzie książki, lecz w sensie innym niż ten, który znał dotąd Nick z codziennej lektury. Lord Kessler otworzył regał i wyjął ogromne tomiszcze: *Fables Choisies de La Fontaine*, oprawne w zielonkawobrazową skórę, z wytłoczoną na okładce płataniną złożonych liści i pnączy. Ta imitacja natury stanowiła szczytowe bodaj ucieleśnienie zbytkownej sztuki dla sztuki. Gdy stali tak obok siebie, podziwiając to dzieło, Nick poczuł miły zapach świeżo wyczyszczonego garnituru Kesslera oraz dyskretną woń wody kolońskiej. Nie dane mu było przejrzeć tej książki samodzielnie, więc tylko przez kilka krótkich sekund mógł podziwiać fantazyjne ilustracje z eleganckimi ptakami i innymi bajkowymi zwierzętami. Prezentacja Kesslera była bowiem pospieszna i sucha, może nie tyle lekceważąca, ile odrobinę protekcyjna. Właściciel Hawkeswood najpewniej zakładał, że okazany książce podziw wynika jedynie z dobrych manier; wszelako Nick zachwycił się szczerze, tyle że nie chciał zrazić lorda prośbą o przedłużenie tego pokazu. Nie był też pewien, czy widzi klejnot tutejszej kolekcji, czy może jeden z wybranych na chybił trafił eksponatów.

– To wszystko jest cokolwiek... – zaczął i urwał lord Kessler. Po chwili milczenia Nick odparł: – Tak, wiem...

Potem jeszcze przez parę minut przeglądali stojące w regałach zbiory. Nick dostrzegł serię książek Troilope'a, która wyróżniała się stosunkowo skromną powierzchownością, i wyjął powieść *The Way We Live Now*, opatrzoną herbowym ekslibrisem, z nierozciętymi kartkami. – Cóż pan tam znalazł? – W tonie lorda pobrzmiwał ton życzliwego gościowi właściciela budzących ciekawość przedmiotów. – O, widzę, że jest pan wielbicielem Trollope'a.

– No, niezupełnie... – odparł Nick. – Myślę, że pisał za szybko. Henry James mówił o jego „topornych, grubo ciosanych opisach starych angielskich problemów”.

Lord Kessler skwitował ten popis erudycji grymasem, w którym szacunek łączył się z ironią. – O, Trollope jest niezły. Znał się na finansach.

– Tak... – bąknął Nick. Czuł się niezdolny do podjęcia tematu, bo ani nie znał się na finansach, ani też, powodowany estetycznymi uprzedzeniami, nigdy nie czytał Trollope'a. – Prawdę mówiąc, niewiele go czytałem.

– Ale ten tytuł zna pan na pewno?

– Tak, ta powieść nie jest zła – przyznał rozsądnie Nick, spoglądając na grzbiet rzeczony powieści. Czasami, gdy tylko udawał, że zna jakąś książkę, pamiętał z niej więcej niż z książek przeczytanych naprawdę i na poły już zapomnianych. Również pod tym względem autosugestia okazywała się nader skuteczna. Wsunął Trollope'a na półkę i zaniknął złożony regał. Przeczuiwał niejasno, że pod osłoną towarzyskiej pogawędki właściciel Hawkeswood pragnie załatwić jakąś sprawę.

– Pan chodził do szkoły z Tobiaszem?

– Ależ... Nie, sir. – Nick uznał, że lepiej nie wspominać o publicznym liceum w Barwick. – Byliśmy razem w Oksfordzie, w Worcester College... Tyle że ja studiowałem anglistykę, a Toby był oczywiście na kierunku polityczno-ekonomicznym.

– Ma się rozumieć – odparł lord Kessler, dla którego ten ostatni fakt do oczywistych chyba nie należał. – Byliście na tym samym roku, prawda?

– Tak, byliśmy na tym samym roku, to prawda. – To długie potwierdzenie ustawiało w historycznej perspektywie jego niedługą wszak znajomość z Tobym, którego poznał zaledwie trzy lata wcześniej i który wtedy, w bramie Worcester College, wprowadził go w stan bezbrzeżnego zachwyty.

– A na dyplomie ma pan piątkę?

Nickowi przypadła do gustu mrukliwa natarczywość tego pytania, bo mógł odpowiedzieć: – Tak. – Gdyby odpowiedź brzmiała „nie”, gdyby Nick skończył studia jak Toby z notą o stopień niższą, jego obecna sytuacja wyglądałaby teraz inaczej, kłamstwo zaś byłoby raczej nie na miejscu.

– A jak pan ocenia szansę mojego siostrzeńca? – zapytał z uśmiechem Kessler, choć nie uściślił, o jaką dziedzinę mu chodzi.

– Sądzę, że osiągnie sukces – odrzekł również uśmiechnięty Nick; wydawało mu się, że utrafił wreszcie w wysoce pożądany, acz wielce subtelny ton lojalnego potwierdzenia, okraszonego dopuszczalną dozą ironii.

Lord Kessler przez moment ważył w głowie słowa Nicka. – A pan? Jakie ma pan plany?

– W przyszłym miesiącu zaczynam studia doktoranckie na Uniwersytecie Londyńskim.

– Rozumiem... – Słaby uśmiech Kesslera i jego lekko zmarszczone kąćki ust świadczyły o maskowanym rozczarowaniu. – A z jakiej dziedziny?

– Hm... Chcę zająć się stylem. – Ten mocno zaakcentowany wyraz, odnoszący się skądinąd do zjawiska wszechobecnego, zrobił duże wrażenie na uczelnianej komisji, ale lord Kessler wydawał się nieporuszony. Człowiek, który jest w posiadaniu sekretarzyka markizy de Pompadour, nie może chyba, myślał Nick, odnosić się obojętnie do kwestii stylu. W jego replice zdawała się jednak kryć pradawna wiedza na temat treści i formy.

– Stylem *tout cort*?

– Stylem na przełomie wieków: Conrad, Meredith i oczywiście Henry James. – Zabrzmiało to niezbyt mądrze, jak gdyby Nick miał zamiar zmarnować dwa lata życia; zarumienił się teraz, bo ten temat naprawdę go interesował, choć nie przeprowadził jeszcze wstępnej kwerendy i nie wiedział, czego chce swoją pracą dowieść.

– A! – zauważył inteligentnie Kessler. – Styl jako przeszkoda.

– Otóż to – uśmiechnął się Nick. – A raczej styl, który zarazem ukrywa i odsłania. – Popęłnił chyba niezręczność, bo sugerował w ten sposób, że lord Kessler ma coś do ukrycia. – Przyznam, że bardzo ciekawi mnie Henry James.

– Zatem jest pan wielbicielem Jamesa, jak rozumiem...

– I to żarliwym! – Nick uśmiechnął się przekornie, acz z niekłamaną przyjemnością. Zdemaskował się poniekąd; wydało się wreszcie, dlaczego nigdy nie kochał i nie pokocha Trollope'a.

– Henry James pomieszkiwał tutaj, rzecz jasna. Obawiam się, że miał nas za plebejuszy. – Z tonu Kesslera można by wywnioskować iż relacjonuje zdarzenia z minionego tygodnia.

– Niewiarygodne!

– W takim razie zaciekawia pana niechybnie stare albumy z fotografiami. Proszę zaczekać. – Kessler podszedł do jednego z regałów, pochylił się, zgrzytnął kluczem i otworzył szafkę, na której ów regał się wspierał. Wyciągnął z niej kilka oprawnych w skórę albumów i zaniósł je na centralnie usytuowany stół. Również tym razem prezentacja przebiegała szybko i mogła sfrustrować widza. Przewracając ciężkie karty, lord zatrzymywał się tu i ówdzie: a to przy wiktoriańskiej fotografii ogrodu, na której widać też było niziutkie, dopiero co zasadzone drzewa, a to przy zdjęciu wnętrza aż do przesady wypełnionych krzesłami, stołami, wazami na postumentach, obrazami na

sztalugach i wszędobylskimi palmami, które wyrastając z dużych donic, wyginały ku podłodze swoje ciężkie liście. Teraz stuletnie już Hawkeswood wyglądało na posiadłość w wieku dojrzałym, o nabrzmiałym historią oświetleniu i zapachach, lecz wtedy było jak nowo narodzone dziecko. W drugim albumie znajdowały się fotografie zbiorowe zgromadzonych na tarasie ludzi, opatrzone filigranowymi, wielce ozdobnymi podpisami. Nick potrzebowałby kilku dni, by zidentyfikować te wszystkie księżne, amerykańskie hrabiny, tych wszystkich baronetów, Balfourów, Sassoonów, Goldsmidów, Stuartów, licznych Kesslerów. Na jednym ze zdjęć żwir przed domem pokryto futrzanymi dywanami, a znamienite osobistości otaczały króla Edwarda VII, który stał na środku w tweedowej pelerynie i filcowym kapeluszu. I kolejna fotografia, z maja 1903 roku: dwadzieścioro osób, a w drugim rzędzie lady Fairlie, lord Simeon Kessler, pan Henry James, pani Langtry, księżę Hexham – atmosfera swobodna, wesoła. Mistrz, z kciukiem zatkniętym za pasiąstą kamizelkę, w podróżnym kapeluszu z szerokim rondem, wyglądał jak człowiek, który coś knuje...

– I jak ci się podoba Hawkeswood? – zapytała Catherine, idąc po trawniku do Nicka.

– Jest... oczywiście... wspaniałe... – Był wręcz obolały od nadmiaru wrażeń, ale w rozmowie z Catherine wolał zachować ostrożność.

– Zajebiste, no nie? – zaśmiała się beztrosko i bezmyślnie. Ponieważ zazwyczaj nie wysławiała się w ten sposób, Nick podejrzewał, że dalej odgrywa postać, którą stworzyła na potrzeby Russella. Wprawdzie jej partner włóczył się gdzieś z aparatem fotograficznym, lecz w każdej chwili mógł znów się przy niej pojawić, toteż nie warto było porzucać odgrywanej roli. A do owej roli należało też powłóczenie nogami oraz głupawy, odrobinę przebiegły uśmieszek. Nick doszedł do przekonania, że wszystkie te elementy mają świadczyć o seksualnym zaspokojeniu.

– Jak podróż?

– Cudownie. On bardzo niebezpiecznie prowadzi.

– A my utknęliśmy w korku. Roboty drogowe. Twój papa troszkę się zdenerwował.

Catherine spojrzała na niego z politowaniem. – Na pewno pomylił drogę.

Spacerowali wolno po starannie rozplanowanym ogrodzie. Zapach róż mieszał się z wonią przystrzyżonych na kant żywopłotów i odorem kociego moczu, a w każdym

okrągłym stawie odbijało się letnie niebo, przysłonięte dużą białą chmurą. – Boże, usiądźmy wreszcie – powiedziała Catherine, jakby chodzili tak już od wielu godzin. Podeszli do kamiennej ławki, której strzegły dwie pomniejszych boginie. W jakim zachwyty wprawiały te zgromadzenia nagich posągów, sprawujących wciąż pieczę nad majątymi ludźmi! Przecież lord Kessler z każdego okna swego domostwa widzi jakąś rozleniwioną nimfę lub walecznego herosa. – Russell powinien już kończyć to swoje pstrykanie. Poznam was ze sobą. Ciekawe, czy przypadniecie sobie do gustu.

– Zdążyłem już porozpowiadać wszystkim, że strasznie miły z niego człowiek, więc nie mam wyboru: muszę go polubić.

– Co ty powiesz... – Zaciekawiona Catherine uśmiechnęła się z wdzięcznością. Sięgnęła po papierosy do wyszywanej cekinami torebki. – Robił ostatnio dużo zdjęć dla „The Face”. To znakomity fotografik.

– O tym też im mówiłem. Myślisz, że oni czytują „The Face”?

– Gerald na pewno go szkalował – zachnęła się Catherine.

– Powiedział tylko, że nie wyrobił sobie jeszcze zdania, bo nie zna go osobiście.

– Mmm... Dla niego to żaden powód. To wręcz do niego niepodobne. – Przytknęła zapalniczkę do papierosa, zapaliła i zaciągnęła się głęboko. Usiadła wygodniej. Wypuszczając dym, kiwała głową i powtarzała: – Niepodobne... Niepodobne... Niepodobne... – z nie wiedzieć czemu irlandzkim akcentem.

Nick wolał, żeby w rodzinie panowała zgoda, ale tym razem po prostu nie chciało mu się nad zaprowadzeniem jej popracować. Miał ochotę opowiadać o Leo równie swobodnie, jak Catherine mówiła o Russellu, ale obawiał się, że jeśli poruszy ten temat, usłyszy coś niemiłego, chociaż najpewniej zgodnego z prawdą.

– Czy moja matka oprowadziła cię po domu? – spytała Catherine.

– Nie. Wyręczył ją twój wujek. Czuję się zaszczycony.

Catherine wydmuchnęła dym; jej mina wyrażała uznanie. – I jak ci się wujek spodobał?

– Jest raczej sympatyczny.

– Mmm... A gejem nie jest, prawda? Jak myślisz?

– Nie, nie odniosłem takiego wrażenia – odparł poważnym głosem Nick. Wiedział, że oczekuje się po nim jednoznacznych werdyktów w tej materii, lecz często się mylił i żył w stanie permanentnego rozczarowania: z jednej strony zawodzili go błędnie ocenieni

mężczyźni, z drugiej zaś własne wadliwe czujniki. Nie wyznał przyjaciółce, że jego wahanie co do efektu lordowskiej prezentacji miało wektor skierowany przeciwnie. Podejrzywał otóż, że zraził sobie Kesslera gejowskim sposobem bycia i wyszedł na mało poważnego chłoptysia. A może świetnie maskujący się lord wyczuł jednak, że Nick naprawdę jest gejem? – Pytał mnie o plany na przyszłość. Czuję się jak na rozmowie o pracę, chociaż się o nią nie ubiegałem.

– Może kiedyś będziesz jej potrzebował – zauważyła Catherine. – A wtedy on sobie ciebie przypomni. Ma fotograficzną pamięć.

– Może... A czym on się w ogóle para?

Spojrzała na niego, jakby żartował. – On ma bank, kochany...

– Tak, wiem...

– Wielgachne gmaszysko pełne pieniędzy. – Pomachała wesoło ręką, w której tkwił zapalony papieros. – A on te pieniądze mnoży i mnoży.

Nick nie podchwycił sarkastycznego tonu Catherine, – Widzę, że też nie masz pojęcia, czym on się zajmuje.

Patrzyła na niego przez chwilę, po czym zarechotała obcesowo. – Zielonego pojęcia, kochany.

Nagle coś zatrzęsło się w bukowym żywopłocie na prawo od ławki i wyskoczył stamtąd wysoki mężczyzna z aparatem fotograficznym na szyi. Gdy zaczął zbliżać się do nich wolnym krokiem, Catherine podparła głowę ręką, a na jej twarzy pojawił się wyraz nerwowego triumfu. – Tak, tak... Nie ruszaj się – rzucił mężczyzna i zrobił szybko kilka zdjęć, dalej idąc w ich stronę. – Cudowna.

Russell był zatem jednym z jej starszych chłopaków: koło trzydziestki, ciemne, rzednące już włosy, czarna koszulka, baseballowe buty, kamizelka z dwudziestoma kieszeniami i pas na naboje, w którym tkwiły kasetki z filmami. Wyglądał swobodnie i agresywnie zarazem, jak typowy fotoreporter z wielkiej metropolii. Stanął przed nimi i dalej pstrykał, wykorzystując moment zaskoczenia, zmieszanie Nicka i słabość Catherine do zachowań spontanicznych i szokujących. Wygięła się do tyłu, przyjęła nonszalancką pozę i wysunęła język, dotykając nim górnej wargi. Czy to dobrze, że jej mężczyźni są od niej znacznie starsi? Nic nie wiadomo – gość mógł być i „czułym”, i „brutalem”, jak to określał autor *Grafologii*. Russell podszedł do Catherine i objął ją na przywitanie, a ona niechętnie i mimochodem rzuciła:

– A właśnie... To jest Nick.

– Cześć, Nick.

– Cześć.

– Rozmawiałeś już z kimś? – spytała Catherine niespokojnym głosem.

– Tak, pogadałem trochę z zaopatrzeniowcami, tam, za domem. Podobno Thatcherowa jednak nie przyjedzie.

– Przykro mi, Russell...

– Ale pojawi się minister spraw wewnętrznych – powiedział Nick tonem heroikomicznym, którego Russell, podobnie jak Leo, nie umiał wyczuć ani podchwycić.

– Thatcher by nam tu popłasała albo się schlała.

– Tak! Zatańczyłaby pogo! – roześmiała się szaleńczo Catherine. Russell nie wyglądał na szczególnie rozbawionego.

– No, ja nie chciałbym jej widzieć na moich dwudziestych pierwszych urodzinach.

– A mnie się wydaje, że Toby wcale jej tu widzieć nie chciał – wstawił się za przyjacielem Nick. Rozczuliła go naiwność Catherine, która widocznie uznała płonne marzenia ojca za najprawdziwszą prawdę i za pomocą tej fikcji zwabiła tutaj Russella. Obecność przywódczyni narodu mogła działać jak magnes.

– Toby’ego zadowoliliby imprezka w domu – powiedziała. W sporze między ojcem a bratem nie umiała zazwyczaj określić się po żadnej stronie, lecz teraz zapragnęła popisać się przed Russellem najwłaściwszą odmianą rodzinnej nielojalności. – Ale Gerald zawsze musi robić wszystko po swojemu, zawsze chce mieć tych wszystkich ministrów. To nie jest party, kochany; to konferencja partyjna!

– No tak... – Russell zachichotał, przeciągnął się i klasnął w dłonie.

– My też mamy ogromny dom – ciągnęła Catherine – ale domek wuja Lionela też jest niczego sobie, nie przeczę. – Odwrócili się i przez moment patrzyli krytycznie na równo przystrzyżony trawnik i regularne kształty pobliskich klombów. Strome dachy łupkowe zwieńczone były wysokimi fantazyjnymi kwiatonami, które przypominały duże krople spływające w dół po ogromnej nitce. – Tylko że wujek nie będzie zachwycony, gdy kumple Toby’ego zaczną rzygać na te... jak im tam...

– Etażerki? – zasugerował przyjaźnie Nick.

Russell obrzucił go niechętnym spojrzeniem. – A wujek Lionel jest pedziem, prawda?

– Nie, nie. – Catherine przez chwilę trawiła to słowo. – Nic z tych rzeczy.

Dwurzędowy smoking Nicka należał uprzednio do jego stryjecznego dziadka, Archiego; miał pokryte jedwabiem guziki, był szeroki w ramionach, co zresztą znowu stało się modne, a jego połyskujące spiczaste klapy kończyły się niemal pod pachami. Przechodząc przez salon, Nick uśmiechnął się z uznaniem do swego odbicia w lustrze. Niewykluczone, że to za sprawą włoskiego kołnierzyka miał w sobie tego wieczoru coś z dandysa, swoboda zaś i dyscyplina, typowe dla udziału w spektaklu, wprawiły go w znakomity humor. Smoking odznaczał się wszakże jedną przykrą cechą: w letnie wieczory, wypełnione biesiadowaniem i tańcami, wydzierał z siebie mocno nieświeży zapach, którego nie dało się zignorować, a który stanowił pozostałość po licznych przyjęciach w hotelach hrabstwa Lincolnshire. Mając to na uwadze, Nick wcześniej pokropił się obficie wodą kolońską *Je promets*.

Drinki podawano na długim tarasie, na który wychodziło się przez duże oszklone drzwi. Gdy Nick się tam znalazł, uformowało się już kilka niewielkich, wesoło rozszczebiotanych gruppek. Wydawało się, że wszyscy są na wakacjach i że jak róże i begonie wchłaniają w siebie wieczorne światło, emanując nim dokoła. Gerald rozmawiał z jakimś znajomo wyglądającym mężczyzną i jego blond połowicą; Nick znał go i wiedział, że te uśmiechy i rubaszne parsknięcia, to ciągle silenie się na *esprit* może mu jeszcze napętać biedy. Nie zszedł tu jeszcze żaden z bliższych znajomych Nicka, a Toby dalej siedział w pokoju na górze, gdzie Sophie dopieszczała swoją kreację. Od młodego ciemnookiego kelnera przyjął kieliszek szampana i udał się na dół, do labiryntu z półmetrowych żywopłotów. Zastanawiał się, co też myśli o nim ten kelner, który obserwował Nicka kątem oka, krążąc dokoła po równo przyciętej trawie i gruboziarnistym żwirze. Dwa lata wcześniej Nick sam pracował w tym charakterze na dwóch balach myśliwskich, tak samo roznosił drinki i mógł to również czynić w przyszłości. Podejrzewał, że w oczach ciemnookiego młodzieńca wygląda jak samotnik nieżyjący bynajmniej, w przeciwieństwie do reszty zgromadzonego tu towarzystwa, po drugiej stronie lustra. Czy wreszcie ów kelner domyślał się, że Nick jest gejem? W tej krótkiej chwili kontaktu między nimi pojawił się chyba zmysłowy błysk wzajemnego zrozumienia, wzajemnego zaciekawienia, obiecujący inne możliwości... Sądził, że za drugim razem, przy ponownym napełnianiu kieliszka, wszystko stanie się jasne. Kręta

ścieżka zawiodła go znowu przed dom, ale kelnera już tam nie było; był za to Paul Tompkins, który zbliżał się wolnym krokiem.

– Mój drogi...

W Oksfordzie Tompkins funkcjonował jako Polly, lecz Nick przywitał go słowami: – Cześć Paul – ponieważ przydomek ten wydał mu się nagle zanadto intymny, wręcz obraźliwy dla przyjaciela. – Jak ci się wiedzie? – Uzmysłowił sobie, że powracając w romantycznych wspomnieniach do swej studenckiej przeszłości, zawsze pomija w niej Paula.

– Wiedzie mi się prześwietnie – odparł z naciskiem Paul. Był mężczyzną mocno zbudowanym, zaokrąglonym w środku i zwężającym się stopniowo zarówno w dół, ku drobnym stopom, jak i w górę, ku długiej głowie z podwójnym podbródkiem. Uwielbiał znajdować się w centrum uwagi; nieustannie kogoś obmawiał, wciąż intrygował i pęczył od nadmiaru ambicji. W studenckich organizacjach i klubach uchodził za potwora. Miał jeden z najlepszych wyników na egzaminach do służby cywilnej, a całkiem niedawno objął jakąś atrakcyjną posadę w rządowej administracji. Teraz niemal go rozsadzał wewnętrzny konflikt pomiędzy koniecznością zachowania dyskrecji a wrodzonym upodobaniem do skandali. – Wyrazy uznania dla tego starego łobuza Kesslera. Kelnerów dobrał sobie wybornych.

– Zauważyłem...

– Ten z szampanem pochodzi z Madery; bardzo mnie to rozbawiło.

– Naprawdę?

– Wolalbyś, żebym z tego powodu wpadł w przygnębienie? Swoją drogą, on mieszka w Fulham, niedaleko ode mnie.

– Mówisz o tym, co tam idzie?

– Tristáo. – Paul spojrział na Nicka figlarnie.– Więcej szczegółów podam ci, mój drogi, po naszej pierwszej randce. To już w przyszłym tygodniu.

– Ooo... – Twarz Nicka stężała z żalu. Bolała go własna nieudolność. Nigdy nie mógł zrozumieć, jak ten stary grubas Polly, zeszpecony śladami po trądziku i ordynarny w stosunkach z ludźmi, mógł z takim powodzeniem uwodzić mężczyzn. Na studiach dokonał wielu niemożliwych, zdawałoby się, podbojów: od zwykłych kuchcików aż po ostentacyjnie heteroeksterny sternika uczelnianej osady wioślarskiej. Żaden z tych romansów nie przetrwał długo, ale samo ich nawiązanie świadczyło o niezłomnej woli,

ogromnym oportunizmie i świetnej technice uwodzenia. Nick czuł przed nim pewien respekt. Podszedł do postumentu z urną, okrążył go i spojrzął ponad rózami na gromadzących się gości. Słynny spec od wywiadów telewizyjnych roztaczał właśnie swoje uroki przed kilkoma zachwyconymi dziewczynami. – Całkiem elitarnie towarzystwo, prawda? – powiedział Nick.

– Hm... – W mruknięciu Paula wyrażał się zarówno sceptycyzm, jak i sugestia, że także tutaj można znaleźć niejedną sposobność. Zapalił papierosa. – To już zależy od twojego pojmowania elitarności. Ale, ale... Czyż nasze panie nie są cudowne? Od ostatnich wyborów tak bardzo się zmieniły. Wygląda na to, że rozstrzygnęły już wątpliwości, jakie żywiły za pierwszym razem. Co prawda wtedy ich małżonkowie zachowali się brzydko, ale nie dość, że panie wybaczyły im wiarołomstwo, to jeszcze skłoniły ich do powtórki z rozrywki, W rządzie panuje szampański nastrój: gospodarka leży, nikt nie ma pracy, a oni mają to gdzieś, po nas choćby potop. A żonushie, spójrz tylko, wyglądają jak... ona. Wszystkie noszą niebieskie kokardy. I te fryzury!

– O Rachel tego powiedzieć nie możesz – zaznaczył Nick. Powątpiewał w prawdziwość relacji Paula, który w administracji pracował wszak od przedwczoraj.

– Zgoda, mój drogi. Rachel jest kobietą z klasą, z żydowską klasą, byto nie było, ale jednak z klasą. No i jej mąż nie ma na imię Norman.

Nickowi cisnęły się na usta kolejne zastrzeżenia, lecz nie chciał wyjść na ponuraka. – To prawda – przyznał. – Ani Norman, ani Ken.

Paul zaciągnął się i wydmuchnął dym z przeciągłym syknięciem. – Gerald wygląda dziś smakowicie.

– Gerald Fedden...?

– Któżby inny?

– Żarty sobie stroisz...

– Teraz to cię zaszokowałem – stwierdził Paul z satysfakcją.

– Ani trochę. – Życie stanowiło dla Nicka serię następujących po sobie szoków; z jednymi radził sobie lepiej, z innymi gorzej. – Przecież widzę, że on...

– Mieszkaś u niego, więc nie oślepią cię już pewnie blask jego majestatu.

Nick roześmiał się serdecznie. Obydwaj spojrzeli na obmawianego posła, który trajkocząc rehotliwie i akcentując co drugie słowo, kończył właśnie jakąś anegdotę,

otoczony przez rozfalowany krąg słuchaczek. – Umie czarować, nie przeczę – powiedział Nick.

– Otóż to. Kto jeszcze mieszka u Feddenów: ty, oni i nasz Śpiący Królewicz?

Nick uwielbiał, gdy w ten sposób mówiono o Tobym, ponieważ w tym ironicznym określeniu krył się autentyczny zachwyty. – Z przykrością stwierdzam, że Śpiący Królewicz nie bywa tam zbyt często. Sam zresztą wiesz, że dostał mieszkanie. No, ale jest jeszcze Catherine.

– O tak, kochana Catherine. Przyłapałem ją właśnie na paleniu metrowego bodaj dżointa z jakimś gościem o podejrzanym aparycji. Dorodna z niej pannica, nie powiem.

– Dorodna, ale niezbyt szczęśliwa – odrzekł Nick, chełpiąc się przed samym sobą znajomością sekretów Catherine.

Paul uniósł brwi; wyglądał na zaskoczonego. – Naprawdę? Za każdym razem widzę ją z innym facetem. Powinna być szczęśliwa. Ma w końcu wszystko, czego może pragnąć dziewczyna w jej wieku.

– Mówisz zupełnie jak jej ojciec. Używasz nawet tych samych słów.

– Proszę uprzejmie! – Paul uśmiechnął się szeroko i przydepnął butem niedopalonego papierosa. – Otóż i Toby! – Wskazał głową drzwi do salonu; Toby i Sophie wychodzili właśnie, trzymając się pod rękę jak para nowożeńców. – Chryste... Poszczęściło się dziwce! – szepnął w zdumiewająco szczerym zachwycie dla tej zaiste ujmującej pary.

– No, poszczęściło. Też jej nie znoszę.

– Ależ ona jest przecudna. Dobrze wygląda, nie grzeszy inteligencją i jest oczywiście bardzo obiecującą aktorką.

– Masz stuprocentową rację.

Paul uśmiechnął się do Nicka jak do biednego kuzyna z prowincji.

– Nie traktuj tego tak poważnie, mój drogi. Te wszystkie chłoptysie to zdziury, są na sprzedaż, można ich kupić. Jak dorwiesz Toby'ego o drugiej nad ranem, gdy już wychleptał butelkę brandy, zrobisz z nim, co tylko ci się zamarzy. Słowo honoru.

Była to wizja tak szalona, tak przynębiająco niemal ponętna, że Nick ledwo zdobył się na uśmiech. Polly zręcznie uderzył w jedną z jego najczulszych strun. – Mmm... Obawiam się, że to jest naprawdę wystrzałowa dziewczyna i...

Gęstniejący na tarasie tłum istotnie wyglądał jak zbiór osobników przeznaczonych do wielokrotnego rozplodu. Ubrani galowo młodzieńcy, których większość Nick pamiętał ze studiów w Oksfordzie, popatrywali na polityków i telewizyjnych gwiazdorów i rozpoznawali siebie samych w przyszłości, gdy już założą właściwe maski, gdy odkryją przeznaczone im miejsce w społeczeństwie. W miarę możliwości stronili raczej od dziewcząt, tak jakby w tym domu – z osobną palarnią i wydzieloną częścią sypialną dla kawalerów – w dalszym ciągu obowiązywał wiktoriański kodeks postępowania. Dziewczyny zaś, szeleszczące jedwabiem i aksamitem, umalowane jak małe dziewczynki, co to pierwszy raz w życiu dobrały się do matczynych toaletek, napawały się teraz nowym poczuciem władzy, młodzieńczą pewnością siebie. Kiedy słońce kryło się już za horyzont, gdy wydłużyły się cienie, zgromadzone w Hawkeswood postaci nabrały ostrzejszych konturów, a wszystkie ich gesty stały się jeszcze bardziej teatralne.

– Muszę cię ostrzec – powiedział Paul. – Wani Ouradi się zaręczył.

– No, nie... – odparł Nick, jakby spotkał go ogromny afront. – Mógł się jeszcze zastanowić. – Potrafił wyobrazić sobie alternatywną, znacznie szczęśliwszą wspólną przyszłość dla siebie i Waniego, który był prze sympatyczny, bardzo bogaty i piękny jak Jan Chrzciciel na obrazie stworzonym dla lubiącego chłopców papieża. Jego ojciec był właścicielem sieci supermarketów Mira; Nick zawsze odnosił wrażenie, iż kupując coś w jednym z tych sklepów, erotycznym gestem wsuwa pieniądze prosto do kieszeni Waniego. – Powinien się dziś tutaj pojawić – powiedział.

– I owszem, ta zdzira już tu jest. Widziałem na podjeździe jej szkaradny automobil. – Słowem „zdzira” określał Paul wszystkich, którzy zgodzili się pójść z nim do łóżka. Jednakże według najlepszej wiedzy Nicka z Wanim Paul nie działał jak dotąd nic. Wani, podobnie jak Toby, pozostawał w królestwie czystej fantazji, a marzenia o nim tym bardziej zyskiwały na śmiałości i pomysłowości, im bardziej wydawał się niedostępny. Leżąc samotnie w łóżku, Nick robił z nim w myślach niemal wszystko, a teraz czuł, że go traci, jak gdyby naprawdę Waniego kiedykolwiek posiadał. Widział, jak długi heteroseksualny ekspres zgodnie z rozkładem odjeżdża z peronu i znikają wraz z nim wszyscy jego przyjaciele, umoszczeni wygodnie w wagonach sypialnych pierwszej klasy. Ekspres nabierał prędkości, a Nick trzymał się tego, co miał: tego kwadransa z Leo przy przymie kompostu, tej pierwszej, jakże intensywnej chwili, w której doświadczył wspólnoty dwóch ciał. – Czy tylko ty i ja jesteśmy tu homo? – zapytał.

– Wątpię – odrzekł Paul, który wyraźnie nie miał ochoty na wspólny wieczór z Nickiem, tym bardziej że jedynym, przypadkowym i niewystarczającym powodem miałyby być podobne skłonności. – Mój Boże, przecież tam jest minister spraw wewnętrznych! Muszę lecieć. Jak wyglądam?

– Rewelacyjnie – zapewnił go Nick.

– Wiedziałem! – Powiódł dłonią po włosach, po grzywce jak u zapatrzonego w siebie uczniaka. – Muszę iść, moja panno! – rzucił jeszcze głupawo, skoncentrowany już na kolejnym niewiarygodnym podboju. I odszedł wielkimi krokami, przeskakując przez niskie żywopłoty. Zbliżył się potem do grupy, w której G era Id przedstawiał ministrowi swojego syna. Wyglądało to tak, jakby na przyjęciu było aż dwóch gości honorowych i teraz każdy z nich wpadł w sympatyczne zakłopotanie na widok drugiego. Polly przez chwilę trzymał się z boku, po czym beczelnie wkroczył do akcji. Gdy krąg zamykał się wokół niego, Nick pochwycił jeszcze jego pełne napięcia spojrzenie, w którym nie było już śladu ironii.

– To jaki on jest? – zapytał Russell. – Jaki jest ten jej stary? Co go kręci? – Spojrzał na Catherine, siedzącą po drugiej stronie jednego z kilkunastu stolików ustawionych w głównym holu Hawkeswood. Następnie jego wzrok przeniósł się w głąb pomieszczenia. Tam zaś przywołany tym pytaniem Gerald próbował zabawiać jakąś blondynkę, ale myślami był już przy zbliżającym się przemówieniu, o czym świadczyć mógł nieco rozmyty wzrok. Kolacja dobiegała końca i zapanował nastrój głośniego oczekiwania.

– Wino – odparł Nick, podchmielony już i rozgadany, lecz ciągle mający się na baczności przed nader swobodnie dywagującym Russellem. Trzymał dłonie na obrusie i obracał w nich swój kieliszek. – Wino. Żona... Hm...

– Władza – rzuciła krótko Catherine.

– Władza... – przytaknął Nick. – Przepada za serem Wensleydale... I uwielbia muzykę Ryszarda Straussa, Strauss nade wszystko.

– Tak, tak. Ryszard Strauss – powiedział Russell. – Sam go trochę lubię.

– A ja wolę ser Wensleydale – odparował Nick.

Russell spojrzał na niego w taki sposób, jakby go nie zrozumiał lub chciał go zdzielić pięścią w twarz. – Więc facet nie ma zbyt dziwnych upodobań...

– Władza – powtórzyła Catherine. – I wygłaszanie przemówień. – Ktoś zadzwonił w kieliszek, gwar szybko ucichł i sporo osób zdążyło usłyszeć: – On po prostu uwielbia przemawiać.

Nick odsunął nieco swoje krzesło, żeby lepiej widzieć zarówno Geralda, jak i Toby’ego, który zaczerwienił się i rozglądał dokoła z niespokojnym uśmiechem. Czekają go dziesięć minut przyjemnych, choć problematycznych przygan i pochwał ze strony ojca, któremu będą pewnie hałaśliwie wtórować pijani kumple z Oksfordu. Nick uśmiechnął się do Toby’ego; najchętniej pospieszyłby mu z pomocą, ale nie mógł rzecz jasna zrobić nic konkretnego. On też się zarumienił, pełen obaw przed mającą nastąpić po mowie Geralda repliką Toby’ego, a przy tym niecierpliwie na tę chwilę czekał.

Gerald włożył rzadko używane półokrągłe okulary i wyciągnął przed siebie dłoń z kartką. – Wasza miłość, lordowie, szanowne panie i panowie – wymówił tę formułkę z ironiczną niedbałością, przez co wszyscy od razu zaczęli spekulować: tak, jest tu księżna, jest jej syn, jest lord Kessier i ten grubasek lord Shepton, kompan Toby’ego z elitarnego Martyrs’ Clubu. – Wspaniali goście, kochana rodzino, drodzy przyjaciele. Z radością widzę was wszystkich w tym miejscu, w tym jakże cudownym gmachu, i wdzięczny jestem Lionelowi Kesslerowi za to, iż zgodził się, by nasi młodzi oksfordczycy przetestowali jego słynną kolekcję porcelany. Pamiętajmy jednak, że, jak mówią tabliczki w sklepach, „za uszkodzenie towaru odpowiedzialność finansową ponosi użytkujący”. – Słowa te wywołały lekki chichocik, ale Nick odniósł wrażenie, że jest to żart niezbyt trafiony. – Mamy zaszczyt gości tu dziś mężów stanu i gwiazdy filmowe. Podejrzewam, że Toby’emu bardzo pochlebia obecność aż tylu członków rządu Jej Królewskiej Mości. Moja córka skomentowała ten fakt błyskotliwie: „To nie jest party. To konferencja partyjna”. – Kilka osób zaśmiało się niepewnie, a zanim jeszcze ten śmiech wybrzmiał, Gerald dodał ze świetnym wyczuciem dramaturgii: – Mam tylko nadzieję, że równie istotną rolę odegram w październiku na naszej konferencji w Blackpool. – Jego koledzy z ław parlamentarnych roześmiali się serdecznie, za to minister spraw wewnętrznych, który wzmiankę o mężach stanu potraktował poważniej niż inni, wpatrywał się z nieprzeniknionym uśmiechem w stojącą przed nim filiżankę kawy. – Dzielna dziewczyna! – powiedział dość głośno Russell i kilka razy klasnął w dłonie.

– Jak pewnie wam wiadomo – podjął Gerald, spojrzawszy krótko na syna – Toby kończy dzisiaj dwadzieścia jeden lat. Zamierzałem w związku z tym zacytować słynny

wiersz Samuela Johnsona o dwudziestych pierwszych urodzinach, lecz kiedy wczoraj ponownie przeczytałem to dzieło, okazało się, że pamiętam mniej niżem sądził, mniej niż pamięta, jak mniemam, większość tu obecnych. – Gerald przeniósł wzrok na kartkę. – „Trwój majątek rodziciela – rzecz poeta. – Oszczędności powiedz: nie!”... I dalej: „Kiedy dziarski chwyt baluje... I pogodnie groszem szasta... Czym jest spadek? Czym dobytek?... Gruz i błoto, szlam i miazga”. Nie są to zatem odpowiednie rady dla wnuka i siostrzeńca wielkich bankierów, dla jakiegokolwiek młodzieńca, który wchodzi w dorosłe życie w naszej wspaniałej demokracji opartej na świętym prawie własności. A spadek po przodkach to jednak, przynajmniej w naszych czasach, coś więcej niż szlam czy miazga.

Gdy goście śmiali się gromko, Nick pochwycił spojrzenie Toby’ego i przez kilka sekund patrzył mu w oczy, chcąc dodać otuchy. Sam Toby był nazbyt zestresowany, żeby wsłuchiwać się ze skupieniem w mowę ojca, i śmiał się teraz, bo śmiali się inni, nierozbawiony bynajmniej rodzicielskimi żartami. Gerald zresztą w typowy dla siebie sposób nie zrozumiał, że cytowany wiersz miał w zamierzeniu autora wydźwięk głęboko satyryczny. Nick rozejrzał się po holu i stwierdził, że przypomina on aulę uniwersytecką lub salę konferencyjną, w której Gerald i co znamienitsi goście siedzą na podwyższeniu za stołem prezydyjnym. Wyżej, na arkadowej galerii, stało kilku kelnerów, oczekujących cierpliwie i beznamiętnie na następny punkt programu. Pod sufitem wisiał ogromny, ponaddwumetrowy żyrandol, którego połączane ramiona pięły się wężowato ku wieńczącym je szklanym liliom. Catherine nie chciała pod nim siedzieć i całą ich gromadkę przesadzono w narożnik sali. Nick zauważył, że gdyby jednak żyrandol spadł, zmiażdżyłby Waniego Ouardiego. I sam zaczął się niepokoić.

Gerald przedstawia! w krotchwilnym zarysie biografii swojego syna. Nick znowu miał skojarzenia z przyjęciem weselnym, z koszmarnymi mowami družby; istniało wszak duże heteroseksualne prawdopodobieństwo, że po dwudziestych pierwszych urodzinach przychodzi czas na ślub. Widział jedynie tył głowy Sophie, lecz wiedział, że również ona myślami wybiega w przyszłość, choć czyni to w zupełnie innej tonacji. – Jako nastolatek – mówił Gerald – Tobias a) uważał, że Enoch Powell był socjalistą; b) podpalił tom dzieł Hobbesa; c) tajemniczo przekroczył stan swojego konta w banku. Kiedy więc przyszło do studiów w Oksfordzie, wybór kierunku polityczno-ekonomicznego okazał się dość oczywisty. – Ponownie rozległ się śmiech. Gerald świetnie radził sobie ze słuchaczami, którzy byli już podchmieleni i podatni na manipulację, a zręcznie wygłoszona mowa to w

końcu coś na kształt sztuczki magicznej. Młodzież z kolei, na tyle dorosła, by ścierpieć takie wystąpienia, zachowywała się wprawdzie głośno, lecz była to hałaśliwość wyniosła, na oksfordzką modłę. Nick zastanawiał się, czy kobiety reagują na słowa Geralda cieplej od mężczyzn, czy, jak to ujął Polly, działa na nie „blask jego majestatu”; świadczyłyby o tym ich gorliwy śmiech. Dla Nicka osoba Geralda mieściła się na bliżej nierozpoznanym terytorium między szczerą doń sympatią a niechętnie dopuszczanym do świadomości podejrzeniem, iż jest w tym człowieku coś odrażającego. Był ciekaw, jak tę mowę odbiera lord Kessler.

– Jak już wiadomo – ciągnął Gerald – Tobias zdecydował się na karierę dziennikarza. Przyznaję, z początku mnie to zafrasowało, lecz syn zapewnia mnie ostatnio, że nie chce zostać sprawozdawcą parlamentarnym. Przez pewien czas była mowa o pracy w „Guardianie”, z czego, mam taką nadzieję, nic nigdy nie wyjdzie. Tak czy inaczej, wolę na razie bardzo ostrożnie odpowiadać na jego pytania i postanowiłem wszystkiego się niezłomnie wypierać.

Nick, odrobinę rozbawiony, powiódł wzrokiem po zebranych i zauważył, że kelner z Mad ery, Tristáo, stoi przy drzwiach tuż za nim i obserwuje bez większego zaangażowania toczący się w holu spektakl. Wykonując swój zawód, musiał już wysłuchać niezliczonych przemówień tego typu, pełnych niezrozumiałych aluzji i żartów. Co też myślał w tej chwili? Co myślał o tym całym towarzystwie? Miał duże piękne dłonie, dłonie wirtuoza. Jego eleganckie spodnie wybrzuszyły się znacząco na wysokości rozporka. Gdy dostrzegł spojrzenie Nicka, uśmiechnął się słabo i skinął głową, jak gdyby czekał na bezgłośnie zamówienie. On nawet nie wie, że mi się podoba, myślał Nick. Bierze mnie za wyniosłe panisko, dla którego kelner jest zawsze tylko kelnerem. Pokręcił głową i odwrócił się, zręcznie maskując te gorzkie myśli. Zauważył, że Catherine wrzuca swoje rzeczy do torebki i patrzy z irytacją na Russella, którego usta układają się w słowa „co znowu” i który również wpada w irytację. – A zatem... – Gerald mówił teraz nieco głośniejszym i wolniejszym – ...wszystkiego dobrego, Toby. Cieszymy się z tobą, kochamy cię, życzymy ci samych sukcesów. Mówiąc krótko, sto lat, Toby! Wnieśmy kielichy i wychylmy toast za naszego jubilata!

– Toby! – Okrzyki i wiwaty nakładały się na siebie, napięcie mogło się rozładować. Adresatem tego hucznego aplauzu nie był oczywiście mówca, tylko świętujący te wyjątkowe urodziny Toby. Nick ze łzami w oczach zakrył twarz kieliszkiem szampana,

aby nie zdradzić się z falą emocji. Tymczasem Catherine gwałtownym ruchem odsunęła od stołu swe połączane krzesło i wybiegła z sali, mijając Tristáo, który pospieszył za nią, gotów w razie potrzeby służyć jej pomocą. Nick i Russell spojrzeli na siebie, ale Toby już podnosił się z miejsca. Tym razem Nick postanowił nie uganiać się za przyjaciółką, bo Toby'ego kochał bardziej niż innych tu obecnych i musiał być z nim w trakcie jego mowy.

– Nie – zaczął Toby. – Obawiam się, że tata mnie nie zrozumiał. Ja tylko próbowałem załatwić mu wywiad w „Guardianie”, ale redakcja nie była nim zainteresowana. – Nie był to może szczyt błyskotliwości, lecz przyjaciele Toby'ego roześmiali się donośnie, a Gerald, który popadł już w błogie samozadowolenie, musiał pokornie skrzywić się na te słowa. – „Poczekamy, aż pokaże, na co go stać”, usłyszałem w redakcji. Odpowiedziałem, że szybko się tego doczekają.

Toby wysławiał się bezpretensjonalnie; odziedziczył co prawda po przodkach słabość do zgryźliwych komentarzy, lecz był zbyt układny, by dorównać wymęczonym przytykom Geralda. Wstając z krzesła, wyglądał przeraźliwie blado, jak gdyby miał za chwilę stracić przytomność; gdy jednak rozluźnił się nieco, na twarz wystąpiły rumieńce, z czego sam najpewniej zdał sobie sprawę, uśmiechając się nerwowo. – Nie będę mówił długo. – Jęk rozczarowania. – Przede wszystkim chciałbym podziękować mojemu drogiemu, cudownemu, jakże hojnemu wujkowi Lionelowi za to, że w ogóle zgodził się nas tu dzisiaj ugościć. Trudno mi wyobrazić sobie wspanialsze przyjęcie i boję się, że pozostała część mojego życia okaże się znacznie mniej spektakularna. – Wiwaty i oklaski kierowano tym razem do lorda Kesslera, któremu naturalnie nieobce były wszelkie podziękowania, lecz nie przywykł do takich publicznych deklaracji miłości. Atmosfera znowu zrobiła się rodzinna, wręcz nieco sentymentalna. Nick wpatrywał się w Toby'ego z uśmiechem, pokrzepiająco i pożądliwie zarazem. Czuł się jak widz w teatrze, który podziwia pięknego aktora, śledzi perypetie odgrywanej przez niego postaci, a przy tym pragnie posiąść go bez reszty.

– Jestem także niebywale poruszony – ciągnął Toby – przyjazdem moich starych przyjaciół Josha i Caroline, którzy pofatygowali się na tę imprezę aż z RPA. Och, byłbym zapomniał: korzystając z okazji, chcę wziąć tutaj ślub. – Słowa te przyjęto z życzliwym aplauzem, choć nikt nie miał pojęcia, kim są Josh i Caroline. Nick słuchał Toby'ego z pewnym roztargnieniem, delektując się jego bezpretensjonalną teatralnością, tak bardzo odmienną od stylu Geralda. Ten ostatni był wszak starym wyjadaczem, który nauczył się

przemawiać w elitarnym klubie dyskusyjnym w Oksfordzie, a potem szlifował swoje umiejętności na niezliczonych konferencjach. Wypracował w ten sposób imponującą manierę łączenia szczerości z zakłamaniami. Toby z kolei, podobnie jak wielu jego przyjaciół, mówił z akcentem modnym ostatnio w szkołach prywatnych, rzekomo zacierającym różnice klasowe. Teraz wszakże alkohol i stres dobywały z niego zdradliwie samogłoski wyniesione jeszcze z domu. Widać było, że nie ma pojęcia, czego się po nim oczekuje; wyglądał jak skrzyżowanie pana młodego ze zwycięzcą jakiegoś plebiscytu, który przygotował długą listę osób zasługujących na podziękowania. Jego młodzieńcza strategia opierała się na odwracaniu uwagi od siebie i kierowaniu jej ku przyjaciołom; również pod tym względem stanowił przeciwieństwo ojca. Niektóre z jego żartów, takie jak „Samowi przydadzą się dwie pary spodni” albo „Mary nie dostanie już likieru miętowego”, nawiązywały do spraw wielu gościom nieznanym i najwyraźniej nudziły parlamentarnych kolegów Geralda. Nick wyczuwał w tych nostalgicznych aluzjach tęsknotę za latami spędzonymi w Oksfordzie, które stanowiły już rozdział definitywnie zamknięty. On sam nie pojawił się w żadnej wzmiance, lecz odebrał to jako dowód najszczerzego przywiązania. Wpatrując się w Toby’ego z szerokim uśmiechem na ustach, z uniesionymi do okłasków dłońmi, widział w duchu, jak jego idealne „ja” podbiega do mówiącego, aby go objąć i ucałować.

Gdy Nick wrócił do swego pokoju, zdjął smoking i powąchał go z rezygnacją – czas na kolejną porcję *Je promets*. Wszedł do łazienki, otworzył mansardowe okienko i zwilżył policzki zimną wodą. Załatwiły go toasty; zawsze był taki jeden kieliszek, który przechylał szalę, przepelniał czarę i czynił zeń człowieka pijanego. A przyjęcie dopiero się rozkręcało, nabierał rozpędu ten wspaniały wystawny rytuał, uświęcony tradycją tudzież szacunkiem dla konwencji i form. Towarzystwo miało się teraz przenieść na parkiet, gdzie wszystkie przybyłe tu pary będą mogły okazywać sobie miłość biodrami, udami i dłońmi. Nick spojrział w lustro i ujrzał człowieka samotnego do granic wytrzymałości. Miłość, którą jeszcze dziesięć minut wcześniej odczuwał do Toby’ego, przeistoczyła się nagle w pożądliwe myśli o Leo, o jego pocałunkach, o wysypce na twarzy i o cudownym wygolonym zagłębieniu między policzkami jego pośladków. Wyrazistość zapamiętanego obrazu, paląca świadomość, że to zdarzyło się naprawdę, oszołomiła go i zatrzymała jeszcze na moment w łazience. Kiedy tuż potem stał przed lustrem, widział zarumienione

policzki i usta zadyszane od odegranego ponownie aktu. Poprawił krawat i powiódł dłonią po kręconych włosach. W tym ostatnim ruchu wyczuł swoistą czułość, jak gdyby nauczył się tego gestu od Leo. Lustro miało cnotliwy owalny kształt, a otaczała je klonowa rama. Umywalka stanowiła eksponat z epoki Ludwika XVI, zwieńczony dwoma charczącymi kurkami. Tak... Jeśli posiada się dziesiątki takich mebli, to można poczynąć sobie z nimi swobodnie, tym bardziej że służyć mają wygodzie. I jakże wspaniale jest znaleźć się w takim domu w charakterze przyjaciela rodziny, a nie w roli syna człowieka, który tylko nakręca stare zegary.

Zbiegając po schodach, natknął się na idącego na górę Waniego Ouardiego. Zdarzało się czasem, że na powitanie wsadzał mu rękę między uda, obdarzał gorącymi pieszczotami, a raz nawet związał go nagiego w oksfordzkim internacie i zostawił w tym stanie na całą noc; sodomię uprawiał z nim regularnie, aż do utraty tchu, częściej niż mógł pamiętać. Wani zaś, który oglądał się teraz za swoją dziewczyną, za swą narzeczoną, nie miał o tym zielonego pojęcia. Prawda jest taka, że ledwie się znali.

– Cześć, Wani!

– Cześć! – Nie pamiętał pewnie imienia Nicka.

– Chyba muszę ci powinszować...

– A... Rzeczywiście... – Wani uśmiechnął się i spuścił wzrok. – Dzięki stokrotne. – Nick pomyślał, że świat widziany przez takie długie rzęsy musi urzekać grą półcieni i na poły tylko dostrzeganych zjawisk. Obaj postanowili nagle ucisnąć sobie dłoń. Wani znowu obejrzał się za siebie i mruknął coś świadczącego o dobrodusznym zniecierpliwieniu, tak iż Nick poczuł się członkiem niegroźnego spisku. – Musisz poznać Martine – powiedział. Zawsze prowokował widocznym penisem – niewielkim, lewoskrętnym wybrzuszeniem pod spodniami, które na swój skromny, nieświadomy sposób skłaniało Nicka do namiętnych rojeń. Dotknął go teraz na ułamek sekundy, rozluźniony najpewniej działaniem alkoholu. Miał czarne kręcone włosy i wyglądał jak gwiazda muzyki pop z lat sześćdziesiątych, chociaż ten wygląd klócił się z powściągliwym sposobem bycia, typowym dla chłopca z dobrego domu.

– Mam nadzieję, że wasz okres narzeczeński trwać będzie bardzo długo – usłyszał Nick, choć słowa te wyszły z jego własnych ust.

– Otóż i ona... – Po niewysokich, pokrytych czerwonym dywanem stopniach szła ku nim młoda kobieta w srebrzystobiałej bluzce i sztywnej czarnej spódnicy, którą unosiła

niewielko oburacz, toteż każdy jej krok przypominał dziewczęce dygnięcie. Sprawiała wrażenie osoby poważnej, bardzo zadbanej, lecz nieulegającej żadnym modom. – Martine – przedstawił ją Wani. – Nick Guest. Byliśmy razem w Oksfordzie.

Ujmując chłodną dłoń Martine, Nick uśmiechnął się do swoich myśli: Wani pamięta nie tylko imię, ale również nazwisko! A jego narzeczona zastanawia się teraz, jakąż to rolę odegrał Nick w przeszłym życiu Waniego. – Cała przyjemność po mojej stronie. No i serdeczne gratulacje.., – Składanie życzeń z takiej okazji wprawiało go w stan masochistycznego odurzenia.

– Dziękuję... Tak. Widzę, że Antoine już ci powiedział. – Mówiła z francuskim akcentem, przez co Nick od razu pomyślał o nieznanym mu powiązaniach rodzinnych Waniego, o jego przeszłości w Paryżu, w Bejrucie, o świecie kosmopolitycznej finansjery, który Wani opuszczał niekiedy, aby przeczytać esej na temat Drydena lub przetłumaczyć fragment staroangielskiego tekstu. Naprawdę na imię miał Antoine; kiedy próbował przedstawiać się w dzieciństwie, z Antoine'a zawsze robił się Wani, i tak go już potem nazywano.

– Musisz być w siódmym niebie.

Martine uśmiechnęła się milcząco. Nick sondował jej szeroką bezkrwistą twarz w poszukiwaniu oznak triumfu, z którym sam bez wątpienia by się obnosił, gdyby to on zaręczył się z Wanim.

– Wstąpimy najpierw do naszego pokoju – powiedział Wani – a potem zejdziemy na dół potańczyć.

– No, może ty będziesz tańczyć – spokojnie odparowała Martine, pokazując, że umie wyrazić własne zdanie, w dodatku spokojnie, jak kobieta dorosła i dojrzała. Tak musi wyglądać twarz osoby zrównoważonej i szczęśliwej, myślał Nick, twarz osoby, która nie boi się, że utraci to, o czym jemu nie wypada nawet zamarzyć.

Zaprzagnął odetchnąć świeżym powietrzem. W holu zrobił się mały tumult, bo goście wbiegali do środka, uciekając przed deszczem. Nick wyszedł na zewnątrz i patrzył przez moment, jak spadające z nocnego już nieba kropelki błyszczą w świetle kulistej latarni. Na łukowatym podejździe stał daimler, a przed nim siedziało kilku gawędzących szoferów. Opodał stał mercedes kabriolet Waniego z niepokojącą tablicą rejestracyjną WHO 6. Ktoś ryknął: – Okej! Wszyscy na parkiet! – i zawtórował mu chór zgodnych okrzyków.

– Super! Będą tańce! – stwierdziła jakaś młoda pijana strojnisia, wpatrując się w Nicka, jakby nie mogła go sobie przypomnieć.

– Gdzie jest ten zafajdany parkiet? – zapytał ryczący przed chwilą facet. I wszyscy weszli do holu, w którym krzątała się jeszcze ekipa sprzątaczy.

– W palarni – odparł Nick. Cieszył się, że wie coś, czego oni nie wiedzą, i że może ich tam zaprowadzić. Powlekli się zatem za nim. Przez całą tę krótką drogę pijana strojnisia śmiała się jak szalona i krzyczała: – Taaa... W palarni! – przedrzeźniając tego śmiesznego konusa, który wiedział dokąd i którędy.

Salę przygotował jeden z londyńskich przyjaciół Toby’ego, przystrajając ją czerwono-niebieskimi stroboskopami, które migają teraz nad licznymi portretami koni wyścigowych Kesslera. Większość nowo przybyłych od razu zaczęła podrygiwać, może odrobinę niezgrabnie, lecz na pewno z nieklamana radością. Nick stanął pod ścianą, jak gdyby w każdej chwili był gotów przyłączyć się do tańczących, ale tuż potem ruszył szybko przez parkiet i kiwając głową w rytm muzyki, czym prędzej opuścił palarnię. Piosenka *Every Breath You Take*, tak swego czasu popularna wśród jego oksfordzkich przyjaciół, wprowadziła go nagle w nieopisany smutek.

Poczuł się niespokojny i zapomniany, wypchnięty z radosnej imprezy, na której, jak sobie właśnie przypominał, miano też święcić jego własne urodziny. Gdy szedł ponurym korytarzem prowadzącym do sypialni kawalerskich, opadła go paniczna samotność, przeświadczenie, że nie tutaj jest jego miejsce, nie w tym domu i nie wśród tych ludzi. Po odgłosach, które dobiegały go z biblioteki, wywnioskował, że kilku gości znalazło lam spokojny azyl. Zbliżając się do otwartych drzwi, dosłyszał strzępy rozmowy i jeden, może dwa głosy wyróżniające się władcym, apodyktycznym tonem. Nick rozpoznał głos Geralda, choć sens jego słów doń nie docierał, po czym rozległ się gremialny śmiech i drugi, znajomo brzmiący głos kontrował: – Jak znam Margaret, to na pewno tego nie zrobi! – Stanąwszy w drzwiach jasno oświetlonej biblioteki, Nick czuł się przez chwilę jak pijany student, którym w istocie rzeczy był, i jednocześnie jak zrozpaczone, cierpiące na bezsenność dziecko, które podgląda świat dorosłych i widzi obnażone ramiona, zaczerwienione twarze i kłęby tytoniowego dymu. Pierwsza dostrzegła go Rachel i powitała uśmiechem. Gdy Nick wszedł do środka, Gerald, który stał przy wygaszonym kominku i najwyraźniej dopiero się rozkręcał, wykrzyknął na jego widok: – O! Nick! – Luźny krąg słuchaczy okazał się jednak zbyt liczny, aby każdego przedstawiać z osobna, i

wszyscy spojrzawszy na niego krótko, odwrócili się, jakby niczego nie udało im się dostrzec.

Rachel siedziała na małej sofie, z dala od reszty towarzystwa. Obok niej spoczywała stara zasuszonej dama w czerni, przy której Rachel wyglądała na piękną, zalotną kobietkę. – Znasz już Nicka Guesta, Judy – zwróciła się Rachel do damy. – To bliski przyjaciel Toby’ego. A to jest lady Partridge, matka Geralda.

– Jestem doprawdy zaszczycony – powiedział Nick.

– Witam pana – odparła staruszka, posyłając mu suche dobrotliwe spojrzenie. Bliski przyjaciel Toby’ego. Takimi słowami można się delectować, można analizować ich wielkoduszność, ich niewinność, ich wyrachowanie.

Rachel przesunęła się nieco, ale na sofie nie było już miejsca dla trzeciej osoby. W swej sztywnej rozłożystej sukni z jedwabiu przypominała postać z portretów Sargenta, malowanych osiemdziesiąt lat wcześniej, w czasach, gdy w tym domu przebywał Henry James. Nick dalej stał więc przed nimi z uśmiechem.

– Ładnie pachniesz – zauważyła Rachel przymilnym tonem, jakim matka zwraca się czasem do ładnie ubranego dziecka.

– A ja nie znoszę zapachu cygar – powiedziała lady Partridge.

– Lionel też ich nie cierpi – mruknęła Rachel. Nie cierpiał ich również Nick, któremu suchy zapach cygar kojarzył się z ubikacjami i niezrozumiałą pewnością siebie, cechującą mężczyzn, którzy narzucają innym swoje gusta i zwyczaje. Ponieważ Gerald palił właśnie cygaro, marszcząc wprawdzie brwi i przymykając lewe oko, Nick wolał pozostawić ten temat bez komentarza.

– Nie wiem, gdzie on się tego nauczył – powiedziała lady Partridge. Rachel westchnęła i pokręciła głową w geście solidarności dwóch rozczarowanych kobiet: żony i matki. – Czy Tobias i Catherine też palą?

– Dzięki Bogu nigdy nawet nie zaczęli – odrzekła Rachel. Również tym razem Nick wolał się nie odzywać. Fascynowała go romantyczna aura, spowijająca tę rodzinę. Nawet drobne przytyki i obmowy miały w sobie więcej uroku niż spory w jego własnej rodzinie, a teraz zyskały nowy wymiar dzięki matce Geralda. W tej władczej kobiecie, która wolno i uważnie cedziła każde słowo, miała grubo upudrowaną twarz i mocno uszminekowane usta, było coś, co sprawiało, że Nick chciał się jej przypodobać. Miała silniejszą osobowość niż Gerald, tak jak Gerald był postacią większego formatu niż Toby.

– Przydałoby się trochę świeżego powietrza. – Mówiąc to, lady Partridge spojrzała kątem oka na Nicka, ten zaś podszedł do okna i otworzył je, wpuszczając do środka chłodny zapach wilgotnej ziemi.

– Proszę uprzejmie! – rzucił z pewną swobodą, jakby zwracał się do starej przyjaciółki.

– Czy pan tu również nocuje? – zapytała lady Partridge.

– Tak. Dostałem mały pokój na ostatnim piętrze.

– Nie wiedziałam, że w Hawkeswood są małe pokoje. Ale przecież nigdy nie byłam na ostatnim piętrze. – Nickowi spodobał się sposób, w jaki przyjęła jego skromną odpowiedź, w jaki sama przeciwko sobie obróciła wymowę przedstawionego jej faktu.

– Wszystko zależy od rozumienia słowa „mały” – odpowiedział, uśmiechając się przymilnie. Alkohol wpędzał go czasem w stany lekko paranoiczne; nie wiedział wtedy, czy w oczach innych błyszczy inteligencją, czy może wychodzi na gbura. Teraz również opadł go lęk, czy aby nie został zrozumiany opacznie. Kelner zaproponował mu brandy i przez moment Nick wpatrywał się biernie w płyn lejący się do kieliszka. – Wystarczy... Tak, wystarczy... – Był to kelner sympatyczny i dyskretny; nie mógł się jednak równać z Tristáo, który trafił do specjalnej przegródki w mózgu Nicka, zawierającej obiekty chwilowej i niezbyt chyba poważnej miłości. Kto wie, czy nie mógłby zadurzyć się także w tym kelnerze? W jego obecnej kondycji psychicznej wystarczyłoby kilka krótkich spojrzeń i błyskawiczna półświadoma decyzja, żeby obraz kelnera utrwalił się w jego umyśle, żeby na widok tego chłopca serce biło jak oszalałe.

– Nick mieszka u nas w Londynie – odezwała się Rachel – również w małym pokoju i również na poddaszu.

– Chyba mówiłaś mi, że przyjęliście lokatora – powiedziała lady Partridge, nie patrząc na Nicka. Być może wyczuła, że chce on zyskać status pełnoprawnego domownika, że pragnie spoufalić się z jej pięknym wnukiem. I być może postanowiła rozprawić się z tymi fantazjami, kierowana rodzinnym instynktem terytorialnym. – Toby, jak widzę, cieszy się dużym wzięciem – dodała. – Jest bardzo przystojny, prawda?

– Tak, to prawda – odrzekł Nick i rumieniąc się, odwrócił oczy, jak gdyby szukał wzrokiem Toby’ego.

– I kto by pomyślał, że jest bratem Catherine! Los uśmiechnął się tylko do niego.

– Jeżeli wygląd to tylko kwestia szczęścia... – zaczął niepewnie Nick, ale szybko mu przerwano:

– Niech mi pan z łaski swojej powie, kim jest ten człowieczek w okularach, który tańczy z panem ministrem.

– Mmm... Gdzieś już go widziałem – odparł Nick i roześmiał się głośno.

– To zgryźliwy analityk – wtrąciła się Rachel.

– Kto taki? – zapytała Lady.

– Zgryźliwy analityk – powtórzyła Rachel nieco głośniej. – Tak mówią o nim nasze dzieci. Naprawdę nazywa się Peter Crowther i jest dziennikarzem.

– Czytałam jego artykuły w „Daily Mail”.

– A, rzeczywiście... – potwierdził Nick. Crowther istotnie tańczył z ministrem, naprawdę mu nadskakiwał: pochylając się najpierw, by zadać pytanie, i odgiął się do tyłu, słysząc olśniewającą odpowiedź. Z kolei sam minister spraw wewnętrznych, człowiek niezgrabny i ociężały, również pochylał się i odsuwał, przez co obydwaj wyglądali na parę wyjątkowo niezgrabnych tancerzy.

– Ja bym się tak nie ekscytowała – oświadczyła lady Partridge. – W czasie kolacji wygadywał jakieś szkaradzieństwa na temat kolorowych. Siedziałam daleko, ale wszystko słyszałam. Rasizm, pan rozumie... – Słowo to zabrzmiało w jej ustach jak przekleństwo, jakby darzyła je taką samą odrazą, jaką zazwyczaj darzy się jego desygnat.

– Na ten temat istotnie wygaduje się wiele szkaradzieństw – stwierdził niejednoznacznie Nick. Staruszka spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

Potem wszyscy troje patrzyli, jak Gerald próbuje wyratować ministra. Podeszedł do niego z zatroskanym uśmiechem na ustach i błyskiem zazdrości w oczach. Poprosił go na stronę i pochylił się konfidencjonalnie, prawie go obejmując. Przez cały ten czas rozglądał się jednak dokoła ukradkiem, jakby szykował jakiś podstęp. I rzeczywiście: błysnął flesz, przesunęła się rolka w aparacie, flesz błysnął po raz drugi...

– O! Nareszcie zjawili się ludzie z „Tatlera”⁷ – krzyknęła lady Partridge. Poglądziła się po włosach i zrobiła minę... kokieteryjną... władczą... przyzwalającą... mądrą... Trudno było doprawdy odgadnąć, jaki też chciała uzyskać efekt.

⁷ „Tatler” – popularny miesięcznik brytyjski poświęcony m.in. modzie, zakupom, podróżom, zawierający kronikę towarzyską oraz zapowiedzi imprez kulturalnych.

Nick i Pat Grayson szli szybko korytarzem, poganiani przez Catherine, kierując się w stronę dudniącej w palarni muzyki. – Wszystko dobrze, kochana? – zapytał Nick.

– Wybacz, kochany. Ta jego mowa była koszmarna. Nie mogłam już tego znieść. – Wprawdzie Catherine tryskała energią, lecz reagowała w zwolnionym tempie, toteż Nick uznał, że musiała wcześniej coś ćpać.

– Gerald lubi koncentrować się na samym sobie.

Uśmiechnęła się protekcyjnie, prawie jak jej babka. – To przemówienie pasowałoby bardziej do jego własnych urodzin, prawda? Biedny Fedden...

Pat Grayson, do którego odnosiły się pewnie słowa Geralda o przybyłych do Hawkeswood gwiazdach filmowych, stwierdził teraz, że wypada powiedzieć: – No, nie było to takie złe, bo przecież... – i urwał, nie podając żadnego uzasadnienia. Nick pamiętał go jako eleganckiego łajdaka z serialu *Sedley* i zdumiał się, widząc mężczyznę w rzeczywistości niższego, starszego i znacznie mniej interesującego od kreowanej na ekranie postaci. *Sedley* należał do ulubionych seriali jego matki, która zapewne nie miała pojęcia, że Pat jest potwornie nijakim człowiekiem. – Może lepiej nie, kochanie... – bąknął, kiedy wchodzili już do palarni. Ale Catherine wciągnęła go w gęszcz roztańczonych ciał, a wtedy on zaczął podrygiwać wraz z nią, pstrykając palcami i obrzucając ją lubieżnymi spojrzeniami. Podobała jej się widocznie obciachowa nieporadność partnera, ale Nick widział tu tylko niepożądany scenariusz na przyszłość: słynny człowiek robi z siebie idiotę, wychodzi na starego głupawego pedała. Gdy przechodził na drugą stronę sali, ludzie krzyczeli do niego, witali uśmiechem i obejmowali na moment, jak gdyby był długo wyczekiwany gość. Brandy zrobiła już swoje. Przez chwilę było mu wstyd, że tak szorstko obszedł się z Patem, że wtopił się tak gładko w to heteryckie zbiorowisko. Potem poczuł się lepiej. Uśmiechnął się do Tima Carswella, gdy ten chwycił go i okręcił w miejscu, tak iż obaj prawie stracili równowagę, i poczuł na policzku ciepły oddech Tima, który jednak szybko zwolnił uścisk i wrzasnął: – Prr! – by zataczając się dalej, zniknąć w gdzieś tłumie. – Jak tam nasz dziarski chwyt? – krzyknął Nick, a Sophie Tipper, tańcząca niechętnie z Tobym, spojrzała na niego przez ramię i chyba ledwo go rozpoznała, a on ucałował ich oboje w policzek, zanim zdążyli się połączyć, i krzyknął: – Jak się bawicie? – rozanielony, z łamiącym się sercem; a Toby wyciągnął doń pięść z odgiętym kciukiem, a potem odpłynęli oboje hen daleko. Nick tańczył i tańczył w obręczy ciasnego kólnierzyka, pocąc się coraz bardziej, aż w końcu

rozpiął smoking i znów go zapiął, bo na przeciwległym krańcu było otwarte okno, i pisał przez chwilę przy tym oknie, z twarzą zwróconą ku deszczowym zapachom ogrodu. W zielonym świetle rozmigotanych stroboskopów dojrzał cierpliwy profil Martine, profil mizerny i zagubiony. – Czeeeść! – krzyknął, kucając przy niej. – Waniego tu nie ma? – Rzut okiem po sali, wzruszenie ramion. – Gdzieś sobie poszedł... – A Nick naprawdę chciał go zobaczyć, przekonany, że spotka się teraz z powitaniem, jakie znał tylko ze swych fantazji, przekonany z wyrachowania, bo przecież mógł wpaść mu bezwładnie w ramiona, w tym stanie, w tych okolicznościach. Trzy dziewczyny ustawiły się w mały korowód i krążyły po sali splecione ze sobą. Nick nie mógł na to sobie pozwolić. Dziewczyny tańczyły lepiej od swych rówieśników płci męskiej, jak gdyby taniec stanowił ich wyłączną domenę, a wijący się na parkiecie chłopcy robili z siebie błaznów. Nick dodryfował do drzwi, ale tam zniechęcił go widok kilku bardziej wiekowych par, które przebierając nogami, próbowały udawać, że bawią się szczerze przy Spandau Ballet. Ultrafiolet roziskrzył koszulę Nata Hanmera, a jego oczy błyszczały osobliwie i intrygująco. Chwyił Nicka za rękę i z wytrzeszczonymi dla efektu oczami klepnął go w plecy i krzyknął: – Ty stary cwelu! – Cmoknąwszy go jeszcze niezgrabnie w ucho, zniknął pośród tańczących. – Uważaj! – ryknęła Mary Sutton i tym razem Nick wytrzeszczył oczy. Płając w pobliżu kominka, nietrudno było potknąć się o jego wysuniętą podstawę; Nick zderzył się tam z Grahamem Strongiem i wrzasnął: – Co za spotkanie! – bo kiedyś Graham mu się podobał, choć ledwie, ledwie go znał, i dodał: – Musimy ze sobą później zatańczyć! – ale Graham już się odwrócił, a Nick zatrzymał się przy Catherine, Russellu i Pacie Graysonie, którzy serdecznie go przywitali, bo we trójkę czuli się tak sobie.

Wyszedł do holu i otworzył pierwsze lepsze drzwi, za którymi był mały salonik oraz męczyzna bez marynarki, bez uśmiechu na ustach, idący ku niemu ze słowami: – Przepraszam pana uprzejmie!

– To ja przepraszam – odrzekł Nick. – Nic tu po mnie. – I wrócił do holu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi z wielkim hukiem.

Słyszał przytłumioną muzykę, słyszał gaworzenie i śmiechy z biblioteki, a w uszach brzęczało mu coś przenikliwie. Wyżej, nad głową, żyrandol błyszczał setką ruchliwych lili, ożywionych nagle, wprawionych w rytmiczne drgania. Zataczając się teatralnie, przemierzył kilka połączonych ze sobą, jasno oświetlonych pomieszczeń, a każde z nich wyglądało na opuszczone, każde bawiło i straszło poduszkami i zasłonami w kształcie

nieruchomych ludzkich postaci. Nick zatrzymywał się czasem, aby pochylić się z podziwem nad pulsującą figurką z brązu bądź też stolikiem, który obracał się zawsze, gdy tylko przestawało się nań patrzeć. Opierał się czule, acz nieco przyciężko o trzeszczący sekretarzyk kochanej markizy de Pompadour – ubóstwiał takie czułości, a przecież nikt go nie widział... Wszedł do pokoju, gdzie jadł lunch, włączył światło i przyjrzał się pejzażowi Cézanne’a, który wydawał się pulsować siecią swych niezgłębionych kształtów. Dlaczego snuł przed samym sobą opowieść, czemu opisywał sobie ten obraz? Wyobrażony przyjaciel, ten oddany druh samotnego jedynaka, stał obok niego i czekał na objaśnienia. Kompozycja obrazu, zaczął Nick, te odcienie zieleni... Wpadł mu do głowy pewien pomysł, przed którym uciekał i krył się zrazu, ale wszakże z wolna mu uległ. Wszedł na brązowy korytarz, minął szereg bocznych drzwi i za zakrętem poczuł na twarzy orzeźwiający powiew. Chłodne powietrze wnikało do środka przez otwarte drzwi, za którymi połyskiwał w siąpiącej wciąż mżawce podwórzec dla służby, obsługi i zaopatrzeniowców. Było tu jasno i niezbyt romantycznie – żadnych świec czy dyskretnych lampek przy obrazach, za to pełno facetów w dżinsach, noszących coś i pakujących, wrzeszczących przy tym do siebie, tak że Nick czuł się tam jak niewidzialny dla innych duch. Tristáo mył kieliszki w kuchni. Nick zaszedł go od tyłu z walącym sercem, z więcej niż przyjacielskim uśmiechem, świadom jednak, że Tristáo jest w pracy, że minęła pierwsza nad ranem, że on sam jest w sztok zalanym elegancikiem, niesionym tu pożądaniem i płonną nadzieją na zaspokojenie.

– Cześć!

Tristáo obejrzał się, westchnął i wrócił do zmywania. – Ty do pomocy? – Kieliszki stały na metalowych tacach, w połowie pełne, ze śladami szminki, z obtłuczonymi nóżkami, z niedopałkami w resztkach czerwonego wina.

– Hm... Chybabym wszystko tu potłukł – odparł Nick i dalej patrzył na plecy Tristáo, zdumiony, uszczęśliwiony, obawiający się jednak ostrej odprawy.

– Uff... Ja zmęczony – westchnął Tristáo i podszedł do Nicka. – Na nogach dziewięć godzin.

– Nic dziwnego – odparł Nick i pochylając się ku niemu, pogłodził go, a może poklepał, jak przyjaciel przyjaciela, ale został zignorowany. Pomyślał, że pewnie za moment upadnie. – Tak... O której kończysz?

– Skończę, jak wyjedziecie. – Wytarłszy dłonie ręcznikiem, zapalił papierosa. Zawahał się i wyciągnął paczkę w stronę Nicka, który wprawdzie nie znosił tytoniu, ale tym razem postanowił zapalić. Zaciągnął się głęboko i poczuł zawroty głowy. – Impreza okej, co nie? – zapytał Tristáo.

– No... – Nick wzruszył ramionami i roześmiał się ironicznie. Z jednej strony chciał, by Tristáo widział w nim pełnoprawnego uczestnika przyjęcia, z drugiej jednak chciał też móc kpić z pozostałych gości. Chciał dać mu do zrozumienia, że bawi się świetnie i że personel sprawuje się na medal, choć gdyby było inaczej, wcale by się nie przejął; poza tym (w tym miejscu przymknął oczy, subtelnie, acz śmiało) ma lepszy pomysł na dobrą zabawę. Tristáo nie od razu to wszystko zrozumiał. Patrzył na Nicka strapiiony, jakby przedstawiał on swoją osobą problem do rozwiązania. Nick zaś dalej uśmiechał się do kelnera z tym samym pijackim tupetem w oczach.

Tristáo postradał gdzieś muszkę, a rozpięta pod szyją koszula ukazywała fragment białego podkoszulka. Miał zawinięte rękawy, więc widać było jego gęsto owłosione przedramiona, ale od piersi aż po kolana zasłaniał go biały fartuch, przez co znaczące wybrzuszenie na spodniach, tak wcześniej sugestywne, musiało wrócić do sfery domysłów. W kuchni paliła się jedna mocna jarzeniówka; w tym oświetleniu ziemista twarz kelnera nie wyglądała już tak powabnie i zadawała kłam pamięci wzrokowej Nicka, który musiał wyteńczyć resztkę sił, by pożądanie się nagle nie ulotniło. Czuł takie niebezpieczeństwo, a nawet pokusę, bo mógłby wszak wtedy odpuścić sobie dalsze zaloty i wrócić spokojnie do pozostałych gości. – Dużo ludzi, co nie? – stwierdził Tristáo. Powiódł niechętnym wzrokiem po tacach z kieliszkami i wydmuchnął dym z takim samym przeciągłym syknięciem, z taką samą, rzec można, wprawą, z jaką wcześniej uczynił to Polly. Na myśl o planowanym spotkaniu Polly’ego z Tristáo Nick poczuł ukłucie zazdrości i właśnie zazdrość sprawiła, że mimo wszystko nie uciekł od razu z kuchni. – Tak, pan Toby ma dużo znajomy... Ja lubię go. Fajny gość, co nie? – Tristáo uniósł dłoń do twarzy i rozłożył palce na podobieństwo wachlarza, jakby próbował tym gestem opisać rysy Toby’ego, jego kości policzkowe i cerę.

– Tak, fajny – przyznał Nick i zachichotał, wydmuchując dym. Twarz Toby’ego nałożyła się nagle na oblicze kelnera, pod każdym względem od niej szpetniejsze... Czyż jednak z tego faktu nie powinien wyciągnąć wniosków? Czy będąc homoseksualistą, nie powinien skorzystać z rozwiązania, któremu daleko może do ideału, lecz które istnieje

naprawdę? Celem tej wizyty był w końcu seks, a nie dalsze upajanie się absurdalnymi fantazjami. Głęboko osadzone oczy kelnera patrzyły na niego wyzywająco, tajemniczo, obco. Czy mieszkańcy Madery gustują w przygodnym seksie? Nick nie widział powodu, by podejrzewać, że tak nie jest.

– Dużo wypił? – zapytał Tristáo.

– Bardzo dużo.

– Naprawdę?

– No, pewnie mniej niż paru innych – odparł Nick. Trzymał papierosa przy klapie smokingu, przez co w oczach Tristáo musiał uchodzić za mało wpraw nego palacza. Z Leo było znacznie łatwiej: umówili się na randkę i obaj wiedzieli, jaki jest jej cel. Tymczasem obecne spotkanie mogło skończyć się niczym. Zachodził w głowę, czy miałość obecnej rozmowy świadczy o daremności jego zamierzeń, czy może odwrotnie, świadczy, że wszystko pójdzie jak z płatka. Wydawało mu się, że proces uwodzenia powinien być trochę barwniejszy, nieco bardziej pikantny. – A więc pochodzisz z Madery? – zapytał, unosząc jedną brew.

Tristáo przymrużył oczy i po raz pierwszy słabo się uśmiechnął. – Skąd wiesz? – Nick wytrzymał jego badawcze spojrzenie. – A, już wiem. Ten duży ci mówił.

– Ten ogromny – przyznał Nick. – Ten bardzo duży w pasie.

Tristáo sięgnął do pudełka papierosów, w którym schował wizytówkę Polly’ego. – Ten? – zapytał. Nick niedbale rzucił okiem, ale czegoś się właśnie nauczył „Dr Paul Tompkins, Lovelock Mansions 23”. Wyglądało to jak adres specjalistycznego gabinetu z poczekalnią pełną młodych mężczyzn. Na odwrocie wizytówki Polly napisał: „4 września, 20:00, dokładnie”. – Dlaczego on chce dokładnie? – zapytał Tristáo.

– To bardzo zajęty człowiek – wyjaśnił Nick z ironicznym uśmiechem. Poczul, że nadszedł właściwy moment, by zbliżyć się do kelnera. Zrobił dwa kroki do przodu, wyciągnął rękę...

– Przepraszam, kolego... – W drzwiach stał jakiś ogorzały mężczyzna. – Przez chwilę nie wiedziałem, co tu się wyprawia! – zachichotał. Nick poczerwieniał, a Tristáo na szczęście wykazał się refleksem i prychnąwszy z oburzeniem, odkrzyknął: – Co tam nowego, Bob?

Bob wydał mu kilka instrukcji, wspominając kilkakroć z zaprawionym ironią szacunkiem o „jego lordowskiej mości”. Nick kołysał się w miejscu z pobłażliwym

uśmiechem, aby dać im obu do zrozumienia, że zna lorda Kesslera osobiście, że jedli dziś wspólnie lunch i podziwiali obraz Moroniego.

– Co ja teraz z tobą robię? – powiedział Tristáo po odejściu Boba. W tych słowach nie było nawet śladu sympatii czy najmniejszej ochoty na flirtowanie.

– Nie wiem – stęknął Nick. Ciężar nadchodzącej porażki łagodzony był jeszcze przez wypity alkohol.

– Muszę iść. – Tristáo wyciągnął z kieszeni muszkę i skupił się na gumce i zatrasku. Nick czekał, aż zdejmie fartuch. – Dobra... Słuchaj... Spotkanie przy główne schody... o trzeciej.

– O... Okej... Super! – wybąkał Nick, uradowany zarówno obietnicą schadzki, jak i tym, że odbędzie się ona trochę później. – O trzeciej...

– Dokładnie – dodał Tristáo, marszcząc brwi.

Uchylił drzwi do sypialni Toby'ego. Kiedy o drugiej skończyły się tańce, zebrała się tam gromadka przyjaciół, którzy patrzyli teraz leniwie na Nicka. – Włącz i zamknijże wreszcie drzwi! – warknął Toby, rozwalony na gigantycznym łóżku wraz z kilkoma innymi, również niedbale leżącymi postaciami. Przydzielono mu na tę noc apartament królewski, w którym spał kiedyś sam Edward VII. Istotnie, nad wezłowiem udrapowano kilka płatów niebieskiego jedwabiu, tworzących coś na kształt komicznej korony. Na przeciwległej ścianie wisiał akt Renoira. Nick przez chwilę zmuszony był manewrować między kilkoma siedzącymi na podłodze grupkami i ogromną sofą, na której półleżał grubawy lord Shepton; ten ostatni miał rozwiązany krawat, a głowę wspierał na udzie jakiejś pijanej dziewczyny. Otwarto okno i rozchyłono zasłony, żeby zapach marihuany nie doleciał do nosa ministra spraw wewnętrznych. Towarzystwu udało się poniekąd odtworzyć nastrój nocnych imprez w pokojach studenckich: dziewczęce nogi w pończochach wyciągnięte na kolanach mężczyzn, powietrze gęste od dymu i dwa lub trzy głosy dominujące nad resztą. Nick wiedział, że taki klimacik może okazać się zarówno czarujący, jak i niebezpieczny. Gareth Lane perorował na temat Hitlera i Goebbelsa tonem nudnego wykładowcy, który co rusz wybucha śmiechem, rozbawiony własnymi dowcipami – takie skojarzenia z Oksfordem nie należały do najprzyjemniejszych. Mówiono o nim co prawda „najzdolniejszy historyk na roku”, lecz na dyplomie nie miał najwyższej noty i teraz próbował chyba powetować sobie tę porażkę. Gareth dalej zanurzał się w swoją orację, ale Nickowi ciągle brzęczało w uszach i odniósł przez to

niejasne wrażenie, że swoimi ruchami i słowami maści panującą tu wcześniej ciszę, chociaż zarazem nikt go właściwie nie zauważa. Dostrzegł kilku dobrych znajomych, lecz dwa miesiące od zakończenia ostatniego semestru oddaliły go od tych ludzi w sposób dla niego niepojęty. Zaszła w nich widać jakaś prosta, acz głęboka i nieodwracalna przemiana: zaczęli żyć prawdziwym życiem, pozostawiając Nicka samego w jego własnym świetle. Gdy przysiadł na krawędzi królewskiego łoża, Toby pochylił się i podał mu skręta.

– Dzięki... – uśmiechnął się obdarowany. Nareszcie dały o sobie znać łączące ich od dawna więzi; Nick czekał na to przez cały wieczór.

– Boże... Śmierdzisz, kochany, jak kurewski buduar – powiedział Toby. Nick wpatrywał się w niego, obezwładniony dymem w gardle i płucach, zaczerwieniony z przyjemności i wstydu. Słowo „kochany”, którym Toby obdarzył go po raz pierwszy, rozgrzało go i oszołomiło równie mocno jak marihuana. Wydmuchując dym, uzmysłowił sobie heteroseksualną wymowę pozostałej części usłyszanego zdania.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zapytał, ciekaw, czy Toby naprawdę był kiedyś w kurewskim buduarze. Oczywiście wyobraźni zobaczył, jak przyjaciel wchodzi niepewnie po wąskich schodach...

Toby zamrugął. – Dobrze się bawisz?

– Tak, jest super. – Rozejrzał się dokoła z uznaniem. Wolał przemilczeć to, co pamiętał z tego wieczoru, tę długą pijaną podróż, na poły pościg, na poły ucieczkę, kojarzącą mu się z koszmarami sennymi, które nawiedzały go zawsze, gdy nocował gdzieś na wsi. – A co się stało z Sophie?

– Musiała wrócić do Londynu. Tak. W poniedziałek idzie na casting.

– A tak... Racja... – Nick ucieszył się tą wiadomością. Zresztą sam Toby, pijany już, upalony, z błyszczącymi oczami, nie zmartwił się chyba tym faktem. Odsyłając Sophie do domu, mógł z jednej strony poczuć się jak dorosły i odpowiedzialny mężczyzna, z drugiej zaś odzyskać miłą mu swobodę.

– Przestań wreszcie pierdolić o tym jebanym Goebbelsie! – krzyknął nagle do Garetha, który zaciął się na moment, po czym jak niezawodny, odporny na wstrząsy mechanizm wrócił do swego wykładu.

Tej nocy królem był Toby, który na swoim ogromnym łożu panował nad przyjaciółmi, pełniącymi chwilowo funkcję jego poddanych. Odgrywał swą rolę z

dziecinną bez mała pogodą ducha, bardzo dla Nicka wzruszającą, bardzo dla niego podniecającą. Kiedy trawka zaczęła działać, gdy Nick poczuł się rozluźniony niby po osobliwym masażu psychicznym, wyciągnął rękę za siebie, ujął dłoń Toby'ego i leżeli tak, nie ruszając się, przez niebiańskie pół minuty. Królewska sypialnia przekształciła się raptem w salon uciech erotycznych, równie cudownych i intensywnych, jak woda kolońska Je promets. Nick przypomniał sobie słowa Polly'ego sprzed kilku godzin i pomyślał, że może nareszcie, choćby ten jeden jedyny raz, Toby będzie należał do niego.

Dokoła słyhać było niezborne szept, głowy schylały się nad bibułkami, rozmazane postacie jaśniały w świetle lampy. – Ale czy Führer naprawdę odpowiada za Holocaust? – pytał sam siebie Gareth, szykując się już do prezentacji argumentów związanych z tym ważkim zagadnieniem.

Protest złożył Sam Zeman, kędzierzawy geniusz, którego Kessler zatrudnił od razu po studiach, dając mu na początek dwadzieścia tysięcy funtów rocznie. – W tym domu jest pełno Żydów, więc może nie gadaj tu o Holocaustie. Poza tym jesteśmy na imprezie towarzyskiej... – Sięgnął po drinka, prychając z oburzeniem jak istota subtelna, którą zmuszono do opryskliwości.

– Mogę od razu przejść do Stalina – Gareth próbował wykrzesać z siebie żart.

Nagle uaktywnił się Roddy Shepton. – No, ja żadnym cholernym Żydem nie jestem – oświadczył hardo.

– Ale jest nim Tobias – zauważyła jego dziewczyna, – Prawda, Toby?

– Na litość boską, Claire...! – skarcił ją Roddy.

Claire wpatrywała się w Toby'ego, coraz bardziej przekonana o prawdziwości swych słów. – Czy ktoś tu nie mówił, że Żydem jest też nasz pan minister? – spytała.

– Uspokój się, Claire! – znowu ofuknął ją Roddy. Żywił głęboko ugruntowane przeświadczenie, że jego solidnie zbudowana, lecz flegmatyczna partnerka jest osobą żenująco porywczą. Być może sugerował w ten sposób, że okiełznał wulkan seksualnej energii. Dzięki temu zyskiwał również wytłumaczenie, dlaczego wiąże się z przedstawicielką klasy średniej, której ojciec zarządza majątkiem jego rodziców.

Claire szukała wzrokiem nowego punktu zaczepienia. – Ty jesteś Żydem, Nat, prawda?

– Jestem, kochana – odparł Nat. – Przynajmniej w połowie.

– A w drugiej połowie cholernym Walińczykiem – zauważył Roddy. Poprawił głowę na kolanie swojej dziewczyny i spoglądając na nią z ukosa, powiedział: – Boże, jakżeś ty się urznęła.

W Martyrs' Club ta ordynarna uwaga uchodziła za szczyt błyskotliwości i należała do najczęściej wypowiedzianych zdań. Toby zaciągnął kiedyś Nicka do dusznej jadalni owego klubu, w którym najwięksi oksfordzcy mądrale jak jeden mąż zalewali się na umór, wrzeszcząc przy tym, obmawiając, intrygując i obrzucając wyzwiskami zarówno siebie nawzajem, jak i wykończony tym wszystkim personel. Nick był zdumiony, że w tym osobnym, nieprzenikalnym dla postronnych świecie zadomowił się również jego przyjaciel.

– Ty też, kurwa, urznąłeś się w trupa, Shepton – powiedział Toby. Ściągnął skarpetki, zwinął je w kulkę i rzucił nią mocno i celnie w głowę grubego kolegi.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz, Fedden? – mruknął Roddy, lecz nic domagał się odpowiedzi.

Nick tłumaczył komuś, że u Conrada morze symbolizuje z jednej strony ucieczkę przed „ja”, a z drugiej owego „ja” odkrywanie; teza ta zyskiwała na sile tym bardziej, im częściej Nick ją powtarzał. I aż się roześmiał na myśl o urodzie własnego sformułowania. Nie przypalał zbyt często, zatem gdy sztachnął się po raz drugi, zakładając, że pierwszy mach nie odniósł pożądanego skutku, mógł już przez długie godziny żeglować po bełkotliwych odmętach. Tuż obok siedział Nat Hanmer, którego ciepłe udo stykało się z udem Nicka. Nat miał dzisiaj w sobie coś przeuroczo ciotowatego. Nick odnosił nieodparte wrażenie, że Nat przytakuje mu i patrząc w oczy, łagodnie ugniata mu czaszkę. Głowę kiwał też uśmiechnięty Sam Zeman, który nawet poprawił Nicka, gdy ten pomylił się w swoim streszczeniu *Zwycięstwa*. Nick ubóstwiał Sama, bo mimo że kończył ekonomię, odznaczał się wspaniałą erudycją, grał na altówce i zniżał się czasem do poziomu ludzi mniej od niego wykształconych.

Chciał rozłożyć się wygodnie, słuchać i może całować się z Natem Hanmerem, którego usta nie były co prawda tak pełne i miękkie jak usta Leo, lecz który byt (choć Nick wcześniej tego nie zauważał) mężczyzną niemalże pięknym i miał na dodatek tytuł markiza. Nat mówił, że sam chce napisać powieść i kupił w tym celu komputer, „bardzo seksowną maszynkę”. Trawka objawiła Nickowi znaczenie tego określenia. – Chętnie przeczytam – powiedział. Po drugiej stronie pokoju Gareth przeniósł się na inny front i

opisywał bitwę jutlandzką gromadce oniemiałych dziewcząt. W swojej dużej aksamitnej muszce wyglądał jak rasowy oksfordzki wykładowca i tak też miał pewnie wyglądać przez kolejne czterdzieści pięć lat.

Nick zauważył, że mówi o swoim chłopaku, o swojej za nim tęsknocie i że serce zabiło mu żywiej. Sam Zeman przyjął to wyznanie z uśmiechem – był wprawdzie stuprocentowym, nieodwracalnym heterykiem, lecz do wszystkiego odnosił się tolerancyjnie. Tolerancją chciał też popisać się Nat, który zapytał teraz z uśmiechem: – To znaczy... Masz... faceta? – a Nick odparł: – No... – i opowiedział im o anonsie, o pierwszej randce, o seksie w ogrodzie i o zabawnym spotkaniu z mieszkającym po sąsiedzku Geoffreyem. I o tym, że regularnie się odtąd spotykają. Po trawce Nick zazwyczaj mówił prawdę, tyle że prawdę nieco ubarwioną. Chciał, by postrzegano go jako człowieka seksualnie aktywnego, ale gdy zaczął mówić, jego życie wydało mu się raptem dziwaczne i uznał, że szczypta konfabulacji nada mu ładniejsze kontury, uczyni normalniejszym.

– A ja nic o tym nie wiedziałem – oświadczył Toby, który chodził boso po pokoju z butelką brandy w dłoni. Uśmiechał się, lekko zaszokowany, może nawet urażony tym, że Nick nie zdradził mu się ze swym romansem.

– Rzeczywiście – bąknął Nick. – Przepraszam cię... To ten czarny przystojniak Leo...

– Mogłeś wziąć go tutaj ze sobą – powiedział Toby. – Dlaczego nic nie mówiłeś?

– Wiem – odparł Nick, który wyobraził sobie właśnie, jak Leo staje tutaj wśród nich: w swoich opadających džinsach, w pożyczonej od siostry koszulce, i jak jego ironia zderza się z pijaną wyniosłością absolwentów Oksfordu.

– Można wiedzieć dlaczego? – przemówił lord Shepton, który jeszcze przed chwilą smacznie chrapał, a teraz, nagle zbudzony, miał wygląd człowieka sennie mściwego. Nikt nie miał pojęcia, czego tyczy się jego pytanie. – Mamy tu tego zasranego... Wogu... – Zerwał się z miejsca i z niby to nieczystym sumieniem zaczął rozglądać się za Charliem Mwegu, czyli jedynym czarnoskórym gościem Hawkeswood, gwiazdą oksfordzkiej drużyny rugby. – Kurwa jebana mać... – powiedział z naciskiem. Shepton był powszechnie uważany za błazna, toteż Nick skwitował ten występ uniesieniem brwi i ciężkim westchnieniem. Na chwilę rozviała się romantyczna atmosfera, skutecznie wyczarowana przez trawkę, i wróciły stare koszmary i stare poczucie zagrożenia.

– Myślę, że czarni mężczyźni mogą być bardzo pociągający – powiedziała Claire, wpatrując się czule w Nicka. – Mają takie urocze uszka, prawda? To znaczy... czasami... nie znam się... to musi być fajne...

– Uspokój się, Claire! – warknął Roddy Shepton, jakby potwierdziły się właśnie jego najgorsze obawy, i sięgnął po stojący na podłodze kieliszek.

– Nie. Ja po prostu jestem zazdrosna – odcięła się Claire i figlarnie szturchnęła w brzuch lorda Sheptona.

– Ty stara krowo! – burknął lord Shepton, ale jego rozproszona jeszcze uwaga przenosiła się już z wolna na Waniego Ouardiego, który właśnie pojawił się w pokoju. – O, Ouardi! Wreszcie tutaj dotarłeś, ty nędzny Arabie! Może dasz mi trochę białego proszku?

– No nie... Naprawdę... – Claire bezradnie apelowała do pozostałych.

Wani jednak zignorował Sheptona i poszedł prosto w stronę łóżka, w stronę Toby'ego. Zdążył się przebrać i miał na sobie bonżurkę z zielonego aksamitu. Nick przez moment napawał się jego urodą. Mocny, acz nieco zaokrąglony podbródek, głęboko osadzone oczy o rozbijającym łagodnym spojrzeniu, długi nos, małe uszy, sprężyste kędziory i okrutnie zniewalające zakole ust – wszystko to sprawiało, że każdy obiekt w tym domu zalatywał stęchlizną, raził pretensjonalnością, robił się nijaki. Nick zapragnął porzucić przystojnego Nata i czym prędzej powrócić na królewskie łożo. Wymownym spojrzeniem przeprosił za wybryk Sheptona, lecz Wani mu w żaden sposób nie odpowiedział. Leżał teraz przy Tobym, podpierając głowę na łokciu, ilustrował pokój zza swoich długich rzęs. Toby tymczasem przywłaszczył sobie szyfonowy szal jednej z dziewcząt i z uporem pijaka próbował zwinąć go w turban. Wani nie skomentował jego wysiłków, jak gdyby nie było to potrzebne, bo obaj znali się wszak doskonale, pochodzili z tego samego świata, z tej samej kultury i epoki. – *Si tu veux...* – powiedział Wani po chwili, wstał i poszedł do łazienki. Toby przez kilka minut nie ruszał się z miejsca i śmiał się nienaturalnie z toczących się dokoła rozmów, po czym ziewnął i poczłapał w ślad za przyjacielem. Nick zapadł się w siebie, zdjęty zazdrością o każdego z nich, przerażony panicznymi domysłami na temat tego, co mogą w tej chwili robić. A gdy wrócili, obserwował ich czujnie niczym dziecko śledzące występnych rodziców. Widział, jak usiłują przytłumić podniecenie, jak narzucają sobie ironiczną powagę, aby wyglądać na

mniej pijanych i mniej szczęśliwych niż reszta towarzystwa. Bił od nich blask sekretnej wiedzy.

Ktoś podał skręta i Nick zaciągnął się głęboko. Następnie wstał i podszedł do otwartego okna, za którym kończyła się cicha wilgotna noc. Ogromne buki za ogrodem odcinały się niewyraźnie od szarzejącego już nieba. Efekt był olśniewający, o ileż wspanialszy od tego, co działo się na przyjęciu: Ziemia zrobiła kolejny obrót, słyszało się pierwsze ptasie zaśpiewy, pogodne i rzeczowe zarazem. A przecież do świtu zostało jeszcze sporo czasu... Nick zeszywniał, chwycił się za nadgarstek i wlepił wzrok w tarczę zegarka. Było siedem po czwartej. Odwrócił się i popatrzył na współuczestników zabawy, ożywionych bądź ospałych. Nic ich to wszystko nie obchodzi, pomyślał z ciężkim sercem; oni nigdy nie rozumieją, czym jest randka z kelnerem i jakiej rozpacz doświadcza człowiek, który zapomniał się na nią stawić. Ruszył ku drzwiom, ale zatrzymał się po paru krokach, wciąż odurzony marihuaną. Dokąd niby ma teraz pójść? W królewskiej sypialni zaległa cisza, jakby wszyscy zmówili się, że zamilkną. Nick poczuł, że jest w centrum uwagi i uśmiechnął się niepewnie, jakby w obawie, że ktoś spleta mu figła. Ale nie – wszyscy tkwili nieporuszenie na swoich miejscach, zatopieni w świecie własnych myśli. To musiał być bardzo mocny towar. Nick całym wysiłkiem woli próbował ruszyć lewą nogą, ale ta odmówiła posłuszeństwa. Zirytował się nieco na myśl, że zostanie tam unieruchomiony na dłużej. Nieco śmieiej rozejrzał się po pokoju. Rozpoznawał twarze, lecz do paru z nich nie potrafiłby dopasować imion. Powolne mrugnięcia, drgawkowe uśmiechy... – Taaa... – mruknął przeciągle Nat Hanmer, zgadzając się kiwnięciem głowy z tezą, którą słyszał tylko on. – Sądzę, że... – zaczął Nick, ale urwał i znowu rozejrzał się dokoła, bo słowa te odnosiły się do rozmowy na temat Geralda i BBC. Na szczęście nikt tego nie zauważył... – Przecież właśnie o to chodziło Bismarckowi! – powiedział Gareth.

Nick nie pamiętał, jak to się zaczęło. Na podłodze leżał Sam Zeman i wił się ze śmiechu, ale potem zakrztusił się i musiał usiąść. Jedna z dziewcząt wskazywała go drwiąco, nie, wcale nie drwiąco, bo ona też nie mogła pohamować wesołości. Nat, czerwony na twarzy, ocierał łzy z oczu i ścisnął palcami kąciki ust, by opanować swój śmiech. Z kolei Nick przestawał chichotać, kiedy wpatrywał się w podłogę, ale gdy znowu unosił wzrok, chichot powracał, przechodził w czkawkę, w niepojętą wesołość, emanującą z butelki brandy, z aktu Renoira, z korony nad łóżkiem, z tej całej eleganckiej gromadki, tętniącej pomysłami, planami, sporami.

4

„To nie jest *Życie bohatera* – powiedział pewien krytyk o pierwszym z prezentowanych dziś wykonaniań – tylko *Pieskie życie*. A raczej pieskie śniadanie, pomyśleć by można po usłyszeniu wersji Orkiestry Symfonicznej Tallahassee pod dyrekcją Rudolfa Kothnera”. – W sobotni poranek kuchnię domu w Kensington Park Gardens wypełniał głos młodego błyskotliwego prezentera, który zestawiał w audycji *Tworzymy kolekcję* rozmaite wykonania *Ein Heldenleben*.

– Cha, cha, cha – roześmiał się kwaśno Gerald, który jeszcze przed chwilą wyginał się energicznie najpierw z długopisem, a potem z rakieta tenisową w charakterze batuty. Uwielbiał takie poranki, kiedy to na życzenie Rachel z przyjemnością oddawał się drobnym i raczej zbędnym pracom domowym w kuchni i piwnicy. Tego zaś dnia czuł się jeszcze lepiej, ponieważ w radiu królował jego ulubiony kompozytor. Marudził więc przy każdej czynności i kręcił się bezproduktywnie, kołysząc rytmicznie głową. Ani trochę nie przeszkadzało mu to, że z głośników rozbrzmiewa ciągle ten sam fragment, puszczone w coraz to innych – i coraz bardziej hałaśliwych – interpretacjach. Fascynował go podział przeciwników bohatera na zrzedów (flety), oszczerców (obój) i mazgajów (rozek angielski); w chwili zwycięstwa zmiotł ich wszystkich do spiżarni zamasztyłym forhendem.

– Przejdźmy jednak do fragmentu *Pokojowe dzieła bohatera* – mówił prezenter – w którym Strauss nieskromnie przywołuje materiał ze swych wcześniejszych poematów symfonicznych i pieśni.

– Nie podoba mi się ton tego faceta – powiedział Gerald. – Ale, ale... Posłuchaj, Nick! – Muzyka puszyła się już i nadymała. – Sam chyba przyznasz...

Nick siedział przy stole, ożywiony wypitą właśnie kawą, gotów na słowne potyczki. Straussowska arogancja irytowała go tym bardziej, że miał za sobą dwa frustrujące, pełne napięcia tygodnie, w ciągu których marzenie o wspólnej przyszłości z Leo rozwiało się jak

dym. Na pocieszenie krzywił się teraz demonstracyjnie. Nieustające boje o Straussa usposabiały go wojowniczo, choć toczył je przy tym z dużą pogodą ducha, w sposób bez mała niefrasobliwy; czasami wygłaszał tezy dość ryzykowne i musiał potem gorączkowo szukać argumentów na ich poparcie. Adwersarz wywoływał w nim uśpione dotąd uczucia i zmuszał do wygłaszania poglądów, których w przeciwnym razie nie formułowałby nawet sam dla siebie. Oczernianiu Ryszarda Straussa oddawał się z przyjemnością, acz nieco histerycznie, jak gdyby w grę wchodziło coś więcej niż tylko różnica gustów. Miarą jego bojowego zapału był stopień, w jakim potrafił wyprzeć się szczerzej sympatii do niektórych tematów i magicznej biegłości Straussa w przenoszeniu ich na język orkiestry. Na przykład melodia, którą atakowało go teraz radio, będzie prześladować go jeszcze przez kilka długich dni. Widział, że Gerald również puszy się i nadyma, i nieco zakłopotany odrzekł:

– Nie... Nie... Nie dam się przekonać. – Gdy muzyka wybrzmiała, prezenter oznajmił:

– Był to Herbert von Karajan z Orkiestrą Filharmonii Berlińskiej w bez wątpienia szczytowej formie.

– Tak! – krzyknął Gerald. – Właśnie to wykonanie mamy na płycie, Karajana, prawda? – Nick przez kilka letnich miesięcy sortował kolekcję fonograficzną Feddenów i ustawiał alfabetycznie wszystkie płyty w przeznaczonym na nie regale.

– Hm... Chyba tak...

– Można wszakże wyrazić wątpliwość – ciągnął mądrała z radia – czy to nader soczyste brzmienie i duża swoboda rytmiczna nie czynią niniejszej interpretacji zbyt ryzykowną. Gubi się tu bowiem owa niezbędna cząstka autoironii, bez której utwór ten może obsunąć się w rozpasaną wulgarność. Posłuchajmy zatem tego samego fragmentu w wykonaniu Królewskiej Orkiestry Concertgebouw pod batutą Bernarda Haitinka.

Gerald wyglądał jak ktoś, kogo ugodzono w ważnej debacie i kto pospiesznie zastanawia się nad repliką, którą mógłby ocalić nadszarpniętą reputację. – To wykonanie podoba mi się znacznie mniej – powiedział. I dodał: – Niby dlaczego to, co podniosłeś, musi być zaraz wulgarne?

– Gdybyś przejmował się wulgarnością, to w ogóle byś Straussa nie słuchał.

– Ooo... – zaprotestował Gerald i błyskawicznie poweselał.

– Może prócz wczesnej *Symfonii F-dur* – powiedział Nick. – Ale nawet ona...

– Idę do Russella – oświadczyła Catherine, wchodząc do kuchni z kapeluszem na głowie i palcami w uszach; nie wiadomo, czy chciała w ten sposób odseparować się od dzieła bohatera, czy od przewidywanych obiekcji Geralda, który jednak powiedział:

– Okej, Kotku. – I ekstatycznym przytupem powitał wejście piskliwej sekcji dętej. Był to klasyczny przykład „apokapłaksy”, jak Catherine określała wszystkie przeładowane partytury romantyczne. Szybko zniknęła w holu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Problem ze Straussem sprowadzał się do przewagi formy nad treścią, do marnowania błyskotliwej techniki na tandetny materiał tematyczny, przez co rodziło się wrażenie, iż muzyka ta pozbawiona jest substancji, że rozdyma się do monstrualnych rozmiarów, bezkierunkowo, bezcelowo. Niesmak budziło też zestawienie wzniosie metafizycznego języka Wagnera z banałami burżuazyjnej egzystencji, z czego Strauss rzadko jedynie zdawał sobie sprawę. Nick nie mógł jednak zdradzić się z tymi myślami, bo wyszedłby na pedanta. Gerald odparłby, że to tylko muzyka i nie ma się czym przejmować. Przez kilka kolejnych minut Nick próbował skupić się nad gazetą, lecz okazało się to niewykonalne.

– Następnie rożek angielski przestaje nareszcie odgrywać przeciwnika-mazgaja i wprowadza wzruszającą pastoralną melodię, wieszczącą rychłą ucieczkę od świata. Aby dowiedzieć się, jak tego grać nie należy, posłuchajmy Orkiestry Radiowej Caracas, której solista nie wie zapewne o tej istotnej przemianie...

– Skontaktowałeś się z Normanem, Gerald? – spytała Rachel z naciskiem, jakby nie była pewna, czy jej głos przebiję się przez muzykę. Ale pytanie lub rozkaz Rachel miały zawsze pierwszeństwo nad resztą.

– Tak, kochanie, rozmawiałem z nim – odrzekł Gerald, podchodząc do żony, by pomóc jej przy wnoszeniu dużego kosza z żółtymi różami z przydomowego ogrodu. Rachel nie potrzebowała pomocy i tę małą pantomimę małżeńskiej galanterii odegrali oboje niemalże niezauważalnie, jak oczywisty rytuał. – Penny wpadnie pogadać. Norman mówił, że duma nie pozwoli jej pracować dla torysów.

– Ucieszy się z jakiegokolwiek zajęcia – powiedziała Rachel. Norman Kent, autor chimerycznych portretów Toby’ego i Catherine, wiszących w salonie i na półpiętrze, należał do garstki „lewicowych” przyjaciół z czasów studenckich, którym Rachel uparcie dochowywała wierności. Penny była jego ustawicznie zarumienioną blond córką, również

świeżo po Oksfordzie. Miała pracować u Geralda. – Czy Catherine już wstała? Schodziła już na dół?

– Wstała, zeszła i wyszła. Umówiła się z tym facetem z „The Face”.

– Mam nadzieję, że wróci na lunch z twoją matką – powiedziała Rachel, przycinając różę.

– Nie jestem pewien... – Lunch bez córki mógłby okazać się dla Geralda łatwiejszy, tym bardziej że swoją obecność zapowiedzieli Toby i Sophie. Wysłuchał ostatnich uwag o *Ein Heldenleben* i zamyślony wyłączył radio. – Ten facet jest do przyjęcia, prawda, Nick?

– Kto? Russell? Tak. Jest okej. – Poręczywszy za tego człowieka przed dwoma tygodniami, gdy wcale jeszcze go nie znał, Nick czuł się zobligowany do podtrzymania pochlebnej o nim opinii, choć teraz znał go już i nie cierpiał.

– To świetnie. – Gerald ucieszył się, że ta kwestia została rozstrzygnięta.

– A mnie wydał się raczej niebezpieczny – powiedziała Rachel.

– Chyba wiem, o czym mówisz – potwierdził Nick.

– Jednego nauczyliśmy się już z pewnością – mówił Gerald. – Wszyscy jej faceci są cudowni. Nasza dezaprobata to odszczepieństwo. Im mniej imponuje dany delikwent, tym gorliwiej winniśmy go podziwiać.

– Ależ my ubóstwiamy Russella – zauważyła Rachel.

– Wygląda tak sobie – powiedział Nick, który wiedział, że jego przyjaciółkę pociąga w Russellu również ten aspekt; mówiła, że pieprzy się z nim „na oślep”.

– Dajcie spokój... To łobuz, i tyle – podsumowała Rachel z bezlitosnym uśmiechem.

– Zdjęcia, które porobił w Hawkeswood, to czysta złośliwość. Wyszliśmy wszyscy na zgraję kretynów.

– Nie było to trudne – stwierdził dwuznacznie Gerald. Przed tygodniem Catherine pokazała im niektóre z owych fotografii: czarno-białych, ziarnistych, zrobionych bez flesza przy długim czasie naświetlania, wskutek czego ludzkie twarze wyglądały na nich jak makabryczne maski. Szczególne wrażenie robiło zdjęcie Geralda z ministrem spraw wewnętrznych. W wyborze pominięto fotki, na których goście cudzołożą, pokazują sobie nagie pośladki, sikają do fontanny i wciągają kokainę. – „The Face” to magazyn satyryczny, tak? – zapytał Gerald.

– Niezupełnie – odparł Nick. – To raczej kultura popularna... i moda.

– Chętnie przejrzałabym jeden egzemplarz – zasugerowała Rachel. Nick pospieszył więc na poddasze, do pokoju Catherine, gdzie szybko przypomniał sobie, do czego niemalże doszło w tym miejscu przed trzema tygodniami, i z poczuciem, że wtargnął tam bezprawnie, czym prędzej zbiegł na dół. Po drodze zatrzymał się jeszcze na moment przy sypialni Feddenów i rzucił okiem na „The Face”, by sprawdzić, czyjego gospodarze nie zbulwersują się aby zawartością tego periodyku. On sam raczej go lubił, choć wielu rzeczy nie rozumiał. Na okładce tego akurat numeru widniało zdjęcie upudrowanego Boya George’a z warkoczykami, autorstwa Russella. Wchodząc do kuchni, Nick poczuł się zakłopotany, jak gdyby przyniósł tam przez pomyłkę jedno ze swoich pisemek pornograficznych. Podał im jednak magazyn, oni zaś położyli go przed sobą na stole i zabrali się do kartkowania.

– Hm... Zupełnie to to niewinne... – mruknął Gerald.

– Tak. Zwykle pisemko dla młodzieży – powiedział Nick, gotów w każdej chwili wyjaśnić znaczenie tych słów. Nie nadawał się zbytnio na przewodnika po kulturze swych rówieśników, lecz orientował się, że „The Face” nie jest zwykłym pisemkiem dla młodzieży. Feddenowie wpatrywali się teraz w rozkładówkę, która ukazywała półnagich modeli i modelki, rzucających w siebie poduszkami. Gerald zmarszczył brwi, aby podkreślić, że modelki bynajmniej nie budzą jego zainteresowania, Nick zaś uzmysłowił sobie, iż czuje się jak w obecności swoich rodziców, którzy zaczerwieniliby się na widok wszechobecnej w „The Face” erotyki i którzy mówiliby o „bzdurach” i „szmatławcu”, bo słowa „seks” i „erotyka” nie przeszłyby im przez usta. Nick spojrział na pięknych modeli i uświadomił sobie, że on też się czerwieni. – Typografię mają fatalną – powiedział.

– Prawda? – przyznała Rachel. – Można się w tym pogubić. – Wszyscy zaczęli czytać artykuł, który zaczynał się od słów: „«Wyjebać skurwiela!» – mówi Daddy Mambo z zespołu Collision”.

– Okeeej... – Gerald szybko przeszedł do stron z reklamami klubów i nowych płyt. Mniej konsternował go chyba sam magazyn niż to, że oglądała go również Rachel. – Nie znajdziemy tu dzieł naszego młodego geniusza?

– Hm... Zdjęcie okładkowe zrobił właśnie on.

– Rozumiem... – Gerald przyglądał się okładce z miną wykładowcy uniwersyteckiego. – A, rzeczywiście: „fot. Russell Swinburne-Stevenson”.

– Nie wiedziałam, że on ma nazwisko – powiedziała Rachel.

– Ma nawet dwa – zauważył Gerald, jak gdyby ten fakt świadczył na korzyść Russella.

Wszyscy troje wlepili wzrok w karminowy uśmiech Boya George'a i jego osobliwy kapelusik. Dla Nicka nie było w nim nic seksownego, choć taką aurę miał bez wątpienia wokół siebie wytwarzać.

– Boy George to mężczyzna, prawda? – spytała Rachel.

– Owszem – potwierdził Nick.

– Nie tak jak George Eliot?

– Ani trochę.

– Bardzo zasadne pytanie – powiedział Gerald.

Rozległ się metaliczny brzęk dzwonka. – Czy to już Judy? – spytała nieco zirytowana Rachel. Gerald poszedł do holu, z którego dało się po chwili słyszeć dźwięk otwieranych drzwi i donośne, nieprzyjemne „Pan w jakiej sprawie?”. I wtedy serce Nicka zabiło jak szalone, a nieruchome dotąd powietrze w kuchni zadrzało nagle i rozbłysło.

– Dzień dobry panu, panie Fedden, sir – powiedział Leo. – Czy Nicholas jest w domu?

– Hm... Tak... Jest... Nick! – krzyknął Gerald, ale Nick już zbliżał się do drzwi, zaskoczony, zakłopotany, dumny i uśmiechnięty. Po raz pierwszy w życiu odwiedził go kochanek i było w tym coś uroczego gorszącego. Gerald nie zaprosił Leo do środka, tylko cofnął się nieco, żeby przepuścić Nicka i upewnić się jeszcze, czy wszystko w porządku.

– Cześć, Nick.

– Leo!

Nick uściskał mu dłoń i nie puszczając jej, wyszedł na mały ganek z dwiema tokańskimi kolumnami.

– Jak leci? – zapytał Leo z cynicznym uśmieszkiem, lecz jego oczy rwały się już do pieszczot, przekazywały sekretne sygnały. Kiwnął głową do Nicka na znak, że Gerald zniknął w głębi domu, ale musiał usłyszeć jeszcze: – ...to jakiś kumpel Nicka... – i chwilę później: – Nie, czarnuszek.

– Tak się cieszę, że cię widzę – zaczął ostrożnie Nick, bo wolał nie ujawniać skali swojej radości. – Ciągle o tobie myślę i zastanawiam się, co się stało... – Usłyszał w tym zdaniu swoją matkę, która właśnie pod takim tonem skrywała płynące z troski wyrzuty.

Patrzył na Leo, jakby widział go po raz pierwszy: na jego nos, na kilkudniowy zarost, na bojaźliwy półuśmiech, świadczący o nieujawnianej wrażliwości.

– Tak, mówili mi, że dzwoniłeś – powiedział Leo, patrząc na ulicę. Nick przypomniał sobie jego tajemnicze wyznanie, że przejeżdżał kiedyś tamtędy rowerem. – Przepraszam, że nie oddzwoniłem.

– Okej, nic się nie stało – odrzekł Nick, któremu wydawało się, że wyrzucił nagle z pamięci kilka tygodni frustrującego oczekiwania.

– Byłem chory – wyjaśnił Leo.

Nick szybko przełknął tę niewiarygodną wymówkę, która dawała mu wszakże okazję do wyrażenia współczucia tudzież prawo do zadania kilku pytań. – Strasznie mi przykro... – powiedział.

– Coś z płucami – tłumaczył Leo. – Ciągnęło się trochę.

– Ale już jest lepiej?

– O tak! – Leo mrugnął znacząco, a Nick uznał że może zapytać:

– Za dużo seksu na dworze, prawda? – Nigdy nie wiedział, na ile może sobie pozwolić, co zabrzmia żartobliwie, a co okaże się niestosowne. Bał się, że jego niewinność widać jak na dłoni.

– Niedobry chłopczyk – pochwalił go Leo. – Naprawdę niedobry z ciebie chłopiec. – Ubrany był w te same stare dżinsy, co na pierwszej randce; Nick poczuł się wzruszony: znał je, dotykał ich już, darzył je uwielbieniem. Leo miał też na sobie dresową bluzę, znamionującą gotowość do akcji i odpoczynku zarazem, do sportowych wyczynów i do zasłużonego relaksu. – Nie zapomniałem o naszych płasach w zaroślach.

– Ja też je pamiętam. – Nick obejrzał się przez ramię.

– Pomyślałem sobie: gość jest nieśmiały i trochę zadziera nosa, ale w tych sztruksach coś się dzieje; dam mu szansę. I dobrze myślałem!

Nick zarumienił się z radości. Żałował tylko, że nie wie, jak człowiek nieśmiały może zadzierać nosa. Pragnął samych komplementów, tak jak pragnął bezwarunkowej miłości.

– Akurat byłem w okolicy i stwierdziłem, że spróbuję szczęścia. – Leo zmierzył Nicka znaczącym spojrzeniem i dodał: – Muszę wstąpić do starego Pete’a. Mieszka przy Portobello. Chcesz iść ze mną?

– Jasne! – odparł Nick, lecz pomyślał, że wizyta u byłego faceta Leo nie podoba mu się jako pomysł na drugą randkę.

– Tylko na momencik. Pete źle się ostatnio czuje.

– Strasznie mi przykro... – powiedział Nick, tym razem bez śladu zaborczego współczucia w głosie. Zbliżała się do nich wolno czarna taksówka; na tylnym siedzeniu siedziała jakaś niecierpliwie wyglądająca zza szyby persona. Pojazd zatrzymał się tuż przed gankiem i kierowca wyciągnął rękę przez otwarte okno, sięgnął do klamki i uchylił drzwiczki. Gdy pasażerka (którą Nick rozpoznał jako lady Partridge) dalej tkwiła na swoim miejscu, taksówkarz – o dziwo – sam postanowił wysiąść i osobiście otworzyć jej drzwi. Opatrzył tę czynność wytwornym ukłonem, skwitowanym przez lady oschłym skinieniem głowy.

– Kim jest ta stara jędza? – zapytał Leo. Rzeczywiście było coś jędzowatego w spojrzeniu, jakie skierowała na obu mężczyzn, i w jaskrawoniebieskim kostiumie, który bardziej pasował na elegancką kolację niż na zwykły rodzinny lunch. Nick uśmiechnął się do niej szeroko i krzyknął: – Dzień dobry, lady Partridge!

– Dzień dobry – odparła chłodnym tonem postaci z pierwszych stron gazet, witanej przez anonimowego fana. Nick nie mógł uwierzyć, że lady go nie zapamiętała, i dodał z komiczną bez mała uprzejmością:

– Lady Partridge, czy mógłbym przedstawić pani swojego przyjaciela, Leo Charlesa? – Teraz widział już z bliska żakiet staruszki wyszywany srebrną i czarną nitką, o łuskowatej fakturze, z prującymi się już tu i ówdzie włókienkami.

– Witam pana – oznajmiła przesadnie serdecznym tonem, z którego wszelako przebijała pewność, że widzą się po raz pierwszy i ostatni. Leo wyciągnął dłoń na przywitanie, lecz ona wyminęła go szybko i zniknęła w drzwiach domu. – Gerald! Rachel! – zawołała, jak gdyby oni mogli jej przywrócić poczucie bezpieczeństwa.

Targ staroci na Portobello Road znajdował się ledwie dwie minuty piechotą od zielonych drzwi Feddenowego domostwa, toteż nie było już czasu na romantyczną scenę miłosną. Leo prowadził swój rower jedną ręką, a Nick szedł niespiesznie obok niego; zapewne wyglądał normalnie, lecz wydawało mu się, że z jednej strony zaostrzyły mu się wszystkie zmysły, z drugiej zaś stał się istotą ponadzmysłową, jak gdyby wznosił się nad samym sobą. Przypuszczał, że niebawem nauczy się sobie z tym radzić, teraz jednak, jako początkujący, chwiał się jeszcze i kręciło mu się w głowie. Chciał zadać pewne istotne pytanie, lecz z jego ust padły słowa z tym niezwiązane: – Widzę, że wiesz już, kim jest Gerald.

– Twój wyborny pan Fedden? – odparł Leo z kamienną twarzą, jak gdyby wiedział, że „wyborny” to jedno z ulubionych słów Geralda. – Wyczułem, że czegoś nie chcesz mi powiedzieć, a to zawsze mnie drażni, taki już jestem. Poza tym twój znajomek z ogrodu, ten Geoffrey, gadał coś o parlamencie, i pomyślałem sobie, że sprawdzę to w pracy, wiesz: lista okręgów wyborczych, *Who is who* i tak dalej.

– Rozumiem. – Nick czuł się mile polechtany w swojej próżności, a zarazem odrobinę zaskoczony tym pierwszym nawiązaniem do zawodowych obowiązków Leo. Sam, rzecz jasna, przeprowadził podobne dochodzenie, kiedy zakochał się w Tobym. Pamiętał, z jakim przejęciem sprawdzał datę urodzenia Geralda, jego ulubione rozrywki czy listę zajmowanych przezeń stanowisk; fakty te miały zastąpić intymne szczegóły z życia jego syna – pocałunki i wszystko inne, czego Nick z Tobym chciał zaznać. Podejrzewał, że jego przyjaciel nie podchodził do swego śledztwa w ten właśnie sposób.

– Nieźle wygląda jak na torysa – powiedział Leo.

– On chyba podoba się wszystkim prócz mnie – odrzekł Nick. Leo uśmiechnął się przebiegle. – Ja wcale nie mówię, że mi się podoba. Wygląda jak ktoś z telewizji.

– Pewnie niebawem do niej trafi. A jeśli chodzi o wygląd, to po obu stronach barykady trafiają się potwory, prawda?

– Prawda.

Nick zawahał się. – Konserwatyzm jest jednak ubogi od strony estetycznej.

– To znaczy?

– Niebieski to straszny kolor.

Leo pokiwał głową w zadumie. – To chyba nie jest największy problem torysów. Weekendowy tłum służył miarowo po stromej płaszczyźnie ulicy – od stacji metra w stronę rynku. Antykwariat Pete’a znajdował się w łukowatym rzędzie sklepów po lewej, opatrzone były szyldem PETER MAWSON wytłoczonym złotymi – niczym u jubilera – literami na czarnym tle i mimo że był tego dnia otwarty, witrynę przysłaniała spuszczone krata. Leo popchnął drzwi i tuż potem żelazna wycieraczka zabrzączała mu pod stopami jak ostrzegawczy dzwonek. Nick przechodził już wcześniej obok tego sklepu, gdy był on zamknięty na cztery spusty, a przed drzwiami leżał stosik zaniedbanej korespondencji. Przez szybę dojrzał dwa empiryczne stoły o blatach z marmuru, stojące po obu stronach drzwi, w głębi zaś pomieszczenie, które bardziej przypominało zapuszczony magazyn aniżeli normalnie działający sklep.

Z zaplecza dobiegał głos Pete'a. Leo oparł o coś swój rower i ruszył przed siebie, a Nick, stojąc w miejscu, patrzył przez chwilę pożądliwie na jego znikającą postać, na jego taneczny krok. Usłyszał, jak Pete odkłada słuchawkę, jak obaj całują się na powitanie i obejmują. – Nie... – mówił Pete. – Czuję się trochę lepiej.

– Przeszedłem tu z Nickiem. To mój nowy kumpel, fajny gość – powiedział Leo głupawo wesółkowanym głosem, a Nick pomyślał, że czeka ich wszystkich kilka niezręcznych chwil. Bał się, że powie coś niestosownego, że jego odmiana ironii i posiadana przez niego wiedza nie ma wiele wspólnego z życiem społeczności gejowskiej. Wizja męsko-męskiej pary, choć ciekawiła go i podniecała, wciąż miała w sobie posmak skandalu. Wprawdzie on i Leo przyszli tu razem, lecz parą sensu stricto nie byli.

– Pokaż mi go – powiedział Pete, gdy razem z Leo wracał do głównej części sklepu.

– Poznajcie się. Pete... Nick... – Leo uśmiechnął się i zachęcił ich gestem do podania sobie dłoni. Nick po raz pierwszy widział go w takiej roli: jako człowieka, który swoim urokiem osobistym próbuje pokryć oczywistą niezręczność sytuacji; pomyślał, że jeśli nie znał go dotąd od tej strony, to jest w nim również wiele innych nieodkrytych dotąd cech.

– Pete jest moim starym przyjacielem, znamy się od bardzo dawna. – Leo znowu wpadł w cockneyowski akcent, znamionujący u niego uległość. – Prawda, kochanie?

Ściskając dłoń Nicka, Pete wzdrygnął się, jak gdyby czynił to z najgłębszą niechęcią.

– Widzę, że znowu niuchasz po przedszkolach, staruszk.

Leo uniósł brew. – No... Nie będę przypominać ci, ile lat miałem ja, gdy wyciągnąłeś mnie z kołyski.

Nick roześmiał się skwapliwie, choć takie wygłupy raczej go nie bawiły, a wzmianki na temat przeszłości Leo sprawiały mu ból, jakiego się nie spodziewał. Oczyma wyobraźni zobaczył przyjaciela w kołysce i Pete'a, który go z niej wyciąga. Cieszył się zwykle, że jest stosunkowo niski i ma świeżą cerę, lecz nie chciał, by traktowano go jak dziecko. – Gwoli ścisłości, mam dwadzieścia jeden lat – burknął ironicznie.

– Patrzcie go! – rzucił Pete.

– Nick mieszka bardzo blisko – powiedział Leo. – W Kensington Park Gardens.

– Tylko pozazdrościć...

– Mieszkam tam tylko chwilowo, w domu kolegi ze studiów. Leo taktownie przemilczał szczegóły. – Nick zna się na meblach – powiedział. Jego stary nimi handluje.

Pete wzruszył ramionami i powiódł wzrokiem po swym skromnie wyposażonym sklepie. – Możesz się rozejrzeć... – powiedział, a grzeczność nakazała Nickowi skorzystać z owej sugestii. Dawni kochankowie wdali się tymczasem w prześmiewczą pogawędkę, którą Nick usilnie zagłuszał nuceniem sobie w duchu bezgłośnych melodyjek. Obejrzał kilka krzeseł w stylu Ludwika XVI, chłopięcą główkę z marmuru, komodę pokrytą pozłacanym brązem i parę stołów pod oknem, które skojarzyły mu się z umywalkami w Hawkeswood. Na jednej ze ścian wisiał ogromny i raczej ponury gobelin, ukazujący bachiczne tańce pod czerwonymi i brązowymi drzewami. Gobelin nie mieścił się na ścianie, przez co na jego zagiętym przy podłodze krańcu szeroko uśmiechnięty satyr wyginał się nienaturalnie jak człowiek-guma.

Jedynym obiektem zasługującym na baczną uwagę był sam właściciel sklepu. Miał czterdzieści kilka lat, rudoblond włosy, rzędzące już w jednym miejscu, i szpakowatą bródkę. Był szczupły, nieco wyższy od Nicka i Leo, lecz trochę przygarbiony. Miał na sobie stare dżinsowe spodnie i koszulę. I najważniejsze: wyczuwało się w nim agresję i arogancję człowieka zmęczonego już życiem, jak gdyby wciąż żył w epoce zaciętych bojów seksualnych, a Nick był dla niego jedynie godnym lekceważenia chłop ty siem, który nigdy o nic walczyć nie musiał. Tak przynajmniej tłumaczył sobie Nick dokuczliwy dyskomfort, ową mieszaną poczucia wyższości i onieśmienia w każdym swoim kontakcie z realnie istniejącym światem gejów. Wcześniej wyobrażał sobie Pete'a jako starego ciotowatego antykwariusza, z muszką i starannie przyciętą brodą, teraz zaś ujrzał kogoś zupełnie innego, przez co inaczej patrzył również na Leo. Ten ostatni wsparł teraz swoje wspaniałe pośladki na krawędzi biurka. Nick stwierdził, że jego przyjaciel czuje się świetnie w obecności tego nieszczerólnie atrakcyjnego i niemłodego już mężczyzny, że robił z nim setki rzeczy, o których on sam mógł wciąż tylko sobie pomarzyć. Był ciekaw, jak i kiedy zakończył się ich romans; obydwaj sprawiali wrażenie pogodzonych z obecnym stanem rzeczy, z tym, że coś kiedyś było, że tego nie ma i tak jest dobrze. Zazdrościł im, chociaż nie o to mu w końcu chodziło. Nic wcześniej o tym związku nie mówiąc, Leo prowadził z Nickiem grę albo po prostu taki już miał sposób bycia. Z drugiej strony jeżeli Pete był w guście Leo, wybór Nicka na jego następcę wydawał się mało prawdopodobny.

– Rzuć okiem na to, Nick – krzyknął Pete, jak gdyby nie chciał zaniedbywać gościa.
– Wiesz, co to jest?

– Ładne – powiedział Leo.

– Nawet bardzo ładne – poprawił go Pete. – Ludwik Piętnasty. Nick powiódł wzrokiem po odkształconych już trochę Boullé’owskich inkrustacjach. – To jest *encoignure, n’estce pas?* – spróbował zaimponować Pete’owi.

– Po naszymu to kredens narożnikowy – powiedział właściciel sklepu. – Gdzieś ty go znalazł, malutki?

– Na ulicy – odrzekł Leo. Spojrzał czule na Nicka i mrugnął doń okiem. – Był taki zagubiony...

– Jest niewinny jak dzieciątko – ciągnął Pete.

– Jeszcze tak – potwierdził Leo.

– To gdzie ma sklep ten twój ojciec? – zapytał Pete.

– W Barwick. W Northamptonshire.

– Wymawiacie to „Barick”?

– Tylko ci przesadnie drobiazgowi.

Pete zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i kaszlnął. Wyglądał jak człowiek, który zaraz zwymiotuje. – Barwick... Tak... Znam Barwick. To jest dość stara miejscina, prawda?

– Z pięknym osiemnastowiecznym ratuszem – powiedział Nick, licząc, że dzięki paru szczegółom Pete przypomni sobie jego miasto.

– Kupiłem tam kiedyś biurko w stylu dyrektoriatu, *bombé*; wiesz, o czym mówię.

– Pewnie nie u nas. Prawdopodobnie w antykwariacie Gastona. Mój ojciec handluje głównie angielskimi meblami.

– I co? Jak mu się ostatnio wiedzie?

– Tak sobie, prawdę mówiąc – odparł Nick.

– A tutaj, kurwa, panuje zastój. Cofamy się. Jak nasza burdelmama porządzi jeszcze ze cztery lata, to wszyscy wylądujemy na ulicy. – Pete znowu kaszlnął i machnął ręką na Leo, który chciał mu odebrać papierosa. – Jak długo jesteś w Londynie, Nick?

– Koło... sześciu tygodni.

– Sześć tygodni... Rozumiem. Robisz obchód po mieście czy polujesz tylko w tej okolicy? Byłeś już w Volunteer?

Widząc, że Nick się waha, Leo powiedział: – Wolę, żeby nie łąził po tych spelunach. Przynajmniej nie przed sześćdziesiątką, jak reszta.

– Zwiadam to i owo – powiedział Nick.

– A gdzie młódź się teraz włóczy?

– No, jest Shaftbury. – Nick wymienił nazwę klubu, w którym Polly Tompkins, jak sam twierdził, dokonał licznych podbojów.

– Ty chyba w ogóle nie jesteś typem klubowicza, prawda? – zapytał Leo.

– Mógłby wpaść kiedyś do Liftu – rzekł Pete – jeżeli lubi czekoladę. Nick zaczerwienił się i pokręcił głową. – Nie jestem pewien... – Był speszony przez wzgląd na Leo, ale zarazem oczarowany tak precyzyjną definicją swojego gustu, którego sam lepiej określić by nie umiał, którego sam wcześniej bynajmniej nie określał.

– A kiedy poznałeś naszą pannę Leontynę?

Umiał podać dokładną datę, lecz wolał powiedzieć: – Jakies trzy tygodnie temu – ponieważ czuł się głupio, udzielając szybkich i konkretnych odpowiedzi na zadawane kpiarskim tonem pytania Pete'a. Bez zmruczenia oka przyjął nadanie przyjacielowi żeńskiego imienia; potrafił wcześniej przez całe długie rozmowy mówić o Pollym Tompkinsie „ona”, lecz nigdy nie rozumiał, czemu ma to służyć, i nigdy go to nie bawiło.

– Tak ją nazywam – powiedział Pete. – Leontyna Dobrze Wyceniona. Mam nadzieję, że trzymasz już w pogotowiu książeczkę czekową.

Trudno było odpowiedzieć coś sensownego na te słowa. Leo mruknął tylko: – Ty chyba za bardzo się nie znasz na wycenianiu, prawda, Pete?

Nick zachichotał. Obrażona mina zniknęła powoli z napiętej twarzy Pete'a, który dalej palił, wpatrując się teraz w ponury gobelin na ścianie. Był to zapewne jeden z tych towarów, które nigdy nie znajdują nabywcy i które trzeba w końcu oddać za darmo, bo przynoszą pecha właścicielowi. Nick przypomniał sobie, że Pete jest chory, ale na co, tego nie wiedział. – To cholerne łóżko – powiedział Pete. – Nie mogę go sprzedać. – W tej chwili zadzwonił telefon i Pete musiał pójść na zaplecze.

Łóżko było rozebrane na części: jego rowkowane wsporniki, bogato zdobiona kwadratowa rama baldachimu i wezglowie leżały oparte o ścianę. – Rzućmy okiem – powiedział Leo i przechodząc obok Nicka, otarł się o jego ramię. Starał się okazywać czułość zarówno Nickowi, jak i Pete'owi, lecz najwyraźniej nie miał ochoty oglądać łóżka. Na wszelki wypadek woleli niczego nie dotykać. Nick wodził wzrokiem po wyblakłej poźłocie i niewypolerowanych krawędziach, które po złożeniu stają się niewidoczne. Przez całe życie patrzył na meble inaczej niż wszyscy; z dzieciństwa pozostało mu

wrażenie, że stoły i kredensy to małe drewniane budynki, do których można wpełznąć na czworakach, a rzeźbione ozdoby powinny zawsze znajdować się na wysokości twarzy. Naszła go chęć, aby czym prędzej zmontować ten doprawdy okazały mebel i szybko się na nim położyć. Leo przykucnął i wlepił wzrok w obrazek na wezglowiu. – Bardzo to ładne – powiedział. – Podoba ci się?

Nick stał za nim i patrzył na niego jak wtedy, gdy na pierwszej randce Leo odpinał linkę od roweru. Po chwili, zawstydzony, przeniósł wzrok na damy w rozłożystych spódnicach, na ich odzianych w kaftany kochanków trącających struny lutni, na niebieskie i srebrne drzewa. Następnie znowu spojrzął w dół, na odstające w pasie luźne dzinsy przyjaciela, na jego jędrne pośladki i prowokująco napiętą gumkę slipów. Setki razy wracał w myślach do tamtego momentu, który nabrał symbolicznych niemal wymiarów i silniej zapisał się w pamięci niż późniejszy seks w ogrodzie. Otrzymał teraz drugą szansę, bardziej pociągającą od poprzedniej, i jeśli się wahał, to tylko ze zwykłej u niego obawy przed wizją rozkoszy. – Podoba mi się, a jakże – powiedział.

Leo przysiadł na piętach. – Widzisz?

Nick westchnął z szerokim uśmiechem. – Owszem, widzę – szepnął, odurzony figlem, którego mógł teraz spłatać nieobecnemu ciągle Pete'owi.

– Naprawdę ci się podoba? – powtórzył wesoło Leo.

– To jest... piękne – wyszeptał Nick. Zerknąwszy na drzwi od zaplecza, wsunął rękę i przekonał się, że tym razem nie ma tam niebieskich slipów, są tylko gładkie, zaokrąglone, wygolone pośladki. Po kilku sekundach Nick wyprostował się i łagodnym ruchem objął dłońmi szyję Leo, ten zaś poprawił się, żeby nie upaść, i parę razy potarł ramieniem o wyrzuszenie na spodniach Nicka.

– Mmm... Naprawdę ci się podoba? – powtórzył raz jeszcze.

– Nawet bardzo.

Gdy Pete wrócił z zaplecza, obydwaj wałęsali się po sklepie z rękami w kieszeniach. – Nie uwierzycie... – powiedział Pete. – Chyba sprzedałem to łóżko.

– Naprawdę? – zapytał Leo. – Nick właśnie się nim zachwycał. Ale podobno trzeba nad nim trochę popracować, co, Nick?

Kilka ostatnich minut w antykwariacie Nick spędził w stanie osobliwego rozbawienia. Nie umiał się skupić na tym, co mówili Leo i Pete, i pozwolił sobie na radośnie egoistyczną dekoncentrację. Wystawione na sprzedaż meble nabrały nagle

silniejszego poluru, a jednocześnie przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Pete musiał przeczuwać że coś jest na rzeczy, że coś wisi w rozedrganym powietrzu. Mógłby pozwolić sobie na zgryźliwy komentarz, ale o dziwo nic nie powiedział. Jego romans z Leo, myślał Nick, istotnie należy już do przeszłości, pewnie postawił na nim krzyżyk i niczego już nie oczekuje. A szkoda, bo mógłby być choć odrobinę zazdrosny.

– Musimy zjeść lunch – oświadczył Leo. – Jestem głodny. A ty, Nick?

– Umieram z głodu – odkrzyknął wesoło Nick.

Wszyscy roześmiali się i podali sobie dłonie. Pete uścisnął Leo, który jednak delikatnie go od siebie odepchnął i klepnął po przyjacielsku w ramię.

Sunęli wolno spadzistą ulicą, potrąceni przez poirytowanych ludzi, których gęsta masa przelewała się w jedną i drugą stronę. Wszystko to było dla Nicka zupełnie nowe: szedł obok mężczyzny niesionego tym samym wzbierającym prądem odwzajemnionych uczuć; słyszał tykanie kół w jego rowerze, zaglądał wraz z nim do mijanych po drodze sklepików lub na stragany ze starociami. Nie wspomnieli już o lunchu, co bardzo Nicka cieszyło. W ogóle nie odzywali się prawie i tylko co rusz spoglądali sobie w oczy i rozplýwali się w cudownie bezwstydnym uśmiejach. Dreszcz pożądania przepływał Nickowi przez uda, ścisnął w żołądku, dusił w gardle. Nick prawie jęczał między jednym a drugim uśmiejem, jak gdyby czuł się niegodny obietnicy takiego szczęścia. Szedł jeden krok za Leo, kręcąc powoli głową, i żałował, że nie może zamienić się w jego dzinsy, pieszczące rytmicznie nogi ich właściciela. Co kilka chwil lekkim dotknięciem zwracał uwagę kochanka a to na jakieś krzesło, a to na talerz, a to na punka ze stojącymi sztywno włosami. On, właśnie on został wybrany przez Leo spośród wszystkich mężczyzn, którzy odpowiedzieli na anons, i to on mógł teraz dotykać jego pośladków. Leo nie odwzajemniał mu się wprawdzie tym samym i popatrywał wciąż na mijających ich seksownych chłopców, ale nie mieli oni żadnego znaczenia, stanowili niekonieczne urozmaicenie albo uzupełnienie pożądania, którego głównym przedmiotem był Nick. Przeciskając się przez tłum, Nick nadrabiał wieloletnie zaległości w swej edukacji sentymentalnej, nareszcie poznawał życie.

Pod obszytym frędzlami zadaszeniem jednego ze straganów dostrzegł profil Sophie Tipper, która przeglądała bogatą kolekcję starych pierścionków i bransoletek, przypiętych do poduszeczki z czarnego aksamitu. Pomyślał, że Sophie trzeba zignorować

i nie dać się zauważyć. Wróciła cała zadawniona zazdrość, jaką w nim kiedyś budziła. Potem jednak tuż za nią pojawił się Toby i również pochylił się nad pierścionkami z uśmiechem świadczącym o kurtuazyjnym zainteresowaniu – zupełnie jak mąż przy żonie. Oparł brodę na jej ramieniu, ona coś do niego szepnęła, a Nick poczuł się nieswojo na widok tej niemalże rodzinnej sielanki. Oboje tworzyli doprawdy piękną parę, która odcinała się efektownie od niepięknego rzeczywistości pchlego targu; wyglądali wręcz jak para modeli, emanujących subtelną poświatą. Nick odwrócił się i zaczął rozglądać za upominkiem dla Leo. Podejrzewał, że spotkanie z Tobym i Sophie może okazać się niefortunne. – Cześć, Guest! – krzyknął Toby. Obszedł stragan, chwycił Nicka za ramię i pocałował go mocno w policzek.

– Cześć... Toby... – Całowanie w policzek stanowiło novum w ich wzajemnych stosunkach; zaczęło się na przyjęciu w Hawkeswood, a sankcjonowała je poniekąd obecność Sophie. Toby czynił to z niejaką ulgą, jak gdyby akt ten anulował wcześniejsze zakłopotanie, spowodowane brakiem powitalnych pocałunków. Dla Nicka było to z jednej strony cudowne, czuł bowiem przez chwilę przy sobie ciepłe ciało Toby'ego, z drugiej jednak napawało go smutkiem, bo na nim kończyły się wszak czułości, bo na nic innego liczyć już nie mógł.

– Cześć, Nick! – powiedziała Sophie, całując go w oba policzki serdecznie, bez mała nadgorliwie; była przecież obiecującą aktorką. Nick chciał przedstawić im Leo, ale obawiał się, że sytuacja stanie się niezręczna. Przypomniawszy sobie swój pijacki bełkot z Hawkeswood i stwierdził, że zbliża się jedna z tych nieuchronnych, acz zawsze zaskakujących chwil, kiedy myślenie życzeniowe musi zderzyć się z rzeczywistością.

– Spóźnicie się na lunch – powiedział tonem, który sam uznał za niezbyt grzeczny.

– Wiem – odparł Toby. – Babcia zażyczyła sobie obecności Sophie i staramy się nie przyjść za wcześnie.

– Twoja babcia jest wspaniałą kobietą – rzuciła Sophie z udawaną irytacją.

– Jasne, to fantastyczna staruszka – przyznał Toby. Podobne zdania padały z jego ust, gdy w sposób nieszczerze oryginalny przechwalał się słynnymi znajomkami swoich rodziców. Uśmiechał się teraz nieśmiało do Leo. Gdyby nie było Sophie, pomyślał Nick, można by zaprezentować tutaj Toby'ego jako wspaniałego eksponat z przeszłości, a kto wie, czy nie coś więcej... W tej wszakże sytuacji Toby był jednoznacznie określony i jego osoby nie dało się poddać żadnym manewrom.

– Sophie Tipper, Toby Fedden, Leo Charles. – Nick dokonał niezbędnej prezentacji, a Leo dwukrotnie powiedział „Leo”, ściskając rękę obojgu nowo poznanym.

– Tak... – mówił Toby – ... super... Wiemy o tobie wszystko. – i zachęcająco się uśmiechnął.

– Naprawdę? – Leo okazał sceptycyzm.

– Leo jest nowym chłopakiem Nicka – wyjaśniła Sophie Toby’emu. – To naprawdę rewelacyjne spotkanie.

Przerażony Nick rzucił okiem na Leo, który pozostawał niewzruszony, jak gdyby podkreślał, że ma jeszcze wybór. Pewność siebie i sytuacji sprzed kilku zaledwie minut wydawała się teraz czystym szaleństwem. – No cóż... Nie chcemy popełnić falstartu – powiedział.

– Cudownie, cudownie – mówiła Sophie, tak jakby od dawna już przejmowała się do głębi nieszczęśliwym życiem miłosnym Nicka i chciała w tej chwili udzielić mu podwójnego błogosławieństwa: nie dość, że miał nareszcie chłopaka, to jeszcze na dodatek czarnego.

– Nick trzymał go tylko dla siebie – powiedział Toby. – Ale przyłapaliśmy cię na gorącym uczynku, że się tak wyrażę. – Zarumienił się przy tych słowach.

– Tak tu sobie spacerujemy – odezwał się Leo.

– Wspaniale. – Toby wyglądał na równie jak Sophie przejętego tym, co podpowiadała mu wyobraźnia. Nick podejrzewał, że były po temu głębsze powody: oto spadnie z niego ciężar niewyrażonych nigdy oczekiwań i adoracja, jaką darzył go dotąd Nick, przeniesie się na innego mężczyznę. Jak mógłby powiedzieć Gerald, jest to zaprawdę wielce pożądane. Niewykluczone, że Sophie również to wyczuwała. Może nawet rozmawiali o tym ze sobą przed zaśnięciem, by szybko o sprawie zapomnieć, niczym o strąconych w pośpiechu butach leżących przy łóżku... – A więc nie pójdziecie z nami na lunch? – zapytał Toby.

– Nie dostałem zaproszenia – odparł Leo, wesoło kręcąc głową. Nick szybko umknął przed wizją koszmarnych mediacji między segmentami jego życia, ułożonymi w linię: Leo – Gerald – Toby – Sophie – lady Partridge...

– Trudno. Może innym razem – powiedział Toby. – Musimy już lecieć, pesteczko. Ale powinniśmy niedługo znowu się spotkać.

– Wiedziałam, że nie znajdziemy żadnego pierścionka – odezwała się Sophie z irytacją maskującą wdzięk maskujący twardego charakter.

– Wrócimy tutaj po lunchu. Dziewczynie należy się pierścionek – rzekł Toby tonem, który nieco rozdrażnił Nicka.

Jak dotąd Leo ironicznie kontemlował Toby'ego i Sophie, lecz teraz rzucił nagle: – Ja już ciebie gdzieś widziałem – i popadł w lekkie zakłopotanie. Na twarzy Sophie malowało się wahanie połączone z niekłamana przyjemnością. – Może się mylę – dodał Leo – ale czy ty nie grałaś w *Angielskiej róży*?

Sophie, rozczarowana, udawała, że próbuje sobie przypomnieć. – Niezupełnie... W tym akurat nie grałam.

– To była Betsy Tilden – zauważył Nick.

– Tak, dokładnie, Betsy... Ale na pewno już cię widziałem...

Nick chciał wyjaśnić, że Sophie grała tylko w jednym odcinku *Bergeraca* i studenckiej produkcji *Biała diabllica*, sfinansowanej zresztą przez jej ojca i wyświetlonej raz jeden, późnym wieczorem, w kinie The Gate.

– Występowałam w filmie pod tytułem *Biała diabllica* – powiedziała Sophie, jakby zwracała się do dziecka.

– Zgadza się! – potwierdził Leo. – Tak! Fantastyczny film! Strasznie mi się podobał.

– Cieszę się. To miło z twojej strony.

Leo wpatrywał się w nią z uśmiechem, jak gdyby sceny z tego filmu przewijały mu się przez głowę i nakładała się na nie czarodziejsko postać stojącej przed nim kobiety. – Tak. Wtedy on go truje i... A ty widziałeś ten film, Nick? Widziałeś *Białą diabllicę*?

– Przegapiłem, aż mi głupio – odrzekł Nick, choć świetnie pamiętał studentów bawiących się w filmowców, rozbijających się dżipami, noszących w nocy ciemne okulary; postać Flamineo odtwarzał niejaki Jamie Stallard, cedzący słowa półgłówek z Martyrs' Clubu, którego Nick szczerze nienawidził.

– Wiesz... Ten facet... Jamie, zgadza się? On jest... ach...

– Wiem – odparła Sophie. – Domyśliłam się, że jest w twoim guście.

– I nie pomyliłaś się, dziewczyno – roześmiał się Leo, poweselały i rozzuchwalony.

– Ale on nie jest chyba... Nie mów, że on jest...

– Obawiam się, że nie. Wiele osób mnie już o to pytało.

Leo przyjął ten fakt z filozoficznym spokojem. – Kiedy znowu będą to grali, na pewno zabiorę go ze sobą – powiedział, jak gdyby oboje myśleli, że Nick, ten kulturalny, wykształcony i znający klasyczne tragedie mężczyzna, był pierwszym lepszym nieukiem.

– Okej – zgodził się Nick. Uznał, że lepiej spędzić parę godzin w ciepłym wnętrzu kina niż w parku za krzakami. – Opowiem ci o Jamiem Stallardzie – dodał.

Leo jednakże bardziej interesował się Sophie. – A jakie masz plany na przyszłość? – zapytał. Nick spojrzał przeproszająco na Toby'ego, który wyrozumiale pokręcił głową, jak gdyby mówił, że związek z obiecującą aktorką spycha go często na drugi plan. Z kolei Sophie sprawiała wrażenie wielce podekscytowanej – zarówno usłyszanymi pochlebstwami, jak i tym, że po raz pierwszy rozmawiała z kimś pokroju Leo i że szło jej to całkiem nieźle. – Dam ci znać – powiedziała. – Wyciągnę od Nick a twój numer.

Nick zazdrościł Toby'emu pewności siebie. Czuł się urażony względami, jakie Leo okazywał Sophie; czuł się jak małe naiwne dziecko, bo wcześniej przedstawiał go Sophie jako swojego faceta. – Naprawdę musimy już lecieć, pesteczko – powiedział Toby. W tym czułym przydomku było coś tak niepoważnego, że Nick nagle przestał się wszystkim przejmować.

Potem wszakże, kiedy w milczeniu szli z Leo ulicą, opadło go poczucie, że traci kolejną szansę, że nurza się w nieustannej potencjalności. Kończyny mu zeszywniały, a dłonie piekły, jakby po zabawie śnieżkami ogrzewał je nad otwartym ogniem. Przypomniały mu się inne niewykorzystane okazje, kiedy to albo zawiodły go nerwy, albo też czekał radośnie i beczynn timer na dalszy rozwój wypadków. Cała wylewność, którą Leo okazywał najpierw Pete'owi, a potem Sophie, ulotniła się gdzieś, i teraz bez słowa przeciskali się obaj przez gęsty tłum na ogłuszająco głośniejszy ulicy. Nick spojrzał na towarzysza z niewyraźnym uśmiechem, a Leo wygiął szyję w jego stronę, znudzony, obojętny. – Dokąd masz ochotę się wybrać? – zapytał Nick.

– Nie wiem, mój chłopaku – odrzekł Leo.

Nick roześmiał się ponuro. – Do jakiejś kafejki? Do restauracji indyjskiej? – zdobył się na kolejne pytania. – Może na sandwicza?

– Coś bym chętnie schrupał – powiedział Leo typowym dla siebie tonem zgryźliwej ironii i spojrzał Nickowi prosto w oczy. – Ale na pewno nie jest to sandwicz.

Nick wolał nie domyślać się znaczenia tych słów. – Rozumiem... – odrzekł. Leo odwrócił głowę i wlepił wzrok w stragan z kolekcją brązowych i zielonych naczyń z

przydymionego szkła, których błysk kojarzył się z życiem rodzinnym, z domem i stabilizacją.

– Jak byłem ze starym Pete’em, to miałem przynajmniej jakieś lokum – stwierdził Leo. – A z tobą... Gdzie my teraz pójdziemy?

Czyżby to była jedyna przeszkoda, jedyny problem? – Wiem, jesteśmy bezdomni – przyznał Nick.

– Bezdomna miłość – podsumował Leo. Wzruszył ramionami i kiwnął głową, jak gdyby zastanawiał się, czy ta zgrabna fraza nadaje się na tytuł piosenki.

5

Nick wybrał dogodny moment przed kolacją, żeby uiścić należność za pokój. Takie sytuacje zawsze byty niezręczne. – Mój drogi... – zareagowała Rachel, jak gdyby dwa dziesięciofuntowe banknoty stanowiły niepotrzebny naddatek, równie zbędny jak bombonierka czy kwiaty od gości, a przy tym nieco kłopotliwy. Szukała wzrokiem miejsca, na które mogłaby odstawić miskę z morelami. – A na pewno nie...

Nick wzruszył ramionami i prychnął niby to poirytowany: – Ależ skąd. – A przecież wydał właśnie pięć funtów na taksówkę i w ogóle nie był ostatnio oszczędny, więc rzeczywiście wolałby nie płacić.

– Cóż... Dziękuję. – Rachel wzięła banknoty, złożyła je i przez moment zastanawiała się, gdzie można by je położyć. Potem zjawili się Gerald i Borsuk Brogan, którzy wracali z kortu tenisowego: najpierw zabrzączał żelazny stopień przy drzwiach do ogrodu, a następnie obaj stanęli w kuchni niczym dwaj ogromni spoceni chłopcy po powrocie z placu zabaw. W pierwszej sekundzie Gerald zauważył odbywającą się transakcję, lecz w drugiej rzucił szybko: – Powaliłem go na łopatki! – i cisnął raketą na kuchenną kanapę.

– Łzesz, Fedden, na Boga! – odparował Borsuk. – Było sześć do czterech, Rachel, w trzecim secie.

Gerald pokręcił głową, delektując się odniesionym zwycięstwem. – Dałem mu trochę pobiegać.

– Świetnie do siebie pasujecie – stwierdziła Rachel.

Zdanie to nie spodobało się chyba żadnemu z graczy. – Postanowiłem nie podważać wątpliwych decyzji autowych – powiedział Borsuk. Kręcił się chwilę przy stole: podniósł łyżeczkę i od razu ją odłożył, po czym to samo uczynił z praską do czosnku. Nick uśmiechnął się, jakby bawiła go dramatyczność ich rozgrywki, choć w gruncie rzeczy nie podobała mu się swoboda, z jaką Borsuk poruszał się po domu, i duch

współzawodnictwa, jaki budził on w Geraldzie, zawłaszczając przy tym jego osobę. – Cześć, Nick! – rzucił swoim ciekawskim sarkastycznym głosem.

– Cześć, Borsuk – przywitał się Nick. Był trochę zakłopotany, bo pod nieobecność witanego naśmiewał się z żółtawo-siwego paska na jego ciemnych włosach, wpisując się tym samym w rodzinną tradycję traktowania Borsuka jako postaci osnutej swoistą legendą. Wolał jednak zwracać się do niego w ten sposób, niż mówić mu Derek, brzmiało to bowiem nazbyt poważnie, krytycznie, może nawet wrogo.

Borsuka z kolei najwyraźniej zdumiewała obecność Nicka w domu starych przyjaciół i uciekał się do zabawnych forteli, by to zjawisko wreszcie zrozumieć: zadawał podchwytliwe pytania, wracał do zapomnianych już skandali i emocjonował się każdą nową sensacją. – Jak minął dzień, Nick? – zapytał.

– Normalnie – odrzekł zapytany. – Poranek w katalogu bibliotecznym, potem czekanie na realizację rewersów, a po południu szkolenie bibliograficzne „Sygnatury wariantów tekstowych”. – Chciał jak najprędzej znudzić sobą Borsuka, chociaż jemu samemu tytuł owych zajęć kojarzył się z tym, co po południu robił naprawdę: poszedł mianowicie na węgry i przez dwie godziny kochał się z Leo w parku Hampstead Heath, Takiego skandalu nie przełknąłby nawet Borsuk, który tuż po przyjeździe określił jednego ze swych oksfordzkich przyjaciół jako „obmierzłego pederastę”.

– Zawieszenie broni – zaproponował Gerald.

– Okej, Kielbasko – zgodził się Borsuk, używając przydomka, który co nieco denerwował Nicka, a który na szczęście nie budził obiekcji ostrożnego Geralda. Stali teraz obok siebie w białych strojach tenisowych i popijali wodę z cytryną, wzdychając z uśmiechem przy każdym haucie. Z nóg Geralda wciąż nie zeszła opalenizna, a jego zadziwiająco jędrne pośladki zakrywały teraz markowe szorty. Borsuk był niższy i wyglądał znacznie mniej świeżo; jego koszulka zdradzała ślady przepocenia i przekrzywiła się od nieustannego ocierania nią twarzy, a starym, sfatygowanym tenisówkom daleko było do nowiutkich adidasów Geralda, w których wydawał się niemalże pływać w powietrzu.

W drzwiach pojawiła się Elena z krwistym jelenim combrem zapiekany w cieście. Wrześniowy ubój jeleni w Hawkeswood i dwutygodniowe przechowywanie ich w spiżarni Feddenów stanowiło ciężką próbę dla Eleny i wielkie święto dla Geralda, który zawsze urządzał w tym okresie szereg wystawnych przyjęć. Kiedy Elena stawiała ciężką tacę na

stole, do kuchni weszła Catherine, osłaniając oczy dłońmi, żeby nie widzieć przyniesionego mięsa. – Ależ popatrz tylko, Koteczko! – wykrzyknął Borsuk.

– Na szczęście nie będę musiała nawet patrzeć na was w trakcie konsumpcji – odparła Catherine. Mimo to rzuciła okiem na comber z demonstracyjną odrazą.

– Wychodzisz, Kotku? – Gerald stracił nagle cały entuzjizm i posłał córce marsowe spojrzenie.

– Zostaniesz chociaż na drinka, kochanie? – zapytała Rachel.

– Może i tak, jeśli zdążę – odrzekła Catherine. – Czy tu będą tylko panowie z parlamentu?

– Nie – powiedział Gerald. – Twoja babka nie jest w parlamencie.

– I dzięki Bogu – zauważyła Catherine.

– Ani Morden Lipscomb...

– Spodziewamy się jednak dwóch panów z Izby Gmin. – Trudno było domyślić się, czy zdaniem Rachel jest to za dużo, czy może za mało.

– Owszem. Nawiedzą nas Timms i Groom! – cieszył się Gerald, jak gdyby nie było na świecie lepszych kompanów do biesiadowania.

– To ten facet, który nigdy nie mówi „dzień dobry”!

– Raczysz żartować – zaprotestował Gerald. – Na pewno już komuś powiedział. Sam słyszałem...

– Jeżeli zjawi się tutaj Morden Lipscomb, to ja nie zdejmuję płaszcza. Ten człowiek przyprawia mnie o dreszcze.

– Morden to ważna osobistość – tłumaczył Gerald. – Ma dostęp do prezydenta.

– Czy Nick dorzuci jakąś kasę? – spytała Catherine.

Nick zatrzepotał powiekami, a Gerald odparł: – Nick nie musi się dokładać. Jest... Jest naszym domownikiem.

Catherine spojrzała na Nicka drwiąco, jak gdyby oboje byli dziećmi Feddenów: on dobrym, ona złym. – Uroczy z niego dworzanin, no nie?

– Catherine nie będzie na kolacji – zwróciła się Rachel do Eleny. – Jedno nakrycie mniej. Tak, jedno mniej. – Elena zniknęła w jadalni, aby wprowadzić niezbędne zmiany, ale po chwili wróciła zbulwersowana.

– Pani Fed, tam jest trzynaście.

Rachel przeprasząco wzruszyła ramionami.

– No... Tak... Chyba nie ma wśród nas triskaidekafobów... – powiedział Gerald. Feddenowie lubowali się w nazywaniu rozmaitych fobii, jako że Catherine cierpiała już w swoim czasie na aichmo-, dromo-, keno- i nyktofobię, jeśli nie liczyć kilku bardziej prozaicznych fobii. Elena nie знаła się jednak na takich zabawach i przygryzając usta, czekała na dalsze decyzje.

– No widzisz? Będziesz musiała zostać – powiedział Borsuk i niezręcznym ruchem objął Catherine. – Jak można oprzeć się pokusom tak pięknej dziczyzny?

– Hm... – mruknęła Catherine. – Wygląda, jakby przyniesiono ją tu prosto ze szpitala polowego. – I spojrzała ponuro na Nicka, który uznał, że to pewnie przez aichmofobię, czyli lęk przed ostrymi przedmiotami, krojenie mięsa jest dla niej nie do zniesienia. Rodzice wiedzieli o jej wcześniejszych przygodach z nożami, lecz usunęli je z pamięci, gdy – jak im się wydawało – problem definitywnie zniknął. Ostatnią historię z nożami do mięsa znał tylko Nick.

– Ja mogę wypaść z listy – powiedział. – Wtedy liczba nakryć nieco się zaokrągli. – Lubił dobrze naoliwioną pompę kolacji w Kensington Park Gardens, lecz miał przy tym świadomość, że jest zakochany i w trakcie przyjęcia miast skoncentrować się na rozmowie, będzie tylko uśmiechać się w blasku świec i snuć marzenia o Leo. Już teraz w rozedrganym powietrzu unosiły się wspomnienia spędzonych z nim chwil.

– Nie, nie – mruknęła Rachel i pokręciła głową ze zniecierpliwieniem.

– Podejmiemy to ryzyko, Elena! – zdecydował Gerald. – *Si... va bene...* Nick, będziesz musiał być ostatnim nieparzystym... – Elena wróciła do jadalni z nieszczęśliwym wyrazem twarzy, którego nie zauważał nikt oprócz Nicka i którym nikt prócz niego się nie przejmował. – Nie żyjemy w dwunastowiecznej Kalabrii – zaczął Gerald, ale przerwał mu dzwoniący telefon. Zdjął słuchawkę ze ściany i rzucił: – Fedden – swoim nowym rzeczowym tonem. – Tak... Dzień dobry. Co takiego? Tak, jest tutaj... Tak, proszę... Hm... Do ciebie... – Podał słuchawkę Nickowi. – To Leo. – Nick zaczerwienił się, jak gdyby jego myśli sprzed kilku chwil stały się nagle dostrzegalne dla wszystkich. W kuchni zapadła cisza. W spojrzeniu Geralda surowość mieszała się z rozczarowaniem. A może było to tylko roztargnienie i irytacja tym, że przerwano mu wypowiedź.

– Jeżeli dzwoni Leo, to będą ze sobą gadać dość długo – zauważyła Catherine. Rachel ze zrozumieniem kiwnęła głową. – Tak, możesz rozmawiać w gabinecie –

powiedziała. – Gerald spojrział wymownie na Nicka. Najwyraźniej nie spodziewał się, że brutalna rzeczywistość gejowskiego życia, której część stanowiły telefoniczne pogaduszki pederastów, kiedykolwiek zagości w jego domu. Skinął wszakże głową i rzucił przyjaźnie: – Nie ma problemu. Czerwony telefon.

– Aaa... Linia specjalna – powiedział Borsuk, który wyczuwał już wiszący w powietrzu skandalik. Schodząc do holu, Nick stwierdził ze zdumieniem, że Rachel wie, co się święci, i że stara się go chronić. Gerald w gruncie rzeczy nigdy nie dostrzegł ludzi, z którymi się stykał, i traktował ich jak trybiki w maszynie społecznej, sprzyjające jego poczynaniom albo stojące mu na przeszkodzie; jego słynna gościnność maskowała jedynie brak talentu w nawiązywaniu głębszych kontaktów z innymi. Wszystko to Nick uzmysłowił sobie, otwierając drzwi gabinetu, aby tuż potem zanurzyć się w surrealistycznej atmosferze prowadzonej półszepem rozmowy z Leo, właśnie tam, przy biurku Geralda, w jedynym w tym domu pokoju wyrażającym gust tego człowieka. A był to gust rażący nijakością: zielone skórzane fotele i mosiężne lampy tworzyły tu scenografię, w której Gerald oddawał się własnej odmianie czysto męskiego spiskowania.

– Wybornie. – Leo znowu użył wyrazu, którym na poły wyśmiewał świat Nicka, na poły zaś starał się do niego dopasować. – Wybornie, doprawdy...

– Dobrze ci dzisiaj było? – zapytał Nick.

– Nie mogę narzekać – odparł Leo.

Nick rozchmurzył się i uśmiechnął szeroko, – Myślałem, że raczej znośnie.

– Ty możesz to znieść, bo nie jeździsz rowerem.

Nick obejrzał się na półprzymknięte drzwi. – To dla ciebie za dużo? – zapytał z nieopuszczającym go od kilku tygodni poczuciem ogromnej swobody, z poczuciem, że może powiedzieć wszystko i cokolwiek powie, będzie absolutnie na miejscu.

– Niedobry chłopczyk – wymruczał Leo.

– Mmm... Mów tak dalej.

– Co porabiasz?

– No cóż... – Cudownie było rozmawiać z Leo, lecz trudno było odgadnąć, dlaczego w ogóle dzwonił, tym bardziej że zrobił to po raz pierwszy. Nicka ogarnął lekki niepokój, aż w końcu uświadomił sobie, że Leo pragnie zaznać tej prostej przyjemności, jaką daje rozmowa z kochankiem sama w sobie i dla siebie; tak samo mówił zresztą o seksie. – Siedzę za biurkiem Geralda z gigantyczną erekcją – odparł Nick.

Chwila milczenia i szept Leo: – Nie podpuszczaj mnie. Obok jest moja stara.

W gabinecie zrobiło się już szarawo, więc Nick pociągnął za łańcuszek, którym włączało się biurkową lampkę, i ujrzał oprawne w srebrne ramki zdjęcia Rachel i pani premier. Gerald to bigamista-pantoflarz, pomyślał. Duży notes otwarty był na jednej z ostatnich stron; widniały tam skreślone ręką Geralda słowa: „Barwick: Agent (Manning) – żona Veronica, NIE Janet (żona Parkera)”. Zapytawszy beztrzesko Parkera o Veronikę, a Manninga o Janet, Gerald musiał wyglądać dość głupio. Nick znał oczywiście Janet Parker, która współ-kierowała dużym domem towarowym i śpiewała w miejscowej operetce. – A co będziesz robić później? – dopytywał się Leo.

– Szykuje się tutaj wystawna kolacja – odrzekł Nick. Zauważył, że próbuje wyrzucić na Leo wrażenie swoim życiem w Kensington Park Gardens, a zarazem gotów jest w każdej chwili to życie deprecjonować. – Na pewno będzie nudnawo.

– Na pewno?

– Zwali się kupa ohydnych torysów – zachichotał Nick. Usiłował imitować sposób wysławiania się przyjaciela i przejąć równocześnie jego punkt widzenia.

– Babcia też przyjdzie?

– Ma się rozumieć.

– Stara suka. – Afront, którego doznał Leo podczas ich krótkiego spotkania przed domem, wtedy zupełnie zlekceważony, odezwał się teraz jak niezagojona rana. – Powinieneś mnie zaprosić. Mógłbym pociągnąć tę fascynującą rozmowę.

Temat wizyty Leo w domu Feddenów pojawiał się raz po raz i równie szybko znikał. – Słuchaj, może uda mi się z tego wykręcić – powiedział. – Wydało mu się raptem, że logika tego wieczoru, cała ta etykieta i środowiskowe przesady istotnie odstręczą go od Kensington Park Gardens, by wepchnąć prosto w ramiona Leo. – Na pewno się z tego wykręcę – powtórzył i poczuł zarazem, że może lepiej byłoby to spotkanie odłożyć, pozwolić sobie na chwilę romantycznej separacji i upajać się jeszcze przez jakiś czas wspólnie spędzonym popołudniem. Każdy dzień ma swój charakter, swoją sinusoidę, przez co niespodziewana zmiana planów mogłaby go zeszpecić.

– Nie,.. Baw się dobrze – powiedział Leo, powodowany zapewne tym samym instynktem. – Napij się wina.

– Tak, niewykluczone, że pójdę za twoją radą. Chyba że masz lepszy pomysł... – Nick uśmiechnął się frywolnie i przekręcił na wysokim obrotowym fotelu z czarnej skóry,

w którym mógłby zasiadać kapitan statku kosmicznego. Sznur od czerwonego telefonu napiął się groźnie.

– Trudno cię nasycić, prawda? – zapytał Leo.

– To dlatego, że cię kocham – odparł śpiewnie Nick, rozkoszując się wypowiedaną prawdą.

Leo pozwolił sobie na chwilę taktycznego milczenia. – Mówisz to wszystkim swoim chłopakom – odrzekł chłodno. Aby wytrzymać takie reakcje Nick tłumaczył sobie, że mają one tylko ukryć nieśmiałość. Przenicował w myślach usłyszane słowa i znalazł w nich to, co znaleźć pragnął. – Nie, tylko tobie – szepnął.

– Uhm. Aaa... – Leo ziewnął przeciągle i nienaturalnie. – Wpadnę jeszcze do starego Pete’a. Ciekawe, co tam u niego.

– Rozumiem – rzucił Nick błyskawicznie. – Pozdrów go ode mnie. – Ogarnął go zdumiewający niepokój.

– Nie omieszkam.

– Jak jego zdrowie?

– Niespecjalnie. Ta choroba wysysa z niego życie.

– To smutne. – Nick uznał, że musi uszanować uczucia przyjaciela i powstrzymać się od dalszych pytań. Powiódł wzrokiem po biurku, żeby skoncentrować się na tym, gdzie jest obecnie, zamiast wybiegać myślami do urojonych pieszczot Leo i Pete’a. Zauważył gruby maszynopis, opatrzony nadrukiem „Z biura Mordena Lipscomba – Bezpieczeństwo narodowe w erze nuklearnej”, pokreślony przez Geralda na dwóch pierwszych stronach, z jego wyraźnym dopiskiem: „Zapamiętać: zagrożenie nuklearne”.

– Okej, malutki – powiedział cicho Leo. – Niedługo się zobaczymy. Może w weekend, co? Kończymy, bo mama chce zadzwonić.

– Jutro się odezwę...

– Dobra... Miło się gadało.

Nick stał jeszcze przez moment w cichym gabinecie, drżący, z zaciśniętymi ustami, i upajał się tym ciepłym, choć jak zwykle cynicznym „miło”. Leo był w domu i nie mógł, rzecz jasna, powiedzieć nic więcej. I to popołudnie... Cudownie, że w ogóle zadzwonił. Ta rozmowa miała stanowić romantyczny dodatek, ale gdy w grę wchodziły słowa, grunt robił się niepewny: spomiędzy maków wyrastały pokrzywy. Przez kilka chwil Nick przeżywał dramat rozłąki z kochankiem; widział, jak w gęstniejącym mroku Leo jedzie

dokądś swoim rowerem, on zaś stoi tu dalej, w tym koszmarnym gabinecie z szafkami na dokumenty, z karafkami i ogromnym, dopiero co oprawionym zdjęciem stu jeden nowych torysów w Izbie Gmin.

Po powrocie do kuchni stwierdził, że większość domowników rozeszła się już, aby wziąć kąpiel lub się przebrać, a rytm tych rodzinnych obrządków jeszcze bardziej wzmógł w nim poczucie nierzeczywistości. Została tylko Rachel, która wiecznym piórem wypisywała wizytówki dla gości, mające trafić na biesiadny stół. Spojrzała teraz na Nicka czujnie i troskliwie zarazem, świadoma, że łatwo go w takiej chwili urazić. – I co? – zapytała.

– Dziękuję, świetnie – odparł, narzucając sobie nagle pogodną wizję życia, w którym dzieje się więcej, niż można się było spodziewać, a równocześnie znacznie mniej.

– Jak myślisz, mam wpisać Borsuk czy Derek? Może zostanę przy Dereku, w końcu to oficjalna wizyta.

– I oficjalne wizytówki – zauważył Nick.

– Otóż to! – Rachel dmuchnęła na schnący atrament i znowu spojrzała na Nicka. – Wiesz co, mój drogi? Możesz tu przyprowadzać przyjaciół...

– Tak, rozumiem... Dziękuję...

– Wszyscy czulibyśmy się bardzo źle, gdybyś sądził, że nie możesz nikogo zaprosić. Dopóki tu mieszkasz, jest to również twój dom. – Nicka uderzyły i rozżłościły słowa „wszyscy” i „dopóki”, które z jednej strony świadczyły o łaskawości Feddenów, a z drugiej miały przypomnieć, że nie będzie tu mieszkał do końca życia.

– Wiem, to bardzo miłe. Oczywiście, może w przyszłości...

– Catherine mówiła mi, że masz... nowego... hm... przyjaciela. – Zagubiła się na moment; chciała okazać wielkoduszność, lecz nie wiedziała, jak określa się taką osobę. – Pamiętaj, że będzie tu mile widziany.

– Dziękuję – powtórzył Nick i uśmiechnął się, zaczerwieniony. Nie dość, że sprawa się wydała, to jeszcze można było o niej mówić otwarcie. Nick czuł ulgę, choć wiedział zarazem, że nic mu po takiej jawności, że nie zdobędzie się na ściągnięcie Leo do Kensington Park Gardens; mógł tu najwyżej przyprowadzić jakiegoś sympatycznego białego studenta, z którym wypiłby nijaką herbatkę i przez cały wieczór zadręczał się własnym tchórzostwem.

– Po wyprowadzce Toby’ego – mówiła Rachel – staliśmy się parą starych ponuraków. Zrób to dla nas, proszę! – W ustach czterdziestosiedmioletniej kobiety, która urządza właśnie kolację dla trzynastu osób, słowa te pobrzmiwały uroczą przesadą, lecz w pewnym stopniu były prawdziwe: Rachel nie traktowała Nicka jak własnego syna, co wiązałoby się z awansem i jednocześnie większą swobodą w kontaktach, ale istotnie przyzwyczała się już do tego, że w domu zawsze jest młody mężczyzna i że zaprasza on przyjaciół. Złożyła wizytówki i podeszła do Nicka, a ten pocałował ją w policzek, co ona najwyraźniej uznała za wielce stosowne.

Toby i Sophie przyszli jednak na kolację, a ponieważ zjawili się przed czasem, Nick udał się z nimi do salonu i spędzili tam razem trochę czasu, popijając dżin z tonikiem. Przynieśli ze sobą atmosferę błęgiego samozadowolenia, klimat wspólnego życia w mieszkaniu w Chelsea i rysującej się przed nimi wspaniałej przyszłości, kiedy to będą mogli podwinąć nogi na własnej sofie bądź oprzeć łokieć na gzymsie kominka w pokoju równie ogromnym jak ten salon. Toby wdzięcznie odgrywał rolę „małżonka”, a Sophie, niczym dziecko, które odkryło w sobie nową moc, przypominała wciąż o swoich prawach złośliwymi przytykami pod jego adresem i drobnymi gestami zniecierpliwienia. Gdy odegrała scenkę, w której Toby zgrzyta zębami przez sen, Nick roześmiał się ostrożnie, zaproszony na moment do ich sypialni, lecz popełniony przez nią nietakt podziałał na niego dziwnie krzepiąco. Może i Sophie słyszała chrapanie Toby’ego, może widziała, jak przewraca się na drugi bok, ale nie miała dostępu do romantycznej, rozmarzonej aury, otaczającej go przez dziesiątki wonnych oksfordzkich nocy. Dla Nicka Toby również był dzisiaj bardzo miły. Opuścił swe zwykłe miejsce przy kominku i położył się na dywaniku przy krześle przyjaciela, który mógł dzięki temu pogłaskać go po karku. Przez kilka chwil Sophie wyglądała na nieco zdezorientowaną, lecz z tą sytuacją także umiała sobie w końcu poradzić. – Powinniście częściej się widywać – powiedziała. – Pasujecie do siebie. – Nie minęła minuta, a Toby, ewidentnie zakłopotany, wstał, aby, jak utrzymywał, poszukać jakiejś książki.

– A co z twoim cudownym przyjacielem? – zapytała Sophie.

– Mówisz o Leo?

– O Leo – potwierdziła.

– On... On jest po prostu... cudowny. – Nick nie przyzwyczał się jeszcze do tego, by temat tak dla niego intymny, osadzony w najgłębszej warstwie jego obaw i fantazji,

stanowił przedmiot swobodnych pytań. Toby odwrócił się od regału z zachęcającym uśmiechem na ustach.

– Tak... To cudowny mężczyzna. – Sophie nie umiała pociągnąć wątku i podtrzymać rozmowy, która utknęła obecnie w martwym punkcie.

Nicka uradowała ta opinia Sophie o Leo, choć odnosił się do niej nieufnie. – Cieszył się, że mógł was poznać – powiedział.

– Aha – mruknęła Sophie, jak gdyby był to fakt oczywisty.

– Jest twoim fanem, pesteczko – odezwał się Toby.

– Zauważyłam. – Sophie skromnie spuściła wzrok. Miała na sobie czerwoną sukienkę bez ramiączek, w której nie było jej do twarzy. Ciemnoblond włosy, w Oksfordzie długie, a teraz skrócone i zaczesane do tyłu jak u Diany, drżały przy każdym ruchu jej głowy.

– Sophie dostała rolę w teatrze – powiedział Toby.

– Óóóó...

– Musimy pójść na premierę, Nick.

– Koniecznie – przyznał Nick. – W czym występujesz?

Sophie wzdrygnęła się: – W sumie mogę ci powiedzieć – odrzekła, jakby zmuszono ją do zdradzenia ustalonej już daty ślubu. – Gram w *Wachlarzu lady Windermere*...

– Rewelacja! Świetnie cię obsadzili. – Była to zdumiewająco poważna rola, ale Nick umiał wyobrazić ją sobie jako młodą, natrętnie moralizującą kobietę, która przycinając róże w swym westminsterskim salonie, wypowiada te wszystkie koszarne kwestie.

– Nie wiem, co z tego wyjdzie. Reżyserem jest straszny awangardysta, gej, nawiasem mówiąc... Twierdzi, że przygotuje interpretację dekonstrukcjonistyczną. Mnie to nie martwi, ma się rozumieć, bo przerabiałam dekonstrukcję, ale nie wiem, co na to mama i tata.

– Nie możesz przejmować się zdaniem rodziców – powiedział Nick.

– To prawda – przyznał Toby. – Poza tym twoja mama jest bardzo na czasie. Chodzi na nowoczesne koncerty i tak dalej.

– Tak, nie będzie zaszokowana... Toby zachichotał.

– Ale twój ojciec zasłynął uwagą, że Szekspir niepotrzebnie przyszedł na świat.

– Nie wiedziałam, że zasłynął tą uwagą – odparła Sophie, trochę urażona. Gdyby Maurice Tipper istotnie zasłynął jakąś sentencją, odnosiłaby się ona raczej do stopy

zysku lub dywindendy dla akcjonariuszy. – Powiedział to po wystawieniu *Perykliesa* w ogrodzie Worcester College, gdzie pogryzły go komary.

– Mhm – mruknął Nick, który zapamiętał z tego spektaklu nieśmiałą fanfaronadę Toby'ego w roli jednego z panów tyryjskich oraz Sophie w roli Mariny.

– Nie masz litości dla mojego biednego tatusia – rzekła Sophie w wyjątkowo afektowany sposób, jak gdyby stała już na scenie.

Do salonu weszła Catherine, ubrana w kusą błyszczącą sukienkę, na którą narzuciła jasnoszary płaszcz. Na nogach miała połyskujące pończochy i czarne buty na wysokich obcasach.

– Dobry Boże! – wykrzyknął Toby.

– Cześć, kochanie – rzuciła Catherine do Sophie i pochyliła się poufale, by ucałować ją w policzek. Siostra Toby'ego stanowiła największe wyzwanie dla Sophie w romansie z młodym Feddenem, o czym zresztą Catherine wiedziała i co umiała wykorzystać, traktując dziewczynę brata ze swoiście troskliwym poczuciem wyższości. W przeciwnym razie to właśnie Sophie odnosiłaby się do niej w ten sposób. – Śliczna sukienka – powiedziała.

– Dzięki. – Sophie uśmiechnęła się i zamrugła.

– Wychodzisz, siostruniu? – zapytał Toby.

Catherine ruszyła w stronę stolika z drinkami. – Wychodzę wieczorem – oświadczyła. – Russell zabiera mnie na premierę w Stoke Newington.

– A gdzież to jest? – pytał Toby.

– To znana dzielnica Londynu – wyjaśniła Catherine. – I bardzo modna, prawda, Soph?

– Oczywiście, kochanie. Musiałeś o niej słyszeć – odparła Sophie.

– Żartowałem – powiedział Toby, a Nick pomyślał, że to prawda, po Tobym nie spodziewano się żartów, gdy zaś próbował rzucić coś dowcipnego, nigdy nie było pewności, czy aby nie jest to na poważnie. Nagle Nick ujrzał imprezę, nie taką jak ta obecna, tylko hałaśliwą imprezę z piwem i dymem haszyszowym, przez który przedzierałby się ze swoim kochankiem jako kochankiem właśnie, poczuł ukłucie bólu i pozazdrościł Catherine. Była to dziwna mieszanka znanych mu imprez oksfordzkich z czymś, co znał tylko z telewizji – z domem pełnym czarnych ludzi.

– Pójdę na górę poszukać spodni – powiedział Toby. – Wybierasz się na popijawę do Nata, Nick?

– Co takiego? – I znowu ukłucie bólu na myśl o innej odmianie imprezy, tym razem czysto heteryckiej, takiej, na której jego obecność nie byłaby mile widziana.

– Nat robi imprezkę w stylu lat siedemdziesiątych – wyjaśnił Toby.

– Nikt mnie nie zaprosił – odparł Nick z uśmiechem, myśląc o niemalże czułej bliskości między nim a Natem w Hawkeswood, gdy upaleni siedzieli przy sobie na podłodze królewskiej sypialni. – W Londynie?

– Bynajmniej. On to robi w tym zafajdanym zameczku.

– Czy nie jest trochę za wcześnie na fetowanie lat siedemdziesiątych? – zapytał Nick. – Przecież to była makabryczna dekada, po co do niej wracać? – Sam chętnie zobaczyłby ten zamek, a raczej starą fortecę z wnętrzami projektu Wyatta.

– Chłopcy z prywatnych liceów lubią wracać do okresu pokwitania, prawda, Soph? – zauważyła Catherine, która wróciła właśnie z bardzo dużym drinkiem.

– Wiem coś o tym – przyznała poirytowana Sophie.

– Niektórzy robią tak przez całe życie – dodała Catherine. Stała przy kominku, oparła rękę na biodrze i kołysała się już w rytm muzyki przyszłości, przyszłości, w której nie będzie miejsca na takie nonsensy.

Toby przepraszająco wzruszył ramionami i podsumował: – Obym tylko znalazł spodnie z epoki disco!

Mało brakowało, a Nick zapytałby: – Te fioletowe, tak? – ponieważ wiedział, gdzie leżą, gdyż przeczesał cały pokój Toby'ego, przeczytał jego pamiętnik z lat szkolnych, obwąchał podszewkę jego starych kąpielówek, a nawet podjął próbę wciągnięcia owych fioletowych spodni (musiał stanąć głupawo na za długich dla niego nogawkach). Mimo to kiwnął głową i dopił resztkę džinu z tonikiem.

Do salonu wszedł Gerald, ubrany w ciemny garnitur oraz różową koszulę z białym kołnierzykiem i niebieskim krawatem. Ustanowił w ten sposób standard elegancji, dla innych, jak zdawał się mówić, absolutnie nieosiągalny. Wymownym uśmiechem dał do zrozumienia, że nie zamierza reagować na wybryki córki, która w makintoshu na mikrosukience wyglądała na niemalże nagą. Borsuk wykazał się mniejszą ostrożnością. – Mój Boże... Dziewczyno! – powiedział, jak tylko pojawił się w salonie.

– Nie jestem „dziewczyną”, tylko twoją córką chrzestną, wuju Borsuku – zauważyła Catherine z zuchwałością typową dla nieco młodszych dzieci.

Borsuk zmarszczył brwi i odkaszlnął. – Otóż to – powiedział. – Przyrzekałem dbać o twoją moralność, prawda? – Zatarł ręce i obrzucił Catherine uważnym spojrzeniem.

– Jestem pewna, że mało kto uważa cię za fachowca w tej dziedzinie – odrzekła. Wypiła łyk dżinu i usiadła okrakiem na niskim fotelu.

– Nie stawiasz sobie wysokich wymagań, prawda, Kotku? – zapytał Gerald.

– To mój pierwszy, tato.

Nick domyślał się, że Gerald woli zachować ostrożność, bo Catherine nastawiona jest wyjątkowo buntowniczo. Borsuk, który ciągle przyglądał się jej badawczo, połyskiwał siwawym pasmem na świeżo umytych włosach i sprawiał wrażenie człowieka groźnego, niegodnego zaufania; zdaniem Toby’ego w niektórych krajach afrykańskich ludzie nie nazywali go borsukiem, lecz określali jednym z wielu słów odnoszących się tam do hieny. Bez wątplenia krążył teraz, wygłodzony, żądny takiej czy innej stawy. Jego nieprzyzwoite przekomarzanie się z chrzestną córką mogło mieć miejsce tylko dlatego, że było jednym wielkim błazeńskim żartem.

Catherine została wystarczająco długo, by przywitać się z każdym i sprawdzić, czy rzeczywiście Barry Groom nigdy nie mówi „dzień dobry”. Gerald również przyłączył się do tej zabawy i powiedziawszy do Grooma „dzień dobry”, nie tylko uścisnął mu dłoń, ale też przykrył ją swoją drugą dłonią, jak gdyby prowadził kampanię wyborczą. Barry rozejrzał się dokoła z podejrzliwym uśmiechem. – Jestem zdumiony, Gerald – powiedział, nie wypuszczając dłoni gospodarza na tyle długo, by wprawić go w lekką dezorientację. – Zielone drzwi wejściowe I To ma niewłaściwy wydźwięk. – Rozległy się śmiechy, bardziej serdeczne i wieloznaczne, niż oczekiwał, i dopiero po kilku długich sekundach zdołał się z nimi oswoić. Chodził z Geraldem po salonie i każdemu gościowi, któremu go przedstawiono, kiwał głową na powitanie, żadnemu jednak nie powiedział „dzień dobry”. Podając dłoń Catherine, powiedział: – Oho! Niebiańska istota! – Catherine zapytała go o żonę; odparł, że ciągle parkuje samochód.

Z jednej strony dobrze się stało, że Catherine mimo wszystko została na kolacji, że można było ją pokazać, że mogła wraz z resztą rodziny zabawiać gości; z drugiej strony przedstawiała swoją osobą niemały problem, irytując wszystkich narzuconym na

sukienkę makintoshem. Gerald żywił nadzieję, że jego córka czym prędzej się z domu ulotni, a płaszcz tę nadzieję podsycił. Co jakiś czas zerkał na Catherine, jakby chciał coś jej powiedzieć, lecz uznał w końcu, że lepszy już płaszcz niż osłonięte nim nagie ciało. Nie ukrywał niechęci, z jaką przedstawiał ją Mordenowi Lipscombowi. Stary siwy Amerykanin, dysponujący jeszcze resztkami uroku osobistego, ściskając jej dłoń, uśmiechnął się ironicznie, jak gdyby popełniono przy nim niedyskrecję, której nie wolno mu zauważyć. Przyglądali się temu Nick i Toby. Ten ostatni powiedział: – Boże... Moja siostrzunia wygląda jak dziewczyna, która zwabia klientów do lokalu striptizowego.

– Raczej jak zwykła striptizerka – poprawiła go Sophie.

Lady Partridge weszła do salonu niepewna wrażenia, jakie chce wywrzeć; pragnęła okazać, że czuje się tutaj swobodnie, jak w domu, czyniąc zarazem ze swego przybycia doniosłe wydarzenie. Potem zaś jej wahanie co do uzyskanego już efektu wzmagaly jeszcze problemy ze słuchem. Borsuk przyniósł jej drinka i roztoczył przed nią swoje flirciarskie talenty, na co ona ochoczo przystała. Lubiła Borsuka, którego znała od dziecka i którym opiekowała się, kiedy będąc u nich na wakacjach, zachorował na świnkę. Ciągłe wracano do tamtej historii, stanowiącej poniekąd fundament ich przyjaźni, choć wiązało się z tym pewne ryzyko, jako że w czasie choroby jądra Borsuka rozrosły się ponoć do wielkości grejpfruta. Nick słyszał kiedyś, jak żartują na ten temat, i przypomniały mu się równie bezwstydne rozmowy z rodzicami, które ustały, gdy wszystko się zmieniło i stało nienazywalne.

Przez cały czas Nick myślał o Leo; tworzył on dla niego niewidzialny kontekst, w którym wszyscy ci przerażający ludzie witali się ze sobą, spierali, przekazywali gratulacje. Nikt o tym nie wiedział, przez co rzecz zyskiwała na uroku i bardzo Nicka bawiła. Przyrządził sobie kolejną porcję dżinu z tonikiem, w stylu Geralda, z przewagą jałowcówki nad chininą, i błąkał się po salonie, zważając jedynie na tych gości, którzy zdecydowali się go zagadnąć. Drugi i ostatni na tej imprezie członek Izby Gmin, John Timms, stał ze swoją małżonką Gretą przed obrazem Guardiego. Oboje wyglądali na zagubionych i rozczarowanych przyjęciem, jak gdyby trafili nie tam, gdzie trafić zamierzali. On miał na sobie szary garnitur, a ona niebieską sukienkę ciężową z białą kokardą na wysokości szyi; pomyśleć by można, że pani premier jest przy nadziei i trzeba jej złożyć należny hołd! John Timms, pełniący funkcję podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, był od Geralda o kilka lat młodszy i odznaczał się

przedwczesną powagą, świadom doniosłości poruczonych mu zadań. O ile Barry Groom nie mówił „dzień dobry”, o tyle John Timms wydawał się nigdy nie mrugać. Spojrzenie jego nigdy nigdzie nie błędziło i emanowało czymś bez mała zmysłowym, głos zaś hipnotyzował jednostajnym tempem i tonem, niezależnie od treści wypowiedzianych słów. Jestem człowiekiem z wizją, zdawał się mówić, ale nie dam się ponieść zdradliwym emocjom. Rozmowa toczyła się teraz wokół wojny falklandzkiej i konieczności uczczenia zwycięstwa stosownym monumentem tudzież ustanowienia dorocznego święta narodowego, by tę wiktorię należycie upamiętnić. – To wydarzenie równie ważne jak bitwa pod Trafalgarem – powiedział Timms, a jego żona, pragnąca gorliwie utwierdzać męża w jego i tak niezachwianych już przekonaniach, dodała: – Można by wrócić do świętowania tamtej bitwy. Zwycięstwo pod Trafalgarem trzeba świętować co roku, bo inaczej nasze dzieci zapomną o wojnie z Francją... – John Timms powiódł wzrokiem po salonie, uradowany gorliwością małżonki, sam wszakże niezbyt skłonny do głoszenia tak radykalnych postulatów. Nie przedstawiono go Nickowi (w gruncie *rzeczy* Timmsowie rozmawiali tylko ze sobą), którego zlustrował teraz uważnie. – A pan – powiedział – pan jest zwolennikiem wzniesienia takiego monumentu, nieprawdaż?

– Hm... Sam nie wiem... – odparł Nick, starając się nie urazić rozmówcy. Zdumiał go własny brak zdania w roztrząsanej kwestii, zdumiewała go pewność Timmsa. Wyobraził sobie, że stoi przy nim Leo i koryguje fakty, wysuwa obiekcje, których Nick nigdy nie mógł spamiętać. Minęła ich Catherine; testująca każde z powstałych w salonie towarzyskich centrów dowodzenia. – Rozmawialiśmy właśnie o Falklandach – powiedział Nick.

– Z tego, co wiem, pani premier obstaje przy corocznej defiladzie – mówił Timms – oraz budowie okazałego monumentu. To było jej wielkie zwycięstwo.

– Jej i żołnierzy – wtrąciła się Greta Timms, podniecona, jakby przewalała się przez nią burza hormonów. – Żołnierze stanęli na wysokości zadania.

– To prawda, kochanie – przyznał Timms. – Wykazali się heroizmem.

– No nie, ja nie mogę... – Catherine zasłoniła uszy dłońmi i szeroko się uśmiechnęła. – Nie mogę znieść słów, które kończą się na – izm. Chyba mnie rozumiecie?

– A ja – odrzekła Greta Timms – bardzo te słowa lubię.

– Dobra... Znikam! – rzuciła Catherine z uśmiechem, który zapewne przez całe jej życie będzie uchodził za rozbijający i znamionujący ogromną wrażliwość. Rozległ się nieskoordynowany chórek rozmaitych „na razie”, „pa” i „ona już idzie?”, lecz jej odejście przyjęto z ulgą, jak gdyby była dzieckiem odesłanym nareszcie na nocny spoczynek. – Na razie, babciu! – pożegnała się głośno z lady Partridge, cmokając ją na środku salonu. – No to do rana, tato. – I zabrawszy torebkę, opuściła towarzystwo, stąpając dumnie na swych wysokich obcasach. Lady Partridge rzuciła okiem na Mordena Lipscomba, by sprawdzić, w jakim stopniu zdziwił go i rozbawił spektakl, odstawiony właśnie przez rzekomą bywalczynię sex-klubów, a tym samym chcąc sprawdzić, jak bardzo będzie musiała się za wnuczkę wstydić. Rozczarowany wzrok Lipscomba kierował się jednak ku Geraldowi.

Tenże Lipscomb zaprowadził lady Partridge na kolację. W domu Feddenów nie prowadziło się wprawdzie dam na posiłek, ale wiodąca kamiennymi schodami procesja z salonu do rozjaśnionej świecami jadalni budziła w gościach miłe bądź niepokojące echo minionych czasów. Lipscomb z ciężką amerykańską sztywnością podał łokieć seniorce wśród zgromadzonych, będącej przy tym matką Geralda, ta zaś, odurzona już dwiema porcjami dżinu z tonikiem, wtuliła się w jego bok niczym dawna kochanka. W jadalni przystanęli na moment i podczas gdy pozostali goście zajmowali swoje miejsca, Lipscomb rozglądał się ze zręcznie skrywaną ciekawością. – Tak, mnie też ta sala zachwyca – powiedziała lady Partridge, kierując się ku wyznaczonemu jej krzesłu.

– To pani przodkowie, lady Partridge? – zapytał Lipscomb.

– Tak... Tak... – odparła, zamroczona wytwornością zachowań własnych i cudzych.

– Nie, to nie są jej przodkowie – wyjaśniła Rachel niegłośno, acz stanowczo. – To mój dziadek i babka stryjeczna.

Nicka usadzono w środkowej części stołu; po prawej stronie miał Penny Kent, po lewej Jenny Groom. Trudno było o miejsce nudniejsze, jemu to jednak nie przeszkadzało, bo dysponował wszak własnym towarzystwem. Sięgnął z apetytem po krabowego paluszka. – Jak się pan tutaj czuje? – zapytała Jenny Groom tonem osoby przywykłej do nieprzyjemnych niespodzianek.

– Dziwnie, aczkolwiek przytulnie – odparł, a ponieważ taka odpowiedź najwyraźniej nie zadowoliła pytającej, dodał: – Jestem starym przyjacielem Toby’ego.

– To znaczy, syna Geralda, tak? Podobno pracuje dla „Guardiana”! – Staż Toby’ego w „Guardianie” zdjął z Nicka odium skandalu, którego śladów w tym domu doszukać się w końcu musiano.

– Możecie panie go zapytać. Siedzi, o, tam, proszę – powiedział Nick na tyle głośno, by usłyszał go Toby, który słuchał właśnie pochwał, jakimi Greta Timms obsypywała rodzinę królewską. Uśmiechnął się na zawołanie Nicka, ale zwrócił się do Grety słowami: – Tak, rozumiem – aby zaznaczyć, że dalej cieszy się ona jego uwagą.

– A, oczywiście! Wykapany ojciec – stwierdziła Jenny, marszcząc brwi. – A pan czym się zajmuje?

– Piszę doktorat na Uniwersytecie Londyńskim o... o... Henrym Jamesie – odrzekł Nick, wychodząc z założenia, że zagadnienie stylu może okazać się dla niej niestrawne.

– No proszę... – Jenny reagowała ostrożnie, lecz chciała pociągnąć ten temat. – Ja jakoś nigdy nie zdobyłam się na lekturę jego książek.

– Rozumiem... – Nicka niewiele obchodziło, na co nie zdobyła się Jenny ani też na co udało jej się zdobyć.

– Ale zaraz, zaraz... Jedną chyba czytałam. *Doktor Johnson* czy jakoś tak.

– Nie... Nie sądzę...

– Nie, nie. Na pewno nie *Doktor Johnson*.

– Może chodzi o Boswella...

– Akcja toczy się w Afryce... Już wiem: *Pan Johnson*.

– *Pan Johnson* to powieść Joyce Cary.

– Otóż to! Widziałam, że czytałam coś tego autora.

Kiedy podano dziczyznę, Gerald warknął: – Nie dotykać talerzy! Nie dotykać talerzy! – przez co powstało wrażenie, że coś poszło niezgodnie z planem. – Talerze muszą być gorące! – Rzecz sprowadzała się do tego, że na zimnych tłuszcz stygł w tempie zatrważającym. – Tak, mój szwagier ma park z jeleniami – wyjaśnił Mordenowi Lipscombowi. – To rzadka atrakcja w tych czasach. – Goście patrzyli nieśmiało na talerze z dziczyzną. – Nie – mówił Gerald, jak zwykle gotów pospieszyć z odpowiedzią na pytanie przez nikogo niezadane. – To mięso z samca... Sezon na samce przypada wcześniej niż na łanie. Poza tym są smaczniejsze. – Chodził teraz wokół stołu, nalewając gościom burgunda. – To coś w sam raz dla ciebie – zwrócił się do Barry’ego Grooma,

który powąchał wino z irytacją, świadom zapewne, że w powszechnej opinii ma więcej pieniędzy niż gustu.

Nick pochwycił spojrzenie Rachel i oboje uśmiechnęli się do siebie krótko, subtelnie, drwiąco. Przedmiotem owej drwiny był, jak się zdaje, nie tylko Barry, ale również Gerald. Nick wypił pierwszy łyk swojego burgunda, delektując się tym przebłyskiem wzajemnego zrozumienia, tym chwilowym przyzwoleniem, jakiego udziela kochająca matka, aby wraz z synem zawiązać efemeryczny spisek przeciw ojcu. Zastanawiał się, czy Gerald i Rachel kiedykolwiek się kłócą. Jeżeli dochodziło między nimi do spięć, to jedynie w białym zaciszu sypialni, oddzielonej od korytarza dwiema parami ciężkich drzwi; było w tym coś bardzo erotycznego.

Kiedy po kilku minutach niemyślenia o Leo Nick znowu o nim pomyślał, usłyszał w głowie potężne uderzenie orkiestry. I ujrzał swojego kochanka, który leżał pod krzakiem, z koszulką i golfem podciągniętym aż za piersi, z dżinsami i slipkami zsuniętymi na kolana, ze zwiędłymi liśćmi przyklejonymi do ud. I usłyszał ten oszałamiający akord, wysoki i niski zarazem: otchłanne *pizzicato*, ponury atak sekcji dętej i wzlatujące nad nią, przesywające na wskroś roziskrzzone smyczki. Odniósł wrażenie, że upada, a jednocześnie się wznosi. Widział, jak Leo wstaje, żeby go pocałować, i znów skóra zadrżała mu tym miłosnym akordem. Penny mówiła akurat, że cieszy się z pracy u Geralda, a ponieważ Nick w tej samej chwili niemal podskoczy! i uśmiechnął się do niewidzialnego towarzysza, Penny złękła się, czy aby nie popełniła jakiejś gafy. Nick tymczasem zachodził w głowę, czy już ten akord gdzieś słyszał, czy może znikąd pojawił się on w jego umyśle. Z pewnością nie był to akord tristanowski, zawierający załączek przyszłej katastrofy. Przeraził się myślą, że jeśli takie współbrzmienie już zaistniało, to prawdopodobnie stworzył je Ryszard Strauss, by zilustrować nim takie czy inne morderstwo lub egzekucję, coś prostackiego i bestialskiego. W uszach Nicka brzmiało to wprawdzie zatrwajająco, lecz wprawiało go przy tym w nieopisany błogostan.

– Jak ci się wiedzie na Uniwersytecie Londyńskim? – zapytała delikatnie Penny, jak gdyby pobyt na tej uczelni stanowił przykrą degradację po studiach w Oksfordzie. Nick i Penny nigdy się tam nie spotkali, słowo Oksford posiadało dla nich inne znaczenie, ale Penny traktowała tę rzekomo wspólną przeszłość jako dowód, że mają ze sobą coś wspólnego.

– Hm... Znakomicie... – odparł usłużnie Nick. – Oksford to to nie jest na pewno. Cała ta instytucja robi raczej ponure wrażenie. Dowiedziałem się właśnie, że w budynku anglistyki mieściła się kiedyś fabryka materacy.

– Coś takiego!

– Atmosfera jest trochę przygnębiająca. Nic dziwnego, że połowa kadry to alkoholicy. – Penny roześmiała się, a Nick poczuł, że zachował się niełojalnie. Uwielbiał w końcu profesora Ettricka, który z miejsca go polubił, obdarzył zaufaniem, a w temacie jego rozprawy doktorskiej dopatrywał się perspektyw przez Nicka nawet nieprzeczuwanych. Praca wlokła się jednak niemiłosiernie, dlatego że przesiadując w bibliotece, Nick często odrywał wzrok od kart książki i snuł marzenia o Leo. Długie, zawile zdania Mereditha lub Jamesa rozmywały się i przeistaczały w podświadomie formułowane zdania nawiasowe i podrzędne, których przedmiotem i podmiotem był zawsze seks z Leo. Nicka dręczyło poczucie winy, bo nie chciał zawieść pokładanego w nim zaufania, bo chciał okazać się równie inteligentny i oddany pracy, za jakiego miał go profesor. – Zajmujesz się Henrym Jamesem, prawda? – spytała Penny.

– Eee... Tak – odrzekł Nick.

Wydawała się zadowolona tym potwierdzeniem.

– Mój ojciec ma całe tony jego książek – powiedziała. – Nazywa go mistrzem.

– Nie tylko on – zauważył Nick z wyniosłą pokorą namiętnego wyznawcy i odkroił sobie kawałek brązowego mięsa.

– Sztuka tworzy życie, to jego motto, prawda? Mój ojciec często cytuje te słowa.

– To właśnie sztuka tworzy życie, czyni je ciekawym i ważnym, pozwala nam myśleć i działać. Nic nie jest w stanie zastąpić mocy i piękna, którym odznacza się jej logika.

– Coś w tym stylu – przyznała Penny i uśmiechnęła się, najwyraźniej zadowolona tym wyjaśnieniem. – Ciekawe, jak Henry James opisałby nas... – dodała.

– No cóż... – Nick zamyślił się na moment. Penny przypominała pretensjonalną cioteczkę, która z dziewiczą stanowczością demonstruje swoją niewiedzę, zadając rozmówcy kolejne pytania. Był ciekaw, jak wyglądają jej rokowania seksualne; może jakiś mężczyzna zapragnie wywołać rumieńce na tej bladej pulchnej szyi. – Henry James byłby dla nas bardzo łaskawy – powiedział, – Opisałby nas jako ludzi zachwycających, jako ludzi przepięknych, W nasze usta włożyłby setki niewiarygodnie subtelnych zdań i dopiero pod koniec książki pojęlibyśmy, że przejrzał nas na wylot.

– On pisał o wyższych sferach, prawda? – zapytała Penny, zakładając pewnie, że sama do nich należy i że tym samym jej przejrzyć na wylot nie sposób.

– I to niemało! – Nick przypomniał sobie rozmowę z lordem Kesslerem i w gruncie rzeczy do niego teraz się zwrócił: – Podobno James nie znał się na kwestiach finansowych, lecz wiedział z pewnością, jak posiadanie pieniędzy działa na ludzi i jak wpływa na ich mentalność. – Rzucił okiem na Toby’ego, który z czystej delikatności próbował od czasu do czasu nie myśleć jak człowiek bogaty, choć nigdy mu to nie wychodziło. – Nie znosił wulgarności – dodał. – Ale zaznaczył również, że nazwać rzecz po prostu wulgarną to znaczy nie opisać jej należycie.

Penny niby rozważała te słowa, ale naprawdę słuchała Borsuka, który szeptał jej coś do drugiego ucha. Jej nagły rumieniec i chichot uświadomił Nickowi, że Borsuk nie po raz pierwszy rzuca mu seksualne wyzwanie. W pewnym sensie nazywał go w ten sposób pedałem.

Toby słuchał Grety Timms, ale popatrywał przy tym na Sophie, którą swymi suchymi pytaniami zasypywał Morden Lipscomb. – Nie – odparła Sophie niechętnie. – Grałam tylko w jednej dużej produkcji.

– A w teatrze? – pytał Lipscomb natarczywie, acz obojętnie.

– Mam niedługo grać w pewnej sztuce. To... Obawiam się, że to będzie dość nowoczesny spektakl... Chodzi o *Wachlarz lady Windermere*.

Jenny Groom pytała teraz o Catherine, czy ona faktycznie jest taką wariatką, i Nick musiał coś odpowiedzieć, więc ledwie dosłyszał, jak Sophie przyznaje, że nie gra samej lady Windermere, lecz tylko – Małą rolę... Nie, nie... Nie ma tam dużo do zapamiętania... Nie, jej nie gram, to wspaniała rola... Tak czy inaczej, reżyser wszystko zepsuje... – że obsadzą ją jako lady Agatę, czyli w roli postaci, której jedyna kwestia, jak powszechnie wiadomo, brzmi: „Tak, mam”. Nicka zrazu to rozbawiło, ale potem zaczął jej niemalże współczuć.

– Cudownie, moja droga – odezwała się Rachel. – Wszyscy przyjdziemy na premierę. – Najwyraźniej mówiła to szczerze, by dostrzeżono formalną więź, jaka tworzy się między nią a potencjalną synową.

Lady Partridge, zazdrosna o względy Lipscomba, starała się ignorować osobę Sophie. – Przechodziłam to w Dorset... Zawsze tam jeżdżę... Wspaniałe dziewczyny... Te pielęgniarki, tak... Mają tam paru kolorowych lekarzy, ale nie trzeba się u nich leczyć...

To wcale nie znaczy, że lubię szpitale! – zapewniała rozmówcę. – Mój mąż spędził tam dużo czasu.

– Rozumiem... – Lipscomb wahał się, czy złożyć kondolencje.

Lady uniosła szklanke i westchnęła niczym kobieta, co to niejedno już w życiu przeszła. – Pochowałam dwóch mężów, to chyba wystarczy – powiedziała tonem osoby zawsze gotowej na kolejne oświadczenia. Spojrzała na Lipscomba, jakby chciała sprawdzić, czy reaguje na jej słowa, i wróciła do swej opowieści: – Obydwaj mieli na imię Jack! Ale bardzo się od siebie różnili,.. Jak Pat i Pataszon... Nie mogliby ze sobą wytrzymać, gdyby się w ogóle znali, rzecz jasna! – Nick miał wrażenie, że lady rozmawia przez telefon i odpowiada na zadawane jej z oddali pytania. – Jack Fedden, ojciec Geralda, zabawny człowiek, poniekąd... Prawnik, prawnik w każdym calu... Bardzo, bardzo przystojny... No i Jack Partridge, sir Jack, ma się rozumieć... Nie, on nie był prawnikiem... W żadnym wypadku... Człowiek nader praktyczny... Inżynier... Budował nowe autostrady, pewnie pan słyszał... Tak, te z literką M... z M, tak... Świetnie się spisał...

Gerald, który siedział u szczytu stołu, był zauważalnie poirytowany wywodem matki. Nick wiedział, że tuż po otrzymaniu tytułu szlacheckiego Jack Partridge stracił cały swój majątek. Było to jedno z wielu nieoczekiwanych bankructw w ostatnich latach, lecz nawiązanie do tego tematu mogło źle odbić się na reputacji Geralda, będącego wszak jego pasierbem. Fedden postanowił zatem szybko interweniować i rzucił: – Wiesz, Morden... Nie mogłem oderwać się od twojego raportu o gwiazdnych wojnach.

– A ja myślałem, że moje konkluzje nie przypadną ci do gustu – odparł Lipscomb z uśmiechem człowieka, który nie da się nabrać na pochlebstwa.

– Ależ ja zgadzam się z twoimi wnioskami! – Zaskakująco ironiczny uśmiech Geralda dowiódł Nickowi, że przeczytał on ledwie kilka pierwszych stron. – Zgadzam się w stu procentach!

– To zdziwi cię chyba, że...

– Czy chodzi o telekomunikację? – spytała lady Partridge.

– O obronę raketową, mamó – odparł Gerald dość głośno.

– Program gwiazdnych wojen, babciu – dodał Toby.

– A ty, Judy, myślałaś pewnie, że chodzi im o ten film – powiedział Borsuk.

Lady Partridge zachichotała, bynajmniej nie z zakłopotania, tylko z radości, że skupia na sobie uwagę.

– Plan o nazwie Inicjatywa Obrony Strategicznej ogłosił prezydent pół roku temu – tłumaczył Lipscomb głosem poważnym, acz nieco zniecierpliwionym. – Program ten ma na celu obronę Stanów Zjednoczonych przed atakiem nuklearnym i zakłada stworzenie tarczy antyrakietowej, która zniszczy wszystkie wystrzelone w naszą stronę pociski, zanim jeszcze zdolają dotrzeć na nasze terytorium.

– Wyśmienity pomysł! – podsumowała lady Partridge. Zabrzmiało to raczej szyderczo; zresztą cały ów plan budził tu kpiny przemieszane z autentyczną trwogą. Ale nie, pomyślał Nick, ta staruszka musi lubić zbrojenia i niewątpliwie zna budżet Ministerstwa Obrony.

– Pomysł ten jest nie tylko wyśmienity, ale również bezdyskusyjny – oświadczył Lipscomb i władcym gestem położył na stole lewą dłoń. Na małym palcu nosił sygnet i najwidoczniej obywatel się bez obrączki. Nie należało wyciągać z tego pochopnych wniosków: ojciec Nicka i jego przyjaciele płci męskiej również nie nosili obrączek, które pomimo związanej z nimi symboliki cechowały w ich oczach osobników ciut zniewieściałych. Nick przypomniał sobie nadruk „Z biura Mordena Lipscomba”; gdzież by indziej, jeśli nie w biurze, mógł taki dokument powstać? W garderobie? W toalecie? W szafie Mordena Lipscomba?

Po puddingu panie opuściły panów. Nick towarzyszył im w duchu, gdy znikwały na wiodących w górę schodach. Stał oparty kolanem o krzesło i myślał, że z chęcią by do nich dołączył. – Chodź tu do nas, Nick – powiedział Gerald, który dalej siedział u szczytu stołu, a dosiadali się doń właśnie pozostali panowie, zajmując miejsca opuszczone przez kobiety. Nick podał krzątającej się po jadalni Elenie umazaną szminką serwetkę lady Partridge. Lubił zazwyczaj rozmowy w czysto męskim gronie, ale teraz brakowało mu kobiecego odgromnika czy buforu; zatęsknił nawet za Jenny Groom, której ciągle zniecierpliwienie świadczyło, jak zdążył się już domyślić, o nienawiści do małżonka. Ten ostatni siedział obecnie naprzeciw niego ze skwaszoną miną, znużony świetnie znaną mu etykietą rządzącą takimi przyjęciami. Nick spojrzał bezradnie na Toby'ego, którego jednak zajmowały cygara. Gerald zaś puszczał w obieg karafki z trunkami. Nick przypomniał sobie Leo w chwili, gdy się tego dnia rozstawali, gdy jego kochanek odchodził, prowadząc swój rower, i znowu rozległ się akord miłosny, tym razem

przytłumiony, jak gdyby bał się, że dotrze do niepożądanych uszu. Czy mógłby opisać, nawet sobie samemu, chód swojego kochanka, jego taneczny krok, to, jak w sposób na poły jedynie świadomy roztacza przed światem swoje wdzięki? – Dam panu jedną radę – powiedział Barry Groom, wybierając arbitralnie jedną z nieoznaczonych karafek, zawierających porto lub bordo.

– Tak? – Nick poczuł, że jego erekcja zaczyna słabnąć.

– Niech pan nigdy nie wkłada w ryzykowne inwestycje więcej niż dwanaście procent posiadanego kapitału.

Nick niemalże się roześmiał, ale na widok śmiertelnie poważnej twarzy Grooma, dorzucił: – Dwanaście procent. Rozumiem. Postaram się zapamiętać. To jest na pewno dobra rada.

– Dwanaście procent – powtórzył Barry Groom. – Niczego lepszego panu doradzić nie mogę. – Przesunął karafki w stronę Nicka, który nalawszy sobie porto, przekazał je Mordenowi Lipscombowi. Amerykanin przycinał właśnie cygaro, a jego wąskie skupione usta wyrażały głęboką pogardę, bynajmniej nie dla cygara, tylko dla towarzystwa, w którym się znalazł. W takiej chwili, gdy pod nieobecność kobiet można było rozmawiać swobodniej i poważniej, on powinien znaleźć się w centrum uwagi, miast wyczekiwać czujnie bądź popadać w zły nastrój. Nickowi zrobiło się żal Geralda, ale nie wiedział, jak mógłby mu pomóc. On sam zbliżał się do nowo poznanych ludzi poprzez rozmowy o muzyce i malarstwie, przez nagłą i intymną bez mała manifestację swej wrażliwości. Podejrzywał jednak, że Lipscomb ofuknie go ordynarnie, jak gdyby odrzucał propozycję nawiązania intymnego kontaktu innego zgoła rodzaju. Nick znów zastanawiał się, co w tej sytuacji uczyniłby Leo, który na każdy temat miał jednoznaczną, zaprawioną sarkazmem opinię.

– Powiedz no, Derek – odezwał się Barry Groom typowym dla niego zgryźliwym tonem. – Jak długo tu jeszcze zabawisz?

Borsuk pykał jeszcze przez kilka sekund, aby po chwili wydmuchnąć okazałą chmurę cygarowego dymu. – Tak długo, jak mi Kielbaska na to pozwoli – odparł, wskazując Geralda ruchem głowy.

– Kielbaska? Tak go tytułujecie? – zapytał Barry, żądny wiedzy o potencjalnym rywalu.

Borsuk potwierdził mruknięciem, pyknął cygaro i dodał: – To zostało jeszcze z czasów oksfordzkich... – Wiedział, jak łatwo rozdrażnić Barry’ego. – U siebie mam teraz remont i dlatego pomieszkuję tutaj.

– Remont? A gdzie właściwie mieszkasz? – Głos Barry’ego zrobił się podejrzliwy.

Borsuk zignorował to pytanie, toteż Barry je powtórzył. Odpowiedź padła po dłuższej chwili i brzmiała jak wskazówka udzielona człowiekowi mało zaiste domyślnemu: – Mieszkam opodal twojego zakładu pracy. – Te zagadkowe repliki miały Barry’ego jeszcze bardziej rozdrażnić, choć pasowały zarazem do swoistej tajemniczości Borsuka. – Małe mieszkanko, kawalerka.

– Innymi słowy, garsoniera do dupczenia – uciął te wyjaśnienia Barry, a jego bezpośredniość i obcesowość wywarła zamierzony skutek. Nawet Borsuk wyglądał na zmieszanego. Gerald westchnął lekceważąco i wraz z Johnem Timmsem i Mordenem Lipscombem począł zastanawiać się głośno nad genialnością pani premier. Nick spojrział na Toby’ego, który przymknięciem oczu wyraził solidarność z przyjacielem.

– Byłem ciekaw, czy pani premier pojawi się dziś w tym domu – powiedział Lipscomb. – Ale, jak widzę, to przyjęcie ma trochę inny charakter.

– Przykro mi. – Gerald chyba poczuł się winny. – Niestety miała inne plany. Jeśli chcesz, żebym poznał was ze sobą...

Lipscomb zareagował uśmiechem, rzadko goszczącym na jego ustach. – We wtorek spotkam się z nią na lunchu, więc nie ma takiej potrzeby...

– Naprawdę? – Swoim uśmiechem Gerald dał wyraz życzliwej zazdrości.

I tak sobie gawędzili jeszcze przez dziesięć, może piętnaście minut. Nick siedział na granicy obydwu rozmów jako „ostatni nieparzysty” zgodnie z zapowiedzią Geralda. Podawał karafki i uśmiechał się słabo, wpatrzony to w lśniący od pełgających świec blat stołu, to w pustą przestrzeń nad głową Barry’ego. Reagował powściągliwymi mruknięciami na niektóre żarty Borsuka, którego w świetle kandelabrow i w otoczeniu pozostałych gości mógł niemalże uznać za przyjaciela. Kilka razy, podobnie jak inni, bezgłośnie przytaknął Lipscombowi, choć nie wsłuchiwał się w jego wywody. Źle znosił fetor cygarowego dymu, za to alkohol dawał mu poczucie bezpieczeństwa. Barry Groom fascynował go swoim nieustannym rozdrażnieniem – aż chciało się dolać oliwy do ognia i zirytować go jeszcze bardziej. Wszystkie swoje pragnienia człowiek ten krył pod maską pogardy; może stąd brata się jego nerwowość. Mimo to dogadywał się jakoś z Geraldem,

który potrzebny mu był jako partner we wspólnie prowadzonych interesach. Niewykluczone, że niniejsze spotkanie z interesami właśnie się wiązało.

– Słuchajcie no, oksfordzkie gnojki... Czemu wy ciągle pieprzycie o Martyrs' Clubie?
– powiedział Barry ze zmarszczonymi gniewnie brwiami, upijając łyk bordo. – Co tam was przyprawiało o męczeństwo⁸?

– Kac – odrzekł Borsuk.

– Tak, alkohol – wtrącił się Toby i pokiwał głową.

– Przekroczenie stanu konta i podziały klasowe – dodał wesoło Nick.

Barry spojrział na niego. – A co? Pan też był członkiem?

– Nie, nie... – zaprzeczył Nick.

– No, myślę!

Z holu dobiegł ich nagle trzask otwieranych drzwi wejściowych i jeszcze głośniejsze ich zatrzaśnięcie. Tuż potem trzykrotnie zabrzączał dzwonek. Rozległ się niespokojny okrzyk, drzwi otwarto ponownie i Catherine, bo któżby inny, zaczęła mówić coś pospiesznie, chociaż z jadalni trudno było dosłyszeć konkretne słowa. Nick powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych mężczyzn, twarzach zdziwionych, zniesmaczonych bądź rozbawionych. John Timms wpatrywał się nieruchomo w zamknięte drzwi jadalni; Borsuk tonął w chmurze dymu. – Już dobrze! – Bez wątpienia był to głos Catherine.

– Z nią nawet ostryga by się wściekła – powiedział Gerald, prycając z rozbawienia i zerkając na kolegów, by sprawdzić, czy zrozumieli aluzję.

Drzwi wejściowe znów się zamknęły, znacznie ciszej niż poprzednio, i dał się słyszeć męski głos. – Musisz uważać, dziewczyno... – Nick zachichotał, sądząc, że słyszy głos Russella, natomiast Gerald odłożył cygaro i wstał. – Proszę wybaczyć... – mruknął i ruszył ku drzwiom mniej już uśmiechnięty. – To moja siostrunia – powiedział Toby. – Jak właśnie mówiłem... – zaczął Lipscomb. Kiedy Gerald otworzył drzwi, z holu znów dobiegł spokojny, acz stanowczy głos męski: – Uspokój się, Cathy. Tak nie można. Nie mogę na to patrzeć... – Serce Nicka zabiło mocniej, słyszał bowiem akcent karaibski, budzący w nim nieco większy sentyment niż to duszące się cygarami towarzystwo, niż ten oksfordzki bełkot, niż męcząca drażliwość Barry'ego.

– Kim pan jest? – zapytał Gerald.

⁸ Martyrs' Club – dosłownie: klub męczenników.

– Tato! Na Boga... – Catherine płakała; jej głos załamał się na ostatnim słowie.

– Pan jest ojcem Catherine, tak?

Nick wstał i wyszedł do holu. Musiał okiełznać obcesowość Geralda. Miał też poczucie, że wie o sprawach Geraldowi nieznanym, które mogą teraz wypłynąć na wierzch i zostać nazwane po imieniu. A przecież sam tylko gubił się w domysłach. Jeśli ktoś mówi, że czuje się dobrze, to czy należy w to powątpiewać? Catherine stała przy schodach, zaciskając dłonie na złotym łańcuszku torebki, i wyglądała na kruchą i rozgniewaną zarazem. Mało brakowało, a Nick parsknąłby śmiechem, jaki wywołuje czasami widok nieporadnego dziecka, spragnionego słów pocieszenia, miast serwowanych mu przez dorosłych kpin. Wpatrując się w Catherine z nieskrywaną ciekawością, dozwoloną w sytuacji kryzysowych, uznał, że jego obecność może okazać się przydatna. W tym szybkim upadku było naprawdę coś dziecinnego, bo przecież Catherine opuściła ich przed dwiema zaledwie godzinami. Jej usta drżały oskarżająco a wysokie obcasy sprawiały, że wyglądała na jeszcze drobniejszą niż zwykle. Nick znał tego mężczyznę – był to zaprzyjaźniony taksówkarz, którego Catherine zapraszała do domu pod nieobecność Geralda i Rachel: mocno zbudowany pięćdziesięciolatek o szpakowatych skroniach, roztaczający dokoła słodki zapach marihuany; nic dziwnego, bo wszyscy taksiarze w sieci Orbis handlowali zieliskiem na prawo i lewo. Pod każdym względem stanowił przeciwieństwo wszystkiego, co znajdowało się w tym domu, i wszystkich obecnych tam ludzi. – Cześć, kochana! – rzucił Nick półgłosem, kładąc dłoń na swoim ramieniu. – Co się stało?

– Kim jest ten człowiek? – zapytał Gerald.

– Nazywam się Brentford, jakby co – odparł wolno mężczyzna. – To ja przywiozłem tu Cathy.

– To bardzo miło z pana strony – powiedział Nick.

– Skąd pan zna moją córkę? – pytał Gerald.

– Ona wymaga opieki – rzekł Brentford. – Dzisiaj nie mogę jej pomóc. Dzisiaj pracuję.

– To taksówkarz – wyjaśnił Nick.

– Trzeba mu zapłacić? – pytał Gerald.

– Nic od niej nie biorę – oświadczył Brentford. – Dzwoniła po mnie, bo on ją rzucił.

– To prawda? – pytał Gerald.

– To bardzo miło z pana strony – powtórzył Nick.

Catherine jęknęła na myśl o wspomnianym wydarzeniu i chwyciła Brentforda za ramię, on jednak wolał zachować ostrożny dystans i nie przytulił jej, tylko popchnął łagodnie w stronę Nicka. Zapłakana Catherine oparła się o przyjaciela, lecz nie objęła go, bo nie szukała pocieszenia, musiała jedynie gdzieś stać. Nick mimo to otoczył ją ramieniem. – Chodzi o Russella? – zapytał, ale ona nie zdobyła się na odpowiedź.

– Co się stało, kochanie? – zawołała Rachel, zbiegając po schodach.

– Ten sukinsyn ją zostawił – wyjaśnił Gerald. Pod jego rzekomym oburzeniem kryła się wszakże radość, jako że liczył na to od dawna. – Biedna Kotka.

Rachel spojrzała kolejno na wszystkich trzech mężczyzn, a przez jej twarz przebiegł cień strachu, jak gdyby Brentford sprowadził na dom nieszczęście przerastające zwykłą chandrę córki. – Chodź na górę, kochanie – powiedziała.

Do holu wtoczył się Barry Groom, po którym było już widać działanie alkoholu. – Słuchaj no, ty! – krzyknął do Brentforda. – Kto ty jesteś, skurwielu?!

Gerald chwycił go za nadgarstek. – Wszystko gra, Barry.

– Nie dotykaj jej, ty...

– Stul pysk... kutasie! – warknął Nick, zanim zdążył się opamiętać, i sam zdziwił się tonem swojego głosu.

– Tak, stul pysk, sraluchu! – zawtórowała mu łkająca wciąż Catherine.

– Wolnego! – Na twarzy Barry'ego pojawił się odrażający grymas.

– Przepraszam za niego – zwrócił się Nick do Brentforda.

– Dlaczego my tu stoimy? – zastanawiał się Gerald.

– Chodź na górę, kochanie – powiedziała Rachel.

– Wróćmy do wina i cygar. – Gerald odwrócił się od Brentforda. Musiał okazać, że takie sceny nie mogą wytrącić go z równowagi. – Zaopiekuj się nią, kochanie – powiedział do żony, jak gdyby było w ogóle możliwe, że córką zajmie się teraz on.

Już na schodach Rachel próbowała objąć Catherine, lecz ta strząsnęła jej rękę z ramienia. Nick odprowadził Brentforda do drzwi. – Na pewno nic nie jesteśmy panu winni? – zapytał, choć bał się, że cena za przejazd ze Stoke Newington może przerastać stan jego finansów. Chciał, by taksówkarz wyłączył go z grona osób winnych całej tej awantury.

– To zły człowiek – powiedział Brentford, stojąc w drzwiach.

– Tak... Tak... – Trudno było się domyślić, do którego człowieka odnoszą się te słowa, tym bardziej że Brentford pokręcił głową i machnął ręką, jakby ich wszystkich spisał na straty.

Kiedy ford sierra odjechał, Nick stał jeszcze przez chwilę na chodniku przed domem. Słyszał śmiech kobiet z otwartego okna na górze i czuł się dobrze, wdychając świeże nocne powietrze. Wzdrygnął się, przypomniawszy sobie, że nakrzyczał na Barry’ego. Pomyślał o Leo, uśmiechnął się i wsunął dłonie pod pachy. Na myśl o spędzonym z nim poranku od razu zrobiło mu się cieplej. Był ciekaw, co robi teraz jego kochanek. I nagle przeszła go chłodem inna myśl, związana z Pete’em. Wrócił do holu. Przechodząc obok półotwartych drzwi do jadalni, usłyszał, jak Gerald mówi: – Ten facet śmierdział trawką... – i jak wtóruje mu dziwny bezbarwny śmiech kolegów. Nareszcie wolno mu było pójść na górę, skorzystać z przywileju, jakim cieszy się „ostatni nieparzysty”. Nie pasował tu ani do mężczyzn, ani do kobiet. Jego zniknięcie mogło być źle odebrane, świadczyło bowiem, że już wcześniej miał ochotę się ulotnić; nie mógł jednak siedzieć dalej przy stole z Barrym Groomem. Gerald też pewnie wpadnie w złość, chociaż doceni zarazem jego troskę o Catherine i nie będzie mógł zarzucić mu lekceważenia obowiązków. Idąc w górę po kamiennych stopniach, Nick zanucił kilka pogodnych taktów z *IV Symfonii* Schumanna, lecz szybko opamiętał się i umilkł.

6

– Boże, jaki z ciebie tuman – powiedział Leo. Lustrował Nicka zmartwionym wzrokiem, niezdolny wszakże określić, co mu się nie podoba. W końcu polizał kciuk i potarł nim po policzku Nicka, jak gdyby miał do czynienia z dzieckiem. Słowo „tuman”, ostre jak szpilka, pojawiało się już wcześniej i znamionowało taki czy inny drobny wyrzut, zawiść klasową, politowanie lub irytację niepojętnością kochanka. Nick jak zwykle dopatrywał się w tym drugiego dna, które zinterpretował jako pobłażliwość nauczyciela dla ucznia, i choć nadal tęsknił za bezwarunkową czułością, umiał wybaczać wszelkie przytyki. Tym razem to Leo był nerwowy, dotarli bowiem do dzielnicy Willesden i tylko dziesięć metrów dzieliło ich od bramy wiodącej do jego mieszkania. – Wyglądasz jak zasrany prymusik – powiedział Leo.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Leo pokręcił głową. – Co ja z tobą mam!

Spotkali się po południu przed urzędem. Leo, który właśnie zakończył swój dyżur, miał na sobie ciemnoszary garnitur, białą koszulę i szeroki, acz bynajmniej nie ekstrawagancki krawat. Nick po raz pierwszy był świadkiem tej uroczej codziennej metamorfozy przyjaciela i nie mógł się nie uśmiechnąć. Jego miłość graniczyła już z bałwochwalstwem, lecz każdy uśmiech i pełne zachwyty spojrzenie wywoływało sarkastyczne reakcje podziwianego. – Cudownie wyglądasz – powiedział Nick.

– Taaa... Ty też – odparł Leo. Dobra, idziemy. I pamiętaj: Nie będziesz wzywał imienia Pana Boga twego nadaremno. Nie mów „O Boże!”, nie mów „Chryste!”. (Cytując te wykrzykniki, Leo starał się imitować Nicka). I nie mów „Jezu, ja pierdole!”.

– Okej, będę o tym pamiętał.

Nick był zawsze lubiany przez matki swoich kolegów, które widziały w nim „sympatycznego młodzieńca”; sam zresztą czuł się dobrze w bezpiecznym towarzystwie osób starszych. Lubit czarować, choć czasem tak się w tym rozpędzał, że popadał w

nieszczerość. Znał jednak również napięcie, udawaną beztroskę, gdy podczas wizyty przyjaciół w domu trzeba niepostrzeżenie zatopić taki czy innym temat, nim jeszcze zdąży wypłynąć na powierzchnię. Siłą rzeczy udział w rozmowie nie mógł być zbyt aktywny, bo wciąż należało wybiegać myślą naprzód – o trzydzieści sekund, minutę, dziesięć minut – i przewidywać kłopotliwe wątki, ku którym rozmowa wydaje się dryfować.

– Moja siostra wie o sprawie – powiedział Leo. – Jest na czym oko zawiesić.

– Rosemary?

– Ładna dziewczyna.

Idąc za Leo betonową ścieżką, Nick szepnął mu do ucha: – Na pewno mniej ładna od ciebie. – Była to jedna z wielu dowcipnie zalotnych uwag, która pod ciężarem Nickowego zachwyty w końcu trafiła w próżnię.

Pani Charles mieszkała z synem i córką na parterze małego domku z czerwonej cegły. We wnęce tworzącej mikrowerandę widniała para bliźniaczych drzwi. Leo zajął się tymi po prawej i przez chwilę manipulował kluczem, wysuwając go i wsuwając ostrożnie, nim zamek nareszcie zaskoczył. Nick tymczasem patrzył na witrażową szybkę w okienku drzwi i przyczepiony nad dzwonkiem stary krzyż! Wyobraził sobie, jak Leo dzień w dzień stoi w tym samym miejscu i tak samo męczy się z zamkiem. Uzmysłowił sobie, że mimo wszystko jest to mały szok, że nie spodziewał się ujrzeć takiej ulicy, takiego domu; może naprawdę był tumanem. Wszedł do środka i uderzył go silny zapach kuchenny, który przywodził na myśl szkolne prace społeczne, owe wizyty u ludzi starych i zniedołężniałych, te lekcje prawdziwego życia, lekcje oduczające snobizmu i nadmiernego przywiązania do estetyki.

Błyskawicznie zarejestrował wzrokiem wyposażenie małej kuchni: szafki z matowymi szybami, pomarańczowe zasłony, kalendarz ze wzlatującym do nieba Jezusem, stosy papierów, zwoje budzących strach kabli, miseczki włożone jedna w drugą i kuchenka z bulgoczącą patelnią i suszarką pełną zaparowanych talerzy. Na środku stała matka Leo: drobna kobieta koło pięćdziesiątki z półprzymkniętymi oczami, wyprostowanymi włosami i dobrodusznym uśmiechem na ustach. – Witam, proszę do środka – powiedziała ciepłym karaibskim głosem, który Leo rezerwował na specjalne okazje lub którym maskował się tylko na chwilę.

– Dziękuję – odrzekł Nick. – Miło mi panią poznać. – Tak bardzo już przywykł do życia pełnego aluzji i domysłów, że spotkanie z rodziną ukochanego po raz kolejny jawiło mu się jako wydarzenie tętniące erotyką; rozpoznając pewne cechy dziedziczne, tak samo zakrzywiony nos czy podobnie leniwy sposób chodzenia, zyskiwał porcję intymnej wiedzy na temat miłego sercu mężczyzny. W Kensington Park Gardens powietrze wydawało się pełne rozpylonych cząsteczek Toby’ego, albowiem każdy obecny tam człowiek stanowił żywą doń aluzję; przyprawiało to o cierpienie, lecz zarazem umiało pocieszyć w strapieniu. Toby’ego wszakże Nick tylko objął i pocałował w policzek, a na studiach udało mu się dwukrotnie zerknąć na jego penisa przy pisuarze. Teraz, w tej ciasnej klitce w anonimowej dzielnicy Willesden, Nick wpatrywał się z fascynacją i wdzięcznością w matkę mężczyzny, który mówił o nim „cieplutki obciągacz” i „pierwszorzędny dupoliz”. A to już wykraczało poza objęcia i zerknięcia.

Dochodziła do tego Rosemary, która weszła właśnie do domu, zwolniwszy się nieco wcześniej z pracy, aby wraz z matką podjąć tajemniczego gościa brata i syna. Pracowała jako recepcjonistka w gabinecie lekarskim i miała teraz na sobie bluzkę, spódnicę oraz spięty paskiem płaszcz przeciwdeszczowy. Przedstawiono ich sobie w przedpokoju, gdzie z powodu ciasnoty wciąż zawadzali o rower Leo. Albo Rosemary była nieśmiała, albo też odnosiła się do Nicka pogardliwie. Co się tyczy urody, to okazała się jedwabście gładką wersją brata, niepoddaną mękom wrastających włosków na brodzie. Rosemary i Leo poszli się przebrać, a Nick rozejrzał się po mieszkaniu. W tylnej części znajdowały się oddzielone przepierzeniem pokoiki, wszędzie zaś było tak ciasno, że nieodzowność dającego szansę ucieczki rowerowi wydawała się całkowicie zrozumiała. Nick znowu potracił ów pojazd, który zabrzączał, jakby sygnalizował gotowość do rozwinięcia ogromnej prędkości.

– Ach, ten jego rower... – Dla pani Charles był to zapewne bezbożny wynalazek. – Mówiłam mu tyle razy...

Weszli do głównego pokoju, w którym całą niemal powierzchnię wypełniał ciężki stół z bulwiastymi nogami, kilka krzeseł oraz komplet wypoczynkowy obity brązową skórą. Jedną ze ścian ozdobił kominiek gazowy w miedzianej obudowie; na jego gzymsie stały liczne figurki i obrazki religijne. Kościelne obowiązki pani Charles wiązały się niechybnie z dużą ilością pracy papierkowej, ponieważ połowę stołu zajmowały kartony z jakimiś dokumentami i prawdopodobnie spora część nakładu broszury *Powitajmy dziś*

Jezusa. Nick usiadł na końcu sofy i z grzeczności rzucił też okiem na fototapetę z przysłoniętą palmowymi liśćmi plażą i reprodukcję obrazu Holmana Hunta *Cień śmierci*. Zauważył też zrobione przed wielu laty pozowane zdjęcia Leo i Rosemary; patrząc na ich dziecięce twarzyczki, Nick poczuł się jak pedofil.

– Wie pan, młody człowieku – powiedziała pani Charles, wymawiając wyraźnie każdą głoskę, co mogło zdradzać napięcie lub zamierzoną figlarność. – On prawie nic mi nie mówi, ten Leo, prawie nic. Ale pan chyba jest tym jego kolegą, co mieszka w dużym białym domu, w domu tego torysa.

– To prawda. – Nick roześmiał się autoironicznie, lecz to zmieszało panią Charles. Niewykluczone, że Leo podkreślał przy matce wagę faktów, do których przy Nicku odnosił się raczej drwiąco.

– I jak się pan tam czuje? – zapytała pani Charles.

– Miałem szczęście, to wszystko – odparł Nick. – Mieszkam tam tylko dlatego, że studiowałem z ich synem.

– Więc musiał się pan z nią spotkać...?

Nick uśmiechnął się niepewnie. – Z panią Fedden, tak...?

– Skąd! Pani Fedden... Zakładam, że pan zna panią Fedden, jeśli dobrze wymawiam jej nazwisko. – Nick zarumienił się i znowu uśmiechnął, widząc, jak pani Charles zręcznie, acz niemal nabożnie zmierza do kluczowego pytania. – Nie... Chodzi mi o nią! O nią samą. O panią T.!

– Nie... Niestety... Jeszcze nie... – Stwierdził, że musi coś dopowiedzieć i zdobyć się na małą niedyskrecję. – Wiem, że chcieliby ją ugościć. Gerald, to znaczy, Gerald Fedden próbował przynajmniej raz ją zaprosić. Jest bardzo ambitny.

– Niech pan się o to postara, niech pan pozna panią T.

– Jeśli do tego dojdzie, na pewno pani opowiem – odrzekł Nick i obejrzał się za siebie, bo do pokoju w samą porę wszedł Leo, ubrany w dżinsy i bluzę od dresu. Nick wyobraził sobie, że jego kochanek właśnie szczytuje i jego biała zawieszina wylatuje w powietrze, opada i spływa po tylnej części brązowej sofy. Seks rozkosznie namieszał mu w głowie i wystarczyło teraz zamknąć oczy, by ujrzeć paradę fallusów na ciemnym tle bądź widok stosunku analnego gdzieś na ulicy, w sali lekcyjnej, przy stole.

– Czy nie pomyłę się, jak powiem, że regularnie chodzi pan do kościoła?

Nick założył nogę na nogę, żeby ukryć rosnące podniecenie. – Przykro mi, ale nie chodzę, w każdym razie ostatnio.

Pani Charles przywykła już chyba do takich rozczarowań i przyjęła ten fakt pogodnie, jakby rozpatrywała go w perspektywie długofalowej. – A pana rodzice?

– Oni są bardzo religijni. Mój ojciec bierze aktywny udział w administrowaniu parafią, a matka przystraja kościół kwiatami... na przykład. – Miał nadzieję, że mówiąc to, złagodzi skalę swojej apostazji, miast tym bardziej ją podkreślić.

– Miło mi to słyszeć. A czym się zajmuje pański ojciec? – zapytała tonem potencjalnego pracodawcy, a Nick pomyślał, że może pani Charles domyśla się półświadomie, iż rozmawia z człowiekiem pragnącym powiązać swe życie z życiem jej syna. Często egzaminowano go w ten sposób w rozmaitych sytuacjach, gdy trzeba było sprawdzić, czy pasuje do takiego czy innego środowiska.

– Jest antykwariuszem – odrzekł. – Handluje starymi meblami, zegarami i porcelaną.

Pani Charles spojrzała na Leo. – A czy tym samym nie para się stary Pete?

– Tak. – Leo był powściągliwy i nieskory do pomocy. Wysunął jedno z krzeseł i usiadł na nim przy stole. – Mało to jest antykwariuszy?

– Tym samym, dokładnie tym samym – ciągnęła pani Charles. – Niech no pan rzuci okiem, proszę. Mamy tu kilka niezłych antyków. Zna pan starego Pete'a?

– Owszem. – Nick rozejrzał się po pokoju, ciekaw, jak jego zawartość ocenił wcześniej Pete i jak z tej przyjaźni tłumaczył się Leo przed matką.

– Mały jest ten świat – zauważyła refleksyjnie pani Charles.

– Leo przedstawił mi go...

– To dobry człowiek. Wie pan, my zawsze mówimy o nim „stary Pete”, chociaż nie skończył jeszcze pięćdziesiątki.

– Ma czterdzieści cztery lata – uściślił Leo.

– Bardzo pomógł mojemu synowi, pomógł mu skończyć studia i dostać pracę w urzędzie. I niczego za to nie chciał, przynajmniej nie na tym świecie. Zawsze powtarzam, że jest dla Leo jak troskliwa cioteczka.

– No, powiedzmy... – rzekł kwaśno Leo niczym dziecko zmuszone po raz kolejny usłyszeć jedno z ukochanych powiedzeń rodziców, i to takich powiedzeń, które pod niby

zartobliwą powłoką skrywają dezaprobatę dla dziecka. Nieświadome szyderstwo, zawarte w tym konkretnym zwrocie, musiało być wyjątkowo męczące.

– Leo nie miał porządnego ojca – wyznała pani Charles z osobliwą satysfakcją, jakby cieszył ją ten dopust losu. – Ale Pan nasz troszczy się o swój lud. A Leo to dobry chłopiec, prawda?

– Tak, wręcz wspaniały! – przyznał Nick.

– Co będzie na obiad? – zapytał Leo.

– Twoja siostra powinna zaraz coś przynieść – odparła pani domu. – Naszych gości raczymy pikantnymi kotlecikami z ryżem. W tym kraju – zwróciła się do Nicka – nie smaży się kotletów, prawda? Tutaj się je piecze.

– Hm... Nie znam się na tym. Chyba jedno i drugie. – Pomyślał o swojej matce, stanowiącej przypuszczalnie uosobienie tubylczej tradycji. – Jeżeli pani smaży kotlety, zamiast je piec, to w ten sposób też wpisuje się pani w obyczaje tego kraju – dodał.

– Ha! – wykrzyknęła pani Charles. – Dobrze powiedziane!

Przy stole ruchy Nicka ograniczał piętrzący się przy jego lewym łokciu stos broszur *Powitajmy dziś Jezusa*. Do jedzenia przystąpił zrazu niepewnie, potem jednak głód zrobił swoje. Posiłek sam w sobie był bez smaku, za to przyprawy paliły w gardle. Nick pomyślał, że Rosemary celowo przesadziła z chili, chcąc zakpić z jego dobrych manier. Komplementował ją wszakże, również po to, by ukryć zdziwienie faktem, że swój wieczorny posiłek spożywa już o piątej czterdzieści pięć. Ta osobliwa refleksja obyczajowa, mały szok wywołany przez różnice klasowe i dziecinny niepokój z powodu zmiany stałego rozkładu dnia złożyły się na intrygujący nastrój swoistego wyobcowania. W Kensington Park Gardens jadano trzy godziny później, a czas przed kolacją wypełniały inne rozrywki: swobodne rozmowy, degustacja win, spacer po ogrodzie, gra w tenisa, słuchanie muzyki, picie whisky i dżinu. W domu Charlesów takich rozrywek nie znano, nie było tam zresztą ogrodu, nieobecny był też alkohol. Główny posiłek spożywano po pracy: najpierw odmawiano rozwlekłą modlitwę, potem jedzono, potem sprzątano, a potem nastawa! długi wieczór. Nick domyślił się paru rzeczy na podstawie obyczajów panujących w jego własnej rodzinie, która na drabinie społecznej mieściła się gdzieś między Feddenami a Charlesami; pozostawało jednak wiele spraw zagadkowych, wymagających cierpliwej i uważnej obserwacji. Po raz pierwszy odwiedził dom czarnych

ludzi. Zrozumiał, że jego pierwsza miłość to również kilka innych debiutów, które wypadło mu przyjąć jak przepiękny, acz kłopotliwy bukiet kwiatów.

Po dłuższej chwili milczenia ciszę przerwał w końcu Leo: – Jak ci idzie na studiach? – zapytał, jak gdyby ledwo się znali.

– Nieźle – odparł Nick, zakłopotany, dotknięty tym oschłym tonem. Okazywany mu niekiedy przez Leo chłód odbierał zawsze jak skarcone dziecko, a później, po namyśle, dopatrywał się w tym miłości skazanej na nieuchronną klęskę. Bał się takich momentów, ale rozumiał ukochanego i jeszcze bardziej go kochał. – Na razie nie jest to zbyt ekscytujące – dodał. – Pewnie dlatego że nabrałem już innych przyzwyczajęń. – Z zacenionego dziedzińca przy Instytucie Anglistyki wracał niezmiennie z kilkoma starannie obmyślanymi anegdotami, które zdawały się nadawać sens spędzonym na uczelni godzinom. Najczęściej jednak Leo puszczał je mimo uszu, toteż wiele z przygotowanych dykteryjek nie zagościło w ich rozmowach, przez co Nick czuł się cokolwiek urażony.

– Wcześniej studiował w Oksfordzie – wyjaśnił Leo.

– A teraz gdzie? – dopytywała się pani Charles.

– Na Uniwersytecie Londyńskim – odparł Nick. – Pracuję nad doktoratem.

Przeżuwając kawałek mięsa, Leo zmarszczył brwi i rzucił: – A co to konkretnie ma być?

Nick skromnie pokręcił głową, jak gdyby wolał o tym nie mówić. – Zajmuję się stylem w... w powieści angielskiej.

– Aaa... – Pani Charles pogodnie kiwnęła głową, przyznając zapewne, że jest to temat wyborny, choć jednocześnie dość głupi. Nick chciał coś dodać, lecz przerwała mu nagle: – On naprawdę lubi się uczyć! Ciekawe, ile ma lat.

Nick roześmiał się krótko, nieco zakłopotany. – Mam dwadzieścia jeden lat.

– A wygląda jak mały chłopczyk, prawda, Rosemary? Zapytana uniosła jedną brew i ukroiła kawałek kotleta w sposób, który można uznać za ironiczny. Nick zaczerwienił się i zauważył, że na czarne policzki Leo również wstąpiły osobliwe rumieńce, maskowane chmurnym wyrazem twarzy. Jego oblicze niemal zdradzało pilnie dotąd strzeżony sekret, a i różnica wieku, pomyślał Nick, też grata swoją rolę, bo wskazywała na charakter łączących ich stosunków. Stary Pete był niegroźny, bo stary, niczym uświęcona tradycją

instytucja; trudniej było wyjaśnić przyjaźń z rozmiłowanym w nauce chłopczykiem lat dwadzieścia jeden.

Nick musiał coś powiedzieć, choć czuł, że wypadł już z rytmu rozmowy. – Tęsknię za przyjaciółmi, rzecz jasna... Na razie niełatwo się w tym połapać... Jak skończę, odetchnę z ulgą! – Ponownie zapadło kłopotliwe milczenie, więc rzucił jeszcze: – W budynku anglistyki mieściła się kiedyś fabryka materacy. A połowa kadry to alkoholicy!

W Kensington Park Gardens te same słowa przyjęto nie najgorzej i Nick śmiał się potem ze skrępułów, jakie mu wtedy towarzyszyły. Każda rodzina ma jednak własne poczucie humoru i teraz znowu zaległa cisza, a Nick pomyślał, że dopuścił się chyba poważnego faux pas.

– Materace, powiadasz? – odezwał się Leo.

Rosemary wpatrywała się nieruchomo w swój talerz. – Mnie się wydaje, że im trzeba pomóc – rzekła.

Nick roześmiał się przepraszająco. – Ależ... tak... oczywiście. Masz rację. Należy im pomóc.

Po chwili zabrała głos pani Charles: – Wie pan, wszyscy mężczyźni już tacy są, mają takie problemy, każdy ma w swoim życiu wielką wyrwę...

Nick aż wzdrygnął się z niepokoju.

– Ale mogą tę wyrwę zasypać – ciągnęła pani domu – mogą ją wypełnić Panem Jezusem. To dlatego się modlimy, dlatego się zawsze modlimy. Prawda, Rosemary?

– To prawda – odparła córka, kręcąc głową na znak, że potwierdza fakt niepodważalny.

– I jak wam idzie? – zapytał Leo zdumiewająco sarkastycznym tonem. Rzecz wyjaśniła się, gdy pani Charles przechyliła się konfidencjonalnie do Nicka, bez reszty pochłonięta swoją „ideą”.

– Modlę się za tych, co błądzą się w ciemności, by odnaleźli Jezusa. I modlę się za tę dwójkę, którą wydałam na świat, żeby każde kogoś znalazło i stanęło przed ołtarzem. – Roześmiała się czule, tak że Nick nie mógł stwierdzić, co ta kobieta naprawdę myśli i jaki jest stan jej wiedzy.

Leo podrapał się w głowę i aż zadygotał z irytacji, chociaż w nim też objawiła się swoista czułość i żal, że matkę spotka rozczarowanie. Rosemary, główna podpora pani Charles, ustawiona teraz na równi z Leo, oświadczyła, że jest do małżeństwa gotowa i

czeka tylko na właściwego mężczyznę. Gdy mówiła to z na wpół przymkniętymi oczami, matka wpatrywała się w nią jak w obrazek. – Tylko dlatego jeszcze nie wyszłam za mąż – dodała, spoglądając na Leo, jak gdyby wahała się, czy go zdradzić. Również tym razem tego nie uczyniła.

Kiedy wniesiono owoce i lody, pani Charles zwróciła się do Nicka: – Widzę, że patrzy pan na mój obraz, na Pana Jezusa w ciesielni.

– A... tak – odparł Nick. Rzeczony obraz wisiał tuż nad ramieniem Leo i wbrew swym najszerszym chęciom Nick nie mógł na niego nie patrzeć.

– To bardzo stary i słynny obraz.

– Niedawno widziałem w Manchesterze jego oryginał.

– Tak. Zrozumiałam, że to nie oryginał, gdy zobaczyłam taki sam obraz w jednym kościele.

Nick uśmiechnął się i zamrugał oczami; nie był pewien, czy pani Charles sobie z niego nie żartuje. – Oryginał jest ogromny. To obraz naturalnej wielkości – powiedział. – Namalował go, oczywiście, Holman Hunt...

– Mhm... – mruknęła pani Charles, kiwając głową, jakby nie dowierzała wcześniej, że autorem mógł być ten właśnie człowiek, teraz zaś ta teoria wydawała się jej bardziej przekonująca. Natrętna dosłowność i mdły symbolizm odstręczały Nicka od tego typu obrazów; w naturalnych rozmiarach wrażenie było jeszcze gorsze, bo owa dosłowność narzucała się widzowi i wręcz domagała podziwu. – Słyszałam, że ten sam człowiek namalował *Światłość świata* z Jezusem, który puka do drzwi.

– Zgadza się – potwierdził Nick, który poczuł się jak nauczyciel zadowolony z okazanego przez dziecko zainteresowania przedmiotem, a który kwestię gustu zostawia na później. – Żeby obejrzeć *Światłość świata*, wystarczy wybrać się do Katedry Świętego Pawła.

Matka Leo ożywiła się na te słowa, – Słyszysz, Rosemary? Pójdziemy do Katedry Świętego Pawła i obejrzymy ten obraz na własne oczy. – Nick wyobraził sobie, jak w błyszczących butach i kapelusiku, spoczywającym teraz na krześle w rogu pokoju, pani Charles wychodzi z domu i stoi na kolejnych przystankach autobusowych z niespokojną cierpliwością pielgrzyma. Potem zobaczył ją z lotu ptaka, jak wspina się wolno po stopniach tej niebywałej świątyni, która od strony estetycznej w większym stopniu

należała do Nicka niż do tej łatwowiernej chrześcijanki. – Albo... możemy tam pójść razem... co? – zwróciła się do Nicka nieśmiało.

– Z przyjemnością – odrzekł Nick błyskawicznie, aby zatrzeć przykre wrażenie sprzed kilku chwil.

– Pójdziemy tam razem i dobrze się przyjrzymy – stwierdziła pani Charles.

– Wspaniale! – powiedział Nick. Kątem oka dostrzegł kpiące spojrzenie Leo.

– One są bardzo pomysłowe, wie pan, te stare obrazy – oznajmiła pani Charles, przechylając głowę.

– Często istotnie tak jest – zgodził się Nick.

– A wie pan, co jest najbardziej zmyślne w tym tutaj? – Spojrzała na niego pobłażliwie i chytrze zarazem, jak ktoś, kto zna odpowiedź na podchwytliwe pytanie.

W oczach Nicka zmyślny był sposób, w jaki Maryja, klęcząc przy skrzyni z darami trzech króli i widząc zapowiedź ukrzyżowania w cieniu syna na ścianie, odwraca głowę od widza. Tym samym to, co Henry James określał jako centrum świadomości obrazu, a co stanowić musiała twarz Maryi, zije tu białą pustką i bez wątpienia akcentuje niechęć malarza do katolicyzmu. – Zdumiewające są te trociny na podłodze – powiedział Nick. – Wyglądają jak prawdziwe...

– Nie, nie – zaprzeczyła pani Charles z dobroduszną pogardą. – Proszę popatrzeć. Pan Jezus stoi tu tak, że jego cień pokazuje Jego samego na krzyżu!

– A... tak – odrzekł Nick. – Rzeczywiście. Czy nie nazywa się tego...

– To jest dowód, że śmierć Pana Jezusa i Jego zmartwychwstanie przepowiadała Biblia już w najdawniejszych czasach.

– Jest to raczej ilustracja tej tezy, o dowodzie trudno tu mówić – zauważył Nick rzeczowo, acz chyba niezbyt dyplomatycznie. Leo posłał mu krytyczne spojrzenie, lecz sam rzucił wesołym głosem:

– A mnie się podoba to jego ziewanie. – Rozłożył ramiona i uniósł je nieco w górę, rozchylił usta i przekrzywił głowę dokładnie jak Pan Jezus z obrazu, tyle że w lewej dłoni wciąż trzymał łyżeczkę od lodów. Był to wygląd typowy dla spostrzegawczych dzieci; Rosemary patrzyła na Leo ze skrywanym zdumieniem, a przy tym drwiąco, wyczekująco, jak grzeczna córeczka na niesfornego brata. – Gdy on to robi, po plecach chodzą mi ciarki.

Leo mlasnął językiem i uśmiechnął się szeroko, a w przygasającym już wieczornym świetle jego cień przeciągnął się, wzruszył ramionami i ruszył chwiejnie po ścianie.

Po kolacji Leo sprawdził jeszcze coś w rowerze, po czym obaj wyszli na ulicę. Nick poczuł ulgę, choć było mu również wstyd za Leo, który wyciągnął go w trakcie rozmowy jak energiczny pies wlekący na smyczy swego właściciela. Pani Charles nie wyglądała jednak na urażoną. – Idźcie już, idźcie – mówiła, jakby i ona czekała na tę chwilę z utęsknieniem. Jest też możliwe, myślał Nick, krocząc w milczeniu obok Leo, że wyczuła jego męczarnię, że ten fakt ją zasmucił i że wskutek tego nastawiła się doń negatywnie... Żegnała go przecież bardzo zdawkowo, może uznała, że jest dwulicowy... No, w pewnym sensie istotnie odnosił się do niej protekcyjnie... Lecz jeśli ona tak to odebrała, to trudno nie mieć jej tego za złe...

Leo szedł żwawym krokiem, jak gdyby ustalili już wcześniej, dokąd się teraz udadzą. Nick nie umiał odgadnąć, czy jego przyjaciel jest przygnębiony, rozłoszczony, zawstydzony czy może tylko przekorny... Wiedział jednak, że wszystkie te emocje mogą szybko się uzewnętrznić, przechodząc jedna w drugą, i że roztropność nakazuje znieść ten moment w milczeniu, zamiast narażać się na kłopoty jakimś fałszywym słowem czy gestem; Nick krył się w azylu roztropności, kiedykolwiek Leo oddalał się od niego. Zaszło już słońce, zrobiło się chłodno, nad dachami szybowwały ciemne chmury, a w błękicie nieba za nimi czuło się już obecność łagodnej, acz trudnej do zignorowania jesieni. W ciągu czterech minionych tygodni, bo tyle już byli ze sobą, te wieczorne spacery przy dźwięku tykających miarowo przerzutek roweru nasiąknęły głęboko romantyczną aurą. Nick bał się, że wspólne milczenie stanowi aż nazbyt wymowny komentarz do sytuacji, i kiedy dotarli do końca ulicy, przyciągnął go do siebie gwałtownie i rzekł: – Mmm... Dziękuję ci, kochanie.

– Niby za co? – prychnął Leo, choć nie wyglądał na rozgniewanego.

– Za tę wizytę. Za to, że przedstawiłeś mnie swojej rodzinie. To dla mnie ważne. – Uświadomił sobie, że dopiero te słowa wywołały opisane nimi uczucie. Teraz naprawdę był wzruszony.

– No to już wiesz, jakie one są – stwierdził Leo, wpatrując się wąskimi oczami swej matki w biegnącą przed nimi arterię. Na skrzyżowaniu zapaliło się zielone światło i sznur

samochodów ruszył ku nim w dół wzgórza, aby po chwili przerzedzić się i zniknąć zupełnie.

– Są cudowne. – Nick chciał powiedzieć coś miłego, ale usłyszał, jak ten przymiotnik zawisł nagle na pogrążonej w ciszy ulicy niczym ujęty w cudzysłów i podkreślony; cudowne mogły być wszak dzieła sztuki dla koneserów z Kensington Park Gardens. W uszach Leo zabrzmiało to chyba absurdalnie, bo przez chwilę mrugał tylko oczami, a potem uśmiechnął się i zarechotał: – Skoro tak mówisz... kochanie... – To ostatnie słowo, na które Nick od dawna już czekał, zabrzmiało dwuznacznie, ironicznie bez mała.

Nick miał w zanadru szalone plany na bieżący wieczór, lecz kochanek ubiegł go i oznajmił swoją decyzję: wróć do Notting Hill i pójdą do kina The Gate, gdzie o siódmej piętnaście zaczyna się seans *Człowieka z blizną*. Film ten dopiero co wszedł na ekrany, a Leo dysponował już sporą wiedzą na temat owego dzieła. Gdy Nick dowiedział się, że spędzą w kinie aż sto siedemdziesiąt minut, każda z nich ucieleśniała dla niego fizyczny kontakt i niegasnące podniecenie. Przez trzy bite godziny będą siedzieć w ciemnej sali, ramię przy ramieniu. Leo zachwycił się Alem Pacino, jak gdyby był w nim zakochany; Nick nie mógł mu szczerze przyklasnąć, bo nie darzył Pacino aż takim poważaniem. Wywiad z tym aktorem ukazał się w ostatnim numerze „Time Out”, który Leo przeczytał zapewne bardzo uważnie, jako że wszystko, co mówił na temat filmów, przypominało drukowane tam minirecenzje. Tak czy inaczej, kino stanowiło domenę Leo, której bronił on zazdrośnie przed zakusami Nicka i którą wymienił przeciw wśród „zainteresowań” w swoim anonsie. – Pacino to geniusz – przyznał Nick, używając miłego im obu określenia. Stojąc na przystanku, dumali nad znaczeniem tego słowa.

Kiedy podjechał autobus, Nick wszedł do środka, ulokował się bokiem na tylnym siedzeniu i patrzył, jak malejący z każdą sekundą Leo manipuluje przy rowerze, by wreszcie wskoczyć na swój wehikuł i ruszyć żwawo przed siebie. Autobus zatrzymał się na kolejnym przystanku, a rower niemalże przefrunął obok niego; Leo uniósł się nieco ponad kierownicę, spojrzął na przyjaciela, mrugnął porozumiewawczo i pochylił się znowu, żeby zmienić bieg w przerzutce. Nick ucieszył się z tego mrugnięcia, uniósł rękę i uśmiechnął się szeroko, obserwowany podejrzliwie przez innych pasażerów.

Autobus skręcił wreszcie z Harrow Road na Ladbroke Grove i toczył się w dół tą długą ulicą. Nick domyślał się, że Leo, który wtopił się w wieczorne światła i cienie

miasta, pędzi teraz na złamanie karku. Gdzież mógł być w tej chwili? Nick ciągle znajdował się w górnych partiach ulicy, pełnych blokowisk dla biedoty, i tęsknił za bliższym mu drugim jej końcem, za białym stiukiem i prywatnymi ogrodami. Zastanawiał się, co też mógł Leo pomyśleć, kiedy przekraczał granicę między dwiema strefami, biegnącą mniej więcej w połowie długości ulicy, przy zatłoczonym i głośnym rynku, przy dworcu, pod brzęczącym mostem kolejowym. Następnie po obu stronach ciągnęły się przez moment podejrzenie okazałe posiadłości, a potem ulica znów pięta się po wzniesieniu, jakby w tym miejscu czyniła zadość metaforze drabiny społecznej tudzież swej nazwie⁹, bo tu i ówdzie widziało się skrawki sadów i gęste zarośla. Leo na pewno tego nie zauważał, bo choć był dla Nicka postacią na wskroś poetycką, w nim samym poezji nie było, a estetyczne wtręty kochanka śmieszyły go lub drażniły. Czasami Nick godził się już z myślą, że Leo jest letni w swoich uczuciach, lecz potem przychodził szok, gdy jego miłość, wzburzona zwątpieniem swego obiektu, ujawniała się gwałtownie, zapierając dech w piersiach, prawie budząc grozę. Przypomniawszy sobie wizytę u Charlesów, Nick pojął, że również dla Leo miała ona ogromne znaczenie, a wszelki chłód i powściągliwość brały się z konieczności dochowania sekretu. Gdyby Nick był kobietą, owo spotkanie miałoby w sobie coś z rytuału, matka zaś mogłaby wreszcie oddać się marzeniom o rychłym ożenku syna. Dla Nicka głównym tematem rozmowy była jego miłość do Leo, równie silna i obsesyjna, jak miłość pani Charles do Jezusa. Jej wszakże wolno było dawać wyraz swoim uczuciom, uważała wręcz, że powinna to czynić, on natomiast mógł tylko rumienić się i rzucać ukradkowe spojrzenia. Ta kobieta usunęła w cień jego uczucia, przyćmiła jego samego.

Gdy dojechał do kina, Leo stał już w kolejce, prawie przy samym okienku. – Zdażyłeś – powiedział i kiwnął głową, spoglądając na czekających za nim ludzi. – Tak, dziś premiera – dodał, jak gdyby premiery go męczyły, jakby był ich ofiarą. Kiedy dotarli do okienka, okazało się, że sala jest już niemalże zapełniona i że nie będą mogli siedzieć obok siebie. Nick wzruszył ramionami i przepuścił stojącą za nimi ciekawską parkę. – No cóż... – powiedział. – Przełożymy to na weekend.

– Nie, bierzemy te miejsca – rzekł Leo. – Na Boga, już tu przecież jesteśmy. – Spojrzał na Nicka z niepokojem.

⁹ Grove (ang.) – gaj; lasek.

– Pomyślałem tylko, że jeśli nie możemy siedzieć razem... – rzekł Nick, dla którego trzy godziny spędzone w kinie na brutalnym filmie gangsterskim miałyby sens jedynie wtedy, gdyby czuł obok siebie ciepłe ciało kochanka i mógł trzymać dłoń w jego rozporku. Dotykali się już w ten sposób, ostrożnie i wolno, acz ekstatycznie, pod sennym spojrzeniem Matta Dillona w *Rumble Fish* oraz na filmie Felliniego *A statek płynie*, wybranym desperacko przez Nicka na osobliwe tło do orgazmu. Poza tym kochali się tylko w parkach, szaletach publicznych, a raz nawet – jeszcze bardziej konspiracyjnie niż w kinie – na zapleczu antykwariatu Pete’a, do którego Leo miał własny klucz. Robótki ręczne w ciemnej sali kinowej miały w sobie swoisty urok, wpisywały się bowiem w tradycję obmacywania przed rozświetlonym ekranem.

Teraz jednak miał znowu być sam i dotkliwie tę samotność odczuwał, odbierając od Leo „lepszy” bilet, w środku jednego z tylnych rzędów. Gdy przeciskał się na swoje miejsce, pochylony i przepraszający, na ekranie migotały już reklamy, a on czuł się jak niezdarny intruz w świecie migdałących się parok. Nawet jego miejsce wydawało się w połowie zajęte płaszczami i torebkami sąsiadów oraz ich wygiętymi kończynami. Sto siedemdziesiąt minut miało wlec się jak nudna lekcja, jak makabryczny sprawdzian, bo czekał na film, którego wcale oglądać nie pragnął, i przez chwilę miał ochotę zachować się właśnie jak niesforny uczeń: rozplakać się, wstać, wyjść z kina i wrócić pod koniec seansu. Ale potem ogarnął go strach przed reakcją Leo. Stawka była zbyt duża. Na ekranie reklamowano właśnie rum Bacardi i sala zajaśniała od jaskrawych barw mórz tropikalnych i białych plaż. Nick skierował wzrok nieco w lewo, tam, gdzie powinien siedzieć Leo, ale dopiero po dłuższej chwili dostrzegł zarys jego głowy, jego odległy i uważnie wpatrzony w ekran profil, jaśniejący odbitym światłem. Palmy i fale z reklamy wyglądały zupełnie jak fototapeta pani Charles, tyle że tutaj na pierwszym planie biegało sobie weosło kilkoro niezwykle urodziwych heteryków.

Krytycy zdążyli już określić *Człowieka z blizną* jako „film operowy”, przez co mieli chyba na myśli zawarte tam wątki latynoamerykańskie tudzież dużo hałasu i nieznośnego patosu. Akcja osadzona została w Miami, które przeraża bezdusznym luksusem i przemocą; Nick zastanawiał się, jak ludzie mogą tam żyć i jak on sam by w takich warunkach wytrzymał. Ogólnie nędzny nastrój odwiódł go od filmu, ożywiając paranoiczne wątpliwości i obiekcje. Zauważył, że reaguje jak jego matka, która z nieufnością lub wrogo traktowała każdy film ze sceną łóżkową lub niewinnymi nawet

przekleństwami. *Człowiek z blizną* opowiadał o kokainie, a to napawało trwogą. Dobrze pamiętał, że na przyjęciu w Hawkeswood Toby wciągał ten proszek z Wanim Ouardim. Film zaś potwierdził jego najgłębsze obawy. Brak było tutaj choćby cienia nieziemskich rozkoszy, o których opowiadał mu Toby. Narkotyki to pieniądze, władza i nałóg. Potwierdzała to właśnie młoda blondynka z ekranu, aplikująca sobie ponuro dużą porcję koki.

Parka po lewej coraz głębiej tonęła we wzajemnym uścisku. Nick kątem oka widział dłoń na nagim udzie, nieskrywanym już przez sukienkę, a gdy owa dłoń poruszyła się nagle, Nick czym prędzej odwrócił wzrok, jak gdyby dopuścił się występku. Kino było dla niego jedynie salą – długim wąskim pomieszczeniem z zakurzonymi gipsowymi imitacjami ozdób typowych dla starych teatrów. Nie umiał zatopić się w fabule filmu; nękały go złe przeczucia. Kiedy ekran się rozjaśniał, Nick tęsknie wodził oczami po morzu głów przed sobą. Leo był jednak równie niski jak on i do końca seansu nie udało mu się wypatrzeć jego głowy. Ten film wybrał Leo i musi teraz dobrze się bawić, myślał Nick, pewnie wciągnęła go akcja, pewnie oswoił się już z tym nowym standardem brutalności. Obraz, który szokuje od samego początku, podnosi zarazem próg odporności i nic już potem szokować nie może. Nick miał wrażenie, że gdyby siedział obok Leo, chichotałby i pojękiwał jak reszta widzów przy każdej strzelaninie, przy każdym rozlewie krwi. Lecz znajdowali się z dala od siebie, tak jak mogli kiedyś siedzieć w takim samym półmroku, w tym samym kinie, zanim się jeszcze poznali. Rażąca nierealność *Człowieka z blizną* w jakiś dziwny, irracjonalny sposób wszystko inne czyniła podejrzanym, i również romans Nicka, tak mało prawdopodobny, tak nowy, tak skandaliczny, zaczynał budzić fundamentalne wątpliwości. Zastanawiał się, czy zauważyłby Leo rok temu w kolejce sunącej wolno do wyjścia, czy jego obraz towarzyszyłby mu przed zaśnięciem. Raczej nie, ponieważ Leo miał w zwyczaju siedzieć w fotelu przez całe napisy końcowe, zapoznając się z listą kamerzystów i firm ubezpieczeniowych, czytając podziękowania dla burmistrza i komendy policji w... Była to jakaś wskazówka, ale i utrudnienie w snuciu dalszych domysłów.

Również tym razem Leo zjawił się w foyer dopiero po wyświetleniu na ekranie pełnej listy płac. Kiwnął głową i zamrugał do Nicka, rozbawiony jego strapioną miną. – No dobra, malutki – powiedział cicho i chwyciwszy przyjaciela za ramię, pociągnął go w stronę wyjścia. – Trochę tej koki wciągnęli – dodał, nawiązując do jednej ze scen w

ostatniej godzinie filmu: Pacino rozrywa dużą plastikową torbę z kokainą i zanurza w niej nos, ostatecznie już zniewolony swoim narzędziem władzy. Dla Nicka było to koszmarnie żenujące.

– I co? Podobało ci się? – zapytał Leo.

Nick odchrząknął, by przygotować kochanka na niezbyt dobrą wiadomość. – Nie bardzo – odparł i uśmiechnął się niepewnie.

– Ja się dobrze bawiłem – mówił Leo. – Końcówka była horrendalna.

– Tak... Tak, to prawda – zgodził się Nick, przypominając sobie ostatnią strzelaninę. Podobnie jak wiele już razy wcześniej, ogarnęło go poczucie, że różnica gustów, prawie nieistotna dla drugiej osoby, ma dla niego ogromne znaczenie.

– Wybacz, malutki – rzekł Leo. – To naprawdę było badziewie. I nie mogliśmy nawet się pomiziać jak trzeba.

– Też to zauważyłem – odparł Nick filuternie, aby ukryć i rozwiać przykre wrażenia z trzech minionych godzin. Odczuł taką ulgę, że nie widział, gdzie idzie, i przez sekundę mocował się z klamką szklanych drzwi, zamkniętych już przez obsługę kina.

Leo wyszedł przed nim i skierował się na wyłączoną z ruchu boczną uliczkę, na której stał jego rower. Gdy Nick dotarł do przyjaciela, ten zarzucił mu ręce na szyję i z wielką czułością pocałował w czoło. Wpatrywał się potem w niego uśmiechnięty, acz z lekko zmarszczonymi brwiami, jak gdyby żartobliwie mu coś wyrzucał.

– Nicholasie Guest!

– Mmra... – Nick zarumienił się, lecz nie oderwał wzroku od oczu Leo.

– Za dużo się martwisz. Wiesz o tym, prawda?

– Wiem...

– Na pewno? Ufasz wujkowi Leo, co?

– Jasne, że ci ufam – odparł Nick cicho, ale stanowczo, jak gdyby zadano mu prostsze pytanie.

– Nie martw się tyle. Zrobisz to dla mnie? – Głos Leo emanował łagodnością, którą jak zwykle sygnalizował cockneyowski akcent.

– Tak. – Mimo to Nick rozejrzał się na prawo i lewo, ponieważ Leo trzymał go przy ścianie jak bez mała napastnik; tak przynajmniej mogli sobie pomyśleć nieliczni przechodnie. Po tej krótkiej wymianie zdań uczucie ulgi zastąpił bliżej nieokreślony niedosyt.

– Nigdy o tym nie zapominaj.

– Nie zapomnę – mruknął Nick, a Leo cofnął się o krok. Nie był pewien, o czym konkretnie powinien pamiętać, bo słowa kochanka mieszały mu się w głowie. Uśmiechnął się na myśl, że Leo od razu wyczuł źródło jego strapienia i doprowadził do tej wymiany zapewnień, nawet jeśli jego wujowski ton niezupełnie pasował do sytuacji. Nick stwierdził, że choć serce wali mu jak szalone, zdobędzie się jednak na odwagę i przedstawi swój plan.

– Na pewno ich tutaj nie ma?

– Tak, na sto procent, W domu może być tylko Catherine.

– Catherine to twoja siostra, nie? – Leo mrugnął okiem.

Ciężki klucz z ostrymi nacięciami wyciął szparę w kieszeni spodni, a pozostałe zaplątały się w porozrywane nitki i zwisały przy udzie Nicka. Gdy próbował je wyciągnąć, przez nogawkę wypadło kilka łaskotliwych monet funtowych, które potoczyły się po płytkach ganku. Leo rzucił się na nie natychmiast. – Słusznie, wyrzucaj pieniądze – powiedział.

W holu zawsze paliło się światło, wywołujące tam teraz aurę osobliwej czujności. Wpuściwszy Leo, Nick zamknął za sobą drzwi i znów schował do kieszeni klucze, które jednakże po dwóch zaledwie krokach wypadły przez nogawkę na marmurową posadzkę holu. Leo przeglądał się właśnie w lustrze – uniósł brew, lecz nic nie powiedział. Na konsoli leżały zapasowe kluczyki do samochodu, lornetka teatralna, jeden z szarych kapeluszy filcowych Geralda oraz list adresowany do Wielce Czcigodnego Geralda Feddena i Jego Małżonki. Wszystko to, odbite w lustrze, wyglądało jak martwa natura i wydawało się Nickowi cudowne i kłopotliwe zarazem. Przez chwilę stał nieruchomo i nasłuchiwał. Wisząca nad schodami lampa z brązu oświetlała słabo fragment jadalni, rzucając kilka promieni na czarną atlasową suknię jednej z ubiegłowiecznych pań Kessler. Wielce Czcigodni Feddenowie bawili obecnie w Barwick, dokąd sprowadziły ich obowiązki wyborcze Geralda. Nick jednak na wszelki wypadek powtarzał w myślach zdanie, którym wyjaśniłby im obecność Leo, gdyby mimo wszystko wrócili nagle do domu. Bardziej niż zwykle miał teraz świadomość, że to oni są tu u siebie, że to do nich należą te kamienne schody, te niknące w ciemności gzymsy i wszystko, co się w tym domu znajduje. Pocałował przyjaciela w policzek i zaciągnął go do kuchni. Po chwili

energooszczędne żarówki zająknęły się, zamrugały i ożyły na dobre. – Masz ochotę na whisky?

Leo o dziwo nie odmówił: – Czemu nie? Tak, z przyjemnością. Dzięki, Nick. – Chodził po kuchni roztargniony, aż w końcu zatrzymał się przy ścianie ze zdjęciami. Feddenowie kupili od „Tatlera” jedną z fotografii zrobionych na urodzinach Toby’ego w Hawkeswood, powiększyli ją, oprawili i powiesili tu właśnie. Na zdjęciu prezentowali się dumnie uśmiechnięci członkowie rodziny wraz z ministrem spraw wewnętrznych, który sądząc po jego minie, czuł się w tym gronie jak intruz. Nieco wyżej widać było, jak młodzieńki wyfraczony Gerald ściska dłoń Harolda Macmillana w oksfordzkim klubie dyskusyjnym. Leo znowu nie wygłosił żadnego komentarza, ale gdy Nick podał mu zimną szklankę, poznał po jego oczach i wątłym uśmiechu, że wszystko widzi i stara się zapamiętać. Być może obliczał skalę zniewagi, jaką stanowi dla niego całe to torysowskie bogactwo. Nick poczuł, że jego chlubny dotąd status jako przyjaciela rodziny, jako ich lokatora, chwieje się w posadach. – Chodźmy na górę – powiedział.

Przeskakiwał po dwa stopnie naraz, a gdy na półpiętrze obejrzał się za siebie, stwierdził, że im bardziej on sam się śpieszy, tym mniej skwapliwie podąża za nim Leo. Znalazłszy się w salonie, włączył lampki nad stolikami i obrazami, dzięki czemu jego przyjaciel, który po chwili dowlóknął się wreszcie na górę, ujrzał to pomieszczenie w takim samym świetle, w jakim Nick widział je po raz pierwszy przed dwoma laty: półcienie, odblaski i lśniące złocenia. Nick stanął triumfalnie przy kominku, lecz wyraz tłumionej ciekawości na twarzy Leo ostudził jego entuzjazm.

– Nie przywykłem do tego – rzekł Leo.

– Tak?

– Nie pijam whisky.

– No... tak... cóż...

– Nie wiem, jak to na mnie podziała. Mogę być niebezpieczny.

Nick uśmiechnął się słabo i spytał: – To jest groźba czy obietnica? – Dotknął dłonią biodra kochanka i trzymał ją tam przez kilka sekund. Zazwyczaj w takiej sytuacji od razu wpadliby sobie w objęcia, zaczęli całować się i pieścić; z drugiej strony zdarzało się, że Leo naśmiewał się z niecierpliwego Nicka i mówił: – Nie panikuj, kochanie! Ja nie ucieknę! Masz mnie tylko dla siebie! – Leo postawił szklankę na gzymsie kominka i wlepił wzrok w *Capriccio veneziano* Guardiego; w porównaniu z *Cieniem śmierci* obraz

ten musiał wydawać się niezbyt inteligentnie namalowany – trudno było wyobrazić sobie, jak Rachel opowiada gościom o tym czy innym „zmyślnym” koncepcie. Na gzymsie stały podparte o ścianę zaproszenia, nakładające się jedno na drugie, tworzące długi katalog towarzyskich sukcesów: Państwo Fedden... Księżna Hexham... Lady Carbury zaprasza... Michael i Jean... Sekretarz Stanu... W imieniu Jej Królewskiej Mości Lord Szambelan ma zaszczyt... To ostatnie było nieco grubsze i miało zaokrąglone krawędzie. Wszystkie te karty stały tam jeszcze długo po wydarzeniach, do których się odnosiły, przygotowując Nicka o miły dreszczyk kontaktu z wielkim światem. Teraz jednakże szybko zorientował się, iż swoje przyjemności czerpie poniekąd z samochwalstwa Geralda, i odwrócił się szybko, jak gdyby wcale tych zaproszeń nie dostrzegł.

– Boże, co za snoby... – mruknął szyderczo Leo.

Nick roześmiał się. – To nie są snoby – powiedział. – No, może Gerald jest trochę snobem. Oni po prostu... – Trudno to było wyjaśnić, trudno było zorientować się nawet, kto dla kogo stanowi alibi w tym nad wyraz zgranym małżeństwie, kto tu kogo usprawiedliwia. Nick zrozumiał, że Leo ma na myśli ludzi bogatych w ogóle, mieszkańców pięknych domów, tak zwanych lepszych gości. Uświadomił sobie również, że jego kochanek mógł potraktować zaproszenie do Kensington Park Gardens jako wyrafinowany, acz przytłaczający afront. Leo wypił jeszcze jeden łyk whisky i podszedł do okna. Nick usiłował korzystać z rad udzielonych mu kwadrans wcześniej, próbował ufać wujkowi Leo. Przez krótką chwilę cały ten salon, urządzony wszak z myślą o intensywnym życiu towarzyskim, rozbrzmiał mu w głowie śmiechem i gwarem rozmów, aby tuż potem znowu pogrążyć się w ciszy, maconej tylko przez tykanie zegara.

– Niezłe cacko – powiedział Leo, wskazując ręką komodę z drewna orzechowego. – A tutaj, jeśli się nie mylę, mamy sewrską porcelanę.

– Tak, chyba tak – odrzekł Nick, który odniósł wrażenie, że Leo, akcentując dyskretnie wspólnotę zainteresowań, zarazem przypomina mu o istnieniu starego Pete’a. Ten ostatni na pewno umiałby wybrnąć z takiej niezręcznej sytuacji za pomocą kilku błyskotliwych słów.

– No, mają tu kilka cudeniek – wymamrotał Leo, sztucznie i niewyraźnie, a zatem również odrobinę wstydliwie. Odwrócił się i pokiwał głową. – Niezłe się ustawileś!

– Ależ kochanie... Żadna z tych rzeczy nie należy do mnie.

– Wiem, wiem... – Leo usiadł przy fortepianie i po chwili namysłu postawił szklankę na jednej z książek spoczywających na wieku instrumentu. – Co my tu mamy? Mozart... Okej... Może być. – Rzucił okiem na okładkę stojącego na pulpicie zeszytu i znowu rozwarł go w tym samym miejscu, na wiecznie otwartym *Andante*. – W jakiej to jest tonacji? – zapytał, jak gdyby zależał od tego wybór specjalnej taktyki grania. – F-dur...

– To bardzo stary fortepian – rzekł Nick. Wydawało mu się, że jeśli Leo zacznie coś grać, a zwłaszcza gdy zagra na nim niewprawnie, zbudzą się wszystkie straszące w tym domu demony i zlecą się tu, żeby wyć i protestować.

– Okej, okej – odmruknął Leo i zaczął grać, wpatrując się w nuty ze zmarszczonym czołem. Była to druga część sonaty K533, cudowna, oszczędna, głęboka, bachowska. Nick odkrył ją i próbował odegrać owego wieczoru, kiedy odwołał pierwszą randkę z Leo, aż Catherine przerwała mu, a on przepaszająco zaimprovizował kilka taktów „muzyki hotelowej”. Przepraszać za to, czego się pragnie najbardziej na świecie, przyznawać, że jest to wstrętne, nużące, „wulgarne i niebezpieczne” – Nick nie znał nic gorszego. Muzyka zdawała się o tym wiedzieć i falowała jak sinusoida, wznosząc się ku nadziei i rozpaczliwie opadając. Leo grał dość przyzwoicie, a stojący za nim Nick starał się wspierać go duchem i wskazywać myślami właściwe nuty, dodając otuchy w istnej torturze, jaką jest granie *a vista*, pełne zazwyczaj wahań i pauz, aczkolwiek nawet w dwójnasób przyjemne, gdy wszystko przebiega czysto i bez pomyłek. Nagle Leo trafił w niewłaściwy klawisz, wydał z siebie okrzyk lekceważenia, zagrał kilka przypadkowych akordów i sięgnął po szklankę z whisky. – Chyba jestem za bardzo wstawiony – powiedział i nie był to bynajmniej żart.

Nick zachichotał. – Nieźle ci poszło. Ja sobie z tym nie radzę. Nie wiedziałem, że umiesz grać. – Czuł się wzruszony i poniekąd ukarany za zbytnią pewność siebie w ocenie niektórych cech przyjaciela. Odśloniły się przed nim nowe perspektywy: Leo w swych dżinsach, bluzie od dresu i baseballowych butach wskrzesza Mozarta przy starym donośnym bosendorferze. Wydawał się teraz rozluźniony, niczym nieśmiały gość, który rzucił właśnie długo wyczekiwaną błyskotliwą uwagę i nagle zaczyna się dobrze bawić. Nick objął go od tyłu i wpił się wargami w jego policzek.

Leo zaśmiał się i powiedział: – Już starczy, malutki.

– Kocham cię – rzekł Nick, potrząsając trzymanym w uścisku ciałem. Jęknął, poczuwszy ciepło bijące od jego twardych mięśni. Leo wyciągnął do tyłu swą prawą rękę i ścisnął Nicka za ramię.

– Koszmarny obraz – stwierdził po chwili.

Chodziło o sporządzony przez Normana Kenta portret szesnastoletniego Toby’ego, który wisiał za brązowym popiersiem groźnego Liszta i na którym zatrzymywał się zazwyczaj wzrok brzdąkającego pianisty. Gdy Leo grał, obraz ten przyprawił Nicka o wiele smutnych myśli.

– Tak... Biedny Toby.

– On sam jest niczego sobie, jak idzie o moje zdanie.

– Owszem.

– Nie mówiłeś mi, czy dałeś radę go zaliczyć, kiedy byliście razem w Oksfordzie.

Nick nie zdradził kochankowi, że przed ich pierwszym spotkaniem w krzakach nikogo jeszcze nie „zaliczył”. – Nie – odpowiedział. – Nie, on jest stuprocentowo hetero.

– Naprawdę? – Leo był sceptyczny. – Ale na pewno próbowałeś.

– Niezupełnie – odparł Nick. Cofnął się nieco, ciągle jednak trzymając dłonie na ramionach Leo, i uśmiechnął się blado do różowutkiej buzi odzianego w blezer nastolatka. Uśpiony ostatnio żał mógł ożyć na nowo i w tej właśnie chwili Leo wydał mu się tandetną namiastką w zestawieniu z niedostępnym pięknem Toby’ego.

– Widziałem, jak dał ci całusa i jak się na ciebie gapił. Było w tym coś ciotowatego.

– Daj spokój! – mruknął Nick i roześmiał się, przyciągając do siebie Leo, aby spić z jego ust prawdziwe pocałunki, takie, jakich nigdy nie da mu Toby.

Leo wolał jeszcze trochę odczekać. – Więc ich lordowskim gościom nie przeszkadza w domu homoś?

– Ani trochę – odrzekł Nick. – Nie mają żadnych zastrzeżeń. – W myśli zaś wypowiedział słowa, które pewnie dorzuciłaby Catherine: „O ile się o tym nie mówi”. – Przyjaźnią się z wieloma gejami – dodał Nick, ubarwiając cokolwiek prawdziwy stan rzeczy. – Zresztą sami nalegali, żebym cię tutaj zaprosił, kochanie. – Mrara... – mruknął Leo równie subtelnie jak Rachel.

Nick leżał na pościelonym łóżku, zdumiony, z bijącym mocno sercem. Leo zadzwonił do matki i zapowiedział, że nie wróci na noc; tym samym podjął ryzyko, tym

samym uległ namowom, tym samym złożył deklarację szczerego zaangażowania. Nick przez moment wsłuchiwał się w szum wody w łazience. Potem wśliznął się pod kołdrę, wsunął dłoń pod głowę i spoglądając w lustro w drzwiach szafy, napawał się swoim szczęściem, któremu jak zwykle towarzyszył bolesny niepokój. Frontowe drzwi na parterze były zamknięte na wszystkie spusty, w kuchni i salonie nie paliło się już światło i tylko wisząca nad schodami lampa rozjaśniała fragment holu. Drzwi do pokoju Catherine były zamknięte, lecz Nick miał pewność, że nie ma jej w domu. Dom mieli wyłącznie dla siebie. Przez uchylone okno słyszał gardłowe trele rudzika, który śpiewał nocami w ogrodzie i którego brał wcześniej za słowika; dopiero sąsiadka przysłuchująca się ptasim koncertom na zwirowej alejce skorygowała to mylne mniemanie. Nick nigdy nie słyszał słowika, lecz nie wyobrażał sobie, by mógł on swym śpiewem rudzika prześcignąć. Zastanawiał się, o której wróćą Rachel i Gerald. Pewnie nieprędko, bo rano Gerald ma dyżur w swoim biurze, a następnie czeka ich dwugodzinna przeprawa do Londynu. Nick uśmiechnął się na myśl o nieświadomej hojności Feddenów.

Pod prysznicem zrobiło się cicho i słychać było już tylko szczebiot rudzika, który to milknął ponuro, to wznawiał swój recital. Nick wolał, by Leo zjawił się w łóżku nieumyty, bo uwielbiał lekko kwaśny zapach jego skóry, ostrą woń pod pachami i słodką nieświeżość między nogami. Ciągłe uczył się tych zapachów, szokujących swą autentycznością. Leo wszakże irytował się samym ich istnieniem, prawie się ich wstydził. Miał niebywale wyostrzony zmysł węchu, który w kolejkach lub zatłoczonych pomieszczeniach objawiał się poprzez uniesienie górnej wargi i arystokratyczne drganie nozdrzy. Twierdził, że lubi zapachy Nicka, ten zaś, zdumiony, że w ogóle je posiada, nerwowo zachodził w głowę, czy słyszy słowa prawdziwe i szczerze, czy może jest to tylko czysta uprzejmość. Najpewniej jedno łączyło się tutaj czule z drugim.

Było w tym wszystkim coś magicznego – leżeć w jednoosobowym łóżku i dotykać się łagodnie w oczekiwaniu na nadejście kochanka; leżeć w pozycji wiecznego samotnika, wiecznego chłopca oddającego się snuciu marzeń o mężczyznach gotowych na każde jego skinienie. A teraz... skrzyp drzwi do łazienki, odgłos wyłączania światła i trzask podłogowych desek zapowiadał wyśnioną chwilę... i już za kilka sekund drzwi otworzą się i stanie w nich Leo...

W białej spódniczce z ręcznika owiniętej wokół pośladków i powściągliwie wybruszonego kutasa wyglądał na czarniejszego niż zwykle. W rękach trzymał złożone

ubranie i przypominał świeżo wcielonego do wojska rekruta, rozebranego do naga, wyszorowanego, z przydzielonym mundurem w dłoniach. Rozejrzał się po pokoju i położył ubranie na biurku, przy książkach z biblioteki. Zachowywał się trochę oficjalnie; mrugnął do Nicka, lecz najwyraźniej i on był wzruszony tą zwykłą i niezwykłą zarazem dla nich obu sytuacją. Nick za to poczuł się raptem gorzej, jak gdyby stanowili parę zbiegłych kochanków uciekających w ciągłym strachu przed pogonią, kochanków, którzy już pierwszej nocy w dalekim hotelu widzą w sobie zupełnie obcych ludzi. Ale uciekli przecież tylko na poddasze, nie, to absurd. Rozpierała go duma z obecności Leo w tym domu, z tego, że go sprowadził. Odrzucił kołdrę i przesunął się, żeby zrobić miejsce dla towarzysza. – Przepraszam za łóżko – powiedział.

– Co takiego?

– Chyba się tu nie wyśpisz.

Upuściwszy ręcznik na podłogę, Leo wpatrywał się w Nicka bez śladu uśmiechu na twarzy. – Nie mam zamiaru dzisiaj spać – oświadczył.

Nick przyjął to wyzwanie bezgłośnie niemal jęknięciem. Po raz pierwszy ujrzał Leo bez ubrania i po raz pierwszy widział, jak z jego twarzy opada maska leniwej czujności, swobodnego cynizmu, przenikliwości i nieczułości, i jak ta twarz rozplywa się w niczym nieosłoniętym uczuciu. Leo oddychał przez nos, a w jego spojrzeniu żądza mieszała się z samooskarżeniem – że był tak opieszale, tak próżny, tak ślepy.

**”DO KOGO TAK
PIĘKNIE NALEŻYSZ?”**

(1986)

Nick, który szedł przodem, otworzył bramę i przepuścił Waniego, tak że przez kilka sekund świat zewnętrzny mógł widzieć nagie ciała, po czym brama z napisem „Tylko dla mężczyzn” ponownie się zamknęła. Wewnątrz znajdował się kompleks budynków; pośrodku widniał wylany betonem dziedziniec, przy ścianach zaś, pod cienkim zadaszaniem, stały rzędy ławek. Dziedziniec ten mógłby należeć do świata antycznego, gdyby nie mnogość rur i rdzewiejącego żelaza; coś mgliście antycznego było również w powszechnej tu nagości. Z kolei beton, cynowa blacha i zapach wody ze stawu tchnęły ponurą aurą angielskiej szkoły. Nick ruszył przed siebie, mijając książki i ręczniki kilku opalających się mężczyzn, i stwierdził, że zostali z Wanim zauważeni. Ktoś wykrzyknął słowa powitania, a wszystkie rozmowy zaczęły nagle zwalniać i cichnąć. Poczł, jak spojrzenia obecnych prześlizgują się po nim szybko, by spocząć po chwili, z większą już koncentracją, na jego towarzyszu. Wani, w błękitnych lustrzanych okularach przeciwsłonecznych, przedstawiał sobą okaz niespotykanej w tym miejscu urody i tylko Nick, siadając teraz i przywołując go gestem do siebie, wiedział, że jego półuśmiech wyraża ostrożność i czujność.

– Hm... Trochę to prymitywne – powiedział Wani, jak gdyby potwierdziły się podejrzenia żywione przez niego względem Nicka.

– No właśnie. – Nick uśmiechnął się szeroko. Taki prymitywizm bardzo mu odpowiadał.

– Gdzie mam położyć swoje rzeczy?

– Zostaw je tutaj. Będą bezpieczne.

Wani wzdrygnął się na samą myśl. W kieszeniach dzinsów miał kluczyki do mercedesa, a jego zegarek, jak wielokrotnie już Nickowi powtarzał, kosztował aż tysiąc funtów. – Nie, może nie będę się kąpał. – Sugerował pewnie w ten sposób, że jego przyjaciel nie jest w stanie ogarnąć wyobraźnią codziennych kłopotów milionera.

– Tutaj naprawdę jest bezpiecznie. Wrzuć wszystko do torby. – Nick podał mu reklamówkę z Tesco, w której tkwiły już jego kąpielówki i ręcznik.

– Ten zegarek kosztował tysiąc funtów – powiedział Wani.

– Lepiej tego nie rozgłaszaj publicznie – odrzekł Nick.

Opodał wycierał się niemłody już mężczyzna, krępy, przygarbiony, opalony od stóp do głów. Nick widywał go już tutaj w poprzednim roku – w stawie, na pomoście, a zwłaszcza na odgrodzonym terenie, gdzie nadzy mężczyźni opalali się, leżąc przy sobie ramię w ramię. Ujrawszy teraz jego pomarszczoną, choć wciąż ładną twarz, Nick uznał, że gdyby odziać go w mundur, sfotografować z półprofilu i zręcznie zdjęcie wyretuszować, to taką fotkę można by zamieścić przy nekrologu jakiegoś generała lub wicemarszałka lotnictwa. Nick kiwnął mu głową na powitanie, oddając hołd nestorowi tego ośrodka, na co staruszek powiedział: – George jednak odszedł. Wiem to od Steve’a. Odszedł wczoraj wieczorem.

– Strasznie mi przykro – odparł Nick. – Nie, nie znałem George’a. – Domyślił się, że używając słowa „odszedł”, ten wiekowy młodzieniec nie mówi mu bynajmniej, że George odszedł na emeryturę. To George potrzebował nekrologu, nie on.

– Ty go znałeś na pewno. – Spojrzał na Waniego, który rozbierał się bardzo wolno, jak gdyby musiał namyślić się przed zdjęciem skarpetki, przed odpięciem każdego guzika. – Zawsze tu był. Miał tylko trzydzieści jeden lat.

– Jestem tu po raz pierwszy – powiedział Wani uprzejmie, acz chłodno. Stary mężczyzna zmarszczył brwi i pokiwał głową, przyznając się do pomyłki. I zapewne stracił do nich część szacunku, skoro nie dane im było poznać George’a.

Po chwili milczenia Nick zapytał – Jak woda? – i zdejmując koszulę, wciągnął brzuch, ponieważ chciał, by staruszek podziwiał jego ciało. On jednak nie reagował; być może wcale nie usłyszał pytania.

Nick, w samych tylko niebieskich kąpielówkach, wszedł na pomost i otwartymi ramionami powitał rysujący się przed nim widok: złoto-zielony staw, obrośnięty młodymi wierzbami i głógiem, oraz jaśniejące w tle, zalane słońcem zbocze parku Hampstead Heath. Czuł się dobrze w swojej skórze i bezpretensjonalnie swą próżność demonstrował, przeciągając się i podciągając do pośladków to jedną, to drugą stopę. Po wodzie przesuwały się ciekawsko i przymilnie głowy pływaków. Na środku stawu unosiła się stara drewniana tratwa, na której nawiązywano setki błyskawicznych kontaktów i

która stanowiła trwałą scenerię wielu fantazji Nicka. Na tratwie znajdowało się kilku mężczyzn i Nick chciał czym prędzej do nich dołączyć. Odwrócił się do Waniego, który stał niepewnie na zaokrąglonej żelaznej drabince i patrzył na przemieszczające się w oddali główki pływaków, dziwiąc się być może, jak też udało im się dotrzeć tak daleko. Wydawało się, że pływanie jest jedną z nielicznych rzeczy, których nie umie robić pięknie. Sprowadzając go na teren tak obcych mu żywiołów, Nick dopuścił się swobodnego okrucieństwa, popołożył swej ciekawości. – Musisz wskoczyć – powiedział. – Schodząc wolno, na śmierć się zamęczysz. – Uśmiechnął się do czarnych obcisłych kąpielówek przyjaciela, do jego delikatnego, gładkiego, jasnobrązowego ciała, do permanentnego wyzwania, jakim zawsze był dla niego jego penis, wzniesiony teraz pionowo nad jądrami niczym pogrubiony wykrzyknik. Żeby zachęcić Waniego, Nick sam wskoczył do wody, przenikliwie wręcz zimnej pod ciepłą warstewką na powierzchni, i ruszając energicznie kończynami, kiwał głową zapraszająco. Wani, pochylony jak narciarz, zacisnął palce na nosie i również wskoczył do stawu. Kiedy wynurzył się na powierzchnię, z trudem łapiąc oddech i bryzgając wodą dokoła, przez krótką chwilę na jego twarzy malowała się groza. Jego czarne kędziory wyprostowały się nieco i opadały mu teraz na oczy i uszy. Nick poczuł na przedramieniu uścisk jego dłoni; pozwolił nogom wśliznąć się pocieszająco między nogi towarzysza, a wolną dłonią odgarnął mu włosy. Wani, najwyraźniej uspokojony tymi zabiegami, dalej w pozycji prawie pionowej, odpłynął nagle pospieszną żabką, jak gdyby nic się nie stało.

Przez kilka minut pływali w nieregularnym okręgu wzdłuż białych sznurków rozciągniętych między kilkoma unoszącymi się na wodzie kołami ratunkowymi. Nick przypuszczał, że dalej staw jest już za płytki i pływacy mogą się natknąć na grząski muł. Wani, jak się okazało, pływał całkiem nieźle, z zadartą głową i zabawną miną człowieka, którego zmuszono do wykazania się hartem ducha. Zatrzymał się przy jednym z kół i odpoczywał zadyszany; kręcąc głową z szerokim uśmiechem na ustach, wydawał się mówić: – Dalej nie dam rady – albo: – Jeszcze się policzymy. – Nick włożył okulary pływackie, które dotąd kołysały mu się na szyi, i zanurkował. Pod żółtawo iskrzącą się powierzchnią rozciągał się świat kolorów butelkowych: woda była mętnie zielona, a głębiej przechodziła w ciemny brąz. Odwracając się, musiał szybko zdecydować, jaki kawał zrobić przyjacielowi. Przy nogach Waniego unosiły się pęcherzyki powietrza, migwały odbłyski z falującej powierzchni, przemykały drobiny czarnych listków; same zaś

nogi płały leniwie w iście księżęcym przeświadczeniu, że nie grozi im żaden podwodny atak. Chwycić je nagle czy połaskotać? Nie, to byłoby zbyt dziecinne. Nick wynurzył się zatem gwałtownie i wybuchnął gromkim śmiechem. Pocałowałby Waniego, gdyby w pobliżu nie krążył jakiś starszy czujny jegomość.

Potem obydwaj znowu popłynęli w tym samym kierunku. Nick wyrwał się do przodu, zawrócił i wykonując jeszcze kilka efektownych manewrów, triumfalnie dobił do przyjaciela. Przez cały czas rozglądał się dokoła, lecz trudno było rozpoznać innych pływaków, których głowy w wodzie upodabniały się do siebie. Mimo to przez zamazane okulary każda postać tkwiąca na pomoście lub wdrapująca się właśnie na tratwę lśniła tysiącem nowych możliwości. Nick zbliżył się raz do tratwy i pływając wokół niej na grzbiecie, lustrował się wzajemnie z parą stojących tam mężczyzn.

Okrążywszy prawie cały staw, Wani stwierdził, że ma dość, i przez chwilę brodzili po wodzie, rozmawiając. Nick, już bez okularów, dalej rozglądał się ciekawie. Lubił ten ośrodek, ale tym razem spotkało go rozczarowanie; pora roku była po prostu zbyt wczesna i sita rzeczy porównywał obecny spokój i lodowatą wodę z rokiem poprzednim, z upalnymi niedzielami, z tłumami mężczyzn, kłębiących się przy tratwie i wskakujących do wody, z zatłoczonymi toaletami i trawnikami zapelnionymi ludźmi gęściej niż podobne miejsca w okolicznych dzielnicach.

Z tratwy, na której zebrała się teraz nowa ekipa, słychać było krzyki i pluski. Nick umierał z ciekawości; chciał popisać się Wanim i przed Wanim, aby w dwójnasób pofolgować swojej próżności. – Musisz się ruszać – powiedział do przyjaciela, widząc, że ten trzęsie się z zimna, a sam popłynął na środek stawu. Tam zaś dwóch śniadych mężczyzn w czarnych kąpielówkach odpychało niezręcznie jasnowłosego kulturystę, który próbował wdrapać się na tratwę. Dwaj inni faceci wpadli do wody, spychając się wzajemnie jak małe dzieci, po czym wspięli się znowu na przechylony pokład i również wdali się w walkę z blond kulturystą. Batalia trwała jakieś pół minuty i niektórzy zdawali się traktować ją dość poważnie, a już na pewno większą niż inni uwagę zwracali na swój wygląd. Obserwując z uśmiechem toczoną bitwę, Nick zastanawiał się, jak mógłby się w nią włączyć.

Potem nastąpił swoisty rozejm i wszyscy znowu znaleźli się na tratwie. Nick, który wciąż pływał w pobliżu, widział teraz rozkołysane nogi, skurczone i zabawnie przekrzywione penisy, sklezione włosy i lśniącą skórę; była to istna scenka rodzajowa z

cyklu: mężczyźni na wodzie z drzewami i niebem w tle. Lecz oni sami, odurzeni seksem, nie mogli wiedzieć, jak wyglądają. A wyglądali jak nieświadomie zbratani ze sobą sportowcy, zażywający odpoczynku po forsownych zawodach. Tyle że tutaj ciała lepiły się do siebie, dłonie szukały innych dłoni, oddechy namiętnie zlewały się ze sobą, a stopy poruszały się w wodzie leniwie, acz bynajmniej nie obojętnie. Jeden ze stojących mężczyzn pochylał się i wyciągnął rękę do Nicka, ten zaś przyjął ją i wyskoczył ze stawu, ociekając wodą, gdy dwa siedzące na krawędzi ciała rozstąpiły się dla niego. Stał zadyszany pośród mężczyzn na środku tratwy, obejmujących go delikatnie, choć z niedwuznacznym zainteresowaniem. Miał poczucie efemerycznej harmonii, za którą tak tęsknił i którą znał już przecież: te drzewa, ta srebrzysta woda, ten klimat samotnego dzieciństwa i potrzeba wtopienia się w krąg czekających nań mężczyzn.

– Czy ja nie widziałem cię może w zeszłym tygodniu w klubie Bang? – zapytał najbliższy ze stojących, który ścisnął dłonią ramię Nicka.

– Raczej nie – odrzekł Nick, bo nigdy jeszcze tam nie był. Człowiek ten jednak wyglądał podniecająco znajomo i po chwili Nick uzmysłowił sobie, że widywał go wcześniej w klubie Y, chyba w ubiegłym roku, chyba pod natryskami. W kolejnej chwili uświadomił sobie kolejną istotną rzecz: o ile on sam przez ten czas przybrał nieco na wadze, o tyle ów Hiszpan, jeżeli jego szczupły czarnowłosy towarzysz o dużych różowych brodawkach sutkowych Hiszpanem był istotnie, schudł w sposób zauważalny, przekształcając się w osobliwie piękną, wysmukloną wersję siebie samego. Oparty lekko o ramię Nicka, wydawał się oczywisty ten fakt lekceważyć albo przeciwnie – pragnął, by go dostrzeżono; tak czy inaczej, wszystko, co chciał powiedzieć, zawierało się w długim, tchnącym zgrozą spojrzeniu. Gdy Nick wyswobodził się zręcznie z uścisku Hiszpana, rzucił jeszcze kątem oka na jego krągłe pośladki i krótkie czarne loczki na głowie; i wtedy przypomniał sobie o Wanim. Powiódł wzrokiem po stawie, sądząc, że właśnie tam go namierzy, i w tej samej chwili znowu zabawa rozszalała się na całego: Hiszpan wskoczył do wody, wszyscy zaczęli się przekrzykiwać, tratwa skrzypiała i trzeszczała. Nick skakał po niej i wrzeszczał wraz z resztą, gdy kolejni mężczyźni ześlizgiwali się do wody. I wreszcie dojrzał wśród nich twarz Waniego, który broniąc się desperacko przed atakami energicznych kończyn, próbował wdrapać się na tratwę.

– Witaj, kochanie! – Nick przyklęknął i pomógł mu wciągnąć się na pokład. Wani nie odpowiedział; nie uśmiechnął się nawet.

Kilka minut później znowu zrobiło się cicho. Nick i Wani siedzieli obok nerwowego, acz rozmownego pięćdziesięciolatka o piersi gęsto pokrytej siwym owłosieniem. Jego znacznie młodszy towarzysz, po chodzący najpewniej z Malezji, pływał sobie gdzieś daleko i otwarcie zalecał się do innych mężczyzn; kiedy dawał nura pod wodę, zsuwały mu się kąpielówki. – Mam z nim trochę kłopotów – powiedział pięćdziesięciolatek. – Patrzcie no tylko. – Wani uśmiechnął się grzecznie i spojrzał na Nicka, nieprzywykły do rozmów z takimi ludźmi i do powszechnie dostępnych miejsc, w których ludzie paradują półnago. – Ale zrozumcie mnie dobrze. Ja też dobrze się bawię. – Pięćdziesięciolatek pomachał wesoło, jak gdyby jego chłopaczkę zwracał na niego najmniejszą choćby uwagę. – Jest mi bardzo oddany – powiedział. – Nie wiem dlaczego, ale tak jest.

– Jak ma na imię? – zapytał ochryple kucający za nimi facet.

– Andy.

– Andy? – powtórzył ten z chrypką. – Hej, Andy! – krzyknął, zrywając się na nogi.

– Pokaż tyłeczki!

– Pokaże – zapewnił jego protektor. – Pokaże na pewno!

Tratwa zatrzęsała się i na przeciwległą jej krawędź wskoczył jednym susem umięśniony przystojniaczek; deski obiecująco zadrżały pod jego mocnymi stopami. Nick zauważył, że Wani spogląda na niego spod swoich długich rzęs, jak gdyby szacował skalę problemu bądź rysujących się przed nim perspektyw. Nick widział tu tego mężczyznę w poprzednim roku;łysiał już trochę, miał ciemne oczy, okrągłą twarz z długim urodziwym nosem, a jego ospałe, acz czujne spojrzenie mówiło, że myśli wyłącznie o seksie. Nick pamiętał te duże ciemne źrenice, wypełniające niemal całe oczodoły, pamiętał tę okrągłą figurę w czarnych kąpielówkach. Siadając, mężczyzna wyeksponował pękaty brzuch – brzuch człowieka skazanego na otyłość; na razie jednak nadmiar tkanki tłuszczowej równoważyła solidna muskulatura. Wani siedział z podciągniętymi kolanami, odgarnawszy do tyłu fale błyszczących i twardniejących już włosów. Wróciło jego zwykłe opanowanie, towarzyska swoboda oraz subtelnie okazywane poczucie wyższości; pomyśleć by można, że boi się, iż ktoś go tutaj rozpozna lub zacznie się doń umizgiwać.

– Robi się taki wybredny – zwrócił się pięćdziesięciolatek do Nicka.

– Tak?

– KY już mu nie odpowiada. Bierzymy żel o nazwie Melisma. Potem Melisma też jest za słaba. I przerzucamy się na Crest. No a z tymi koszmarowymi gumkami trzeba uważać jak cholera. Nigdy nie przypuszczałem, że będziemy żyć w takich czasach... A wy co stosujecie?

– Małego warto często myć, mimo wszystko – powiedział facet z chrypką, który bardzo interesował się Andym. – Crest to właściwie pasta do zębów. – Co oświadczywszy, wskoczył do wody i szybko odpłynął w stronę Andy'ego.

– Swoją drogą, na imię mi Leslie – przedstawił się pięćdziesięciolatek. Wani spojrzał na niego i kiwnął głową. – Miło mi. Antoine.

– Skąd jesteś, jeśli można wiedzieć?

– Z Libanu – odrzekł Wani swoim najczystszy angielskim akcentem, a przez jego twarz przebiegł mało serdeczny uśmiech. Nick, który wpatrywał się w orli profil przyjaciela, również wykrzywił usta, tyle że był to uśmiech łobuzerski. Cieszył się, kiedy inni mężczyźni zachwycali się urodą Waniego, bo czuł wtedy ponowny przypływ zabarwionej zazdrością i podsycanej przez tajemniczość pasji, jaką od czasów oksfordzkich budził w nim młody Libańczyk. Ten zaś znowu spuścił wzrok, znowu opadły jego niebywale długie rzęsy. Nick pamiętał, jak po zajęciach lub po kolacji, kiedy inne pokusy okazywały się za słabe, Wani odwiedzał kogoś z biedniejszych studentów i w jego skromnym pokoiku, z tanimi książkami na półce, z plakatami Dylana na ścianach, gawędził przy nescie o dziełach Matthew Arnolda lub powieściach Elizabeth Gaskell. Wymieniał się wtedy notatkami z wykładów i uroczo dawał do zrozumienia, że szanuje mniej majątnych studentów, że również żyje ich problemami; czyniąc to, wyglądał jak członek rodziny królewskiej, który nawiedza swoich poddanych, nieświadom zupełnie ich skrepowania tudzież nabożnej czci, jaką dla niego żywią. On, Wani – człowiek pijący wyłącznie świeżo zmieloną kawę, podaną z dzbankiem gorącego mleka! Paru uczelnianych snobów, w rodzaju Polly'ego Tompkinsa, wyśmiewało taką wybredność, zaznaczając, że jest on jedynie synem sklepikarza, zamorskiego sprzedawcy cytrusów. Sam Polly widział w nim „lewantyńsko-cockneyowską zdzirę”, milutkiego Libańczyka, którego posłano do Harrow i przedzierzgnięto we flegmatycznego angielskiego dzentelmena. Niektórzy spośród rzeczonych snobów sądzili, że z Harrow wyniósł też skłonności pedalskie, lecz na poparcie tej tezy przytaczali wyłącznie obcisłe spodnie Waniego i jego oszałamiającą urodę.

– Czym się zajmujesz? – zapytał Leslie.

– Mam firmę produkującą filmy – odparł Wani.

– Co ty powiesz? – Leslie był zaskoczony i zaintrygowany. – A widziałeś *Pokój z widokiem*? – zapytał, jakby miało to bezpośredni związek z odpowiedzią Waniego. – Ciekaw jestem, jak ci się podobał. W końcu robisz w filmowym biznesie.

– Niestety nie widziałem – odparł Wani i raz jeszcze uśmiechnął się chłodno do rozmówcy.

– A czy ja nie widziałem cię w zeszłym tygodniu w Volunteer? – zapytał po chwili Leslie. Wani zrobił głupią minę, lecz adresatem tego pytania był ciemnooki mężczyzna, który przez cały ten czas leżał obok podparty na łokciu, ze zgiętą w kolanie nogą i zauważalnie wybrzuszonym instrumentarium pod kąpielówkami. Trudno było powiedzieć, czy jego słaby uśmiech stanowi reakcję na toczącą się rozmowę i czy w ogóle na nich patrzy. Jego wzrok koncentrował się raczej na zbliżającym się akcie zaspokojenia, na scenie rozgrywającej się na niewidzialnym ekranie, wiszącym pomiędzy nim a godzinami, które mają dopiero nadejść. Promieniował spokojną cierpliwością, bez śladu lubieżnych porywów, bez najmniejszego pośpiechu. Kiedy jednak rozległo się skierowane doń pytanie, włączył się do rozmowy w taki sposób, jak gdyby brał w niej udział od początku, jakby wszystko rozumiał i sam był natychmiast rozumiany. Nick wpatrywał się w niego, wiedząc, że jest to dozwolone, po czym przeniósł wzrok na błyszczącą wodę. I ogarnął go smutek na myśl, że już za moment będą musieli się pożegnać z nasłonecznionym prostokątem tratwy i wrócić na stały ląd. Wani to popatrywał na mężczyznę ze zgiętym kolaniem, to zerkał na drabinkę przy pomoście niczym więzień obmyślający plan ucieczki.

Gdy wycierali się i ubierali na betonowym dziedzińcu, Wani kiwnął głową do Nicka i rzucił: – Otóż i nasz przyjaciel Ricky. – Nick obejrzał się przez ramię i przy płocie oddzielającym część dla nudystów ujrzał seksownego mężczyznę z tratwy, który idąc, pociągał bezmyślnie za gumkę swoich kąpielówek.

– A tak... Nie wiedziałem, że on ma na imię Ricky – powiedział Nick.

– No, w każdym razie wygląda jak Ricky. – Owinięty ręcznikiem Wani przysiadł, by zdjąć kąpielówki.

– Masz erekcję, czy co? – zapytał Nick.

– Nie bądź dziecinny. – Wani spojrzał na niego wyzywająco, ponuro i błagalnie zarazem. – Zapytaj go lepiej, czy nie chciałby się z nami przejechać.

– Kto? Ricky?

– Przecież to się tu praktykuje, prawda? Nie jesteśmy tutaj tylko dla gimnastyki.

Nick zachichotał. – Pierwszy raz cię tu wyciągnąłem, a ty od razu się wściekasz.

Wani zarumienił się nieznacznie, lecz nie odwrócił wzroku. – Możemy mieć niezłą uciechę – powiedział. – Ten gość nie jest chyba zbyt rozgarnięty.

Nick znów spojrzał na Ricky'ego, który szedł wolnym krokiem do toalety i który rzecz jasna już wcześniej zagnieździł się w pamięci Nicka jako potencjalny partner. Jednocześnie w jego głowie zapaliło się ostrzegawcze światełko, bo nie wiedzieli przecież, w co może ich Ricky wpakować. Kiedy ponownie skierował wzrok na Waniego, ten był już w slipach i na stojąco wciągał na siebie dżinsy. – Dobra uciecha nie jest zła – oświadczył sucho Nick. Wani, wyraźnie skwaszony, zmarszczył lekko brwi i zacisnął usta, jak gdyby uznał sprawę za przegraną. Z kieszeni spodni wyjął zegarek i włożył go na rękę.

– Jeżeli nie zapytasz go natychmiast – powiedział – to potem zabraknie nam czasu. Miałem wrażenie, że ci się podoba.

– Tak, niezły z niego towarek – przyznał Nick, wciąż niespokojny. Ze złością stwierdził, że Wani szyderczo krzywi usta; gdy okazywał w ten sposób pogardę innym, było to nawet zabawne i ekscytujące, kiedy zaś okazywał ją jemu, Nickowi, stawało się to nie do zniesienia. Od Waniego pragnął tylko miłości, a teraz chyba również swoistego posłuszeństwa; jego przyjaciel wiedział w końcu, że każda wymiana zdań i argumentów, rządząca się typowymi dla środowiska regułami, wprawia go w dezorientację i nerwowość. – Dobra. Wyhaczę go, jeśli chcesz – powiedział, udając, że podejść i spytać to to samo, co „wyhaczyć”. Wiedział poza tym, że nie zgodziłby się, by Wani sam wybrał się na takie łowy.

– Wiem, że ty wolisz typ czekoladowy, a ten tutaj...

– Wal się, stary – rzucił Nick i ruszył marszowym krokiem w stronę toalety. Nie włożył wprawdzie koszuli, ale miał już na sobie dżinsy i bał się, że będzie wyglądał dziwnie wśród ludzi zupełnie nagich. Gdy wszedł do budynku z toaletami, mokra podłoga niemile łaskotała go w bosc stopy.

Drzwi jednej z dwóch kabin były zamknięte, a przy cynowym korytku pisuaru widać było duże plecy i gładkie pośladki Ricky'ego. Zwrócił on teraz ku drzwiom swą dziwnie

pozbawioną wyrazu twarzy, by sprawdzić, kto wszedł do środka. Wygląd tej toalety, zapach moczu i środków odkażających oraz powszechna tu permissywna atmosfera ujęły Nicka i wzięły go we władanie. Podeszedł do Ricky'ego i już kilka sekund później chłodna woda ze splotki tryskała z sykiem na koniuszki dwóch sztywnych penisów. Wpatrując się w obnażony członek towarzysza, Nick wolno zsunął napletek, po czym naciągnął go na żołądź. Następnie spojrzął Ricky'emu w oczy i tak jak podczas rozmowy na tratwie wszystko, to znaczy cel, który ich tutaj sprowadził, wydało się nagle zwykłe i oczywiste. Odniósł wrażenie, że pływa w tych ciemnych oczach, połyskujących tajemną wiedzą. Ricky kiwnął głową w stronę otwartej kabiny, a Nick począł już zastanawiać się, czy wolno mu to zrobić, choćby pośpiesznie i nie do końca, zanim definitywnie go „wyhaczy”, czyli skłoni do wspólnej przejażdżki, lecz nagle uchyliły się drzwi drugiej kabiny i mały Andy, malezyjski przyjaciel Lesliego, minął ich i stanął przy umywalce. Patrząc w lustro, Nick zobaczył, jak z jego własnej twarzy znika wyraz szelmowskiej beztroski i wraca dawne otępienie. A potem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, rozległ się szum spuszczonej wody i z drzwi tej samej kabiny wyszedł szpakowaty mężczyzna z zaaferowaną miną; nie był to ani Leslie, ani też facet z chrypką, zachwycający się Malezyjczykiem na tratwie.

Zostali sami. Nick uznał że ich obopólna cierpliwość ma posmak niemalże romantyczny. Jego penis tkwił wreszcie w dłoni Ricky'ego, jedna ręka spoczywała na biodrze, a druga wsunęła się między pośladki dyszącego mu prosto w twarz mężczyzny. – Czekaj... Czekaj... – mruknął Nick. – Jak masz na imię?

– Ricky – odparł zapytany, znowu próbując go pocałować.

Nick zachichotał i cofnął głowę. – A nie chciałbyś może przejechać się do nas do domu, ze mną i moim kumplem? Moglibyśmy się trochę zabawić, no wiesz...

– Hm... – Ricky pomyślał chyba, że jest to zbędny kłopot, skoro są już tutaj razem. – Daleko?

– Nie... Kensington.

– Kensington? Sam, kurwa, nie wiem, stary. – I ponownie przyłgnął do Nicka, niecierpliwie wskazując kabinę. Nick objął go niewprawnym ruchem i jęknął, że wołałby wziąć go tutaj, już teraz, ale nie może zrobić tego Waniemu, który czeka na nich na dziedzińcu.

– Mamy superautko – powiedział.

– Tak? A ten twój kumpel to który? Ten brunet z loczkami? – Ścisnął go łagodnie za sutek. Nick jęknął i odrzekł:

– Widziałeś go przecież...

Ricky zamyślił się, kiwnął głową i oswobodził Nicka z uścisku. Obydwaj szybko doprowadzili się do porządku. – To ten waśniak, co nie? Ta cnotka-niewydymka?

– Niezupełnie... Jest tylko trochę nieśmiały – uściślił Nick.

– Dobra, niech będzie.

Gdy wychodzili, Nick zapytał: – Mogę cię o coś prosić?

– Jasne, koleś.

– Możesz udawać, że jesteś żonaty? Albo przynajmniej, że masz dziewczynę?

Ricky wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Przecież ja mam dziewczynę.

– Naprawdę? – Nick aż przystanął i zrobił głupią minę. Ricky spojrział na niego i mrugnął.

– Szybko łapię, co nie?

Nick cmoknął i zarumienił się. – Jesteś, kurwa, szybki – przyznał, naśladując głos Ricky'ego.

Kiedy we trójkę opuszczali ośrodek, widzieli tylko plecy Waniego, który wyprzedzał ich o kilka kroków, jakby istotnie strugał waśniaka. Ricky chyba nigdy się nie spieszył i stapał wolno, spokojnie, leniwie. Nie odrywał przy tym wzroku od Waniego, co napawało Nicka dumą, choć również rodziło pewne obawy. Zastanawiał się, co też będą razem wyczyniać, a nerwowość, towarzysząca zwykle podnieceniu, łączyła się teraz z osobliwym rozgoryczeniem. Nerwowość przebijała też przez pełen chłodu i dystansu sposób bycia Waniego. Z trawiastego pagórka za ogrodzeniem rozległ się nagle okrzyk jednego z opalających się tam mężczyzn; Ricky odpowiedział mu kiwnięciem głowy i wymownie lubieżnym uśmiechem. Nick również wykrzywił usta, jak gdyby wiedział, co sobie w ten sposób komunikują.

Gdy wyszli na drogę, Wani bawił się przez chwilę kluczykami w skórzanym etui, by w końcu rzucić je Nickowi. – Możesz prowadzić. – W typowy dla siebie sposób przemycił rozkaz pod pozorem wyświadczonej przyjacielowi uprzejmości. Mercedesem z rejestracją WHO 6 Nick jeździł już często jako pasażer, ale prowadził go tylko raz jeden, gdy spuściwszy dach auta, wracali kiedyś z Tamizy do Kensington i przez cały roziskrzony

wieczór krążyli po Brompton Road, Queen's Gate, wzdłuż parku, owiewani chłodnym powietrzem; miał wtedy wrażenie, że wszedł w skórę Waniego, że przeistoczył się w tę piękną i tajemniczą postać. Siadając teraz za kierownicą, poczuł jedynie nikły cień tamtych emocji. Samochód stał przy wiejskim ogrodzeniu, nad nim zaś wznosiły się lipy, których lepka żywica zdążyła już popłamić przednią szybę wozu. Nacisnąwszy odpowiedni guzik, Nick obserwował w lusterku składający się wolno dach; przenikające przez liście promienie słońca odbijały się na pokrętłach, suwakach i wykończeniach z drewna orzechowego i bursztynu. Tymczasem Ricky i Wani czekali w milczeniu, aż wyprowadzi auto na drogę. Potem Wani wskazał Ricky'emu tylne siedzenie, na którym ten ulokował się, rozłożywszy szeroko kolana, ponieważ miejsca na nogi nie było tam wiele. – Wygodnie ci? – zapytał Nick, oglądając się na pasażera; zawstydził się nagle, że naraża go na jazdę tak wspaniałym i tak niewygodnym samochodem.

– Wszystko gra – odparł Ricky, jak gdyby codziennie wożono go podobnymi autami.

Ruszyli w górę po stromym wzniesieniu, kierując się w stronę Highgate. Nick był ponownie zdumiony mocą dobywającą się spod jego stóp. Odniósł wrażenie, że drogę między ośrodkiem a szosą połączyli czterema krótkimi warknięciami silnika.

– Kiedy wraca twoja dziewczyna? – zapytał Ricky'ego, patrząc w lusterko.

– Późno, bardzo późno. – Gdyby Ricky mówił prawdę, jego głos nie mógłby być bardziej naturalny niż teraz. – Pojechała do wujka Nigela – dodał i cmoknął wyrozumiale. Ta szybka wymiana zdań przyciągnęła uwagę Waniego, który odwrócił się niemalże do Ricky'ego, odchrząknął i powiedział:

– To dobrze. – Absurdalność sytuacji wprawiła Nicka w osobliwy dyskomfort i u wylotu drogi zamiast w prawo, na szosę zbiegającą w dół do miasta, skręcił w lewo, ku Highgate Village. Nie musiał się z tego tłumaczyć, bo jeśli chodzi o Waniego, to mogli być równie dobrze w Lincolnshire, Ricky zaś dalej siedziałby z wyczekującym półuśmiechem, dokądkolwiek by jechali.

– Muszę tylko na coś rzucić okiem. To zajmie chwilę... – wyjaśnił Nick mimo wszystko. Na szczycie wzgórza gwałtownie skręcił w lewo, w cienistą aleję, która bez dwóch zdań musiała nazywać się The Grove. Miał prawie zupełną pewność, że nigdy wcześniej tam nie był, że historyczno-emocjonalna eksploracja tych miejsc odbywała się tylko w jego wyobraźni. Patrząc jednak na szereg starych pięknych domów z cegły,

ukrytych za drzewami i wysokimi ogrodzeniami, na dom, w którym mieszkał i umarł Coleridge, na duże georgiańskie budynki z wiodącymi do drzwi schodami i wozowniami na karety i powozy, miał nieodparte poczucie, że był tu już wcześniej, że sprowadziło go tutaj pewnego zapomnianego potem wieczoru jakieś nieodwracalne zrządzenie losu. – Na tej ulicy mieszkał Coleridge – oznajmił nabożnym tonem, którym zamierzał poruszyć Waniego. Ten wszakże nie wykazał zainteresowania.

– Tak? – mruknął.

– Gdzieś tutaj mieszkali Feddenowie. To moi przyjaciele – dopowiedział na użytek Ricky’ego. – Pod numerem trzydziestym ósmym.

– Jesteśmy dopiero przy szesnastym – zauważył Wani.

Feddenowie uwielbiali sentymentalne wypady w przeszłość, a należały do nich wzmianki o „starych czasach w Highgate”. Gerald wspominał ich dawny dom tonem nostalgiczno-ironicznym, jak gdyby wracał pamięcią do kwatery studenckiej. Rachel z kolei mówiła o „ukochanym domku”, bo przecież tam dorastały jej dzieci; oprawna w srebro fotografia dziesięcioletniego Toby’ego i ośmioletniej Catherine ciągle zresztą stała na jej toaletce. Dla Nicka miejsce to otoczone było aurą mgliście romantyczną, jako pierwszy dom jego drugiej rodziny.

Gdy dojechali pod rzeczony numer, oczom ich ukazał się najpierw wypełniony deskami kontener i niebieska budka przenośnej toalety w ogrodzie.

– Hm, no tak... – Wani odwrócił się i spojrzał pocieszająco na Ricky’ego, który mógł być już trochę znużony. – Niewiele zostało...

Dom ten przechodził remont generalny i wyglądał niemalże jak ruina. Pokryte brezentem rusztowania na dachu przypominały ogromną nadbudówkę, ze ścian usunięto większość stiuków, a na łukach pod oknami widać było nagie cegły. Drzwi wejściowe otwierały się na prześwit ukazujący ogród za domem. Filar przy furtce, na którym ostało się trochę stiuku, opatrzono czarnym odciskiem palca tudzież słowami WEJŚCIE DLA DOSTAWCÓW; niżej jakiś mądrala dopisał czerwonym sprayem WEJŚCIE DLA HUIÓW i narysował strzałkę skierowaną w stronę przeciwną. – Tak to już jest – podsumował Wani.

W jamie drzwi ukazał się nagle robotnik w kombinezonie i niebieskim kasku i wlepił w nich wzrok niczym czujny dozorca. Byli dla niego pewnie częścią spośród tysięcy rozbijających się po Londynie nowobogackich, co to umieją tylko narobić rumoru

i zostawić po sobie tumany kurzu. Budzili respekt lub pogardę – albo jedno i drugie naraz. Nick przyjaźnie kiwnął do niego głową, robotnik zaś odwrócił się i zniknął w czeluściach domu. Ogólny niepokój, zaprawiony przygnębiającym widokiem kubła i rusztowania, wzmógł się w Nicku jeszcze bardziej, kiedy opadło go raptem przeświadczenie, iż ten mężczyzna świetnie wie, co już za pół godziny wyprawiać będzie ta trójka intruzów.

Ale pół godziny później ciągle wlekli się po Park Lane. Zamiast szybko przemknąć w dół wzgórza, utknęli w beznadziejnym korku, spowodowanym przez roboty na drodze. Warkot silnika pobrzmiwał frustracją, a piszczące hamulce ratowały przed zderzeniami. Gdy przy hotelu Hilton cztery nitki szosy nagle zbiegły się w jedną, dostali się między dygoczące groźnie ciężarówki, zalewające cuchnącymi wyziewami nieprzykryty dachem samochód. Wani zabrał kiedyś Nicka do baru na ostatnim piętrze tegoż Hiltona, nieświadom zapewne, że jest to dla przyjaciela lokal rażąco wręcz prostacki; to tam jego ojciec zapraszał swoich gości, to tam w trakcie owego spotkania Wani zapłacił za koktajle aż wzruszająco wystudiowanym gestem i to tam wówczas popatrywał przez okno na parki, pałace i inne kosztowności nocnego Londynu niby dziedzic lustrujący swoje włości. A teraz tkwili na biegnącej przy Hiltonie ulicy, znieruchomiali, zablokowani, na wpół uduszeni. Ponieważ Nick siedział za kierownicą, czuł się winny, jakby nie umiał dobrze prowadzić; czuł też złość i lekkie mdłości. Twarz Waniego stężała, a jego usta ściągnęły się oskarżająco. Nawet Ricky wzdychał ze zniecierpliwieniem. W pewnej chwili Wani wyciągnął rękę za siebie i położył ją na udzie Ricky'ego. Nick, który widział to wszystko w lusterku, próbował nawiązać rozmowę, lecz Ricky nie miał zdania na żaden z bieżących tematów, a jego nowi przyjaciele budzili w nim zadziwiająco małe zainteresowanie. Okazało się, że zostawił właśnie pracę w jakimś magazynie i obecnie nie parął się niczym. Gdyby zresztą chciał znaleźć taką czy inną posadę, nie byłoby to łatwe, bo przecież w kraju żyły już ponad trzy miliony bezrobotnych. Ten ostatni fakt skwitował uśmiechem. Nie pił, nie palił, nie czytał książek. – Może damy ci rolę w jakimś filmie – zażartował Wani. – Może być – odparł Ricky. Kiedy wjechali wreszcie na Hyde Park Corner i przepychali się ku Knightsbridge, Wani zapytał o imię rzekomej dziewczyny Ricky'ego, który chyba dopiero wtedy przypomniał sobie o jej istnieniu.

– Felicity – rzucił, odczytując napis na mijanej przez nich kwaciarni. – Ta aa...

Wani odwrócił się i aż do bólu figlarnym tonem powiedział: – Ma dziewczyna szczęście.

– No, szczęściara z niej, nie ma co – potwierdził Ricky.

Gdy dotarli na miejsce, w biurze nie było już nikogo, toteż poszli od razu do mieszkania na górze. Ricky szedł za Wanim, a Nick tuż za nimi, trawiony nieprzyjemnym uczuciem zazdrości. Przypominało ono napięcie towarzyszące pierwszej randce, tyle że tutaj był jeszcze trzeci uczestnik, będący zarazem rywalem i krytykiem. Irytowało go ujawnienie słabostek Waniego, tym bardziej że to jemu, Nickowi, powierzono ich tajemnicę. Nie wiedział, że będzie musiał przejść przez ten dramat w obecności Ricky’ego, którego rzecz jasna, w innych okolicznościach, bardzo chętnie by przeleciał. A może wcale do tego nie dojdzie, może skończy się na zwykłym baraszkowaniu. Podeszedł do stolika pod przeciwległą ścianą i położył na nim kluczyki. Gdy się odwrócił, Wani i Ricky całowali się już i obmacywali milcząco, zgodnie wzdychając; zabłysła nitka śliny i pogrążyli się w drugim, zatrważająco czułym pocałunku. Nick roześmiał się cicho i odwrócił wzrok; od dziecka nie czuł się tak rozdzierająco nieszczęśliwy i nie chciał, by to upokorzenie trwało choćby chwilę dłużej.

Zdjął z półki oprawny w skórę tom wierszy i dramatów Addisona i wydobyl ukryty tam gram kokainy, tyle bowiem zostało z ćwierci uncji, którą raczyli się w minionym tygodniu. Uklęknął przy szklanym stoliku i przygotował się, wycierając do czysta fragment blatu. Obok leżał nowy numer miesięcznika „Harper’s”, otwarty na kronice towarzyskiej, w której widniało zdjęcie pana Antoine’a Ouardiego i panny Martine Ducros na majowym przyjęciu u księżnej Flintshire. W szkle dojrzał blade odwrócone odbicie dwóch całujących się mężczyzn. Był to jeden z filmów Waniego – nie tych, które pragnął robić, lecz tych, które lubił oglądać – a Nick miał już za chwilę włączyć się do akcji. Czasami w tych filmach pojawiała się niewiarygodnie nużąca scena, w której jeden klęczący mężczyzna ssie na zmianę kutasy dwóch pozostałych albo próbuje włożyć do ust obydwie penisy naraz. Nick widział, że jego kochanek właśnie tego teraz potrzebuje. Rozdrabniając biały nośnik przyjemności, patrzył, jak Ricky sięga do sprzączki paska Waniego.

8

Nowe centrum operacyjne Waniego znajdowało się na Abingdon Road, w domu wybudowanym w latach trzydziestych osiemnastego wieku i adaptowanym na jego potrzeby przez firmę Parkes Perrett Bozoglu. Na parterze mieściło się przestronne połyskliwe biuro firmy ES, a dwie wyższe kondygnacje zajmował eklektycznie urządzonej apartament Waniego, w którym drewniane frontony nad drzwiami i rozmaite barwne przeszklenia sąsiadowały z gotycką sypialnią i egipską łazienką. Nowoczesny wystrój biura, jak zdawali się sugerować artyści z PPB, był nie tyle symbolem nowoczesności, ile kolejną postmodernistyczną stylizacją dostępną w ich ofercie. Dom Waniego trafił do periodyku „The World of Interiors”¹⁰, którego dyrektor artystyczny przesunął wcześniej kilka mebli, powiesił w jadalni abstrakcyjne malowidło i przyozdobił wnętrza ceramicznymi lampami w kształcie olbrzymiej dyni. Wani na wszystko się zgadzał. Czuł się i wyglądał dobrze zarówno pośród błyszczących szkieł w biurze, jak i w tętniącym wielokulturowością mieszkaniu. Sam raczej nie znał się na sztuce i dekoracji wnętrz, a przyjemność czerpał głównie z wydawania pieniędzy na zlecenia związane z nowym domem.

Na pretensjonalność apartamentu Waniego Nick patrzył ze skrywanym rozbawieniem, lecz pomieszkiwał w nim równie chętnie jak w domu Feddenów; znowu mógł wyobrazić sobie, że jest bogaty, skoro korzysta z majątku innych, i znów przebywał w tym samym miejscu, co obiekt jego miłości. Dość szybko przyzwyczał się do licznych wygód, do przedmiotów, którym pieniądze nadawały większą funkcjonalność i odmienny wygląd. Był to system redukcji stresu, system pełnego zaspokojenia. Nick uwielbiał ogromne głębokie kanapy i osobliwe płynne światło z lamp na obramieniu umywalki w łazience; nigdy nie podobał się sobie tak bardzo jak wtedy, gdy się tam golił albo mył zęby. Dom ten był rzecz jasna prostacki, podobnie jak prawie cały postmodernizm, lecz

¹⁰ „The World of Interiors” – angielski miesięcznik poświęcony tematyce urządzania wnętrz.

mimo to Nick potrafił czuć się w nim dobrze. Hol, w którym szare dzwoniaste abażury rzucały przyćmione refleksy na marmurowe kafelki koloru byczej krwi, przypominał mu toaletę eleganckiej restauracji o nowoczesnym wystroju.

Co jakiś czas sypiał w fantazyjnym łożu z baldachimem, wymoszczonym mnóstwem poduszek. Przez sypialnię wielokrotnie przewijał się motyw esowatej linii, obecny na lambrekinach, na ramach luster tudzież na szafach, wyglądających jak pseudogotyckie konfesjonały; najwyraźniej jednak był on uwydatniony na wspornikach baldachimu, zakończonych zwornikami wielkości ogromnej kapusty. Właśnie pod owym baldachimem, kiedy leżał bezwładnie po odbytym stosunku, wpadł mu do głowy pomysł nazwania firmy Waniego ES – od tejże krzywej linii, którą tak sobie upodobał. Esowata linia, a mówiąc ściślej: esownica, ucieleśniała czystą ekspresję, stanowiąc element wyłącznie dekoracyjny, nie zaś strukturalny. Dało się wprowadzić wykorzystając ją strukturalnie, lecz wieńczyć ją mógł jedynie zwornik, krzyż lub cebulasta kopuła. Po seksie Wani robił się zwykle nieprzystępny, jak gdyby musiał spokojnie oszacować stopień, w jakim ucierpiało jego dobre imię, a wtedy leżał z odwróconą głową, zamyślony i rozżalony. Nick pocieszał się, wspominając swoje triumfy towarzyskie i wypowiedziane przez siebie bon moty. W duchu opowiadał o esownicy wyobrażonym przyjacielom: najpierw księżnej Flintshire, potem Catherine, później któremuś ze swoich kochanków. Tłumaczył, że esowata linia to Hogarthsowska „linia piękna”, to węzowaty ruch instynktu, to dwie nieodparte skłonności ujęte w jednym falistym geście. Powiódł dłonią po plecach i pośladkach Waniego. Pomyślał, że Hogarth nie podał najlepszego przykładu owej linii, że nie zilustrował jej tym zagłębieniem i wybrzuszeniem, że od żywego ciała wolał harfy i gałązki. Doprawdy, nadszedł już czas na nową *Analizę piękną*¹¹.

Niżej, na pierwszym piętrze, znajdowała się „biblioteka”, wzorowana na neogeorgiańskich projektach Lutyensa: jedna ściana była zupełnie czarna, a regały ozdobiono pilastrami. Między niezbyt licznymi książkami stała tam szklana miseczka, parę oprawionych fotografii oraz miniaturowy model samochodu. Kilka opasłych tomów traktowało o ogrodnictwie, kilka innych o gwiazdach filmu; na półkach widniały również popularne biografie oraz książki autorstwa ludzi osobiście Waniemu znanych, takie jak

¹¹ *Analiza piękna* – traktat estetyczny angielskiego malarza Williama Hogartha (1697-1764), zawierający definicję opisaną tu „linią piękną”.

Żeglowanie Teda Heatha¹² czy „naprawdę całkiem niezła” debiutancka powieść Nata Hanmera *W chlewie*. W bibliotece stało też georgiańskie biurko i sofy oraz ogromny telewizor, podłączony do nowoczesnego magnetowidu. To właśnie w tym pomieszczeniu, kilka dni po historii z Rickym, w której Nick należycie odegrał oczekiwaną rolę, to właśnie tutaj Wani usiadł, zdjął nasadkę z pióra wiecznego Mont Blanc i wypisał imienny czek dla Nicholasa Guesta, płatny w banku Coutts & Co. z siedzibą na Strandzie, opiewający na pięć tysięcy funtów.

Nick patrzył na czek podejrzliwie, a zarazem z niekłamaną radością. Trzymał go w ręce niby to obojętnie, choć już po chwili miał pełną świadomość, że jest do niego szalenie przywiązany, że boi się go utracić. – Cóż to takiego? – zapytał.

– Co...? – Wani udawał, że nie wie, o co chodzi, ale nie umiał ukryć napięcia w głosie, którym wypowiedział również kolejną kwestię dramatu: – Po prostu już mi się, kurwa, nie chce ciągle za ciebie płacić.

Była to dość sensowna uwaga, a szorstki ton, w jakim została wypowiedziana, odebrał Nick jako skrycie pieszczotliwy. Mimo to miał poczucie, że kiedyś, gdy był pijany albo naćpany, zgodził się na jakąś propozycję i nie pamięta teraz, do czego w takim układzie się zobowiązał. – Chyba nie powinienem... – zaczął, lecz widział już siebie na zakupach lub w operze, widział, jak płaci za Toby’ego albo, powiedzmy, za Nata... Mam kartę. Ja funduję...

– Tak, tak. Tylko nikomu ani słowa ~ rzucił Wani i włożył kasetę do magnetowidu. Sięgnął po pilota, którym potem z daleka, marszcząc brwi, sterował urządzeniem. – I nie przepuść tego w ciągu tygodnia na kokę.

– Nie przepuszczę – odparł Nick. Gdy o tym pomyślał i przeprowadził kilka obliczeń, zrozumiał, że pięć tysięcy funtów nie jest sumą nieograniczoną. Jeżeli będzie musiał odtąd płacić za siebie, to ledwie mu wystarczy. Patrząc na rzecz od tej strony, Wani zachował się nieładnie, jakby próbował mu dokuczyć. – Zainwestuję – dodał Nick.

– Słusznie – przyznał Wani. – Oddasz mi z dywidendy. – Nick zachichotał, zbity z tropu. Jeżeli będzie musiał spłacić tę pożyczkę, sprawy przedstawiają się jeszcze mniej różowo, niż myślał przed chwilą. Mimo to wolał nie narzekać.

¹² Wiaśc. Edward Heath – premier Wielkiej Brytanii w latach 1970-74.

– No... Dzięki, kochanie. – Złożył czek w zamyśleniu i podszedł do kochanka, by potwierdzić te słowa pocałunkiem. Wani nadstawił policzek niczym zajęty czymś, acz zasługujący na wdzięczność rodzic. Kiedy Nick wychodził z pokoju, na ekranie telewizora rozgrywała się już ulubiona scena Waniego z filmu *Oversize Load*: mężczyzna w czerni wykonywał bolesny eksperyment na małym podnieconym blondynku.

– Patrz no tylko! – zaśmiał się Wani, ale Nick wiedział, że nie należy tego rozumieć dosłownie.

W tygodniu parę wieczorów i nocy spędzał Wani bez szemrania w domu swoich rodziców na Lowndes Square. Nick z początku odnosił się do tego z ironią, choć czuł się też urażony, bo Wani chyba wcale nie żałował, iż nie spędzi tych nocy z kochankiem. Instykt rodzinny był w Nicku słabo rozwinięty, a jeśli w ogóle się przejawiał, kierował się w stronę innych rodzin. Z łatwością jednak dało się zauważyć, że dla Waniego jest on równie naturalny jak seks i równie jak seks apodyktyczny. W pozostałe wieczory nawiedzał toalety eleganckich restauracji, po czym, zaopatrzony już w zapas koki, pędził swym mercedesem WHO 6 na kolejny wyczerpujący seans fantazyjnych rozrywek seksualnych; a potem posłusznie, może nawet z poczuciem ulgi, jechał do Knightsbridge na kolację z rodzicami, paroma krewnymi, którzy akurat zawitali do Londynu, oraz – od tej reguły nie było wyjątków – ze swoją narzeczoną. Zżerany zazdrością Nick wracał wtedy do Kensington Park Gardens, do zawsze gościnnych Feddenów, którzy, jak się wydaje, wierzyli, że przez pozostałe noce Nick ślęczy nad doktoratem przy komputerze Waniego i śpi na składanym łóżku w apartamencie przyjaciela. Nigdy nie zaproszono go na Lowndes Square, a w jego wyobrazeniach groźna postać Bertranda Ouardiego, panująca w tym domu egzotyczna etykieta tudzież samo słowo Lowndes symbolizowały terytorium zupełnie niedostępne.

Jednego z takich samotnych wieczorów Nick wybrał się na *Tannhdäusera*, a podczas antraktu spotkał Sama Zemana. Wymienili się uwagami na temat edycji, którą wykorzystano w tym spektaklu, stanowiącej nieudolne połączenie wersji drezdeńskiej z paryską. W erudycyjnej rywalizacji z Nickiem Sam miał przewagę w postaci znakomitej pamięci do faktów. Nick powiedział, że ma do niego pewną sprawę, i umówili się, że w następnym tygodniu zjedzą razem lunch. – Przyjdź trochę wcześniej – zachęcił Sam. – Zobaczysz naszą nową siłownię. – Kesslerowie przebudowali właśnie swoją siedzibę w

City i za fasadą starego pałacyku znajdowało się obecnie szklano-stalowe atrium, dalej zaś hipernowoczesne sale giełdowe.

Umówionego dnia Nick zjawił się w banku dość wcześnie i czekał na Sama pod rosnącą w atrium palmą. Wchodzący pospiesznie pracownicy witali się kiwnięciem głowy z portierem, odzianym we frak i cylinder, aby przemieszczać się potem ruchomymi schodami w górę i w dół; ich miny wyrażały zarówno poczucie własnej ważności, jak i uległość czy wręcz służalczość. Nick widział też gońców motocyklowych w ciężkich butach i przepoconych skórzanych kombinezonach. Czuł się onieśmielony i poruszony bliskością tyłu ludzi w urzędowych strojach, odgrywających już swoje zawodowe role, wtajemniczonych w arkana swej pracy. Cały budynek emanował pewnością siebie i pobrzmiwał zgłębieniem głosów, nieprzerwanym szumem urządzeń wentylacyjnych i bezosobowym szurkotem ruchomych schodów. Nick wyciągnął w górę szyję, szukając wzrokiem kondygnacji, na której urzęduje być może lord Kessler; na tym szczeblu decyzje komunikuje się pewnie ironicznymi mrugnięciami, telepatycznie bez mała. Wiedział, że starej, wyłożonej boazerią sali konferencyjnej nie przeniesiono w inne miejsce i że Lionel zawiesił tam kilka godnych uwagi obrazów. Usłyszał nawet, że powinien wpaść kiedyś do banku i zobaczyć Kandinsky'ego...

Sam zaprowadził go do pachnącej chlorem sutereny, w której mieściła się siłownia i basen pływacki. – Tegośmy właśnie potrzebowali – powiedział. Nick pomyślał, że pomieszczenie to jest w gruncie rzeczy dość małe i trudno porównać je z Y; uświadomił sobie jednocześnie, że każdy nowo poznany ośrodek rekreacyjny wydaje mu się przeznaczony dla gejów, ten jednak bynajmniej taki nie był. Mimo to rozdający ręczniki staruszek w białej marynarce sprawiał wrażenie człowieka, który widział już niejednego bezwstydneho bankiera. Nick poświęcił trochę na tym i owym, ale tylko dlatego, że chyba liczył na to Sam, który pedałując teraz na stacjonarnym rowerze, rozwiązywał krzyżówkę w „Timesie”. Wydawało mu się, że nie zna Sama zbyt dobrze, że ten stary znajomy traktuje go z góry. Sympatyczna błyskotliwość z czasów oksfordzkich uległa pewnemu usztywnieniu, a jego postać zdawała się lśnić jak cały ten budynek, obdarzając świat czujnym półśmiechem posiadacza tajemnej wiedzy. Dokoła inni mężczyźni podnosili i opuszczali sztangi, ciężarki i hantle; Nick był ciekaw, czy w ten sposób rozładowują agresję czy może, przeciwnie, starają się ją spotęgować. Później, już w kabinach prysznicowych, wykrzykiwali do siebie jakieś niezrozumiałe przechwałki.

Nick spodziewał się, że na lunch pójda do jakiegoś cichego lokalu z dębowymi przepierzeniami i wyfraczonymi kelnerami. Sam zaprowadził go wszakże do ogromnej restauracji w której panował taki hałas, że Nick musiał wręcz krzyżeć, aby wyjaśnić, w czym rzecz. Usłyszawszy o pięciu tysiącach, Sam wzdrygnął się nieco; myślał, że chodzi o coś naprawdę ważnego. – No, to jest drobiazg... – podsumował.

Restaurację wypełniali prawie sami mężczyźni. Nick cieszył się, że ma na sobie najlepszy garnitur, i przez głowę przemknęła mu myśl, że mógł też założyć krawat. Starsi goście wodzili po sali bystrym, acz zmęczonym wzrokiem ludzi, których godność poniewierana jest przez krzykliwych i pędzących na oślep młodzieńców, zachłystujących się pierwszymi sukcesami. Niektórzy mężczyźni z tej drugiej grupy zachwycali urodą i podniecali; Nick wyobrażał sobie, że poczucie własnej siły ma u nich charakter bezlitosnego popędu seksualnego. Pozostali należeli do tych brzydactw i osobników nieprzystosowanych, co to na szkolnym podwórku zawsze stoją gdzieś z boku, a potem przyjaźnią się głównie z pieniędzmi. W tej kategorii mieścili się zresztą również absolwenci szkół prywatnych. Ponieważ wszyscy musieli krzyżeć, sala wydawała się rezonować monosylabycznym „łat” lub „jał”. Do reszty towarzystwa Sam odnosił się z pewną rezerwą, ale bynajmniej się od niego nie odcinał. – We Frankfurcie widziałem cudowną wersję *Frau ohne Schatten* – zagaił.

– No cóż... Znasz mój stosunek do Straussa – odparł Nick.

Sam patrzył na niego wyraźnie zawiedziony. – O, Strauss jest niezły – powiedział. – Znał się na kobietach.

– U niego są rzeczy bardziej rażące!

Sam zachichotał, lecz dalej ciągnął ten wątek. – Jego muzyka orkiestrowa jest męska, a opery są kobiece. Jedyne ciekawe role męskie, jakie wyszły spod jego pióra, to role i tak śpiewane przez panie. Mam oczywiście na myśli Oktawiana i Kompozytora w *Ariadne*.

– To prawda – przyznał Nick, uginając się pod presją. – Strauss nie był tak wszechstronny jak Wagner. Ten rozumiał wszystko.

– Do Wagnera mu daleko – powiedział Sam – ale to mimo wszystko geniusz.

Dopiero pod koniec lunchu wrócił temat inwestycji. – To tylko niewielki spadek – tłumaczył Nick. – Pomyślałem, że warto by może coś z nim pokombinować.

– Hm... Teraz jest szal na nieruchomości.

– Za pięć tysięcy dużo nie kupię – zauważył Nick.

Sam roześmiał i odrzekł: – Kupiłbym akcje Eastaugh. Rozbudowują połowę City. Ich wartość rośnie ostatnio jak północna ściana Eigeru.

– Znaczy, że rośnie szybko?

– Naturalnie jest jeszcze Fedray.

– Firma Geralda?

– Ostatni kwartał był dla niej rewelacyjny.

Nick poczuł się zaintrygowany, ale zarazem niespokojny. – Jak mam się do tego zabrać? – zapytał i zachnął się na własną głupotę tudzież niefrasobliwość, bo wypił już cztery kieliszki chablis. – Nie mógłbyś mnie wyręczyć?

Sam odłożył na stół serwetkę i przyzwał gestem kelnera. – Okej – rzucił pogodnie, jakby chodziło w końcu o dobrą zabawę, a on brał to wszystko nazbyt poważnie. – Zabawimy się w inwestycję wysokiego ryzyka. Ciekawe, co z tego wyjdzie.

Nick sięgnął do portfela ze szczerym zamiarem uiszczenia rachunku, ale Sam postanowił dopisać ten lunch do wydatków. – Ważny inwestor spoza Londynu – powiedział, wyjmując platynową kartę kredytową. Procedurze regulowania należności przyglądał się Nick z ledwie skrywaną ciekawością. Gdy wyszli z lokalu, Sam oznajmił: – No dobrze, mój drogi; przyślij mi czek. Ja idę w tym kierunku – jak gdyby Nick dał mu do zrozumienia, że idzie w stronę przeciwną. Kiedy żegnali się uściskiem dłoni, Sam powiedział: – Trzy procent od zlecenia – jak gdyby takim zdaniem zawsze finalizowało się umowę. Nick zaczerwienił się i szeroko uśmiechnął, bo wcale o tym nie pomyślał i ani trochę mu się to nie podobało. Dopiero później te słowa napełniły go optymizmem i dojrzał w nich dobry omen – gwarancję profesjonalnie dokonanej transakcji.

Wani ciągle „montował ekipę” dla ES, a Nick w głębi ducha zdumiewał się jego pewnością siebie i brakiem najmniejszego pośpiechu. W charakterze sekretarki zatrudnił niejaką Melanie, która ubierała się jak na koktail w Dallas i sztucznie, acz zręcznie przeciągała aż do późnego popołudnia swoje nieliczne obowiązki: pisanie na maszynie, segregowanie papierów i wykonywanie telefonów służbowych. Kiedy dzwoniła do niej matka, Melanie mówiła jej zawsze, że ma teraz w pracy „straszny kocioł”. Wani był posiadaczem cudownego talkmana, czyli przenośnego telefonu, który zabierał ze sobą do samochodu, a nawet do restauracji, i często prosił Melanie, by dzwoniła do niego w

trakcie spotkań biznesowych i podawała mu rozmaite dane liczbowe. Byli też chłopcy, Howard i Simon, którzy wprawdzie nie stanowili pary, lecz zawsze zwracano się do nich i mówiono o nich równocześnie; zawsze też wszystko robili razem, niczym najlepsi kumple z jednej klasy. Howard był bardzo wysoki i odznaczał się kwadratową szczęką, mały zaś Simon miał pyzată twarzyczkę i udawał, że własna otyłość bynajmniej mu nie przeszkadza. Jeśli ktoś brał ich za kochanków, Simon piszczał ze śmiechu, a Howard tłumaczył taktownie, że łączy ich jedynie zażyła przyjaźń. Po przyjściu do biura Nick lubił pogwarzyć chwilę z tą dwójką; cieszyły go również sugestie, że raczej im się podoba. – Kilka razy w tygodniu chodzę na pływalnię i siłownię – mówił, siedząc wygodnie w fotelu i płonął ze wstydu, którym ciągle płacił za każdy akt samochwalstwa. Wtedy odzywał się Simon: – Muszę wziąć z ciebie przykład. – Wszyscy oni zachowywali się tak, jakby nie dostrzegali urody Waniego i jakby jego działalność w tej firmie traktowali zupełnie poważnie. Jeżeli jego zdjęcie pojawiało się w „Tatlerze” lub „Harper’s and Queen”, Melanie pokazywała im je jako dowód na sensowność całego przedsięwzięcia.

Nick miał pewność, że żaden z nich nie sypia z szefem, a sam, dysponując już dziesięcioletnim albo i dłuższym doświadczeniem, potrafił umiejętnie zmienić temat rozmowy, która mogła zakończyć się dlań zdradliwym rumieńcem. Jakaś częśćka jego osoby tęskniła za skandalicznym rozgłosem, lecz Wani wymagał absolutnej dyskrecji, a i Nickowi dotrzymanie tajemnic sprawiało pewną przyjemność. Krył się pod swymi wcześniejszymi przygodami, które przedstawiał Howardowi i Simonowi w wersji znacznie przejaskrawionej; opowiedział im też historię z Rickym, tyle że rolę Waniego odgrywał tutaj Francuz z ośrodka nad stawem, znajomy z poprzedniego sezonu.

– A więc ten Ricky był przystojny, tak? – zapytał Simon.

Taki przymiotnik nie pasował do Ricky’ego; prędeż pociągał on bezmyślną pewnością siebie, nieustannie rozgrzanym ciałem i umiejętnością wciągania partnera od razu na głębokie wody, jak gdyby pierwszy pocałunek stanowił jedynie dalszy ciąg rozpoczętych onegdaj pieszczot, wznowionych nagle z taką samą intensywnością. – Był precudny – odrzekł Nick. – Czarne oczy, okrągła twarz, duży uroczy nos...

– Mmm... – mruknął Simon.

– Łysiec zaczął cokolwiek przedwcześnie, lecz nie był to proces budzący zgrozę.

Zapadła cisza, przerwana po chwili przez Simona. – Ty tak czasem już masz, no nie?

– Niby jak? – Nick wyglądał na lekko urażonego.

– Łysienie dotknęło go... Jak to szło?

– Już zapomniałem... „Łysiec zaczął cokolwiek przedwcześnie, lecz nie był to proces budzący zgrozę”?

Usiadłszy wygodniej, Howard kiwnął głową jak człowiek, którego po raz kolejny poddaje się znanej mu już procedurze. – A miał zarost? – zapytał.

– Bynajmniej – odparł Nick. – To znaczy... Jego policzki i broda dawały świadectwo porannej rozkoszy w kontakcie z chłodną stalą.

Wszyscy roześmiali się, ukontentowani. Nick miał w zwyczaju przemycać do rozmowy wymyślne metafory Henry’ego Jamesa z jego ostatnich dzieł, pobudzając nimi ciekawość obu chłopców. Ci zaś nie próbowali nawet ich zapamiętać; chcieli tylko, by Nick cytował je na swój lekki i dostojny zarazem sposób.

– Z czego to jest?

– O łysinie? Z *The Outcry*. To taka powieść Henry’ego Jamesa, o której nikt nigdy nie słyszał. – Chłopcy przyjęli tę informację z istic filozoficznym spokojem, bo nie słyszeli nigdy o żadnej powieści rzeczonoego autora. Nick czuł, że bezcześci pamięć Mistrza, lecz używając tych wyrażen, naśmiewał się również z samego siebie – wszak niczym innym jak stylem zajmował się w swej rozprawie doktorskiej. Przeżywał właśnie apogeum intensywnego romansu z Jamesem, upajał się rytmem jego prozy, jego ironią i manieryzmami, a te ostatnie kochał najbardziej.

– Z tego, co mówisz, wychodzi, że dla Henry’ego Jamesa wszyscy byli piękni i cudowni – zauważył nieco zgryźliwie Simon.

– Tak... Piękni, cudowni, wspaniali... Wydaje mi się, że tymi słowami bohaterowie opisują się nawzajem, zwłaszcza wtedy, gdy zachowują się podle. W ostatnich książkach robią to coraz częściej, a przecież ciągle brzydą w oczach, to znaczy, brzydą od strony moralnej.

– Aha... – mruknął Simon.

– Im bardziej sami nikczemnieją, tym więcej piękna dostrzegają w sobie nawzajem.

– Ciekawe – rzucił dość sucho Howard.

Nick ogarnął przychylnym spojrzeniem swoją niewielką publiczność. – W sztuce *The High Bid* jest cudna scena, w której pewien mężczyzna pyta zatrudnionego w wiejskiej posiadłości lokaja: „Do kogo tak pięknie należysz?”.

Simon odchrząknął i obejrzał się, żeby sprawdzić, czy słyszy ich Melanie. – A jaki był jego instrument? – zapytał. – No, tego, wiesz, Ricky’ego...

Istotnie był godzien opisu i swoistego upiększenia. Przez moment Nick zastanawiał się, jak z takiego zadania wybrnąłby Henry. Jeżeli tak figlarnie charakteryzował brak zarostu i łysinę, czyli dwie najszybciej zauważalne cechy własnego wyglądu, to do jakichż łamańców i werbalnych manewrów musiałby się uciec, żeby ukazać solidne dwadzieścia centymetrów Ricky’ego. – Był... rozmiarów nader okazałych – powiedział Nick i popatrzył na Simona, który najwyraźniej siłował się teraz ze swą erotyczną wyobraźnią.

Tak to plół trzy po trzy, łącząc seks z naukowością i napawając się samym aktem odwodzenia chłopców od rozmowy na temat niezbitych faktów. Właściwie do tego sprowadzała się cała zabawa, pasująca zresztą do nierealności firmy ES i jej biura, w którym pewne sprawy zawsze pomijano milczeniem.

Nick sam nie umiał określić swej roli w tym przedsięwzięciu, a poznał ją dopiero na Lowndes Square, kiedy znalazł się tam, zaproszony na niedzielny lunch. Dzień wcześniej balował do trzeciej nad ranem w klubie Heaven i ciągle czuł na twarzy odcisk gumowej maski, wciąż zmagał się z chwiejnym krokiem, dalej walczył z szmerzącym mu w głowie kacem po piwie i brandy, gdy Bertrand Ouardi chwyciwszy go mocno za rękę, powiedział: – A więc to pan jest esteta mojego Antoine’a.

– We własnej osobie! – odparł Nick i uśmiechając się szeroko, ścisnął jak najsilniej dłoń gospodarza. Miał nadzieję, że nawet esteta może okazać się kimś godnym szacunku, jeżeli cieszy się przychylnością ukochanego syna.

– Ha! – wykrzyknął Bertrand, odwrócił się i ruszył w głąb holu po marmurowej szachownicy posadzki. – Esteci są nam potrzebni. – Idąc, poruszał z gracją ramionami w taki sposób, jakby wskazywał lśniące malowidła na ścianach i empirowe lampy, a przy tym tłumaczył, że są to niezbędne insygnia dla kogoś z jego pozycją. Wydawał się mówić, że i on ma swojego esteta, którego zatrudnia na pół etatu. Nick szedł za nim, zdeglustowany napierającą nań zewsząd połyskliwością. Miał poczucie, że w tym budynku jest tylko jeden obiekt, na którym chciałby zatrzymać wzrok. – Zaraz wracam – powiedział Bertrand i powstrzymał Nicka subtelnym gestem, gdy ten chciał wejść za nim do toalety. Drobną brunetką, która wcześniej wpuściła Nicka do domu, poprowadziła go teraz na górę, a on włókł się za nią z potępieńczym uśmiechem. A więc Wani nazwał go esteta, tym słowem wyjaśnił rodzicom jego obecność w swoim życiu...

Wprowadzono go do złotawo-różowego salonu. – O, Nick! – krzyknął Wani niczym staruszek, który widzi po latach znajomego z młodości, i podszedł uściskać mu dłoń. – Oto Martine... Bardzo chciała się z tobą zobaczyć... (Nick zatrzymał się przy kanapie, na której siedziała narzeczona przyjaciela, i jej również uściskał dłoń, przesadnie się przy tym kłaniając). Nie przedstawiłem cię jeszcze mojej matce. – Nick uzmysłowił sobie, że idzie do przodu, za sprawą wiszącego nad kominkiem, przechylonego nieznacznie lustra, sprawiającego, że salon zdawał się oddalać i unosić zarazem. Swoje odbicie dojrzał tylko na ułamek sekundy: dalej krzywił usta w obronnym uśmiechu człowieka odurzonego, który jednak być może zdobędzie się zaraz na wyrzucenie z siebie kilku błyskotliwych zdań. Monique Ouardi powiedziała, że dopiero co była na mszy w Katedrze Westminsterskiej, i odwzajemniła wprawdzie uśmiech Nicka, lecz nie wyglądała jeszcze na gotową do podjęcia zwykłej konwersacji towarzyskiej. – A oto mój wujek Emile i mój kuzynek, też Antoine – Wani zwrócił się do kochanka, gdy dwaj przedstawieni niespodziewanie zjawili się za jego plecami. Nick na wszystko reagował z nadmiernym przeczuleniem, niezdolny włączyć się w bieg wypadków. Uściskał dłoń wujkowi Emile'owi, który chrapliwym głosem mruknął: – *Enchanté* – na co Nick zareagował tym samym słowem. Wani położył dłoń na główce kuzynka, a ten spojrzał na niego z uwielbieniem, po czym również podał rękę gościowi. Nick poczuł, że na myśl o niewinności tego małego chłopca, nieznanego jeszcze dolegliwości związanych z kacem, do oczu napływają mu łzy.

Już wcześniej, w taksówce, postanowił, że poprzestanie na picciu wody, ale gdy Bertrand oświadczył: – Czas na drinki! – Nick od razu zdecydował się na Krwawą Mary. Bertrand ruszył w stronę stołu z drinkami, lecz dokładnie w tej samej chwili do salonu wparował starszy mężczyzna w czarnej marynarce, wyposażony w lekką tacę, i czym prędzej wyręczył pana domu. Nick patrzył na nich wyczekująco, z cierpliwością człowieka skacowanego, z poczuciem osobliwego wyobcowania i oczekiwania na zbliżające się wolno olśnienie. Bertrandowi wystarczył drobny gest, by pożądaną przez niego czynność natychmiast wykonał ktoś inny, nieustannie czujny, zawsze gotowy. Nick miał wrażenie, że wszystko już zrozumiał.

Pozostało mu tylko wcisnąć się w narożnik kanapy i słuchać gawędzącej swobodnie rodziny. Na wysokich frontowych oknach powiewały lekko białe firanki. Dalej, na balkonie, stały dwa cebry ze spiczastymi drzewkami, a całą widzialną przestrzeń za nimi

wypełniały rosnące na skwerze wysokie platany. Myśli Nicka wyrwały się z salonu i spoczęły na gałęziach drzew.

Mały Antoine bawił się zdalnie sterowanym samochodzikiem – miniaturowym jasnoczerwonym ferrari z chybotliwą antenką – a Wani zachęcał go, by uderzał nim prosto w nogi stołów i krzeseł, wzorowanych na stylu Ludwika XV. Pochyliwszy się do przodu, Nick obserwował te slalomy i pojękiwał z teatralną przesadą, gdy pojazd wpadał na listwę podłogową lub nieruchomiał, zaklinowany gdzieś pod biurkiem. Udawał, że bawią go takie igraszki, wręcz starał się czerpać z nich autentyczną przyjemność, lecz Wani i jego młodszy krewniak zdawali się go nie zauważać. Zdarzyło się nawet parę razy, że starszy kuzyn przejął od młodszego kontrolę nad pilotem od auta i spowodował kilka efektownych kolizji. Przez cały ten czas Bertrand rozmawiał z wujkiem Emile’em i parokrotnie usunął się z drogi rozpędzonej zabawki, robiąc przy tym surową minę. Pochyle lustro dawało Nickowi dogodny punkt widzenia, ukazując mu poszczególnych Ouardich jak aktorów na filmowym planie.

Rodzice Waniego okazali się fascynujący: niewysoki, przystojny Bertrand wyglądał jak gwiazdor filmowy z dawnych czasów, natomiast elegancka i powściągliwa Monique, z diamentową broszką i czarnymi włosami na pazia, promieniowała egzotyką typową dla mody sprzed dwóch dekad. Dyskretnie połyskliwy dwurzędowy garnitur Bertranda o prostokątnych ramionach zdobiła wetknięta do kieszeni chusteczka, a cała postać Ouardiego zdawała się składać z kwadratów i rombów, łącznie ze szczęką, bardziej kwadratową niż podbródek Waniego, i z takim samym jak u syna jastrzębim nosem. Pełną górną wargę Bertranda wieńczył cienki czarny wąsik, a jego lekkie, niskie, skórzane półbuty kojarzyły się Nickowi z krajami Bliskiego Wschodu. Również Wani miał kilka par takich butów, których gumowa rowkowana podeszwa nadawała się dobrze, jak twierdził, „do chodzenia po marmurach”. Swobodny, acz apodyktyczny głos Bertranda o silnym obcym akcencie rozbrzmiewał donośnie w salonie.

Martine siedziała na drugim końcu kanapy, gdzie, jak się wydaje, siadywała zawsze, mając za sąsiadkę matkę Waniego. Rozmawiały po francusku: cicho, konspiracyjnie, z cichą rezygnacją kobiet, których mężczyźni grzmią tubalnymi głosami, wodzą dokoła surowym wzrokiem i rozbijają kolejne samochody. Nick uśmiechał się do nich niezobowiązująco. Martine, jako permanentna narzeczona, stanowiła tu najwyraźniej trwałą element domowego krajobrazu i niczym biedna krewniaczka biernie czekała na

chwile, w której stanie się milionerką. Z sobie tylko wiadomych powodów unikała rozmowy z Nickiem, toteż Wani, utrzymując, że narzeczona pragnie się z nim zobaczyć, sugerował jedynie na swój ospale władczy sposób, iż takie spotkanie jest po jego myśli; często zresztą zakładał, że jego życzenia pokrywają się z wolą innych. Martine miała jednak przeważnie własne zdanie, choć wyrażała je dyskretnie i powściągliwie. Minęło więc kilka minut, nim przesunęła w stronę Nicka leżący na szklanym stoliku talerz z oliwkami i zapytała: – Jak ci się wiedzie?

– Świetnie! – Nick zamrugał i obdarzył ją niezbyt mądrym uśmiechem. – Szczerze mówiąc, jestem dziś trochę nadwrażliwy... – Potrząsnął kieliszkiem. – To mi pomaga. To czyni istne cuda. – Pomyślał, że człowieka stać czasem na formułowanie zdań dalekich od pospolitości.

Martine również odznaczała się swoistą wrażliwością, która nie pozwoliła jej teraz podjąć tematu kaca. – Praca idzie ci dobrze? – spytała.

– A... owszem. Dziękuję. Doktorat powinien być gotowy już latem, ale rzecz jasna mam straszne tyły. – Mówił to, jakby zakładał, że Martine zna wszystkie jego słabości, że widać je teraz jak na dłoni. – Jestem potwornie leniwy i niezorganizowany.

– Nie wierzę. – Martine pomyślała zapewne, że Nick stroi sobie żarty. – A o czym pisziesz?

– Piszę o... Henrym Jamesie. – Wyrobił już w sobie iście Jamesowską niechęć do wypowiedzania się wprost o temacie swej dysertacji, uznawszy, że posiada on konotacje erotyczne, których wolał w takim kontekście unikać.

– Antoine mówił mi, że pracujesz z nim w ES.

– Nie robię tam zbyt wiele.

– Nie piszesz scenariusza? Wani mi mówił...

– No... Chciałbym coś napisać. I w pewnym sensie coś piszę. Mamy na razie kilka pomysłów. – Uśmiechnął się grzecznie do siedzącej obok Martine matki Waniego, aby ją również włączyć do rozmowy. Wolał trzymać się tego tematu, bo nie nawinął mu się żaden inny. – Zawsze marzyłem o ekranizacji *The Spoils of Poynton*... – Monique kiwnęła głową z uznaniem, toteż Nick poczuł się zachęcony do rozwinięcia wątku. – Myślę, że mogłby wyjść z tego cudowny film. Co prawda Ezra Pound powiedział lekceważąco, że jest to tylko powieść o meblach, ale mnie właśnie to podoba się w niej najbardziej.

Sącząc swój dzin z tonikiem, Monique patrzyła na Nicka z odrobiną niepokoju, a potem, niby szukając stosownej puenty, zaczęła rozglądać się po salonie. Nie miała naturalnie bladego pojęcia, o czym mówi przyjaciel jej syna.

– A więc chcecie nakręcić film o meblach? – zapytała Martine.

– Ostatnio widzieliśmy nowy *Pokój z widokiem* – powiedziała Monique nieco głośniej, bo mały ferrari pędził właśnie przy jej nogach. – Bardzo ładny film.

– Rozumiem – odrzekł Nick.

– Akcja toczy się głównie we Włoszech, a my bardzo Włochy kochamy. Czysta rozkosz.

Martine odrobinę zdziwiła Nicka, mówiąc: – To takie nudne. We wszystkich filmach akcja toczy się teraz w przeszłości.

– A... Chodzi ci o dramaty kostiumowe?

– O dramaty kostiumowe i wszystkie te filmy „z epoki”. Czy angielscy aktorzy nie mają już dość? Ciągłe tylko paradują w wieczorowych strojach...

– To prawda – przyznał Nick. – Ale w tych czasach takie stroje noszą chyba wszyscy. – W gruncie rzeczy miał na myśli Waniego, który był właścicielem trzech smokingów, a na bal charytatywny u księżnej wybrał się we fraku i pod białym krawatem. Nick zrozumiał, że stał się przedmiotem ataku, ponieważ ekranizacja *Poyntona* wiązała się z wykorzystaniem mnóstwa kostiumów.

– Jestem pewna, że mój syn nakręci piękny film z pańską pomocą, ma się rozumieć – powiedziała Monique Ouardi, a Nick odczuł w tych słowach tajemniczą, matczyną poniekąd zachętę.

– Tak, ty jeszcze dobrze Waniego nie znasz – zgodziła się z nią Martine. – Nad nim trzeba ciągle stać z batem.

– Postaram się o tym pamiętać – roześmiał się Nick, a jego oczom ukazał się nagle podniecający wizerunek Waniego, przez co Martine wyglądała jak postać stojąca między rzutnikiem slajdów a ekranem, mieniąca się barwnymi plamami i trochę w tym śmieszna.

Ferrari ponownie zderzył się z butem Bertrand a, a mały Antoine, chcąc, by jego zabawka pokonała tę przeszkodę, przyspieszył jeszcze obroty silniczka, który był teraz wniebogłosy. Bertrand pochylił się, podniósł samochodzik i trzymał go przez chwilę w powietrzu jak brzęczącego wściekłego owada. Antoine wyszedł nieśmiało zza sofy,

przestraszony zrazu furią malującą się na obliczu wujka, potem zaś rozbawiony do łez, kiedy groźne spojrzenie przeistoczyło się raptem w komiczne szczerzenie kłów. – Wystarczy na dziś tej zabawy – powiedział Bertrand i oddał dziecku małe ferrari w przeświadczeniu, że jego rozkaz zostanie karnie wykonany. Na samą myśl o potencjalnej scysji z Bertrandem Nick poczuł nagły niepokój i wizja nagiego Waniego błyskawicznie się rozwiała.

– Pewnie chciałbyś koniecznie obejrzeć nasz dom – zwrócił się Wani do przyjaciela.

– Ależ oczywiście – odparł Nick, wstając z kanapy, i uśmiechnął się, pochlebiony tymi słowami. Miał wrażenie, że Wani przesadza z udawanym chłodem i dystansem: prawie wcale się do niego nie odzywał i nawet teraz, rozbudzając w kochanku falę oczekiwań, zachował beznamiętny wyraz twarzy, a w jego zachowaniu nie było choćby odrobiny ciepła, jakiej jego rodzina mogła się spodziewać między dwoma starymi przyjaciółmi ze studiów.

– Tak, oprowadź go po domu – rzekł Bertrand. – Pokaż mu wszystkie nasze pioruńskie obrazy i całą pioruńską resztę.

– Mam na to wielką ochotę – powiedział Nick i pomyślał, że dobrze jest uchodzić za estetę, nawet tam, gdzie wszystkie atrakcyjne przedmioty wyglądają na skopiowane.

– Mogę iść z wami? – zapytał mały Antoine, który uśmiech i dotyk Waniego lubił chyba tak samo jak Nick. Emile kilkoma ostrymi słowami zatrzymał go jednak w salonie.

– Zaczniemy od samej góry – oświadczył Wani, gdy już za drzwiami weszli na schody i wspinali się nimi, przeskakując dwa stopnie naraz. – Nie wiem jeszcze, jak spędziłeś wczorajszy wieczór – powiedział, gdy minęli pierwszy podest.

– Byłem w Heaven – odparł Nick z lekkim niepokojem, wyjawiając tę jakże niewinną prawdę.

– Jestem poza tym ciekaw – ciągnął Wani, nie oglądając się za siebie – czy kogoś wczoraj posuwałeś.

– Nikogo nie posuwałem, to chyba jasne. Byłem z Howardem i Simonem.

– Tak, to logiczne – stwierdził Wani, obdarzając Nicka nieznacznym uśmiechem. – I coście tam robili?

– Bywałeś już przecież w nocnych klubach, kochanie – odrzekł Nick tonem bezwiednie sarkastycznym. – W paru takich lokalach fotografowano cię nawet z narzeczoną. Tańczyliśmy i piliśmy, ot co.

- Mmm... Zdejmowałeś koszulę?
- Niech odpowie ci twoja zazdrosna wyobraźnia.

Dotarli wreszcie na piętro i weszli do sypialni Waniego, który poruszał się po niej z demonstracyjną swobodą, jak gdyby zaznaczał, że jego przyjaciel jest tam tylko gościem i nie powinien zbyt uważnie przyglądać się otoczeniu. A Nicka ciekawiło wszystko, bo nawet to, co martwe, zdawało się tutaj tętnić życiem: wszystkie te zdjęcia szkolne z Harrow i z Oksfordu czy fotografie zdobnych w różowe kapelusze członków Martyrs' Clubu, łącznie z Tobym, Roddym Sheptonem i całą resztą; komplet pism Matthew Arnolda, wydanie krytyczne dramatów Szekspira oraz tanie edycje *Toma Jonesa* i *Miasteczka Middlemarch* o pamiętnych okładkach i znajomej czcionce, odwołujące się do bezpowrotnej przeszłości, porzucone i blaknące tak tutaj, jak i w tysiącach innych sypialni, nigdy już nieczytane; i jeszcze książęce łoże panicza, niemalże o rozmiarach łoża małżeńskiego; i lustro, w którym Nick przejrzał się teraz nieśmiało, w którym wyglądał całkiem niezłe, w którym kłopotliwego kaca zastępowało już z wolna rozweselenie po wypitych dziś drinkach...

Wszedł do łazienki, gdzie Wani, wyjąwszy z portfela solidną porcję kokainy, rozdrabniał ją na szerokiej krawędzi umywalki. – Mam tu trochę fajnego towaru – powiedział.

– Wiem – odrzekł Nick. – A nie jest za wcześnie na taką zabawę? – Uwielbiał ich wspólny romans z kokainą, lecz Wani traktował to czasem zbyt poważnie, zbyt niepowściągliwie.

– Wyglądałeś, jakbyś właśnie tego potrzebował.

– No, może małą kreskę. – Nick rozejrzał się również po tym pomieszczeniu, rozluźniony i przejęty jednocześnie. Nie chciał zejść potem na lunch w podejrzenie dobrym nastroju, nie chciał znowu, tym razem w inny zgoła sposób, robić z siebie idioty. Niepodobna było jednakże oprzeć się pokusie. Nick uwielbiał cały ten rytuał: rozdrabnianie proszku kartą kredytową, przekazywanie z rąk do rąk zwiniętego w rulonik banknotu – kulturalnie, z zachowaniem niezbędnych form, „wszystko to za i przez pieniądze”, jak mówił Wani. W pewnym stopniu ta procedura była poniekąd wpisana w istotę zaznawanej przyjemności, a w chwili, gdy do niej przystępowali, Nick oddawał się w jarzmo jej nieodpartego uroku i czynionych przez nią obietnic. Nie chcąc przeszkodzić

Waniemu, objął go ostrożnie i delikatnie od tyłu i wsunął dłoń do lewej kieszeni jego spodni.

– O kurwa – rzucił Wani nieobecny głosem. W ciągu trzech sekund dostał erekcji, podobnie jak przytulony do niego Nick. O tym, co ich łączy naprawdę, nie wiedział zupełnie nikt, a taka skrytość ośmielała, choć była przecież dziecinna, więc trudno tu mówić o wielkiej odwadze. Nick nie miał pojęcia, jak długo może się to ciągnąć w takim kształcie; nie chciał bynajmniej, by jego romans się skończył, lecz krycie się z seksem w wieku dwudziestu trzech lat, owa „zabawa w kieszonkowców”, jak określał to Wani, wydawała mu się głupia i poniżająca. Potem wszakże, budząc się rano skacowany i ogłupiały z pożądania, dostrzegł w tym braku jawności swoisty urok i piękno. We flanelowej czeluści kieszeni leżało kilka monet funtowych, które czuł na swojej dłoni, pieszcząc kutasa Waniego.

Wani wciągnął dwie długie kreski białego proszku. – Lepiej zamknij drzwi – powiedział.

Nick niechętnie oderwał się od niego. – Tak... Mamy mało czasu. – Zatrzasnął drzwi i znów poszedł do przyjaciela, gotów przejąć po nim zwinięty banknot dwudziestofuntowy.

– Na klucz – zaznaczył Wani. – Ten chłopczyk wszędzie za mną łązi.

– Czy można go winić? – zapytał Nick wyrozumiale.

Wani spojrzał na niego zmrużonymi oczami – komplementy często go drażniły. Pochylali się kolejno nad umywalką, by wciągnąć przygotowane porcje koki, a potem stali przez moment, pociągając nosami, kiwając głowami i popatrując na siebie, aby porównać i potwierdzić uzyskany efekt. Rysy Waniego wydawały się mięknać i pojawił się na nich dyskretny, acz mimowolny uśmiech, który Nick tak bardzo lubił widzieć w chwili triumfu i zatracenia. On również uśmiechnął się do Waniego; jedną ręką pogładził go po szyi, a drugą pocierał swawolnie jego sztywny, przekrzywiony nieco członek. Było im obu bardzo dobrze. – To jest naprawdę zajebisty towar – powiedział.

– Boże drogi, naprawdę... – przyznał Wani. – Na Ronniego można liczyć.

– Mam nadzieję, że nie dałeś mi za dużo – rzekł Nick, lecz nim minęło pół minuty, czuł już, tuląc się do Waniego i całując go łapczywie, że wszystko stało się możliwe, że długi ciężki lunch okaże się krótki i lekki, że chętnie wda się w słowną szermierkę z Bertrandem, z tym wielkim magnatem finansowym, że oczaruje całe to towarzystwo.

Westchnął i chwycił kochanka za lewe ramię, by rzucić okiem na jego słynny zegarek. – Czas już na nas – powiedział.

– Okej. – Wani cofnął się o krok i szybko rozpiął spodnie.

– Tam na nas czekają, kochanie... – Ale spojrzenie Waniego, rozkazujące i uległe, znamionujące fundamentalne potrzeby człowieka dumnego i zdradzające niemądre poczucie przewagi nad drugim z romantycznych współspiskowców, to więc spojrzenie jak zwykle niepodzielnie zawładnęło Nickiem. Ukłęknął, odwrócił dłońmi kochanka i zsunął do połowy ud jego luźne staromodne slipy.

Na schodach spotkali potem małego Antoine'a, który szukając ich rozpaczliwie, zaglądał do każdego pokoju z pocieszenie gniewnym wyrazem twarzy. Wcześniej musieli kilka razy splukiwać wodę, żeby pozbyć się gumki, i wyszli właściwie w ostatniej chwili. Chłopiec od razu się do nich przykleił i koniecznie chciał wiedzieć, co ich tak rozbawiło.

– Pokazywałem wujkowi Nickowi moje stare zdjęcia – wyjaśnił Wani.

– A one są dość zabawne – dodał Nick, przyszpilony z musu do tego kłamstwa i zasmucony nagle faktem, że stracił sposobność obejrzenia tych fotografii.

– Aha... – mruknął mały Antoine, którego być może dręczył podobny żal.

– Lepiej zajrzyjcie na chwilę tutaj – powiedział Wani, otwierając drzwi pokoju, który znajdował się bezpośrednio nad salonem, a który stanowił sypialnię jego rodziców. Sięgnął dłonią do wyłączników na ścianie i nagle zapaliły się wszystkie światła, zasłony zsunęły się automatycznie i niby z oddali dobiegły ich dźwięki *Wiosny z Czterech pór roku*. Mały Antoine najwyraźniej lubił ten fragment i poprosił, by pozwolono mu samemu uruchomić raz jeszcze mechanizm grający, Nick zaś wodził już pogodnym wzrokiem po rozświetlonym wnętrzu. Udał panikę na widok odcisku swej stopy w dywanie, który, jak całe wyposażenie sypialni, należał do dóbr najwyższej jakości. Imponujący charakter nadawało temu miejscu zestawienie pretensjonalnego przepychu, tych wszystkich lśniących festonowych zasłon, ogromnych luster, onyksu i rażących złotych z rzeźbami starszymi, o charakterze surowszym, acz w znacznie lepszym guście i gatunku, przywiezionymi zapewne z Bejrutu, z tymi perskimi dywanami i fragmentami rzymskich rzeźb. Na małej komodzie widniała marmurowa głowa Waniego, do której musiał chyba pozować w wieku małego Antoine'a, bo była to raczej rozlana, pulchna twarz dziecka. Zauroczony nią Nick pomyślał, że gdyby mógł wziąć z tego domu jeden jedyny przedmiot, bez wątplenia wybrałby właśnie ją. Bertrand i Monique mieli osobne

garderoby, które pod względem różnorodności i panującego w nich porządku mogłyby konkurować z ofertą domów towarowych. – Spójrz jeszcze na to – powiedział Wani, wskazując wiszący na korytarzu duży żółtawy obraz pałacu Buckingham.

– To dzieło niejakiego Zitta, jak widzę – zauważył Nick, odczytując zamaszysty podpis w prawym narożniku nieba.

– Tatuś trochę w niego zainwestował – rzekł Wani.

– Co za okropieństwo...

– Nie podoba ci się? – zapytał Wani. – Spróbuj dać mu to do zrozumienia.

Zeszli wreszcie do jadalni, prowadzeni przez małego Antoine'a, który nieustannie kręcąc głową, powtarzał rytmicznie: – Okhophieństwo, okhophieństwo... – aż Wani w pewnym momencie chwycił go figlarnie za szyję.

Nicka posadzono między Monique po prawej i małym Antoine'em po lewej, vis-à-vis wujka Emile'a. Ten ostatni miał w sobie coś z nieudanego brata; nie był przy tym, jak Wani i Bertrand, czarująco kanciasty, tylko zaokrąglony i ponury. Okazało się, że jest on szwagrem Monique i przyjechał tutaj na dłużej z Lyonu, gdzie zajmował się, bez powodzenia, skupem i przetwórstwem złomu. Nick słuchał jego wywodów z uśmiechem, jak gdyby opowiadano mu potencjalnie dobre kawały; dopiero zmarszczone lekko czoło Waniego uświadomiło mu, że może wyglądać na człowieka, którego zwiedzanie domu Ouardich nieco za bardzo rozweseliło. Czuł się, jakby go zaczarowano i rzucono na przeciwległy biegun oglupiającego kaca sprzed pół godziny. Miał wrażenie, że wszystkie ich tajemnice zlewają się w jedno i płoną jasnym blaskiem. Po Wanim jednakże, w pełni już opanowanym, nie dało się poznać działania narkotyku. Do jadalni wnoszono teraz ułożone wachlarzowato plastry melonów i pomarańczy. Nietrudno było dojść do wniosku, że owoce cytrusowe cieszą się w tym domu szczególnym uznaniem; tutaj, podobnie jak w salonie, na jednym z bocznych stolików wzniesiono z nich kunsztowny obelisk. Wszystko to tchnęło osobliwą skromnością, dając zarazem wyraz silnemu instynktowi posiadania. Między oknami wisiał kolejny obraz Zitta, utrzymany w tonacji fioletowo-różowej, a przedstawiający budynek giełdy i Mansion House¹³.

¹³ Mansion House – rezydencja burmistrza Londynu.

– Widzę, że podziwia pan Zitta. To nowy nabytek mojego małżonka – powiedziała Monique trochę prowokacyjnym tonem, jak gdyby chciała usłyszeć również mniej pochlebne opinie o tym dziele.

– A... owszem.

– Wie pan, w gruncie rzeczy Zitt jest impresjonistą...

– I pewnym sensie ekspresjonistą jednocześnie – zauważył Nick.

– Jest bardzo współczesny – powiedziała Monique.

– I odważnie operuje barwami – dodał Nick. – Bardzo odważnie...

– No dobrze, Nick – powiedział Bertrand, jedną ręką rozkładając serwetkę, drugą zaś uderzając sztućcami o szklistą politurę blatu. – Jak się miewa nasz przyjaciel Gerald Fedden? – Owo „nasz” mogło odnosić się do niego i Nicka, do całej rodziny Bertranda bądź sugerować, że Gerald należy do tego samego obozu politycznego.

– Ma się doskonale – odrzekł Nick. – Jest w świetnej formie. I jak zwykle ma sto spraw na głowie... – Bertrand patrzył na niego z dobroduszną uwagą, zaznaczając być może w ten sposób, że mogą rozmawiać zupełnie szczerze. O ile przez pierwsze pół godziny raczej Nicka ignorował, o tyle teraz koncentrował się na nim z pewnością siebie typową dla człowieka, który zawsze stawia na swoim.

– Pan mieszka u niego, prawda?

– Tak. Miałem tam pobycć kilka tygodni, a zostałem na prawie trzy lata!

Bertrand kiwnął głową i wzruszył ramionami, jak gdyby było to całkowicie normalne. Takim gościem mógł w końcu okazać się choćby wuj Emile. – Wiem, gdzie to jest. Zaproszono nas na przyszły tydzień... koncert czy coś w tym rodzaju. Z przyjemnością się tam pojawimy.

– To świetnie – powiedział Nick. – Powinno być bardzo miło. Grać będzie młoda gwiazda z Czechosłowacji.

Bertrand zmarszczył brwi. – On jest podobno dobry jak diabli.

– Nie, to jest... A! Ma pan na myśli Geralda. Tak! Zgadzam się w zupełności!

– Znajdzie się kiedyś na samym szczycie. Albo prawie na szczycie. Jak pan myśli?

– Nie wiem – odparł Nick. – Nie znam się na polityce.

Bertrand aż się wzdrygnął. – Wiem, wiem... Pan jest pioruńskim estetą.

Gdy próbowano wyciągnąć z Nicka informacje na temat prywatnego życia Geralda i jego widoków na przyszłość, mówił z reguły dość dużo, tyle że mało konkretnie, nie

łamiąc zasad lojalności. – Wiem, że zakochał się do szaleństwa w pani premier – odrzekł teraz na pytanie Bertranda. – Nie wiem jednak, czy jest to uczucie odwzajemnione, A może ona tylko odgrywa niedostępną... – Mały Antoine zrobił niewinną minę dziecka, które udaje, że nie usłyszało nieprzeznaczonych dla niego słów, a Bertrand wlepił wzrok w melona i jeszcze mocniej zmarszczył brwi. Nick pomyślał już, że w tym domu wszelkie aluzje erotyczne uchodzą za nieprzyzwoite, ale w tym samym momencie odezwała się Monique:

– Ależ oni wszyscy są w niej zakochani. Ona po prostu ich hipnotyzuje tymi niebieskimi oczami... – Jej własne ciemne oczy skierowały się znacząco na drugą stronę stołu, na męża, potem na syna.

– To jest nowa odmiana miłości dworskiej, prawda? – zauważył Nick.

– Jasne. – Wani kiwnął głową i zaśmiał się krótko.

– Zakładam, że poznał pan rzeczoną damę – powiedział Bertrand. – Nie miałem tej przyjemności – odrzekł Nick skromnie, acz pogodnie.

Bertrand ściągnął swe pełne usta i przez moment wpatrywał się w jakiś niewidzialny punkt w oddali. – Wie pan, rzecz jasna – odezwał się w końcu – że jestem z nią zaprzyjaźniony?

– A tak. Wani mówił mi, że się znacie.

– To jedna z ważniejszych postaci naszych czasów, ale również prze sympatyczna kobieta. – Jego twarz przybrała mdły wyraz łajdaka, który wynosi pod niebiosa łajdaka sobie podobnego. – Była dla mnie miła, prawda, kochanie? A ja rzecz jasna zamierzam jej się odwdziżyć.

– Tak?

– Praktycznie, finansowo. Widziałem się z nią ostatnio i... – Machnął niecierpliwie lewą ręką, aby zaznaczyć, że treści rozmowy nie ujawni; po chwili jednak podjął wątek i z zadziwiającą szczerością wyznał: – Zamierzam dokonać pokaźnej wpłaty na fundusz partyjny, a potem... kto wie? – Nabił na widelec i przełknął kawałek pomarańczy. – Jeżeli ktoś ci pomógł, przyjacielu, musisz mu się chyba jakoś odwzajemnić. – I przebił powietrze pustym widelcem.

– Jasne – odparł Nick. – To znaczy, ma pan zupełną rację. – Odniósł wrażenie, że przeniosła się nagle na niego jakaś zadawniona niechęć Bertranda.

– W tym domu nie usłyszysz pan żadnych skarg na naszą damę.

– W moim również ich nie słychać, zapewniam.

Nick powiódł wzrokiem po pokornych twarzach reszty towarzystwa i pomyślał, że w Kensington Park Gardens kult „naszej damy”, ów hipnotyczny niemalże stan, w który wprawiała ona Geralda, znajdował przynajmniej jakąś przeciwwagę w monologach Catherine na temat bezdomnych i w zgryźliwych aluzjach Rachel do „drugiej kobiety” w życiu jej męża.

– Zatem nasz przyjaciel Gerald dalej pnie się w górę – powiedział Bertrand łagodniejszym już tonem. – Jaką konkretnie funkcję sprawuje?

– Jest sekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych – odparł Nick.

– Znakomicie. Gość jest szybki jak diabli.

– Bo bardzo ambitny. No i... wpadł w oko pani premier.

– Pogadam z nim, gdy go odwiedzę. Poznałem go już, rzecz jasna, ale może nas pan ponownie sobie przedstawić.

– Z największą przyjemnością.

Kiedy mężczyzna w czarnej marynarce uprzątnął talerze, Nick poczuł, że kokaina przestaje działać, a wraz z energią, którą mu dotąd dawała, znika też dobry nastrój, oszpecony już wątpliwościami i niepewnością. Za cztery, może pięć minut wszystko się spłaszczy i stanie jeszcze bardziej ponure niż przed zażyciem narkotyku. Ale tuż potem podano wino, które znowu rozweseliło, przyniosło ulgę, dało oparcie. Nick zauważył, że Bertrand pije wyłącznie wodę mineralną Malvern.

Przez chwilę próbował rozmawiać z Emile'em o handlu złomem, co stanowiło poważne wyzwanie dla jego książkowej francuszczyzny. Przerwał im Bertrand, który poczuł się widać zaniedbany i przez cały czas popatrywał na Nicka z nieszczerym uśmiechem na ustach. – Słuchaj no, Nick. Nie wiem, co wy z Wanim knujecie, nie wypytuję was...

– Tak?

– ...ale mam nadzieję, że to już szybko zaczniesz przynosić dochody.

– Zacznie, papo – rzucił bezzwłocznie Wani, a Nick zarumienił się, przerażony głębią przepaści, przez którą właśnie przeskoczył.

– Proszę pamiętać, że jestem estetą! – powiedział. – Finanse to nie moja broszka. – Próbował pokryć uśmiechem rumieniec, lecz zauważył, że drobne zaczepki Bertranda mają raczej zdemaskować Nicka jako postać bierną i nieistotną.

– Pan coś pisze, tak? – zapytał Bertrand, jakby fakt ten był wprawdzie dopuszczalny, stanowił jedną z pozycji w budżecie, którą należy wszelako kontrolować i bez której właściwie można się obyć.

Nick uważał, że pisanie nie jest czynnością błahą i choć nie mógł jeszcze niczym się pochwalić, przyznał, iż owszem, pisuje co nieco. Uzmysłował sobie też poniewczasie, że będzie musiał improwizować, bronić Waniego swymi odpowiedziami, nadawać przekonujący kształt temu, co jego ojciec uważał za mrzonki. Na myśl o tym aż go zemdlilo.

– Wiesz, papo, że chcę wydawać czasopismo – rzekł Wani.

– O tak, pismo to dobra rzecz. Pamiętaj jednak, synu, że jest różnica między wydawaniem pisemka a zamieszczaniem w nim swojej pioruńskiej twarzyczki.

– Nie o to tu chodzi – odparował Wani z osobliwie uprzejmą irytacją.

– Poza tym kto to kupi?

– To ma być magazyn artystyczny: zdjęcia wysokiej jakości, wysokogatunkowy papier i druk, masa różnych egzotycznych przedmiotów, dziwne budynki, indyjskie rzeźby... – Przeglądał w pamięci listę, którą wcześniej przygotował dla niego Nick. – Miniatury. I tak dalej. – Nick czuł, że nawet ze swoim kacem lepiej wygłosiłby tę prezentację; mimo to nieporadność kochanka wprawiła go w rozczulenie.

– I kto niby ma to kupować? – powtórzył Bertrand.

Wani wzruszył ramionami i rozłożył ręce. – To pismo będzie przepiękne.

Nick przypomniał sobie obmyśloną zawczasu formułkę: – Ludzie będą kolekcjonować poszczególne numery, tak jak chcieliby zbierać przedmioty w nich przedstawiane.

Bertrand zastanawiał przez chwilę nad sensem bądź bezsensem tych słów. – Wszystko wysokogatunkowe, więc pewnie drogie jak diabli – powiedział w końcu. – Cena numeru musi wynosić dziesięć albo i piętnaście funtów. – Wypił gniewnie łyk wody mineralnej.

– Dostaniemy reklamy od dużych firm – tłumaczył Wani. – Wiesz... Gucci, Cartier... Mercedes... – rzucał nazwy i nazwiska otoczone większym splendorem niż jakiś Watteau czy Borromini. – Teraz jest popyt na takie zbytki. To w nich leży największa kasa.

– Macie już nazwę dla tego piśmidła?

– Będzie nazywać się „ES”, tak jak moja firma – odparł krótko Wani. Bertrand ściągnął swe pełne wargi. – Nie rozumiem. Jak niby? „KEKS”? – zapytał poirytowany, lecz zadowolony z żartu. – Powtórz no jeszcze raz tę nazwę. Co to u licha takiego?

– A ja usłyszałam „SEKS” – powiedziała Martine.

– „SEKS”?! – powtórzył Bertrand.

Wani spojrział na Nicka, czyli autora tego niesłychanego pomysłu, ten zaś powiedział: – „ES” to skrót od esownicy, to znaczy, ornamentu w kształcie litery S; dwie takie krzywe linie występują w niektórych oknach czy pod cebulastą kopułą. – Uniósł ręce i złożył je w kształcie połówki klepsydry, a Monique, której zdarzały się takie naśladowcze gesty, uczyniła to samo i uśmiechnęła się, jakby przekazywała mu muzułmańskie pozdrowienie.

– Najpierw wygina się w jedną, a potem w drugą stronę – powiedziała.

– Otóż to. Ten motyw pochodzi z... właśnie z Bliskiego Wschodu, a później, od czternastego wieku, występuje w architekturze angielskiej. To jest jak linia piękna Hogartha – ciągnął Nick z poczuciem, że znowu robi z siebie idiotę – tyle że tutaj są dwie... A linia piękna ma na celu, jak sądzę, ożywienie całej struktury... – Rozejrzał się dokoła i sugestywnie zakreslił ręką falisty kształt, ale otaczającej go tutaj struktury w ten sposób ożywić nie zdołał.

Bertrand odłożył sztucce i uśmiechnął się zjadliwie. Cieszył się już zapewne na zbliżającą się demonstrację własnej ironii i delektował się ani chybi wyrazem niepewności i uprzejmego wyczekiwania na twarzach reszty obecnych. – Wie pan co, Nick... – powiedział. – Przyjechałem do tego kraju prawie dwadzieścia lat temu, w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym, nie najlepszym zresztą dla Libanu, żeby przekonać się, co zaoferuje mi ten wasz słynny swingujący Londyn. Rozglądam się więc i widzę, że jest moda na supermarkety, wie pan, samoobsługa; dla pana to oczywiste jak diabli, pewnie codziennie kupuje pan coś w takim sklepiku... ale wtedy...!

Nick uśmiechnął się sztucznie, aby potwierdzić swoją dogłębną znajomość supermarketów. Nie był pewien, czy rozmowa na temat „ES” dobiegła już końca, czy może Bertrand chciał opatrzyć ją długą ostrzegawczą dygresją. – Tak – odparł chłodno. – Widzę, jaka rewolucja się dokonała...

Podobnie jak inni egotyści, Bertrand jedynie przez ułamek sekundy brał pod uwagę możliwość, że przedmiotem ironii może być również jego własna osoba, po czym

przechodził nad tym do porządku dziennego. – To się rozumie samo przez się! Rewolucja jak diabli! – Dał znak mężczyźnie w marynarce, by ten dołał innym wina, i patrzył potem wyrozumiale, jak burgund sączy się do kieliszków z rzuńtego szkła. – Wie pan, zaczynałem w Finchley od sklepiku z owocami. – Z rozrzewnieniem machnął ręką w stronę tamtych dalekich miejsc i czasów. – Kupiłem go i wszedłem w handel świeżymi cytrusami, które zresztą pochodziły z naszej uprawy, nie musieliśmy ich od nikogo kupować. Liban nadaje się do uprawy cytrusów. Wie pan, co produkuje Liban od dwudziestu lat? Owoce i mózgi, owoce i talent. Każdy zdolny człowiek ucieka z tego pioruńskiego kraju.

– Chodzi o wojnę domową, tak? – Nick miał wcześniej zamiar zapoznać się gruntownie z historią Libanu na przestrzeni dwóch minionych dekad, ale gdy tylko o tym wspominał, Wani denerwował się zawsze i odpowiadał wymijająco. A teraz nadeszła chwila próby. Nick wolał nie przyznawać Bertrandowi racji w surowej ocenie jego kraju; na polu minowym lepiej zachować ostrożność.

– Na nasz dom spadła bomba – odezwała się Monique tonem osoby, która nie spodziewa się wcale, że ktoś ją usłyszy.

– To straszne – zareagował Nick, wdzięczny jej za te słowa, bo w jadalni rozległ się wreszcie jakiś inny głos.

– Tak – przyznała. – To naprawdę było straszne.

– Jak powiedziała właśnie matka Antoine’a – rzekł Bertrand. – Nasz dom został praktycznie zniszczony.

– Czy to był stary dom? – zwrócił się Nick do Monique.

– Tak, dość stary. Ale nie tak stary, jak ten tutaj, rzecz jasna. – Zadrżała, jakby domy na Lowndes Square wybudowano w średniowieczu. – Mamy dużo zdjęć...

– Chętnie je obejrzę – rzekł Nick. – Interesują mnie takie rzeczy.

– No dobrze – powiedział Bertrand. – W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym otwarłem pierwszy sklep Mira Mart, właśnie w Finchley, właśnie w Finchley... Istnieje zresztą do dzisiaj, może pan tam pojechać i przekonać się sam. Wie pan, na czym opiera się sukces tej sieci?

– Tak?

– Wtedy, dwadzieścia lat temu, stwierdziłem, że macie tutaj w Londynie supermarkety i małe stare sklepiki na rogach ulic, które działają już pewnie paręset lat. I

co robię? Łączę jedno diabelstwo z drugim, supermarket ze sklepikiem na rogu, i tworzę minimarkety. I oferuję w nich cały asortyment, który widzi pan w Tesco czy jakimś innym diabelstwie, lecz zachowuję atmosferę typową dla dzielnicy, dla tych małych sklepików na rogu. – Uniósł kieliszek, jak gdyby pragnął wznieść toast na cześć własnej pomysowości. – I druga sprawa... Wie pan, o czym mówię?

– To znaczy...

– Godziny.

– Godziny, tak...

– Godziny otwarcia. Otwieram wcześniej, zamykam późno. Ludzie przychodzą przed pracą, ludzie przychodzą po pracy; nie tylko pioruńskie gospodynie domowe, co to muszą kupić paczkę fajek i poplotkować ze sobą.

Nick nie wiedział, czy Bertrand przemawia do niego tonem przeznaczonym specjalnie dla idiotów, czy może ów ton ma odzwierciedlać prostotę zagadnienia. – Ale nie wszystkie sklepy mają taki charakter, prawda? – powiedział. – Na przykład ten w Notting Hill, do którego często chodzimy, jest raczej luksusowy... – dodał z oschłym uznaniem, wzruszając ramionami.

– A, teraz mówi pan o Mira Food Halls! Sieć Mira Mart różni się jak diabli od sieci Mira Food Halls... Food Halls są dla klientów bogatszych, dla klienteli o wyższych wymaganiach. W tej okolicy też mamy kilka takich marketów. A wie pan, skąd wziąłem ten pomysł?

– Od Harrodsa – odezwał się Wani.

Bertrand obdarzył go chmurnym spojrzeniem. – Ma się rozumieć. Harrods to wzór dla wszystkich takich sklepów na całym świecie!

– Uwielbiam chodzić do Harrods Food Hali – powiedziała Monique – i patrzeć na te ogromne... *homards*...

– Homary – mruknął Wani, nie patrząc na matkę, jak gdyby do jego stałych obowiązków należało tłumaczenie jej słów.

– Przecież rozumiem! – zaprotestowała Martine, uśmiechając się nieśmiało. Nick domyślał się, że taka sytuacja powtarza się często, gdy we trójkę chodzą przez cały dzień po Harrodsie, znajdującym się niby tuż za rogiem, lecz otwierającym nowy świat przed klientem, którego stać na robienie tam zakupów.

Bertrand dał im łaskawie te pięć sekund, niczym surowy, acz sprawiedliwy nauczyciel, po czym podjął przerwany wątek: – Teraz, jak pan może wie, Nick, mam trzydzieści osiem punktów Mira Food Hali na terenie całego kraju, jeden na przykład w takim Harrogate, a nowy otwarłem właśnie w Altrincham; dochodzi do tego osiemset pioruńskich Mira Martów. – Stał się naraz bardzo sympatyczny, jak gdyby zadziwił go nagle ogrom własnej aktywności. – Wspaniała historia, no nie?

– Zdumiewająca – przyznał Nick z uroczystym wyrazem twarzy. – To bardzo miłe z pana strony, że opowiada mi pan historię, która tak dobrze jest panu znana. – Przypomniawszy sobie jaskrawopomarańczowy szyld sklepu Notting Hill Food Hali, po którym Gerald, amator francuskiego pasztetu i szwajcarskich czekoladek, buszował czasem późnym wieczorem z koszykiem w ręce i wystraszoną spojrzeniem człowieka bojącego się demaskacji. Przypomniawszy sobie także Mira Mart w Barwick, jeden z owych minimarketów na rogu, z wyłożonym w pochylonych skrzyniach towarem, uboższy i smutniejszy niż obeliski z owoców tu, w Knightsbridge, i przesączony stęchłym zapachem niskich pomieszczeń, w których wszystko sprzedaje się razem. Przypomniawszy sobie, że w logo całej tej sieci widniała pomarańcza zwieńczona dwoma zielonymi listkami. Następnie rzucił okiem na Waniego, który pojadał coś bez entuzjazmu (kokaina zabija apetyt), z twarzą niezdradzającą jakichkolwiek emocji. Oczy utkwili w talerzu albo też w szklistym czerwonym blacie stołu. Wyglądał na wsłuchanego w słowa ojca, lecz Nick miał pewność, że pogrążył się w świecie, którego Bertrand nie mógłby nawet sobie wyobrazić. Uległością względem ojcowskiej tyranii płacił cenę za zachowanie wolności. Również wujek Emile siedział ze spuszczonego wzrokiem, przytłoczony zaradnością i sukcesami szwagra. W tym momencie Nick rozumiał, jak przyjemna musiała być ucieczka do Harrodsa z paniami.

– Wszystko to będzie kiedyś twoje, synu – powiedział Bertrand.

– Och, biedne dziecko! – rzuciła z niepokojem Monique.

– Wiem, wiem... – Bertrand wyraźnie się zirytował i krzywiąc usta w dość makabrycznym uśmiechu, dodał: – Ten dzień bez wątpienia jest jeszcze daleko. Niech Antoine robi te swoje filmy, niech wydaje te swoje pisemka. Niech się najpierw nauczy fachu.

– Dziękuję, papo – powiedział Want do ojca, ale uśmiechnął się do matki. W chwili gdy uśmiech wygasał, posłał jeszcze Nickowi krótkie i wymowne spojrzenie. On sam nie

czuł się wprawdzie skrepowany przechwałkami autorytarnego rodzica, lecz teraz pozwolił, by widzem owego monodramu był również jego przyjaciel, a to świadczyło o zaufaniu, jakim owego przyjaciela darzy. Wani rzadko się rumienił i rzadko popadał w zakłopotanie, nie licząc nieśmiałych mruknięć w towarzyskich kontaktach z damami czy chwil, w których przyznawał się do nieznamośności takiego czy innego drobiazgu. Nick wchłonął w siebie jego krótkie spojrzenie wraz z całym tajemnym ciepłem w nim zawartym.

– Nie, nie – powiedział Bertrand, marszcząc brodę, jak gdyby spotkał się z niezasłużoną krytyką. – Wani jest panem samego siebie, i to pod każdym względem. Na razie warzywa i owoce raczej go nie ciekawią. Nie ma w tym nic złego. – Rozłożył ręce. – Nie spieszy się też do ożenku ze swoją cudną jak diabli pannicą. Ale my czekamy cierpliwie, aż nadejdzie pełnia czasu, co, Wani? – Zaśmiał się, rozbawiony własną szczerością, chcąc pewnie złagodzić efekt tych słów, ale przeciwnie, tylko podkreślił ich wagę.

– Zdążymy jeszcze sporo zarobić – rzekł Wani. – Zobaczysz.

Bertrand posłał Nickowi konspiracyjne spojrzenie. – Zdradzić panu, Nick, jedną prostą regułę, która rządzi pieniędzmi? Otóż chodzi o...

Nick wolnym ruchem odłożył na stół serwetkę i odsuwając krzesło, mruknął: – Strasznie pana przepraszam... Muszę tylko... – Był ciekaw, czy takie zachowanie jest jeszcze bardziej niestosowne w Bejrucie niż tutaj.

– Co, u licha...? A, słaby pęcherz, tak? – stwierdził Bertrand, jakby przewidział tę sytuację. – Taki sam jak mój syn. – Nick był gotów przełknąć każdą insynuację, byle tylko pozwolono mu wyjść z jadalni. Podniósł się również Wani, który wyglądał na znużonego, i z pewnym zniecierpliwieniem rzucił:

– Ja cię zaprowadzę.

9

Rano przyszedł stroiciel, a po południu zjawiała się sama pianistka, mała Nina Cośtam-ova, jak określał ją Gerald, i ćwiczyła od drugiej do piątej; był to bardzo męczący dzień. Stroiciel miał na sobie rozpinany sweter i okazał się sadystą, który krytycznie ocenia stan fortepianu i narzeka na jego brzmienie, na mikroskopijne opóźnienie dźwięku i dzwonkowy pobrzęk, czyli na cechy nadające temu instrumentowi wyjątkowo czarowny charakter. („Wiem, że lubił na nim grać Liszt...” – podkreślała Rachel). Co jakiś czas porzucał niemiłosierne gamy na rzecz soczystych akordów i arpedżiów, dając się przy tym jak sfrustrowany wirtuoz, a to było jeszcze gorsze od samego strojenia. Również mała Nina doprowadzała wszystkich do szału urywkami z Schuberta i Chopina, które trwały na tyle długo, by chwycić za serce i rozkołysać duszę, lecz które raptownie się kończyły, a serce traciło wszelkie oparcie. I tak na okrągło, i tak w kółko. Nina miała duży temperament i zatrwającą lewą rękę; początek Chopinowskiego *Scherza nr 2* zagrała jak kurier zapuszczający silnik w motocyklu. Kiedy skończyła, Nick pomógł Elenie przynieść stare pozłacane krzesła z *trou de gloire*, aby rozstawić je potem w salonie. Swe położenie zmieniły również kanapy, schody przyozdobiono wysokimi kompozycjami z kwiatów i tak całe pomieszczenie przybrało niepokojący wyraz gotowości i oczekiwania. Nick musiał załatwić jeszcze jedną sprawę, to znaczy, zadzwonić do Ronniego, toteż z nerwową regularnością zerkał na wskazówki zegara, zbliżające się nieubłaganie do szóstej, jak gdyby on sam miał wystąpić tu z recitalem.

Wyszedł wreszcie i udał się na Ladbroke Grove, tam jednak obydwie budki stykały się ze sobą, a w jednej z nich stał podparty o ściankę facet, który z nikim nie rozmawiał, jakby właśnie czekał na Nicka, a który mógł wszak podsłuchać jego rozmowę. Poza tym dzieliła go zbyt mała odległość od domu, nie chciał zaś wciągać w to Geralda. Ruszył w dół wzgórza i znalazł się na ulicy bardziej sprzyjającej narkotykowej dilerce. Z budki telefonicznej na rogu wyłonił się gość o aparycji épuna, a Nick zajął jego miejsce przy

aparacie i już w zatechłej, na wpół wytłumionej kabinie sięgnął po kartkę z numerem; poczuł żal, że nie ma przy sobie choćby jednej kreski albo przynajmniej dżinu z tonikiem, bo to dodałoby mu odwagi. Wolałby, żeby z tą sprawą tradycyjnie uporał się Wani, mający do dyspozycji samochód z przenośnym telefonem. Odkąd dał mu pieniądze, kochanek lubił stawiać Nicka w obliczu takich czy innych wyzwań, którym sam podołałby znacznie szybciej. Twierdził, że nigdy nie korzystał z budki telefonicznej i nigdy nie jechał autobusem; to ostatnie, zaznaczył, jest pewnie przeżyciem dość makabrycznym. Zatem nigdy nie wdychał tego dusznego powietrza, nie czuł fetoru czarnego plastiku, wyschniętych szczyń, starego dymu, dyszącej w usta słuchawki...

– Tak?

– Halo? Czy to Ronnie?

– Tak.

– Cześć. Tu Nick. – Nick uśmiechnął się przynaglając do jakiejś czarnej plamy na ścianie budki. Było to jak pierwszy telefon do wypatrzonemu na imprezie przystojniaka, tyle że jeszcze bardziej przerażające. – Nie wiem, czy mnie pamiętasz... Jestem przyjacielem... hm... Antony'ego.

Ronnie namyślał się przez dłuższą chwilę, podczas gdy Nick zachęcająco dyszał do słuchawki. – Nie znam żadnego Antony'ego. Nie. Może chodzi ci o Andy'ego?

Nick zachichotał. – Wiesz... To ten gość z Libanu... z białym mercedesem... czasami przedstawia się jako Wani...

– No jasne! Wystarczy! Taaa... Ronnie... – powiedział Ronnie i zachichotał czule albo prze śmie wczó, tak że Nick nie wiedział przez chwilę, co ten człowiek naprawdę myśli o Wanim; w grę mogło wchodzić wszystko. – Ten gostek z przenośnym telefonem. Libańczyk, tak? Nie wiedziałem, że jest Libańczykiem.

– Wani? Wani urodził się w Bejrucie, ale do szkoły chodził tutaj i właściwie od dziesiątego roku życia mieszka w Londynie – wyjaśnił Nick, skuszony wtrąceniem dygresji do rozmowy, której przedmiot miał być zupełnie inny.

– Dobra... – rzucił Ronnie po chwili milczenia. – Zakładam, że chcesz się ze mną spotkać. W pewnej sprawie.

Jak ujął to Wani, na Ronniego zawsze można było liczyć, i fakt ten istotnie stanowił jego najlepszą cechę. Dostarczany przez niego towar był zawsze najwyższej jakości, sprzedawał go zresztą paru ludziom o znanych nazwiskach, o ile zaś cena, wynosząca sto

dwadzieścia funtów za gram, mogła nieco odstraszać, o tyle przy większej ilości dostawało się upust i za trzysta pięćdziesiąt funtów można było kupić ćwierć uncji, a to czyniło rzecz opłacalną. (Znajomość systemu metrycznego ograniczała się u Nicka do tej jednej wielkości: ćwierć uncji to siedem gramów). Wadą Ronniego okazała się natomiast jego dziwna opieszałość, która sprawiałaby wrażenie senności, gdyby nie wiązała się ze wzmożoną czujnością. Nigdy się nie spieszył, zawsze się spóźniał i miał osobliwie dziurawą pamięć. Wcześniej Nick widział się z nim tylko raz, gdy w jego czerwonej toyocie Wani finalizował jedną z transakcji. Ronnie był Jamajczykiem o cockneyowskim akcencie, długiej, ogolonej na łyso głowie i melancholijnym spojrzeniu. Mówił wtedy dość dużo o kłopotach z dziewczynami, lecz po to chyba jedynie, by rozwiać jakiegokolwiek wątpliwości. Być może za sprawą intymnego szeptu, a może dlatego, że dostarczał towar tak wytęskniony, Nick wybaczał mu wady i dostrzegał w nim nawet pewien urok.

Teraz nie czuł się już tak dobrze. Ronnie kazał mu zadzwonić dziesięć minut później; powtórzyła się wtedy prawie dosłownie ich poprzednia rozmowa, a gdy po dziesięciu minutach wykonał kolejny wyznaczony telefon, mógł wreszcie ruszyć w drogę. Po każdym odłożeniu słuchawki Nick kręcił się po okolicy i czuł się jak ewidentny przestępca tudzież potencjalna ofiara, trzymająca w kieszeni trzysta pięćdziesiąt funtów w przewiązanych gumką banknotach. Odniósł wrażenie, że cały ten teren jest pełen policyjnych radiowozów; przez kilka minut wysoko nad jego głową kołował helikopter. Po drodze zastanawiał się, jak wytłumaczy się z posiadanych pieniędzy, a potem pomyślał, że policja raczej poczeka, aż wsiądzie do toyoty Ronniego, i wtedy dopiero przystąpi do akcji. Zastanawiał się, czy Geraldowi uda się zablokować publikacje prasowe na ten temat i czy policja będzie w stanie Geralda w tę aferę zamieszać; to już było nie tylko wulgarne i niebezpieczne, bo gdyby wyszło na jaw, że w jego domu ktoś bierze narkotyki, Gerald mógł stracić mandat parlamentarny. I jaki wyrok mu wymierzą? Dziesięć lat? Jak dotąd niekarany... No i jak ten mały i ładny pedzio z oksfordzkim akcentem przetrwa odsiadkę za kratkami? Wszyscy dobiorą mu się do dupy. Widział już siebie, jak płacze w więziennej toalecie bez drzwi. Może jednak profesor Ettrick wstawi się za nim listownie, on albo ktoś z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – może Gerald nie zostawi go własnemu losowi! Był już na miejscu, u zbiegu ulic przy Chepstow Castle, o minutę lub dwie przed czasem. Usiadł przy jednym ze stolików przed nieczynnym pubem, odgrodzonym płachtami grubej folii, zza której przebijało słabe światło;

pracowała tam jeszcze ekipa remontowa, najęta przez nowego właściciela, i przerabiała kilka mniejszych pomieszczeń na jedno duże i niezbyt przytulne. Minęło dwanaście minut. Mężczyzna na przystanku popatrywał na Nicka dość podejrzanie i nie wsiadł do żadnego z autobusów. Ronnie poczynił sobie niefrasobliwie, jego telefon musiał być na podsłuchu, pewnie szykowano obławę i wszyscy tu na ulicy – ten niewidomy, ten roznosiciel pizzy, ta pani z psem – okazały się już za chwilę tajniakami. Gdy toyota celica pojawiła się wreszcie, Nick podszedł do niej wolnym krokiem i wsiadł do środka; przejechali kawałek i skręcili w następną ulicę.

– Jak leci, Rick? – zapytał Ronnie, nie poruszając swą smutną głową, lecz wodząc spojrzeniem w prawo i w lewo, zerkając też do lusterka. Nick roześmiał się i odchrząknął. – Świetnie, dzięki – powiedział. Siedzieli, niemal półleżąc, w fotelach toyoty; długonogi Ronnie z łokciami na kolanach i dłońmi na ramieniu kierownicy wyglądał jak chłopiec prowadzący gokarta. – No to super – stwierdził Ronnie. – A co u Ronniego?

Nick znowu zaśmiał się nerwowo. – Wszystko gra. Jest bardzo zajęty. – Ronnie żył w cudownym świecie niedomówień, który zapewne mu odpowiadał; klientów określał ksywkami albo przekręcał ich imiona, wszystko taktownie i bezpiecznie. Znów zerknął do lusterka. Jego lewa dłoń zniknęła w kieszeni kamizelki, po czym wyciągnęła się szybko w stronę Nicka z ukrytą w niej paczuszką. Nick był na to gotowy, lecz musiał jeszcze wydobyć z kieszeni zwitek banknotów. Ronnie przyspieszył na żółtym, a Nick uzmysłowił sobie, że jadąc bez pasów, łamie przepisy drogowe. Jego towarzysz też pasów nie zapiął, bo w tym światku nie było to przyjęte, toteż pomyślał, że jeśli zapnie je teraz, diler poczuje się urażony. Ich eskapada już się zresztą kończyła i wypadek był mało prawdopodobny. Poczulby się jednak dość głupio, gdyby policja kazała im się zatrzymać za takie drobne wykroczenie, a potem przepytала ich, przeszukała... Trącił łokciem Ronniego, ten zaś odebrał od niego pieniądze i w mgnieniu oka je schował, nie odrywając wzroku od przedniej szyby.

Zatrzymali się za kościołem u wylotu Ladbroke Grove, w cienistym półksiężycu platanów. – Dzięki stokrotnie – rzucił Nick. Chciał jak najprędzej opuścić samochód, lecz byłoby to zbyt obcesowe. Ronnie patrzył przed siebie, zamyślony.

– To stary kościółek – powiedział. – Bardzo stary.

– Tak... Chyba z czasów wiktoriańskich, prawda? – odrzekł Nick, który w istocie wiedział o tym kościele wszystko.

– Naprawdę? – Ronnie kiwnął głową. – Tyle tu staroci.

Nick nie miał pojęcia, do czego zmierza ta rozmowa. – Właściwie nie jest taki stary – uściślił. – Połowa dziewiętnastego wieku? – Wiedział, że nie każdy posiada taki jak on zmysł historyczny, że nie każdy postrzega stulecia niczym kolejne pokoje w amfiladzie. Przez krótką chwilę przywoływał z pamięci kilka znanych mu faktów: wystrój ołtarza stworzył Aston Webb, a całość wybudowano na terenie niegdysiejszego toru wyścigów konnych. Na ulicy pełnej stiuków kościół ten stanowił istną osobliwość architektoniczną.

– Mówię ci, stary, ja się tu, kurwa, kiedyś przeniosę – mruknął stanowczo Ronnie.

– Powinieneś – odparł Nick. Nie miał pewności, czy przytakuje dla świętego spokoju, czy może potwierdza tym słowem, że zrozumiał ironiczny dowcip diler. Tak czy inaczej, ekscytowała go perspektywa mieszkania z nim po sąsiedzku, Ronnie był bowiem niczego sobie na swój widmowo nieprzytomny sposób.

– Mówię ci, stary, ucieknę od baby. – Pokręcił głową i zaśmiał się jak człowiek niemający już złudzeń. – Mam nadzieję, że ty, Rick, z babami dobrze se radzisz.

– Nie... To znaczy... Nie narzekam... – odrzekł Nick. – A u ciebie jest aż tak fatalnie?

– Mówię ci, stary...

Ronnie nie należał do osobników bezproblemowych, a jego fach mógł rzeczywiście zniechęcić wiele dziewczyn. Nick miał ochotę pochylić się i wyciągnąć jego długiego zapewne, pięknego penisa, aby pocieszyć go czynem jakże dla mężczyzn oczywistym – tutaj, w tym samochodzie, pod chybotliwym cieniem na przedniej szybie wozu. Ale Ronnie musiał już jechać i wyciągnął na pożegnanie zgiętą w łokciu rękę.

Po opuszczeniu samochodu Nick musiał przejść jeszcze dwieście metrów dzielących go od domu Feddenów. Na ulicy wróciło poczucie zagrożenia; powracający z pracy ludzie patrzyli na niego ze zmarszczonymi brwiami i drwiącymi uśmiechami, ponieważ musieli dostrzec tę małą paczuszkę, ten jakże rażący błąd, ten wieloletni wyrok, ściśnięty kurczowo w tkwiącej w kieszeni dłoni, mogący przy najmniejszych oznakach niebezpieczeństwa wylądować w pobliskim rynsztoku. Gdy jednak wszedł na stopnie przed domem, poczuł, jak wzbiera w nim ekstatyczna świadomość, że wszystko uszło mu na sucho. Nikt rzecz jasna niczego nie widział, nie było się czego obawiać; po prostu kolejny anonimowy samochód przejechał ulicą i zniknął. Narastająca fala przyjemności niecierpliwie czekała na kulminację. Nick przebiegł przez hol i popędził schodami na

górze, słysząc dobiegające już z salonu głosy, szczebiotliwe bądź tubalne komunały pierwszych przybyłych gości; wspiał się szybko po dobrze mu znanych trzeszczących schodach i wparował wreszcie do swego cichego rozgrzanego pokoju na poddaszu, który powitał go śpiewem ptaków zza okna oraz odbiciem łóżka w lustrze na drzwiach szafy. Zamknął drzwi, przekręcił klucz w zamku i w ciągu pięciu minut, bez przerwy się uśmiechając, zmienił koszulę, założył spinki do mankietów, zawiązał krawat i wciągnął spodnie od garnituru; zdążył jeszcze w tym czasie wysypać próbkę świeżego proszku, rozdrobnić go, wciągnąć, resztę ukryć w biurku, rozwinąć banknot, zwinąć go w drugą stronę, wytrzeć palcem biurko i wytrzeć palec na dziąsłach. Potem wrzucił na siebie marynarkę, zawiązał buty, zbiegł na dół i wdał się w błyskotliwą rozmowę z Maurice'em Tipperem o międzynarodowych rozgrywkach rugby.

Nick siedział na końcu rzędu, niczym odźwierny albo bileter, i spoglądał na podest pierwszego piętra, gdzie stała mała Nina Glaserova. Długie rude włosy zaplotła w warkocz, który zwisał jej teraz na plecach. Stała i patrzyła, nie na publiczność wszakże, tylko w jeden z jasnych punktów w ciemnym dębowym progu. Jej oczy zdawały się przewiercać go na wylot, jak gdyby Chopin, Schubert i Beethoven czekali już po drugiej stronie, aż pianistka odda im wreszcie sprawiedliwość. Słuchała wprowadzenia Geralda – ojciec znany dysydent... więziony... zakaz wyjazdu na stypendium... – jak opowieści o kimś innym; może zresztą wiedziała, że wyraz „dysydent” nie jest w ustach Geralda określeniem jednoznacznie pochlebnym. Była też mowa o wolności artystycznej, w które to słowa prelegent również nie umiał wlać odrobiny sympatii, i padł jakiś niezrozumiały dla Niny żart; dopiero wtedy powiodła wzrokiem po salonie, po rzędach roześmianych ludzi, ludzi pewnie bardzo znaczących, których miała za moment oczarować. Kiedy rozległy się oklaski, Nick dał jej zachęcający znak głową, ona zaś po chwili wahania przemknęła między rzędami gości z zaciętą miną porzuconego dziecka; kilka osób westchnęło z rozczuleniem, co zabrzmiało jak cichy przedwczesny aplauz. Następnie ukloniła się zdawkowo, usiadła przy fortepianie i od razu ryknął motor Chopinowskiego scherza, niespodziewanie w tym kontekście zabawny i ekscytujący zarazem.

Salon wypełniało mniej więcej pięćdziesiąt osób, rekrutujących się spośród rodziny, przyjaciół i znajomych. Nina Glaserova stanowiła tu obcy element, który Gerald prezentował im teraz tyleż z pobudek artystycznych, co przez wzgląd na czynniki

polityczne. Liczył, że ta impreza przysporzy mu chwały, choć sam zbytnio się nie wysiłał. Siedzący przy Nicku wąskousty urzędnik z kancelarii rządowej sięgnął po kartkę z programem, jak gdyby muzyka zaskoczyła go niemile; jego krzesło zatrzęszczało, a papier zaszeleścił. Paru innych słuchaczy otwarło z lekkim trzaskiem futerały do okularów, starając się nie uronić ani jednej nuty z rozdygotanej fali dźwięków. Wszystko potoczyło się zbyt gwałtownie i było stanowczo zbyt poważne; fortepian drżał, pulsowała również podłoga, a parę twarzy zdawało się mówić bezgłośnie, że taki hałas w pomieszczeniu zamkniętym nie mieści się w granicach dobrego smaku.

Na skraju pierwszego, wygiętego w łuk rzędu siedziała lady Partridge; obok niej spoczywał Bertrand Ouardi, dalej zaś jego żona i Want, którego wyraźny profil odcinał się od uniesionego wieka fortepianu. Za nimi widać było Catherine, opartą o ramię swego chłopaka Jaspera, na którego z drugiej strony napierał niemalże Polly Tompkins. Temu ostatniemu towarzyszyła Morgan, młoda, zimna jak stal kobieta z torysowskiej centrali. Aby w ogóle dojrzeć pianistkę, Nick musiał ciągle wyginać szyję, ponieważ Ninę zasłaniała mu wielgachna głowa wierzącego się wciąż na krześle Normana Kenta, którego wrażliwość na muzykę dorównywała przewrażliwieniu na punkcie konserwatystów. Zresztą już sam postrzępiony kołnierzyk jego dżinsowej kurtki wyróżniał się bardzo na tle eleganckich koszul i garniturów. Obok niego siedziała Penny, wtulona w ramię ojca, by uspokoić go i okazać wdzięczność za przybycie na koncert. Nick zastanawiał się, co Norman może myśleć o Ninie i co on sam o niej myśli; był jeszcze zbyt oszołomiony bezlitosnym atakiem dźwięków, by orzec, ile warte są jej umiejętności. Znowu, jak na początku scherza, rozległ się złowieszczy grzmot, ów śmiały i precyzyjny skok po klawiszach. Nina musiała przejść rygorystyczne szkolenie i pod tym względem przypominała małe bezwzględne gimnastyczki zza żelaznej kurtyny, równie jak ona giętkie i zwinne. W przepojonej smutkiem i zwątpieniem części środkowej przyspieszała stopniowo, aż w końcu pędziła niemalże na złamanie karku. Zamierzone efekty podkreślała żywą mimiką, która stawiała pod znakiem zapytania jej rozumienie utworu. Przygotowując kartkę z programem koncertu, Nick wyszperał kilka cytatów z okładek starych płyt, chcąc nadać swemu dziełu znamiona profesjonalizmu; zamieścił tam między innymi słowa Schumanna, który uznał, że *Scherzo b-moll* „jest przepełnione czułością, śmiałością, miłością i pogardą”. Nick powtarzał w myślach te słowa, wpatrując się ponad rzędami gości w głowę swego kochanka.

Kiedy Chopin dobiegł końca, Nina ukloniła się i błyskawicznie wróciła na piętro, gdzie stała potem jak ktoś gotów skoczyć w bezdenną otchłań, zbyt młoda i dumna, by przejąć się oklaskami, albo po prostu wobec nich bezradna. Gerald klaskał na swój donośny, rytmiczny, dudniący sposób, parę osób podniosło się z miejsc, a urzędnik z kancelarii rządowej sprawdzał w programie kolejny punkt porządku dziennego. – Nie, ten weekend spędzamy niestety w Badminton – mówiła siedząca za Nickiem damulka.

Potem przyszedł czas na Schuberta *impromptu c-moll* i rozlewne *Es-dur*, wymagające od pianisty nieskazitelnie miarowego uderzenia. Po południu Nina przegrywała początek tej kompozycji co najmniej dziesięć razy, aż Nick zaczął w duchu na nią krzyczeć, by wreszcie zagrała rzecz do końca. Uczyniła to teraz, wpatrując się we własne dłonie, które uwijały się po klawiaturze niby zdumiewający mechanizm, nakręcony uprzednio, wprawiony w doskonale jednostajny ruch i wypuszczający z siebie srebrzysty potok dźwięków. Nina starała się robić wrażenie, że gra ten utwór jak zwykłą wprawkę, lecz w wyćwiczonym uchu *impromptu* tętniło życiem, z całym jego rozmachem i ulotnością, a od modulacji aż kręciło się w głowie. Nick uznał jednak, że część środkową w tonacji *b-moll* zagrała nazbyt gwałtownie, naruszając niestety wizjonerską spoistość dzieła.

Uświadomił sobie, że patrzy na matkę Geralda i ojca Waniego, którzy razem tworzyli zabawną parę. Bertrand, odziany w jasny garnitur, siedział cicho i nieruchomo przez szacunek dla nużącej etykiety koncertowej, a o jego zniecierpliwieniu świadczyły jedynie drgnięcia cienkiego czarnego wąsika oraz usta, zaciskające się regularnie w szeregu bezwiednych pocałunków. Sąsiadująca z nim lady Partridge siedziała z lekko zadartą głową, a maska z pudru na twarzy sprawiała, że można by wziąć ją za kogoś, kto wraca z wakacji na nartach. Ona też wydawała się nieobecna; co pewien czas zerkała na Bertranda i jego bezbarwnie ubraną małżonkę. Nick wiedział, że towarzystwo Arabusów, by użyć jej określenia, działa na nią odpychająco, lecz jednocześnie intrygowała ją chyba bliskość tak ogromnej fortuny.

Wcześniej postanowiono, że koncert odbędzie się bez antraktów, więc tuż po Schubercie Gerald wstał z miejsca i swoim pogodnie przenikliwym głosem, głosem pierwszego wśród równych, oświadczył, że goście wysłuchają obecnie sonaty Beethovena *Les Adieux* i że mogą liczyć na kolejne drinki oraz naprawdę smacznego łososia, co również spotkało się z należyty aplauzem. Gdy Nina wróciła do instrumentu, wyglądała

na upokorzoną i w dwójnasób zawziętą, toteż Nick klaskał jeszcze żarliwiej niż poprzednio. A gdy usłyszał pierwszą serię opadających dźwięków, „Le-be-wohl”, poczuł wręcz ciarki na plecach. Urzędnik z kancelarii spoglądał na niego podejrzliwie; dla Nicka jednak słuchanie muzyki, wspaniałej muzyki, dającej wszak wyraz najgłębszym potrzebom człowieka, i to tutaj, w tym domu, gdzie podłoga drgała już od stanowczego *Allegro*, było naprawdę doświadczeniem wstrząsającym, a zarazem podnosiło na duchu – ta muzyka przedstawiała życie i wyjaśniała jego istotę, by potem wzbudzić w słuchaczu chęć ponowienia tych samych pytań. Nick wierzył w to niezachwianie, jeżeli wierzył w cokolwiek. Oczywiście nie wszyscy podzielali jego zachwyty; na przykład lady Kimbolton, niestrudzenie zbierająca datki na rzecz partii konserwatywnej, ze zmarszczonym czołem sprawdzała coś w terminarzu, a gdy pobrzękując bransoletkami, skierowała wreszcie niezbyt baczną uwagę na występ, byt to z jej strony jedynie przejaw dobrych manier, typowych dla klasy rządzącej; zachowywała się jak na nabożeństwie żałobnym za niekochanego współpracownika, nabożeństwie pełnym nieszczerzej ekspresji, krańcowo odmiennym od tego, co ucieleśniał Beethoven. Z kolei Gerald, siedzący w tym samym rzędzie, co Nick, tylko na jego drugim krańcu, szczerze kochał muzykę i przy paru fragmentach niezbyt rytmicznie kiwał głową, jakby zaczynał rozumieć, o co chodzi, ale Nick wiedział, że później usłyszy od niego, iż utwór był „bardzo wzniosły” albo że był „bardzo fajny”. Tym ostatnim wyrażeniem określał Gerald nawet takiego *Parsifala*; Beethoven więc powinien być „bardzo fajny”. Pozostała część audytorium sprawiała wrażenie wzruszonej recitalem – w końcu był to Beethoven, a ta nietrudna do zrozumienia kompozycja, traktująca o odejściu, nieobecności i powrocie, nie mogła nie działać na emocje słuchaczy.

Najcudowniejsza była „nieobecność”, a mała Nina, która naprawdę była mała, wydawała się rosnać w oczach, grając tę część. Było to idealne *andante espressivo*, sunące wolno przed siebie, grane przez Ninę bez nadmiernego podkreślania emocji; mało tego, pianistka starała się wręcz własne emocje powściągnąć i zdać się na mądrość kompozytora, tak że towarzyszące nieobecności apatia, samotna zaduma i dławione zrywy tęsknoty znajdowały adekwatny wyraz w jej grze. Nick znowu przeniósł wzrok na srebrzący się profil Waniego, na ciemne loki za jego uchem; był ciekaw, czy on również jest wzruszony, a jeśli tak, to w jaki sposób. Widział co prawda jego ucho, ale nie wiedział, co ono słyszy. W przypadku Waniego trudno było odróżnić niepodzielną

koncentrację od zupełnego roztargnienia. Nick skupił na nim całą swoją uwagę, przez co wszystko inne rozmyło się nagle i tylko Wani, a raczej widoczny jego wycinek, pulsował lekko na tle błyszczącego, wyciętego w es wieka fortepianu. Czuł, że przenosi się w inny wymiar, wymiar piękny, ryzykowny i niebezpieczny, w przestrzeń stworzoną i otwartą dlań przez muzykę, ale muzyką niebędącą. Ogarnął go nastrój typowy dla niespokojnych snów, w których nie ma nic pewnego i które po przebudzeniu opierają się wszelkim wysiłkom pamięci. Na czym polegało jego porozumienie z Wanim? Na pogoni za miłością i ćwiczeniu się w obojętności? Tak bardzo kryli się z łączącą ich więzią, że czasem niełatwo byto uwierzyć, iż ona naprawdę istnieje. Zastanawiał się, czy ktoś wie, czy ktokolwiek żywi najmniejsze podejrzenia, choćby sam je bezzwłocznie odrzucał jako zupełnie absurdalne. Na jakiej podstawie można by się zresztą domyślić? Nick przeczuwał, że potajemny romans objawia się innym przez mimowolnie okazywaną czułość lub szacunek, przez swoiste ignorowanie się kochanków... Był też ciekaw, czy kiedykolwiek rzecz wyjdzie na jaw, czy może zabiorą ten sekret do grobu. Przez chwilę nie mógł wykonać żadnego ruchu, jak gdyby obraz Waniego wprowadził go w stan hipnozy. A potem wstrząsnął nim nagły dreszcz i czar prysnął.

Dobiegł go wtedy urywany oddech szlochającego Normana Kenta, który wzruszył się aż nazbyt demonstracyjnie i który teraz zdjął okulary, by otrzeć twarz. Nick podziwiał jednak tę manifestację niezłomnej wrażliwości i poczuł się głupio, bo sam często płakał przy muzyce, ale tym razem nie zdołał uronić ani jednej łzy. Penny, nawykła do takich kłopotliwych sytuacji, położyła dłoń na ramieniu ojca i zarumieniła się, co przychodziło jej bez trudu. A potem muzyka zawróciła niejako i rozpoczął się porywający finał. Oznaczenie tempa tej części, owo cudowne *vivacissimamente*, podziało na pianistkę jak zielone światło na skrzyżowaniu i sonata rozbłysła serią opętańczych cmoknięć i tupnięć. Nickowi wydawało się, że widzi, jak Beethoven, a raczej sama Nina, chodzi tam i z powrotem po jakiejś bardzo akustycznej sali o drewnianej posadzce, niecierpliwie czekając na radosny powrót. Norman jęknął z melancholijnej rozkoszy, Penny zaś odwróciła się, niby oswobodzona przez ten pomyślny obrót spraw, i dyskretnie, acz dalej zaczerwieniona, spojrzała na Geralda, który pochwycił jej wzrok, spuścił oczy i również zarumienił się odrobinę.

Po sonacie rozległy się burzliwe oklaski, jeszcze bardziej entuzjastyczne, bo wzmocnione świadomością, że koncert już się zakończył, że wszyscy spisali się należycie i

czeka ich teraz nagroda w postaci obiecanych drinków. Gdy Nina wróciła, Norman klaskał z rękami nad głową, Catherine rzuciła ekstatyczne „brawo”, a Jasper powtórzył to za nią i uśmiechnął się szeroko jak uczeń zadowolony z własnego żartu. Przez kilka sekund Nina stała nieruchomo, po czym bez słowa zasiadła do fortepianu i odegrała *Preludium cis-moll* Rachmaninowa. Był to utwór raczej dobrze znany starszym osobom na widowni i choć nie miały one specjalnej ochoty usłyszeć go akurat w tej chwili, nie okazały bynajmniej zniecierpliwienia i obdarzyły się wzajem roztargnionymi uśmiechami. Potem znów rozległ się długi i stanowczy aplauz, albowiem preludium nie należało do najkrótszych, a paru gości obejrzało się na stolik z drinkami i zaczęło rozmawiać; i wtedy wróciła Nina, by zagrać *Toccatę i fugę d-moll* Bacha w słynnej transkrypcji Busoniego. Lady Kimbolton uniosła rękę i spojrzała na zegarek jak na wpół ślepa, a kilka osób zaczęło wachlować się kartkami z programem. Zachowanie części słuchaczy przybrało wręcz formę buntu, który wyrażał się również pobrzękiwaniem bransoletek. Gdy Nina zjawiała się ponownie, Gerald poniósł się z krzesła, aby wydając z siebie parę przeciągłych samogłosek, podjąć próbę zdyscyplinowania publiki; Nina jednakże ponownie zasiadła do instrumentu i zagrała *Taniec z szablami* Chaczaturiana. Nickowi wydawało się to w pełni naturalne, bo powiedziano jej zapewne, by przygotowała trzy utwory na bis; istniała wszakże możliwość, że miała w zanadrzu czwarty, toteż na znak od Geralda Nick wyszedł za pianistką, pogratulował jej i podziękował za występ, ona zaś stała jeszcze przez chwilę na podeście, wpatrzona w majestatyczne zakrzywienie schodów. Aplauz ucichł dość szybko, a zastąpił go chór łakomych głosów, cieszących się z rozpoczęcia imprezy.

– Witaj, Judy!

– Mój drogi... – Lady Partridge stała sztywno, gdy Nick całował ją w różowy policzek. Nigdy nie wiedział, czy taki pocałunek przyjmuje jako należny jej hołd, czy może stanowi on przywilej, udzielany tylko wybranym. Uśmiechnął się do niej szeroko, jak gdyby oboje się tutaj dobrze bawili. – Aleś ty dzisiaj radosny! – stwierdziła.

Nick zerknął do lustra, w którym istotnie oczy świeciły mu się pogodnie, sycąc się znanym tylko sobie sekretem. – Bardzo udany recital, prawda?

– Podobał ci się? – spytała lady Partridge i szybko, nie chcąc wdawać się w spór, dodała: – Mnie trafił do przekonania ostatni utwór. Chyba już go kiedyś słyszałam.

– A tak, Chaczaturian.

Spojrzała na niego oschle. – Był dość rytmiczny.

– Hm... Bez wątpienia. – Nick zaśmiał się cicho, szczerze rozbawiony, a lady Partridge uśmiechnęła się chytrze, jakby była bardziej pojętna, niż myślała.

Mijała ich właśnie kelnerka i oboje poczęstowali się kolejną porcją szampana. – Tylu tu niezwykłych ludzi... – powiedziała lady Partridge. Na ogół dobrze się czuła w politycznym świecie Geralda i z kurtuazją odnosiła się do jego partyjnych kompanów. Przenikał ją silny dreszcz emocji, gdy porzuciwszy monotonną gadaninę o szczegółach swej działalności, wypełniającą niestety większość ich spotkań towarzyskich, prezentowali jej ogólne kierunki polityki rządu: nieodzowna konieczność zmniejszenia produkcji, ograniczenie imigracji, racjonalizacja systemu opieki zdrowotnej (ileż tam jest nadużyć i jakie straty dla budżetu!) tudzież potrzeba prywatyzacji usług publicznych. Ich wypowiedzi brzmiały jak próba generalna przed wystąpieniem telewizyjnym i nie zostawiały miejsca na wątpiwości.

– To jest lord Toft, prawda? – zapytał Nick. – To on odpowiada za budowę nowych dróg...

– Bernie Toft nie jest akurat szczególnie niezwykły – odparła lady Partridge. No tak, przecież budową dróg zajmował się również sir Jack. – Nie rozumiem, po co Gerald zaprosił tego okropnego artystę.

– Chodzi o Normana? Kiepski z niego malarz, prawda?

– To zagorzały socjalista – wyjaśniła lady.

Oboje przenieśli wzrok na Normana Kenta, który stał z ręką na fortepianie, świadom zapewne, że nieco dalej wisi namalowany przezeń portret Toby'ego, będący w tej chwili jednym z elementów jego własnego wizerunku. Większość obecnych mijała Normana z zadumanyim uśmiechem, udając, że szuka kogoś innego. Rozmawiali z nim jednak Catherine i Jasper. – Oczywiście, moja droga, musisz malować, malować i jeszcze raz malować – mówił Norman podniesionym z emocji głosem, potrząsając ramieniem Catherine.

– Wiesz może, kim jest młodzieniec, który rozmawia z moją wnuczką? – zapytała lady Partridge.

– Tak, to Jasper, jej nowy chłopak.

– A! – Lady kiwnęła głową, pozbawiona już złudzeń, ale dodała: – Przynajmniej wygląda ciut lepiej niż poprzedni.

– Tak, wygląda całkiem nieźle...

– On chyba nawet ma własne buty.

– Tak, to zdumiewające! – Nick uświadomił sobie, że jeśli chodzi o niego, to Jaspera najlepiej związać i przez bite dwie godziny trzymać na łóżku, twarzą w dół. – Jest pośrednikiem w obrocie nieruchomościami.

– Bardzo przystojny – ciągnęła lady Partridge na swój specyficznym pożądlwym sposób. – Podejrzewam, że sprzedał już masę domów.

Podeszła do nich Trudi Titchfield, krzywiąc się jak osoba, której, jej zdaniem, nikt tutaj nie rozpoznaje. – Wspaniałe przyjęcie – powiedziała. – Wspaniały dom na przyjęcia. My mamy tylko parterowy domek z ogrodem. Ogród jest bardzo przydatny, ale pokoje są dosyć niskie.

– To prawda – potwierdziła lady Partridge.

Trudi zniżyła głos. – Niedługo odbędzie się tu rzecz jasna przyjęcie bardzo szczególne. Srebrne gody, nieprawdaż...? Podobno zjawi się Thatcherowa...

– Królowa raczej się nie pojawi – powiedziała lady Partridge.

– Nie, nie królowa. Mówię o pani premier – szepnęła Trudi zaafetowana. – Królowa? Nie, nie...

Lady Partridge zamrugła wybornie. – Szykują to po cichutku.

Przechodzący obok Sam Zeman rzucił: – Dzięki tobie zostanę bogaczem, mój drogi! – Brzmiało to zabawnie i uroczo, lecz Sam nie zatrzymał się, by wyjaśnić znaczenie tych słów. Być może komunikował coś biznesowym szyfrem, ale Nick miał wrażenie, że tak czy owak spotkanie na siłowni i w restauracji wyczerpało rezerwy ich przyjaźni i że łącząca ich zażyłość definitywnie dobiegła końca.

Przy stole z drinkami zgromadził się tłumek sarkastycznych pochlebców i uprzejmych oszczerców. Mała Nina konwersowała tam z gośćmi, którzy na ogół zdobywali się na krótki komplement pod jej adresem, połączony z pytaniem, gdzie też nauczyła się tak grać. Nina mówiła prostą, bezbarwną angielszczyzną, Anglicy zaś zwracali się do niej w taki sam sposób, tyle że głośniejszym. – Więc pani o j c i e c jest w w i ę z i e n i u ? Jakże pani w s p ó ł c z u j ę ! – Stojąca przed Nickiem lady Kimbolton witała się właśnie z Tipperami. Na imię miała Dolly i tak też ją tutaj tytułowano.

– Dobry wieczór, Dolly – powiedział sir Maurice, zginając się lekko w ironicznym pokłonie.

– Dobry wieczór – przywitała się również Sally Tipper. – No, bardzo miły koncertik...

– Tak, wzruszający – odparła lady Kimbolton. – Widzieliście, jak sędzę, dzisiejszy „Telegraph”...?

– Owszem, widziałem – rzekł sir Maurice. – Moje gratulacje!

– Lubię takie domowe koncerty – powiedziała lady Tipper. – Zupełnie jak w czasach Schuberta i Beethovena.

– To prawda... – Praktyczna lady Kimbolton, chcąc sprawdzić, co jest na stole, kierowała swe kwadratowe oblicze to w jedną, to w drugą stronę.

– Nigel jest pewnie wzniebowzięty – zauważył sir Maurice.

– Ostatnio często chodzimy z Maurice’em na domowe koncerty u przyjaciół; to naprawdę znakomity pomysł – oznajmiła lady Tipper, znana z ciągotek artystycznych.

– To prawda. Nastąpiła jakaś moda na koncerty – powiedziała lady Kimbolton. – To już drugi, na jaki trafiłam w tym roku.

– Podobno Lionel Kessler ściągnął do Hawkeswood cudowny Medici Quartet, gdy podejmował tam Giscarda d’Estaing.

– Sędzę, że właśnie od niego Gerald zaczerpnął ten pomysł – wtrącił się Nick, kiedy przysunęli się już do stołu.

– O, witamy...

– Witaj, Dolly – powiedział Nick. Wiedział, że mógłby zabawić towarzystwo opowieścią o wzmagającej się namiętności Geralda do domowych koncertów. Sięgnęła ona zenitu, gdy Denis Beckwith, stary przystojny jaszczur o radykalnie prawicowych poglądach, cieszący się w tym okresie szczególnym poważaniem, ściągnął na swoje osiemdziesiąte piąte urodziny samą Kiri Te Kanawa, aby śpiewała dla gości Mozarta i Straussa. Nick wolał wszakże zachować ostrożność. – Wiecie, że Gerald uwielbia rywalizację.

– Wszyscy jesteśmy za wolną konkurencją! – oświadczyła Dolly Kimbolton, domagając się gestem, by kelner wręczył jej talerz z porcją łososia.

– Wybornie, wybornie,.. – Z tymi słowami Gerald zaszedł ich od tyłu i włączył się do rozmowy.

– To był naprawdę znakomity pomysł: zapoznać nas z nową artystką – powiedziała Sally Tipper.

– Podobał mi się ostatni utwór – rzekł Maurice Tipper.

Gerald rozglądał się za Niną. – Stwierdziliśmy, że zamiast zapraszać jakąś sławę...

Ale po świeżą bułeczkę przybiegła właśnie damulka, która musiała wyjechać do Badminton. – i dobrze pan zrobił – powiedziała. – Słyszałam, że na swoje letnie party Michael zaangażował Orkiestrę Filharmonii Królewskiej!

– Michael...? – zapytał Gerald.

– O... Heseltine¹⁴. Tak, tak. Tak, tak. – Cofając się od stołu, skłoniła się w nieszczerých przeprosinach. – Tak, tak. Całą tę olśniewającą orkiestrę. Ileż to musi kosztować! No, ale oni mieli dobry rok – dodała lekko prowokacyjnie.

– Myślałem, że my mieliśmy dobry rok – mruknął Gerald.

Przez cały wieczór Nick starał się nie zetknąć z Bertrandem Ouardim, lecz gdy odwrócił się od stołu, ujrzał go i usłyszał: – Kogóż ja widzę! Mój przyjaciel esteta! – Nick poczuł się jak rozpoznany przez gościa kelner lub szofer. A jednak rzucił ożywionym głosem:

– Witam! Co nowego?

Nie reagując, Bertrand dał mu pewnie do zrozumienia, że takie pytanie jest zbyt błahe albo po prostu nie na miejscu. Rozglądał się po salonie, w którym ludzie gromadzili się już na kanapach i przy stolikach, dopiero co tutaj wniesionych i przykrywanych właśnie białymi obrusami. Nie wiedział, gdzie pośród tych porykujących angielskich snobów może być jego miejsce; zachowywał się dumnie i ostrożnie zarazem. – Gorąco jak diabli, no nie? – zwrócił się do Nicka. – Chodź pan ze mną; pogadamy. – I oglądając się niecierpliwie przez ramię, znów potraktował Nicka jak kelnera i powiódł go między stolikami, lecz nie na ogromny chłodny balkon z tyłu domu, tylko do wnęki przy frontowym oknie, skąd mieli widok na ulicę. Usadowiwszy się tam, kolano przy kolanie, częściowo odizolowani od reszty przez odsunięte zasłony, znaleźli się w niepokojąco kameralnej atmosferze. – Gorąco jak diabli – powtórzył Bertrand. – Dzięki Bogu w mojej

¹⁴ Michael Heseltine – minister w rządzie Margaret Thatcher, W roku 1986, przeciwny polityce pani premier, podał się do dymisji.

pioruńskiej maszynie jest klimatyzacja. – Ruchem głowy wskazał kasztanowego rolls-royce'a silver shadow, stojącego na dole przy krawężniku.

– Aha... – Nick absolutnie nie był w stanie skomentować tego aktu bezwstydnego samochwalstwa. Przez tylną szybę dostrzegł białe poduszki ułożone w równym rzędku; nie widział wprawdzie tablicy rejestracyjnej, lecz na myśl, że ją również rozpoczyna zabawny skrót, uśmiechnął się gorzko do siebie, po czym przekuł ten uśmiech w słaby grymas podziwu. Jedną z fobii, na które cierpiała Catherine, był strach przed kolorem kasztanowym; przerastał on jej awersję do słów kończących się na – izm, a może zresztą również ją wzmagał. Teraz wreszcie Nick rozumiał przyjaciółkę.

Bertrand zadał mu kilka pytań na temat recitalu, odpowiedzi zaś słuchał jak uczestnik konferencji, na której przedstawia się nader użyteczne informacje. – Zdumiewająca technika – powtórzył za rozmówcą. – Ale jest jeszcze bardzo młoda. – Pokręcił głową i ostrożnie niczym chirurg uciął kawałek łososia. Nick wolał nie odgrywać w stu procentach roli estety, i to pomimo wciągnięcia wcześniej prochów, mimo dobrej kondycji psychicznej; bał się być w pełni sobą, bo ton jego głosu mógł okazać się zbyt intymny, zbyt ekspresyjny. Wpływ Bertranda okazał się zresztą w pewnym sensie równie silny, jak oddziaływanie kokainy, i Nick stwierdził, że odpowiada mu trochę opryskliwie. Sam, swoją drogą, był ciekaw, ile są warte umiejętności Niny. Wszystkie oceny brały poprawkę na jej młody wiek. Postanowił wcielić się w Dolly Kimbolton i powiedział: – Beethoven był wzruszający – lecz Bertrand nie uznał tego wyrażenia za przydatne. Spojrzał na Nicka, mrużąc oczy, i rzekł: – Ostatni utwór był dobry jak diabli.

Nick powiódł wzrokiem po salonie i ujrzał Waniego, który siedział przy jednym ze stolików ze swoją matką i jakąś strapioną damą w średnim wieku i o długich rzęsach. Wpatrując się bez wyrazu, acz kokieteryjnie w kobietę, Wani naprawdę umiał stworzyć mylne wrażenie. Nie odezwał się jeszcze do Nicka; jedynie raz, zajmując miejsce przed koncertem, kiwnął do niego głową i westchnął, jak gdyby mówił: – Ach, te tłumy, te obowiązki. – Jeżeli teraz widok jego ojca i kochanka sam na sam wzbudził w nim jakikolwiek niepokój, zachował się rozsądnie i niczego po sobie nie pokazał. – Proszę bardzo, mój syn – rzekł Bertrand. – Z kimże on tak flirtuje?

Nick roześmiał się swobodnie i odparł: – Nie mam pojęcia. Pewnie z małżonką któregoś z posłów.

– On by tylko ciągle flirtował, nic więcej! – rzucił Bertrand, drwiąco trzepocząc rzęsami. Ten elegancki, wytworny dżentelmen wydał się nagle prawie że zniewieściały. Nick wyobraził sobie codzienne golenie nad i pod cienką linią wąsika, ową poranną rozkosz w kontakcie z chłodną stalą i następujące po niej rozkosze wizyty w garderobie, zaopatrzonej jak dom towarowy.

– Może i sobie flirtuje – powiedział – ale wie pan przecież, że nigdy nie patrzy serio na żadną inną kobietę. – I poczuł miły dreszczyk na myśl o własnej niegodziwości.

– Wiem, wiem... – mruknął Bertrand, niby zirytowany tak poważną reakcją na jego uwagę, lecz chyba zarazem skrycie uradowany tym zapewnieniem. – A jak wam idzie w... w biurze?

– Bardzo dobrze, dziękuję.

– Dalej trzymacie tam tych ładnych chłopczyków?

– Hm...

– Nie pojmuję doprawdy, dlaczego on musi trzymać tam te pioruńskie pedałka.

– Chyba dlatego, że są dobrzy w tym, co robią. – Nick wpadł w takie przerażenie, że jego głos stał się niemal przeprasający. – Simon Jones jest znakomitym grafikiem, a Howard Wasserstein specjalizuje się w opracowywaniu scenariuszy.

– A kiedy, u diabła, zaczniecie kręcić ten wasz film?

– Aaa... O to musi pan spytać Waniego.

Bertrand wrzucił do ust kolejnego ziemniaczka. – Już go pytałem – odrzekł. – On mi nigdy nic nie mówi. – Pomachał serwetką. – Co to ma być za film?

– Myśleliśmy o adaptacji *The Spoils of Poynton*...

– Dużo erotyki, dużo akcji.

Nick uśmiechnął się słabo i uzmysłowił sobie, że akurat tych dwóch elementów powieść Jamesa nie zawiera. Powiedział jednak coś innego: – Wani ma nadzieję, że uda mu się wciągnąć w ten projekt Jamesa Stallarda.

Bertrand spojrział na niego niepewnie. – Jeszcze jeden ładny chłopczyk?

– Panuje opinia, że jest bardzo przystojny. To jedna z największych gwiazd wśród młodych aktorów. Przepowiadają mu wielką karierę.

– Coś tam o nim czytałem...

– Ożenił się niedawno z Sophie Tipper – ciągnął Nick – z córką sir Maurice'a Tippera. Rozpisywały się o tym gazety. Sophie wcześniej chodziła z Tobym, z synem

Geralda i Rachel. – Zasypanywał rozmówcę tymi wszystkimi heteronowinami, jakby stanowiły one niezbity dowód; miał nadzieję, że już nigdy nie będzie zmuszony do zachowań tak tchórzliwych.

Bertrand uśmiechał się, niczym niezdziwiony. – Słyszałem, że wypuścił z rąk grubą rybę.

Nick zarumieniał się, nie wiedząc czemu, i zaczął mówić o planowanym czasopiśmie, co czynił z prostotą początkującego sprzedawcy, nie w pełni jeszcze przekonanego do produktu i jeszcze nie do końca cynicznego. Powiedział, że zamierza wraz z Wanim pojeździć trochę po kraju, by znaleźć tematy do artykułów – i mało brakowało, a poruszyłyby niedopuszczalny temat łączącej ich relacji. Przez krótką chwilę wyobrażał sobie, że mówi całą prawdę, że odsłania całe jej filuterne piękno, że jak intratną transakcję opisuje mu ogolonego na zero, płatnego chłopca, który w poprzednim tygodniu stworzył z nimi mały trójkącik. Poczul wtedy przyływ smutku; zgodnie z przewidywaniem wszystko zaczęło tracić połysk, a jego nastrój przybierał barwę niepokojąco szarą. Tak widać musi być w kontaktach z Bertrandem, to samo bowiem zdarzyło się na Lowndes Square – nie minęło pół godziny, a sekretna pewność siebie blakła już i ustępowała miejsca wzmożonej niepewności. Znośny żarcik Bertranda okazał się ciężką pokutą. Nick był bezsilny, nerwowy, zrezygowany, ugodowy; czuł się jak marionetka w dłoniach człowieka, który stanowi jaskrawe przeciwieństwo jego samego i który pod lśniącym garniturem kryje żałośnie wybudujące ego. Potem zdarzył się przykry incydent z czarnoskórą kelnerką, krążącą po salonie z butelką wina. Nick już wcześniej zauważył, że usługując gościom, wywołuje w nich pewien dyskomfort, pokrywany tolerancyjną miną lub gestem. Bertrand wyciągnął rękę z kieliszkiem i patrzył spokojnie, jak kelnerka wypełnia go chablis; a gdy z pytającym uśmiechem przeniosła wzrok na Nicka, Bertrand rzucił; – Nie, ty pioruńska idiotko. Myślisz, że ja piję coś takiego? Daj mi wody mineralnej. – Dziewczyna wzdrygnęła się lekko, słysząc tak ostry ton, widząc tak obcesowe odrzucenie jej usług, i przeprosiła go, chłodno i nieszczerze. – Woda na pewno się znajdzie – powiedział Nick. – Wody ci u nas pod dostatkiem. – Jego głos był niespokojnie łagodny, jak gdyby miał stąpić ostrze tonu Bertranda i przeprosić ją za jego zachowanie, i rozładować napięcie śmiechem; przez całą tę nieprzyjemną chwilę Bertrand trzymał kieliszek w wyciągniętej sztywno ręce, a jego mimika ograniczała się do pogardliwego zmrużenia oczu. Kelnerka jeszcze przez moment broniła własnej godności,

podczas gdy Nick błagał ją swym uśmiechem, by wybaczyła obrazę, Bertranda zaś prosił o złagodzenie wyroku. Ouardi powiedział jednak: – Czy ty, do diabła, nie znasz się na swojej robocie? Weź to ode mnie – i spojrzał na Nicka, jakby powinien dzielić z nim słuszne oburzenie. Kiedy dziewczyna odeszła bez słowa, Bertrand spuścił oczy, westchnął i uśmiechnął się do Nicka smutno, wręcz czule, jak gdyby mówił, że chętnie oszczędziłby mu takich scen, ale on nigdy nikogo się nie boi.

Nick wiedział, że powinien wstać i odejść, ale nie skończył jeszcze swego posiłku; ze wstydem uciekł teraz w jedzenie, bo dzięki temu sam nie musiał urządzić sceny. Paru gości musiało słyszeć tę awanturę, a teraz, ukryci we wnęce okiennej, obaj wyglądali na współspiskowców. Bertrand mówił o nieruchomościach i porównywał domy w różnych częściach Londynu; wyglądało na to, że on również pragnie przenieść się do tej dzielnicy. Powiódł wzrokiem po salonie, jak gdyby sprawdzał, czy w tych okolicach będzie mu do twarzy. – Tu jest naprawdę pięknie – powiedział ze smutkiem Nick i wyjrzał przez okno na znajomą ulicę; patrzył na okropny kasztanowy samochód Bertranda, na niedostrzegane zazwyczaj wieczorne życie w domach naprzeciwko oraz na masywnego blondyna, który wyszedł z jednego z tych domów, usunął zabezpieczenie ze stojącego na chodniku motocykla, usiadł na nim okrakiem, włożył i zapiął kask, ożywił silnik energicznym kopnięciem i trzy sekundy później zniknął Nickowi z oczu. Przez zgiełek głosów w salonie przebijał się tylko jeszcze przez moment słabnący warkot silnika. Spełniła się przepowiednia Chopinowskiego scherza – ktoś dzisiaj odzyskał wolność.

Nagle stanął przy nich Gerald, który sam wyglądał teraz jak kelner, jak kelner nad kelnerami. – Mam nadzieję, że wszystko gra – powiedział. W jednej dłoni trzymał butelkę wody mineralnej, w drugiej zaś dopiero co otwartą butelkę szampana, jak gdyby wolał zabezpieczyć się na każdą ewentualność.

– Wszystko idzie jak w zegarku! – odparł Bertrand, udając zrazu, że nie widzi napojów, a potem, typowo francuskim gestem, udając miłe zdziwienie. – To bardzo miłe, że pan sam się o mnie zatroszczył.

– Te dziewczątka nie zawsze wiedzą, co do nich należy – rzekł Gerald.

– Gerald – wtrącił się Nick – Znasz już chyba... pana Ouardiego.

– Na dobrą sprawę rozmawiamy ze sobą po raz pierwszy – Gerald ukłonił się lekko i uśmiechnął tajemniczo – lecz bardzo się cieszę, że pan nas odwiedził.

– Wspaniały koncert – powiedział Bertrand. – Ta pianistka ma zdumiewającą technikę. Jak na kobietę tak młodą...

– Zdumiewającą technikę, prawda – zgodził się Gerald. – Zatem wcześniej jej pan jeszcze nie słyszał.

Raptem, jakby przewidywał to protokół dyplomatyczny, w zasięgu wzroku pojawiła się Dolly Kimbolton. Bertrand wstał i podał Nickowi talerz ze sztucami. – Dobry wieczór! – przywitała się lady.

– Czy zna pan już lady Kimbolton? Pan Bertram Ouardi, jeden z naszych największych stronników.

Gdy witali się uściskiem dłoni, Dolly stała pochylona jak dyrektorka szkoły, zwołująca maruderów do udziału w ważnej akcji. – Owszem, dokonam niebawem pokaźnej wpłaty – powiedział Bertrand swoim dziecinnie zarozumiałym tonem. – Dokonam pokaźnej wpłaty na rzecz partii.

– To znakomicie! – odrzekła Dolly i obdarzyła go uśmiechem, w którym partyjna gorliwość prawie zupełnie przesłaniała zadawnioną awersję do bliskowschodnich sklepikarzy.

– Może powinniśmy uciąć sobie małą pogawędkę – powiedział Gerald i uniósł butelkę szampana. – A to może się nam przydać. – Jego sugestia najwyraźniej nie dotyczyła Nicka, który znów stał się niewidzialny, który się tutaj rzecz jasna nie liczył i który po odejściu tej trójki został sam, trzymając w rękach zarówno niedokończoną kolację Bertranda, jak i swój własny talerz.

Zatrzasnął drzwi, przekręcił klucz w zamku i odwróciwszy się, objął Waniego, który poklepał go i ucałował w nos.

– Gdzie towar? – zapytał Wani.

Nick podszedł do biurka. Jego stan daleki był od niezmałconej radości, ale on również dał się wciągnąć w zabawę z kokainą i czuł teraz, że jeśli starczy mu cierpliwości, koka uszczęśliwi ich obu na nowo. Z najniższej szuflady wyciągnął puszkę z narkotykiem.

– Trudno o bardziej oczywisty schowek niż puszkę – powiedział Wani.

– Ależ kochanie... Tutaj nikt nie wie, że ja mam cokolwiek do ukrycia. – Podał Waniemu paczuszkę z prochami i uśmiechnął się gorzko. – A muszę też kryć się z naszym cudnym romanssem.

Wani odsunął krzesło i usiadł za biurkiem; z jego na przemian chmurnej i pogodnej twarzy można było odczytać jedynie potencjalne odpowiedzi na słowa przyjaciela. Spojrzał na stosik wypożyczonych z biblioteki książek i wybrał tom *Henry James i zagadnienie romansu* autorstwa Mildred R. Pullman, z ciemną foliowaną obwolutą, – To będzie dobre – powiedział. Po raz pierwszy odwiedził Nicka w jego lokum i najwyraźniej nie szukał w nim magicznej aury – takiej, jaką Nick mocno odczuwał w pokoju Waniego na Lowndes Square. Cóż, nie należał po prostu do tych, co przywiązują wagę do takich spraw. Nie podziękował kochankowi za spotkanie z Ronniem i nie domyślił się oczywiście, jak dramatycznie przebiegło ono w oczach przerażonego Nicka, który wołał mu teraz o tym przypomnieć.

– Miło mi się gadało z Ronniem – powiedział. – On chyba chce się tu przeprowadzić. – Wani milcząco wysypał na książkę odrobinę stwardniałego proszku. – Facet budzi sympatię, prawda? Trochę się namęczyłem... Musiałem do niego zadzwonić, odczekać, zadzwonić raz jeszcze... I oczywiście musiał się spóźnić...

– Podoba ci się, bo jest bambusem – rzekł Wani. – Pewnie na niego lecisz.

– Nie bardzo – odparł Nick. Pożądanie, które wzbudził w nim Ronnie, łączyło się bowiem nierozzerwalnie z ekscytującym łamaniem prawa, z jednoczesnym napięciem i rozładowaniem, z odczuciem, że Ronnie przyjmując od niego pieniądze, akceptuje też jego samego. Chcąc jednak zmienić temat, powiedział: – Wolałbym, żebyś nie używał tego słowa. Usilnie staram się nabrać przekonania, że nie jesteś równie niereformowalny jak twój ojciec.

Wani zamyślił się na moment. – To o czym papa z tobą rozmawiał? Nick westchnął i zaczął chodzić po pokoju. Ujrzał nagie ich obu w lepszym świetle, a to za sprawą lustra na drzwiach szafy. Często wyobrażał sobie, że Wani jest tu przy nim, że potajemnie sypia w tym pokoju albo też, w innej rzeczywistości społecznej, przebywa tutaj swobodnie i jawnie, jako jego kochanek i życiowy partner.

– Wygląda na to, że chce się przenieść w te okolice – prychnął śmiechem. – Powinienem skontaktować go z Jasperem.

– Ten Jasper ma całkiem seksowne dupsko – rzekł Wani tonem mało dla niego typowym.

– Naprawdę? Dla mnie wszyscy biali chłopcy niczym się od siebie nie różnią.

– Cha, cha! – Wani przyglądał się swemu dziełu. – Co jeszcze ci mówił?

– Twój staruszek? Próbował wyciągnąć coś ze mnie na twój temat, no i na temat naszego filmu. On nie ma zielonego pojęcia, co się między nami wyprawia, ale uznał, jak widać, że właśnie ja trzymam w rękach klucz do tajemnicy. Przekonywałem go wytrwale, że żadnej tajemnicy tu nie ma.

– Może to ty nią jesteś – zauważył Wani. – Papa nie może cię rozgryźć. Były to pewnie słowa zgodne ze stanem faktycznym, ale zarazem głęboko niesprawiedliwe. Nick chciał okazać mu miłość, lecz poczuł przypływ agresji. Stanął za Wanim i poczuł, jak pulsuje mu krew. Przez cały wieczór pragnął go dotknąć, a kiedy teraz kładł mu dłonie na ramionach, przebiegł po nim gwałtowny dreszcz. Wani starannie, acz nieco defensywnie, szatkował proszek złotą kartą kredytową, pod którą widać było jeszcze częściowo rysy Henry’ego Jamesa – lecz nie starego łysego Mistrza, tylko młodego błyskotliwego dwudziestolatka o żywym spojrzeniu i ciemnych włosach z jednym niesfornym kędziorem. Wypowiadając następne zdania, Nick ścisnął rytmicznie szyję Waniego: – Wolałbym, żebyśmy nie musieli już ciągnąć tego w ten sposób. Czuję, że muszę komuś powiedzieć. Chciałbym, żeby inni się o nas dowiedzieli.

– Jeśli powiesz jednej osobie, to tak jakbyś powiedział wszystkim – odparł Wani. – Równie dobrze możesz zamieścić całostronicowe ogłoszenie w „Daily Telegraph”.

– Wiem, wiem... Jesteś człowiekiem znanym publicznie...

– Nie myślisz chyba, że siedzielibyśmy sobie na takiej imprezce, gdyby inni o nas wiedzieli, co?

– Mmm... Niby dlaczego?

– I fraternizowałbyś się z Dolly Kimbolton, gdyby wiedziała, że jesteś ładnym chłopczykiem?

– Przecież nie wie, że jestem... Co za idiotyczne określenie!

– Nie podoba ci się?

– Tak czy inaczej, moje życie nie ucierpi ani trochę, jeżeli nie będę, jak to ująłeś, fraternizował się z Dolly Kimbolton. Nigdy nie udawałem, że nie jestem gejem, to ty wciąż udajesz, mój drogi. Mamy rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty szósty. Wiele rzeczy się zmieniło.

– Jasne. Pedaly padają jak muchy. Naprawdę myślisz, że rodzice Antoine’a nie widzieliby powodów do troski?

– Przecież nie o to tu chodzi, prawda?

Wani lekko odął usta. – O to też tutaj chodzi. Wiesz, że muszę być niebywale ostrożny. Znasz sytuację... Proszę bardzo! – Uniósł ręce, jakby próbował coś nimi podtrzymać. – Masz tu swoją linię piękna! – i kątem oka spojrzął w lustro, najpierw na Nicka, potem na siebie. – Czeką nas niezła zabawa – powiedział z odrobiną zachęty w głosie, ale Nick pragnął czegoś więcej.

Kiedy dwie osoby jednocześnie patrzą w lustro, zachodzi ciekawy proces: lustru niezmiennie zadaje się jakieś pytanie, i jakieś pytanie zadają sobie wzajemnie patrzący, a lśniąca, iluzoryczna przestrzeń oddalonego pokoju, w której widzą się oni niby na scenie, wibruje ironicznym pogłosem i rzewnymi potwierdzeniami. Takie przynajmniej wrażenie odniósł teraz Nick. Lustro pozwalało mu wniknąć w przeszłość, wrócić do chwili, kiedy pomyślał „O Boże”, widząc Ouardiego po raz pierwszy na zajęciach z gramatyki historycznej; kazano mu wtedy przetłumaczyć fragment tekstu króla Alfreda, z czego zresztą wywiązał się przyzwoicie. Na uczelni pojawił się jakiś czas po rozpoczęciu pierwszego semestru, więc Nick zakładał, że choćby z tego względu przystojny cudzoziemiec będzie starał się zaprzyjaźnić z kimś spośród grupy nieopierzonych osiemnastolatków. Szybko wszakże zniknął mu z oczu, rozplynął się wręcz w wieczornej mgle spowijającej jezioro Worcester College. A owe bezgłośnie „O Boże” i „Tak!” z dnia jego przyjazdu, wspomnienie jego pięknej głowy i niewielkiego, prowokująco widocznego penisa – to wszystko, co Nick wtedy, w swych czasach oksfordzkich, od Waniego otrzymał. On sam krył się wtedy za książkami i szklankami z piwem, znany jako „esteta”, skrobiący coś tam poeta, „facet, który słucha Brucknera”, drżący jednak z obawy przed samym sobą. Teraz zaś pozował z Wanim do ulotnego portretu, patrząc wyzywająco na odbicie kochanka w lustrze... I znowu poczuł się jak w tamtym pierwszym tygodniu: bał się, że Wani zaraz zniknie.

– Spałeś kiedyś z Martine? – Gdy zadawał to bolesne pytanie, twarz stężała mu z zazdrości.

Wani rozglądał się za swoim portfelem. – Cóż to za niezwykle pytanie?

– Jesteś niezwykle człowiekiem, najdroższy – odparł Nick i aż przeraził się własną natarczywością, która mogła wszak wywołać nieprzyjemny zgrzyt między nimi. Zatopił dłoń w czarnych sprężystych loczkach Waniego.

– Masz... Weź trochę tego i zamknij dziób – rzekł Wani. Wstał z krzesła i chwycił Nicka za krocze jak uczeń na szkolnym boisku, tak samo jak uczeń zapamiętały, a

jednocześnie zmieszany. Nick nie stawiał oporu. Wciągnął swoją kreskę i zrobił krok do tyłu. Następnie Wani ponownie zwinął banknot, pochylił głowę i miał już przystąpić do dzieła, gdy nagle, gdzieś bardzo blisko, zatrzeszczały schody pod czyimiś stopami i dał się słyszeć przyciszony nierozpoznawalny jeszcze głos. Wani odwrócił się i utkwiał wzrok w zamku od drzwi, Nick zaś, z sercem walącym jak młotem, próbował sobie przypomnieć, czy przekręcił klucz. Wani w ułamku sekundy wciągnął jednym nozdrzem swą kreskę, schował w kieszeni paczuszkę i banknot, odwrócił książkę i szepnął: – Co tu robimy?

Nick pokręcił głową. – Co robimy...? Rozmawiamy o scenariuszu...

Wani westchnął komicznie, jak gdyby siłą rzeczy musiało im to wystarczyć. Nick nigdy wcześniej nie widział go tak zalęknionego i patrząc mu w oczy, zrozumiał, że kochanek nie wybaczy mu, iż był świadkiem tego ataku paniki. Chodziło nie tyle o narkotyki, ile o niedopuszczalną intymność, o podejrzanę spotkanie za zamkniętymi na klucz drzwiami. – Nie, tylko dziesięć minut, kochanie – odezwał się ten sam głos i Nick z uśmiechem zamknął oczy, bo rozpoznał sztucznie powolny sposób mówienia Jaspera. Zatrzeszczała znajomo podłoga przy łazience, o ścianę otarła się sukienka, zamknęły się drzwi od pokoju Catherine i zgrzytnął w nich przekręcany klucz. Nick i Wani pokiwali głowami, a przez ich twarze przemknęła seria uśmiechów, wyrażających ulgę, rozbawienie, oczekiwanie.

Dla Waniego, podobnie jak dla Nicka, pierwsza fala kokainowa wiązała się zawsze z przyływem pożądania. Gdy po raz pierwszy brali razem kokę, po raz pierwszy się również pocałowali: język Waniego był ruchliwy i kwaśny od wina, a oczy przymknięte nieśmiało. Każdy następny raz stanowił powtórkę tego ekscytującego debiutu. Wszystko wydawało się możliwe – świat był do zdobycia, do pokonania i pokochania; ukazywał swe słabe punkty i po prostu musiał się poddać, a w jego oczach dostrzegało się refleks własnego wdzięku. Przez trzy upragnione niebiańskie minuty Nick i Wani całowali się, stojąc na środku pokoju i upajając się tą olśniewającą sprzecznością, która sekretnie rozsadzała dobiegający kresu dzień. Wani miał na sobie lekki czarny garnitur włoskiej produkcji, podobny do ubrań jego ojca, tyle że bardziej od nich elastyczny, bardziej sugestywny. Nick z kolei ubrany był w sprezentowany mu przez Waniego prążkowany garnitur, w którym wyglądał jak obrotny bankier, handlowiec lub pośrednik na rynku nieruchomości, jak wielu innych młodych zdolnych w tych czasach.

To zabawne, jak dźwięki rozchodzą się po starych domach – przez przewody kominowe, przez belki pod podłogą. Rytm nieuchwytny dla ostrożnej parki lub nieświadomego rzeczy solisty przenosi się w postaci dudnienia na niższe piętro albo, jak w tym przypadku, do sąsiedniego pokoju. Gładząc penisa Waniego przez otwarty rozporek, całując napiętą skórę jego szyi, Nick śmiał się, lecz był też skonsternowany, niemal wstrząśnięty słyszonymi po raz pierwszy odgłosami, które rozległy się tak szybko i zdradzały aż taki pośpiech. Żadnej zbędnej gry wstępnej – Nick nie był pewien, czy Catherine się to podoba, czy Jasper nie postępuje zbyt brutalnie z kobietą, z którą trzeba obchodzić się jak z jajkiem. Poczul, jak dłonie Waniego napierają na jego ramiona; przyklęknął, odchylił głowę, by rzucić mu poważne spojrzenie, po czym zgiął również drugie kolano i wsunął do ust penisa kochanka. Członek Waniego, wprawdzie niezbyt duży, był jednak bardzo piękny, a w stanie erekcji przeżył się po chłopięcemu, sztywno i wysoko, przynajmniej do czasu, aż kokaina nie wniknęła głębiej w organizm.

Nick pieścił Waniego spokojnymi, jednostajnymi ruchami; jego własny, twardy już i przekrzywiony kutas ciągle tkwił w zapiętych spodniach, czekając na swoją kolejkę. Zdradliwa podłoga dalej trzeszczała, jak gdyby obok galopowała opętana mysz, potem zaś nieco wolniej, z budzącymi podziw przerwami. Nick niemalże kierował się tym rytmem, choć z drugiej strony rozpraszał go on jak głosy na schodach, przyhamowując, napawając lęklivymi myślami. Kochankowie zza ściany musieli przesunąć łóżko albo pieprzyli się na podłodze. Nick widział w wyobraźni niepokojąco zamazany obraz Catherine i bardziej już wyrazistą postać Jaspera.

Wani wodził dłońmi po włosach Nicka i szarpał za nie aż do bólu. – Idą na całego – szepnął. – Małe zdziry... – Nick uniósł wzrok i stwierdził, że Wani uśmiecha się w swym erotycznym transie, nie do niego jednakże, przynajmniej nie wprost do niego, tylko do lustra, w którym widać ich obu, a także (Nick wiedział o tym) wskroś lustro i szafy do parki w pokoju za ścianą, którego nigdy nie widział i który mógł równie dobrze wyglądać jak motelowa sypialnia w jakimś nędznym filmidle. – Idą na całego... Małe zdziry... – Wani upajał się tymi słowami, a Nick aż jęknął, gdy lekkie pchnięcia w jego ustach nagle zwiększyły tempo, dostosowując się do coraz szybszego rytmu sąsiadów zza ściany. Czuł się dziwnie, znalazłszy się na usługach fantazji, której nie mógł dzielić z kochankiem. Spróbował raz jeszcze – w końcu już wcześniej onanizował się, myśląc o Jasperze, tyle że Catherine była jego siostrą, brała lit i... hm... była dziewczyną. Usłyszał teraz jej głos, to

rozpedzone staccato jęków i... oddech Waniego, zbliżającego się do kulminacji. Wtedy nasza go inna myśl i wsparł się nią, dokonując małej zemsty na finiszującym Wanim – otóż zaprosił tutaj Ronniego, aby pocieszyć go w kłopotach z dziewczynami, aby w ciągu dziesięciu minut okazać mu prawdziwą czułość, jak mężczyzna mężczyźnie. Musiał rzecz jasna przestawić umysł na nieco inny tor, musiał wysilić wyobraźnię, bo Ronnie w jego domysłach miał dwa razy większego niż Wani, co najmniej... I tak, kiedy Wani wycofał się, a Nick mocno zacisnął powieki, tym drugim mógł już być Ronnie, nie zaś człowiek, którego kochał.

Nieco później w salonie na dole przyjęcie wkraczało z wolna w fazę końcową. Gerald otwierał kolejne butelki szampana, racząc nim wszystkich: zarówno siedzących przy stolikach nudziarzy, jak i ścisły krąg „wtajemniczonych”, którzy zgromadzili się przy nierozpalonym marmurowym kominku. Byli tam Timmesowie i Barry Groom, a specyficzny dla każdego z nich fanatyzm, żarliwość i drażliwość wydawały się teraz ukojonemu seksem i koką Nickowi jeszcze bardziej obce niż wcześniej. Dostrzegł też Polly’ego Tompkinsa, który nie dość, że siedział z nimi jak człowiek pod każdym względem im równy, to jeszcze wyraźnie zdradzał ochotę, aby okazać im swoją wyższość. Wyszło na jaw, że Gerald nie zna nowego raportu na temat zadłużenia krajów trzeciego świata. – Warto się z nim zapoznać – pouczył go Polly, kiwając głową jak dobroduszny tutor. Co ciekawe, był to również gest Geralda, tak jak biały kołnierzyk Polly’ego nie różnił się też od kołnierzyka jego rozmówcy. To zręczne naśladownictwo graniczyło wręcz z jakąś odmianą miłości, a ponieważ była to miłość beznadziejna, musiało także pobrzmiwać lekką kpina. Każda sympatyczna cecha Polly’ego brała się bowiem z wyrachowania.

Morgan, kobieta, z którą Polly przyszedł na koncert, dołączyła właśnie do grupki Geralda, omawiającej w tej chwili skandaliczną decyzję Oksfordu o nienadaniu pani premier tytułu doktora honoris causa. John Timms, człowiek niezachwianie wierzący w znaczenie takich symbolicznych form, był tym faktem głęboko oburzony, za to Barry Groom, którego Oksford guzik obchodził, stwierdził dobitnie: – Chuj tam z nimi – wywołując rumieńce na policzkach Morgan, która sama tuż potem włączyła się do tej męskiej dyskusji. Owa kobieta posiadała zresztą jedną rozczulającą właściwość – nigdy nie miała pewności, czy coś należy traktować jako żart, a jeśli tak, to dlaczego jest

zabawny. – Ich zdaniem naszej damy nie można już niczego nauczyć – powiedział Gerald, a Morgan ze zdumieniem patrzyła na roześmiane dokoła twarzy.

Z balkonu rozciągał się widok na ogrody, których kolejne pasma przechodziły tego lipcowego wieczoru w coraz ciemniejsze odcienie zieleni, aż po rysującą się mgliście w oddali, leżącą na trawie parę ludzi. Ta zdumiewająca zieloność Londynu w pełni lata... Szarość niedosiężnego nieba po zmroku, zamierający szczebiot ptaków i nieustępliwa samotność, która wyłania się z przeszłości wraz z przygasaniem horyzontu na wschodzie... Ciemność pięła się coraz wyżej, pokonując wszystkie kolory; zieleń szarzała i czerniała, a para w oddali znikła z wolna, aż w końcu znikła zupełnie.

– Czolem!

– O... Cześć, Jasper.

– Ja ci się wiedzie, kochany? – Jakby kolnął go w brzuch.

– Znakomicie. A tobie?

– Nie najgorzej. Jestem trochę przemęczony...

– A co porabiasz?

Młody Jasper, prawdopodobnie nie młodszy od Nicka, tak jak i on wyglądał na kogoś świeżo po studiach, ciągle się spieszącego i leniwego zarazem. Jego flirciarski i poufały ton mógł sugerować, że przespawszy się z Catherine, a raczej wzięwszy ją na podłódze, zyskał takie same jak ona prawa do zażyłości z jej starym dobrym przyjacielem. Jasper nie wiedział, że podsłuchano ich wtedy na górze, lecz jego wymowny uśmiezek kazał domyślać się, że istotnie coś niedawno porabiał. Twarz miał jeszcze zaróżowioną od seksu. Stanął teraz obok Nicka i również oparł się o balustradę; był już solidnie podpity.

– Z Catherine wszystko okej?

– Tak... Jest trochę zmachana, poszła się przekimać. Ona nie lubi takich klimatów.

Nick zadumał się nad dwuznacznością tej odpowiedzi. – Między wami wszystko gra?

– O tak – odparł Jasper, ściągając usta i marszcząc brwi, aby podkreślić, że naprawdę bawią się na całego. – Urocza z niej pannica.

Nicka po prostu zamurowało. Po chwili, tonem najłagodniejszym z możliwych, zapytał: – Ale uważasz na nią, co, Jasper?

– Proszę bardzo, troskliwy wujaszek Nick! – rzucił Jasper, urażony, lecz nastawiony defensywnie.

– Wiesz, jej stan jest teraz raczej stabilny, ale musi brać leki, bo inaczej czeka nas katastrofa.

– Myślę, że doprowadziła się już do porządku – powiedział Jasper po chwili milczenia tonem już innym, lepiej pasującym do sytuacji. Cofnął się o krok i odgarnął z czoła pasemko połyskujących kasztanowych włosów, które natychmiast wróciło na dawne miejsce, a jego dłoń powędrowała do kieszeni marynarki, wybrzuszona po chwili odgiętym kciukiem; takie lekko irytujące gesty, świadczące o fachowości i pewności siebie, miały zapewne wzbudzić zaufanie potencjalnych nabywców nieruchomości. – Ona cię ubóstwia, Nick – powiedział.

Na balkonie pojawił się Polly Tompkins, być może ogarnięty zazdrością na widok Nicka z facetem, na którego bez skutku napierał wcześniej ramieniem. Nick przedstawił ich sobie tonem człowieka nieco rozbawionego i niebędącego w zażyłych stosunkach z żadną z zapoznawanych osób. – Miałem wrażenie, że mnie unikasz – zwrócił się do Polly'ego.

Jasper czekał cierpliwie, aż sytuacja sama się wyjaśni, aż wyjdzie na jaw, czy ten wysoki gruby mężczyzna w dwurzędowce, mający na oko od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu lat, należy do sprzysiężenia gejów czy heteroseksualistów. – Twoje życie towarzyskie przypomina lot motyla, a ja nie mogłem złapać cię w swoją siatkę – powiedział Polly i spojrzał na Jaspersa, jak gdyby dawał do zrozumienia, że może się nim zająć, jeżeli Nick nie jest do tego zdolny.

– No cóż... Przez długie lata żyłem jak gąsienica.

Polly uśmiechnął się i wyciągnął paczkę papierosów. – Wygląda na to, że masz dobre układy z naszym przyjacielem, panem Ouardim. O czym wyście mogli rozmawiać?

– Wiesz... Filmy... Beethoven... Henry James...

– Mmm... – Polly patrzył na paczkę silk cutów, nie otwierając jej jednak. – Powinienem powiedzieć: z lordem Ouardim, bo sądzę, że już niebawem będzie to oczywiste.

Starając się nie zdradzić zdumienia, Nick szukał w myślach powodów, dla których Polly mógłby chcieć go nabrać. – Nie zdziwiłbym się ani trochę... – powiedział. – Ostatnimi czasy społeczne prawo ciężenia działa w odwrotnym kierunku. Niektórzy po prostu staczają się w górę.

– Myślę, że jesteś względem Bertranda odrobinę niesprawiedliwy – powiedział Polly, który oparł się pokusie i schował papierosy.

– Poza tym on nie jest Brytyjczykiem, prawda? – zauważył Nick wyniośle, dumny ze stawianego oporu. W końcu to Polly nazwał kiedyś Bertranda lewantyńskim sklepikarzem.

– To nie jest problem nie do przewyciężenia – rzekł Polly, uśmiechając się z politowaniem. – No ale czas już na nas. Chciałem się tylko pożegnać. Morgan musi jutro wczesnie wstać; leci do Edynburga.

– Mój drogi – powiedział Nick. – Ostatnio w ogóle cię nie widać. Przestałem już liczyć na to, że pojawisz się kiedyś znowu w Covent Garden... – Było to uprzejme, sentymentalne nawiązanie do przyjaźni, która w rzeczywistości nigdy nie zaistniała.

I wtedy Polly wykonał drobny, acz zupełnie niespodziewany gest: spojrzał na Nicka i rzucił: – A co się tyczy wiadomego tytułu szlacheckiego, to nasze zdania gruntownie się różnią. – Nie zaczerwienił się przy tym, nie zmarszczył czoła, nie skrzywił twarzy; jego rysy stężały jedynie w wyrazie ostrzegawczej negacji.

Gdy wszedł do środka, tuż za nim podążył Jasper, który pożegnał się z Nickiem zdawkowym kiwnięciem głowy, nieświadomie imitując manierę Polly'ego, tak iż owa maniera, owa nutka pogardy, zdawała się rozprzestrzeniać dokoła niby znak rozpoznawczy garstki wtajemniczonych.

Schody dla służby oddzielała od schodów głównych zaledwie jedna ściana, lecz każde z nich należały do zupełnie różnych światów. Te pierwsze, wąskie, niebezpieczne, bez balustrady, z wytartymi odkształconymi stopniami, wiły się serią ostrych zakrętów w głębokim szarym szybie, rozjaśnionym jedynie słabym blaskiem świetlika. Drugie zaś, przestronne, upiększone portretami książąt biskupów, układały się w cudowną kompozycję rozmaitych wsporników, a ich zdobna w ornamentalne kłosa balustrada z kutego żelaza drżała przy każdym kroku. Spełniały zapowiedź najwyższej rozkoszy, z której małymi drzwiczkami, tworzącymi jedną płaszczyznę z boazerią i otwieranymi za pomocą dźwigni pod butami książąt biskupów, można było na każdym zakręcie przedostać się na owe schody poślednie, tonące w zdradliwym półmroku. Jak szybko i niepostrzeżenie przebiegało się z jednych schodów na drugie za dumnym Białym Królikiem, tym słynnym pornogwiazdorem po Harrow, którego zwieracz zamrugał wraz z dźwiękiem dzwonów, a wtedy przez tłum przeszedł pomruk, gołębie zatrzepotały skrzydłami przy oknie akademika, a Nick obudził się i przewrócił na drugi bok w swoim ciasnym pokoiku, wracając w przyziemne domowe pielesze.

Kiedy ułożył się na plecach, od razu wróciły stare domowe nawyki... Wani, rzecz jasna... tak, Wani... w samochodzie... i wtedy, z Rickym, nie do pomyślenia... choć z drugiej strony dom był zawsze świątynią tęsknoty za Tobym, tęsknoty niemalże już wygasłej, wzniecanej tylko w chwilach występnej nostalgii... a jednak wszystko wydawało się możliwe... Toby trzy lata temu... w Hawkeswood... nazajutrz rano po wystawnym przyjęciu... wzywa go do królewskiej sypialni, spocony, skacowany, przykryty zmiętą kołdrą... – O kurwa, co za noc! – ... i pędzi do łazienki... tylko ten jeden raz widział go nagiego... cudny niewinny oksfordzki tyłeczek... czy to się wydarzyło... czy to, co zdarzyło się potem, miało miejsce naprawdę... i Wani, tamtej nocy... spotkanie na schodach... kto

by śmiał nawet marzyć... ciemnozielony aksamit... Boże, Wani u siebie w mieszkaniu... przywiązany do esowatych wsporników baldachimu...

Kobieta, z którą matka rozmawia na podjeździe przed domem, to zapewne pani Creeley. Mówią o samochodzie, o należącej do Nicka małej mazdzie, „fajne auteczko”, jak określił ją ojciec, chcąc odpędzić od siebie i matki niepokój związany z pochodzeniem funduszy na ten zakup. Samochód wyraźnie zachwycił panią Creeley, lecz pani Guest nie podzielała jej ożywienia. (– Dobrze ci się powodzi, synku – mówiła wcześniej tonem, jakim zwykła powiadać: „Kiepsko wyglądasz, synku”). Grzywacze w rozłożystych koronach świerków przed domem gruchały ponuro, może z wyrzutem, może wybacząc, kto to mógł wiedzieć? Obie kobiety oddaliły się, wciąż plotkując, po zwirowej ścieżce; teraz mówiły coś o sprzedaży łąki, ale do Nicka docierały tylko pojedyncze sylaby, niesione słabym wiatrem przez otwarte okno, zlewające się z gruchaniem grzywaczy w perliste unisono, rytmiczne i nonsensowne; zasłona powiewała na leniwym oddechu wiatru, tłumiąc ich głosy. Wylegiwanie się w łóżku było zgodne z uświęconą tradycją spędzanych w domu ferii, wakacji, nieczęstych przyjazdów na weekend. Gdy ojciec wyjeżdżał po zakupy, Nicka budziło niekiedy otwieranie drzwi do garażu i trzask samochodowych drzwiczek, po czym mógł na powrót zapaść w sen i znowu wędrować po znajomych schodach. Pani Creeley już sobie poszła, a matka bezszelestnie wróciła do domu; pewnie miała na sobie spodnie do pracy w ogrodzie i starą roboczą bluzę. Czekala ich tego dnia wizytacja Geralda, więc cały dom, i w środku, i na zewnątrz, musiał być przygotowany do inspekcji... Nieco później dał się słyszeć niespieszny tętent kopyt, równie abstrakcyjny i kojący jak odgłosy z kortu tenisowego w domu – w drugim domu. Z pewnym wahaniem Nick stwierdził, że cieszy go, iż żaden koń nie wydaje identycznie brzmiącego odgłosu każdym z czterech kopyt; osobliwe synkopowanie cichło z wolna, aż w końcu słychać było w oddali tylko jedno kopyto.

Mieszkali na przedmiejskiej ulicy Cherry Tree Lane, w dzielnicy, którą sami starannie i dalekowzrocznie do zamieszkania wybrali: przyzwoite domy, wybudowane już po wojnie, mnóstwo zieleni, a z tyłu łąki, na których konie skubały ostróżkę i liście wierzby płaczących. Teraz zaś wydarzyło się to, czego bali się już od dawna: Sydney Hayes kupił sąsiednie tereny, zyskując tym samym dostęp z ulicy do pola, na którym pasły się jego konie; otrzymał też błyskawiczne pozwolenie na gęste zabudowanie nowo nabytej ziemi – pięć budynków na akr. Pozostali mieszkańcy byli przeciwni jego planom, a Nick musiał

nawet poruszyć ten kłopotliwy temat w rozmowie z Geraldem, jako posłem reprezentującym cały region. Gerald powiedział, że oczywiście położy tamę tym projektom, lecz szybko przestał się tą sprawą zajmować, bo nie dość, że nie złamano żadnych przepisów, to na dodatek trwał boom na nieruchomości, każdy mógł kupić lub wykupić dom, wzrosnąć miała też wartość Hawkeswood. Wszystko to kładło się mętnym cieniem na życiu Dona i Dot Guestów. A przecież ostatnio żyło im się lepiej niż przez minione lata, firma przynosiła coraz większe dochody... Niestety, żywione od dawna obawy miały zmaterializować się lada chwila w postaci cegieł i dachówek na łące, którą oboje tak bardzo lubili.

Pomimo długiej niemej obecności tego domu w życiu Nicka nie umiał on wykrzesać z siebie sympatii do jego różowawych ścian i okien w metalowych ramach; po prostu brakło im poetyckiego czaru. W Hawkeswood o magii stanowiła zawartość: nagromadzenie mebli, rodzinki porcelanowych figurek z Chelsea i Staffordshire, trzy tykające głośno zegary w pokoju, gdzie gromadziła się prawdziwa rodzina, co nieco chyba przytłoczona własnym dobytkiem. Wszystko to zmieniało się niespodziewanie, gdy w antykwariacie ojca pojawiała się coś, co chciał mieć u siebie na co dzień, albo gdy nagle jakiś klient wykazywał zainteresowanie jednym ze znajdujących się w domu mebli. Tak to prawa rynku rządziły ich życiem, oni zaś pogodnie akceptowali, pozwalając, by zniknęła z domu ta czy inna komoda lub zegar po dziadku, czyli przedmioty, które Nick traktował już jako dziedziczne dobra rodzinne. Przez wiele lat sypiał w wygodnym dwuosobowym łóżku z drewna orzechowego, tworzącym scenerię dla wyobrażonych spotkań intymnych – słoje i sęki przeistaczały się w rozmyte przedmioty nastoletnich fantazji, w podwodny świat wielogodzinnych sesji z samym sobą. Kiedyś jednak, przyjechawszy do domu na Boże Narodzenie, zresztą niedługo po ujawnieniu się, stwierdził, że jego łóżko znalazło nabywcę, a zastąpił je mebel nowoczesny, mniej wyszukany, przeznaczony dla jednej osoby i deprymująco trzeszczący. W minionym roku, w związku ze zwykłą koniunkturą, Don podniósł ceny „do poziomu londyńskiego”, co w rodzinnym żargonie było synonimem zwykłego zdzierstwa. Ponieważ ceny w Londynie również wzrosły, oferta Guestów pozostawała atrakcyjna, skłaniając wielu klientów do wybrania się poza stolicę. Teraz natomiast, właściwie dzień wcześniej, Nicka spotkała kolejna niespodzianka: ulotniło się biurko. – Nie zgadniesz, ile za nie dostałem – oświadczył ojciec, zakłopotany tą niezwykłą u niego chciwością.

Nick zszedł na dół i spojrział nieśmiało na swoje auto. Lubił robić sobie codziennie tę matą niespodziankę, samochód był dlań bowiem czymś wystarczająco nowym, by co dzień rano dostarczać mu swoją urodą porcji świeżych wrażeń. Był jak nowa zabawka dla dziecka: rozjaśniał chmurne dni i sprawiał, że chciało się wstać z łóżka i wyjść z domu, aby posiedzieć w nim wśród zgiełku innych londyńskich pojazdów, napawając się miłym dreszczykiem posiadania. Samochód szokował nie tylko jego rodziców, szokował również jego samego: i kolor, i kształt, tablica rejestracyjna, wszystkie detale, o których sam nie umiałby zdecydować. Ciężar dokonania wyboru i dyskretnego zakupu auta został jednak z niego zdjęty; Wani chciał kupić mu coś takiego i coś takiego mu kupił. Owinięta barwną wstążką mazda apelowała do jego najniższych instynktów, z którymi wszakże szybko się pogodził i które, jak stwierdził, wcale tak niskie nie są. Pierwszy samochód to wielki dzień dla każdego chłopca, toteż Nick chciał, by rodzice dzielili z nim tę radość, lecz oni podeszli do tego inaczej. Tłumaczył im z niespokojnym uśmiechem, że ma to związek z pracą, z odpisem podatkowym; był to absurd, którego sam nie rozumiał. Zademonstrował im automatycznie składany dach i otworzył maskę, by jego ojciec mógł rzucić okiem na cylindry i całą resztę, co uczynił, kiwając głową i nucąc pod nosem; z wszelkich mechanizmów ciekawiły go tylko zegary. Nick zastanawiał się, dlaczego nie mogą cieszyć się wraz z synem, lecz dziesięć minut później przyznał się sam przed sobą, że przewidział tę sytuację i że wesoły nastrój tuż po przyjeździe był tylko zbiorowym złudzeniem. Przypomniawszy sobie incydent z dzieciństwa, kiedy to ukradł matce dziesięć szylingów, żeby kupić jej małą kurę z porcelany. Wypierał się tego tak długo, wśród potoków matczynych łez, że sam stracił pewność, czy rzeczywiście przywłaszczył sobie tę sumę; był prawie przekonany o swej niewinności. Ten epizod ciągle wpędzał go w smutek jako nieudana i pewnym sensie naganna próba pozyskania rodzicielskiej sympatii. Podobnie rzecz miała się z samochodem: rodzice nie rozumieli, w jaki sposób Nick mógł go zdobyć, i poniekąd trudno im się dziwić; znali go dobrze i wiedzieli, że ukrywa przed nimi coś ważnego. W pojęciu Rachel mazda była na pewno wulgarna i potencjalnie niebezpieczna, jednak dla Dona i Dot jej błyszcząca czerwona karoseria ucieleśniała znacznie, znacznie więcej – mówiła im, kim jest Nick, a wiadomość ta szokowała i napawała goryczą.

Pobył Geralda w Barwick wiązał się z obowiązkami poselskimi; było wśród nich otwarcie festynu w Barwick, co zaplanowano na drugą po południu, oraz uroczysta

kolacja w The Crown na cześć jednego z odchodzących na emeryturę przedstawicieli rządu w regionie. Między festynem a kolacją zamierzał wpaść na drinka na Cherry Tree Lane. Był to ostatni weekend Feddenów przed wyjazdem do Francji, a tradycyjnie złe usposobienie Geralda do wszystkiego, co łączy się z Barwick, łagodziła tylko perspektywa wygłoszenia co najmniej dwóch przemówień. Rachel została w domu, a Geraldowi towarzyszyła Penny, zapisująca na karteczkach nazwiska miejscowych notabli, aby uchronić go przed niezręcznymi pomyłkami, jakie zdarzały mu się w przeszłości.

Festyn w Barwick, w którym Nick nie brał udziału od czasów szkolnych, odbywał się w śródmiejskim parku Abbots' Field. W zwykłe niedzielne popołudnie park oferował dwie wątpliwej jakości atrakcje: pozostałości po wspaniałym niegdyś opactwie augustianów oraz toaletę publiczną, na której ścianach widniały maniackie dialogi, ciekawsze zresztą wtedy dla Nicka niż motyw krzywych linii w maswerku klasztornego prezbiterium. Nick nie nawiązał żadnego kontaktu w tym szalecie, nie skorzystał z ofert na jego murach, lecz gdy mijał go na spacerach z matką i słyszał samotne splukiwanie wody w pisuarze, jego twarz wyrażała dyskretne napięcie, świadczące o powinowactwie z nieznanym mu światem. Tego zaś dnia na parkowej łące rozstawiono liczne stragany i zmontowano tor do gry w kręgle, ogrodzony szpalerem z bel siana; lokomobila wydawała z siebie przenikliwe gwizdy, a miejska orkiestra toczyła harmonijną batalię ze starą brzęczącą karuzelą. Przechadzając się tam teraz, Nick miał wrażenie, że rzuca się w oczy, jak i że jest niewidzialny. Zatrzymał się przy znajomych swoich rodziców, którzy potraktowali go z sympatią, ale również z wyczuwalnym zniecierpliwieniem; w końcu coś o nim wiedzieli albo czegoś się domyślali. Adresatem ich sympatii, owej nutki pogodnego współczucia, byli jego rodzice, nie on. Przez moment zastanawiał się, jak się tutaj o nim mówi. Matka raczej nie może się synem pochwalić, bo zawód doradcy artystycznego w nieistniejącym czasopiśmie jest wszak równie nijaki i równie frustrujący, jak bycie gejem. Nick wyczuwał nieszczerzy szacunek, który należało zapewne przypisać zwykłej uprzejmości, wyczuwał niechęć do mówienia otwartym tekstem. Dostrzegł pana Levertona, nauczyciela angielskiego, który przerabiał z nim *W kleszczach lęku*, to on wyekspediował go do Oksfordu, i uciał z nim pogawędkę o swym doktoracie. Nick zwracał się do niego teraz per Stanley, z niejasnym wszakże poczuciem, iż dopuszcza się pogwałcenia jakiegoś świętego prawa. Instynkt podpowiadał mu, że za tymi okularami w czarnej oprawce majaczy utajona tęsknota za rozleglejszym obszarem literackich

spekulacji niż ten, na jaki mógł zapuścić się Nick, może też za innymi rzeczami. Dawny entuzjastyczny ton nauczyciela pobrzmiwał zaprawioną niepokojem chęcią podtrzymania znajomości. – Wpadnij kiedyś do nas! – mówił Leverton. – Wpadnij na lekcję z ostatnią klasą. W tym roku miałem bardzo udane zajęcia z Hopkinsa. – Później Nick przywitał się z panną Avison, która jeszcze w okresie przedlicealnym uczyła go tańca towarzyskiego; matka twierdziła, że będzie jej za to dozgonnie wdzięczny. Panna Avison pamiętała wszystkich swoich uczniów i nie mogła przyjąć do wiadomości, że którykolwiek z nich nie jest już dzieckiem albo że w ciągu ostatnich dwudziestu lat ani razu nie zatańczył walca lub fokstrota. Przez chwilę Nick czuł się jak kochany, rozkoszny, grzeczniutki chłopczyk.

Głośniki zachrzęściły i zakwiliły. Nick stał na skraju łąki, za grupką wyrostków, i udawał, że podziwia wystawione na straganie prymitywne produkty miejscowej garncami. Pani burmistrz nie popisała się przemówieniem, którego jednak nie zakłócała przychylnie nastawiona publiczność, wychodząca zresztą z mylnego założenia, że ta mowa długo trwać nie będzie; wędrujące po łące rodziny słuchały jej jednym uchem. Mówczyni stała na niewysokim podeście z burmistrzowskim łańcuchem na szyi, w błyszczących okularach i jasnoniebieskiej sukience z białą kokardą, którą składała hołd pani premier. Za jej plecami niecierpliwiał się uśmiechnięty promiennie Gerald. Pani burmistrz popełniła teraz małą gafę, mówiąc, że festynu w tym roku nie otwiera niestety znana postać, lecz zaproszony gość przynajmniej stawiał się punktualnie, „w przeciwieństwie do pewnej gwiazdy mediów rok temu”. Na te słowa Gerald podskoczył do mikrofonu, jak gdyby chciał błyskawicznie odebrać kontrolę nad autobusem z rąk pijanego kierowcy.

Rozległ się aplauz, którego skalę trudno było oszacować na otwartej przestrzeni; kilka okrzyków i dźwięki paru klaksonów przypomniały Geraldowi, że mimo dużego poparcia w regionie są tu również wyborcy niedający się przejednać obniżką podatków i prywatyzacją mienia komunalnego. – Wolalam, gdy był tutaj Derek Nimmo – stwierdziła stojąca opodal kobieta. Nick ją rozumiał i wszystkie przytyki pod adresem Geralda akceptował bez protestu, lecz ciągle czuł dawną skrytą dumę z tego, że zna go osobiście. Rozglądał się dokoła, przez moment śledził wzrokiem zadziwiający tyłeczek młodego śmieciarza i reagował lojalnym uśmiechem na żarty Geralda, wyczuwając w nich mieszaną hipokryzji i wyniosłości, która tkwiła również w nim samym. Ogarnął go

dekadencki nastrój. Jak można, myślał, zakładać, że Gerald, już prawie minister, cieszący się łaskami „naszej damy”, że ten tryskający humorem mówca parlamentarny będzie przejmował się publiką, na którą składają się rozwrzeszczane bachory i głuchawi emeryci? Catherine i Gerald po prostu gardzili wyborcami z Barwick. – Gdyby tylko w parlamencie nie trzeba było reprezentować jakiegoś okręgu – utrzymywała Catherine – Gerald byłby w siódmym niebie. Sam wiesz, jaką on czuje odrazę do Barwick. – Nick zbywał to śmiechem, lecz zastanawiał się, czy owa odraza nie obejmuje przypadkiem również jego „najdroższych rodziców”. – Oto klasyczny angielski dzień – mówił Gerald w tej chwili – i klasyczna angielska sceneria... – a Nick podważał w myślach hipotezę Catherine. Pod tą obłudnie pogodną maską musi dziać się coś jeszcze, coś, co jest dla niego naprawdę istotne, a wygłaszane komunały muszą brzmieć w jego uszach mimo wszystko przekonująco, niesione falą krasomówczej miłości własnej. Opowiedział właśnie dobrze przyjęty dowcip o Francuzie, który spędzał wakacje na rowerze, a na koniec, w najlepszej po temu chwili, udało mu się zasugerować, że nie jest bynajmniej bogatym londyńskim biznesmenem, czującym odrazę do Barwick, tylko uosobieniem ducha tego miasteczka, Pickwickiem z Barwick, otwierającym festyn dla jego mieszkańców, jak gdyby otwierał przed nimi własny dom. Zdecydowanym ruchem przeciął wstęgę, która niczego od niczego nie odgraniczała; odgłos ciachnięcia nożyczkami dał się słyszeć nawet w głośnikach.

Następnie Geralda zabrano na quasi-królewski obchód festynu; jego naturalny sposób bycia tłumila skutecznie pani burmistrz, czująca się nader swobodnie w roli królewskiej małżonki. Nick miał ochotę poobserwować wchodzących do szaletu mężczyzn, ale ciągnęło go również do znajomych londyńczyków, powędrował więc w stronę Penny. – Dobrze mu poszło – powiedział.

– Zgadza się, Gerald był rewelacyjny – odparła Penny. – Za to pani burmistrz nie stanęła na wysokości zadania. – Patrzyli na nią teraz oboje, jak stojąc przy straganie z konfiturami, przygląda się cenom, zbulwersowana ich wysokością i pragnąca je chyba szybko obniżyć. Tymczasem Gerald, który znał tylko cenę szampana i wizyty u fryzjera, spontanicznie wyciągnął pięciofuntowy banknot i kupił dwa słoiki marmolady, aby po chwili pozować z nimi miejscowym fotoreporterom. – Niech pan je podniesie, jeśli można! – Co słysząc, Gerald, któremu obecność aparatów fotograficznych dodawała jeszcze większej pewności siebie, wzniósł i trzymał w górze obydwie słoiki w geście

niemalże erotycznym. Potem, jakby czytając mu w myślach, podeszła Penny, by je przejąć; przekazując słoiki sekretarce, Gerald zdążył szepnąć: – *Je dois me séparer de cette femme commune.*

Później kupił dziesięć losów na loterii i drepcząc w miejscu, czekał na wynik. Nagrodą mogła być jedna z wielu rozmaitych butelek: począwszy od sosu HP aż po flaszkę Johnnie Walkera. Gerald nie przebrał się przed festynem i teraz jego znacząco niebieska koszula z białym kołnierzykiem, czerwony krawat i dwurzędowy prążkowany garnitur wyróżniały się jako symbol Westminsteru na tle zwykłych koszul, dżinsów i tanich bawełnianych sukienek. Ukłonił się stojącej obok kobiecie i zapytał z uśmiechem: – Dobrze się pani tu bawi?

– Narzekać nie narzekam – odparła zapytana. – Mam chętkę na lę butelkę wiśniówki.

– A, znakomicie. No, powodzenia! Ja raczej niczego nie wygram.

– Panu to przecie niepotrzebne.

– To już, panie pośle! – odezwał się mężczyzna obsługujący sześciokątny bęben.

– A, witam! Miło mi pana widzieć – zareagował Gerald, któremu polityczna roztropność nakazywała używać takiej formułki na wypadek, gdyby już wcześniej z danym człowiekiem został zapoznany.

– W takim razie możemy zaczynać! Na pierwszy ogień idzie sos HP. To coś dla pana, prawda, panie pośle?

– Fortuna kołem się toczy – rzekł Gerald, a kiedy zakręcił się sześciokątny bęben, dodał: – Dla każdego coś miłego! Każdemu należy się nagroda!

– O, tośmy już gdzieś słyszeli – wtrącił się mężczyzna w okularach w złotej oprawce, który podpadał pod kategorię „przemądrzały socjalista”, z tych, co to zawsze przetykają pytania danymi statystycznymi niedającymi się nijak zweryfikować.

– Miło mi pana widzieć – powiedział Gerald, koncentrując uwagę na loteryjnych numerach.

– Ha! – wykrzyknął okularnik.

Pani od wiśniówki wygrała pół butelki dżinu z sieci Mira Mart i śmiała się teraz, i rumieniła na potęgę, jak gdyby wypila już to wszystko i doznała uszczerbku na honorze. Potem przyszedł czas na lemoniadę, po niej zaś na guinnessa. A potem Gerald wygrał butelkę wina lambrusco. – Wybornie... – orzekł i roześmiał się nienaturalnie.

– Rozumiem, że nie pogardzi pan kapką wina, panie pośle – powiedział facet od bębna, podając Geraldowi butelkę.

– W żadnym wypadku!

– Daj to komuś – szepnęła stojąca obok Penny.

– Mmm...?

– Nie wypada zachowywać nagrody dla siebie. To robi złe wrażenie...

– To robi wrażenie fatalne – mruknął Gerald, po czym, tubalnym już głosem, oświadczył: – Nie powinienem pozbawiać nagrody moich wyborców. – Rozległo się kilka nieśmiałych wiwatów. – Barbaro, czy zechciałabyś przyjąć...?

Pani burmistrz prawdopodobnie uznała, że ta propozycja co najmniej potrójnie ją znieważa, uchybia bowiem jej stanowisku, poczuciu dobrego smaku tudzież jej znanej powszechnie abstynencji. Nickowi wydawało się przy tym, że ona wcale nie ma na imię Barbara. Czy to nie jest przypadkiem Brenda Nelson? Przez moment butelka spoczywała w dłoniach Geralda niczym w uścisku kiperka ironisty. Następnie szybko odłożył ją na najbliższy stolik. – Niech ktoś inny się rozkoszuje – powiedział i wymownie kiwnął głową.

Mimo to najwyraźniej o władnęło nim przeświadczenie, że na jakąś wygraną powinien jednak sobie pozwolić. Rozejrzał się uważnie, jak gdyby kogoś szukał, a dostrzegłszy w oddali kolejną szansę dla siebie, ruszył samopas przez tłum. Penny z marmoladą potruchtala karnie za nim, odprowadzana wraz z pryncypałem śmiechem poruszonej ciżby. Za nimi włókł się Nick.

Zawodów w rzucaniu gumiakiem nie urządzano w hrabstwie Surrey w czasach młodości Geralda i nie znano ich też oczywiście we współczesnym Notting Hill. W wieku dojrzałym Gerald stykał się z gumiakami tylko wtedy, gdy wydobywszy z piwnicy zieloną ich parę, urządzał z garstką przyjaciół weekendowe wypady na wieś. W Barwick jednakże, gdzie hodowano bydło domowe, a po ulicach walały się kępki siana, czarne, duże, ciężkie gumiaki stanowiły trwałą i niebudzący sprzeciwu element krajobrazu, zawody zaś w rzucaniu nimi należały do ulubionych rozrywek mieszkańców. Gerald podszedł do prowizorycznej bramki, składającej się z dwóch słupków i rozciągniętej między nimi wstęgi, pod którą widniała narysowana kredą biała linia. – Dajcie no mi spróbować! – powiedział. Jako nowy uczestnik zabawy wolał zgrywać się na równiачę, lecz spod tej maski prześwitywała chłodna determinacja.

– Dwadzieścia pięć pensów za rzut, panie pośle, albo pięć rzutów za funta.

– A, niech tam... Rypnę sobie za całego funciaka – oznajmił specjalnie afektowanym głosem, pasującym w jego mniemaniu do wyrażenia gwarowych. Przez chwilę energicznie grzebał po kieszeniach, lecz wszystkie drobne zdążył wydać. Wyciągnął portfel i trzymał już w ręce dwudziestofuntowy banknot, gdy w sukurs przyszła mu Penny, kładąc na stoliku funtową monetę. – Wybornie... – rzekł Gerald, obserwując już niemrawych nastolatków, którzy rzucali gumiakiem na odległość niecałych dwóch metrów.

Sam teraz trzymał owego gumiaka i przez moment ważył go w dłoniach. Dokoła zbierał się już mały tłum, bo była to w końcu jakaś sensacja: ich poseł, w swym szytym na miarę prążkowanym garniturze i czerwonym krawacie, trzyma starego gumiaka i zaraz ciśnie nim przed siebie. – Wiesz, jak tym smyrgnąć, Gerald? – zapytał jeden z miejscowych. Gerald zmarszczył brwi, sugerując zapewne, że pouczyć go w tej materii nie trzeba. Przecież widział, jak spartaczyli rzecz startujący przed nim chtopcy. Ustawiając się do debiutanckiego rzutu, przyłożył but do piersi, podszwą na zewnątrz, jakby chciał trafić lotką do tarczy lub uczestniczył w zawodach w pchnięciu kulą. Nie docenił jednak ciężaru gumiaka, który wylądował po chwili między dwiema pierwszymi liniami. – Musisz pan fest nim grzmotnąć – doradziła jakaś rezolutna paniusia, zmartwiona jego niepowodzeniem. – No, wiesz pan... – Zatoczyła ręką szeroki łuk. Gerald odebrał gumiaka od chłopca, który mu go przyniósł, a podejmując kolejną próbę, uśmiechnął się kwaśno, jak gdyby do jego oczywistych obowiązków parlamentarnych należało też przyjmowanie rad od okutanej chustą kobiety z wałkami na głowie. Sumiennie wykonał poddany mu gest, ale pewnie za sprawą przyciasnej marynarki zamach stracił na sile, a but powirował w powietrzu i ciężko lupnął na trawę. – No, troszku lepiej – mruknął jeden z widzów. – Rozkręcisz się pan, wolnego! – Ktoś inny krzyknął donośnie: – Wiwat, torysi! – Nick stwierdził z lekkim zdumieniem, że tłum kibicuje parlamentarzystom i cieszy się na swój sposób, widząc, jak słynna persona wykonuje tak proste zadanie. Gerald chyba wyczuwał to wsparcie. Rozpiął marynarkę, co samo w sobie wywołało aprobatę zebranych, i cisnął gumiakiem, tym razem od dołu, lecz znów za wysoko, tyle że teraz but wylądował aż osiemnaście metrów od niego. Rozległ się aplauz i posypały się rady, jak trzymać gumiaka: za czubek, za obcas czy w środku, a Gerald usłużnie przymierzał się do każdego z tych rozwiązań. Czwarty rzut okazał się równie chybiony, jak odbicie piłki tenisowej

ramą rakiety. Przez widzów przemknęła fala zniecierpliwienia, znów wszakże połączona ze swoistą troską o posła. Przypomniawszy o sobie przemądrzały socjalista, który zakrzyknął ironicznie: – Otóż to! Trzeba być gotowym na zrobienie z siebie błazna! – Na koniec Gerald, ciężko przy tym sapnąwszy, posłał swój pocisk długim niskim łukiem, tak iż wylądował, odskakując jeszcze nieco w bok, w nieoznaczonej strefie poza dwudziestym trzecim metrem. Chłopiec z obsługi szybko zatknął tam niebieską chorągiewkę, publiczność znowu wiwatowała, a fotoreporterzy i niektórzy widzowie pstrykali zdjęcie za zdjęciem. – Mam nadzieję, że wygrałem – powiedział Gerald.

– Tera ci jeszcze nie powiem, Gerald – pospieszy! z pomocą jeden z miejscowych. Tykanie stanowiło pozostałość po obłudnym brataniu się z wyborcami w czasie kampanii wyborczej, kiedy to nawiązuje się wiele dozgonnych przyjaźni; chwilowy chłód na twarzy Geralda szybko ustąpił szczeremu bądź udawanemu zakłopotaniu człowieka, który jest osobą publiczną pracującą w służbie narodu.

– To jest pan Trevor – szepnęła stojąca obok Penny. – Wywóz szamba.

– Cześć, Trevor – przywitał się Gerald, jakby zwracał się do swojego ogrodnika.

– O piontej – tłumaczył pan Trevor. – Wtedy ogłoszom. Kto walnął najodleglej, temu się świniak dostanie. – Co mówiąc, wskazał niewielką zagrodę, wcześniej zasłoniętą przez tłum, i świnię cętkowaną rasy glosterskiej z ryjem zatopionym w stosiku kapuścianych głąbów.

– Dobry Boże... – Gerald roześmiał się stropiony, jak gdyby demonstrowano mu właśnie pytona w terrarium.

– Śniadanko, łobiad i podwiczorek na caluchny misionc! – powiedział pan Trevor.

– Tak, istotnie... Tylko że my nie jadamy wieprzowiny... – Gerald chciał już odwrócić się i odejść, gdy zauważył, że do bramki zbliża się przemądrzały socjalista z gumiakiem w dłoniach.

– O, Cecil tera panu cosik pokaże! – krzyknęła kobieta z wałkami na głowie, która być może wcale Gerardowi nie sprzyjała; z takimi to nigdy nic nie wiadomo. Cecil, mężczyzna niski, acz solidnie umięśniony, okazywał dużą pewność siebie i nieustannie uśmiechał się pod nosem. Gerald czekał na dalszy rozwój wydarzeń, więc Nick i Penny podeszli do niego i próbowali odciągnąć jego uwagę od zawodów. – On pewnie zna jakąś sztuczkę – stwierdził Gerald. – Co znowu...?

Sztuczka Cecila polegała na wzięciu małego rozbiegu, zatoczeniu ręką pełnego koła i wyrzuceniu gumiaka w taki sposób, jakby czekał na niego zawodnik z kijem do krykieta. Wynik okazał się o metr lepszy od ostatniego rezultatu Geralda, co chłopak z obsługi szybko zaznaczył czerwoną chorągiewką. Następnie Cecil zademonstrował inną sztuczkę: rzucił gumiakiem od dołu, ten zaś poszybował niskim łukiem i spadł wprawdzie bliżej niż za pierwszym razem, lecz również za niebieską chorągiewką Geralda. Cecil świetnie oceniał wagę buta, umiał nadać mu odpowiedni kierunek i właściwą trajektorię, bez zbędnych obrotów w powietrzu. Przy ostatnim podejściu, jeszcze doskonalszym od poprzednich, pobił swój własny rekord o dobre trzy metry, po czym wytarłszy dłonie z tym samym powściągliwym uśmiechem na twarzy, stanął nieopodal Geralda, nie podchodząc jednak do niego. – Oj, żal, żal... Co robić... – powiedział pan Trevor. – Ale tobie tyn świniak i tak psu na budę...

– Niech diabli wezmą świniaka – rzucił jowialnie Gerald. Spojrzał na Nicka, potem na Penny, a potem znowu na wyzywająco beztroskiego Cecila. Zaczął zdejmować marynarkę, potrząsając przy tym głową, czerwieniąc się, uśmiechając i marszcząc brwi jednocześnie, jak gdyby sam podkpiwał z własnego temperamentu. – Wydaje mi się, że to nie może pozostać bez odpowiedzi – oznajmił z humorem, tonem wytrawnego dyskutanta. Gdy ściągnął marynarkę, odsłaniając niebieskie szelki i plamy od potu na koszuli, dały się słyszeć zarówno wiwaty, jak i gwizdy. W zależności od przyjętej perspektywy można go było uznać albo za równego gościa, albo za błazna, jak wcześniej przepowiadał Cecil. Nieustannie czujna Penny odebrała od niego marynarkę, mrugając ostrzegawczo i uśmiechając się zarazem na użytek publiczności. Musiała teraz znaleźć w torebce kolejną funtową monetę.

– Więc wygrałeś świniaka! – powiedziała matka Nicka, wprowadzając Geralda do salonu. – Dobry Boże...

– No właśnie... – odparł Gerald. Widać było, że jest zmęczony i nieco oszołomiony zastrzykiem adrenaliny: twarz miał zarumienioną, włosy zlepione i odgarnięte do tyłu; najwyraźniej przydałaby mu się kąpiel. – Zajęło mi to pięć rund, ale w końcu go pobiłem. Wygrałem zdecydowanie. – Dot Guest rozglądała się po gęsto umeblowanym salonie, zapraszając gestem Geralda, by usiadł tu, może tam; wydawało jej się zapewne, że jej dom jest dla gościa stanowczo za maty. Wpadał na meble i ogólnie zachowywał się jak

nieoswojone zwierzę, podobne temu, które dopiero co wygrał. Podeszedł do okna w tylnej części salonu i rzekł: – Jaki uroczy widok! Na dobrą sprawę mieszkacie na wsi.

– Tak... Na wsi... Prawie... – bąkała Dot, uprzejmie i nieśmiało, sprzątając z małego stolika. Następnie spojrzała z wdzięcznością na Dona, który wszedł do salonu z drinkami na srebrnej tacy. Okazało się zatem, że Gerald zapomniał o sprawie sprzedaży łąki.

– Co za dzień! – powiedział. – Kto by pomyślał, że rzut gumiakiem dopiszę do listy zawodów wyuczonych. – I klapnął na fotel Dona, jakby był tam u siebie, jak gdyby chciał, żeby gospodarze przestali stresować się jego obecnością. – Dzięki stokrotne, Don – rzekł, biorąc drinka. – Myślę, że zasłużyłem na nagrodę.

– A gdzie jest świnia? – zapytał ojciec Nicka.

– Przekazałem ją na rzecz szpitala. W takiej sytuacji wypadało to uczynić. Zdrówko!

Nick widział, że upijając pierwszy łyk alkoholu, każde z nich szuka ucieczki. Było mu wstyd, że drinki są takie skromne, że ojciec przyrządził je w kuchni i wniósł tutaj tak uroczyście. Rodzice spoglądali na Geralda z poczuciem dumy, acz również nerwowo. Byli wszak mali i prości jak dzieci w porównaniu z tym pewnym siebie ekspansywnym mężczyzną, który swą osobowością przyćmiewał całe Barwick. Don miał na sobie jasnoczerwoną muszkę. W dzieciństwie Nick patrzył zawsze z lubością, jak ojciec w magiczny sposób zawiązuje taką czy inną muszkę; dowiadywał się przy tym, jak bardzo pod względem barwy lub wzorku różnią się między sobą poszczególne ich egzemplarze i jakie wnioski natury estetycznej można z tych różnic wysnuć. Miał swoje ulubione, a kilku prawie nienawidził. W jego życiu co dzień obecne były owe kawałki wzorzystego jedwabiu i terylenu w groszki, o ileż piękniejsze od szerokich pstrokatych krawatów innych tatusiów. Teraz jednak w zażenowanie wprawiała go czerwona kokardka pod wypielęgowaną siwą brodą ojca, który wyglądał w niej dość głupawo.

– Cieszymy się bardzo, że znalazłeś dla nas trochę czasu – mówiła Dot. – Wiem, że jesteś strasznie zajęty. Poza tym niedługo wyjeżdżacie, prawda? – O zgryzotę przyprawiała ją zawsze myśl o życiu w Londynie, mieście nużących teatrów i omdlewających funkcjonariuszy Gwardii Królewskiej, szczególnie zaś martwiła się o parlamentarzystów, o to, jak sobie radzą z natłokiem obowiązków. Odkąd Nick wprowadził się do Feddenów, często słyszał od matki pytania na ten właśnie temat. Gdy odpowiadał, że w gruncie rzeczy Gerald wcale nie pracuje, tylko zwała całą robotę na sekretarki i asystentów, Dot zarzucała mu cynizm i nie dawała wiary jego słowom.

– Tak, wyjeżdżamy w poniedziałek – odrzekł Gerald i wzruszył ramionami na znak ulgi. Nick widział, jak znużony gość ucieka myślami do rozkoszy, czekających go we francuskim dworku.

– Ciekaw jestem, jak ty z tym wszystkim nadążasz – mówiła Dol. – Przecież musisz tak dużo przeczytać. Dręczy mnie to... Nick twierdzi, że jestem niepoważna... Ty pewnie wcale nie sypiasz, bo niby kiedy? Podobno nie sypia też... nasza dama, prawda?

Nick wpoił rodzicom Geraldowe określenie „nasza dama”, lecz słysząc, jak używają go teraz przy nim, popadł w lekkie zakłopotanie. Gerald wszakże odebrał to jako hołd złożony zarówno pani premier, jak i jemu samemu. – Tak, cztery godziny na dobę – zachichotał z podziwem. – Tak, tylko że pani premier jest zjawiskiem wyjątkowym; ją wręcz rozpięra energia. Ja jestem zwykłym śmiertelnikiem, już o północy śpię jak zabity. I nie wstydzę się tego, bynajmniej.

– Mało śpi, a jak pięknie wygląda – oświadczyła Dot z nabożną czcią w głosie, a Don przytaknął jej skinieniem głowy. Żadne z nich nie umiało się jeszcze zdobyć na zadanie nurtującego ich pytania: jaka ona naprawdę jest?

Gerald, w pełni świadom, co Guestowie chcą od niego wyciągnąć, dowiedział, że ciągle pamięta pierwsze z zadanych mu pytań. – Tak czy inaczej, masz rację – przyznał konfidencjonalnie. – Robota papierkowa czasami mnie przytłacza. Na szczęście potrafię szybko czytać. I mam pamięć jak słoń. „Daily Telegraph” zajmuje mi dziesięć minut, a „Daily Mail” cztery. Kwestia praktyki, ot co.

– Rozumiem – Dot pokiwała głową. – A jak się miewa twoja córka? – Widząc, że matka uważnie, wręcz z namaszczeniem słucha odpowiedzi Geralda, Nick doszedł do wniosku, że poruszy ona każdy z dręczących ją tematów, licząc na zdobycie informacji prawdziwszych od tych, których udzielał jej syn. – Musisz się bardzo o nią martwić...

– Och, wszystko gra – odparł beztrosko Gerald. Uznawszy jednak, że zamartwianie się jest tu dobrze widziane, dodał: – Kotka miewa swoje nastroje, prawda, Nick? Nie jest jej łatwo. No, ale teraz jest na lidzie. Ten cudowny lek spadł nam jak z nieba.

– Mmm... Na licie... – poprawił go Nick.

– Naprawdę? – Dot patrzyła niespokojnie to na jednego, to na drugiego.

– Mruczka jest teraz znacznie szczęśliwsza. Myślę, że najgorsze mamy już za sobą.

– I świetnie sobie radzi w akademii sztuk pięknych – zauważył Nick.

– Tak, robi kolaże i inne takie – potwierdził Gerald.

– Sztuka nowoczesna, rozumiem? – powiedział Don, patrząc na Nicka z ponurą ironią.

– Nie udawaj filistra, tato – rzekł Nick, ale wbrew jego intencjom w tym jawnym pochlebstwie mieścił się również wyrzut. Francuska wymowa *philistine* nie zdała się tutaj na nic.

– Tak czy owak, jej to chyba pomaga – powiedział Gerald, skłonny usprawiedliwić abstrakcyjną twórczość córki względami natury terapeutycznej. – Ma poza tym świetnego chłopaka, co bardzo nas cieszy, bo na tym polu nie zawsze nam się szczęściło.

– Mhm – mruknęła Dot, spuszczać wzrok, jakby chciała dać do zrozumienia, że oni też nie mieli szczęścia pod tym względem.

– Jesteśmy z niej naprawdę szalenie dumni – oświadczył Gerald podniosłym tonem, chociaż wyglądał na nieco zawstydzonego. – W tym roku wszyscy jedziemy do Francji; oboje, Rachel i ja, jesteśmy w siódmym niebie. To będzie pierwszy rodzinny wyjazd od lat. Jak wiecie, dołączy też do nas Nick... przynajmniej na trochę... bo czas już na to najwyższy... – I Gerald wysączył resztę džinu z tonikiem.

– Nic nam nie mówiłeś, kochanie... – Dot była zaskoczona.

– To prawda – przyznał Nick. – Jadę z Wanim Ouardim. Wiesz, to z nim pracuję nad tym czasopiśmie. Wybieramy się do Włoch i Niemiec, żeby poszukać materiałów, a potem, jak sądzę, w drodze powrotnej, wpadniemy do tego dworku.

– Czeka cię wiele wspaniałych doświadczeń, mój chłopcze – powiedział Don, a Nick pomyślał: biedaczyska starają się, jak mogą. Przez moment niemalże winił rodziców za to, że o jego zamiarach nie wiedzieli i że musiał im opowiadać o planach nabrzmiałych tyłoma podtekstami. Trudno było mieć im to za złe – o swoich sprawach Nick nie informował ich wcale, toteż wszystko, co mówił i robił, miało posmak niespodzianki większej lub mniejszej, nigdy jednak zupełnie niewinnej, bo zawsze związanej z największą niespodzianką, jaka ich spotkała, z tym, że ich syn jest, by użyć słów matki, homo niewiadomo.

– Przecież zazwyczaj Nick pilnuje domu, prawda? To znaczy, kiedy gdzieś wyjeżdżacie... – Uczepiła się tego faktu niczym dowodu na zaufanie, jakim Nicka darzą ważne osoby, niedbając o to, czy jest homo czy nie.

– Tak, biedny Nick... Obciążaliśmy go wcześniej takim zadaniem. W tym roku wprowadzi się do nas nasza gosposia z córką i zajmą się obie generalnym sprzątnięciem.

Nie będziemy się im kręcić pod nogami, więc będzie to dla nich coś w rodzaju wakacji. – Gerald wykonał szeroki gest ręką z pustym już kieliszkiem.

– O, ja chyba znam tę odmianę wakacji! – powiedziała Dot, która marzyła o rozbijaniu się po hotelach, ale każdego września skazana była na pobyt w letnim domku szwagierki w Holkham.

Don ponownie napełnił kieliszek Geralda i sobie też dołał odrobinę; tutaj nie piło się w takim tempie. – To porządny gość, ten Ouardi, prawda? – zapytał.

– Ty go nie znasz, tak? Oczywiście... Czarujący facet, bez dwóch zdań. Mój syn Tobias przyjaźnił się z nim w Oksfordzie... Zresztą ty też, Nick, no nie?

– Ja go poznałem trochę później – powiedział ostrożnie Nick, przypominając sobie łazienkę u Flintshire'ów w Mayfair i ścierpnięte od koki usta przy pocałunku. Poczuł dreszcz na myśl o tym drugim świecie, który czeka na niego w Londynie.

– Mając taką pozycję, trudno nie radzić sobie w życiu – zauważył Don.

– Też mi się tak wydaje... – Gerald zamrugał oczami. – Wiem, że wiąże się z nim ogromne nadzieje. Jego ojciec to postać dużego formatu.

– To ten gość od supermarketów, prawda?

– Bertrand? O, to wielki człowiek! – Gerald nader swobodnie szafował tym określeniem, jak gdyby liczył, że przyłgnie również do niego. – To znaczy, wybitny przedsiębiorca, ma się rozumieć... I ta strasznie przykra historia, bo, wiem o tym od paru dni, oni stracili pierwszego syna.

– Naprawdę...?

– Taaa... Przejechała go ciężarówka. W Bejrucie, rzecz jasna. Zginął na miejscu razem ze swoją opiekunką. Bertrand Ouardi opowiedział mi o tym kilka dni temu.

Nick musiał udawać, że wiedział o tym wcześniej, i skinął głową potwierdzająco. Rodzice wydusili z siebie jakieś słowa współczucia, lecz nie wyglądali na przejętych, jak gdyby śmierć w Bejrucie była łatwa do przewidzenia. – Tak, to okropne – rzekł Nick. Był kompletnie zaskoczony. Pomyślał od razu, że wyszedł na próżnego głupca, uważając się za powiernika Waniego. Takie mroczne tajemnice rodzinne miały większy ciężar gatunkowy niż ich małe seksualne spiskowanie. Wani zaś musiał nosić je w sobie i stał się nagle dla Nicka postacią jeszcze bardziej rozczulającą, jeszcze wspanialszą, zasługującą na jeszcze większą wyrozumiałość...

– Ma śliczniutką narzeczoną – powiedziała Dot. – Widziałam ją u fryzjera.

– Naprawdę?

– To znaczy w „Tatlerze”.

– A, rozumiem...

– Nicka też tam oczywiście widziałam, po waszym wspaniałym przyjęciu. Przez wiele miesięcy przy każdym obiedzie w restauracji wracaliśmy do tego tematu. – Matka istotnie uwielbiała się tym chwalić, tyle że do restauracji chodzili Guestowie mniej więcej trzy razy w roku. – A ten drugi na zdjęciu, ten tęgi chłopak, to też kolega Nicka, lord Shepton, prawda? On w „Tatlerze” bywa regularnie.

– A jak podoba ci się auteczko Nicka? – zapytał Don w nagłym uniesieniu.

– Mmm... Ładne cacko – odparł Gerald.

– Mówiłeś, że on dał ci ten samochód, kochanie? Bo nie zrozumiałam...

– Mówiłem ci, mamó – odrzekł Nick. – To jest samochód kupiony na firmę. Mogę nim jeździć póki jestem w niej zatrudniony.

– On musi cię bardzo cenić – stwierdziła Dot z powątpiewaniem. – Ale to jest inny świat, prawda? – Nikt jej nie przytaknął. – A co u twojego syna? – spytała po chwili.

– Tobias ma się doskonale. Zakłada własną firmę. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– Często widzieliśmy jego nazwisko w gazetach! – poinformował Don, jak gdyby notatki Toby’ego na temat aktualnych prognoz giełdowych absorbowały ich każdego dnia.

– Mmm... To była niezbyt fortunna decyzja. Tobias lubi być w ruchu, w biurze jest mu trochę za ciasno... Tak czy owak, szybko rzucił tę robotę, ale dobrze, że w ogóle spróbował.

– Oczywiście...

– Szybciutko to on jej nie rzucił – wtrącił się Nick.

– Co? Tak, Nick chyba ma rację – przyznał Gerald. – Ile to trwało? Pół roku w „Guardianie”, gdzie czuł się raczej niespecjalnie, a potem jakiś rok w „Daily Telegraph”, w dziale miejskim... Tak...

– Paru kolegów Nicka z Oksfordu dorobiło się już fortuny – powiedziała Dot. – Jak się nazywa ten, co kupił sobie zamek, kochanie?

– To mały zameczek. – Nick już żałował, że pochwalił się tym przed rodzicami. – No, ale on się zajmuje reasekuracją. – Miał nadzieję, że matka nie zapyta, co to znaczy.

– Teraz karierę robi się tak szybko... – stwierdziła Dot, jak gdyby Gerald mógł również być tym zdumiony.

– Syn lorda Exmoutha też radzi sobie wspaniale – powiedział Don.

– A, owszem – potwierdził Gerald. – Nasza miejscowa błękitna krew! – Na tę wzmiankę o rodowej arystokracji bez zwłoki stał się mieszkańcem Barwick.

– Otóż to – zgodził się Don. – Mam w swojej pieczy zegary w Monksbury, toteż młodego lorda Davida znałem już wtedy, gdy był jeszcze małym chłopczykiem.

– Naprawdę...? – Gerald spojrział na niego znad okularów, mrużąc przy tym oczy. – Ale nie jeździsz chyba do Noreleyów?

– Przestałem jeździć, gdy zmarła staruszka. Ale dziesięć lat temu narobiłem się tam solidnie. W kościele mieli plagę kołatków. Natrudzili się jak diabli, żeby wykurzyć stamtąd te szkodniki.

Nick podniósł się i poczęstował wszystkich nadziewanymi oliwkami, robiąc przez moment za kelnera, aby odwieść ojca od powiedzenia tego, co, jak podejrzewał, powiedzieć teraz zamierzał. – Dzięki stokrotne – rzekł Gerald.

– Praca w tych wielkich domach to czysta przyjemność – ciągnął Don. – Mimo że na wynagrodzenie trzeba czasem trochę poczekać. – Rozejrzał się dokoła pogodnie. – Tyle ich tutaj jest... Nick ma już tego powyżej uszu, ale mam w terminarzu dwóch hrabiów, jednego wicehrabiego, jednego barona i dwóch baronetów.

– Ładny zestaw – powiedział Gerald. – Jak dobrze poszukać, to może znalazłby się tu też jakiś książe.

– Mnie w tych domach najbardziej fascynują meble. – Nick palił się ze wstydu. – Są tam od setek lat.

– To prawda. – Gerald kiwnął głową, jak gdyby sam zwrócił uwagę na ten ważki fakt. Następnie uniósł i opuścił brwi, zakłopotany brakiem dżinu w kieliszku.

– Nick mówił mi, że w domu w Londynie też macie parę skarbów.

– To znaczy?

– Francuska robota, jeśli dobrze zrozumiałem.

– O tak, mamy dość dużo rzeczy z Francji – odparł Gerald, który nie miał zielonego pojęcia o pochodzeniu większości mebli w swym domu.

– Macie też piękne obrazy...

Gerald spojrział na Guestów łaskawym, może nawet protekcyjnym wzrokiem, lekko poczerwieniały ze zniecierpliwienia; tak przynajmniej wydawało się Nickowi, który wczuwał się w położenie obu stron, jak gdyby spierał się sam z sobą. – Powinniście nas odwiedzić, prawda, Nick? Przyjedźcie, gdy nas nie będzie. Wpadnijcie, gdy będziemy we Francji i czujcie się jak u siebie. Obejrzyjcie uważnie cały dom; znacie się na tym, więc powiecie nam później, co jest czym.

– To bardzo miło z twojej strony – odrzekł Don, uśmiechając się na samą myśl o tej kuszącej propozycji.

– To raczej niemożliwe – powiedziała Dot, która nawet u siebie nie zawsze czuła się swobodnie, a co dopiero w domu obcych ludzi. – To znaczy, jesteście oczywiście zaszczytzeni... – Propozycja Geralda najwyraźniej ją przygnębiła; przygryzła policzek i spojrzała na męża. Czasami Nick miał wrażenie, że jego matka nie jest zbyt rozzębiona, i ubolewał nad jej niepojętnością, choć z drugiej strony bez trudu rozpoznawał jej nastroje i niewymówione sugestie, jak to zwykle bywa między matką a jej jedynym dzieckiem, i również teraz od razu wyczuł jej niepokój. Pobyt w Kensington Park Gardens, poznanie zarówno domu Feddenów, jak i jego okolic na pewno zaspokoiłoby jej ciekawość; nadałoby jednak także konkretny i niezapomniany kształt wyobrażeniom na temat świata, w którym żyje jej syn, z całą jego tolerancją, rozrzutnością, piwnicami na wino, gosposiami dukającymi łamaną angielszczyzną tudzież zdarzającymi się czasem, jak twierdził Nick, telefonami od ministra spraw wewnętrznych. Zalałaby ją fala nowych informacji, a sama często mówiła, że więcej wiedzieć już nie chce.

– Przemyślcie to mimo wszystko – rzekł Gerald, Nick zaś zrozumiał, patrząc na mruczących coś serdecznie rodziców, że nigdy nie wrócą do tego tematu.

Wjechał na rynek i zwolnił, kiedy zbliżali się do szyldu ZEGARY D.N. GUEST ANTYKI. – Otóż i nasz sklepik! – Uniósł rękę, jakby pokazywał Pałac Dożów lub inny wspaniały i godny zwiedzenia budynek.

– Widzę, widzę – powiedział Gerald. Nick zdążył jedynie rzucić okiem na antykwariat rodziców; był on dla niego jak niespodzianka przygotowana z myślą o kimś, kto nigdy jej nie doceni. Ta strona rynku tonęła już w cieniu, podczas gdy białe stiuki Crown Hotel naprzeciw jaśniały od promieni zachodzącego słońca. Bezchmurne niebo nad dachami, zamknięte sklepy i pustka prowincjonalnego miasteczka wieczorem, w

pełni lata... Pustka nie była jednak zupełna, bo przed kolacją spacerowali po rynku weekendowi przyjezdni, zaglądając w witryny nieczynnych sklepów z nadzieją, że już nazajutrz kupią wypatrzone pamiątki; pod arkadami ratusza kręcili się też młodzi przedstawiciele miejscowej ludności, zwani tutaj bumelantami. Ratusz stanowił zresztą chlubę miasta, a niektórzy mieszkańcy twierdzili nawet wbrew wszelkim dowodom, że tę łukowatą klatkę z kamienia i szkła zaprojektował sir Christopher Wren. W dzieciństwie Nick był tak dumny z ratusza, że przygotował nawet lekcję w szkole na temat jego struktury i elewacji; kiedy miał lat dwanaście, budynek ten stanowił w jego oczach, podobnie jak Tadź Mahal i parlament w Ottawie, synonim architektonicznego raj. Chwila, w której przyjął w końcu do wiadomości, że projektantem ratusza nie jest Wren, była równie ponura i ekscytująca jak cały okres dorastania. Teraz krążył wokół niego, przyciągając wzrok bumelantów i delektując się faktem, iż wraca tu triumfalnie w swoim ochryplym auteczku. Czuł się, jakby wszystkie podboje seksualne, zainwestowane pieniądze, utytułowani znajomi i narkotyki ciągnęły się za nim niczym welon. Poczucie wyższości nie było złudzeniem, bo przecież ci chłopcy nie umieliby sobie wyobrazić przyjemności i przywilejów oferowanych przez jego świat, toteż nie mogli mu nawet zazdrościć. Gdy zatrzymał się przy hotelu, Gerald wyskoczył z mazdy i przeczesał dłonią włosy, rozdarty między swoim krzykliwym, ekstrawertycznym „ja” i poczuciem, że uraża nieco swą dumę, pokazując się w miejscu publicznym z młodym gejem. Penny czekała już na niego, zarumieniona, z uśmiechem na zaciśniętych ustach, jak zawsze poważna i uczynna. Gerald podszedł do niej z ulgą. – Dobrej zabawy! – rzucił Nick i dodawszy gazu, znowu okrążył rynek, myśląc, że i on sam chciałby się porządnie zabawić.

Zaparkował na środku, gdzie w czwartki odbywał się targ, i wyłączył silnik. Za chwilę będzie musiał wrócić do domu i zjeść kolację z rodzicami, pragnącymi szczegółowo omówić przebieg wizyty Geralda. Pojawią się nowe problemy, nowe powody do niepokoju. Podejrzewał, że Gerald nie wzbudził ich zaufania, bo mimo całej nerwowości i gościnności rodzice bezbłędnie wyczuwali wszelką sztuczność i fałsz; nie uważali się za spostrzegawczych, a jednak tacy byli. Zauważyli na pewno, że Gerald nie pytał wcale o nich samych, a o londyńskim życiu swojego jedynaka będą odtąd myśleć jeszcze bardziej nieufnie niż do tej pory. Nick znowu spojrzął na rodzinny antykwariat, szczelnie zamknięty, bezludny, z krzesłami w witrynie, za którymi reszta pomieszczenia tonęła już w gęstniejącym z wolna mroku. Patrząc na szyld, odniósł dziwne, nieznane

dotąd wrażenie: wydawało mu się przez moment, że napis w środku brzmi N. GUEST i że z jednej strony napiera nań jego młodzieńcza duma, jeszcze z lat szkolnych, z drugiej zaś późniejszy oksfordzki snobizm. Później przeniósł wzrok na lustерko, na grupę chłopców, którzy majacząc w oddali, wlekli się wolno przed siebie. Po rynku rozszedł się echem brzęk kopniętej puszki; potem ktoś beknął donośnie. Jak by to było, myślał Nick, gdybym tu został, tak daleko od rzeczy najpotrzebniejszych: od Heaven, od opery, od dostaw Ronniego...? Przez chwilę usiłował wczuć się w taką sytuację. Wszak w Barwick również mieszkają ludzie kulturalni, z księgozbiorami, z gramofonami; kiedy próbował wyobrazić ich sobie, zawsze przybierali kształt nauczycieli z miejscowej szkoły, pana Levertona i uczniów przerabiających z nim Hopkinsa. Mieszkało tu jeszcze zapewne kilku szkolnych przyjaciół, na których prawdopodobnie mógł liczyć. Statystycznie rzecz biorąc, w Barwick powinno też być pięć, może sześć setek homików, ukrywających się mniej lub bardziej skutecznie gdzieś za tymi sklepowymi szyldami, za tajemniczymi oknami w górnych partiach kamienic. A szalet w parku Abbots' Field to przypuszczalnie ich punkt spotkań, odrażający symbol ich losu.

Z prowadzącej na rynek głównej ulicy wylaniały się już oślepienie przez słońce pary zaproszone na bankiet w Crown Hotel: ufryzowane kobiety w długich spódnicach i mężczyźni w garniturach, witający się ze sobą lekkimi klepinięciami, niekiedy kłopotliwymi pocałunkami (nie mężczyzna z mężczyzną, rzecz jasna), podekscytowani zbliżającym się przemówieniem ich posła, spokojni siłą swych słusznych, konserwatywnych poglądów. Nagle w zasięgu wzroku pojawił się seksownie ostrzyżony Gary Carter, który przybył tu na sobotnie łowy, ubrany w krótką dżinsową bluzę i nowe obcisłe dżinsy; wykrzyknął coś do kumpla pod ratuszem i dalej obnosił się dumnie z tą swoją zabawną, nierażącą nikogo ciotowatością przystojnego heteryka w prowincjonalnym miasteczku. Z drugiej strony dziewczyny też chyba miały słabość do męskich tyłeczków – i słusznie, tylko co one z nimi robią, zastanawiał się Nick. Gary przeszedł pod ratuszem i wynurzywszy się po drugiej stronie, podjął swój niespieszny spacer na przeciwległym chodniku. Nick powinien już wrócić do rodziców, otrząsnął się więc z małomiasteczkowych marzeń, zdumiony, że tak szybko znowu wzięły go w posiadanie. I przypomniał sobie Hawkeswood, gdzie bodaj nikt nie miał pojęcia, z jakiego świata Nick się wywodzi. Tak, musiał się stąd ewakuować. Wydawało mu się, że długie lata młodzieńczej nudy, pożądania i estetycznych porywów zastygły niczym w

bursztynie na zalanym wieczornym słońcem rynku. Jakże on kiedyś kochał to miejsce, jakże wyrwał się w marzeniach do Londynu, istniejącego hen za polami pszenicy, za tuczarniami, za bocznicami towarowymi... Stwierdził, że przejedzie obok Gary'ego, zwróci na siebie jego uwagę i zanotuje jego obraz w pamięci, by wykorzystać go później. Zapuścił silnik i odwrócił się, żeby cofając, wyjechać znów na ulicę. I wtedy spostrzegł leżącą na tylnym siedzeniu teczkę z przemówieniem Geralda.

Penny z pewnością miała w hotelu kopię tego tekstu, tyle że bez dopisanych żarcików, bez uwag i podkreśleń. Swoją drogą, dużo ich było jak na tak wytrawnego mówcę. Na górze pierwszej strony imiona „Archie” i „Veronica” obwiedziono kółkami z czerwonego atramentu. Teraz należało znaleźć Penny i z jej pomocą oddać teczkę właścicielowi. Rozdają już pewnie drinki. Nick wyobraził sobie odpychającą uroczystą salę, w której zazwyczaj odbywają się konferencje małego biznesu i bankiety Klubu Rotariańskiego. Wprawdzie ubrany był w pomięte płócienne spodnie i koszulkę z krótkimi rękawami, lecz mógł wskoczyć tam niczym inspicjent z brakującym rekwizytem, a konserwatyści z Barwick nie dostrzegliby go, zaabsorbowani trwającym już spektaklem.

W holu wzięto go za szofera lub gońca, a jeśli rozpoznał go choćby jeden z obecnych tu mężczyzn, który pracował w operetce lub kiedyś plombował mu zęby, lub brał miarę na jego szkolny mundurek, to nie dał tego po sobie poznać. Był to a front i ulga zarazem. Dziewczyna w recepcji powiedziała mu, że Gerald, jak sądzi, wyszedł na parking za hotelem, bo chciał, jak sądzi, odetchnąć świeżym powietrzem. Nick wszedł na długi korytarz, prowadzący wieloma zakrętami przez rozmaite dziwne pawiloniki do tylnej części budynku. Ściany pokryte tu były czerwoną wzorzystą tapetą, a wisiały na nich sztychy ze scenami łowieckimi i kopie siedemnastowiecznych map regionu; czerwony był również dywan z okropnym czarnym wzorkiem, który wirując w oczach, męczył wzrok. Mijał się z kolejnymi parami, zapewniającymi się nawzajem o tym, że samochód zamknięty i że włosy w porządku – wszyscy z półuśmiechem na ustach, a mężczyźni dla pewności poklepujący kieszenie z notesami. Czuli się dobrze w tym korytarzu, obwieszonym strzępami pseudohistorii, pośród zapachów piwa i baraniny. Za następnym zakrętem stał Gerald, który rozglądał się dokoła, jakby chciał zaraz uciec; to w końcu ostatnia minuta jego prawdziwego życia przed rozpoczęciem spektaklu. Nick nie krzyknął, bo między nimi kręcili się goście; dojrzał jednak, jak Gerald otwiera pchnięciem boczne drzwi i znika mu z oczu.

Napis na drzwiach brzmiał „Tylko dla personelu”, toteż Nick również się rozejrzał. Było to wyjście ewakuacyjne z sali bankietowej, służące obecnie jako korytarz dla hotelowej obsługi i w związku z tym oświetlone mniej efektownie niż korytarz główny. Nick dostrzegł głowę Geralda za drucianą szybą okienka w kolejnych drzwiach wahadłowych; towarzyszyła mu rozchichotana Penny. Znakomicie; wszystko jest pod kontrolą. Drzwi kołysały się jeszcze leniwie, gdy Nick pchnął je przed siebie – i pewnie dlatego go nie usłyszeli. Odwrócił się szybko, wsunął nogę w drzwi i upuścił teczkę, chcąc narobić trochę hałasu, żeby żadne z nich nie wiedziało, iż widział on dłoń Penny w tylnej kieszeni spodni Geralda, tkwiącą tam jak dłoń zakochanej nastolatki.

On to jednak zobaczył i ten szokujący, choć jakże banalny fakt nie pozwolił mu potem skupić się przy kolacji, kiedy to zgodnie z przewidywaniami odbyła się rozmowa na temat Geralda. Zgadzał się ze skwaszoną miną na wszystkie krytyczne uwagi, a sam mówił o nim jak o kimś niedarzoną nigdy specjalnym szacunkiem. A przez to ich niepokój jedynie się pogłębił. Po kolacji rodzice uroczyście zasiedli przed telewizorem, aby obejrzeć letnią powtórkę *Sedleya* w ITV. Dot, nieco już wstawiona, powiedziała w pewnym momencie: – Mój syn go zna! Przyjaźni się z Patrickiem Graysonem! – a Nick pomyślał: Czy ty nie widzisz, że to jest stary koszmarne pedał?

Kiedy szli spać, zresztą zdumiewająco wcześnie, bo na dworze zmierzchał jeszcze przepięknie ten gorący letni dzień, Nick krzyknął: – Dobrej nocy! – i zamknął za sobą drzwi pokoju z przytłaczającym poczuciem straty, jak gdyby jego prawdziwymi rodzicami byli Gerald i Rachel, nie zaś ci spokojni staruszkowie w swoich bliźniaczych łózkach za ścianą. Później usłyszał chrapanie ojca i skrzyp łóżka matki; wyobraził ją sobie, jak naciąga kołdrę na uszy. Rachel przyznała kiedyś, że Gerald też chrapie, tyle że u niej był to jeden z przejawów dobrego wychowania, które kazało jej czasem podkreślać, że nawet wybrańcy fortuny mają swoje problemy („Nigdy nie możemy dostać miejsca w Tante Claire”¹⁵). – Potrafi zrobić niezły harmider – powiedziała mu wtedy. A to, co teraz zobaczył, skłaniało Nicka do wyciągania i odrzucania rozmaitych wniosków; przykre konkluzje kusiły i odstręczały jednocześnie. Pomyślał, że rozumuje jak świętoszek. Myślał o wizytach Geralda w Barwick, zawsze z Penny, prawie zawsze bez Rachel. Wypracowali oboje skuteczny system i nauczyli się utrzymywać go w tajemnicy, toteż czuli się

¹⁵ Tante Claire – ekskluzywna restauracja francuska w Londynie.

bezpiecznie. No i to ciągle maskowanie się: „odraza” do Barwick, męczące dyzury poselskie, nużące spotkania z Archiem Manningiem... A w Londynie? Tam pewnie tego robić nie mogli, ryzyko było za duże. Może zresztą tak wiele się między nimi nie działo? Czy Penny w ogóle nadawała się do takiej roli? Może istnieje inne wytłumaczenie dla tego, co Nick widział w hotelu? Trudno je sobie wyobrazić. Ciekawe, czy on w tej chwili chrapie, pomyślał. I nagle to, co Gerald prawdopodobnie teraz robi, zarysowało się wyraziście w rozerotyzowanym umyśle Nicka. A chrapanie, jeżeli Gerald chrapie, jest zapewne dla jego partnerki znośną karą za ten niedopuszczalny romans... Nick opamiętał się i aż wzdrygnął, zniesmaczony swoimi myślami. Gdy obudził się nieco później w tak samo cichym domu, wróciło poczucie oszołomienia: dorosła pogarda dla banalności tego faktu połączona z dziecinną rozpaczą. Stwierdził, że jest to już jego własna tajemnica, którą mimo woli będzie musiał w sobie nosić, dopełniając nieprzyjemnego obowiązku i zachowując się nielojalnie względem Rachel. Leżał, wsłuchany w ciszę, w ciszę iluzoryczną, bo na jej tle słyhać było wiele dźwięków: westchnienia szarej topoli, wodę wlewającą się do zbiornika na górze i jakieś słabe dalekie uderzenia gdzieś wewnątrz głowy, niby drzwi zatraskiwane w nieistniejących skrzydłach domu.

I

– Patrzcie w lewo. Tam jest ten zamek – powiedział Toby, zwalniając przy rozstępie między drzewami, skąd dano się widzieć strome dachy łupkowe, fioletowoczarną cegłę i szlifowane szkło o typowo dziewiętnastowiecznej twardości.

– Okej... – rzekł Wani. – Ale to już do was nie należy?

– Dziadek sprzedał ten zamek po wojnie – odparł Toby.

– A kto tam teraz mieszka? – zapytał Nick, który czuł jednak większą słabość do przydrożnych zajazdów lub wieżyczek wyrastających spośród drzew. Bardziej też od gotyku fascynował go pseudogotyki. – Można tam wejść?

– To jest obecnie dom opieki dla emerytowanych żandarmów – wyjaśnił Toby. – Byłem tam. Trochę to przygnębiające... – I dodał gazu, rozpędzając się znowu na wyboistej szosie.

– Naprawdę? – Nick jakoś nie mógł w to uwierzyć.

– Były z nimi kłopoty? – uściślił za niego Wani.

– Czasem troszeczkę rozrabiają – odparł Toby. – Parę razy musieliśmy wzywać policję. – Spojrzał w lusterko, by sprawdzić, czy Nick uśmiechnął się na ten żart. Żarty Toby'ego... Słyszac je, Nick miał ochotę uścisnąć go i zmiażdżyć.

– A dom, do którego jedziemy, to...? – dopytywał się Wani.

– Dworek... Dworek był kiedyś największym domem na tej posiadłości. Jest bardzo stary, szesnasty wiek, jak sądzę... Sami zresztą zobaczycie. Mniejszy od tego zamku, ale znacznie przytulniejszy. Tak się nam przynajmniej wydaje.

– Okeeej – powiedział Wani, przeciągając samogłoskę. Dało się w tym wyczuć sugestię, że wolałby wprowadzić dom nieco większy, lecz dworek również go zadowala. – A to jest dalej własność Lionela?

– Ściśle mówiąc, owszem – odparł Toby.

Wani wyglądał przez okno z miną człowieka, który zna wartość każdej rzeczy na świecie. – Kiedyś, staruszkule, wszystko to będzie należeć do ciebie – stwierdził z satysfakcją, jak do rywala w tej samej konkurencji.

– No... Do mnie i mojej siostruni, rzecz jasna.

Tak odległej przyszłości Nick nie potrafił sobie wyobrazić.

– A kto tam jest teraz? – zapytał Wani.

– Obawiam się, że tylko my – rzekł Toby. – Mama, tata, ja i Catherine. No i Jasper.

– To ten jej chłopaczek?

– Tak. Znasz go? Siedzi w nieruchomościach.

– Chyba wiem, o kim mowa – powiedział Wani.

– Jasper bardzo zaprzyjaźnił się z tatą. Pewnie wystawi dom na sprzedaż, jak tylko stamtąd wyjedziemy.

Nick prychnął śmiechem z tylnego siedzenia. Jakież z tego Jaspera cwaniak, pomyślał. Jak sprawnie wkupił się w łaski Feddenów z tym swoim kasztanowym pasemkiem na czole i głosem starego spryciarza. I jakże zręczny jest Wani, jak szybko przeprowadza rozpoznanie terenu, nie zdradzając się przed Tobym, starym kumplem z Oksfordu. Nick patrzył na głowy obu przyjaciół: na czarne kędziory Waniego, na krótko obcięte włosy Toby'ego i jego opalony kark; przez moment poczuł, że obydwaj są dla niego obcymi ludźmi, obcy również sobie nawzajem. Mieli zaledwie po dwadzieścia kilka lat, lecz wysokość i ekspansywność rangę rovera czyniła z nich panów świata: Toby wysportowany i niegrzeszący wyobraźnią, Wani ospały i dyskretnie czujny, jak przystało na człowieka majątnego. Być może przyjaźń nie grała tu dużej roli, ale łączyła ich obu pozycja społeczna, nie zaś podobny tryb życia.

– A propos... Kupiłem jednak ten biurowiec w Clerkenwell.

– Jednak – rzekł Toby. – To dobrze.

– Czteryście tysiaków. Sam rozumiesz...

– Jasne – odparł Toby i zrobił znudzoną minę. Ich małomówność graniczyła z pretensjonalnym sztywniactwem, lecz dało się ją zaakceptować jako manifestację

dorosłości. Wani nawet nie wspomniał Nickowi o swym najnowszym zakupie. Było to charakterystyczne dla jego skrytej natury, zarówno szczodrej, jak i małostkowej; najpierw podarował Nickowi pięć tysięcy, a teraz dawał mu odczuć, że taka suma ma się wręcz nijak do rozmachu jego operacji finansowych.

– To cudownie. Chętnie obejrzę przy okazji. – Zauważył, że próbuje dotrzymać im kroku, dowieść poniekąd, że on też, po raz pierwszy w życiu, ma wreszcie własne pieniądze. Siedząc w aucie za Tobym i Wanim, uzmysłowił sobie jednakże, iż posiadana przezeń suma jest nader skromna, i wpadł przez to w zakłopotanie większe niż wtedy, gdy był zupełnie bez grosza.

– A więc Martine do nas nie wpadnie? – zapytał Toby.

– Moja matka jej raczej nie puści – odrzekł Wani z ledwo uchwytną ironią w głosie.

– Kiedyś będzie musiała. – Toby wybuchnął gromkim śmiechem.

– Wiem... – przyznał Wani. – A ty, swoją drogą, masz kogoś, stary kutasie?

– Nieee... – Toby uśmiechnął się kwaśno, jakby podkreślał swą niezależność, po czym krzyknął z ulgą, wciąż krotochwilnym tonem: – Otóż i wierny sługa rodu! – Z naprzeciwka nadjeżdżał na rowerze staruszek z szeroko rozstawionymi, zginającymi się miarowo kolanami. Zatrzymał się i chwiejnym krokiem podprowadził rower na trawiaste pobocze. Toby zahamował obok niego. – *Bonjour, Déidé... Et comment va Liliane aujourd'hui?*

Przytrzymując się samochodu, staruszek zajrzał ostrożnie do środka, lustrując wszystkich niepewnie i nieco przebiegle zarazem. – *Pas bien* – powiedział.

– *A, je suis désolé* – odrzekł Toby niezbyt szczerze, tak się przynajmniej wydawało Nickowi. Ale była to w końcu rola do odegrania, postać, w którą wciela się człowiek mówiący obcym językiem. Rozmowa toczyła się dłuższą chwilę; Toby wysławiał się płynnie, nie siląc się jednak na francuski akcent. Wyczuwało się wzajemną życzliwość i prostotę łączących ich relacji, a lakoniczne repliki staruszka brzmiały jak powiew autentyzmu w uszach przybyszów, starających się wychwycić każde słowo. Wani oczywiście mówił po francusku od dziecka, ale Nick poczytywał sobie za sukces, gdy udało mu się zrozumieć cokolwiek. Obcojęzyczne żarciki przechowywał zresztą w pamięci na później, bo dopiero po pewnym czasie miały stać się one zabawne jako specjalny dialekt ich dziesięciodniowej wizyty we Francji. Rozsiadł się teraz wygodnie z wyrozumiałym uśmiechem na ustach i napawał się gorącym światłem słonecznym,

przenikającym przez przydrożne kasztany i dęby. Rozkoszował się też poczuciem, że czeka na niego niespodzianka, że ktoś prowadzi go cienistą ścieżką ku miejscu, z którego rozciąga się cudny widok. Nawet powietrze drgało tu jak w górach, zwiastując gwałtowny spadek terenu, przejście masywu w dolinę.

Toby zakończył rozmowę, wszyscy pożegnali się z Dédé serdecznym kiwnięciem głowy i samochód powlókł się dalej po wyboistej szosie.

– Mam nadzieję, że zjawi się tu także twoja babcia – powiedział Nick.

– Nie ma obawy – odrzekł Toby. – Przyjedzie we wtorek. Poza tym zwał się Tipperowie. Przykro mi, ale...

– Nic się nie stało – uspokoił go Wani.

– Dobrze, że mam was ze sobą – powiedział Toby i spojrzał z sympatią na twarz Nicka w lusterku.

– Tutaj jest fantastycznie – rzekł Nick. Kiedy skręcili i przejeżdżali między filarami bramy wjazdowej, poczuł ciarki na plecach, wróciło bowiem uczucie, jakiego doznał pierwszego dnia w Oksfordzie i pierwszego poranka w Kensington Park Gardens, poczucie niewinności i tęsknoty.

Dziedziniec zamknięty był z trzech stron: z przodu przez obrośnięty pnączem dostojny front domu z małymi okienkami, z lewej przez niską oficynę, z prawej zaś przez dawną stodołę i stajnię. Dom zasłaniał cały widok i tylko biegnący na przestrzal cienisty korytarz, zwieńczony jasną plamą, dawał przedsmak rozciągających się dalej krajobrazów. Kiedy Nick wyjął z auta swoje bagaże, Wani wskazał mu gestem Toby'ego, który podniósłszy walizki, szedł ku drzwiom po kamiennych płytkach, a jego sandały klapały donośnie pod zgrabnymi opalonymi nogami. Gdy jego sylwetka znieruchomiała na chwilę w drzwiach, wyglądał dokładnie tak, jak wiele lat wcześniej w bramie Worcester College, oddzielającej przybytek nauki od reszty świata; wydawało się wręcz, że te budynki i schody stanowią jego naturalne środowisko i wcale nie musi ich zauważać. Wróciło też inne wspomnienie, ów pierwszy poranek w Kensington Park Gardens i poczucie, że rodzinny dom Toby'ego nie tyle odzwierciedla jego zainteresowania, ile prędzej kompensuje brak takowych.

Z holu widać było kilka otwartych pokoi z zasuniętymi zasłonami, przez które jednak w paru miejscach przebijało się słońce. Porcelanowe miseczki, dębowe stoły, słomkowe kapelusze, gazety i książki – wszystko to tchnęło groźną aurą standardowych

wakacji, rozmaitych gier i zabaw, w których trzeba będzie brać udział; w całym tym zacienionym teraz wnętrzu, pełnym starych miękkich foteli, czuło się widmową obecność Feddenów. Widoczne z holu pokoje o kamiennych ścianach i wysokich pochyłych stropach wyglądały jak zapadnięte w ziemię, niby komnaty na zamku lub sale lekcyjne w starej szkole. W tej chwili wszędzie ziało tu pustką; zabawa toczyła się gdzie indziej.

Toby zaprowadził ich potem po szerokich płytkich schodach na piętro. Przez całą długość domu ciągnął się tam wyłożony brunatno-żółtymi płytkami korytarz, z którego wchodziło się do sypialni, przypominających schludne klasztorne cele. Nick i Wani dostali pokoje na samym końcu. – Mama rozmieściła was naprzeciw siebie – powiedział Toby – więc lepiej się nie pokłóćcie. – Wani uniósł brwi, sapnął i wzruszył ramionami z francuska. Dalej odgrywali swój spektakl. Przez moment aż trudno było uwierzyć, że nie jest to zwykły dyskretny układ dla żyjącej bez ślubu pary i że Toby nie zna ich ajemnicy, że o nic ich nawet nie podejrzewa. Nick przywykł już do zwodzenia starszych od siebie ludzi, ale smuciło go oszukiwanie Toby'go. Domyślał się, jakim ciosem dla jego dziecinnie dobrotliwej natury byłoby ujawnienie prawdy. Wani jednakże wydawał się nie znać takich obaw. Nick spojrzał teraz na niego i błyskawicznie odnotował inny rodzaj ulgi na jego twarzy: on sam cieszył się, że ich pokoje są blisko siebie, a jego kochanek – że będą mieszkać osobno. Wani dostał pokój od frontu, Nicka natomiast, zapewne jako członka rodziny, umieszczono w małym ciemnym pokoiku z widokiem na wiekowego płątana. – Wspaniale! – stwierdził. Rozpakował się i powiesił w szafie swoje garnitury, jak zawsze niepewny, co ludzie bogaci rozumieją pod określeniem „strój codzienny”. Wyprana w monachijskim hotelu bielizna była poprzekładana szeleszczącą bibułą. Nick zauważył, że z kranu w łazience kapie woda, tworząc rdzawą plamę na umywalce. Przy łóżku stał regał ze starą prozą francuską, powieściami Fredericka Forsytha oraz kilkoma oprawnymi w skórę książkami historycznymi i pamiętnikami z herbowym ekslibrisem Kesslerów. Było tam również parę dziwnych obrazków na szkle, oprawionych w werniksowane ramki z gruszy. Nick rozgościł się w pokoju, próbując nie dopuszczać do siebie poczucia lekkiego rozczarowania.

Toby dalej rozmawiał z Wanim w drzwiach jego pokoju; ręce trzymał w kieszeniach szortów, nad którymi sterczał bezdyskusyjny brzuszec. Wani miał w sobie coś wygodnickiego, swoistą bierność i niezdecydowanie. Nick kochał go, lecz była to czułość przyjacielska, taka, co godzi się na pewną dozę znużenia, a nawet jest przez nie trzymana

w karbach i może dzięki niemu jeszcze istnieje. Jego uczucie stało się czystsze, postradało całą zaborczość, lecz pozostało niezłomne. – O, on nam powie – rzekł Toby.

– Otóż to. Jak się nazywał burdel, który odwiedziliśmy w Wenecji? – zapytał Wani. On też się rozpakowywał, tyle że czynił to równie nieśmiało i powolnie, jak wtedy gdy rozbierał się w ośrodku w Highgate.

– A, *risotto*? – odparł Nick. – W gruncie rzeczy jest to małe ekskluzywne kasyno, w którym kiedyś, jak sądzę, mieścił się burdel. Il ridotto della Procuratoressa Venier. To jest tuż za bazyliką Świętego Marka.

– Proszę uprzejmie – rzekł Wani.

– Założyli je ludzie z amerykańskiego oddziału Venice in **Perli**¹⁶. Trzeba tylko nacisnąć dzwonek i zacna dama wpuści cię do środka.

– Okej... – powiedział Toby. – A więc to nie jest zwykły burdel...

– Trudno sobie wyobrazić, by ktoś mniej przypominał burdelmame niż ta dama z Venice in Peril – rzekł Wani. – W pierwszym numerze puszcze duży materiał na temat najlepszych burdeli.

– To się spodoba reklamodawcom – zauważył Toby.

– Prawda? – zgodził się Wani. – Może nie najlepszych, tylko najpiękniejszych. – I spojrzal na Nicka, który podsunął mu ten pomysł.

– Mogłeś wziąć mnie ze sobą – powiedział Toby. – Czego nasz stary biedny Guest może szukać w kurewskich buduarach?

– Och, przydałbyś się nam bez wątpienia – rzekł Wani i uśmiechnął się do niego serdecznie, tak że Nick przez moment zachodził w głowę, czy Wani leci na Toby'ego. Było to wprawdzie możliwe, lecz mało prawdopodobne, choćby z tego powodu, że Toby'ego nie dało się kupić.

– Drinki o szóstej – oświadczył Toby. – Ale najpierw możecie popływać. Teraz wszyscy są na dworze. – I klapiąc sandałami, odbiegł korytarzem.

Nick przeszedł przez pokój Waniego, otworzył przymknięte dotąd okiennice i po raz pierwszy ukazał mu się długo oczekiwany widok: zalesione góry, których zbocza przypominały w paru miejscach splecione ze sobą palce, dalej zaś jaśniejące w

¹⁶ Venice in Peril (Wenecja w niebezpieczeństwie) – brytyjska organizacja gromadząca fundusze na odbudowę i konserwację weneckich zabytków i dzieł sztuki.

popołudniowym słońcu zakole rzeki Dronne z górującym nad nim skalnym urwiskiem. Blask Francji w pełni lata, barwy suche i spłowiałe, ale zarazem drgające światłem, poprzetykane cieniami kojarzącymi się z gęstą szarą mgłą... Bliżej, przy domu, teren opadał kilkoma skalistymi tarasami, między którymi biegły schody. Patrząc z okna, trudno było to wszystko ogarnąć. – No, dobra. Muszę się przebrać – powiedział Wani.

– Dobry pomysł – rzekł Nick i odwrócił się z uśmiechem na ustach.

– Hm. Okej... – Wani zmarszczył brwi, jak niechętny czemuś chłopczyk.

– Kochanie, przez pół ostatniej nocy mój język tkwił w twoim tyłku, więc nie zaszokujesz mnie teraz, ściągając koszulę.

Wani zaśmiał się oschle i rozmieścił na podłodze szafy liczne pary swych półbutów i mokasynów. – Chodzi o to, co ludzie mogą powiedzieć – mruknął.

– Boja jestem gejem, tak? – zapytał Nick, unosząc brwi. – W domu nikogo nie ma. A ja będę wyglądać przez okno... Wy chylę się nawet. – Co uczyniwszy, ujrzał tuż pod sobą biały płócienny daszek, pod którym zapewne stał sławetny stół, określany często przez Geralda jako najwspanialsza jadalnia w Europie. Właśnie ten stół wraz z daszkiem stanowił istotę ich widoku – tego, o którym Gerald mówił, że jest jego własnym krajobrazem, a który, podobnie jak muzyka Straussa, był jedną z nielicznych rzeczy odbieranych przezeń bardzo emocjonalnie. Widok ten nie miał rzecz jasna wiele wspólnego z tym, czego Nick się spodziewał, i dopiero po chwili rzeczywistość wymazała z umysłu obraz stworzony przez wyobraźnię, o ile piękniejszy od prawdziwego...

W cieniu rozłożystego figowca za daszkiem po lewej schody prowadziły w dół do niskiego budynku, który Nick uznał za przebieralnię. Nagle ukazała się Catherine, biegnąca bezszelestnie na palcach po rozgrzanych kamieniach tarasu; miała mokre włosy i niebieski ręcznik na ramionach. Wyglądała bardzo młodo, wręcz dziewczęco, choć również niepokojąco, jak gdyby dopadł ją jeden z jej kryzysów i paradowała teraz w takim stroju po którejś z londyńskich ulic. Gdy z domu wyszedł Toby, siostra spytała: – Przyjechali? – nie dostrzegając go jednak, mimo że zadała mu pytanie. – Za chwilę zjedzą – odparł Toby, zmierzając po schodkach w stronę basenu. Catherine rozłożyła ręcznik na tarasowym murku, odgarnęła włosy do tyłu i wolno uniosła wzrok, aż w końcu zauważyła Nicka, który wychylał się dalej przez okno z szerokim uśmiechem na twarzy. – Cześć, kochany!

– Cześć, kochana! – Nick rozpostarł ramiona i przybrawszy lubianą przez przyjaciółkę manierę zniewieściałego geja, udawał przez moment, że rzuca kwiaty wiwatującym tłumom. Catherine rozpromieniła się i uniosła dłonie w bezgłośnym aplauzie.

– Złaż tu w tej chwili! – krzyknęła.

– Już idziemy...

Przez białe płótno spodni Waniego przebijały się prowokacyjnie czarne spodenki kąpielowe. Nick miał już pewne rozeznanie w rodzajach strojów kąpielowych obowiązujących na paru basenach. Wiedział, że dumnie wybrzuszony kąpielówki, które nadają się do samotnego pływania lub metodycznych kąpiele słonecznych, kiepsko sprawdzają się na koktajlach lub przy ping-pongu, kiedy wskazany jest strój bezpłciowy. Może jednak się mylił, bo przecież wyjazd do Francji wiązał się w dużym stopniu z kultem słońca i Feddenowie, w przeciwieństwie do Nicka, nie musieli wcale uważać, że widoczne kontury jego penisa stawiają na wokandzie ważką kwestię: co też on lubi nim robić.

Catherine pocałowała obu chłopców na dwa różne sposoby: otarła policzek o twarz Waniego i ryknęła: – Cześć! – okazując, że ani go nie zna, ani też wiele się po nim nie spodziewa; natomiast Nicka ogarnęła ramionami, na których znowu spoczywał ręcznik, wtulając się w przyjaciela swym drobnym ciałem w wilgotnym kostiumie, on zaś krótko odwzajemniwszy uścisk, wyrwał się jej ze śmiechem. – Dzięki Bogu, już tu jesteś – powiedziała.

– Jak się miewasz, kochana?

– Znakomicie. Wiesz, że Gerald ma romans?

Nick zamrugał i wzdrygnął się, niby to obrażony; po chwili zdobył się na uśmiech. – Gerald? – Inaczej wyobrażał sobie dziesięć najbliższych dni; musiał teraz dowiedzieć się, kto wie o sprawie i jak dużo wie sama Catherine. Miał wyrzuty sumienia, bo wiedział i nic nie zrobił. Wolał więc najpierw oczyścić się z ewentualnych podejrzeń. – Raczysz żartować – rzekł, odkładając o kilka sekund nieuchronne pytanie: z kim?

– Nie żartuję. To prawda. Gerald ma romans z Jasperem.

Nick westchnął ciężko. – Kochanie! To oburzające!

– Tak. To skandal.

– Od kiedy?

– To trwa już cały tydzień. Jest tu taki ohydny pokój o nazwie *fumoir* i oni chodzą tam razem, grają w szachy i palą cygara. Sam się przekonasz. Nikt inny nie ma sity tam wejść, więc nie wiemy, co się tam wyprawia.

– Miejmy nadzieję, że nie dowie się o tym prasa – rzekł Nick. Cieszył się, że odroczone wykonanie wyroku, lecz zarazem kręciło mu się w głowie, bo wróciło realne poczucie zagrożenia.

– To jest jak całowanie się z muszlą klozetową.

– Cygara...?

– Swoją drogą – Catherine zwróciła się do Waniego – wywozimy tu szambo, więc nie splukujcie, czego nie trzeba.

– No nie... Jasne... – odparł Wani; zachichotał i zmarszczył czoło. Ta komiczna bezpośredniość, potrzeba podrażnienia wytwornego przybysza, świadczyła o intuicji Catherine, jak gdyby wiedziała, że skryty kokainista zawsze szuka azylu w toalecie. Potem zaprowadziła ich po schodach, pod szerokimi liśćmi figowca, na kamienne obramowanie basenu.

Basen zajmował kolejny długi taras, otwarty od strony południowej, tak że połyskująca w nim tafla wody wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Przy bliższym jego krańcu stała przebieralnia przypominająca mały domek z oknami i zamkniętymi teraz okiennicami, do którego i od którego prowadziły ślady mokrych stóp. Przy basenie, pod ogromnym czerwonym parasolem, stały zwrócone ku słońcu i wymoszczone poduszkami leżaki. Na jednym z nich leżała Rachel. Ramiączka czarnego kostiumu kąpielowego zsunęły się jej z ramion, a zamknięte oczy i rozchylone lekko usta wskazywały na to, że śpi albo znajduje się na granicy stanu, w którym nasłoneczniony umysł zapada co chwilę w płytką drzemkę. Była piękniejsza i delikatniejsza, niż Nick się spodziewał; nigdy nie widział jej bez ubrania i pomyślał, że nie chciałaby pewnie, by w tej intymnej bez mała pozie oglądał ją również Wani. Nieco dalej, na leżaku ustawionym pod innym kątem, spoczywał Gerald w ciemnych okularach na nosie, z głową pochyloną nad rozwiewanymi kartkami książki; obok niego stał pucharek z drinkiem, w którym topniały kostki lodu, a on sam też najwyraźniej spał. Jeszcze dalej, na zanurzonej płytce półce basenu, leżał wyciągnięty na brzuchu Jasper, wpatrzony w odległy pejzaż i roztaczający wokół aurę młodzieńczego znużenia. Miał na sobie duże wielobarwne spodenki kąpielowe, które gdy tylko poruszył nogami, to nadymały się, to kleiły do ciała, a różowy i

żółtozielony materiał na pośladkach połyskiwał na słońcu, przyciągając, jak stwierdził Nick, również wzrok Waniego. Potem z przebieralni wyłonił się Toby. Catherine postanowiła go ubiec i krzyknęła: – Przyjechali! – budząc resztę towarzystwa. – Wylegajcie się jak stare pryki! – zarechotała, przyjmując pozę „wariatki”, na co jej zdaniem mogła sobie tutaj pozwolić. Gerald od razu zaczął coś mówić, a Rachel przeciągnęła się i wyprostowała, by nowo przybyli mogli pocałować ją na przywitanie. Z basenu wyskoczył Jasper, rozbryzgując wodę. Wszyscy oni, półnadszy i ospali, bytujący w swoim odrębnym świecie, wydali się teraz Nickowi cudowni, a przy tym osobliwie i nieświadomie gotowi na przyjęcie bólu i cierpienia.

W trakcie kolacji przy stole pod daszkiem odbyła się druga część powitania. Nick i Wani dowiedzieli się wtedy, jak nijakie i nudne było tu życie bez nich i jak przyjemne stanie się teraz, po ich przybyciu. Każdy ujawniał swoją frustrację i oczekiwał, że goście zrobią za niego to wszystko, co sam tak bardzo chciał robić. Po tygodniu rodzinnego marazmu i powszechnej nudy miał nastąpić wybuch aktywności, okres wybitnych osiągnięć. Wani uprzejmie zgadzał się na wszystkie propozycje, choć skrzywił się nieco, słysząc, że Toby zamierza odnaleźć jakieś podziemne jezioro. – Musimy się znowu wybrać pieszo do Hautefort – mówił Gerald. – Dwadzieścia kilometrów. Jeśli trzeba, poświęcimy na to cały dzień. – Jasper ścisnął pod stołem kolano Nicka i powiedział mu, że w Podier jest pewien bar, który „człowiek tak wybredny, jak ty” powinien koniecznie odwiedzić, a Catherine, być może żartem, oświadczyła, że ma ochotę pofruwać na lotni. Potem zapowiedziała, że namaluje portret Nicka, wywołując tym jednogłośny protest pozostałych, bo pozowanie zajęłoby przecież gościowi stanowczo za dużo czasu. W końcu Rachel swoim drżącym ironicznym głosem wyraziła nadzieję, że Nick i Wani będą, jeżeli taka się okaże ich wola, oddawać się błogiej bezczynności.

– Ależ to rzecz oczywista – potwierdził nieszczercze Gerald. Sam był wprawdzie leniwy, ale zupełne nieróbstwo wiązało się w jego mniemaniu z brakiem pewności siebie. Najwyraźniej też jego coroczna przeprawa przez jeden z grubszych tomów Trollope’a irytowała go swą pasywnością, chociaż zaznaczał, że książka jest wyborna, a jej lektura odprężająca. – Może im się spodoba – powiedział. – Takiej wycieczki nie urządzaliśmy od osiemdziesiątego trzeciego roku. – Nalał sobie kieliszek wina i odstawił butelkę na oświetlony świecami stół.

– Jak się wam podobała Wenecja? – spytała Rachel. Wprawdzie patrzyła na Nicka, lecz ten przekazał pytanie Waniemu, spoglądając na niego wymownie.

– Fascynujące miasto! – odrzekł Wani. – Fascynujące.

– Tak... Fascynujące, prawda? – powiedziała Rachel. – Nigdy wcześniej tam nie byłeś?

– Nie, nigdy wcześniej tam nie byłem. – Wani, który właściwie nie znał Feddenów, błyskawicznie przejął od nich manierę potwierdzania przez powtarzanie.

– Gdzie mieszkaliście?

– Mieszkaliśmy w hotelu Gritti – odparł Wani, wzruszając ramionami i krzywiąc się lekko, jak gdyby zaznaczał, że poszli po linii najmniejszego oporu.

– Dobry Boże... No, no... – Mówiąc to, Rachel wyraziła swój podziw dla tego przybytku, przyznając zarazem, że mogli, zasięgnąwszy języka, wybrać miejsce odrobinę subtelniejsze.

– Wy pewnie też tam nocowaliście... – powiedział Wani.

Rachel pokręciła głową. – Chyba tylko raz...

– Mmm... Gdzieśmy się tam zatrzymali, Kotku? – zapytał Gerald.

– Nie mam pojęcia – odparła Catherine. Po kryzysie sprzed roku rodzice zabrali ją do Wenecji, licząc, że tam dojdzie do siebie, ona zaś teraz utrzymywała, że prawie nic z tego wyjazdu nie pamięta.

– Byto naprawdę cudownie – powiedział: Gerald, który wiasne kłopoty z pamięcią traktował z jowialnym pobłażaniem.

– Tak, to zdumiewające miasto – wtrącił Jasper i posłał uśmiech Geraldowi, a w jego oczach zamigotał odblask świateł; wyglądało to tak, jak gdyby istotnie wspominali jakieś intymne chwile.

– Kiedy tam byłeś ostatnio? – zapytał Nick z udawaną nonszalancją.

– Ooo... Dwa... może trzy lata temu – odrzekł Jasper, spuszczać głowę; pasemko kasztanowych włosów opadło mu na czoło.

– A gdzie mieszkałeś? – zapytał Wani i czekając na odpowiedź, wyobrażał sobie pewnie jakieś intymne szczegóły: przepocona pościel, rozrzucone ręczniki. Przez chwilę Jasper rozważał kilka możliwych odpowiedzi, po czym wyjaśnił krótko:

– Znajomi mają tam mieszkanko, taaa...

– Szczęściarz z ciebie – skomentowała gładko Rachel; z jej tonu nie dało się wywnioskować, czy mu wierzy, czy nie.

– Koło bazyliki?

– Niedaleko – potwierdził Jasper i podał wino Geraldowi, który opróżniwszy butelkę, powiedział:

– Zachwycił nas Caravaggio.

Nick milczał; nie był pewien, czy chce, by Wani wygłupił się niestosownym komentarzem. Jego przyjaciel zaczął jednak ostrożnie: – Wydaje mi się, że... – a wtedy Rachel zamrugła i przerwała mu, mówiąc: – Nie, kochanie, nie Caravaggio... – i wtedy postanowiła interweniować Catherine. – Carpaccio! – rzuciła i walnęła dłonią w stół.

Gerald uśmiechnął się, urażony, i zauważył: – A jednak coś pamiętasz.

Wani, jak zawsze niestropiony i prawie zawsze uroczy na swój posępny sposób, powiedział; – Na mnie ogromne wrażenie zrobiła rokokowa architektura Monachium.

Słowa te unosiły się w powietrzu przez kilka chwil niczym problem, z którym nikt nie umie sobie poradzić. Wani patrzył na rozmówców po drugiej stronie stołu z typowym dla swego ojca brakiem autoironii, a jego oświetlony pionowymi płomykami świec profil również przypominał w tej chwili twarz Bertranda. Nick czuł się wzruszony, bo kochanek nieświadomie przywłaszczył sobie jego słowa, uznawszy je widać za użyteczne; sądził zapewne, że we Francji, na tarasie starego pięknego domu, pośród „rodziny” Nicka, mógł odgrywać rolę estety równie skutecznie, jak Nick na Lowndes Square. Prawdziwy charakter ich pobytu w obydwu miastach, naznaczony seksem, kokainą i późnym wstawaniem, stanowił ich wspólną słodką tajemnicę; inne szczegóły, takie jak niezwydanie zabytków, marnowanie czasu i pieniędzy czy zrozumienie smutnego faktu, że Wani jest raczej filistrem, stanowiły już tylko prywatną tajemnicę Nicka. – Tak, byłeś zachwycony, to prawda – powiedział.

– Byłeś kiedyś w Monachium, kochanie... – zwróciła się Rachel do Geralda.

– A, tak – odparł Gerald z głupawo zakłopotaną miną, jak zawsze gdy wspominał swoje skromne początki, jeszcze przed małżeństwem z Rachel. – Zahaczyliśmy z Borsukiem o Monachium w trakcie naszej słynnej eskapady do Grecji. Jak o tym teraz myślę, dochodzę do wniosku, że Borsuk próbował odciągnąć mnie od co bardziej rokokowych... hm...

– Jest tam jeden bajecznie piękny kościół – podpowiedział Nick.

– A jaka jest różnica między barokiem a rokoko? – zapytał milczący dotąd Toby.

Wani obdarzył starego przyjaciela wyrozumiałym uśmiechem.

– Barok jest bardziej mięsisty, a rokoko lżejsze, bardziej dekoracyjne. I asymetryczne – dopowiedział i lewą ręką zatoczył w powietrzu długi łuk, trzepocząc przy tym długimi rzęsami. Nick pomyślał, że kochanek przejął od niego znacznie więcej niż tylko skrótowe opisy różnych stylów; dziwił się zatem, że Feddenowie nie zdołali go rozszyfrować. – Rokoko to ostatnie stadium rozwodnionego baroku – wyjaśnił, jakby nie było niczego prostszego na świecie.

– Mmm... Bardzo ciekawe – mruknął Gerald bez przekonania.

– Dobra, dobra – powiedziała Catherine. – Ja nie znoszę takich rzeczy. Puste gadanie, nic więcej.

– Trudno, by podobało ci się coś, co podoba się nam, staruszko – rzeki Gerald.

– To tylko czary-mary dla bogatych – ciągnęła Catherine. – Jak seksowna bielizna.

– Tak... – znowu odezwał się Toby, jak gdyby z wolna zaczynał rozumieć; on jednak też się zarumienił.

Wani nie chciał wdawać się w żadne spory. – To tylko świetny temat do mojego magazynu. Luksusowe ozdoby! – A po chwili dorzucił: – Zresztą pomysł wyszedł od Nicka.

– No, teraz wszystko się zgadza – zauważył Toby.

– Oby zgodzili się z tym nabywcą pisma – mruknął Nick i wszyscy się roześmiali.

Nick leżał w ciemnym pokoju, wypełnionym zapachem środka na komary. Noc była cicha, a przez dużą szczelinę między drzwiami i podłogą przenikały odgłosy z pokoju Waniego. naprzeciw. Nick pragnął być z nim w tej chwili, tak jak był z nim przez dziesięć minionych dni pośród ogłupiających luksusów markowych hoteli. Czuł też jednak ulgę, jaką czasami przynosi samotność, ulgę gościa, który zamknął się w swoim pokoju, i głębszą jeszcze, na wpół zapomnianą ulgę samotnego kochanka, stanowiącą przyjemną, bo tylko chwilową próbę dla związku i określającą jego intensywność. Usłyszał, jak Wani gasi lampę, i również ciemność w jego pokoju, niezmacona już przez smugę pod drzwiami, nieco się zagęściła. Zastanawiał się, czy Wani dzieli z nim to poczucie widmowej bliskości, czy leży z otwartymi oczami, czy myśli o Nicku, czy nasłuchuje odgłosów z jego pokoju, czy masturbuje się półświadomie tak jak Nick w tej chwili może

to zresztą za dużo powiedziane, może jest to jedynie odruchowa pocięcha chłopca, ślepa życzliwość własnej dłoni... A może ubił poduszkę, wcisnął w nią głowę z ciężkim westchnieniem i podciągnął nogi w pozycji obronnej, która zawsze sprawiała, że Nick chciał wtulić się opiekuńczo w jego plecy... Mógłby z łatwością przejść do jego pokoju, lecz słyszał już, jak skrzyp klamek odbija się echem w długim korytarzu, budząc w Wanim poczucie zagrożenia.

Kiedy godzinę później przebudził się z koszmarne snu o Wenecji, wpatrywał się przez chwilę niewidzącym wzrokiem w szary kwadracik okna i niewyraźne zarysy komody. Potem opadły go nagle układające się w niepokojący łańcuch przeżycia z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Poczł, że jest mu strasznie gorąco, strząsnął z siebie kołdrę i wypił ledwo widoczną szklankę wody. We śnie Wani tonął: najpierw kucal na brzegu weneckiego kanału, oglądając się przez ramię z niepewnym i oskarżającym wyrazem twarzy, a później z głuchym pluskiem wpadł do wody.

Całą podróż odbyli w spiekocie, jakiej wcześniej nie dane było Nickowi doświadczyć. Po Wenecji, mimo wszystkich jej olśniewających atrakcji, przemieszczali się z Wanim w zaduchu zgnilizny, a na rozświetlonych alejach Monachium temperatura sięgała czterdziestu stopni w cieniu. Upały dały im się obu we znaki bardziej, niż skłonni byli to przyznać. W Asamkirche Nick promieniał zachwytem i wzdychał z rozkoszy, Wani zaś błakał się z wyrazem warunkowej życzliwości na twarzy, jakby czekał na wyjaśnienie. Nick pragnął podzielić się z nim całym tym pięknem i przez to piękno właśnie porozumieć się z kochankiem; on jednak, zbyt dumny lub zbyt onieśmielony, podkpiwał sobie z Nickowych komentarzy. Waniemu trzeba było porcjować informacje, bo zbyt wielki ich natłok godził w jego miłość własną. Nick chodził potem sam po kościele, a samotna kontemplacja dawała mu jeszcze większą przyjemność, wzmocnioną przez dumę z własnej kompetencji estetycznej. Trudniej już było o tę przyjemność w zamku Nymphenburg, wypełnionym tłumem turystów; Nick czuł tam wszelako, że oglądanie tych rokokowych cudów należy poniekąd do jego uprawnień – może i powstawały one jako czary-mary dla bogatych, lecz teraz były już czymś ponad to, czymś uświęconym przez sam fakt swego istnienia.

Pierwszego popołudnia w Monachium Nick wstąpił do gejowskiego sex-shopu o nazwie Follow Me, a Wani, który ociągał się przez moment, wszedł w końcu za nim, podśmiewając się lekceważąco. Otoczeni przez skórzane majtki z protezami penisów i

zatrważająco infantylną pornografię, kupili gejowski przewodnik Spartacusa tudzież potężny zapas prezerwatyw. Wani demonstracyjnie okazywał, że nie chce mieć z tym nic wspólnego; ostrożnie wziął od Nicka przewodnik, jak gdyby próbował oszacować skalę zagrożenia, zważyć w dłoni ten plik cienkich gładkich stronic, składających się na heretycką biblię. Potem pojechali taksówką do Ogrodu Angielskiego, a gdy przespacerowali się tam kawałek pod osłoną drzew, zauważyli przed sobą nagich ludzi. Całe rodziny wypoczywały tu na typowo niemiecki, niekłopotliwy sposób; starsi mężczyźni z odsuniętym napletkiem stali na uboczu niczym zaniedbani wuefiści, w osobnej zaś strefie skupili się młodzi mężczyźni, którzy to siedząc, to leżąc, wytwarzali napiętą i swobodną zarazem aurę, a ich cielesność była równie namacalna jak kurz i owady w ukośnych promieniach słońca. Opoдал szemrał cudownie chłodny strumień Eisbach; Nick rozebrał się i wszedł do niego ostrożnie. Kiedy oderwał stopy od kamienistego dna, rwąca woda poniosła go i popłynął, roześmiany i zadyszany. Zdążył jeszcze pomachać Waniemu, zanim pomknął, mijając nagie uśmiechnięte postacie na brzegach, chłopców z gitarami, grupki bawiące się plażowymi piłkami, zanim pomknął bezwładnie tym pięknym chłodnym strumieniem w stronę lasu i majaczącej w oddali pagody... Aż nagle uświadomił sobie, że chłopcy na brzegu śmieją się i wytykają go palcem, a spacerujący z psami ludzie mają na sobie ubrania i wyglądają do bólu normalnie, jak gdyby nic nie łączyło ich ze szczęśliwymi nudystami, skrytymi za zakolem strumienia. Zaczął się więc mozolny powrót, pod prąd rwącej wody; stopy Nicka ślizgały się boleśnie po zdradliwych kamieniach, aż mógł wreszcie wyjść ze strumienia, by skradać się potem po brzegu, pociągając ukradkiem za swego kłopotliwie skurzonego penisa.

Gdy znów się obudził, dopiero po chwili uświadomił sobie, że nic takiego nie miało miejsca. Przed zaśnięciem wspominał barwne przygody z Monachium i nagle prawdziwa historia wymknęła się spod kontroli i popłynęła własnym torem, przekształcając się w anegdotę o wiele dziwniejszą od tego, co owego popołudnia wydarzyło się naprawdę. A naprawdę Wani próbował wtedy poderwać chłopca, który chodził po parku z wiaderkiem i okrzykiem „Pepsi!” na ustach; Nick przypomniał sobie zdumienie kochanka, gdy okazało się, że nie wszystkich można kupić. Odwrócił teraz poduszkę, odkasznął i znowu umościł się wygodnie. Zapadł się w podświetlone słońcem szaro-różowe chmury, które widzieli, lądując rano w Bordeaux. Nad lotniskiem dopiero co przetoczyła się burza, a oni

nagle ujrzeli bliską już ziemię, połyskujące jeziora, szklarnie i kanały, kłęby pary poprzetykane złocącymi się nitkami ognistej zmowy żywiołów.

II

W poniedziałek rano Wani zapytał, czy może skorzystać z telefonu. – Oczywiście! – odparła Rachel, a Gerald dorzucił: – Ma się rozumieć... drogi kolego! – i wskazał podobne do spiżarni pomieszczenie, w którym znajdował się telefon oraz nowiutki telefaks.

– Chodzi o sprawy biznesowe, muszę się nimi zająć. – Wani westchnął, jakby przeproszał za to, co Gerald lubił w nim najbardziej. Wszedł do spiżarni z telefonem i trochę niezręcznie, bo wszyscy na niego patrzyli, zamknął za sobą drzwi. Poprzedniego wieczoru opowiedział im o zakupie biurowca w Clerkenwell i poprosił Gerald a o radę odnośnie trybu przeprowadzenia transakcji i planowanej przebudowy obiektu; runął zatem dzielący ich mur i okazało się raptem, że mają o czym ze sobą gawędzić. Później, kiedy wyłonił się ze spiżarni, Wani zapytał Geralda, czy może pożyczyć od niego rangę rovera, żeby wybrać się nim do Périgueux „w związku z czasopismem”. Nick świetnie znał ten udawany niepokój, tę wyniosłą pogardę dla przeszkód stojących na drodze do rozkoszy, i wpadł w lekką nerwowość. Gerald jednakże odchrząknął i budząc w sobie niejako całą uzasadnioną uczynność, powiedział: – No, tak... Czemu nie...? Weź, proszę... – I po chwili: – Wszystko ku chwale dobrych interesów!

– Chodzi o spotkanie ze znakomitym fotografem. Poza tym słyszałem tu tyle dobrego o katedrze...

– A! Katedra St. Front – rzekł Gerald z ostrożnym zadowoleniem. – Tak, naprawdę warto...

Nick o mało nie powiedział, że jest to wszak rekonstrukcja z dziewiętnastego wieku...

– Wrócisz na lunch? – spytała Rachel, a Wani obiecał, że wróci. Nie dał do zrozumienia, że weźmie ze sobą Nicka, ten zaś poczuł zazdrość i ulgę zarazem. Stojąc potem przy głównych drzwiach, zegnali wzrokiem odjeżdżający samochód. Gdyby byli w

Londynie, dokładnie w tej chwili przystąpiliby do rodzinnej zabawy w śmiało obmawianie nieobecnego, tutaj wszakże wydawało się to nie na miejscu.

Kiedy znaleźli się na tarasie, Gerald pokiwał głową i rzekł do Nicka: – Twój przyjaciel to czarujący gość.

– Bez dwóch zdań – przyznał Nick, wyczuwając, że Gerald bardzo takiego potwierdzenia potrzebuje i że Wani uznawany jest tutaj w większym stopniu za jego przyjaciela niż za przyjaciela Toby'ego.

– Nie wiadomo tylko, czy można wspominać o jego narzeczonej... – rzekł Gerald.

– Ja wspomniałam – odezwała się Rachel. – I nic się nie stało. Opowiedział mi trochę. Wygląda na to, że pobiorą się w przyszłym roku, na wiosnę.

– Wybornie – podsumował Gerald, a Nick odwrócił się, bo jego serce protestowało zbyt donośnie, by mógł teraz kontemplować widoki.

Rano listonosz dostarczył kilka grubych kopert z dokumentami. Gerald wzdychając z irytacją, zaniósł je do pokoju na końcu korytarza, który służył mu za gabinet. Trudno było nie zauważyć, że bez Penny nie radzi sobie z pracą, a tutaj przecież zaprosić jej nie mógł. Nick nie miał pojęcia, co Gerald robi w swym gabinecie, ale zawsze wyłaniał się stamtąd bezszelestnie, z czujnym uśmiechem na ustach, jakby miał zaraz ogłosić rewelacyjną wiadomość. Kwestia romansu z Penny z początku bardzo Nickowi ciążyła, potem zaczęła tracić na ważności, aż w końcu wydawała się zupełnie bezpodstawna, niczym wytwór własnej fantazji. Gerald odnosił się do żony z ogromną czułością, a gdy oboje leżeli obok siebie na słońcu, wyglądali na parę niepokojąco młodych i seksownych ludzi zanurzonych we własnej historii intymnej. Mimo to w zachowaniu Geralda było coś nieuchwytnego, pewien naddatek swobody, jak gdyby oddając się tu bezczynności, odbywał zarazem swoistą pokutę.

Później Nick postanowił zbadać mniej widoczne zakątki tej niewielkiej posiadłości, ponieważ ranek bez Waniego, niewypełniony konkretnym zajęciem, wydawał mu się pusty i ciężki. Schodząc po kruszących się stopniach z jednego tarasu na drugi, odnosił wrażenie, że zapuszcza się też w głąb własnej melancholii. Na niższych poziomach spadek terenu był bardziej gwałtowny, a niewidoczne z domu tarasy wyglądały na zaniedbane; przez cienką warstwę trawy widać było wysuszony kamienisty grunt. Najwyraźniej Dédé i jego syn nie kłopotali się tym ani trochę, bo przecież tak nisko mógł się zabłąkać jedynie

jakiś nadgorliwy gość. Przypominało to wszystko zapuszczone tarasy uprawne lub duży ogród; z daleka dobiegał warkot maszyn rolniczych, a bliżej przemykały jaszczurki, szeleszcząc na zwiędłych liściach. Wszędzie rosły tu orzechy włoskie, obwieszane ledwo dostrzegalnymi zielonymi owocami. Nick przeszedł przez dziurę w żywopłocie i ujrzał kilka starych kamiennych budek, zarośnięty trawą stos drewna i zardzewiały traktor. Robił to, co robił zawsze: szperał i zapamiętywał, zawłaszczał teren, poznając go lepiej niż ludzie, do których należy. Gdyby Rachel stwierdziła z żalem, że zapodziała im się gdzieś hulajnoga, Nick mógłby krzyknąć jak nadpobudliwe dziecko: – Ależ ona stoi obok maselnicy w starej budce z rozetkami na belkach. Zauważył już, że oznaką prawdziwego posiadania jest pewnego rodzaju niedbałość, na przykład usunięcie z pamięci starego składowiska drewna, znajdującego się na terenie własnej posiadłości.

Potem Nick poszedł z książką nad basen. Upał poradził już sobie z cienką warstewką chmur, zasnuwającą wcześniej błękit nieba. W wodzie Jasper mocował się z Catherine, pieprzył ją bez mała; ucieszył się, widząc, jak Nick idzie do przebieralni, i mrugnął do niego wesoło. W przebieralni zawsze panowała sugestywna atmosfera chłodu i intymności, kontrastująca z ciepłem i oślepiającym blaskiem wody w basenie, zawierająca wspomnienie lub obietnicę zbliżenia. Poprzedniego wieczoru Nick wziąłby tam Waniego, gdyby Gerald nie kręcił się, a raczej nie węszył w pobliżu. W pierwszym pomieszczeniu znajdował się zlew, lodówka, dmuchane materace i koła oraz stary symulator wiosł, porzucony pod ścianą; dalej mieściła się właściwa przebieralnia, z parkową ławką i wieszakami na ubrania, stamtąd zaś wchodziło się prosto pod prysznic, odgradzony niebieską zasłoną. Jedynie niezbyt wonna toaleta miała drzwi, za którymi można się było zamknąć.

Nick wyszedł na zewnątrz w nowych krótkich kąpielówkach i spacerował przez moment po kamiennym obramowaniu basenu. Woda była równie jasna i przejrzysta jak poranek i urzekała grą światła i głębi. Na powierzchni unosiło się kilka zwiędłych liści; pozostałe opadły już na niebieskie betonowe dno. W powietrzu raźnie krążyły ważki. Nick kucnął i zmącił wodę dłonią. Po drugiej stronie Jasper posadził Catherine na zanurzonej półce basenu; woda pluskała jej między nogami, a on lgnął do niej, jakby też chciał tam popluskać. Catherine zwróciła mu uwagę, że patrzy na nich Nick, po czym krzyknęła: – Cześć, kochany! – Jasper odwrócił się, odpłynął trochę i krocząc potem leniwie w płytkiej wodzie, wpatrywał się w Nicka ze swym niezawodnym uśmiechem na

ustach. Jego repertuar był ograniczony i składał się z kilku zaledwie sztuczek uwodzicielskich, które stosował z upodobaniem, niezależnie od rezultatu. Wprawiał Nicka w zakłopotanie i choć nie budził w nim pragnień nie do odparcia, świetnie nadawał się na przedmiot sadystycznych fantazji, a może wręcz nadawał im sens. Gdy rozbryzgując wodę, szedł teraz w stronę Nicka, wyglądał w załamujących się promieniach światła jak człowiek zupełnie nagi. A gdy wyskoczył na brzeg, okazało się, że ma na sobie kuse cieliste kąpielówki. – Jak ci się podobają stringi Jaza? – spytała Catherine, wyczuwając, że jej chłopak podoba się Nickowi.

– Wolę nie łązić w nich pod okiem mamuśki – powiedział rozsądnie Jasper. Dalej pozował dla Nicka: wciągnął swój opalony brzuch i zaprezentował drugi ze szczupłego zasobu uśmiechów.

– Co ty na to? – nalegała Catherine, trochę jeszcze zadyszana; szczyrzyła zęby do Nicka, ekscytując się już szukaniem erotycznych sensacji.

– Hm... – Nick wpatrywał się w lśniący woreczek, w którym gnieździły się, by użyć terminu Jaza, jego klejnoty koronne. – Ściągnął usta i ruszył w stronę leżaka na drugim końcu basenu, tam bowiem zostawił książkę.

Czytał wspomnienia Jamesa z dzieciństwa, *A Smali Boy and Others*, czując, jak podniecenie doprowadza go do szaleństwa, bo przez trzy długie dni Wani nawet go nie pocałował. Taka kombinacja nie rokowała żadnych nadziei. Niejasność starczego stylu Jamesa wymagała absolutnego zaangażowania, a na to nie mógł się zdobyć czytelnik stęskniony za kochankiem i popatrujący pożądliwie zza ciemnych okularów na innego jeszcze chłopca, który demonstracyjnie roztaczał przed nim swoje wdzięki. Co jakiś czas książka wysuwała mu się z rąk i spoczywała ciężko na skrytej pod czarnym nylonem erekcji, Nick zanotował w pamięci kilka zabawnych sformułowań: na przykład zachwycający nieokreślonością „prostokątny produkt mączny”, stanowiący u Jamesa synonim gofra... Był ciekaw, czego Wani szuka w Périgueux. Podejrzewał, że kupuje kokainę, a to budziło pewien niepokój – wolałby, żeby przyjaciel aż tak bardzo się w niej nie rozkochał; po chwili jednak poczuł, że po trzech dniach bez narkotyku on również z przyjemnością wciągnąłby kreskę. Zdumiewało go zawsze, że Wani potrafi w magiczny nieledwie sposób namierzyć towar w każdym europejskim mieście. W Monachium Nick czekał przez dziesięć minut w taksówce przed bankiem, wpatrując się intensywnie w rustykowane ściany i żelazne drzwi obrotowe, podczas gdy Wani odbywał „spotkanie z

przyjacielem”. Fotograf z Périgueux prawdopodobnie należał do tego samego grona przyjaciół. Z basenu rozległy się dziecinne krzyki, bo Jasper wskoczył z pluskiem do wody, opryskując Catherine. Nick cieszył się, że Wani nie jest świadkiem schnięcia i ponownego wilgotnienia Jasperowych stringów; wracałby potem do tego złośliwie przy pierwszej wspólnie wciągniętej kresce. Nick sam miał ochotę trochę popływać, lecz Jasper i Catherine stali w wodzie, obejmując się i całując ze śmiechem; basen należał do nich, był teraz ich sypialnią. Oszałeli na punkcie seksu, zakochali się we własnej śmiałości. Nick podejrzewał, że jeśli wejdzie do basenu, Jasper spróbuje wciągnąć go do zabawy. Przeznaczono mu rolę wujka Nicka, człowieka dorosłego i sceptycznego, a odgrywanie tej roli nastawiało Jaspера coraz to bardziej prowokacyjnie. Pomyślał, że gdyby tego zapragnął, mógłby w końcu Jaspера osiąść, nie chciał mu jednak dać tej satysfakcji. Chwilę później oboje wyszli z basenu, ostentacyjnie nieskrępowani – Jasper ze sztywno sterczącym penisem – i zniknąwszy w przebieralni, zamknęli za sobą drzwi. Zdaniem Henry’ego Jamesa Edgar Allan Poe odznaczał się wprawdzie w dzieciństwie niebagatelną osobowością, lecz nie był już potem „obecny jako ludzka istota”; a „natężenie owej nieobecności przywiodło go do zguby”. Mijała minuta za minutą. Z przebieralni dobiegał szmer prysznic. Nick strzepnął z nogi muchę i poczuł, że poranna melancholia przeszła już w zazdrość i zniecierpliwienie. „Natężenie owej nieobecności...” Czasami takt Mistrza graniczył z czystym okrucieństwem. Przypomnił sobie wzmiankę Rachel o planowanym ślubie Waniego i na myśl, że jego kochanek będzie robił z Martine to samo, co Jasper wyczynia obecnie z Catherine, przepełniła go zazdrość zaprawiona goryczą. Nie, to pewnie nonsens, trzepanie językiem, lanie wody... Słowa przesuwały mu się przed oczami i z wolna traciły resztki sensu.

III

Nazajutrz Toby uczył ich grać w *boules*¹⁷. Wyszli w tym celu na dziedziniec przed domem, gdzie mocno ubity kwadrat ziemi pokrywała warstwa kurzu. Wani z początku

¹⁷ *Boules* – gra w metalowe kule, zwana także petanką. Celem gry jest rzucenie kuli tak, by wylądowała jak najbliższej niniejszej kulki, czyli tzw. jacka lub *cochonnet*.

kręcił nosem, lecz później okazało się, że idzie mu świetnie. Porzucił swoją zwykłą ironię i wciągnął się w grę: biegł za każdą kulą i pokrzykiwał radośnie, gdy tylko udało mu się uderzyć w kule przeciwników, oddalając je od Jacka, zwanego tu *cochonnet*. – *Bien tiré!* – krzyczał Toby, uszczęśliwiony dokonującym się poprzez grę odnowieniem dawnej zażyłości, a przy tym komicznie zażenowany, bo to on przeważnie wygrywał. Nick spotkał się z aplauzem, kiedy przypadkiem zaliczył dobry rzut, ale prawdziwa rywalizacja toczyła się między Tobym i Wanim. Ten ostatni, nasycony kokainą, zachowywał się już bardziej naturalnie, zyskując tym sympatię Feddenów. – No, chyba się wreszcie rozluźnił – stwierdził Gerald, przypisując sobie zasługę, niczym dyrektor hotelu znanego z dobrego wpływu na gości. – To prawda – potwierdziła Rachel, przed którą to głównie roztaczał Wani cały swój książęcy urok. – Chyba wreszcie poczuł się tu jak na wakacjach. – Wszyscy kiwnęli głową, przyznając się do wcześniejszych obaw, i zapanował nastrój powszechnej harmonii, zresztą w samą porę, bo tuż przed przybyciem lady Partridge i Tipperów, oczekiwanych tu z utęsknieniem jedynie przez Geralda. Nick chodził po podjeździe znudzony grą, lecz rozrzucony tymi drobnymi codziennymi zajęciami i swoim tajemnym sukcesem: jest w głębi Francji, w starym cudownym domu, ze swymi dwoma pięknymi chłopcami.

Białe audi z sir Maurice'em Tipperem za kierownicą wjechało przez bramę prosto na rzuconą przez Toby'ego *cochonnet*. – Zajebicie – stwierdził Toby i pełnym rezygnacji uśmiechem pomachał do nowo przybyłych. Na tylnym siedzeniu spoczywała jego babcia oraz lady Tipper, które przypominały kobiety wiezione biernie Bóg wie gdzie i gawędzące sumiennie o tym, co widzą. Lady Partridge wskazała gestem dom, jakby chciała powiedzieć, że to chyba ten nareszcie. Nick podbiegł do wozu, by otworzyć im drzwiczki, a gdy to uczynił, chłodne powietrze z klimatyzowanego wnętrza, zmieszane z zapachem skórzanej tapicerki i lakieru do włosów, opowiedziało mu w skrócie historię całej podróży. – No właśnie – mówiła lady Partridge; stawiając stopy na ziemi i wysuwając się z auta, oczekiwała uwagi otoczenia, nie zaś pomocy przy wysiadaniu. – Ja zawsze jechałam tym pociągiem.

– Jak się leciało, babciu? – zapytał Toby, całując ją w policzek.

– Nie mogę narzekać – odparła lady, która pocałunek wnuka przyjęła ze zwykłą sobie obojętnością. – Z lotniska jest jeszcze kawał drogi. Sally opowiadała mi o operach... – I uśmiechnęła się chytrze do wszystkich trzech młodzieńców.

– Miejsca w pierwszej klasie nie różniły się niczym od klasy turystycznej – odezwała się Sally. – Tyle że naczynia były z prawdziwej porcelany. Maurice napisze o tym Johnowi. – Spojrzała na męża, który witał się z Tobym. – O, Tobias – rzuciła z litościwym chłodem w głosie.

– Witam, witam! – mówił Toby, dobywając z siebie najlepsze maniery i unikając wzroku mężczyzny, który mógł zostać jego teściem. Podszedł do bagażnika, by wyjąć walizki. Z Nickiem wszyscy witali się pobieżnie, on zaś doświadczył znanego mu dobrze uczucia, że stanowi tutaj element, którego nie można ani zaakceptować, ani też zupełnie zlekceważyć. Z domu wybiegła nagle Catherine, jak gdyby chciała szybko oszacować skalę zniszczeń.

– Jak się masz, Catherine? – przywitała ją Sally.

– Wciąż mam bzika! – odparła zapytana.

Potem zjawili się Gerald i Rachel. – Wybornie, wybornie... – mówił Gerald. – Udało wam się tu trafić...

– Na początku myśleliśmy, że to ten cudny zameczek przy szosie – powiedziała lady Tipper.

– Nie, nas już tam nie ma – odrzekł Gerald. – Teraz grzejemy kości tutaj. – Nastąpiła skomplikowana runda pocałunków, a gdy przyszła kolej na Geralda i Maurice'a, ten ostatni powiedział: – No nie, nawet we Francji... – i roześmiał się sucho.

Tipperowie nie byli urodzonymi urlopowiczami. Przywieźli ze sobą imponujący ekwipunek, na który składały się cztery ciężkie walizki z metalowymi skuwkami tudzież masa mniejszych, bardziej delikatnych pakunków. Szeptali coś między sobą i ogólnie sprawiali wrażenie czymś skrycie zaniepokojonych lub zirytowanych. Gdy rozpakowawszy się, zeszli po południu na taras, sir Maurice zapytał, czy w telefaksie jest wystarczająco dużo papieru, bo oczekuje wielu faksów; wyglądał przy tym na człowieka, dla którego nie ma nic ważniejszego na świecie. Wani próbował wkupić się w jego łaski i powiedział, że on również spodziewa się faksów, sugerując niniejszym, iż zadba o sprawność urządzenia. Sir Maurice spojrzał nań jednak surowo i wyraził nadzieję, że faksy Waniego nie opóźnią odbioru faksów do niego adresowanych. Było dopiero wpół

do piątej, ale Gerald, chcąc uczcić przybycie gości, wyciągnął już butelkę pimm'sa¹⁸, a lady Partridge, poniekąd za synowskim pozwoleniem, raczyła się dżinem i dubonnetem. Tipperowie poprosili o herbatę i rozsiedli się pod płóciennym daszkiem, spoglądając nieufnie na rozciągający się z tarasu widok. Kiedy powolna, spokojna i najwyraźniej wciąż niezbyt zdrowa Liliane podeszła do nich z tacą, Sally Tipper wydała jej dyspozycję co do rodzajów poduszek w pokoju. Sir Maurice omawiał z Geraldem przejęcie jakiejś firmy przez inną, przy czym Gerald wyglądał niezbyt poważnie, dzierżąc w dłoni wypełnioną owocami szklankę. Lady Tipper skarżyła się na odór hot dogów w Royal Festival Hall, na co Rachel odparła, że to się teraz z pewnością zmieni, bo pozbyto się wreszcie Czerwonego Kena¹⁹; lady Tipper pokręciła głową, głucha na taką pociechę. Nick z kolei próbował, dość naiwnie, zaciekawić Maurice'a kilkoma atrakcjami turystycznymi, których sam jeszcze nie miał okazji obejrzeć. – Ten to ma gadane! – rzucił z uśmiechem sir Maurice do Geralda i Toby'ego, jakby dawał do zrozumienia, że tak łatwo nie da się nabrać. Nawykł do bezwzględnej unizoności względem siebie, zwykła uprzejmość wydawała mu się podejrzliwa, a demokratyczne relacje w trakcie domowego poczęstunku były dla niego czymś sprzecznym z naturą. Patrząc na jego gładką urzędniczą fizjonomię, na okulary w złotej oprawce, Nick pomyślał, że posiadanie ogromnego majątku wcale nie musi wiązać się z przyjemnościami – przynajmniej w takim sensie, w jakim do przyjemności dążyli i jak przyjemność nieświadomie definiowali pozostali uczestnicy tego podwieczorku.

Sally Tipper miała na głowie bujną, kosztownie bezładną blond fryzurę i cała pobrzękiwała, grzechotała tudzież szeleściła kolekcją biżuterii. Często kręciła głową i często nią kiwała; był to niemalże tik, wyrażający irytację albo niechętną aprobatę. Jej uśmiech pojawiał się nagle i równie nagle znikał, bez żadnych tonów pośrednich. Przed kolacją oświadczyła, że drinki woli wypić w środku, co nie wróżyło zbyt dobrze, ponieważ dla Feddenów cały urok mieszkania we dworku polegał na robieniu wszystkiego na zewnątrz. Zasiedli więc w salonie, włączywszy wszystkie lampy, i tkwili tam niczym w jakiejś poczekalni. Nick widywał wcześniej słowa „Sir Maurice i lady Tipper”,

¹⁸ Pimm's – popularny w Anglii napój alkoholowy, składający się z dżinu, likieru, soków owocowych i przypraw.

¹⁹ Oryg. Red Ken – Ken Livingstone, przewodniczący Rady Miejskiej Londynu, znany z lewicowych poglądów.

wygrawerowane złotymi zgłoskami na tablicy darczyńców w Covent Garden, i widywał ich tam osobiście, czasami z Sophie, lecz nigdy z jej mężem. Pomyślał, że wzmianka na temat opery może okazać się nader poręczna, więc bąknął cicho, iż ostatni *Tannhäuser* nie był rewelacyjny.

– Ależ był... No właśnie... Moim zdaniem... – mówiła urażona lady Tipper, kręcąc głową na myśl o wszystkich zrzędach i mazgajach. – Wiesz, Judy, koniecznie musisz się na to wybrać – dodała głośniejszym głosem. – Wiesz... To ta opera z Chórem Pielgrzymów.

Lady Partridge, rozluźniona, bo w końcu *en familie*, odparła: – Nie dla mnie takie rady, kochanieńka. W operze moja noga nie postąpiła ni razu. Właściwie raz, trzydzieści lat temu, gdy... syn mnie zaprosił. – I niewyraźnie kiwnęła głową na Geralda.

– A na czym wtedy byliście, Judy? – zapytał Nick.

– Chyba na *Salome* – odrzekła lady Partridge po chwili namysłu.

– Cudowna opera! – powiedziała lady Tipper.

– Właśnie, koszmarna – odrzekła lady Partridge.

– Oj, mamo! – wtrącił się Gerald, który podsłuchiwał jednym uchem, podczas gdy drugie zajęte było rozmową z Maurice'em na temat obrotu akcjami.

– Pochwalam twój gust, Judy. – Nick powiedział to z dużym naciskiem i od razu poczuł, że wyszedł na błazna.

– Mmra... To chyba napisał Strawiński.

– Nie, nie – zaproponował Nick. – To dzieło makabrycznego... Ryszarda Straussa. Swoją drogą, znalazłem, Gerald, cudowną wypowiedź Strawińskiego o naszym makabrycznym.

– Przepraszam cię, Maurice... – mruknął Gerald.

– Robert Craft pyta go: „Czy obecnie trafia już do pana którakolwiek z oper Ryszarda Straussa?”, a Strawiński na to... – w tym miejscu Nick zaczął gestykulować jak dyrygent w rytm wypowiedzianych słów, osobliwie podekscytowany kolejnym aktem bojów o Straussa – ... „Wszystkie opery Straussa powinny raczej trafić do czyścica, w którym pokutuje się za banalny triumfalizm. Ich substancja muzyczna jest tandetna i błaha; współczesny muzyk nie znajdzie tam nic ciekawego”.

– Co takiego? – prychnął Gerald.

– A ja muszę z przykrością przyznać, że Strauss trafia mi do przekonania bardziej niż Strawiński! – powiedziała lady Tipper. Sir Maurice posłał Nickowi subtelnie triumfalne spojrzenie, w którym zmieściło się również zdziwienie i niesmak.

Przy kolacji Gerald był już właściwie pijany. Wymyślił sobie zapewne, że urządzi z Maurice'em wielką balangę, a rano połączą ich smutne więzy wspólnego kaca. Sir Maurice pił jednak równie rozważnie, jak prowadził interesy, i z coraz mniejszym rozbawieniem przykrywał teraz swoją szklanekę, gdy Gerald pochylał się nad nią z butelką w dłoni. Mimo to twarz Geralda w blasku świec wyrażała niezłomne rozweselenie. Gdy wrócił na swoje miejsce, po raz drugi opisał podział Périgord na strefę zieloną, białą, czarną i fioletową. – A my jesteśmy w białej – rzekł oschle Maurice Tipper.

Jak to często bywało u Feddenów, rozmowa w pewnym momencie musiała zahaczyć o panią premier. Catherine zacisnęła pięści, gdy jej babka oznajmiła: – Ona ten kraj postawiła na nogi – zapominając w ferworze dyskusji, w jakim kraju się obecnie znajduje. – Na Falklandach pokazała im, gdzie raki zimują, no nie?

– To stara jędza – mruknęła Catherine.

– Ma w sobie coś z Żabrołaka, przyznaję – powiedział Gerald. Twarz Maurice'a nie zdradzała żadnych emocji. – Lepiej z nią nie zadzierać.

– To prawda – potwierdził sir Maurice.

Wzrok wszystkich, nie wiedzieć czemu, skierował się na Waniego. – Tak o niej mówią – powiedział. – Ale ja znam ją z innej strony. To szalenie miła kobieta... – Widać byio, że szuka w myślach przykładu, mającego poświadczyć prawdziwość tych słów, ale po chwili rzeki tylko dyskretnym tonem: – Ona uczyni wszystko, by pomóc tym... na których jej zależy.

Maurice Tipper odchrząknął, urażony, acz pełen szacunku.

– Ty oczywiście znasz ją w charakterze przyjaciela rodziny – powiedział Gerald, uśmiechając się rezolutnie. Przyznał właśnie, że Wani posiada coś, co on sam bardzo chciałby zdobyć.

– No... Tak! – odparł Wani.

– Ja ją uwielbiam! – rzekła Sally Tipper, zakładając być może, iż w oczach reszty towarzystwa uwielbienie automatycznie wiąże się z przyjaźnią, a nawet ją przerasta.

– Owszem – powiedział Gerald. – To przez te niebieskie oczy. Człowiek chciałby się w nich rozpułnąć.

Sir Maurice nie był chyba jeszcze gotowy do tak wyrazistych deklaracji. W tym momencie wtrąciła się Rachel. – Nie wszyscy są w niej zadurzeni tak bardzo, jak mój małżonek – rzuciła lekko, choć znacząco.

Nick patrzył ponad głowami siedzących na rozległy krajobraz, na niedostrzegalne za dnia, teraz zaś tajemniczo oświetlone domy i drogi. Odzywał się rzadko, pogrążony w romantycznej aurze tego miejsca, tego wieczoru, szemrzącego w drzewach wiatru i gwiazd migoczących na szarym niebie ponad lasem... Gdyby nie Wani, cały ten wieczór mógł skończyć się fatalnie. Najwyraźniej podziwiał on Maurice'a i próbował osiągnąć jednocześnie dwa trudne cele: zarówno go zabawić, jak i zrobić na nim dobre wrażenie. Po daniu głównym musiał na dłużej ukryć się w toalecie, za to przez kolejne pół godziny dostarczał współbiesiadnikom rozrywki, stanowiącej tego wieczoru towar nader deficytowy. Nawet Catherine śmiała się z jego przerysowanej parodii Michaela Foota, a i lady Partridge, która co pewien czas budziła się z drzemki, pokaszując i popatrując niepewnie na zebranych, zaśmiała się kilka razy.

Rano, jeszcze przed nastaniem największego upału, Tipperowie zeszli nad basen: ona z ogromnym kapeluszem i zapasem kosmetyków do opalania, on zaś ze skórzaną teczką i nową powieścią Dicka Francisa, dla zachowania pozorów. Od dnia ich przyjazdu Nick przepływa! codziennie pięćdziesiąt długości basenu, aby rozładować nieprzyjemne napięcie, spowodowane obecnością tego irytującego małżeństwa. Gdy nieco później zszedł na taras, lady Partridge płynęła wolno, niemal statycznie w najpłytszej części basenu, co jakiś czas rozglądając się niepewnie dokoła; nie słyszała zapewne, jak zanurzona tuż przy niej Sally Tipper pyta ją o protezę biodra. Maurice Tipper, ubrany w szorty koloru biszkoptowego, rozstawił parasol, stolik i krzesło, po czym usiadł i przystąpił do lektury faksów. Gdy robił notatki, jego usta drżały i zaciskały się z sarkastyczną czujnością, znamionującą właściwą mu odmianę błogostanu. Pozbawiony basenu Nick udał się do swego ulubionego zakątka na jednym z niższych tarasów, żeby – tym razem w towarzystwie jaszczurki – poczytać znowu wspomnienia Henry'ego Jamesa.

Koło południa na wyższym tarasie zrobiło się głośniejsze, bo rozpoczęła się krzątanina przed wyjazdem na lunch. Gdy Nick zjawił się tam po chwili, Toby zdążył już rozłożyć dodatkowe fotele w rangę roverze i sprawdzał teraz, czy są solidnie zamocowane; zadawał sobie niepotrzebny trud i marudził przy samochodzie, chcąc pewnie

zamaskować radość, jaką sprawią mu odjeżdżający swą nieobecnością. – Nie chcę, żebyście wyfrunęli przez szybę – tłumaczył się przed lady Tipper.

– Mam nadzieję, że uznacie tę restaurację za dość znośną – rzucił Gerald żartobliwym tonem, wskazując Maurice’owi fotel obok kierowcy.

– Jemu nie wolno jeść potraw zbyt tłustych – powiedziała Sally, – Te jego nieszczęsne wrzody... – Skrzywiła się i wzdrygnęła. – Obawiam się, że wczorajsza kolacja da mu się jeszcze we znaki.

– O, tam spełnię wszystkie wasze życzenia i zachcianki – zapewniła Rachel swoim jak zwykle ciepłym głosem. Gerald, niemile zaskoczony brakiem entuzjastycznej reakcji na uroki swojego dworku, zabierał gości do restauracji Chez Claude w Périgueux, w której Feddenowie tradycyjnie jadali tylko ostatnią wakacyjną kolację, licząc teraz na choćby jedno pochlebne słówko Tipperów.

– Ciekawe, czy zgodzicie się z nami, że ten lokalik zasługuje na trzecią gwiazdkę w przewodniku Michelina.

– Nie należymy do wybrednych smakoszy – odrzekła Sally Tipper.

Catherine i Jasper pojawili się na samym końcu i wraz z podekscytowanym Wanim wcisnęli się w trzeci rząd foteli w samochodzie. Toby, niczym usłużny portier, zatrzasnął za nimi drzwiczki i odjechali z miękkim wykwintnym pomrukiem, ściśnięci lub dumnie wyprostowani – prosto do piekła, pomyślał Nick, do piekła, którym nie jest ani ekskluzywna restauracja, ani też pełen malowniczych wieżyczek krajobraz, lecz atmosfera, jaką zdołali wspólnie wytworzyć. Toby objął Nicka ramieniem i weszli razem do milczącego domu, ożywieni i onieśmieleni jednocześnie.

Toby z metodycznym entuzjazmem zabrał się do przyrządzania lunchu, na który składały się sandwicze wypełnione po brzegi zimnym mięsem z kurczaka, sałatą, oliwkami i plasterkami pomidorów. Powstał przy tym duży bałagan, dużo sosu wylądowało nie tam, gdzie trzeba, a wszystko to wyglądało tak, jakby Toby mówił do Nicka, który pracował wszak kiedyś w sklepiku z sandwiczami: Nie jestem gejem, nie mam gustu i nic na to nie poradzę. Gdy zeszli potem nad basen i jedli, siedząc pod parasolem, sos kapał im na kolana, przyozdobione już liśćmi sałaty, a pomidory wyskakiwały nagle z kanapek i lądowały im pod nogami.

– Mmm... Jak cicho i pięknie – powiedział Toby po dłuższej chwili.

– To prawda – przyznał Nick i uśmiechnął się szeroko. Obydwaj byli w okularach przeciwsłonecznych i każdy z nich musiał zwrócić twarz w stronę drugiego, by tamten wiedział, że przyjaciel na niego patrzy.

– Może piwko? – zapytał Toby.

– Czemu nie – odrzekł Nick. Toby poszedł do przebieralni i wrócił z kilkoma schłodzonymi butelkami stelli. Wydawało się, że ma ochotę na rozmowę, lecz nie wie, od czego zacząć. Wyręczył go Nick.

– Kiedyż wyjadą ci Tipperowie? – zapytał, chociaż świetnie znał odpowiedź.

– Dobre! – odparł Toby. – Właśnie o tym myślałem.

– Z nią można jeszcze jakoś przeżyć.

Toby spojrział na Nicka ze słabym wyrzutem. – Podziwiam twój heroizm przy Sally. Chociaż cioteczka lubi operę...

Nick próbował przebić się przez podwójną warstwę ciemnych szkieł w okularach, żeby sprawdzić, czy Toby znów usiłuje wykrzesać z siebie dowcip. Wyglądało jednak na to, że dwuznaczność była niezamierzona.

– A on jest stuprocentowym filistrem – powiedział.

– O, to kawał gnojka – rzekł Toby, który w przeciwieństwie do ojca prawie nigdy nie używał wulgaryzmów.

Nick postanowił mu pomóc. – Tak, to straszny skurwiol.

– Bez dwóch zdań.

– A tak w ogóle, to po co oni tu przyjechali?

– Interesy, cóż by innego... – Toby miał strapioną minę, bo uświadomił sobie, że krytykuje ojca. – Wiesz... Tata chyba zakładał, że stworzymy jedną dużą szczęśliwą rodzinę. Ale potem wydarzyła się ta... historia z Sophie... Tak czy inaczej, tata zachowuje się tak, jakby wszystko było po staremu.

– Interesy to interesy – stwierdził Nick, który nie chciał znów wracać do historii z Sophie. – Rozumiem, że Tipper to gruba ryba...

– Jedna z najgrubszych.

– A w czym siedzi?

– Nick, naprawdę...! Na litość boską... Musiałeś słyszeć o TipperCo. To ogromny konglomerat.

– Jasne. Słyszałem...

– Tipper kupował firmy za bezcen, dzielił na części i sprzedawał z zyskiem. Nie przysporzyło mu to popularności, ale zarobił grube miliony.

– Jasne...

– Jasne, jasne... A ty pewnie siedzisz teraz nad Chaucerem. Gdy Toby zaczął się przekomarzać, Nick zawsze czuł dreszczyk erotycznych emocji; również tym razem zarumienił się i zachichotał z aprobatą. Toby rzecz jasna wiedział o jego zainteresowaniach, lecz łatwo było o tym zapomnieć. Wydawało się to równie cudowne, jak fakt, że pisuje artykuły do gazet, a jego ojciec ma wpływ na politykę imigracyjną i decyduje o tym, kto trafi do więzienia. – Rzuciłem okiem na te jego faksy, ale były w jakimś obcym języku.

– W jakim? To ciekawe...

– Wiesz, liczby i tak dalej.

– Ha! Ja też zerknąłem, przyznaję. Ostatnio dużo się dzieje w nieruchomościach i tata pewnie tym się teraz zajmuje.

– Sam Zeman twierdzi, że Gerald radzi sobie znakomicie.

– Tak, coś właśnie knuje.

– On jest z tych knujących?

– Jak najbardziej. Wiesz, on szybko się nudzi.

– To prawda...

– Tutaj nudzi się jak mops.

– Wciąż powtarza, że uwielbia ten dworek.

– Uwielbia ideę dworku. No, wiesz... – Myśl ta brzmiała intrygująco, lecz Toby wyraził ją tonem, który Nick znał z Oksfordu, jak gdyby zasłyszał ją na jednym z rodzinnych przyjęć.

– Na pewno tęskni za Londynem. – Nick był ciekaw, czy Toby ma choćby blade pojęcie o prawdziwym przedmiocie tej tęsknoty.

– Raczej za pracą – odrzekł Toby.

Nick roześmiał się z niejakim wahaniem, ale nic więcej nie dodał. Podniósł się z krzesła i zdjął koszulkę.

– Dobry pomysł – powiedział Toby, uczynił to samo i przez moment przeciągał się bez najmniejszej potrzeby. Nick poczuł niewielki skok w napięciu erotycznym, cechującym to popołudnie. Toby był dla niego ciągle piękny, choć nie dbał o to ani

trochę, a jego uroda osobliwie równoważyła się z abnegacją. Ze zmarszczoną brodą i drżącymi kącikami ust spoglądał teraz na własne ciało. Z żalem, lecz również z dziwnym, podniecającym wręcz rozczuleniem można było śledzić, jak Toby pulchnieje, podczas gdy zawsze zadbany i elegancki Wani po prostu szczupleje w oczach. Gdy Toby usiadł, popatrzył na Nicka i pociągnął kilka łyków z butelki, przymierzając się nieśmiało do kolejnej części rozmowy. – Jesteś ostatnio w niezłej formie, Nick – zaczął. – Tak mi się przynajmniej wydaje...

Nick dumnie wypiął pierś i wciągnął brzuch. – No... – Łyknął ze swojej butelki.

– Nie widzisz się teraz z nikim, co?

Ujmujące byty takie podchody, jak gdyby intymna rozmowa z bliskim przyjacielem stanowiła dla Toby'ego coś w rodzaju eksperymentu czy luksusu, na który można – ku własnemu zdziwieniu – ostrożnie sobie pozwolić. Odezwały się echem czasy oksfordzkie, kiedy to Nick odpowiednio aranżował sytuację i wciągnął Toby'ego w poważną i zwykle nieco kłopotliwą rozmowę na temat uczuć i rodziny. Ze smutną beztroską musiał więc teraz przyznać: – Nie, z nikim! – Westchnął. – Dobre pytanie! Dlaczego ja właściwie nikogo nie mam? To skandal! – I po chwili, niezbyt ostrożnie: – A ty? Masz na oku kogoś nowego?

– Nie – odrzekł Toby. – Jeszcze nie. – Uśmiechnął się ponuro. – Ta cholerna historia z Sophie... wiesz... – Pokręcił wolno głową, wracając myślami do szoku, jakim było dla niego rozstanie. – Powiedz mi, Nick, co się stało. Mieliśmy się pobrać i wiadomo...

– Wiem... Wiem... – Nick czuł, że być może nadarzy mu się sposobność powiedzenia Toby'emu paru przykrych, acz prawdziwych słów.

– Wiesz... Ona odeszła z moim starym kumplem.

– Koniec końców – rzekł Nick, świadom, że mówił to już Toby'emu cztery albo pięć razy – dojdiesz do wniosku, że dobrze się stało.

– Cholerny Jamie...

– Ona rzecz jasna postąpiła głupio – ciągnął Nick z braterską szczerością i skrywanym rozczuleniem. – Ale wyobraź sobie tylko, że wszystkie wakacje spędzasz z Maurice'em i Sally.

– Maurice oczywiście obwinia mnie. Jego zdaniem byłem dobrą partią dla córki.

– Dla niej ten układ byłby dobry, kochanie. Wręcz zajębiście dobry. Za dobry.

– Mmm... Dzięki, Nick. – Toby znowu pociągnął piwa z butelki i wlepił wzrok w wodę. Słowa Nicka wywołały w nim chyba cały łańcuch wspomnień. – To zresztą wcale nie było takie idealne – powiedział. – Wiesz... Mówię o seksie. – Na jego twarzy widać było zgorzknienie i poczucie winy.

– Tak?

– Wiesz... Ona nazywała to „obróbką”.

– Niezbyt zachęcająco, przyznaję.

– Była trochę... dziecinna. Myślę, że nie lubiła tego za bardzo.

– Jesteś pewien? – zapytał Nick.

Toby westchnął. – Mówiła, że ją boli i że... Sam nie wiem.

Istniały rozmaite wytłumaczenia dla tej sytuacji: może Sophie, jako dziecko oziębłych Tipperów, była po prostu oziębła w łóżku; a może to jego instrument był za duży, może nie umiał się nim posługiwać, a może on sam był za duży i za ciężki jak na tak szczupłą kobietkę. – No, jeśli nie wiodło się wam w łóżku – rzekł Nick – to tym bardziej nie ma czego żałować. – Uderzyło go, że mężczyzna, który przez ponad trzy lata pełnił w jego fantazjach rolę seksualnego herosa, jest w gruncie rzeczy kiepski w łóżku, może przez brak doświadczenia, a może przez wybór nie najlepszej partnerki. Nickowi zaś poszczęściło się, bo w świat seksu wprowadzał go człowiek doświadczony i zawsze chętny, wprost nienasycony. I na ułamek sekundy, w tym francuskim upale, wstrząsnął nim dreszcz owej pierwszej londyńskiej jesieni, dreszcz przenikliwy i – wzruszający.

Toby trwał jeszcze przez moment w zamyśleniu, aż wreszcie dokończył piwo i poszedł do przebieralni po kolejne butelki.

Później trochę popływali, nie ustalwszy właściwie, czy będą się ścinać, czy nie. Nick najpierw ucieszył się, że wygrał z Tobym, a potem zrobiło mu się przykro. Cieszył się, że narkotyki i seks stanowią jego słodką tajemnicę, chociaż zarazem fakt ten go smucił i czuł się przez to jak ojciec cudzołożnik, który bawi się z ufającym mu dzieckiem. Pomyślał, że los postępuje z nim ironicznie, bo wszak przez lata płasanie w basenie z półnagim Tobym należało do jego najbardziej romantycznych marzeń. Podciągnął się na rękach i usiadł na częściowo zanurzonej półce, tak iż woda chlupotała mu wokół jąder. Spojrzał na widok w oddali, potem w drugą stronę, na przebieralnię, na schodki pod figowcem i na wysoką ścianę domu z zamkniętymi okiennicami. Popołudniowa zmysłowość, nastrój osierocenia, szeroki wachlarz milczących możliwości... Gdy Toby wyskoczył z

przebieralni, jego bujne pośladki zatrzęsły się, nieświadome, że ktoś je uważnie obserwuje.

Leżąc na wznak, ogrzewani przez słońce, wypili po jeszcze jednym piwie. – Ciekawe, jak im się je ten lunch – powiedział Toby.

– Dobrze, że mnie tam nie ma – odparł Nick. – To na pewno wspaniały lokal, ale...

– Miło mi było spędzić trochę czasu tylko z tobą, staruszkule – rzekł Toby, jak gdyby ten czas naprawdę sensownie wykorzystali. – A jak ci się układa z Wanim?

– Bez problemów. Jest względem mnie nader hojny.

– Mówił mi, że dużo mu pomagasz.

– Naprawdę...? Tak... Jest dość wymagający.

– Zawsze był taki. Ale przyzwyczaisz się do tego. Ja już znam go na wylot.

– Przyjaźnicie się od dawna, prawda?

– Od bardzo dawna – odparł Toby.

Nick wyciągnął krem do opalania, a Toby natarł mu plecy, przez cały czas opisując każdy swój ruch. Potem Toby położył się na brzuchu i Nick po raz pierwszy przyklęknął nad nim i rozprowadził wodnistą substancję na jego łopatkach, aby szybko i dokładnie wetrzeć ją w grzbiet przyjaciela. Czuł pierwsze igiełki bólu głowy po piwie i paru godzinach na słońcu; czuł, jak piecze go skóra, jak mu ciąży powieki i jak w sposób nieszczerólnie komfortowy sztywnieje mu penis. Jego dłonie przesuwwały się płynnie po plecach Toby'ego, imitując w praktyce, zresztą dość osobliwie, tysiące uprzednich fantazji erotycznych. Serce zabiło mu mocniej, gdy schodząc niżej po łuku pleców, a potem przemieszczając się ku luźnej gumce kąpielówek, ku pośladkom, rozpoczął coś w rodzaju metodycznego masażu. Toby nie protestował, Nick zaś wiedział, że prześladować go będzie potem świadomość, jak mógłby wyglądać ciąg dalszy. Odskoczył błyskawicznie i leżał niewygodnie na brzuchu. Przez kilka kolejnych minut prowadzili urywaną, niespójną rozmowę, licząc tylko na niewyraźne mruknięcie drugiego, jak para kochanków w łóżku.

Obudził go świdrujący dźwięk, podobny do niemogącego zaskoczyć silnika; słychać też było ciężki rytmiczny oddech. Odwrócił się, rozejrzał dokoła zamglonym wzrokiem i dostrzegł Toby'ego na wyniesionym z przebieralni symulatorze wioseł. Składał się z ruchomego siodełka, uchwytów na stopy i dwóch równoległych dźwigni, przymocowanych do podstawy białymi linkami, które to napinały się mocno, to

rozluźniały, zależnie od pozycji ćwiczącego. Nick ułożył się na boku, a patrząc, nie umiał odpędzić od siebie podejrzenia, że zginając się i prostując miarowo, przyjaciel się przed nim popisuje. Był bardzo mocno zbudowany. Słońce ogrzewało mu plecy, a pod pachami zbierały się kropelki potu. Mięśnie brzucha napinały się i rozluźniały, napinały i rozluźniały. Powietrze beznamiętnie wpadało i wypadało z lekkim poświstem, a usta stężały jak do pocałunku. Efekt był surrealistyczny: wiosłować tak gorliwie na suchej ziemi, podczas gdy obok widniała gładka tafla błękitnej wody. Odgłosy symulatora kojarzyć się mogły z drażniącym uszy cięciem drewna lub heblowaniem. Nick przypomniał sobie jeden z oksfordzkich wieczorów, gdy spacerując nad Tamizą, minął przystań wioślarską, w której złożono już wprawdzie wszystkie ósemki, lecz gdzie kręciło się ciągle kilku wioślarzy, urzeczonych zapewne szarawym jeszcze niebem i emanującą z rzeki aurą swobody i dyscypliny. Szeroką piaszczystą ścieżkę przecinały wilgotne koleiny – ślad po przeciągniętych tamtędy łodziach. Nick szedł dalej niespiesznie, aż w końcu zobaczył to, co najbardziej ujrzyć pragnął: nagi błyszczący tors Toby'ego, który wiosłując w jedyńce, z zadziwiającą prędkością pruł płaszczyznę rzeki.

Nick czytał właśnie pod daszkiem, kiedy trzasnęły drzwiczki samochodu i rozległy się zmęczone, pobrzmiwające wrogością głosy. Na pół minuty objawił się w nim na nowo instynkt posiadania, redukujący prawdziwych właścicieli domu do statusu zwykłych intruzów. Szklany klosz stłukł się nagle i ciepłe popołudnie bezpowrotnie straciło powłokę ochronną. Catherine podeszła do niego, stukając obcasami i uginając się demonstracyjnie pod brzemieniem zmęczenia i wstrętu.

- Lunch nie smakował? – zapytał Nick.
- O, Nick! Boże... – Mruknęła coś jeszcze i prawie osunęła się na stolik, na Nicka.
- Usiądź, kochana, usiądź.
- Tipperowie... – Przeciągnęła krzesło po kamiennych płytkach i opadła na nie bezwładnie. – Nie uwierzysz. To są zasrani ignoranci. I dranie jakich... jakich...
- Mało...?
- Zasrani dranie jakich mało! Pozwolili Geraldowi zapłacić za cały lunch. Ponad pięćset funtów, obliczyłam to, sam rozumiesz... I ani słowa podziękii.
- Chyba nie chcieli za bardzo tam jechać.
- A potem, gdy pojechaliliśmy do Podier i weszliśmy do kościoła...

– Witaj, Sally! – powiedział Nick, wstał z krzesła i uśmiechnął się ujmująco, żeby zatrzeć złe wrażenie, bo przecież mogła ich słyszeć. – Wyjazd udany?

Pytanie to najwyraźniej ją zaskoczyło i pewnie trochę uraziło, ponieważ kilka razy nerwowo poprawiła włosy, zanim rzuciła oschle: – Sądzę, że tak. Tak. Wyjazd był bardzo udany!

– Cieszę się. Podobno to znakomita restauracja. Zdążyliście wrócić na drinki. Toby szykuje właśnie dzbanek pimm'sa. Może dzisiaj wypijemy na zewnątrz?

– Mmm... Okej. A co wy porabialiście tu przez cały dzień? – Spojrzała na Nicka cokolwiek krytycznie. Wiedział, że z jego twarzy bije senne zadowolenie, typowe dla dziecka, które na kilka godzin zostało samo w domu i sugeruje teraz, iż mogło co nieco poswawolić, chociaż o dziwo oddawało się godnemu pozazdrosczenia nieróbstwu.

– Z przykrością stwierdzam, że marnowaliśmy czas – odrzekł. Z domu wyszedł z dzbankiem Toby, zaczerwieniony od drzemania na słońcu, a Nick uzmysłowił sobie, że to właśnie chce dać jej do zrozumienia: że jest tu na prawach członka rodziny i może beczynnie marnować czas z synem państwa dziedziców.

Gerald i Rachel jeszcze się nie zjawili, więc Tipperowie zasiedli do drinków z młodzieżą. Toby przyrządził dla Maurice'a szklankę tak gęstą od owoców i warzyw, że ten nawet jej nie tknął. Catherine dużo mrugała i przechylała głowę w zamyśleniu. – Jest pan bardzo bogaty, prawda, sir Maurice?

– Prawda – odparł i aż sapnął z takiej szczerości.

– Ile pan ma?

Patrzył na nią surowo, lecz nie wyglądał na bardzo rozdrażnionego. – Trudno to dokładnie wyliczyć.

– Tak, trudno to wyliczyć dokładnie – potwierdziła Sally, – Ostatnio majątek tak szybko rośnie...

– No, tak mniej więcej – nalegała Catherine.

– Gdybym miał jutro umrzeć...

Sally patrzyła na niego z powagą, acz jej twarz zdradzała pewne zainteresowanie. – Mój drogi małżonku...! – szepnęła.

– Sto pięćdziesiąt milionów, powiedzmy...

– W rzeczy samej... – Sally pokiwała głową, jak gdyby pozbawiono ją reszty złudzeń.

Catherine starała się ukryć zdumienie. – Sto pięćdziesiąt milionów funtów.

– Bynajmniej nie lirów, młoda damo. Ani boliwijskich boliviano. Catherine milczała, dając Tipperom nacieszyć się ze zdumienia, w jakie ją wprawili. Potem Toby powiedział coś o sytuacji na rynku, na co sir Maurice zareagował wzruszeniem ramion, bo jakże tu dyskutować o rynku z kimś takim.

Catherine przesunęła palcem kawałek ogórka pływający w jej drinku. – Zauważyłam, że dał pan coś na ofiarę w kościele w Podier.

– Wspomagamy mnóstwo kościołów, dajemy na różne składki... – powiedziała Sally.

– Ile pan dał?

– Nie pamiętam.

– Pewnie dużo, znając Maurice'a!

Sir Maurice miał minę człowieka, który lubi być krytykowany w ten sposób.

– Dał pan pięć franków – rzekła Catherine. – Czyli mniej więcej pięćdziesiąt nowych pensów. A mógł pan dać... – uniosła szklankę i zatoczyła ręką tuk, wskazując na odległe wzgórze i rzekę – ... milion franków. Nawet by pan nie zauważył, że uratował w ten sposób romański narteks.

W swojej dotychczasowej karierze Maurice nie musiał stawiać czoła żadnemu z tych dwóch ostatnich słów, a co tu dopiero mówić o wyzwaniu, jakie stanowiły dla niego teraz zestawione ze sobą. – Mam zwyczaj zauważać – odrzekł raczej łagodnym tonem.

– Nie można rozdawać na prawo i lewo – powiedziała Sally. – Przecież mamy na głowie Covent Garden...

– Okej, jasne – przyznała taktycznie Catherine, jak gdyby słusznie wytknięto jej brak podstawowej wiedzy.

– O czym rozmawiacie? – zapytał Gerald, który pojawił się nagle w szortach i espadrylach, z ręcznikiem przewieszonym przez ramię.

– Młoda dama raczyła mnie skrytykować. Wychodzi na to, że ze mnie kawał łajdaka.

– Tego nie powiedziałam – zaznaczyła Catherine.

– Obawiam się, że taka jest prawda – powiedziała Sally. – Niektórzy po prostu są bardzo bogaci.

Gerald, bez wątpienia zmęczony już gośćmi, wlepił wzrok w schodki wiodące do basenu i rzekł: – Moja córka uważa, że powinniśmy rozdać wszystko, na co tak ciężko pracujemy.

– Nie wszystko, ma się rozumieć. – Catherine wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Ale fajnie byłoby pomóc innym, gdy ma się takie możliwości.

– A czy pani wrzuciła coś do skarbonki?

– Nie miałam przy sobie pieniędzy – odparła Catherine.

– Moja córka – zaczął znów Gerald – żyje w ciągłym złudzeniu, że jest osobą bardzo ubogą, a nie... hm... wręcz przeciwnie. Obawiam się, że dyskusja z nią mija się z celem, bo ona i tak będzie w kółko powtarzać to samo.

– Nie, wcale nie. – Niewyraźny głos Catherine zdradzał irytację. – Ja po prostu nie rozumiem, po co, mając, powiedzmy, czterdzieści milionów, trzeba koniecznie robić z nich osiemdziesiąt milionów.

Maurice westchnął, jak gdyby usłyszał właśnie coś absurdalnie infantylnego.

– Pieniądz sam robi pieniądz – powiedział Toby.

– Ale komu potrzeba aż tyle pieniędzy? Z tym jest jak z władzą, prawda? Do czego ona ludziom potrzebna? Po co zdobywać władzę?

– Posiadanie władzy – tłumaczył Gerald – wiąże się z tym, że można zmieniać świat na lepsze.

– Otóż to – potwierdził sir Maurice.

– Czyli bogacie się po to, by zrobić coś konkretnego? A może chodzi wam tylko o poczucie władzy? O świadomość, że jeśli będziecie chcieli coś zrobić, wtedy to zrobicie?

– Stary problem: jajko czy kura – stwierdziła Sally z przekonaniem.

– Słusznie – powiedział Toby, widząc, że Maurice ma już dość.

– Gdybym ja miała władzę – rzekła Catherine – przed czym chroń mnie, Panie Boże...

– Amen – mruknął Gerald.

– ... to chyba zabroniłabym posiadania stu pięćdziesięciu milionów funtów.

– Proszę uprzejmie – odparł sir Maurice. – Sama sobie pani odpowiedziałas na własne pytanie. – Zaśmiał się krótko. – Nie spodziewałem się, że będę musiał tu wysłuchiwać takich rzeczy, przyznaję.

Gerald spróbował zakończyć temat, mówiąc: – To skutek studiów w akademii sztuk pięknych, Maurice – ale nie liczył chyba na to, że to tradycyjne wytłumaczenie zadowoli gościa bardziej niż lunch w Chez Claude.

IV

W trakcie kolacji zadzwonił telefon. W pierwszej chwili każdy z obecnych na tarasie wydawał się przekonany, że to właśnie do niego, lecz gdy Liliane odebrała, wszyscy wyparli się tego przekonania, sztucznie się uśmiechając. Jedynie Nick na telefon nie czekał i miał wielką nadzieję, że Tipperów ściągnie do kraju jakieś nad wyraz po żądane nieszczęście. Liliane stanęła wreszcie na granicy kręgu światła i oświadczyła, że ktoś chce rozmawiać z *madame*. Rozmowa toczyła się później niezbyt wartko, wszyscy bowiem starali się dyskretnie wsłuchiwać w dobiegające z domu strzępy zdań; a potem Rachel zamknęła drzwi. Gdy po kilku minutach w jej sypialni zapaliło się światło, niedojedzony pstrąg z grilla i nietknięty talerzyk z sałatką wyglądały jak symptom poważnego kryzysu. A kiedy wróciła i z pełnym wdzięczności uśmiechem zgodziła się, żeby Gerald dolał jej wina, trudno było jednoznacznie orzec, czy czeka na pytania obecnych, czy może do ich zadawania zniechęca. – Mam nadzieję, że nie dostałaś złych wieści – powiedziała Sally Tipper. – Bo my na wakacjach zawsze dowiadujemy się o czymś przykrym.

Rachel wahając się, westchnęła i spojrzała na wpatrzoną w nią Catherine, czujną w tej chwili i niespokojną. – Smutna wiadomość, kochanie – zwróciła się do córki. – Twój ojciec chrzestny, Pat, umarł dziś rano.

Catherine zastygła ze sztucami uniesionymi w powietrzu i z jedzeniem w ustach. Dalej bez słowa wpatrywała się w matkę, a po policzkach zaczęły jej płynąć łzy.

– Tak mi przykro – powiedział Nick, którego bardziej niż sama wiadomość poruszyła reakcja Catherine. Czuł, że nagle i nieuchronnie wypływa kwestia AIDS i że poniekąd na niego właśnie, jedyne tu geja, spada cała odpowiedzialność. Mimo to pozostali członkowie rodziny nie zamierzali stawiać na wokandzie tego akurat aspektu sprawy.

– To rzeczywiście bardzo smutne – powiedział Gerald i szybko wyjaśnił: – Pat Grayson, aktor telewizyjny... Stary przyjaciel Rachel... – Nick zauważył, że Gerald

dystansuje się już od Pata, którego w Hawkeswood, przed trzema laty, gdy ten był na fali i miał się dobrze, określił jako „gwiazdę filmową”. – A z kim rozmawiałaś, kochanie?

– Z Terryem – odparła Rachel tak dyskretnie, że ledwie ją można było dosłyszeć.

– Rzadko oglądamy telewizję – powiedziała Sally Tipper. – Nie mamy na to czasu! Maurice ciągle pracuje, dużo podróżujemy... Zresztą wcale mi tego nie brakuje. A w czym grał wasz przyjaciel?

Odpowiedział jej Toby, również wyraźnie poruszony: – W *Sedleyu*. Był strasznie zabawny.

– W serialu komediowym? – Sally aż się wzdrygnęła.

– Tak się to nazywa, Nick? – zapytał Gerald. – Serial komediowy?

– Raczej komediowy dreszczowiec – odrzekł Nick, który wolał, by Tipperowie polubili Pata, zanim poznają prawdę. – Sedley był uroczym łajdakiem, któremu wszystko uchodziło na sucho.

– Podobał się paniom – zauważył Gerald.

– Mnie zauroczył – rzekł Wani – gdy go poznałem... w domu Lionela, jeśli dobrze pamiętam... Był przezabawny!

– To prawda... – powiedziała Rachel, która nie słuchając ich zbyt uważnie, głaskała córkę po rękę, aby okiełznać przyczajony wybuch rozpaczy. Sama najpewniej popłakała się jeszcze w sypialni, teraz zaś wykazała się hartem ducha, bo wymagała tego Catherine.

Gerald, który na swój ponury sposób pragnął okazać zrozumienie dla cudzych uczuć, nie poddając się zarazem ich oddziaływaniu, wzdychał i pomrukiwał chmurnie. – Biedna kotka – powiedział. – Wujek Pat był jej ojcem chrzestnym. Chociaż nie był prawdziwym wujkiem, rzecz jasna...

– Okropny lewak – zachichotała lady Partridge, jakby chciała zaznaczyć, że w tym, było nie było, nieżyjącym już człowieku tkwiło jednak coś naprawdę łajdackiego. – Miała dwóch ojców chrzestnych: jeden był porządnym torysem, a drugi zagorzałym socjalistą.

– Może i był zagorzałym socjalistą, kiedy mama go poznała – rzekł Toby. – Ale trzeba go było posłuchać, gdy mówił o naszej damie...

– Co takiego? – bąknął Gerald.

– On ubóstwiał panią premier!

– To oczywiste. – W obecności Tipperów Gerald wolał nie wdawać się w żarty na temat lewicowych przyjaciół Rachel. – A matką chrzestną mojej córki jest, rzecz jasna, Sharon... hm... Flintshire... To znaczy, księżna.

– Bardzo przyjaźniłaś się z Patem, prawda? – zapytał Wani, wyczulony na wszelkie powiązania towarzyskie. – Studiowaliście razem w Oksfordzie...

– Byt Benedickiem dla mojej Beatrycze – odparta Rachel, uśmiechając się cudnie, świadoma, że jest w tej chwili obiektem współczucia – oraz Hectorem Hushabye dla mej Hesione²⁰.

– Mmm... Otóż to – mruknął Gerald, przygaszony i odrobinę zakłopotany.

To wystarczyło, żeby obudzić Maurice'a, który zadziwiająco lekkim tonem, jak na człowieka podejrzliwego, zapytał: – A na co on zmarł?

Gerald wydał z siebie coś w rodzaju sapania, a Rachel powiedziała cicho: – Zapalenie płuc. Już od dawna nie czuł się dobrze, biedny Pat... – I utkwiała wzrok w niewidocznym punkcie za glazurowaną salaterką. – W zeszłym roku był na Dalekim Wschodzie i złapał jakiegoś egzotycznego wirusa. Nikt nie mógł stwierdzić, co to jest. Miał strasznego pecha.

Nick z ulgą odnotował, że ponure napięcie nie znalazło rozładowania. Spojrzał na nieświadomego rzeczy Jaspera, który ciągle kiwał głową i unikał wzroku Catherine. Aż nagle Jasper wzdrygnął się, przeczuwając nadchodzącą burzę.

– Na rany Chrystusa... Mamo! – W głosie Catherine złość walczyła z apatią. – On miał AIDS! Był gejem... Lubił anonimowy seks... Lubił...

– A skąd ty możesz to wiedzieć, kochanie? – westchnęła Rachel. Nie było jasne, które ze stwierdzeń córki podaje w wątpliwość tym pytaniem.

– Jasne, że lubił – utrzymywała Catherine. Jej mniemanie o seksualnym życiu gejów łączyło w sobie tragizm z karykaturalnymi stereotypami. Uśmiechnęła się szeroko i wlepiała oczy w blat stołu. Nick czuł, że jej pogarda obejmuje też jego osobę.

– Tak czy inaczej... – Gerald westchnął głęboko i uśmiechnął się, jak gdyby najgorsze mieli już za sobą. Uniósł butelkę i przechylił ją pytająco, patrząc na swoją matkę.

²⁰ Benedick i Beatrycze to bohaterowie Szekspirowskiej komedii *Wiek hałasu o nic*, a Hector Hushabye i Hesione to postacie z komedii G.B. Shawa *Dom serc złamanych*.

– Przecież to żalosne! – wybuchła Catherine, niesiona nową falą walczących ze sobą emocji. – Trzeba powiedzieć o nim całą prawdę. Tyle mu chyba jesteśmy winni? – i walnęła w stół, wprawdzie mocno, ale również dziecinnie i komicznie, wywołując jeden lub dwa nerwowe uśmiechy wśród zebranych. Odsunęła z piskiem krzesło i wbiegła do domu.

– Hm... Może powinienem...? – zapytał Jasper. I zachichotał.

– Nie, nie. Ja pójdę – odparła Rachel. – Za chwilę.

– Doświadczenie nakazuje troszeczkę odczekać – powiedział Gerald, tłumacząc się gościom z panujących w rodzinie obyczajów.

– Młoda dama ma emocjonalną naturę – zauważył Maurice Tipper, uśmiechając się kwaśno.

– Ma bardzo emocjonalną naturę – poprawił go Jasper, dość zresztą tchórzliwym tonem, tak że nie dało się stwierdzić, czy mówi poważnie, czy kpi.

– Jest ciut niezrównowazona – przyznała lady Partridge, jakby zdradzała rodzinną tajemnicę.

Gerald wyraźnie się wahał, wpatrzony w uniesiony kieliszek. Postanowił jednak wziąć stronę córki. – Ja ująłbym to inaczej – powiedział. – Ona po prostu ma miękkie serduszko. – Nick pomyślał, że czego jak czego, ale tego akurat powiedzieć o niej nie można.

– A czy i Sophie zdarza się wpadać w takie nastroje? – zapytała Rachel dość chłodnym głosem.

Sir Maurice uznał chyba to pytanie za impertynenckie, a jego żona odparła: – Jeżeli wpada, to tego po sobie nie okazuje. Chyba że jest na scenie. Teatr to jej pasja. – Nick przypomniał sobie, że w *Wachlarzu lady Windermere* jedyna jej kwestia brzmiała: „Tak, mamo”.

Po kolacji wszyscy czterej młodzieńcy poszli do salonu. Szybko jednak opuścił ich Jasper, który pobiegł na górę, by kręcić się potem nerwowo przy drzwiach do pokoju Catherine. Wani czytał należący do sir Maurice’a egzemplarz „Financial Times”, a pogrążony w smutku Toby bawił się ponuro kieliszkiem koniaku i co jakiś czas rzucał w stronę Nicka: – Boże, to straszne... Biedny Pat... Nie mogę w to uwierzyć...

W końcu Nick odłożył dopiero co rozpoczętą książkę, sugerując uśmiechem, że nie jest ona ciekawa. – Tak – powiedział. – To straszne. Bardzo mi przykro. – Przypomniał

sobie, jak po lunchu leżeli razem nad basenem, i w jego oczach cały ten salon załśnił nagle zmysłową czułością. Podnieciła go żalność Toby'ego i chłopięca potrzeba pociechy, jaką mógł dać mu przyjaciel, wypowiadając takie czy inne mądre słowa. Sam Nick również był pod wrażeniem śmierci Pata i miał nawet nikłe poczucie winy, nic bowiem dla niego nie zrobił; z drugiej wszelako strony Pat nie zrobił też nic dla niego. Nick nie przepadał za typową dla niego asekurancką odmianą gejestwa i traktował go niezbyt grzecznie, może nawet z pewną wyższością. Ta śmierć poniekąd przyniosła mu ulgę, anulując zadawnioną niechęć do zmarłego. – Ciekawe, jak zniósł to Terry – powiedział, żeby nawiązać dialog z Tobym, któremu było to wyraźnie potrzebne.

– Tak, biedny Terry. Boże, to straszne... Cholerna zaraza.

– Tak...

– A ty też, do cholery, uważaj, żebyś nie złapał tego kurewstwa.

– Nie ma obawy – odparł Nick. – Jestem bardzo uważny, odkąd... hm... odkąd wiemy już o tej sprawie. – Spojrzał na Waniego, zasłoniętego od kolan w górę różową płachtą gazety, którą od czasu do czasu prostował uderzeniem dłoni, a której nagłówki mówiły o rekordowych cenach akcji i nieruchomości. – Nie musisz się o mnie martwić – dodał.

Toby był trochę zakłopotany. – Nie wiedziałem, że Pat... no wiesz... sypiał z kim popadnie.

– Hm... – Za sprawą niedyskretnej Catherine Nick świetnie wiedział, że Pat miał słabość do brutalnego seksu. – Nie możesz wierzyć w każde słowo Catherine. W jej świecie wszystko urasta do nierealnych rozmiarów.

– Tak... Tylko że ona była bardzo zaprzyjaźniona z Patem... Często zabierał ją na kolację. Poza tym odwiedziła go w Haslemere trzy albo cztery razy. Jeżeli twierdzi, że Pat lubił anonimowy seks...

Nick zauważył, że w salonie zjawili się milczący Tipperowie, którzy zeszli ze swojego pokoju na górze, jak gdyby czuli się w obowiązku odsiedzieć tu jeszcze z pół godziny. Maurice był bez wątpienia zde gustowany przebiegiem kolacji i o skłonności dewiacyjne podejrzewał już pewnie wszystkich obecnych w dworku. Młodzieńcy podnieśli się z miejsc. Nick odłożył swoją książkę okładką do góry na ramieniu fotela, a Sally, chcąc skanalizować niezadowolenie na jakimś neutralnym przedmiocie, spojrzała na nią i rzekła: – O, widzę, że to książka Maurice'a.

– Hm... – Nick nie dał się zbić z tropu, acz był jednak odrobinę zdziwiony, ponieważ czytał właśnie szkic o poezji Johna Berrymana. – Nie sądzę...

– Popatrz, kochanie!

Maurice wsunął na nos błyszczące okulary. – Co? A, tak... – potwierdził i ruszył w stronę Waniego, który szybko składał „Financial Times”.

– Możecie państwo to przeczytać – powiedział Nick i zaśmiał się krótko. – Ale Bogiem a prawdą, ta książka należy do mnie. Przysłano mi ją dzisiaj rano. Mam ją zrecenzować dla dodatku akademickiego do „Timesa”.

– Ależ nie... Nie, nie... – Sally zdobyła się na taktowny uśmiech. – Maurice jest właścicielem wydawnictwa Pegasus, które, jak widzę, wydało tę książkę.

– Nie wiedziałem!

– Kupiłem Pegasus – rzucił sir Maurice. – Kupiłem całą tę grupę. Jest o tym w dzisiejszych gazetach. – i usiadłszy, wlepił oczy w stojący na kominku wazon z suszonymi miesięcznicą i ostami.

– Skoczę na górę i sprawdzę, co z moją siostrunią – powiedział Toby, jak gdyby sytuacja pomogła mu podjąć tę decyzję.

Nick uznał, że nie wypada mu towarzyszyć przyjacielowi. Usiadł więc naprzeciw Sally, chociaż siedzieli każde sobie, jak goście w hotelowym holu. – Obawiam się, że ta wiadomość zepsuła nam wieczór – powiedział.

– Tak – przyznała Sally. – To fatalne...

– Stracić starego przyjaciela...

– Mmm... – Sally wzdrygnęła się po swojemu, jakby sugerowała, że źle ją zrozumiano. – A więc pan też znał tego człowieka?

– Pata? Tak, co nieco – odparł Nick. – Był z niego wielki czarodziej. – Uśmiechnął się, a jego ostatnie słowo zawisło w powietrzu niby tajny komunikat do rozszyfrowania.

– A my, jak mówiłam, nie widzieliśmy go nawet w telewizji. – Wzięta do ręki magazyn „Country Life” i zaczęła przeglądać oferty nieruchomości. Miała surowy wyraz twarzy, jak gdyby w myślach próbowała zbić cenę. Wyglądała też jednak na skrepowaną, więc może chciała jednak wrócić do tej rozmowy. W pewnym momencie uniosła wzrok i wzdrygnąwszy się znów, powiedziała: – Przecież to było do przewidzenia.

– Proszę? A tak... – odrzekł Nick. – Nie wiem. Może. Człowiek zawsze ma nadzieję, że tak to się nie skończy. A nawet jeśli rzecz jest do przewidzenia, to gdy się w końcu

wydarzy, szok jest nie mniejszy, niż gdyby wszystkich zaskoczyła. – I nagle opuściła go pewność, że Sally wie o jego gejostwie; zawsze zakładał, że właśnie przez wzgląd na ten fakt odnosi się doń chłodno i niemalże go ignoruje, teraz zaś podejrzewał, że ona po prostu niczego nie spostrzegła. Czuł, jak ten temat nabrzmiewa i gotuje się do wybuchu. Ujawnienie się w takim miejscu, przy takich ludziach, nie mogło odbyć się bezboleśnie, tym bardziej że wszystkich, w mniejszym lub większym stopniu, dotyczył już problem AIDS.

– Sama pani wspominała o śmiertelnie chorej matce – powiedział.

– To jest zupełnie inna sprawa – odezwał się Maurice.

– Kiedy odeszła, kamień spadł nam z serca – wyjaśniła Sally.

– Poza tym sama na siebie tej choroby nie ściągnęła – rzekł Maurice.

– Tak, to prawda – westchnęła Sally. – Oni dostaną teraz nauczkę... to znaczy... homoseksualiści.

– Nie jest to najprzyjemniejszy sposób na uczenie się czegokolwiek – powiedział Nick – ale istotnie, uczy się zachowywać ostrożność.

Sally patrzyła na niego nieruchomo. – Tak...

Sir Maurice chyba niczego nie zauważył, lecz trudno było nie dostrzec, jak jego żona trawi usłyszaną nowinę. Nick postanowił przełożyć zagadnienie na zrozumiały dla niej język, miał jednak kłopot ze znalezieniem właściwych określeń. – No cóż... W gruncie rzeczy nie jest to zbyt skomplikowane. Trzeba... na przykład... używać zabezpieczenia... kiedy robi się szybkie numerki.

– Rozumiem – odparta Sally i znów potrząsnęła głową. Nick nie był pewien, czy go naprawdę zrozumiała. Czy w ogóle warto uciekać się do eufemizmów? Z jednej strony wyglądało na to, że jest gotowa przełknąć wszystko, co usłyszy, z drugiej wszelako sprawiała wrażenie skonsternowanej, wystraszonej i urażonej. – Tym właśnie zajmował się wasz przyjaciel ten aktor, tak? Numerkami?

– Prawie na pewno – potwierdził Nick. Sir Maurice wydał z siebie odgłos człowieka cierpiącego na niestrawność. – No, ale jak wiadomo – ciągnął Nick przymilnie, znużony i żarliwy jednocześnie – istnieją inne sposoby. Na przykład seks oralny, który jest mimo wszystko znacznie bezpieczniejszy...

Sally przyjęła to spokojnie. – Czyli całowanie się, tak?

Sir Maurice spojrział na Nicka surowo i rzekł: – Z przykrością stwierdzam, że pańskie słowa wywołują we mnie fizyczną odrazę – i prawie że zaśmiał się z własnego obrzydzenia. – Nie rozumiem, dlaczego ktokolwiek się dziwi. To wszystko wymknęło się spod kontroli i doigrali się wreszcie.

Pod wpływem niezwyklej rozmowy z Nickiem Sally nagle doznała olśnienia i wykrzyknęła: – Och, Maurice ma średniowieczne poglądy w tych sprawach; jest jak królowa Wiktoria! – Zdobyła się na chwilowy bunt, ale jej niecierpliwy ton aż prosił się o reprimendę.

– Nie wstydzę się swoich poglądów – oświadczył sir Maurice.

– Oczywiście, kochanie – przyznała szybko Sally.

– A ja nie wstydzę się swoich – rzekł Nick.

– A co pan o tym myśli, Wani – spytała Sally – jako młody człowiek z drugiej strony barykady?

Przez cały ten czas Wani popatrywał na Nicka spokojnie, acz ze złośliwym błyskiem w oczach. – Myślę, że Nick ma rację. Wszyscy muszą być ostrożniejsi. Jak ktoś uważa, to nie musi się bać.

– Uśmiechnął się jak wcielenie rozsądku. – Przeraza mnie tylko, że zarażone są też małe dzieci... niektóre już się z tym rodzą.

– To straszne – powiedziała Sally.

– Być może w tych sprawach wychowano mnie w sposób dość staroświecki, ale uważam, że seks przedmałżeński jest nie do przyjęcia.

– Podzielam ten pogląd – rzucił sir Maurice głosem tak agresywnym, jak gdyby zaprzeczał swemu przedmówcy.

Nick, zdumiony i przepełniony ironią, zdołał jedynie zacząć: – Ale jeżeli my nigdy się nie ożenimy...

– Ten świat zwariował na punkcie seksu, prawda? – przerwała mu Sally tonem zamykającym dyskusję.

– Prawda – rzekł Wani.

V

Nazajutrz rano znad basenu dobiegły Nicka krzyki Geralda i Catherine, nie mógł jednak zorientować się, o co poszło. Zdziwiło go to, bo przecież tak krótko po śmierci Pata Gerald powinien zadać sobie trochę trudu i nieco powściągnąć emocje. Z drugiej strony wydawało się mieć to pewien sens jako uboczny skutek szokującego dla rodziny zdarzenia. Później przez cały dzień nikt nie wspomniał o tym ani słowem.

Gdy po południu Nick szedł do siebie na górę, zauważył, że tuż za nim idzie Catherine, a gdy obejrzał się potem, już na długim korytarzu, stwierdził, iż przyjaciółka spogląda nań z wyraźnie zaaferowaną miną. Nie zamknął za sobą drzwi i chwilę później Catherine zjawiała się w jego pokoju. – Cześć, kochana – przywitał się Nick.

– Mmm... Cześć, kochany – odrzekła. Rzuciła mu szybkie spojrzenie i rozejrzała się tajemniczo po pokoju.

– Wszystko gra?

– Tak. Wszystko w porządku. Czuję się dobrze.

Nick uśmiechnął się łagodnie. Ponieważ jego pytanie nieco ją rozdrażniło, uznał, że przeboleła już śmierć Pata, że zgodnie z jej osobliwą ekonomią emocjonalną gwałtowne uczucia równie szybko pojawiały się, jak znikaly. Miała na sobie białe obcisłe szorty i szary podkoszulek Jaspera, w którym podrygiwały jej drobne piersi. Nikt wcześniej nie odwiedzał Nicka w tym pokoju, więc atmosfera zrobiła się napięta i intymna, niby na pierwszej randce. Catherine usiadła na łóżku i sprawdziła dłonią sprężystość materaca.

– Biedny Nick... Zawsze dostajesz najgorszy pokój.

– Mnie się podoba – odparł Nick, rozglądając się dokoła.

– Kiedyś ja tu mieszkałam. To był pokój dziecienny. Boże, pamiętam te straszne obrazki.

– Rzeczywiście można się wystraszyć. – Chodziło o dwa niemieckie obrazki na szkle: *Jesień*, na którym kobieta z egretą na głowie napełniała uniesiony fartuch służącej zrywanych z drzewa owocami, i *Zima*, na którym odziani w czerwone płaszcze mężczyźni jeździli na łyżwach i mierzyli ze strzelb, a na gałęzi śpiewało samotne ptaszę. Trudno było powiedzieć, co budzi taką grozę, lecz scenki te istotnie tchnęły ponurością.

– Tak czy inaczej, masz blisko do przyjaciela.

– Słyszę nawet, jak Ouardi pochrapuje – odrzekł pogodnie Nick i usiadł przy stole.

– Ouardi jest w porządku.

– Sympatyczny, prawda?

– Zawsze myślałam, że jest tylko rozpieszczonym bucem, ale widzę, że chyba źle go oceniłam. Potrafi błysnąć humorem.

– To prawda – odrzekł Nick, który uważał, że pod względem poczucia humoru zdecydowanie nad Wanim góruje.

– Ale ma też humory. Czasami jest nieobecny, wygląda jak manekin i powtarza tylko, że coś jest urocze, że księżna to czy tamto... A czasami umie być duszą towarzystwa.

– Wiem, o czym mówisz – zaśmiał się Nick, rozbawiony jej przedrzeźnianiem Waniego. – Ale można przywyknąć.

Catherine podparła się na łokciach i wyprostowała nogi. – Cieszę się, że nie jestem jego narzeczoną.

– Ona też już pewnie przywykła.

Nick spuścił wzrok i zaczął układać leżące na stole książki i notatniki; przesunął też wspomnienia Henry'ego Jamesa, pod którymi spoczywał gejowski przewodnik Spartacusa. Zakładał, że Catherine nie pojawiła się tu bez powodu. Rozejrzała się teraz, wstała i zamknęła drzwi z miną kogoś, kto myślami jest już przy kolejnym ważkim temacie.

– Wani zaczyna mnie intrygować – zaczęła.

– To znaczy?

– Jest byстрыm facetem.

– Tak?

– Kompletnie zamydlił ci te niebieskie oczęta.

Nick uśmiechnął się słabo, ogarnięty niepokojem; jego świadomość ledwie zarejestrowała usłyszany komplement. – Całkiem możliwe – powiedział.

Catherine usiadła. – Mój mały Jaz ma pewną teorię.

– Czyżby? Słowo „teoria” niezbyt mi do niego pasuje.

Catherine udawała, że nie słyszy w tym zdaniu imitacji tonu Geralda. – Może i nie, ale... Jasper jest bardzo spostrzegawczy. Pewnie mi nie uwierzysz... ale... on myśli, że Wani jest pedziem.

– Ooo... – Nick wyraził rozczarowanie. – Wszyscy tak mówią. Może dlatego, że często się kąpie i nosi prześwitujące spodnie. – Jeżeli coś £o dziwiło, pomyślał, to właśnie fakt, że prawie nikt tak nie mówi.

– Jasper twierdzi, że on ciągle za nim łązi i gapi się na jego instrument.

– Mmm... Przemawia przez niego próżność, kochana. Jasper ciągle łązi za mną i demonstruje mi swój instrument. – To było chyba aż nazbyt szczere. – Musisz przyznać, że ma w sobie coś z uwodziciela. – Zdziwiony własną przytomnością umysłu w tej nieszczególnie komfortowej sytuacji, Nick zachichotał i założył nogę na nogę.

– A więc Wani o tym nie wspominał? Nie mówił ci nic o Jazie? Swoją drogą, tobie nie wspomniałby na pewno, bo jeszcze byś sobie coś pomyślał! Tak, to nie miałyby sensu. – Catherine nie wyglądała jednak na przekonaną do swej teorii.

Nick zarumienił się, lecz dalej patrzył jej w oczy. – Sam nie wiem, kochana – powiedział i zagryzł dolną wargę. – Czy oni przypadkiem nie siedzą teraz razem nad basenem? Może dzieje się tam coś ciekawego? Kto wie?

– Dobrze, że Jaz nie włożył dzisiaj stringów.

– Tak, bardzo dobrze... – i dalej brnął defensywnie w swój ponury dowcip: – Ale gdy wejdą razem do przebieralni...

Catherine postąpiła mu zafrasowane spojrzenie i sama się trochę zaczerwieniła. Wiedziała rzecz jasna, że Nick wie o szybkim numerku, na jaki pozwoliła Jasperowi w przebieralni, i że się tym w pewnym sensie przed Nickiem szczyci. Nie wiedziała jednak, że po owej upiornej kolacji rozwścieczony wciąż Nick jak furiał posuwał tam Waniego. – Boże... Nawet mi nie mów o przebieralni.

– Dlaczego?

– Gerald naskoczył na mnie dziś rano; miotał się jak szympan.

– Kochana... Wiedziałem, że coś się stało. – Pomyślał, że Gerald, stojąc dziś nad basenem i atakując swoją córkę, musiał istotnie stać ze spuszczoną głową i garbić się jak szympan.

– Jaśnie pani spostrzegła, że w klozecie pływa gumowy kapturek. Sam sobie wyobrazasz, jaka była wzburzona. Ten incydent zepsuł jej całą poranną kąpiel.

– Hurra! – Nick uśmiechnął się szeroko, lecz myśli kotłowały mu się w głowie.

– Myślałam, że Jaz go splukał. No, ale Gerald zaczął węszyć i mało brakowało, a wpadlibyśmy na całego.

– Ciekawe, że Sally wiedziała, co to takiego...

– Żalotne – stwierdziła Catherine, którą ominęła rzecz jasna lekcja wychowania seksualnego z poprzedniego wieczoru. – Na litość boską... Jesteśmy przecież dorośli.

– To prawda...

– A w domu tego robić nie można, bo wszystko się niesie...

– Tak, to stanowi pewien problem...

– A wiesz, co tu jest, kurwa, najdziwniejsze?! – Catherine wpatrywała się w Nicka, zaintrygowana i podekscytowana, on zaś czuł, jak maska na jego twarzy staje się coraz cieńsza. Uśmiechnął się; nie wiedział, czy został zdemaskowany, czy może jego statyczność pozwoliła mu uniknąć dekonspiracji. – Jestem pewna, żeśmy wczoraj robili to bez kapturka.

– Musicie zawsze używać gumki – pouczył ją Nick. – Nie ma sensu raz robić to w gumce, a raz bez. Przecież nie wiesz, z kim on się wcześniej zadawał.

– Ależ, Nick... On jest niewinny jak baranek. Nigdy z nikim się nie zadawał.

– No, cóż...

Catherine wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. – Więc jeśli nie my, to...

– Może to była gumka z przedwczoraj – dokończył Nick z beztrząską skazańca. Wykluczając jednych podejrzanych i posądzając tym samym innych potencjalnych sprawców, Catherine bawiła się w Agathe Christie. Nick pomyślał, że podobnie jak Poirot, przyjaciółka znalazła odpowiedź, nim jeszcze weszła do pokoju. Gdy jednak wstała, podeszła do okna i odwróciła się do niego, na jej twarzy malował się wyraz osłupienia, a nawet niesmaku, wywołany przez nagłe olśnienie.

– Boże, jaka ja byłam głupia...

Nick patrzył na nią, a ona na niego. Z jednej strony było mu smutno i głupio, że dał się tak zdemaskować, z drugiej czuł swoistą dumę, czekającą na chwilę, w której będzie jej wolno ujawnić się poprzez uśmiech. Catherine musiała przyznać, że dopuścili się z Wanim mistyfikacji na dużą skalę, że oszukiwali ją z klasą. Odniósł wrażenie, że doszła do siebie i wietrzyła już gruby skandal.

– Wani jest bystrym facetem, to prawda – rzekł Nick.

Catherine znowu podeszła do łóżka i usiadła na nim z godnością. – Już nie uważam go za bystrego – powiedziała.

– Rozumiem, że zachował się inteligentnie – zaczął ostrożnie Nick – kiedy myślałaś, że wystrychnął mnie na dudka, ale nie jest już bystry, gdy okazuje się, że oszukiwał właśnie ciebie? – Pomyślał, że jest pewna różnica pomiędzy zręcznym zatajeniem prawd prostych, choć często brutalnych, a utrzymywaniem w tajemnicy faktów zaskakująco sympatycznych. Z perspektywy człowieka uwikłanego w takie procesy trudno mu było stwierdzić, która z tych wersji odnosi się do niego i jego kochanka. – Ukrywamy się tylko przez wzgląd na niego, rzecz jasna.

– Ale jak on to wytrzymuje?

– Jak wytrzymuje całą tę tajemność? Czy jak wytrzymuje ze mną?

– Cha, cha, cha.

– Co do tajemności... – Nick często odnosił wrażenie, że nie umie przedstawiać argumentów, nie umie bronić własnej sprawy, a co dopiero spraw cudzych. Jednakże w tym konkretnym przypadku miał w zanadrzu żelazne dowody, choćby dlatego, że wcześniej musiał nieraz przekonywać sam siebie. Odliczył na palcach: – Jest milionerem, jest Libańczykiem, jest jedynakiem, jest zaręczony, a jego ojciec jest psychopatą.

– Ale jak to się zaczęło? – Catherine uznała zapewne, że wyłuszczone jej powody są zbyt oczywiste, by tracić czas na ich roztrząsanie. – I jak długo to trwa? No, bo... na Boga... Nick!

– Zaczęło się pół roku temu.

– Pół roku! – I znów Nick nie mógł stwierdzić, czy to za dużo, czy może za mało. Catherine nie odrywała od niego wzroku. – Napiszę list do tej biednej cierplivej Francuzki!

– Niczego takiego nie zrobisz. Za rok twoja biedna Francuzka będzie już szczęśliwą żoną.

– Żoną libańskiego pedryła, którego ojciec jest psychopatą...

– Nie, kochana. Żoną pięknego bogatego młodzieńca, który uczyni ją szczęśliwą i da jej mnóstwo pięknych bogatych dzieci. – Perspektywa zaiste pociągająca.

– A ty?

– Poradzę sobie.

– Nie będziesz chyba posuwał małżonka biednej Francuzki?

– Jasne, że nie – odparł Nick z bezbarwnym uśmiechem kogoś, kto o pewnych sprawach boi się nawet pomyśleć. – Przeskoczę na inny kwiatek.

Catherine, kręcąc głową, wysnuła narzucający się morał: – Ach, ci mężczyźni... – Nick roześmiał się niespokojnie, bo był wszak zarówno przedmiotem współczucia, jak i obiektem ataku.

– Przysięgnij, że nikomu nie powiesz.

Ważyla to w sobie, chcąc go zirytować; widocznie tego w tej chwili potrzebowała. Opowiadała się wprawdzie po stronie buntu i seksu, lecz jej odkrycie ciągle ją gniewało, bo okazała się wszak niegodna zaufania i dała się wprowadzić w błąd. Nastąpiła cisza, którą przerwał po chwili skrzyp schodów i natychmiast rozpoznany przez Nicka odgłos półbutów na grubej podeszwie, uderzających miarowo w płytki na podłodze korytarza. Wzdrygnął się, zagryzł usta i schylił głowę jak do modlitwy, nakazując towarzysze milczenie. Wani szedł do swojego pokoju, prawdopodobnie po to, żeby się przebrać, co czynił tu częściej niż inni, jak gdyby przestrzegał w ten sposób etykiety lekceważonej przez resztę obecnych. W rzeczywistości miał jeszcze jeden powód i cel, a jego powrót w białych płóciennych spodniach i jasnej jedwabnej koszuli tak naprawdę stanowił kamuflaż i miał poniekąd wytłumaczyć jego nagłe ożywienie. Gdy wszedł do pokoju, na błyszczących płytkach pod uchylonymi jak zwykle drzwiami Nicka widać było jego wahający się cień. A potem zgrzytnął zatrask w zamkniętych drzwiach. Zamki w tym domu żyły własnym życiem, szcękając i skrzypiąc oskarżająco, jak gdyby tkwiły w nich ukryte zasoby energii.

Kiedy wpatrzeni w drzwi czekali oboje, aż Wani wyjdzie na korytarz, Nick wyobraził sobie, jak jego kochanek z typowym dla niego poczuciem wyższości wciąż kreskę koki, i zapragnął niemalże, by go tu usłyszeli, by również ten sekret wyszedł na jaw. Chciał usłyszeć rytmiczne odgłosy owego miłosnego niejako rytuału, dowieść istnienia w życiu Waniego innego wielkiego romansu. Wani był chyba jednak w łazience. Gdzieś w górze przeleciała awionetka; pulsujący warkot jej silnika stapał się w świadomości z innymi dźwiękami lata.

– Tacy strojniesz to koszmar – orzekła Catherine, gdy Wani zszedł już na dół. – Wiadomo...

– Nie dla każdego – zaproponował Nick.

– Boże... Pamiętasz Rogera?

– Szybko schnący? Zdaje się, że tak go przezwałaś. – Nick poczuł się urażony i zlekceważony, lecz czuł zarazem pewną ulgę, słysząc, że Catherine przesuwa akcent

rozmowy na jednego z jej własnych facetów. – W seksie zawsze coś uduziwniał. Wolalby pewnie, żebym miała owłosiony biust, no wiesz... Poza tym zawsze miałam wrażenie, że nie poświęca mi całej swojej uwagi.

– Przecież to wcale nie jest takie dobre – powiedział Nick, chociaż wcale w ten sposób nie myślał. Zrozumiał jednak, że wiedziałby więcej o życiu, gdyby dzielił się Wanim nie tylko z koką, ale również z jakąś kobietą.

– Mówi taki, że cię kocha, ale ten rodzaj faceta zasługuje na jeszcze mniejszy szacunek niż cała reszta. – Wani nigdy nie mówił mu, że go kocha, Nick zaś mówić mu to przestał, bo po wypowiedzeniu tych słów spotykało go zawsze kłopotliwe milczenie. – Swoją drogą, jestem zdumiona. Myślałam, że on nie jest w twoim typie.

Nicka zamurowało. Wani znów stanął mu przed oczami.

– To znaczy... On nie jest czarny. I jest po studiach.

Nick zbył uśmiechem to zwięzłe streszczenie swoich upodobań. Czuł się zakłopotany, i to bynajmniej nie rozmową o seksie, tą ryzykowną grą w rumieńce, której oddawał się zawsze z rozkoszą; peszyło go obnażenie czegoś bardziej od seksu intymnego, co obudziło w nim instynkt rycerski. – Wani to jeden z najpiękniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziałem – powiedział.

– Ależ kochany – zaprotestowała szeptem Catherine, jak gdyby uznała tę deklarację za dziecinną i niepoważną. – Chyba nie mówisz tego serio? – Nick, wpatrzony w blat biurka, wzdrygnął się z irytacji. – Może cię jednak rozumiem – ciągnęła Catherine. – On jest jak parodia przystojnego faceta, prawda? – Uśmiechnęła się. – Daj mi długopis. – I na okładce jego notatnika sporządziła szybki portrecik, kreska za kreską: policzki, usta, powieki, gęste zakrętasy na głowie. – Proszę uprzejmie! Czeka, muszę jeszcze podpisać.

– I dopisała pod spodem: „Winnie, rys. Cath”. Nick w mgnieniu oka stwierdził, że podobizna jest bardzo wierna, i rzucił: – On wcale tak nie wygląda.

– Hm? – Catherine czuła, że dowiodła swych racji, lecz nie wiedziała, co ma teraz z tego wyniknąć.

– Powiem tak: gdy on wchodzi do pokoju, tak jak ostatnio, kiedy spóźnił się na lunch, a myśmy go obgadywali, a ja udawałam, że się z tobą zgadzam... Więc kiedy on wtedy wszedł, pomyślałem: nie, dość tego gadania, jestem z właściwym facetem.

– Myślę, że to jest strasznie niebezpieczne. Nick! To jest po prostu szaleństwo.

– Jesteś artystką – rzekł Nick – prawda? – Gdy w wyobraźni opowiadał komuś olśniewającą historię swojego uczucia, spotykał się zawsze z entuzjastyczną, pełną zrozumienia reakcją. Nie spodziewał się, że jego wyznanie wiary zostanie w każdym punkcie poddane pod tak surowy osąd. – Przykro mi – rzekł – ale taki już jestem. Na tym etapie powinnaś już chyba mnie znać.

– ‘Potrafisz zakochać się w kimś tylko dlatego, że jest piękny, by użyć] twojego ulubionego słowa...

– Nie w każdym, rzecz jasna. To dopiero byłoby szaleństwem! – Nicka razila postawa Catherine, bo mając dostęp do jego wnętrza, pomniejszała skalę buzujących tam emocji. Przypominało to jej stosunek do pokoju, w którym oboje teraz siedzieli. – Nie ma się o co spierać. Takie są fakty i tyle.

Catherine postanowiła nawiązać do przeszłości. – Przecież nikt nie nazwałby pięknym Dentona!

– Denny miał piękny tyłeczek – odparł Nick dość sztywno. – W tamtym czasie tylko to miało znaczenie. Nie byłem w nim zakochany.

– A ten malutki Leo? Dla mnie on też piękny nie był. A ty oszalałeś na jego punkcie. – Patrzyła na niego uważnie, chcąc sprawdzić, czy nie posunęła się za daleko.

– Dla mnie on był piękny – oznajmił Nick cichym, lecz pełnym powagi głosem.

– Otóż to! – powiedziała Catherine. – Ludzie są cudowni, dlatego że ich kochamy, a nie na odwrót.

– Hm...

– Swoją drogą... Wiesz, co się z nim dzieje?

– Nie. Od wiosny zeszłego roku nic nie wiem – odrzekł Nick i wstał, żeby pójść do toalety.

Okno łazienki wychodziło na dziedziniec przed domem i wiodącą na północ szosę; ciągnęła się ona przez pochyłe pastwiska ku odległej bieli horyzontu, a umysł sięgał jeszcze dalej: do północnych połaci Francji, do kanału La Manche i do Londynu, gdzie w promieniach tego samego słońca wychodziło się bramą na żwirową alejkę, aby minawszy platan, znaleźć się przy szopie ogrodnika, przy stojącej opodal tacze, przy przyzbie kompostu. Wszystko to wróciło do Nicka w nagłym przebłysku bolesnej nostalgii, jak gdyby nigdy już nie miał ujrzeć tej rajskiej scenerii. Stojąc tam jeszcze przez moment, wzmoгло się w nim poczucie odosobnienia, typowe dla kogoś, kto wyszedł na chwilę z

zebrania lub z lekcji i komu ciągle dźwięczy w uszach, kto wciąż ma poważną twarz, chociaż otacza go inny już zgoła świat pustych korytarzy i beznamietnego blasku dnia. Nie mógł rozwinąć przed Catherine owej krętej esowatej linii, która przywiodła go w to miejsce, która wszystko tłumaczyła. Dla niej byłoby to jedynie trywialne złudzenie, a raczej szaleństwo, jak sama raczyła to ująć. Nie trafiłby teraz do tego pokoju, do tego kraju, gdyby pewnego poranka nie ujrzał Toby'ego w bramie Worcester College i gdyby Toby nie odcisnął się tak mocno na niezapisanej karcie jego umysłu. Sekretny pościg za Tobym, nagłe przyływy odwagi, żalosna bojaźliwość (tak to widział w tej chwili), pierwsze drobne kroki w stronę Toby'ego dzięki presji na jego prostoduszną naturę i niespodziewany skok, jak ze snu, gdy Toby zaprosił go do Londynu... O żadnej z tych rzeczy nie mógł opowiedzieć Catherine. Jej zdaniem Toby był „tęnym kłocem”.

Po powrocie do pokoju zobaczył, że Catherine kartkuje przewodnik Spartacusa; uniosła wzrok i spojrzała na Nicka kpiąco, jak gdyby nie było głupszej książki na świecie. – To jest doprawdy przekomiczne – powiedziała.

– Fenomenalna sprawa – skontrował Nick, wciąż jeszcze trochę rozeźlony, lecz zadowolony ze zmiany tematu.

– Czekaj no... Paryż... Paraquat... Ta książeczka jest niewiarygodna. – Wlepiała wzrok w kartkę z intensywnością gorliwego dyletanta.

– Akurat tam dużo nie znajdziesz – powiedział Nick, który sprawdził już tę pozycję i z ironicznym uśmiechem przypominał sobie w tej chwili wzmiankowaną tam dyskotekę i park.

– Tam jest dyskoteka, kochany! Śro. do sob., od jedenastej do trzeciej. L'An des Roys – wymówiła swym ciężkim francuskim akcentem. – Musimy tam pójść! Ależ będzie zabawa!

– Cieszę się, że cię to bawi.

– Zapytamy Ouardiego. Ciekawe, co on na to... Boże, tutaj jest wszystko.

– Tak. To nader użyteczny informator – odparł Nick.

– Trasy wycieczkowe! Mój Boże... Patrz tylko: rue St. Front. Byliśmy tam wczoraj z Tipperami. Gdyby oni wiedzieli... A co znaczy NWO?

– NWO? Na własną odpowiedzialność.

– Co? A tak... Rozumiem... I jest tutaj cały świat!

– Rzuć okiem na Afganistan – powiedział Nick, bo pod tym hasłem znajdowała się słynna wzmianka o brutalności obyczajów seksualnych w tym kraju. Catherine dalej jednak kartkowała bezładnie. Nick starał się nakierowywać jej uwagę na hulaszczy tryb życia, do którego przyznawał się pośrednio jako posiadacz takiego dzieła. Podeszedł do łóżka i usiadł obok przyjaciółki.

– Czytam notkę o Libanie – powiedziała po chwili Catherine.

– Tak?

– Brzmi przecudnie. Klimat śródziemnomorski, to oczywiste... Piszą, że homoseksualizm to delicje...

– Czyżby?

– Naprawdę. *L'homosexualité est un délit* – odczytała tonem generała de Gaulle'a.

– Przykro mi, ale *délit* to przestępstwo.

– Co ty powiesz?

– Tak, *délit* to przestępstwo albo wykroczenie.

– To też bywa słodkie.

– To prawda – przyznał Nick.

Catherine znudziła się przewodnikiem i patrząc Nickowi w oczy, spytała: – Co kręci Ouardiego?

– Ja.

– To jest oczywiste – odrzekła Catherine, jak gdyby tyle sama zdążyła już zauważyć.

– Okej... Lubi, jak się go posuwa – rzucił krótko Nick i wstał, sugerując, że Catherine nic więcej z niego nie wyciągnie.

– Zawsze myślałam, że on preferuje jakąś egzotyczną odmianę gejowskiego seksu.

– Dziesięć minut temu nie miałaś jeszcze pojęcia, że Wani jest gejem.

– W głębi ducha wiedziałam.

Nick uśmiechnął się z wyrzutem. Opowiadając tę historię po raz pierwszy, ujrzał ją od innej strony, skoro zaś Catherine wyraźnie już otrząsnęła się z szoku, postanowił jak zwykle nie zawieść jej oczekiwań. Zaprzagnął znowu podjąć z nią grę, w której oboje przechwalają się swoimi mężczyznami i wykpiwają ich zarazem; chciał, by serce zabiło mu szybciej w ferworze rywalizacji, w poczuciu ryzyka, na jakie się naraża, powierzając swoje sekrety innemu. Od dawna nosił w sobie i cyzelował zdania na temat Waniego, czekając na stosowną okazję, która nadarza się może właśnie w tej chwili. Był ciekaw, jak

Catherine odbierze zrazu niechętnie wyznania, czynione później z poczuciem ulgi, i jak odbierze je on sam. Na dobrą sprawę nie miał do wyznania nic zdrożnego; sekretność minionego półrocza nie wiązała się przecież z wyrzutami sumienia. Nie powiem jej o pornografii w hotelach, pomyślał. I ponownie usiadł na łóżku, sygnalizując, że można się już po nim spodziewać większej otwartości. – On lubi zabawy we trójkę – powiedział.

– Mmm... Nie moja broszka.

– Bynajmniej cię nie zapraszamy.

Uśmiechnęła się cierpko. – A z kim się bawicie?

– Z obcymi facetami. Podrywam ich dla Waniego. Albo bierzemy płatnego chłopca. Strichera.

– Co niby?

– *Stricher*. Tak określa się ich w Monachium.

– Rozumiem... A czy to nie jest zbyt ryzykowne? Jeżeli Waniemu tak bardzo zależy na dyskrecji...

– O ryzyko tu chodzi – odparł Nick. – Wani lubi poczucie zagrożenia. I lubi być uległy. Sam nie za dobrze to rozumiem, ale on lubi mieć świadka. Pociąga go wszystko, co jest na pozór zupełnie do niego niepodobne.

– Brzmi to raczej żałośnie – stwierdziła Catherine.

– Lubi sobie powrzeszczeć. – Nick nie wiedział, czy mówiąc to, dostarcza dowodu obronie, czy może wspiera oskarżenie.

– Ma wrzaskliwego ptaszka?

– Robi przy tym dużo hałasu, ot co. – Chyba lepiej jej nie wspominać o tamtym poranku w Monachium. – Rozbawił mnie kiedyś strasznie – powiedział – kiedy pewnego ranka w Monachium narobił takiego hałasu, że pokojówki na korytarzu zaczęły się z nas podśmiewać. On tego nawet nie zauważył.

– Russell lubił, jak dużo krzyczałam – sapnęła Catherine.

Nick skwitował tę dygresję wåtłym uśmiechem; pomyślał chwilę i dodał, krzywiąc się nieco: – Ma też koszmarną słabość do pornografii.

– Tak?

– To znaczy... Porno nie jest złe samo w sobie, ale czasami mam wrażenie, że prawie totalnie zawładnęło jego życiem.

Catherine uniosła brwi i westchnęła głęboko. – Mój drogi...

Nick spojrział w otwarte okno, a potem na zatrzaśnięte drzwi. – Gdy byliśmy w Niemczech, rzecz wymknęła się spod kontroli. Wiesz, te pornograficzne tasiemce w hotelowej sieci telewizyjnej...

– Mhm... – Dla Catherine pornografia należała do nieprzeniknionych tajemnic męskiego świata.

– Całymi wieczorami leżał i oglądał... Hetero, rzecz jasna; on to też bardzo lubi, może nawet bardziej niż homo. Pewnego wieczoru musiałem sam pójść na kolację, bo Wani nie mógł się oderwać od telewizora.

Catherine wybuchnęła śmiechem, a Nick też się roześmiał, choć mowa była o scenie smutnej lub też żalostnej, by użyć jej określenia: Wani w spodniach spuszczonej do kostek, zbyt odurzony kokainą, żeby dostać erekcji, ulegający jak niewolnik orgii na ekranie; i Nick, który w drugim pokoju tego małego dusznego apartamentu szykuje sobie posłanie na kanapie i słyszy przez drzwi, jak Wani mówi coś do telewizora. – To mi wygląda na istny horror, kochany...

– Potrafi być też ujmujący, ale...

– Wiesz co? Martwię się o ciebie, jeżeli naprawdę tak bardzo go kochasz, a on traktuje cię w ten sposób. Swoją drogą, zaczynam się zastanawiać, czy ty go kochasz w ogóle...

Nick wiedział, że przesadna troskliwość Catherine wywiera zwykle negatywny wpływ na jego romanse i związki. – Nie, nie – zaśmiał się lekceważąco. Przyjaciółka nie odsłoniła przed nim istoty sprawy, lecz podając jej kilka zabawnych szczegółów, Nick sam sobie powiedział coś, czego nie umiał się już wyprzeć. On również miał teraz świadka. – Tak czy inaczej – powiedział – nie powinienem być chyba ci o tym mówić.

VI

Tipperowie wyjechali nazajutrz. Pozostali uśmiechali się w duchu, chociaż dręczyły ich też niejasne wyrzuty sumienia, przez co robili się burkliwi i przekorni. Gerald krzątał się ponuro, ogarnięty poczuciem winy, a winę trzeba wszak zawsze na coś lub kogoś przerzucić. Szczery żal i zdumienie wyrażał jedynie Wani, bo Tipperowie należeli do ludzi, których nauczono go szanować i z którymi czuł się dobrze. Najbardziej

dyplomatycznie zachowywała się Rachel, dobywając z siebie niewyczerpane zasoby dobrych manier, aby przez wzgląd na Geralda utrzymać w ryzach zaskakujący przebieg wypadków.

Gości odprawiono szybko i sprawnie. Sir Maurice tryskał energią, podkreślał, że jest urażony, lecz w pewnym sensie odczuwał też satysfakcję, jak gdyby wcześniej czekał tylko na ujawnienie obustronnej niechęci, na tę pokrzepiającą manifestację obopólnego braku zaufania. – To nie był udany wyjazd – powiedział, a jego żona wyglądała na podbudowaną męzowską twardością i bezpośredniością, bez których nie miałyby na czym się oprzeć; emocje Maurice'a były zaiste równie nieprzenikalne, jak jego wrzody... Toby tymczasem pakował bagaże z kamiennym obliczem portiera.

Po ich wyjeździe Wani, znowu czujny i czarujący, zaproponował Geraldowi partyjkę *boules*, którą rozegrali potem w miejscu opuszczonym przez samochód Tipperów. Dzień był wyjątkowo pochmurny, toteż Nick poszedł z książką do salonu. Poczucie odzyskanej wolności utrudniało mu koncentrację – akt czytania sprawiał mu wprawdzie świadomą przyjemność, lecz treść migotała gdzieś w oddali, jakby spowita mgłą. Do salonu wtoczyła się lady Partridge w swojej letniej sukience, zadowolona z panującej tam pustki, ale też zagubiona bez Sally paplającej coś bezustannie przy jej uchu. Tipperowie stanowili dla niej intrygujące zjawisko: z jednej strony irytowali, z drugiej jednakże byli ekscytujący, a to z uwagi na jej nieposkromioną fascynację wielkim bogactwem. Kiedy usiadła w fotelu, Nick zorientował się, że lady co prawda milczy, lecz ma mu za złe dalszą lekturę książki. Z zewnątrz, przez otwarte okno, dobiegały ich stuknięcia, brzęki i krzyki – odgłosy gry w *boules*.

– Mmm... Co czytasz? – zapytała lady Partridge.

Nick pokręcił głową, wypierając się książki. – To tylko materiał do zrecenzowania.
– Lady ochoczo nadstawiła ucha. – Studium dzieł Johna Berrymana.

Lady znów zatopiła się w fotelu z drwiącą satysfakcją człowieka, który nie czytuje niczego. – A, to ten zabawny poeta...

– Hm... – Nicka aż zatkało ze zdumienia. – Tak... Był raczej zabawny... poniekąd.

– Mnie się zawsze taki wydawał.

Nick uśmiechnął się blado i postanowił dalej badać grunt. – Tyle że miał smutne życie. Cierpiał na potworne depresje.

Lady Partridge sceptycznie oblizała usta i wywróciła oczy, uzyskując tym efekt bardziej wymowny, niż mogłaby sobie wyobrazić. – Zupełnie jak... hm... młoda dama.

– No, prawie – odparł Nick. – Miejmy nadzieję, że ona tak samo nie skończy! On dużo pił...

– Ani trochę mnie to nie dziwi – stwierdziła lady z niejakim zrozumieniem.

– A potem, jak wiadomo – ciągnął stanowczym tonem Nick, kiwając smutno głową – rzucił się z mostu do Missisipi.

Lady Partridge zamyśliła się na moment, jak gdyby nie dowierzała słowom rozmówcy. – Lubiałam oglądać go w telewizji. Dobrze wyglądał. Ty pewnie nie widziałeś... Nad morzem... Albo, wiesz, w starych kościołach i tak dalej. Niezłe to było. Miał, jak ja to nazywam, zaraźliwy śmiech. Jeśli mnie pamięć nie myli, otrzymał tytuł Nadwornego Poety Królowej²¹.

– Ależ nie – powiedział Nick. – Niezupełnie...

– Kurwa! – ryknął ktoś na dziedzińcu, a w tym kimś z trudem dało się rozpoznać Geralda. Lady Partridge niepewnie odwróciła wzrok, a Nick wstał, zaśmiał się lekko i wyszedł do holu, chcąc sprawdzić, co też takiego się stało. Do środka wparował Gerald z twarzą ściągniętą w grymasie wściekłości lub szczęścia i wyminąwszy Nicka, poszedł do kuchni, gdzie Toby i Rachel siedzieli przy kawie. Nick wyjrzał przez frontowe drzwi i zobaczył, jak Wani zbiera kule do gry – sumiennie, acz bez śladu skruchy na twarzy.

– Kochanie...? – rzuciła Rachel nieco zagniewanym głosem, lecz zlustrowała męża szybkim spojrzeniem, żeby przekonać się, czy jest cały i zdrowy.

– Tato – Toby z zawodem pokręcił głową.

Gerald przez chwilę patrzył na nich bez ruchu, po czym drgnął i uśmiechnął się szeroko. – Jestem na wakacjach! – powiedział.

– No właśnie, kochanie – odrzekła Rachel. – Powinieneś się rozluźnić. – Jej ton był troskliwy, ale również stanowczy; jej własny spokój raził w Geralda oskarżające Nick stał w drzwiach i patrzył na nich pogodnym wzrokiem. W powietrzu unosiło się przekonanie, że wspólnie uda się okiełznać Geralda.

²¹ Nadworny Poeta Królowej (oryg. *poet laureate*) – to honorowe stanowisko piastowa! w latach 1972-84 John Betjeman, znany też jako autor i bohater wielu programów telewizyjnych.

– Przegrałem w *boules* z cholernym Arabusem! – Gerald aż zachłysnął się własną bezpośredniością, jak gdyby jego porażka była jedynie ponurym żartem.

– Tato, na litość boską... – powiedział Toby.

– Co...?

– Za chwilę nazwiesz mnie cholernym Żydkiem.

– Nigdy tego nie zrobię – odrzekł Gerald. – Przestań się wygłupiać.

– No, mam nadzieję... – Toby zarumienił się z emocji. – Wani to mój przyjaciel – dodał, apelując do ojcowskiego poczucia przyzwoitości. Przez moment Gerald wpatrywał się w niego, zamyślony, po czym wyszedł z kuchni i sprzed domu dobiegły jego niestosownie wesole okrzyki: – Wani! Wani! Najmocniej przepraszam! Okej...? Przepraszam... – słabnące zresztą, gdy odwracał się w stronę drzwi, jak gdyby wykonał już zwyczajowy obowiązek. Do kuchni wrócił rozkojarzony, z drgającym na ustach uśmiechem, ponieważ Wani wcale nie dosłyszał słów, za które go przepraszano, i zniknął w spiżarni, aby po chwili wyłonić się z butelką czerwonego wina.

– Może pójdziesz trochę popływać, Geraldzie – zasugerowała Rachel. – Albo poszukaj Jaspera i weź go na spacer.

– Jasper to nie cocker-spaniel – odwarknął Gerald lżejszym już jednak tonem.

– No... nie... – przyznała Rachel.

Gerald ze skrywaną niecierpliwością wbił w szyjkę butelki mały korkociąg z drewnianym uchwytem. – W następną niedzielę stąd wybywamy. A potem czeka nas wizyta Lionela... – powiedział, żeby zrobić przyjemność żonie i zagłuszyć entuzjastyczny wystrzał korka.

– Na to jest chyba jeszcze za wcześnie, prawda? – zauważyła Rachel.

– Tato, na litość boską... – powtórzył Toby.

– On chce tylko przewietrzyć butelkę – zaśmiał się Nick niespokojnie.

Gerald powiódł wzrokiem po wszystkich. Atmosfera zrobiła się napięta i zapanował powszechny smutek, wyczuwany przez członków rodziny i przekazywany sobie wzajemnie za pomocą bezsłownej komunikacji. – Ja chcę, kurwa, po prostu się napić, okej? – powiedział i poszedł z butelką w kąt kuchni.

Czekając później na lunch przy stole pod daszkiem, Gerald był już weselszy, ale swobodniej też wyrzucał z siebie dręczące go problemy. – Zastrani Tipperowie! – mówił,

licząc niefrasobliwie na głuchotę swej matki. – Bóg jeden wie, jakie to będzie mieć konsekwencje... dla moich interesów, rzecz jasna.

– Bez nich również świetnie sobie poradzisz – zapewniała go Rachel. – Przecież idzie ci bardzo dobrze.

– Prawda – potwierdził Gerald. – Prawda. – Z kwaśną miną wpatrywał się w stół, przy którym siedział jak pan i władca. – To nie jest miejsce dla nich, prawda?

– Nie ten klimat – przyznała Rachel.

– Właśnie. Czemu oni wyjechali? – odezwał się Jasper.

– Któż to może wiedzieć! – powiedziała Rachel. – Judy! Prosimy o szparagi!

Gerald sapnął i zadumał się nad pytaniem Jaspiera, jakby w grę wchodziło dochowanie lojalności jednej lub drugiej stronie, nierozwiązywalny dylemat, sprawiający, że człowiek i tak żałuje podjętej decyzji. Nick zauważył, że tego dnia wszystkie jego uwagi przyjmowane są chłodno; czasami nawet ignorowano go lub wpadano mu w słowo.

Pod koniec lunchu Gerald znowu zaczął narzekać; nietrudno było odgadnąć, że żyje już własnymi sprawami i intrygami, a rodzinnej rozmowie i przekomarzeniu się przy stole poświęca jedynie część przyćmionej działaniem wina uwagi. Wyrażał się w sposób mało naturalny i budzący nieufność. Mówił o pracy, o „istotnych dokumentach”, którymi musi się zająć. – Nie macie pojęcia, jak to jest – powiedział. – Może dla was to wakacje, dla mnie też chwila wytchnienia, ale pracy mi wcale nie ubywa. Widzieliście, ile do mnie przychodzi faksów. Poza tym mam zaległości w prowadzeniu dziennika.

Urwał i czekał, wzdychając czujnie. Aż w końcu Rachel powiedziała: – To może przyda ci się ktoś do pomocy?

Gerald sapnął i osunął się nieco na krześle, jak gdyby dawał do zrozumienia, że jest to niewykonalne. Po chwili jednak odrzekł: – Nie wiem, czy my po prostu nie będziemy musieli ściągnąć tu Penny.

– Tylko nie Penny Wampirzyca – zaproponowała Catherine. – Przecież ona nie może przebywać na słońcu.

Rachel przyzwalająco wzruszyła ramionami. – Jeżeli naprawdę Penny jest ci potrzebna, kochanie, to bez wahania ją tu sprowadź.

– Myślisz...?

– Mówię serio. W towarzystwie Penny będzie nam również bardzo miło. Jeżeli ona zechce przyjechać...

– Z nią wcale nie jest miło – utrzymywała Catherine. – To blada ponura pluskwa.

– A może Eileen? – odezwał się Toby. – Ona tatę uwielbia i na pewno zjawi się tu w try miga!

Tę absurdalną alternatywę skwitował Gerald krótkim śmiechem. Patrząc na niego, Nick napiął usta w uśmiechu współspiskowca, choć czuł się w tej roli koszmarne. Nic wszakże nie powiedział. Udawał znacznie lepiej niż Gerald i miał wrażenie, że w pewnym sensie udzielił błogosławieństwa całej tej historii.

– Tak, ja też nie jestem przekonana do Eileen – powiedziała Rachel.

– No dobrze... – rzekł Gerald, jak gdyby ustąpił nareszcie wobec powszechnych nalegań. Na jego twarzy wyraz triumfu zaprawiony był wstydem, zauważalnym chyba tylko dla Nicka. Wszyscy jak jeden mąż odsunęli krzesła, pogrążeni już w snuciu mglistych planów na popołudnie, a Gerald poszedł do pokoju z telefonem, czyniąc to z demonstracyjną niechęcią, jak gdyby miał do przekazania złe wieści.

Na dwudziestą piątą rocznicę ślubu Lionel Kessler dał Geraldowi i Rachel dwa prezenty. Pierwszy przyjechał rano na tylnym siedzeniu jego bentleya, a do kuchni Feddenów wniósł go szofer.

– Stary dobry Lionel – powiedział Toby, chociaż nie wiedział jeszcze, co kryje w sobie solidna drewniana skrzynka.

– Srebro, jak mniemam – rzekł Gerald głosem pobrzmiewającym chciwością, a przy tym nieco znudzonym, i chwycił za śrubokręt.

W środku, w metalowych obręczach wyłożonych gumową pianką, tkwił srebrny rokokowy dzbanek w kształcie muszli, z dzióbkiem podpartym przez brodatego trytona. – Dobry Boże – powiedział Gerald, a Nick tradycyjnie przejął rolę interpretatora. Wyjaśnił, że jest to prawdopodobnie produkt któregoś z hugenockich złotników, działających w Londynie w połowie osiemnastego wieku; najpewniej, dodał, dzieło to wyszło spod rąk Paula de Lamerie, ponieważ najśłynniejsze nazwisko było zarazem jedynym, jakie przyszło mu w tej chwili do głowy, a w przypadku Lionela wszystko wydawało się możliwe. – Cudownie – stwierdził Gerald. – Rzadki egzemplarz, tak? – Zajrzał do skrzynki, by sprawdzić, czy do prezentu dołączono jakąś notkę, podobną na przykład do instrukcji podlewania kłopotliwych roślin, ale niczego tam nie znalazł. Nick wytłumaczył jeszcze, że scenka na reliefie, przedstawiająca Erosa igrającego z mieczem Temidy, znaczy tyle, co *omnia vindt Amor*. – A, bardzo to adekwatne – powiedział Gerald z nieśmiałym patosem i na moment objął ramieniem żonę. Podejrzewał zapewne, że Lionel bez żalu rozstał się z tym dzbankiem, który i tak tylko przeszkadzał mu w Hawkeswood. Nick patrzył na prezent z uśmiechem, wyobrażając sobie półświadomie, jak też oglądałby go jego ojciec, jak obracałby go w rękach, osłoniętych rzecz jasna kawałkiem materiału; przypomniał sobie ich wspólne wizyty w Monksbury, gdzie

wszystkie srebra przybrały miedzianą, opalizującą barwę, ponieważ służbie nie wolno było ich polerować. – Musimy to wycenić i ubezpieczyć – powiedział Gerald.

Również Toby i Catherine sprezentowali rodzicom przedmiot ze srebra – była to georgiańska taca o muszelkowa tych krawędziach, na której wygrawerowano zdobny w esy-floresy napis „Gerald i Rachel ~ 5 listopada 1986”. W zestawieniu z dzbankiem od Kesslera wyglądało to dość nijako, a nawet śmiesznie. Gerald oglądał tacę z wyrazem fałszywej skromności na twarzy, jak gdyby przyjmował upominek z okazji przejścia na emeryturę albo nagrodę za zwycięstwo w lokalnym turnieju golfowym. – Jest przecudna – powiedziała Rachel. Oboje sprawiali wrażenie zadowolonych, acz do entuzjazmu było im daleko, bo niby komu i do czego coś takiego się przyda?

Nieco później, kiedy w salonie pili szampana, Nick wyjrzał przez okno i po raz drugi tego dnia zobaczył, jak przed domem zatrzymuje się bentley. Tym razem wysiadł z niego sam Lionel z dużym płaskim pakunkiem. Zbliżając się do drzwi, uniósł oczy, zmarszczył czoło i złożył usta jak do pocałunku, jak gdyby mówił „ćśś...”. Nick, podbudowany szampanem i świetnie współgrającą z nim kreską koki, skrycie uśmiechnął się do gościa. Subtelna sympatia między nim a tym małym łysym lordem rozrzewniła go niemal do łez, aż poczuł się głupio ze swoją „miłością” do tej rodziny, szczególnie zaś do tego jej przedstawiciela. Chwilę później Lionel wszedł do salonu, witany jękami wdzięczności. Ucałował siostrę i siostrzeńców, po czym uściśnął dłoń Geraldowi i Nickowi. Dzbanek stał na kominku, przyozdobionym tego dnia mnóstwem białych lilii i złocieni. – Dzbaneczek wam się należał – rzekł Lionel – ale muszę wara dać też to tutaj. W zeszłym tygodniu wystawiono toto w Paryżu, a skoro ostatnio zakręciło nam się w głowie... – Nawiązywał do czegoś, co nazywano ”wielkim wybuchem”; Nick nie wiedział, w czym rzecz, lecz wszyscy jego majątni znajomi byli wielce podekscytowani, a i on sam podejrzewał, że coś na tym zyska. W tej jednak chwili swojej radości dawał folgę lord Kessler, który dalej trzymał pod pachą rzeczony pakunek.

Uwolniła go od niego Rachel, podczas gdy Nick asystował jej, jakby był to prezent od niego lub dla niego, jak gdyby dawał go albo wręczał, poczuł się bowiem zarówno hojny, jak i zachłanny. Musiał zdusić w sobie okrzyk, gdy Rachel uniosła niewielki obraz olejny. Postanowił nic nie mówić. – Mój drogi... – W głosie Rachel dało się słyszeć fascynację i wahanie, ale również panowanie nad sobą, bo przecież zdradzając

nadmierne zdumienie, okazałaby niegodną jej słabość. Uniosła obraz, aby wszyscy mogli się przyjrzeć. – Jest arcycudowny – powiedziała.

– Mmm... – mruknął Lionel z przebiegłym uśmiechem człowieka, który podjął właściwą decyzję.

– Jesteśmy doprawdy zobowiązani... – rzekł Gerald, wpatrując się w obraz z uwagą i licząc zapewne, że ktoś powie mu, co to takiego. A był to pejzaż, szeroki mniej więcej na dwadzieścia, a wysoki na trzydzieści centymetrów, namalowany pionowymi maźnięciami delikatnego pędzelka, tak iż przedstawione brzozy i łąka zdawały się drgać w ciepłym wietrze wiosennego poranka. Na pierwszym planie, pod pagórkim, leżała łaciata krowa, a dalej, na nieodległej ścieżce, kobieta owinięta białym szalem rozmawiała z mężczyzną w brązowym kapeluszu. Całość ujęta była w ramę pokrytą matową pozlota.

– Ha! Śliczne – powiedział Toby.

Catherine rozglądała się na boki, jakby wietrzyła podstęp, – To Gauguin, prawda? – spytała dokładnie wtedy, gdy Nick, który nie mógł już dłużej milczeć, powiedział: – To Gauguin.

– Ładny, no nie? – rzekł Lionel. – *Le matin aux champs...* To jest szkic albo wstępna wersja obrazu, który znajduje się w Brukseli. Wyrwałem go z paszczy szefa Sony. Dla niego był chyba trochę za mały. No i za tani – zachichotał, a Nick zawtórował mu śmiechem, jak gdyby obaj wiedzieli, czego spodziewać się po szefie Sony.

– Naprawdę... Lionel... – mówił Gerald, kręcąc głową i mrugając, by pod pozorem podziwu ukryć czynione w duchu kalkulacje. – To i ten srebrny... hm...

Catherine również pokręciła głową i rzekła: – Boże...! – tonem, który wyrażał rozbawienie i pogardę dla swej majątnej rodziny.

Obraz podawano sobie teraz z rąk do rąk; każdy wzdychał z uśmiechem, odwracał go w stronę światła i podawał dalej z dreszczem zachwyty, jak gdyby wszyscy zatracili się w kontemplacji, urzeczeni faktem fizycznego posiadania takiego przedmiotu. – Gdzież my go umieścimy? – zapytał Gerald, gdy obraz ponownie znalazł się w jego dłoniach, a Nick roześmiał się, by zatuszować nie najlepsze wrażenie, jakie wywarły te niedbale wypowiedziane słowa.

Potem trzasnęły drzwi wejściowe i Rachel podeszła do balustrady przy schodach, chcąc sprawdzić, kto tym razem zawitał w ich progi; był to dzień nieustających wizyt, – Ależ proszę na górę, moja droga – krzyknęła. – To Penny.

– O! Teraz poznamy jej zdanie na temat obrazu – powiedział Gerald, podkreślając niejako ogólną użyteczność swej sekretarki, i postawił obraz na fortepianie, opierając go o nos Liszta.

– Penny?! – mruknęła Catherine. – Niby po co? Przecież ona ma blade pojęcie... – I roześmiała się cicho. To nie był dla niej dobry dzień.

– Zaraz, zaraz... – Gerald dopiero nabierał animuszu. – Jej ojciec jest malarzem. – I odwrócił się, żeby nalać szampana. Kiedy Penny wchodziła do salonu, trzymał już w ręce kieliszek dla niej.

– Cześć, Penny – przywitała się Rachel na swój chłodno matczyzny sposób.

– Zdrowia, szczęścia, pomyślności! – powiedziała Penny, zbliżając się z tą swoją osobliwie pewną siebie nieśmiałością, z tym również bez mała matczynym poczuciem, że obowiązki względem zrozumiałe roztargnionego Geralda zawsze górują nad własnymi przyjemnościami. – W gruncie rzeczy przyszedłam tu popracować nad dziennikiem.

– Dziennik może poczekać – odparł Gerald tonem aż nazbyt niefrasobliwym, podając jej kieliszek z szampanem. – Zobacz, co dostaliśmy od Kesslera. – Nick zauważył, że Gerald jak ognia unika sytuacji, w której mógłby pocałować Penny na przywitanie. – To Gauguin. *Le rencontre aux champs*. – Gerald zdążył już nadać obrazowi własny, bardziej w jego mniemaniu adekwatny tytuł. Wszyscy raz jeszcze uprzejmie spojrzeli na dzieło. – Przypominają mi się nasze przechadzki we Francji – rzekł Gerald, szukając wzrokiem zrozumienia u reszty zebranych.

– A... Rzeczywiście – odparła Rachel.

– Nic podobnego – zaproponowała Catherine.

– Niech pomyślę... – ciągnął Gerald. – To mogłaby być twoja matka, która w drodze do Podier spotyka... Nicka, na przykład.

– Tylko że tam mam na sobie kapelusz Sally Tipper – zauważył Nick, ucieszony, że włączono go do rozmowy.

Catherine uśmiechnęła się, zniecierpliwiona. – Tak... Ale przecież to jest chłopstwo, prawda, wujku? On namalował to w Bretanii, gdy uciekł tam przed zgnilizną burżuazyjnego życia w wielkim mieście. Chciał poznać smak ubóstwa.

– Masz absolutną rację, kochanie – odrzekł Lionel, który nie cierpiał frazesów na temat pieniędzy. – Ale posłał ten obraz do starego burżuazyjnego Paryża, gdzie łatwiej było go sprzedać.

– Otóż to – potwierdził Gerald.

– Zabawne... To mi wygląda na krówkę rasy *hereford* – odezwał się Toby. – Ale to chyba niemożliwe.

– Prędzej *charolais* – powiedział Gerald.

– *Charolais* mają inne ubarwienie – odparł Toby.

– Tak czy inaczej, to ładny obrazek – powiedziała Penny, która jako córka Normana Kenta była doskonale uodporniona na powaby sztuk pięknych.

– Zastanawiamy się, gdzie to powiesić – rzekła Rachel.

Przez pięć kolejnych minut testowali kilka różnych miejsc: Toby przykładał obraz do ściany, a pozostali, ściągając usta i krzywiąc się, mówili: – Nie... Moim zdaniem tam będzie lepiej... – W tej rodzinnej zabawie Toby znów przejął chłopięcą rolę syna. Chcąc przy tym rozśmieszać innych, starał się imitować cockneyowski akcent, co nie wychodziło mu najlepiej. Zdjął parę obrazów i wieszał potem w ich miejsce Gauguina, lecz na tapecie zawsze było widać ślad po poprzednich płótnach. Nie przeszkadzało to Rachel, ale Gerald oświadczył: – Nasza dama nie może zobaczyć czegoś takiego.

– Hm? – Rachel nie kryła zaskoczenia.

– Mówię poważnie – rzekł Gerald. – Zgodziła się zaszczyścić nas swą obecnością, więc wszystko musi tu być idealne.

– Zdziwiłbym się, gdyby w ogóle to dostrzegła – przyznał szczerze Lionel. Gerald jednakże nie ustępował:

– Wierz mi... Ona dostrzega wszystko. – I roześmiał się ponuro.

– Przełożmy decyzję na później – zaproponowała Rachel. – Może w końcu zachowamy się jak ostatnie sobki i powiesimy ten obraz w sypialni.

– On i tak ją tam pewnie zaciągnie – mruknęła pod nosem Catherine.

Po lunchu zjawili się dwóch funkcjonariuszy biura ochrony, by zabezpieczyć dom przed wizytą pani premier. Myszkowali dokoła niby dyskretni poborcy podatkowi, ciągle coś szacujący i notujący. Nick słyszał, jak wchodzą na górę i oglądają dach, podczas gdy on z walącym mocno sercem i uśmiechem na ustach siedział przy swoim biurku, w którego górnej szufladzie tkwiło dziesięć gramów koki. Przedmiotem ich największej troski okazała się brama za domem, toteż, jak powiedzieli mu osobiście, w ogrodach miejskich przez cały wieczór stać będzie jeden z policjantów. Sprawy przybrały obrót

nico bardziej ryzykowny i Nick szybko wciągnął małą kreskę dla ukojenia skołatanych nerwów.

Później zszedł na dół i kiedy wyrzwał przez drzwi wejściowe, zobaczył, że na chodniku przed domem Gerald rozmawia z Geoffreyem Titchfieldem. Obydwaj wyglądali na skrycie przejętych i przypominali w tym mistrzów ceremonii przed jakąś wielką uroczystością; tak bardzo dusili w sobie nerwowe napięcie, że wyglądali wręcz na apatycznych i ospałych. Gdy ktoś ich mijał, Gerald pozdrawiał go uśmiechem i skinieniem głowy, jak gdyby wiedział, kto zacz. W poprzednim miesiącu odbyła się konferencja partyjna, na której świetnie przyjęto jego przemówienie, i odtąd Gerald roztaczał wokół siebie aurę człowieka wybitnego, acz przystępnego dla innych.

Geoffrey wskazywał wiecznie zielone drzwi wejściowe, które Gerald przemaalował właśnie na wściekły torysowski błękit. Dopiero w tej chwili Nick uzmysłowił sobie, jak daleko sięga Geraldowa mania. Catherine, gdy kiedyś poniosła ją wyobraźnia, powiedziała mu, że pani premier będzie wstrząśnięta na widok zielonych drzwi i że przeczytała w jakimś artykule, iż drzwi wejściowe w domach wszystkich członków rządu są niebieskie. Gerald wyśmiał ją, lecz później wybrał się pieszo po kruche ciasteczka do Mira Foodhall i wrócił nieco stropiony. – Co o tym myślisz, Nick? – zapytał. – Titchfieldowie mają tylko parterowy domek, ale nie da się ukryć, że drzwi pomalowali na niebiesko. – Nick odparł lekkim tonem, że to chyba nie ma znaczenia, czując zarazem nostalgiczne już uwielbienie dla ślicznej matowej zieleni. Jednakże nazajutrz Gerald wrócił do tematu. – Wiesz... Sądzę, że Kotka ma rację co do tych drzwi – powiedział. – Nasza dama może pomyśleć, że to trochę dziwne, że to z naszej strony jakiś zastrany manifest ekologiczny! – Zaśmiał się nerwowo. – Jeszcze pomyśli, że przez pomyłkę trafiła do Greenham Common²² – dodał głosem, w którym ironia mieszała się z niekłamanym przerażeniem. W tym momencie Nick wiedział już, że kolor drzwi musi odpowiadać skali sukcesu i że lada chwila ujrzy pana Duke'a z puszką niebieskiej farby.

Z domu wyszła teraz Penny z teczką pełną papierów; Nick, który siedział we wnęce przy frontowym oknie, widział, jak rozmawia z Geraldem i Geoffreyem. Od jakiegoś czasu Penny spisywała dziennik swego chlebodawcy, uprzednio nagrywany przezeń na

²² Greenham Common – baza lotnicza w południowej Anglii; miejsce protestów organizacji pacyfistycznych.

taśmę, darzony głęboką niechęcią przez pozostałych członków rodziny. Niechęć ta wzmożła się jeszcze bardziej po tygodniowej wizycie Penny we Francji, kiedy dała wszystkim do zrozumienia, że o nich nie ma tam żadnej wzmianki, że jest to wyłącznie kronika politycznych poczynań Geralda, swoiste „archiwum”, jak to ujęta, tudzież „istotny dokument historyczny”. Pracowała nad tym dziennikiem z przekonaniem i poświęceniem, które nie osłabiało bynajmniej irytacji rodziny.

Do salonu weszła Catherine i usiadła obok Nicka we wnęce przy odsuniętych zasłonach. – Szykuje nam się tutaj koszmarny spęd – powiedziała. – Miejsce przy oknie miało w sobie coś na wpół sekretnego; było jak kryjówka dzieci, podglądających dorosłych w salonie i na ulicy.

– To prawda. Coś strasznego – przyznał Nick roztargnionym głosem.

– Patrz. Gerald się popisuje.

– Gawędzi sobie ze starym Titchem, ot co. W końcu to jego wielki dzień.

– Dla niego ostatnio każdy dzień jest wielki. Małych ma tyle, co kot napłakał. Poza tym to również wielki dzień dla mamy. A musi go spędzić z całą masą posłów. – Dla Catherine każdy parlamentarzysta stanowił uosobienie nudy i bezsensu. – No i będzie musiała na dodatek odgrywać rolę gospodyni przed drugą kobietą w życiu małżonka. Przecież widać, że Gerald najchętniej wywiesiłby przed domem szyld: „Tylko dziś! Występ specjalny!”.

– „Wyjątkowa okazja”...

– Mam nadzieję, że wyjątkowa. Ten cały Titch ubóstwia Geralda. Zauważyłeś, jak przymilnie się uśmiecha, mijając nasz dom, na wypadek gdyby ktoś właśnie patrzył przez okno?

– Naprawdę? – Nick nie zapomniał, że kiedyś zachowywał się podobnie. – Myślałem, że to przyjęcie ma odbyć się w Hawkeswood.

– To był pomysł Geralda, rzecz jasna. Ale wuj Lionel nie wpuści tam za nic „drugiej kobiety”.

– Ale...

– To zabawne – rzekła Catherine chłodniejszym głosem. – Gerald wciąż marzył o ściągnięciu jej do Hawkeswood. To go niemalże nakręcało do pracy. A rzecz jest zupełnie wykluczona.

– Nie rozumiem, dlaczego Lionel...

– Przecież ona by tam wszystko poniszczyła jak pierwszy lepszy wandal. Lionel ogradza cały teren siatką, żeby nikt się nie dostał do Hawkeswood.

Nick zaprotestował gromkim śmiechem, bo wiedział, że Catherine dość osobliwie interpretuje historię najnowszej swojej rodziny.

– Boże, to chyba oczywiste – powiedziała. – A niby dlaczego dał im ten obraz?

– Bo ja wiem... Sądziś, że chciał im zrekompensować odmowę? – To nadawałoby pewien sens niejasnemu wrażeniu Nicka, że Gerald wcale nie ucieszył się z prezentu; być może Gauguin był dla niego jedynie kolejnym niezrozumiałym a frontem zaznanym od Kesslera.

– Boże, ta Moneypenny umie przyprawić o zgryzotę – powiedziała Catherine, dla której okno salonu było soczewką przekształcającą świat w siedlisko osobników drażniących. Penny, z teczką wciśniętą między kolana, notowała coś, co dyktował jej Gerald. – Ona kocha się w nim do szaleństwa, prawda?

– Jeśli już, to w sposób czysty i szlachetny – odrzekł Nick.

– Musi go kochać, skoro spisuje te bzdety.

– Są ludzie, którzy żyją swoją pracą. Norman jest, jak wiadomo, potwornie pracowity, a ona ma to pewnie po nim. Zawsze idą na całego.

– Boże, na samą myśl... – parsknęła Catherine.

– Mmm...?

– No... Gerald i Penny na całego.

Nick aż się zarumienił.

– Teraz zabiłam ci ćwieka, co?

– Bynajmniej...

– Swoją drogą, znalazła sobie faceta, wiesz?

– Naprawdę? – mruknął Nick, ogarnięty nagle nielojalnym współczuciem dla starego, skazanego na porażkę Geralda. – Znasz go?

– Nie, ale opowiedziała mi trochę.

– Rozumiem.

Geoffrey Titchfield zaczął się oddalać, a gdy Gerald wykrzyknął coś do niego przyjaźnie rozkazującym tonem, ten odwrócił się i żar tobliwie zasalutował. Penny i Gerald zostali sami. Nick podejrzewał, że mogą w tej chwili zachować się nieostrożnie – pocałować się lub dotknąć w wymowny sposób, przez co dwuznaczny żarcik Catherine

przybierze kształty boleśnie realne. Była to kolejna z tajemnic tego domu, które Nick nosił w sobie niczym senne wyrzuty sumienia. Pograżony w rozmowie Gerald uniósł wzrok, a Nick pomachał ręką, by uświadomić mu, że są obserwowani.

Przyjęcie zbliżało się wielkimi krokami i atmosfera zagęszczała się nieprzyjemnie. Władzę nad kuchnią przejęli pracownicy ekipy zaopatrzeniowej, strojący miny za plecami uparcie krzającą się Eleny. Z namiotu w ogrodzie dobiegały głośne piski i jęki, testowano tam bowiem sprawność aparatury nagłaśniającej, a w jadalni ustawiono krzesło przy krześle i czekano na dalsze dyspozycje. Gerald doglądał wszystkiego z pogodnym skupieniem i wykpiwał nerwowość innych. Catherine oświadczyła, że nie zniesie widoku tylu kartonów, i wyszła na zewnątrz, by wraz z Jasperem „przyjrzeć się rekwizytom”. Nawet Rachel, nosząca się jak zwykle z arystokratyczną swobodą, zagryzała policzek, gdy Gerald mówił jej, gdzie usiądzie „nasza dama”, z kim będzie rozmawiać i jaką ilością alkoholu należy ją uraczyć. Sugerował wręcz, że gwoździem programu ma być jego taniec z szefową rządu. – Ale to my zatańczymy jako pierwsza para? – spytała Rachel, na co zarumieniony nagle Gerald szybko do niej doskoczył. – Oczywiście, najdroższa – zapewnił żonę, objął ją i uczynił z nią razem kilka chwiejnych kroków.

Koło szóstej Nick wymknął się na spacer. Wieczór był wilgotny i ciemny, a na chodnikach leżały mokre liście. Nick dał się zarazić powszechną nerwowością związaną z wizytą pani premier i zastanawiał się, co mógłby jej powiedzieć. Wyobrażał już sobie następny poranek, kiedy będzie można oddać się wspomnianiu i analizować przebieg zakończonej imprezy. Z sąsiednich ogrodów dobiegały huki i gwizdy odpalanych fajerwerków. Co pewien czas jakaś raca wystrzeliwała ponad dachami i rozpadała się mnóstwem gwiazdek wśród niskich chmur. Ktoś prowadził grupkę dzieci, ubranych w płaszczyki z białej bazyliki. Nick szedł na pozór swobodnym zygzakiem człowieka, który nie wie za dobrze, gdzie skręcić, a kiedy za rogiem zbiegł po schodkach do toalety na stacji metra, twarz jego była chmurna, jak gdyby sam siebie niemile zaskoczył.

Chmurny był również później, gdy raźniejszym już krokiem wracał ulicą Kensington Park Road, dopuściwszy się czynu wulgarnego i niebezpiecznego. Nagle zrobiło się późno – oczekiwanie, wahanie i wreszcie sam bezsłowny skupiony akt pochłonął jednak sporo czasu; spóźni się pewnie i wzbudzi podejrzenia... Nie robił rzecz jasna niczego „niebezpiecznego” w sensie innym niż dotychczasowy, ale zachował się nierozważnie i złamał prawo. Źle zacząłby się ten wieczór, gdyby go przyłapano. Simon z biura ES

powiedział mu, że w tej toalecie bywał kiedyś, dawno temu zapewne, sam „Rudi” Nuriejew, więc w oczach Nicka miejsce to zyskiwało dodatkowe znaczenie i tchnęło wizją promiennego *pas de deux*. Tym razem jednak nastawiony był chłodno i praktycznie, a ciepło tajemnej rozpusty szybko rozwiało się w listopadowym powietrzu. Wbiegł na górę z przepaszającym pośpiechem. Dom zachwycał ciszą i wyglądał naprawdę efektownie – wszystko starannie przemyślane, opłacone i zapięte na ostatni guzik.

Gdy wrócił na dół, do przybycia gości zostało jeszcze trochę czasu. Poszedł zatem do namiotu przeznaczonego na tańce i krążył przez chwilę po trzeszczącym parkiecie, pod gazowymi lampami tworzącymi wysepki ciepła wśród pustki i chłodu. Namiot stanowił baśniowe przedłużenie domu, do którego Nick wrócił teraz po obwieszonym girlandami i lampionami pomoście, by błąkać się z pokoju do pokoju, otoczony przez świece i zapach lilii, z poczuciem, że jest w kościele albo przynajmniej na jakiejś uroczystości. Migotliwe lustro w holu ukazało mu własną postać w nowym wieczorowym garniturze i błyszczących butach. W salonie przywitał się z Rachel i Catherine, które gawędząc ze sobą wesoło, jak gdyby były tu gośćmi, sprawiały wrażenie istot salonowych, odrealnionych przez cały ten jedwab, aksamit, biżuterię i makijaż. Na huk fajerwerków reagowały zalotnym onieśmieniem. Z dołu dobiegały przytłumione wystrzały korków od szampana; kelnerzy byli gotowi. – Przynieść wam drinki? – zapytał Nick.

– Tak, proszę – odparła Rachel. – Możesz też znaleźć mojego męża.

Nick zajrzał do jadalni, wypełnionej niczym restauracja osobnymi stolikami. Toby stał tam z kartką w dłoni, przygotowując się do przemówienia. – Byle krótko, kochanie – powiedział Nick.

– Nick... Kurwa...! – odrzekł Toby, uśmiechając się szeroko, acz niespokojnie. – Wiesz... Czym innym jest gadka do ciotek, wujków i kumpli a czymś zupełnie innym mówka w obecności cholernej pani premier.

– Nie panikuj – radził Nick. – Będziemy krzyczeć: „Słusznie prawi!”.

Toby roześmiał się ponuro. – A nie wypadnie jej nagle jakieś spotkanie na szczycie czy coś?

– Obawiam się, że szczyt ma dziś miejsce właśnie tutaj. Przynajmniej dla twojego papy. – Nick precyzyjnie się między stolikami, na których każde miejsce dla gości oznaczone było serwetką złożoną w kształcie biskupiej infuly oraz wypisaną czarnym

atramentem wizytówką. Żadnych tytułów przed nazwiskami, rzecz jasna. Oparł się o krzesło przeznaczone dla Sharon Flintshire. – Wspaniałe są te fotki szczęśliwego stadła...

– To prawda – odparł Toby... – Kotka popisała się talentem.

Catherine ustawiła na kredensie coś w rodzaju szkolnej kompozycji plastycznej: zdjęcie ślubne Geralda i Rachel, po obu stronach powiększone zdjęcia obojga z okresu przedmałżeńskiego, niżej zaś fotki rodzinne z lat późniejszych. Wyglądało to wszystko jak seria plakatów do jakiejś farsy, granej od lat na West Endzie.

– Twoja matka była wtedy bardzo piękna – zauważył Nick.

– To prawda. Tata też.

– Są tutaj tacy młodzi...

– Tak. Ale tacie ten pomysł niezbyt się spodobał. Nie chce, by nasza dama widziała go w jego fazie hipisowskiej. – Sądząc po zdjęciach, hipisowska faza Geralda sięgnęła swego kontrkulturowego apogeum w postaci pary bokobrodów i krawatu w kwiatki.

– Ile oni mogli mieć lat?

– Hm... W przyszłym roku tata skończy pięćdziesiątkę, więc wtedy miał... dwadzieścia cztery lata; mama jest, oczywiście, kilka lat starsza.

– Są tutaj w naszym wieku.

– Nie tracili czasu – stwierdził Toby ze smutnym uśmiechem.

– Z pewnością nie ociągali się ze sprowadzeniem tu ciebie. – Nick szybko dokonał zabawnych obliczeń. – Wychodzi na to, że zostałeś poczęty w trakcie miesiąca miodowego.

– Chyba tak – odparł Toby, dumny i zakłopotany jednocześnie. – Gdzieś w RPA. Wiem, że wychodząc za mąż, mama była dziewicą, a trzy tygodnie później była już przy nadziei. Żadnego zbędnego baraszkowania.

– Żadnego, zaiste – przyznał Nick. Pomyślał o wieloletnim oczekiwaniu jego rodziców i uśmiechnął się w duchu na myśl o własnej swobodzie.

Toby ponownie spojrzął na kartkę z przemówieniem i zagryzł wargę. Nick wpatrywał się w jego rozpiętą marynarkę, w purpurowy pas hiszpański, w ciężkie czarne buty. Za sprawą króciutko ściętych włosów pogrubiały się rysy jego twarzy, przez co wyglądał teraz jak onieśmielona wersja swego ojca, tyle że ojca z chwili obecnej, a nie z okresu, gdy miał dwadzieścia cztery lata.

– Mam coś, co ci się przyda – rzekł Nick, tknięty nagłym, acz spóźnionym impulsem. – Jeżeli interesuje cię matę... hm... wspomóżenie chemiczne.

– Naprawdę coś masz? – Toby był zarówno wystraszony, jak i zaintrygowany.

Nick szepnął, że udało mu się zdobyć szczyptę kokainy.

– Boże! Wspaniale, dzięki! – powiedział Toby i rozejrzał się dokoła z uśmiechem winowajcy na ustach.

Posłali do salonu kelnera z szampanem, sami zaś ruszyli na górę, podekscytowani tą „próbą generalną”, chociaż dla Nicka głównym źródłem podniecenia była tajność całego przedsięwzięcia. Weszli do dawnej sypialni Toby’ego, zamknęli drzwi i przekręcili klucz w zamku. – Tu aż się roi od glin – powiedział Toby.

– O czym chcesz mówić? – zapytał Nick, wysypując nieco proszku na nocną szafkę. Miejsce to tchnęło szczególną aurą opuszczenia i nie wyglądało na zwykłą, nieużywaną sypialnię, tylko na cichy, nieruchomy pokój, porzucony niegdyś przez chłopca, który spędził w nim dzieciństwo. Nick zauważył mahoniową komodę i lustro w złoconej oprawie, jedno i drugie bardzo gustowne, dowodzące świadomej przynależności do danej klasy społecznej; dostrzegł też fotki ze szkoły i ze studiów tudzież szafę z ubraniami, które sam kiedyś odważnie przymierzał, a które straciły już dla niego wszelkie znaczenie.

– Myślałem, że wrzucę jakiś żarcik na temat ostatniej konferencji – odrzekł Toby. – Wiesz... „Kolejny krok w przyszłość”²³, a mama i tata w przyszłości bez końca, jak nasza dama.

– Mmm... – Nick zmarszczył brwi, nie przestając rozdrabniać proszku kartą kredytową. – Wydaje mi się, kochanie, że powinieneś przemawiać tak, jakby rzeczonyj damy wcale przy tym nie było. Powinieneś się skupić wyłącznie na... rodzicach. Ten dzień należy do nich, nie do niej. I nie tylko do Geralda.

Toby był zaskoczony.

– Mógłbyś nawet bardziej skoncentrować się na Rachel – dodał Nick.

– Racja... Boże... Szkoda, że mi tego nie napisałeś. – Toby kręcił się niespokojnie po pokoju. Na dole rozległ się dzwonek i wpuszczono pierwszych gości. – Ale co ja mogę o staruszce powiedzieć?

²³ „Kolejny krok w przyszłość” (oryg. „Next Move Forward”) – hasło programowe konferencji Partii Konserwatywnej w 1986 r.

– Możesz powiedzieć, że dzielnie wytrzymuje z Geraldem – odparł Nick z niejasnym poczuciem, iż sam ma o tym kiepskie pojęcie. – Nie, lepiej tego nie mów – dodał roztrzęsionym głosem. – Byle krótko. – Wyobraził sobie, jak Toby stoi, przemawia i uśmiecha się nerwowo do gości, których alkohol rozgrzał już na tyle, że reagują na jego słowa albo z nadmierną surowością, albo przeciwnie, z entuzjazmem. – Pamiętaj, że wszyscy cię kochają – rzekł jeszcze, nie chcąc, by mówca zorientował się nagle, jakież to monstra wlepiają weń wzrok.

Toby pochylił się, wciągnął kreskę i zrobił krok do tyłu. Nick obserwował go i czekał, aż ten miłośny specyfik wniknie w organizm, ciekaw, jaki koloryt objawi on u przyjaciela. – Nie robiłem tego wieki całe – powiedział Toby tonem przeproszającym, pobrzmiwającym też lekką dezaprobatą, – Mmm... Bardzo to miłe... – rzeki po chwili. I chwilę później, rozpromieniony, porzuciwszy już resztki oporu: – Świetny towar, Nick, przyznaję. Gdzieś ty to, cholera, wytrzasnął?

Nick błyskawicznie wciągnął kokę i wytarł palcem stolik. – Dostałem od Ouardiego.

– Jasne – odparł Toby. – Taaa... Ouardi zawsze miał świetny towar.

– Brałeś z nim kiedyś, prawda?

– Prawda. Parę razy. Ale nie miałem pojęcia, że ty też... – Toby zbliżał się chwiejnym krokiem, a Nick musiał dobyć resztek sił, by nie pocałować go i nie chwycić za penisa, tak jak uczyniłby to z Wanim.

– Proszę – powiedział. – Weź resztę. – Była to mniej więcej trzecia część grama.

– Boże... Nie, nie mogę... – Twarz Toby'ego rozbłysła jednak zachłannością.

– Dalej, bierz – nalega! Nick. – Ja już swoje wciągnąłem, a tobie może się przydać więcej. – I wyciągnął ku niemu złożoną karteczkę, wyciętą, jak zwykle w przypadku Ronniego, z jakiegoś erotycznego pisemka; powiększony sutek wyglądał na niej jak stempel. Toby wziął ją od niego i po chwili namysłu schował do kieszeni na piersi. – Boże... Fantastycznie! – powiedział. – Chyba wszystko pójdzie dobrze. Będę się streszczał. – i trajkotał tak jeszcze przez moment, rozanielony pierwszą falą kokainowej błogości. Gdy schodzili już na dół, zapytał: – Na pewno nie chcesz więcej? Ja nie zużyję tego wszystkiego.

– Poradzę sobie – odrzekł Nick.

Pocłapali do salonu, w którym lady Partridge wypytywała właśnie urzędnika Ministerstwa Finansów o stan przestępczości, a Borsuk Brogan flirtował nieśmiało z

Gretą Timms, już po raz siódmy brzemienną. Nick krążył po salonie z uśmiechem, odporny na powszechny tam niepokój, który objawiał się rozbieganym wzrokiem i hałaśliwą wesołością, a który świadczył o niedosycie, mającym zniknąć z chwilą pojawienia się słynnej osoby. Rozglądał się za drinkiem, bo koka wysuszyła mu gardło i uczyniła go w dwójnasób spragnionym. Nagle weszło dwóch kelnerów z pełnymi tacami, co widząc, Nick aż się roześmiał, jak gdyby stanowili oni odpowiedź na jego podwójne pragnienie. Kierując się względami estetycznymi, wybrał ciemnoskórego mężczyznę o pełnych ustach. – Dziękuję... O, cześć – powiedział, odbierając kieliszek, rozpoznał bowiem kelnera o sekundę wcześniej, niż ten rozpoznał jego; na tę sekundę wszystko rozbłysło, czas zastygł w miejscu, ich oczy zespoliły się ze sobą, a w dziesięciu wysokich kieliszkach wystrzeliły w górę bąbelki gazu. – Pamiętam cię – rzekł Nick dość oschle, jak gdyby miał do czynienia z kelnerem, który zasłynął jakąś gafą.

– O... Dobry wieczór – odparł kelner miłym głosem, tak że Nick czuł, iż mu wybaczone. – Gdzie my się widzieli wcześniej? – zapytał, tak że Nick poczuł, iż mu zapomniano.

Przy oknie zapanowało ożywienie, a Geoffrey Titchfield oznajmił: – Nadjechał samochód pani premier – w czym upodobnił się do starego lokaja, pławiącego się w splendorach roztaczanych przez swoich chlebobawców. Od razu ruszył ku drzwiom, zbyt poruszony własnymi słowami, by włączyć się w ogólną wrzawę. Goście popatrywali na siebie, szukając otuchy w sobie nawzajem, paru co bardziej zrezygnowanych pochowało się po kątach, a wśród mężczyzn nastąpiła sympatyczna przepychanka. Nick dołączył do grupki zgromadzonej na podeście schodów w przekonaniu, że pani premier bynajmniej nie oczekuje taktu i umiaru, że czułaby się wręcz urażona, gdyby nie zapanował tu ścisk, gdyby witano ją mniej demonstracyjnie. Przyciśnięty do balustrady na pierwszym zakręcie schodów, spoglądał w dół z uśmiechem na ustach; musiał wyglądać jak przyciągający uwagę widza anonimowy dworzanin na obrazie historycznym. Przez otwarte drzwi wnikał wilgotny chłód, który jedynie wzmagił ekscytację zebranych. Kobiety drżały z radosnego skrępowania, bo nastał wszak wieczór, na który czekały z utęsknieniem i który budził w nich duże obawy. Pośród śmiechów i mruknięć wbiegł do środka „zgrzyźliwy analityk”. Gerald stał już na ulicy, otoczony przez chłopców z biura ochrony. Rachel stała wewnątrz, opodal drzwi, w kręgu rozedrganego światła, w

przeświecającej powłóce swej sukni. Rozległ się dobrze znany głos, nastąpiła zabawna, pełna napięcia cisza, i pani premier wstąpiła w progi.

Weszła, a raczej wbiegła tak dla niej typowym wdzięcznym truchcikiem, sugerującym zwycięską walkę z zakłopotaniem i nieporadność przekuwaną w poczucie władzy. Cały ten nieznany dom wyrażał jednoznaczną afirmację jej osoby. Wpierw powitało ją wielkie lustro w holu, inni zaś z witających, wśród których były wszak postacie dużego formatu, patrzyli na nią z ekstatycznym niemal zachwytem, śmiało i lękliwie zarazem. Takie przyjęcie najwyraźniej ją ukontentowało, bo na składane hołdy reagowała pogodnie i bezpretensjonalnie, niby nowoczesna monarchini. Nikt bodaj nie umiałby orzec, czy zwróciła uwagę na kolor drzwi.

Na piętrze zrobiło się już spokojniej, lecz był to spokój bardzo swoisty, taki, co następuje po zakończeniu uwertury, gdy podnosi się kurtyna. Goście odzyskiwali panowanie nad sobą i spontanicznie ustawili się w szereg, jak tylko „nasza dama” znalazła się w salonie (jej małżonek, idący tuż za nią, od razu pomknął dyskretnie w stronę drinków i jakiegoś starego znajomka). Barry Groom, który wracał do łask po wiosennym skandalu z prostytutką, skłonił głowę z przerażającym wręcz uniżeniem, gdy pani premier podała mu dłoń; mówiło się potem, że powiedział nawet „dzień dobry”. Wani spotkał się z większą sympatią, jako ktoś, kogo premier niedawno już gdzieś widziała – ucieszył się wprawdzie, że go rozpoznano, lecz nie próbował nawiązać choćby krótkiej rozmowy, skoro od poprzedniego zetknięcia się obojga minęło tak mało czasu; mimo to trzymał przez moment jej dłoń, jak gdyby chciał ją pocałować. Gerald zazdrośnie prowadził gościa, wymrukuje kolejne nazwiska, a Nick patrzył z prostą ciekawością, jak oboje zbliżają się do niego. Tak, ona znajdowała się poza podziałem na dobre i złe maniery, niezależnie od całej dworskości i wszystkich precjozów. Miała tak doskonałą fryzurę, że Nick wyobraził sobie, jak po kąpieli mokre włosy opadają jej na twarz. Ubrana była w długą czarną spódnicę i biało-złoty żakiet o szerokich ramionach, z osobiście wyszywanymi wzorkami w stylu rurytańskich mundurów i z dużym wycięciem na przodzie, odsłaniającym wspaniałą naszyjnik z pereł. Nick wlepił wzrok w ów naszyjnik, w duży kwadratowy biust pani premier, w jej grubą matczyną szyję... – Czyż nie jest piękna? – rzuciła Trudi Titchfield bezwstydnym rozmarzonym głosem. Nicka przedstawiono bardzo szybko, niemal w przelocie, jednym konkretnym, acz po części zdumiewająco nieprawdziwym zdaniem: – Nick Guest... przyjaciel naszych pociech...

wykłada na uczelni... – Uświadomił sobie natychmiast, że wyolbrzymiając jego znaczenie, wyrządzono mu niedźwiedzią przysługę, ponieważ w oczach „naszej damy” wykładowcy nie należeli do ludzi godnych najwyższego szacunku. Kiwnął głową, uśmiechnął się i poczuł na sobie krótkie i nieufne spojrzenie niebieskich oczu. Pani premier szybko jednak przejęła inicjatywę i krzyknęła: – Witaj, John...! – do Johna Timmsa, który nagle pojawił się obok Nicka. – Pani premier... – powiedział John Timms, nie podając jej ręki, lecz ściskając ją, by tak rzec, ciepłem i entuzjazmem zawartym w swym głosie. Na końcu rzędu stały rzeczony pociechy z wytrzeszczonymi oczami, ta niezrównana parka: Toby, wciąż jeszcze cudownie rozweselony, i Catherine, która miast boczyć się lub zadać niewygodne pytanie, uścisnęła dłoń pani premier z wesołym: – Dzień dobry! – wpatrując się w dostojnego gościa niczym dziecko w iluzjonistę. – A to jest mój chłopak – dodała i wskazała Jaspera, zapomniawszy wszakże o podaniu jego nazwiska. – Dzień dobry – powiedziała pani premier tonem na tyle oschłym, że stało się jasne, iż zasługuje już na drinka. Tristão, kelner o smutnych oczach i bladym uśmiechu, zrozumiał to w lot i podszedł z tacą.

Zbiegając na dół po zażyciu kolejnej działki, Nick zauważył, jak Wani wychodzi z sypialni Geralda i Rachel. – Boże... Bądź ostrożniejszy, kochanie – powiedział.

– Korzystałem z toalety – odrzekł Wani.

– Mmm... – Nick sam był już zbyt pijany i naćpany, by docenić skalę niebezpieczeństwa. – W razie potrzeby korzystaj z mojej.

– Za wysoko.

Kokaina wspaniale rozwiewała mgielkę po pierwszym szampanie, bordo, sauternes i kolejnych dolewkach szampana. Zwiększała na kredyt stan konta w banku przyjemności. Niczym specyficzne lekarstwo przywracała jasność myślom, w pierwszej chwili otrzeźwiała niemalże. Nick objął Waniego ramieniem i zapytał, czy dobrze się bawi. – Tak rzadko się widzimy – powiedział. Kiedy ruszyli w dół po schodach, na trzecim lub czwartym stopniu Nick zauważył, że coś poruszyło się w wielkiej białej sypialni, z której dopiero co wyszedł był Wani. Instykt strażnika i opiekuna domu kazał mu natychmiast się zatrzymać. Z sypialni wyłonił się Jasper, pozujący na biznesmena, jak gdyby demonstrował tę nieruchomość potencjalnemu nabywcy. Skinął głową i mrugnął do Nicka. – Idę na górę do Kotki – wyjaśnił.

– A zatem... – rzekł Nick, gdy znowu ruszyli w dół, wahając się na co drugim stopniu, jak gdyby pochłonięci tą samą myślą byli gotowi zatrzymać się w każdej chwili.

– Zatem przeleciałeś się z naszą zdziwą...

– Trzeba fruwać, staruszk, oj, trzeba.

– Mhm. – Nick, skwaszony, pociągnął nosem i odął usta. Szukał na dziwnie zaróżowionej twarzy przyjaciela jakichkolwiek oznak poczucia winy. Wyobraził sobie ich obu razem w łazience: słabość Waniego do rozpusty, odwaga, jaką daje kreska koki... – Zatem to nie jest już nasza tajemnica – powiedział, a Wani spojrzał na niego z pogardą, lecz bez agresji. Nick był jeszcze w fazie jasnych myśli i wyraźnych postrzeżeń, podczas gdy Wani znalazł się już na etapie ekstatycznego oszołomienia, bezruchu oraz trudności z rozpoznawaniem miejsc i ludzi. Wani poszedł w swoją stronę, a Nick poczuł, jak jego pobudzone koką serce przechodzi w paniczny sprint. Uśmiechając się nieśmiało, szukał w myślach weselszego tematu, którym znów okazała się rozkwitająca w nim kokaina. Nie wiedział, czy to, co się wydarzyło, posiada istotnie duże znaczenie, a już z pewnością nie było sensu myśleć o tym w tej chwili. W namiocie rozległa się muzyka i wszystko przybrało barwę młodzieńczej beztroski.

W narożniku salonu stała Catherine, do której przystawiał się staruszek z wystającymi zębami, o aparycji jowialnego Żabrołaka. Był to emerytowany ambasador Jonty Stafford. – Myślę, że spodobałby się pani Dubrownik – powiedział, mrużąc oczy sugestywnie. – Hotel Diokletian, zachwycający...

– Mhm – odparła Catherine.

– Zawsze dawali nam apartament dla nowożeńców, w którym jest przeogromne łożo. Można by tam urządzić orgię.

– Ale chyba nie w noc poślubną...

– Dobry wieczór, sir Jonty.

– Otóż i pani przystojny kawaler. Nic tu po mnie, jak widzę! – powiedział sir Jonty i ruszył za kolejną parą damskich pośladków, należących zresztą do pani premier. Obejrzał się jeszcze na chwilę i rzucił: – Cudowna... Cudowna jest nasza premier...

– Widzę, że zalecał się do ciebie niezłe wstawiony staruszek – zagał Nick.

– Dobrze, że ktokolwiek mnie tu dostrzeże – rzekła Catherine, opadając na kanapę.

– Siadaj. Nie wiesz, gdzie podział się Jaz?

– Nie mam pojęcia – odparł Nick.

Po salonie szalał fotograf, a jego flesz pobłyskiwał w lustrach. W swej muszce i marynarce od smokingu wyglądał jak jeden z wielu trudnych do rozpoznania nudziarzy, toteż przemykając między gośćmi, wtapiał się z uśmiechem w którąś z grup i – pstryk! – miał ich w garści. Później wracał, czyniąc przemyślnie podchody, bo albo ktoś mrugnął, albo się nagle odwrócił, i trzeba było pstryknąć raz jeszcze. Wtedy goście ustawiali się już twarzą do obiektywu bądź udawali, że go nie widzą, i reagowali wyniosłą beztróską. Nick usiadł na kanapie obok Catherine, jedną nogę podwinął pod siebie i uśmiechnął się szeroko, świadom, że wygląda sztywno. Przeczynał, że przez resztę wieczoru będzie mógł być w pełni sobą. Czuł się rewelacyjnie, uwielbiał takie przyjęcia i choć dobrze by było upiększyć to wszystko seksem, wiedział, że bez seksu może tym razem się obyć. Może to nawet lepiej...

– Mmm... Ładnie pachniesz – powiedziała Catherine.

– O, to tylko stare Je promets – odparł Nick, wyciągnął ku niej rękę i potrząsnął spinkami do mankietów. – Czy masz już za sobą dwanaście sekund z panią premier?

– Miałam mieć, ale Gerald mi nie pozwolił.

– Podśluchiwałem ją trochę przy kolacji. Odgrywa wielką personę, która umie zachować się prosto i swobodnie.

– A jest tylko chciwa – powiedziała Catherine.

– Oni to uwielbiają. Wzdychają z ulgą, kiedy w ich gadkę o przewadze margaryny nad masłem nasza dama wtrąca uwagi na temat wspólnej polityki rolnej.

– Nie podzieliłeś się z nią własnymi przemyśleniami?

– Jeszcze nie – odrzekł Nick. – Ona nie ma zbyt dużej swobody ruchów, prawda. Niby rządzi, ale musi być tam, gdzie jej każą.

– Tutaj nie rządzi na pewno. – Catherine skinęła na Tristáo. – Na co masz ochotę?

– Na co mam ochotę? – Uśmiechnął się chytrze w odpowiedzi na oficjalny uśmiech Tristáo i zmierzył wzrokiem ciało kelnera. – A co jest najlepsze?

– Szampan, proszę pana? Czy coś mocniejszego?

– Na razie szampan – powiedział Nick, przeciągając głoski. – A potem coś mocniejszego. – Rysowała się przed nim wizja rozkoszy, która za sprawą mieszanki alkoholowo-narkotykowej przybrała postać ryzyka dość absurdalnie wzmagającego poczucie bezpieczeństwa; ogarnęło go przeświadczenie, że teraz, po latach, będzie mógł zrobić z Tristáo wszystko, co tylko mu się zamarzy. Kelner jedynie kiwnął głową, ale

schylając się po pusty kieliszek, otarł się krótko, acz wyczuwalnie o kolano Nicka. Ten zaś patrzył potem, jak Tristáo idzie przez zatłoczony salon, i przez kilkanaście sekund nałożyły się na siebie dwa obrazy: ten, który miał teraz przed oczami, i Hawkeswood – złocenia, lustra, pokój za pokojem i ledwie widoczne strzępy umykającej myśli: czego pragnąłeś, zjawilo się samo, a cała ta długa gonitwa okazała się tylko niespokojnym oczekiwaniem. Gerald miał rację: każdemu należy się nagroda. Kiedy Tristáo pochylił się potem nad nimi z tacą, Nick uniósł kieliszek w uroczystym, acz sekretnym toaście. – Za nas – powiedział.

– Za nas – powtórzyła Catherine. – Przestań flirtować z tym kelnerem – dodała. I chwilę później: – Fedden jest dzisiaj nad wyraz ożywiony. Przechodzi samego siebie. – Na jednej z kanap siedziała pani premier, a obok niej, na szerokiej wgniecionej poduszce dla pielgrzymów, którym udzielano dwuminutowej audiencji i których potem dyskretnie odprawiano, spoczywał w tej chwili Toby, usiłując rozbawić gościa jakimś żartem. On jeden zapewne, z tytułu udanej mowy przy kolacji, miał prawo posiedzieć tam nieco dłużej.

– Nie zdziwiłbym się – rzekł Nick – gdyby Wani dał mu trochę rozweselających proszków dla kurażu.

– Daj spokój. – Catherine uznała to za niedorzeczność, ale po chwili ta myśl ją rozbawiła. – Wiesz, jaki on jest. Od razu poczęstowałby ją koksem, czy jak to tam się nazywa.

– Dużo już wytrąbiła, prawda? A jednak nic po niej nie widać.

– Faceci wyglądają przy niej śmiesznie. Podchodzą do niej z żonami, które wyraźnie im przeszkadzają... Patrz tylko na tego... Tak, uścisk dłoni: „Tak, pani premier, tak, tak”. Jakoś nie umie przedstawić żony. Najchętniej by się jej pozbył i umówił z naszą damą na randkę... No, proszę. Żoneczka usiadła na kanapie, a on dostał szału. Ha! Ale go załatwiła. Teraz on musi przykucnąć... przyklęknąć na dywanie...

– Może ją jeszcze pocałuje...

– Wykluczone...

– ... w pierścionek, kochana!

– Być może. Jest całkiem duży, swoją drogą.

– W tym stroju wygląda jak królowa.

– Jak królowa? Ależ kochany! Ona wygląda jak piosenkarka country.

Catherine wydała z siebie krótki pisk, przyciągając uwagę paru gości, w większym lub mniejszym stopniu poirytowanych lub rozbawionych. Wyglądała na niesamowicie pobudzoną i można było zauważyć, że trzymany na wysokości twarzy kieliszek szampana drżał w jej dłoni. – Te kieliszki są naprawdę olbrzymie! – powiedziała.

– Tak. Rzec by można, że to są kielichy – odparł Nick.

W ogrodach miejskich rozległ się grzmot odpalanych fajerwerków, donośny jak wystrzał z moździerzy, jak huk gromu. Szyby w oknach zatrzęsyły się, a łoskot poniósł się echem po okolicznych domach. Goście pokrzykiwali wesoło i wzdrygali się, przestraszeni, wszyscy prócz pani premier, która jedynie wzmocniła ton głosu, jak gdyby usiłowała przywołać do porządku niesfornych posłów na sali obrad. Otaczający ją dworzanie trzęśli się jak lękliwe zajączki.

– Szczerze mówiąc – powiedział Nick – zdumiewa mnie zniewieściałość tych facetów. Zniewieściałość heterycka.

– Ja się tego spodziewałam – odrzekła Catherine. – Wiesz... Na co dzień mam do czynienia z Geraldem...

– Ależ kochanie... W porównaniu z tymi typkami Gerald jest jak robotnik na budowie, jak górnik na demonstracji. Spójrz tylko na tego starego... hm... ministra. Od czego on jest właściwie...?

– Nie mam pojęcia. Na pewno jest członkiem gabinetu. Ten z różową twarzą? Widziałam go w telewizji.

Był to jeden z panów stojących tuż za panią premier. Wyglądał jak showman, który zarówno przedstawia ją publice, jak i chroni przed niecnymi zakusami. Co pewien czas spoglądał pożądliwie na jej włosy i delikatnie wodził dłonią po swoich siwych falujących loczkach, wzmocnionych solidną porcją żelu. Należał do nielicznych tu mężczyzn ubranych w biały smoking, a cała jego dumna postura znamionowała niemożność popełnienia najmniejszego choćby faux pas. Marynarka smokingu miała odstające klapy, z jedwabnymi wyłogami o kremowym zabarwieniu, na koszuli zaś błyszczał rząd niebieskich guzików, zwieńczony obwisłą muszką z fioletowego aksamitu. Sztywny kołnierzyk tworzył ramy dla wyniośle przekrzywionej głowy, a ciasno związany jedwabny pas hiszpański nadawał mu wyprostowaną postawę i pogłębiał rumieniec człowieka cierpiącego na niestrawność.

– Żaden szanujący się homoseksualista nie ubrałby się w taki sposób – orzekła Catherine.

– To zbyt odważne stwierdzenie. – Nick nie był pewien, które z nich jest w tej chwili bardziej ironiczne. – To tylko uprawniona manifestacja próżności.

– Już wiem! – krzyknęła Catherine. – On jest członkiem gabinetu krzywych luster!

Potem Nick poszedł do łazienki na pierwszym piętrze, by szybko zaaplikować tam sobie jeszcze jedną kreskę. Nie było sensu przemykać się w tym celu na górę. Wciągał proszek, przykładając kciuk do obu nozdrzy po kolei. Uśmiechnął się do zdjęcia, na którym Gerald ściska dłoń Reaganowi. Sądząc po dobronudnym wyrazie twarzy, staruszek nie miał zielonego pojęcia, z kim się właśnie wita. Na zewnątrz dudniła muzyka: najpierw był to jazz z epoki big-bandów, a teraz wczesny rock'n'roll, przy którym Gerald zapewne tańczył z Rachel przed dwudziestu pięciu laty. Fajerwerki huczały i gwizdały. Zza zamkniętych drzwi dobiegały odgłosy bawiących się gości, tchnące utajonymi możliwościami: było tam w końcu dwóch mężczyzn, których pragnął. Ktoś potrząsnął za klamkę, więc Nick szybko doprowadził się do porządku, spuścił wodę, przejrzał się w lustrze, poprawił muszkę i wyszedł swobodnym krokiem, ledwie dostrzegłszy czekającego przed kabiną policjanta.

Jego miejsce obok Catherine zajęła księżna, toteż rozejrzał się dokoła i znowu poczuł, że wśród tego ścisku czuje się w swoim żywiole. Zauważył, że wolno, acz jednoznacznie dryfuje ku pani premier. Toby z uśmiechem ulotnił się ze sceny niczym chowający się już za kulisy aktor. Lady Partridge, która kręciła się w pobliżu, podeszła teraz, pochyliła się i ujęła dłoń pani premier. Była oniemiała z zachwytu, tak jak oniemiałby Nick, poznając kogoś z uwielbianych pisarzy. „Uwielbiam pana książki” – nic innego nie przeszłoby mu przez gardło. W tym wszakże przypadku chodziło o niemłodą kobietę, u której matczyna duma, malująca się na doświadczonego przez czas, pokrytym zmarszczkami obliczu, sąsiadowała z dziecinnym przerażeniem i uległością. Nick nie słyszał, co mówiła. Coś o problemach z wywózką śmieci? Miał za to pewność, że lady nie słyszy tego, co odpowiada jej pani premier. Było to jednak pozbawione znaczenia, gdyż panie trzymały się za ręce w geście wzajemnego hołdu, będącym zarazem gestem uzdrowicielskim, nowym dla Judy, a rutynowym dla „naszej damy”. Obie miały już nieźle w czubie i gdy tak niemal wyszarpywały sobie dłonie, mówiąc coś podniesionym głosem, wyglądały na pogrążone w gwałtownej kłótni. Wydawało się

nawet, że pani premier wolałaby kłótnię, bo w sytuacjach konfliktowych czuła się najlepiej. Po zakończonej audiencji, cofając się na oślep, Judy niechętnie uniosła kieliszek, który uderzył w nogę członka gabinetu krzywych luster.

Trudno było o lepszy moment – Nick podszedł i przysiadł na krawędzi kanapy, prawie że klęcząc jak amant oświadczający się w sztuce teatralnej. Rozkoszował się widokiem twarzy pani premier, jej ptasiej głowy z koroną włosów, w której ujrzał nagle niewiarygodną fuzję wertycyzmu z barokiem. Odwzajemniła uśmiech z istic zwierzęcym reflekssem, a w jej niebieskim spojrzeniu tkwiło wyzwanie. Błysnęły dyskretne flesze – dwa, trzy razy – a błysk odbił się w oczach cienistą plamką. Serce Nicka waliło jak młotem, chociaż nie musiał zdobyć się na wielką odwagę, aby z szerokim uśmiechem powiedzieć: – Pani premier... Może ma pani ochotę zatańczyć?

– A wie pan, że mam na to ochotę ogromną – odrzekła pani premier swym pewnym siebie, piersiowym kontraltem. Stojący obok mężczyźni zarechotali, oburzeni na myśl o śmiałości, na jaką sami nie umieli się zdobyć. Gdy wychodzili z salonu wśród powszechnego zdziwienia, Nick czuł, że ten epizod już obrasta komentarzami, że ma już swoje miejsce w kronikach. Towarzyski środek ciężkości przemieszczał się wraz z nim – żaden z widzów nie umiał wcześniej do tego doprowadzić i żaden nie mógł teraz nie patrzeć na to zjawisko obojętnie. Ignorował ich, uśmiechając się pod nosem, urzeczony przeznaczonymi tylko dla niego słowami pani premier i odważną błyskotliwością własnych odpowiedzi. Inni goście szli za nimi po kamiennych schodach, przez oświetlony lampionami pomost, by patrzeć, by asystować. – Nieczęsto prosi mnie do tańca wykładowca – powiedziała pani premier, a Nick uświadomił sobie, że Gerald nie rozgryzł jej jednak do końca: otóż ona, poruszając się w tym charakterystycznie szybkim tempie, postrzegała rzeczywistość na własny sposób; i nie ciekawiły jej puste kwadraty na tapecie ani kolor frontowych drzwi. Ona po prostu nie dostrzegała niczego, lecz wszystko zapadało jej w pamięć.

Kiedy wchodzili do namiotu, z głośników dudniło *Get off My Cloud*, a na parkiecie tańczyło zaledwie kilka par. Gerald pisał z mrukliwą Jenny Groom, Barry balansował niepewnie z Penny, Rachel zaś poruszała się wolno w objęciu Jonty'ego Stafforda i widać było, że zachowywanie dobrych manier co nieco już ją wyczerpało. I wtedy Gerald dostrzegł swoje bożyszcze, „naszą damę”, która zapowiadała, że tańczyć nie będzie, a która teraz, po wychyleniu paru kieliszków, ruszyła w seksowne tany z Nickiem. Nick

mógł docenić lekcje panny Avison: precyzja i zręczność kroków, lekki uścisk przedramienia... Ogarnęło go takie ożywienie, że mógłby obtańcować panią premier do nieprzytomności... Na to wszakże nie pozwolił mu Gerald.

Byli we trójkę w łazience Nicka. Wani pociągał nosem i dygotał jak chory. Ponuro wytrzeszczał rozbiegane oczy. Twierdził, że czuje się dobrze, że nigdy nie czuł się lepiej. Rozłożył kartkę z magazynu „Forum” i z ciemnych włosów łonowych na zdjęciu wciągnął resztki kokainy. Nick, siedzący dotąd na krawędzi wanny, zsunął się w dół, tak że jedynie nogi wystawały na zewnątrz. Patrzył, jak Tristáo pozbywa się dużych ilości moczu.

– Nie chowaj go – zażartował Wani w typowy dla siebie sposób.

Tristáo cmoknął i powiedział: – On to lubi.

– To prawda – przyznał Nick.

– Wiem, gdzie ciebie widziałem – rzekł Tristáo, chowając go mimo wszystko i splukując wodę w muszli. Myjąc ręce, zwracał się do lustra: – To było urodziny pana Toby. W dużym, dużym domu. Dawno temu.

– Zgadza się – potwierdził Nick. Wygramolił się z wanny i zdjął marynarkę. Tristáo również ściągnął frak, jak gdyby już wcześniej ustalili, co będą teraz robić. Ta instynktowna pewność wywołała uśmiech na twarzy Nicka.

– Ty mnie wtedy szukał w kuchni. Był bardzo zalany.

– Naprawdę? – rzekł Nick z niedowierzaniem.

– Potem mnie głupio, bo my mieli się spotkać później, a ja nie przyszedł.

– Wiemy dlaczego – stwierdził Wani.

– Nie martw się – powiedział Nick. – Ja też zapomniałem.

Tristáo położył dłoń na ramieniu Nicka, ten zaś zrozumiał, wyciągnął portfel i wyjął z niego dwadzieścia funtów. Tristáo przechylił głowę i wsunął Nickowi do ust swój długi gruby język; całowali się metodycznie przez dziesięć sekund, po czym kelner cofnął się i odwrócił. Wani dalej zajęty był koką i nawet nie zauważył tego zbliżenia. Tristáo podszedł do niego i patrząc mu przez ramię, powiedział: – Za takie to ja mam duże kłopoty.

– Żadne kłopoty – odparł Wani. – Bardzo bezpiecznie. Dom pod ochroną policji.

– Kłopoty z mój szef. Krótka przerwa, tak?

– Spodoba ci się – rzekł Wani i chwycił kelnera za krocze, nie oglądając się za siebie.

– Chcesz więcej kasy? – zapytał Nick.

– Dałem mu już, kurwa, pięćdziesiąt funciaków – wycedził Wani dość głośno.

Tristáo nadał się i znowu spojrzął w lustro. – Więc dziś ty nie przyszedł z żoną? – zapytał.

– To, kurwa, nie jest moja żona, ty zdziro – rzucił wesoło Wani.

Tristáo uśmiechnął się do Nicka. – Widział, jak ty tańczył z duża dama – powiedział. – Ty skakał. Ty się jej chyba podoba.

Wani uniósł głowę i zaśmiał się. – Jak będę ją znowu widział, to spytam, co myśli o Nicku.

– Ty z nią dobry przyjaciel, co? – zapytał Tristáo i uśmiechnął się raz jeszcze do Nicka.

– Zajeście dobry przyjaciel – powiedział Wani, wycierając palce i patrząc na swoje dzieło. – Niewiarygodnie dobry przyjaciel... Proszę uprzejmie... – Odwrócił się. – A ty jej nie kochasz? Czyż nie jest piękna?

Tristáo zrobił kwaśną minę. – Tak, jest okej. Dla mnie okej. Często przyjęcia, dużo kasa. Dużo napiwki. Sto funtów. Dwieście funtów...

– Boże, jaka z ciebie zdzira – podsumował Wani.

Nick podszedł do umywalki i wypił dwie szklanki wody. – Dajcie mi kreeeskę – jęknął. Byli już nieźle rozgrzani i chcieli zacząć jak najprędzej, wzmocnieni paraliżującą niemalże świadomością, że mają jeszcze sporo towaru. Rzecz wykraczała poza prostą zasadę przyjemności – był to samonapędzający się mechanizm nieodparty impulsów, dający złudzenie wolnej woli i radość z rzekomo dokonanego wyboru.

Gdy Tristáo wciągnął swoją kreskę, Wani chwycił go za kutasa, a Nick zajął się jego pośladkami. – Dobry towar. Gdzie macie taki dobry towar? – zapytał kelner, głośno pociągając nosem i odsuwając się od nich na moment.

– Od Ronniego – odparł Wani. – To taki facet... Swoją drogą... – dodał, zatykając nos. – Kocham Ronniego. To mój najlepszy przyjaciel. To mój jedyny przyjaciel.

– Nie licząc pani premier – zauważył Nick.

Grymas na twarzy Tristáo zdradzał pierwsze objawy działania narkotyku, który stopniowo przejmował kontrolę nad kelnerem. – Myślałem, że on jest twój najlepszy przyjaciel – powiedział. – On. Nick. Nie?

– Nick? To zdzira, która leci na moją kasę – rzekł Wani.

Nick uniósł głowę, wciągnąwszy pół kreski. – On tylko mówi, że jest moim pracodawcą – wyjaśnił ze zbędną drobiazgowością.

– Ale pracownik jest z niego do dupy – powiedział Wani.

– Do dupy, to prawda, ale nie mów, że narzekasz – stwierdził Nick z lekką irytacją.

– Co? Pracownik do dupy? – Tristáo zaśmiał się jak idiota.

– Tak czy inaczej – rzekł Nick. – On jest milionerem, więc...

– Jestem multimilionerem – poprawił go Wani, chmurząc się pogodnie. – Teraz twój trik, okej?

– A na czym ten trik polega? – zapytał Nick.

– Zobaczysz – odparł Wani.

– Żeby te narkotyki nie zrobił mi miękki kutas – powiedział Tristáo.

– Jeśli ci kutas nie stwardnieje, to oddajesz mi pieniądze – oświadczył Wani.

Tristáo spuścił spodnie i slipy do kolan i usiadł na skraju małego trzcinowego krzeselka. Jego ciemny ciężki kutas zwisał bezwładnie. Następnie wsunął dłonie pod koszulę, podciągnął ją pod szyję i ścisnął swoje sutki, wykręcając je mocno. – Chce mi pomóc? – zasugerował.

Wani stanął za nim i schylił się, by palcem wskazującym i kciukiem ścisnąć i ugniatać sutki kelnera. Tristáo uśmiechał się, wzdychał i zagryzał wyschnięte usta. Spoglądał w dół z napiętą uwagą, jak gdyby zawsze zdumiewał go ten świetnie znany mu cud: jego kutas drgnął, nabrał ciała i przez moment sunął leniwie po udzie, by unieść się w końcu i spod odsuniętego napletka błysnąć różowym uśmiechem. – Otóż i cały trik – powiedział Wani.

– To wszystko? – zdziwił się Nick.

– Podoba tobie? – Twarz Tristáo stała się nagle osobliwie zachłanna. Jego penis stanowił rzecz jasna centralny punkt wieczoru, gwóźdź programu; cała reszta stanowiła jedynie długie preludium.

– A więc znasz to już dobrze?

– On zawsze to chce – odrzekł Tristáo.

Wani już klęczał i próbował niezręcznie uczynić zadość swoim najgłębszym pragnieniom. Miał rozpięte spodnie, lecz jego mały penis, przygnieciony kokainową śnieżycą, kurczył się niemal, jakby pragnął się ukryć. Nie było tu mowy o poczuciu wstydu czy upokorzenia – za to w końcu uiszczono opłatę. Wani wachał, lizał i ssał, a z

nosa kapał mu błyszczący śluz z kropelkami krwi i drobinami nierozpuszczonego proszku. Kelner aż tyle tego nie wciągnął – przykład Waniego odstraszał skutecznie; stał się teraz bardziej rozmowny, jakby przebywał w gronie przyjaciół. Pochylił się nieco i rzekł: – To wtedy ja widział go pierwszy raz. Przyjęcie pana Toby. On dał mi koka, a ja ruchałem go w dufę.

– W rufę...? A, w dupę, rozumiem. – Nick uśmiechnął się chłodno, chociaż ta niezamierzona, acz bolesna rubasność szczerze go rozbawiła. Patrzył, jak kelner zatapia dłonie w czarnych loczkach Waniego, czyniąc to wolno, swobodnie, spokojnie, jak gdyby Wani wcale mu nie obciążał, jakby był on tylko ładnym rozpieszczonym chłopczykiem, który zabłąkał się między dorosłych, żądny ich pochwał i uznania. Tristáo uśmiechnął się więc, pogłaskał go i pochwalił: – On zawsze płaci najlepiej.

– Nie wątpię! – odrzekł Nick i wyjął z kieszeni prezerwatywę.

– No to cyk – powiedział Tristáo.

Na dole żegnano się już z panią premier. Gerald przetańczył z nią bez mata dziesięć minut, toteż odprowadzając ją do auta, tryska! humorem, kontent z odniesionego sukcesu i ani trochę nieprzejęty padającym deszczem. Odpalono ostatnie race, dudniące jak bomby albo salwy z karabinów, i wszyscy spojrzeli w górę. Rachel stała w progu z Penny tuż za plecami, Gerald zaś niby tajny ochroniarz zatrzasnął drzwiczki wozu, mimowolnie składając radosny pokłon. Daimler westchnął, warknął i odjechał, a w świetle ulicznych latarni dalej błyszczały igielki deszczu.

KONIEC

ULICY

(1987)

Na głosowanie wybrał się Nick dość wcześnie. W samochodzie towarzyszyła mu Catherine, która zerwała się z łóżka już o szóstej, żeby obejrzeć Geralda w programie *Good Morning Britain*. Przez cały długi przedwyborczy miesiąc konsekwentnie stroniła od telewizora, teraz jednak, gdy Gerald i Rachel pojechali do Barwick, nie mogła się wręcz od niego oderwać.

– Jak wypadł? – zapytał Nick.

– Miał bardzo krótkie wejście. Powiedział, że torysi zmniejszyli bezrobocie.

– Żartowniś z niego...

– Nie większy niż lady Tipper, kiedy mówi, że lata osiemdziesiąte to wspaniała dekada dla pracowników najemnych.

– Niedługo się skończy...

– Co? Wybory? Owszem... – Catherine wpatrywała się w mżawkę za szybą. – Bo ta dekada ciągnie się bez końca.

W długim tunelu drzew na Holland Park Avenue panował niemal zupełny mrok, jak gdyby nie nastąpiła jeszcze pełnia wiosny, a od wschodu słońca nie minęło już parę godzin. Taka pogoda stanowiła istny koszmar dla partyjnych sztabów wyborczych.

– Gerald zostanie wybrany ponownie, prawda? – powiedział Nick. W Kensington Park Gardens jakoś nikt nie umiał się zdobyć na zadanie tego prostego pytania.

Catherine rozchmurzyła się nieco na myśl o pozytywnym w jej mniemaniu, acz mało prawdopodobnym obrocie spraw. – Wolałabym, żeby przegrał.

Kiedy w lokalu wyborczym przedstawili dokumenty uprawniające do głosowania, pani w komisji uśmiechnęła się i zarumieniła, widząc nazwisko Fedden, a pod nim wiadomy adres. Nickowi nie spodobała się jej pewność siebie. W roku 1983 Catherine zmięła kartę do głosowania, ale tym razem obiecała, że zagłosuje na kandydata Wizjonerskich Wegetarian Wrogich Wszystkim Yuppie. Stojąc za przepierzeniem z

dykty, Nick obracał w palcach sześciokątny ogryzek ołówka. Akt głosowania wywoływał w nim zawsze wzmożone poczucie nieodpowiedzialności. Punkt wyborczy mieścił się w podstawówce, w dużej sali lekcyjnej, której ściany obwieszono dziecięcymi malunkami i dziwnym alfabetem (N jak niania, K jak kiwi). Uczniowie mieli dziś krótkie niezasłużone wakacje. Nick czuł, jak sala emanuje szkolnymi obyczajami i panującym na lekcjach rygorem, i ogarnął go nastrój zapamiętany z własnych wagarów przed laty. To, co działo się za przepierzeniem, miało na wieki wieków pozostać wyłączną tajemnicą głosującego. Ołówek Nicka wahał się zrazu między laburzystami a Sojuszem²⁴, by w końcu zakreślić krzyżyk przy kandydacie Zielonych. Oddając głos, Nick posępnie zmarszczył brwi, miał bowiem pewność, że w tym okręgu wygra konserwatysta.

Trafiali się wszakże tacy, co owej pewności nie mieli, bo w powszechnej opinii laburzyści przygotowali świetną kampanię. Zresztą i Nick uważał, że ich prasowa autoreklama jest znacznie błyskotliwsza niż anonse torysów. „W naszym kraju ubodzy biednieją, a bogaci... hm... mają konserwatystów” – to hasło rozśmieszyło nawet Geralda, który uważał zresztą, że na poziomie ogólnokrajowym kampania jest zbyt bombastyczna, w terenie zaś bywa nużąca, może wręcz zbędna. – Najsensowniejszą rzeczą, jaką mógłbym zrobić jedenastego maja, wiesz, w dzień wyborów, byłby wyjazd na miesięczne wakacje – powiedział kiedyś, zwracając się do Catherine. – Najlepiej na safari. – Męczyły go ciągle uwagi córki o „telewizyjnych wyborach”. – Nie wiem, Kotku, dlaczego wciąż to powtarzasz – mówił, przeglądając się w lustrze przed „sesją zdjęciową” dla lokalnego programu informacyjnego. – Wszystkie wybory odbywają się w telewizji. I mnie się to, cholera, podoba. Dzięki temu nie muszę sam się fatygować i gadać z każdym wyborcą z osobna. A jeśli już się na to zdobędę, wyborca jest potwornie znudzony, bo przecież słyszał to wszystko w telewizji. (– Mmra... No właśnie – zauważyła Catherine).

Gerald dziwił się, że nie zaproszono go do udziału w co bardziej znaczących transmisjach telewizyjnych i konferencjach prasowych, zdominowanych przez niezmordowaną panią premier. Największą oglądalność odnotował, występując w BBC I w programie *Question Time*; zastępował tam wprawdzie niedysponowanego ministra spraw wewnętrznych, lecz udało mu się wyeksponować własną osobę. Wdał się w przymilne żarciki z prowadzącym, Robinem Dayem, irytując tym innego dyskutanta,

²⁴ Sojusz – koalicja Partii Liberalno-Demokratycznej i Partii Socjaldemokratycznej.

laburzystę walczącego żarliwie o zaprzestanie wyścigu zbrojeń. Nick i Rachel oglądali ten program w domu. Na ekranie telewizora w salonie Gerald wyglądał dość dziwnie, ponieważ studyjne światła pogrubiały i wyostrzyły jego sylwetkę. Gdy wypowiadali się inni goście, on z kwaśną miną bawił się wiecznym piórem, a chusteczka w kieszeni jego marynarki zdawała się wyrywać w górę niczym płomień pochodni. Opowiedział się za jednością Europy, bo sam, jak zaznaczył, ma letnią posiadłość we Francji. Mówił, że dziesiątki tysięcy bezrobotnych bez trudu znalazłoby pracę, gdyby tylko ci ludzie zaczęli jej szukać (okrzyki: „Hańba! Podłość!”, które sprawiały mu wyraźną przyjemność). Dziecinnie arogancki ton sporów stanowił o sile tego programu, lecz był też jego największą wadą. Rachel zaśmiała się parę razy, lekceważąco, ale z sympatią. Pod okiem kamery lenistwo i ambicja jej małżonka przeistaczały się w szorstką nadętość. Wśród studyjnej publiczności znajdował się mężczyzna podobny do Cecila z Barwick, owego mistrza w miotaniu gumiakiem; zarzucił on Geraldowi, że jest zbyt bogaty, aby przejmować się losem zwykłych ludzi; odpierając to oskarżenie, zarumieniony Gerald nie umiał ukryć, że odbiera je zarazem jako swoisty wyraz uznania.

Gdy trzeba było przenieść się z kampanią do Barwick, Gerald nie widział powodu, by nadmiernie się wysilać. Bagatelizował wyniki sondaży. Torysi mieli zapewnioną wygraną we wszystkich okręgach w Northamptonshire, nawet w Corby z nieczynną hutą. – Bezrobotni też wiedzą, że z nami będzie im lepiej – mówił. – Tak czy inaczej, w biurze mam komputer, a jak już go moi ludzie rozpracują, to namierzemy tych, co się jeszcze wahają, i wyślemy im co trzeba. – Niby co? – dopytywała się Catherine. – Moje zdjęcia! – odrzekł Gerald. Nick był ciekaw, czy przez ten buńczuczny ton Gerald nie nastawia się aby na potencjalną porażkę. Kilka dni przed wyborami miał miejsce tak zwany „chwiejny czwartek”, kiedy to pracownicy torysowskiej centrali wpadli w niemałą panikę. W sondażach laburzyści pięli się w górę, wolno co prawda, lecz zdecydowanie. Toby wyraził wtedy zdziwienie, że jego ojciec jest tak spokojny, na co ten odpowiedział: – Wystarczy tylko doskonalić w sobie cechę, którą monsieur Mitterrand przypisał naszej damie i która w jego mniemaniu ucieleśnia najwyższą cnotę polityczną.

– Tak? A jakaż to cnota? – zapytał Toby.

– Beznamiętność – odparł Gerald cichym głosem.

– No tak... – rzekł Toby, który chciał jednak jeszcze podrażnić temat. – Ale mnie się wydaje, że nasza dama goni już ostatkiem sił – Goni ostatkiem sił? Nonsens.

– Można by teraz pobawić się w przysłówki – powiedziała Catherine. – Czasownik: gonić. Jak: beznamiętnie. – Gerald uśmiechnął się z politowaniem i poszedł poprawiać swój dziennik.

W biurze ES Nick przejrzał korespondencję i podyktował Melanie kilka listów. Pod nieobecność Waniego lubował się w dyktowaniu i zaczął improwizować długie giętkie zdania, pełne subtelnych wtrąceń i składniowego rozwichrzenia; naśladował w tym Henry’ego Jamesa, który w ostatnim okresie życia, chodząc tam i z powrotem po pokoju, podyktował maszynistce wszystkie swoje najtrudniejsze powieści. Melanie, przywykła do zwięzłych notek Waniego, a nawet do ubierania treści listu w przez siebie dobrane słowa, spisywała z otwartymi ustami staromodne zdania Nicka, poprzedzielane często kłopotliwymi średnikami. Tego dnia Nick odpowiadał dwóm amerykańskim homikom, prowadzącym wytwórnię filmową zapewne równie nierealną jak ES i zgłaszającym gotowość do udziału w ekranizacji *Spoils of Poynton*. Wyszunęli oni wszelako kilka zastrzeżeń do fabuły: sądzili, że przyda się tam większa dawka seksu – dużo erotyki, dużo akcji, jak lord Ouardi ujął to w swoim czasie. Brzmiało to jak postulat aktorów porno, a ich nazwiska – Treat Rush i Brad Craft – jedynie potwierdzały takie podejrzania. Nick przystąpił do dyktowania: – Z niemalą zaiste ciekawością zapoznaliśmy się z waszymi najnowszymi propozycjami przecinek które stawiają w nader nowym nawias otwierający ba przecinek w szokująco dla nas nowym nawias zamykający świetle erotyczny potencjał, cudzysłów, z dużej, Spoils, średnik...

Przy wejściu zapanowało małe poruszenie. Simon najpierw uniósł wzrok, potem podszedł do drzwi; Melanie odłożyła notatnik. Krótka ścięta czarnoskóra dziewczyna, wyglądająca jak mały piersiasty chłopiec, a z nią biała chuda kobieta... Taka wizyta oznaczała przeważnie pomyłkę lub odwiedzin obnośnych sprzedawców, próbujących opchnąć taniego walkmana lub tanie kompaktki... Z przykrością stwierdzić wypada, że prawie nikt nie odwiedzał biura ES z konkretną sprawą do załatwienia. – Przepraszam, Nick – powiedziała Melanie. – To jest... hm... Rosemary Charles... Do ciebie. – Melanie wzdygnęła się pretensjonalnie, na poły przepraszająco, na poły z wyrzutem. Była w butach na wysokich obcasach i dalej stała w drzwiach, zasłaniając gości, toteż Nick musiał wyciągnąć szyję, by za jej kwadratowymi ramionami odszukać właścicielkę tego bezcielesnego nazwiska, tych dwóch mrocznych i ciężkich słów: Rosemary Charles. Wstał

i podszedł do niej, do niej i do towarzyszącej jej kobiety, która tkwiła tam niby świadek jego zakłopotania. Zakręciło mu się w głowie, jakby ziemia rozstąpiła się pod stopami. Powitał je serdecznym, acz pełnym szacunku uśmiechem, świadom wagi tej wizyty i... zrozumiał, że domyśla się, jaki jest jej powód; udając, że nie wie, z czym do niego przychodzą, uwydatniał jedynie własne poczucie winy. Ściskając dłoń Rosemary, wpatrywał się w nią z przyjemnością i nieskrywanym zaciekawieniem. Pamiętał, że przed czterema laty była ładna, miała jedwabście gładką skórę i czujne spojrzenie; teraz zaś była piękna – puszyste włosy srebrzyły się od kropelek deszczu, szczeka wysunęła się w znamionującym zdziwienie napiętym półuśmiechu, takim samym, jak niegdyś u brata, kiedy pewnego poranka zjawiał się on bez zapowiedzi u Nicka, aby zmienić jego życie.

– Dzień dobry – powiedziała z nutką wrogości w głosie, a może po prostu twardo, ze stanowczością, na jaką musiała się zdobyć, aby w ogóle tutaj przyjść. Ona, rzecz jasna, też doszukiwała się w nim Nicka sprzed czterech lat: przypominała sobie, jaki był, i widziała, jak się zmienił. – To jest Gemma.

– Miło mi – rzucił Nick ciepłym głosem. – Nick.

– Wybacz to najście – zaczęła Rosemary. – Byłyśmy u ciebie w domu, a tam jakaś kobieta powiedziała nam, gdzie można cię znaleźć.

– Strasznie się cieszę, że cię widzę! – Mówiąc to, Nick od razu zauważył, że spodziewały się właśnie takich irytujących słów na przywitanie. W tych kobietach było coś głęboko niepokojącego, bo powód wizyty nie został jeszcze wyjawiony, a spoglądając na siebie, szukały otuchy, jak gdyby stało przed nimi wielkie wyzwanie, którego natury Nick nie umiał odgadnąć. – Proszę... Proszę wejść.

Gemma wodziła wzrokiem po biurze. – Czy możemy porozmawiać gdzieś na osobności? – spytała. Sądząc po akcencie, pochodziła z Yorkshire; była starsza od przyjaciółki, miała pofarbowane na czarno włosy, czarną koszulkę, czarne dżinsy i czarne martensy na nogach.

– Oczywiście – odparł Nick. – Zapraszam na górę.

Wyszedł z nimi na zewnątrz i zaprowadził po schodach do apartamentu Waniego. Uśmiechał się przy tym poważnie, niemalże kpiąco, jakby był dumny z kiczowatości tego mieszkania, jak gdyby ciekawiła go reakcja obu kobiet. Sam zresztą patrzył teraz na wszystko świeżym wzrokiem. Rozsiedli się w „neogeorgiańskiej” bibliotece.

– Ile tu książek... – westchnęła Gemma.

Na stoliku leżały gazety, które wyglądały tu jak w czytelnicy jakiegoś klubu. WYRZUĆCIE JĄ WRESZCIE – błagał „Daily Mirror”. TRZECIE ZWYCIĘSTWO – wrzeszczał „The Sun”.

– Chodzi o Leo – powiedziała Rosemary.

– Tak też myślałem...

Spuściła wzrok. Siedziała na krawędzi kanapy i najwidoczniej czuła się nieswojo. Przez krótką chwilę wpatrywała się w Nicka uważnie. – Wiesz... – powiedziała. – Mój brat zmarł trzy tygodnie temu. – W tych słowach, wymówionych wyraźnie, z ciepłym karaibskim akcentem, Nick dosłyszał również lubiany przez Leo defensywny ton cockneyowski tudzież łamiący się z jamajską głosem, dobywający się zeń niekiedy w chwilach rozkoszy, wyjątkowy i równie piękny, jak jego czarny rumieniec.

– To już prawie cztery tygodnie, słonko – powiedziała Gemma współczująco. – Tak, szesnastego maja. – Spojrzała na Nicka w taki sposób, jakby każdy kolejny dzień czynił go jeszcze bardziej winnym lub bezwartościowym.

– Strasznie mi przykro – rzekł Nick.

– Próbujemy skontaktować się z jego przyjaciółmi.

– Bo... wiadomo... – powiedziała Gemma.

– Ze wszystkimi jego kochankami – poprawiła się Rosemary nieco podniesionym głosem. Nick przypomniał sobie, że pracowała jako recepcjonistka w gabinecie lekarskim, umiała więc stawiać czoło brutalnym faktom. Rozpięła torebkę i zanurzyła w niej dłoń. Nick stwierdził, że taka rzeczowość chroni i ją, i jego – czuł, jak wnika w niego porażająca wiadomość, ona zaś również musiała być pod wrażeniem własnych słów, nawet jeśli (jak mu się wydawało) straciły już dla niej część swojej mocy, wytarły się niejako od zbyt częstego ich wypowiedziania, służącego, dzień za dniem, przeistaczaniu faktu nowego w fakt dobrze już znany. Chcąc wykazać się należyłą ogładą, którą błyszczał w trakcie ich poprzedniego spotkania, zapytał Rosemary o jej matkę.

– Z matką wszystko okej... – odparła. – Okej...

– Ona ma swoją wiarę – powiedziała Gemma.

– Tak. Ma Kościół – przyznał Nick. – I ma również ciebie.

– No cóż... – rzekła Rosemary. – Tak, ma też mnie.

Podawała mu niewielką kremową kopertę z nazwiskiem i adresem Leo, wypisanym dużymi zielonymi literami. Nick czuł, że rozpoznał ją, choć zarazem jej nie poznaje, tak

jak bywa z listami znalezionymi przypadkiem w jakiejś starej książce. Stempel przystawiono drugiego sierpnia 1983 roku. Rosemary kiwnęła głową przyzwalająco, a on otworzył kopertę, obserwowany przez obie kobiety. Miał wrażenie, że uczy się nowej gry, w której wprawdzie jest na straconej pozycji, ale wypada mu nadrabiać miną. Rozłożył list, napisany odręcznie najstaranniej, jak umiał; na kolana wypadło mu zdjęcie. – Bez tego nie wiedziałybyśmy, gdzie cię szukać – powiedziała Rosemary. – Pamiętał, że wysyłając ten list w czystej kopercie do „Gay Timesa”, był pełen wątpliwości, czy rzecz trafi do adresata, czyjego marzenie przyjmie kształt rzeczywisty. A potem ktoś z zielonym długopisem posłał to dalej. Nick naprędce rekonstruował początek tej historii, historii odległej w czasie i definitywnie już zakończonej; starał się ujrzeć ją również oczami Leo... Podniósł zdjęcie z nieśmiałą ciekawością, jaka zawsze ogarniała go w zetknięciu ze swoim dawnym „ja”. Była to fotka o rozmiarach zdjęcia paszportowego, zrobiona w Oksfordzie, wycięta z dużej fotografii zbiorowej. Widniała na niej twarz chłopca, który bawiąc się na huczonym przyjęciu, dzieli się z obiektywem swoją najpilniej strzeżoną tajemnicą. Nie przyglądał się treści listu, napisanego na ozdobnym papierze Feddenów, na najmniejszej kartce w ich papeterii, służącej do kurtuazyjnych podziękowań. Nie miał wtedy zbyt wiele do powiedzenia, a to, co napisał, wydało mu się dziwne i wymuszone, choć, jak pamiętał, wywarło na Leo dobre wrażenie. Zaczął od „Witaj”, bo na tym etapie nie znał jeszcze imienia adresata; ostatnia litera w tym słowie wydłużyła się, podkreślając pozostałe. Wśród „zainteresowań” wymienił Brucknera, Henry’ego Jamesa, niezbyt mądrze, jak się miało okazać, ale też bez żadnych skutków ubocznych, bo nazwiska te nigdy nie padły w żadnej z późniejszych rozmów. Na górze kartki Leo dopisał ołówkiem: *Ładny. Bogaty? Za miody?* A później przekreślił to stanowczym czerwonym V.

Nick złożył list i zerknął niepewnie na obie kobiety. Otrzeźwiła go obecność Gemmy, tej zupełnie obcej mu wszak osoby, która przez chwilę ucieleśniała w jego oczach prosty i jednoznaczny fakt: śmierć Leo. Gemma nie znała go wprawdzie, ale z pewnością wiedziała o liście, o ich romansie, o młodym, wrażliwym chłopcu, jakim był przed czterema laty. Jego zmieszanie i żal rozpuściły się teraz w nowej zgoła atmosferze, w atmosferze bez mała szpitalnej, kiedy po ustaleniu stanu pacjenta wcześniejsze obawy przekształcają się w konkretną diagnozę. – Żałuję, że potem już się z nim nie spotkałem – powiedział.

– On nie chciał się z nikim spotykać – odrzekła Rosemary. – Później nie chciał już z nikim...

– Rozumiem...

– Przecież wiesz, że był próżny! – Jakby chciała poddać próbie swoją żalobę, kpiąc z Leo, który zawsze, żywy bądź umarły, umiał dawać się we znaki...

– Tak – przyznał Nick i przyjaciel stanął mu przed oczami, ubrany w jej koszulkę. Był ciekaw, czy męska koszula, którą Rosemary miała na sobie, należała wcześniej do brata.

– Zawsze musiał wyglądać idealnie.

– Zawsze wyglądał przepięknie – powiedział Nick z przesadą i nagle zalała go fala gwałtownych uczuć. Próbował zdobyć się na uśmiech, ale kąciki ust nie chciały się unieść ani trochę. Opanował się, westchnął ciężko i rzekł: – Nie widziałem się z nim od paru ładnych lat.

– Okej... – powiedziała Rosemary, pogrążona we własnych myślach. – Wiesz... On nie mówił nam nigdy, z kim się akurat spotyka.

– To prawda – przytaknęła Gemma.

– Do domu zaprosił tylko ciebie i starego Pete'a. A potem, rzecz jasna, Bradleya.

– Ja o Bradleyu nic nie wiem – powiedział Nick.

– Mój brat z nim mieszkał – wyjaśniła Rosemary. – Przecież wiedziałeś, że się od nas wyprowadził.

– Wiedziałem, że miał taki zamiar. To było wtedy, gdy... Nie wiem właściwie, co się stało. Przestaliśmy się spotykać. – Nie mógł wydusić z siebie oskarżającej formułki: „to było wtedy, gdy mnie rzucił”; zachowałby się wszak małostkowo i bezsensownie w obliczu śmierci oskarżonego. – Chyba widywał się już z kimś innym. – Chciał w to wierzyć w tamtym okresie, by ukryć przed sobą prawdę bardziej jeszcze bolesną: to mianowicie, że Leo był chory. Bradley jednak również w tym uczestniczył i był pewnie mężczyzną krzepkim i praktycznym, a nie „tumanem” pokroju Nicka.

– Z Bradleyem jest chyba niewesoło, prawda? – powiedziała Gemma.

– Wiedziałeś, że stary Pete umarł? – zapytała Rosemary.

– Tak, wiedziałem – odrzekł Nick i odchrząknął.

– Ale ty, słonko, jesteś zdrowy, co? – zapytała Gemma.

– Tak, jestem zdrowy. – Patrzyły na niego jak policjanci, czekający, aż przyzna się do winy, aż wreszcie zmieni front. – Miałem szczęście. A potem... byłem ostrożny. – Położył list na stoliku i wstał. – Może kawy? Na co macie ochotę? – Gemma i Rosemary namyślały się przez moment, jakby chciały odmówić.

Poszedł do kuchni, wstawił wodę do gotowania i wyjrzał przez okno. Srebrzyste nitki deszczu spadały na ciemne zarośla w ogrodzie i oplatały ceglane ściany budynków na sąsiedniej ulicy. Nick wlepił wzrok w okna, dobrze mu znane, a jednocześnie zupełnie mu obce. W jasno oświetlonym salonie krzątała się pokojówka z odkurzaczem. Gdzieś w oddali zawył ambulans. Czajnik zabulgotał, wyłączył się i zamilkł.

Nick zaniósł do biblioteki tacę z kawą. – To bardzo smutne – powiedział. Wydawało mu się zawsze, że są to bardzo słabe słowa, teraz jednak nie zabrzmiały one jak zwykłe taktowne kondolencje, tylko jak potwierdzenie strasznego faktu, faktu przewidzianego i stąd łatwiejszego do zaakceptowania.

Rosemary uniosła brwi i zagryzła usta. Był w niej swoisty upór i odwaga, stanowiące w odczuciu Nicka jedynie maskę, pod którą kryła się nieśmiałość – jakże inna od nieśmiałości jemu właściwej, uciekającej się do pochlebstw i uników.

– A więc poznałeś Leo przez anons w gazecie? – zapytała.

– Tak. – Nick potwierdził fakt świetnie jej znany. Nigdy nie wiedział, czy powinien się wstydzić, że zawierał znajomości w ten sposób, czy może szczyścić się własną pomysłowością. Nie wiedział, co mogą o tym sądzić jego rozmówczynie (Gemma westchnęła z uśmiechem). – Dopisało mi szczęście, bo zdecydował się właśnie na mnie.

– Taaak... – Głos Rosemary pobrzmiwał rodzinnym sarkazmem. Albo i nie. Może po prostu sugerowała Nickowi, że nie powinien w tej chwili mówić o szczęściu.

– Przecież dostał setki odpowiedzi...

– No, trochę tego było.

Znowu sięgnęła do torebki i wyjęła plik listów, przewiązanych grubą gumką. Ściągnęła tę gumkę i wsunęła ją na nadgarstek. Przez chwilę Nickowi zdawało się, że jest u lekarza albo że przyszła do niego lekarka, która przegląda teraz swoją przenośną kartotekę. Zarówno brat, jak i siostra lubili porządek i dyskrecję. – Może któregoś z nich rozpoznasz.

– Nie jestem pewien...

– Wtedy znajdziemy go i powiemy...

– Co on wyprawiał? – spytała Gemma. – Sypiał na próbę ze wszystkimi?

Rosemary podzieliła listy na dwa pliki. – Wolę nie szukać ludzi, którzy mogą już nie żyć – powiedziała.

– Otóż to! – rzuciła Gemma.

– Ja raczej nikogo nie znam – rzekł Nick. – Jest to mało prawdopodobne... – Przeraziła go ta rzeczowość. Przecież dopiero co się dowiedział.

Zabawne: wszystkie koperty były zaadresowane tym samym charakterem pisma, takimi samymi wielkimi literami, tym samym zielonym lub, rzadziej, fioletowym długopisem. Tak jakby jeden oszalały z miłości adorator zasypywał Leo swoimi wyznaniem. Plik listów atakował Nicka bezlitośnie wciąż tym samym nazwiskiem. – Pewnie dziwnie to wyglądało – powiedział – gdy przychodziły jeden za drugim. – Na wielu kopertach tkwiły znaczki ze specjalnej serii okolicznościowej, emitowanej tamtego lata.

– Mówił nam, że to z jakiegoś klubu rowerowego – powiedziała Rosemary.

– Rower był jego największą miłością – rzekł Nick, niezupełnie pewien, czy jest to żart, czy może bolesna prawda. – Dobrze sprawę obmyślił.

– Z tymi się chyba nie spotkał, bo są przekreślone.

– Jest nawet jakaś kobieta – powiedziała Gemma.

Nick zaczął przeglądać listy. Był świadom, że nie ma to najmniejszego sensu, lecz czuł się zmuszony uczynić zadość naleganiom Rosemary, która, jak się już zorientował, chciała koniecznie wyegzekwować na nim ten przykry obowiązek. Wprawdzie nie musiał czytać wszystkiego w całości, lecz dwa pierwsze listy przykuły jego uwagę – jako miłosne podchody nieznanymi rywali. Aby ukryć szczerą ciekawość, Nick ospale odął usta i wolno kręcił głową. Dobrze pamiętał treść anonsu Leo i zaznaczony tam szeroki przedział wiekowy: „lat 18-40”. „Cześć! – pisał Sandy z Enfield. – Jestem już po 40, ale natknąłem się na Twój anons i stwierdziłem, że mimo wszystko spróbuję! Pracuję w zwariowanym sklepiku papierniczym!”. Różowym spinaczem przyczepiono do listu zdjęcie przedstawiające solidnie zbudowanego mężczyznę, który musiał mieć już pięćdziesiąt lat. *Dom/Auto* – dopisał Leo. *Wiek?* I nieco później, zapewne już po spotkaniu: *Niedoświadczony*. Z kolei Glenn z Barons Court, „dobiegający trzydziestki” pracownik biura turystycznego, przysłał zrobioną polaroidem fotkę, na której paraduje po swoim mieszkaniu w samych kąpielówkach. „Lubię imprezować – pisał. – (B)analnie: w łóżku!

(Albo na podłodze! Albo na drabince!!)”. *Za ostry?* – zanotował Leo jeszcze przed dokonaniem ważnego odkrycia: *Ma małego kutasa*. „Drogi Przyjacielu – pisał przystojny czarnoskóry Ambrose z Forest Hill. – Podoba mi się Twój anons. Myślę, że moglibyśmy się pokochać”. – Brak było tu wykrzykników, nadających poprzednim listom ton głupawego skrepowania; znak ten pojawił się dopiero po finalnym: „Pokój z Tobą, Bracie!”. *Odpada. Nudziarz* – dopisał Leo, za to Nick, któremu Ambrose się spodobał, podjął dyskretną próbę zapamiętania jego adresu.

Po przeczytaniu każdego listu oddawał go Rosemary, która kładła go na stoliku przy dzbanku z kawą. Pozory udziału w swoistej rozgrywce szybko się ulotniły, bo ta gra rzeczywiście nie miała sensu. Trzymał oto listy mężczyzn, z których każdy pożył jego chłopaka, z których każdy chciał zdobyć to, co w końcu zdobył on sam. Było tam parę odpowiedzi dość bezpośrednich, wręcz natarczywych, lecz nawet one zawierały nutkę niepewnej kokieterii: wszak owi faceci nastawiali na obcego im człowieka, by ten ich polubił, by ich pożył, by zechciał sprawdzić, czy ich autocharakterystyka zgadza się ze stanem faktycznym. Rozpoznał po fotografii jednego z absztyfikantów i westchnął ciężko, ale czym prędzej odchrząknął, wzruszył ramionami i przeszedł do następnego listu. Był to wszędobylski Hiszpan, który przewijał się niczym przemiła czarna nitka przez okres Nickowego chodzenia po siłowniach i nocnych klubach; stanowił wręcz symbol tego środowiska, jego zwyczajów i nałogów. Teraz zapewne już nie żył – Nick widział go rok wcześniej w ośrodku nad stawem i musiał dusić w sobie strach przed kontaktem z tym człowiekiem i zwalczać strach okazywany przez innych. Javier, tak miał na imię. Trzydzieści cztery lata. Pracował w firmie budowlanej, a mieszkał w West Hampstead. Każdy z faktów, podanych w miłosnej epistole, wyglądał w tej chwili jak informacja z nekrologu.

Nick przerwał lekturę, wypił łyk kawy i spytał, czy Leo długo chorował?

– W listopadzie miał zapalenie płuc, które prawie go zabiło, ale jakoś się z tego wykaraskał. A wiosną było już z nim bardzo źle. Dziesięć ostatnich dni przeleżał w szpitalu.

– Oślepl, prawda? – odezwała się Gemma tonem, którym ludzie przypominają sobie wzajemnie o zdarzeniach, nie mogąc ich ani zaakceptować, ani usunąć z pamięci.

– Biedny Leo – powiedział Nick. Poczuł, że dobrze się stało, iż nie musiał oglądać tego na własne oczy, choć z drugiej strony żałował, że jego obecność w szpitalu uznano za niepożądaną.

– Masz zdjęcia? – spytała Gemma.

– Jeżeli chcesz obejrzeć... – odparła po chwili Rosemary, zwracając się do Nicka.

– Sam nie wiem – odrzekł Nick, zakłopotany. Stanął w obliczu trudnego wyzwania. A potem, po chwili, bezbrinnie już i bezwładnie, tak jak na pierwszej randce z Leo, uznał, że taka po prostu jest kolej rzeczy. Sięgnął po kopertę ze zdjęciami i zaczął je przeglądać.

– Możesz zatrzymać jedno z nich, jeśli chcesz – powiedziała Rosemary, odbierając zdjęcia.

– Nie. Nie, dziękuję.

Twarz mu stężała. Siedział bez ruchu, wpatrując się w swoją filiżankę.

Po chwili znowu odezwała się Gemma: – To jest kawa po turecku, prawda?

– Smakuje? – zapytał Nick. – To kawa Kenia. Odmiana mocna, średnio palona... Kupiłem ją u Myers'a na Kensington Church Street. Tam mają własnych dostawców. Trzeba wysupłać trochę grosza, ale myślę, że warto.

– Mmm... Jest pyszna. Bardzo mocna – powiedziała Gemma.

– Wolę już nie przeglądać pozostałych listów – rzekł Nick.

Rosemary kiwnęła głową. – Okej. – Jakby ustalili, że Nick zajmie się tym w trakcie jej kolejnej wizyty. – Mogę zostawić je u ciebie...

– Nie, proszę, nie – powiedział Nick. Czuł, że nagle i niespodziewanie został poddany dużej presji, jak gdyby Rosemary przeprowadzała eksperyment na jego emocjach.

Gemma poszła do toalety; zatrzymała się jeszcze przy drzwiach, wymrukując pod nosem wskazówki Nicka, po czym niemalże wbiegła do środka, jakby zobaczyła tam przyjaciółkę. Między Nickiem a Rosemary zapadło głucho milczenie. Potworność tego, co się stało, mogła rzecz jasna usprawiedliwić wszelkie zachowania, lecz zagadkowa oschłość Rosemary stanowiła dla Nicka kolejny szok, któremu musiał stawić czoło. Była to przecież siostra jego kochanka, toteż automatycznie traktował ją jak kogoś bliskiego i spontanicznie darzył sympatią i szczerym współczuciem, wykraczającym poza zwyczajowe normy dobrego wychowania. W drugą jednakże stronę proces ten wydawał się nie zachodzić. Nick uśmiechnął się nieśmiało. Między rodzeństwem występowało tak

duże podobieństwo fizyczne, że mógłby w tej chwili równie dobrze prosić uśmiechem Leo, by ten był dla niego miły po zakończonej właśnie sprzeczce. Ona wszakże postanowiła unikać czułych tonów, nawet w stosunku do brata.

– Więc nie widywałeś się z nim przez parę ostatnich lat? – spytała.

– To prawda...

Patrzyła na Nicka ostrożnie, jak gdyby dopiero w tym momencie przyjęła do wiadomości jego homoseksualną więź z Leo i zachodziła w głowę, co z tego może wyniknąć. – Tęskniłeś za nim?

– Tak... Tęskniłem. Oczywiście.

– Pamiętasz, kiedy widzieliście się po raz ostatni?

– Tak. – Nick wlepił wzrok w podłogę. Każde z tych pytań tyczyło spraw intymnych, ale Rosemary zadawała je tonem zupełnie beznamiętnym, prawie znużonym. – To wszystko było bardzo trudne.

– Nie sporządził testamentu – rzekła Rosemary.

– No... w końcu był jeszcze młody! – odparł Nick, marszcząc brwi. Czuł, że jest znowu bliski płaczu. Przeraziła go myśl że Rosemary da mu jakiś przedmiot, który wcześniej należał do Leo. Była oschła i chłodna rzecz jasna tylko dlatego, że sama to wszystko mocno przeżywała.

– Skremowaliśmy go – powiedziała. – Sam na pewno by tego chciał. Ale woleliśmy nie pytać.

– Mhm – rzekł Nick i rozplakał się na dobre.

Potem wróciła Gemma. – Musisz koniecznie zobaczyć tę toaletę – zwróciła się do przyjaciółki, ta zaś odpowiedziała jej lojalnym, acz cierpkim uśmiechem. – Chyba że to fotomontaż?

– Nie! – odparł Nick. – Nie... Obawiam się, że to zdjęcie jest autentyczne. – Ucieszył się taką absurdalną zmianą tematu.

– Tam wisi zdjęcie, na którym on tańczy z Maggie!

Była to jedna z fotografii wykonanych w trakcie srebrnego wesela Feddenów: zaczerwieniony Nick wytrzeszcza oczy, a pani premier kieruje w obiektyw dyplomatyczne spojrzenie, którego Nick wtedy wcale nie zauważył. Bał się, że Gemma nie doceni autoironii, z jaką urządził w toalecie tę szczególną galerię. Pomysł podpatrzył przed laty w domach przyjaciół kończących prywatne licea. – Znasz ją osobiście? – spytała Gemma.

– Nie, nie – odrzekł Nick. – Po prostu upiłem się na przyjęciu... – Jak gdyby coś takiego mogło przydarzyć się każdemu.

– Dobra, dobra... I pewnie na nią głosowałeś, co? – dopytywała się Gemma.

– Nie – odparł Nick surowszym już głosem i zwrócił się do Rosemary, która nie zdradzała zainteresowania tą wymianą zdań: – Obiecałem waszej matce, że powiem jej, jeśli poznam osobiście panią premier.

– Tak...?

Uśmiechnął się niespokojnie. – A jak ona sobie z tym wszystkim radzi?

– Przecież pamiętasz, jaka jest – odrzekła Rosemary.

– Napiszę do niej – powiedział Nick. – Albo po prostu do was podjadę. – Stała mu przed oczami: ona sama, jej religijne broszurki, leżący na krześle kapelusik... Miał poczucie, że przed laty jego wdzięk nie zrobił na niej żadnego wrażenia, i stwierdził, że teraz będzie musiał dobyć z siebie więcej uroku osobistego. – Na pewno cudownie to wszystko zniosła.

Rosemary spojrzała na niego ponuro. Wstała i zaczęła pakować zdjęcia do torebki. – Już wcześniej użyłeś tego słowa, prawda? – powiedziała. – Kiedy nas odwiedziłeś.

– Nie rozumiem...

– Leo powiedział nam, że twoim zdaniem jesteśmy cudowne.

– Naprawdę użyłem tego słowa? – Pamiętał to aż do bólu. – No cóż... Chyba was nie obraziłem. – Nie wiedział, czy Rosemary go oskarża. Wyczuwał, że obwinia się go o wszystko. Obie kobiety pragnęły zrzucić winę na niego, a ponieważ im się to nie udało, okazywały teraz irytację. – Nie wiedziała, że Leo jest gejem, prawda? Mówiła, że chce zobaczyć go przed ołtarzem.

– No i dopięła swego. – Rosemary roześmiała się szorstko, jakby osobą obwinianą była tym razem jej matka. – W pewnym sensie.

– Dowiedzieć się w taki sposób... To straszne.

– Ona tego nie akceptuje.

– Nie akceptuje śmierci...

– Nie przyjmuje do wiadomości tego, że jej syn był gejem. To grzech śmiertelny, jak ci pewnie wiadomo. – Jamajski akcent Rosemary brzmiał sarkastycznie. – A przecież jej syn nie był grzesznikiem.

– Nie znam się za bardzo na grzechach – powiedział Nick tonem, którego żadna z nich nie podchwyciła.

– Najgorsze są te śmiertelne – wyjaśniła Gemma.

– Ale przynajmniej nie uważa AIDS za karę boską.

– Chyba uważa – rzekła Rosemary. – Ale Leo zaraził się w pracy, w toalecie, na desce klozetowej, na której siada tyłu bezbożnych socjalistów. To oczywiste.

– Albo zaraził się, jedząc kanapkę – dodała Gemma.

Ich kpiny wydawały się nie na miejscu, Nick próbował wyobrazić sobie ten dom, tętniący poczuciem winy i wzajemnymi oskarżeniami, bezradną surowością pograżonych w żalobie kobiet... Sam już nic wiedział, co o tym myśleć.

– Ale on dalej jej towarzyszy.

– Nie rozumiem.

– Ma jego prochy w słoiku, który postawiła na gzymsie kominka. Nick był tak zdumiony i wstrząśnięty tą informacją, że wykrzyknął niezbyt mądrze: – Tak, pamiętam! Kominek gazowy, a nad nim półeczka z figurkami Jezusa, Maryi i innych...

– Stoi tam Jezus, Maryja i święty Antoni Padewski. I... Leo.

– No, jest w doborowym towarzystwie! – zauważył Nick.

– To prawda – rzekła Gemma, kręcąc głową i śmiejąc się ponuro. – Mnie to przeraża. Nie mogę na to patrzeć.

– A matka mówi, że dzięki temu czuje jego obecność – powiedziała Rosemary.

Nick poczuł ciarki na plecach. – Chyba nie można odmawiać jej prawa do takich marzeń w obliczu śmierci syna – rzekł.

– Takie marzenia wcale jej nie pomagają – odpowiedziała Rosemary.

– Ale pomagają nam, prawda, słonko? – zwróciła się do niej Gemma i energicznie pogłaskała przyjaciółkę po plecach.

Rosemary przymknęła oczy, zupełnie jak jej matka, po której odziedziczyła zapewne swój upór. – Nie akceptowała tego u Leo i nie akceptuje tego u nas. – Co powiedziawszy, przerzuciła przez ramię torebkę i ruszyła w stronę drzwi.

Nick zarumienił się ze wstydu, że sam tego nie odgadł, po czym przeraził się, że obie kobiety mogą pomyśleć, iż czerwieni się z ich powodu.

Gdy wyszły, Nick wrócił na górę. Dalej czuł na sobie ciężar okrutnych nowin, przez co mieszkanie Waniego wydawało mu się bardziej niż zwykle tandetne i pretensjonalne.

Zdumiał się na myśl, że spędził tu tyle szczęśliwych chwil, napawających go potem wielką dumą. Lambreki i lustra, punktowe światła i okiennice – wszystko zasługiwało tu na krytykę. Tak to jest, jak się ma miliony funtów, nie posiadając krztyny dobrego smaku: człowiek urządza własny dom na podobieństwo kiczowatych hoteli, tak jak owe hotele schlebiają swoim klientom, wzorując swoje wulgarne wnętrza na ich luksusowych domach. Przed rokiem ten apartament miał w sobie przynajmniej urok świeżości, a teraz widać było w nim jedynie ślady po bogatym chłopcu, który postradał umiejętność dbania o siebie. Powłoczki poduszek na sofie wytarty się niemiłosiernie w miejscach, gdzie Wani siadywał, aby półleżąc, oglądać przez długie godziny filmy na wideo. Szkarłatny adamaszek był poplamiony wydzielinami zarówno Waniego, jak i wielu innych chłopców. Ciekawe, czy spowita w czerni Gemma zauważyła cokolwiek, kiedy siedziała dokładnie w tym miejscu, rzucając swoje irytująco kretyńskie uwagi. Zapaskudzone poduszki doprowadzały Nicka do szału. Na georgiańskim biurku widniały ślady po szklankach i kieliszkach tudzież wykonane żyłką rysy, które nawet optymista Don Guest uznałby za trudne do ukrycia. – Operacja kosmetyczna na nic się tu nie zda – mawiał ojciec w takich przypadkach. Wodząc palcami po tych nacięciach, Nick wzdychał i prawie jęczał z żalu.

Potem usiadł na kanapie i zaczął czytać „Daily Telegraph”, jakby w tej chwili to właśnie należało uczynić. Miał już dość tematu wyborów, lecz ekscytowała go myśl, że odbywają się akurat dzisiaj. Dla niego w tej imprezie było coś prymitywnie podniosłego. Słowa Rosemary: „Mój brat zmarł trzy tygodnie temu” ciągle brzęczały mu w głowie głucho i donośnie, nakładając się na siebie w jakimś szaleńczym biegu, a jego serce dudniło w ich rytmie. Przejmowała go lękiem myśl o prochach kochanka, spoczywających w jego własnym domu, i to bynajmniej nie w rokokowej umie, która ciągle stawała mu przed oczami. Ostatnie zdjęcie, jakie pokazała mu Rosemary, było naprawdę straszne: Leo żegnający się z życiem. Nick przypomniał sobie ich wspólne żarty z początkowego okresu znajomości, okresu beztroski i swobody, cechującej pierwszy romans lub pierwszy związek. Przedmiotem tych żartów była ich starość: Leo mający lat sześćdziesiąt, gdy Nick skończy pięćdziesiątkę. I proszę, na tej fotografii, wykonanej tydzień przed śmiercią, Leo istotnie ma – lub miał – sześćdziesiąt lat. Leżał w łóżku, ubrany w błękitną szpitalną piżamę, a na jego niewyraźnej, naznaczonej przez AIDS twarzy malowało się wyczerpanie i strach, z którym Leo zdawał się walczyć ostatkiem sił poprzez niepewny półuśmiech. Jego próżność przerodziła się tutaj w obawę,

że wystraszy ludzi, do których próbuje się uśmiechnąć. Nick nigdy nie widział niczego równie przejmującego.

Pomyślał, że trzeba napisać list. Usiadł przy biurku. Czuł, że powinien pocieszyć matkę kochanką, że jest jej to winien. Za sprawą uczuć do własnej matki, która jako jedyna szczerze cierpiała z powodu jego homoseksualizmu, uznał, że musi dodać otuchy pani Charles, że musi podtrzymać ją na duchu. „Droga Pani Charles – zaczął. – Z ogromną przykrością dowiedziałem się o śmierci Leo”. Zawahał się, pisząc te słowa, lecz doprowadził zdanie do końca. Poczul, że może lepiej, może subtelniej i taktowniej byłoby nie wspominać o śmierci. „Smutna wiadomość”? „Smutne wydarzenie”? „Śmierć Leo” – to brzmiało brutalnie. A potem zaniepokoił się, że „z ogromną przykrością” zabrzmiał w jej oczach obłudnie, jak wcześniej nazwanie jej cudowną. Wiedział, że sposób, w jaki komunikuje innym prawdę, bywa czasami odbierany jako nieszczerłość. Ogarnął go strach przed tą kobietą w żałobie, doświadczającą teraz sobie tylko znanych emocji. Może przyjęła to wszystko na swój specyficzny sposób, z typową dla niej pogodną religijnością. Wyobrażał sobie, jak czyta jego list, jakie wrażenie robi na niej dobór słów i wytworny charakter pisma. Potem zaś wyobraził sobie coś przeciwnego: że czyta ten list nieufnie. Zrozumiał, że musi w sobie powściągnąć tendencję do estetyzowania. Niby zajmował się stylem, a jednak... Wyjrzał przez okno i po chwili ujrzał zdanie, którym Henry James opisał śmierć Poego. Jak to było dokładnie? „Nateżenie owej nieobecności przywiodło go do zguby”. Słowa te, wcześniej dziwaczne, ba, nawet zabawne, stały się nagle przerażająco głębokie, mądre, konkretne. Uświadomił sobie, że ich autor przez całe życie stykał się ze śmiercią. I Nick ujrzał siebie, jak nie dalej niż za pół roku siada przy biurku, by skomponować kolejny, podobny list, adresowany do mieszkańców Lowndes Square.

Po powrocie do Kensington Park Gardens Nick długo odkładał moment, w którym będzie musiał powiedzieć Catherine o śmierci Leo. Wydawało mu się, że ma tę wiadomość wypisaną na twarzy, że jest pobladłym żałobnikiem, który całym sobą przekazuje wieści z zaświatów. Jego westchnienia były dłuższe niż zwykle, a przeciągłe spojrzenia powinny skłaniać do pytań. Po dziesięciu minutach uznał jednak, że Catherine niczego nie spostrzegła. Siedziała w fotelu, otoczona gazetami; na stoliku obok niej stały niedopite szklanki wody i kubki kawy. Gdy Nick spojrzął na nią od tyłu, wyglądała na równie drobną i bezbronną, jak chore dziecko. Uniosła wzrok i siląc się na w miarę beztroski ton, powiedziała: – Cześć, Nick. Po wiadomościach będzie *Wieczór wyborczy* – jak gdyby stwierdzenie tego faktu wymagało od niej wielkiej mobilizacji sił, jak gdyby samo w sobie stanowiło to pomyślną wiadomość.

– Świetnie, kochana – rzekł Nick. – Świetnie. Obejrzymy to razem. – Rozejrzał się po salonie, żeby ocenić sytuację i zdecydować, które z nich wedle wspólnego im rytuału powinno teraz podzielić się z drugim doznany właśnie nieszczęściem. – Hm... Tak... Okej. – Nie wypadało chyba mówić jej w tej chwili o śmierci. Z drugiej strony każda nowina ma swoją datę ważności i jeśli nie zostanie wypowiedziana w porę, może stracić na świeżości i okazać się niezdatna do zakomunikowania.

Poszedł do swojego pokoju, przytłoczony nieco brzemieniem, jakim zawsze był dla niego kiepski nastrój Catherine. Niełatwo się żyło z osobą pogrążoną w takiej beznadziei i wykazującej tak negatywny stosunek do rzeczywistości; tym bardziej że znało się ją też od innej strony: jako dziewczynę przytomnie krytyczną i obdarzoną poczuciem humoru. Czasami własne problemy sprawiały przez to wrażenie błahych, czasem zaś urastały do jeszcze większych rozmiarów, bo trzeba było na domiar złego zdobyć się na kłopotliwe pocieszenie. Nick pożyczył od Rachel książkę *Na górskich ścieżkach: Psychoza maniakalno-depresyjna w praktyce klinicznej*. Autorem owego dzieła był lekarz

opiekujący się Catherine, niejaki doktor Edelman. Czytając, Nick ubolewał nad stylem tej książki i poprawiał błędy gramatyczne doktora, aby odpędzić od siebie przesądne obawy, które książka w nim wzbudziła: bał się otóż, że znając symptomy tej choroby, dopatry się ich u siebie. Tak czy inaczej, objawy te zdawały się występować u większości znanych mu ludzi odznaczających się chwiejną psychiką, porywczych i ospałych na przemian.

Z książki tej dowiedział się Nick wielu ciekawych rzeczy, ale zarazem wzmogła w nim ona niepewność co do tajemniczego miejsca, w którym przebywa Catherine, gdy na nią patrzy, gdy z nią rozmawia; nie był to zapewne czarny błyszczący krajobraz jej dawnych depresji, tylko terytorium nienaniesione jeszcze na mapy i kontrolowane przez silną dawkę litu. Nie miała siły i przekonania, by mu to miejsce opisać. Mówiła, że nie potrafi skupić się na książce, nawet na krótkim artykule. Czasami ożywiła się jak kiedyś, lecz jej obecna aktywność stanowiła jedynie cień dawnego „ja”, które obserwowała w zdumieniu i ze swoistym rozrzewnieniem. Najczęściej siedziała i czekała, choć trudno powiedzieć na co. Nick zauważył, że odnosi się do niej z wymuszoną, koszmarną wręcz pogodą ducha, jak gdyby zwracał się do przygłuchej staruszki. Koszmar zaś był tym większy, że Catherine bynajmniej się przeciw temu nie buntowała.

Tego wieczoru często dzwonił telefon. Najpierw matka Nicka opowiadała mu żywo o wyborach, które dały jej pretekst do kontaktu z synem. Na jej słowa reagował chłodno i oschle; uzmysłowił sobie, że ma jej za złe niezajomość faktu, którego nie umiał jej przekazać. Nigdy nie słyszała o Leo, a gdyby Nick mimo wszystko spróbował powiedzieć jej o kochanku, zapanowałoby między nimi nieprzyjemne napięcie. Zdała relację z występu Geralda w lokalnej rozgłośni radiowej, jak gdyby Nick naprawdę miał ochotę słuchać pochwał pod adresem swojego gospodarza. – Mówił, że za publiczne pieniądze nie powinno się wspierać tych wszystkich, no wiesz, lesbijek. – To ostatnie słowo wypowiedziała ze świadomością, na jak wielką zdobywa się śmiałość. Potem na drugiej linii odezwał się Gerald i matka czym prędzej odłożyła słuchawkę, jakby przyłapano ją na gorącym uczynku. – Wszystko gra? – zaczął Gerald wesołym głosem, choć najwyraźniej wolał mówić o sobie. Przed nim był długi i trudny wieczór; czekając na wyniki, tracił dużo ze swej pewności siebie, a nawet domagał się współczucia, jak gdyby ogłoszono już jego porażkę. – Jak przemówienie? – zapytał Nick. – Łyknęli wszystko – odparł Gerald. – Tyle że ja nie mogę tu przełknąć ani kęsa. Co takiego? Boże, te hotele na prowincji... – Nick najchętniej by go ukarał i zwierzył się ze swego problemu, bo przecież Gerald poznał

Leo i nie okazywał mu antypatii. Wiedział jednak, że to nie ma sensu: był to zły moment w niewłaściwym tygodniu, a i śmierć chyba nie ta, co trzeba.

Elena przyrządziła cannelloni, które Nick i Catherine zjedli w kuchni pod rodzinną galerią zdjęć i rysunków, sięgającą już drzwi do spiżarni, a nawet nieco dalej – gdzie dumnie zawisła najnowsza karykatura Geralda. Nie został on jeszcze uhonorowany kukielką w programie *Spitting Image*²⁵ i liczył, że po wyborze na kolejną kadencję doczeka się wreszcie tego zaszczytu. Jedząc, Catherine wpatrywała się w talerz z wielką niechęcią, jak gdyby zmuszono ją do wykonania czynności pozbawionej jakiegokolwiek sensu. Nick popatrywał to na nią, to na jej wesołą wersję ze zdjęcia, na którym miała sześć lat, o połowę mniej zębów i uśmiech tchnący tak intensywną radością, że serce aż kurczyło się z bólu. Obok wisiała fotka wycięta z „Harper’s”, zrobiona dziesięć lat później, gdy dzieci bogatych ludzi pozowały do zdjęć w strojach wieczorowych; długie białe rękawiczki zasłaniały pierwsze blizny na rękach Catherine. W gruncie rzeczy była to ściana Geralda, a jego żona i dzieci stanowiły jedynie ozdobny dodatek do życia bohatera, ściskającego dłoń wielu słynnym osobom. Jego najświeższą zdobyczą byto zdjęcie z Gorbaczowem, który jednak nie podawał mu ręki, tylko uśmiechał się sztucznie w reakcji na jakiś Geraldowy kalambur, przekładany właśnie z trudem przez tłumacza.

– Pamiętasz, kiedy zrobiono ci to zdjęcie? – zapytał Nick. – Nie – odrzekła Catherine. – Pamiętam tylko samo zdjęcie. – Obejrzała się przez ramię i przepraszająco skuliła głowę, jak gdyby wszystkie te fotografie mogły nagle spaść jej na plecy.

– Mama mówi, że jakaś karykatura Geralda ukazała się w „Northants Standard” – powiedział Nick. – Przyśle ją tutaj jako potencjalną ozdobę kolekcji.

Catherine wpatrywała się w niego nieruchomo. – Nie znam się na karykaturach.

– Przecież uwielbiasz satyrę, kochana; zwłaszcza wtedy, gdy jest wymierzona w Geralda.

– To prawda. Wyobraź sobie, że ludzie tak wyglądają naprawdę... Jak z wodogłowiem. I te potworne zęby Geralda... – Na samą myśl o czymś takim zatrzęsły się jej ręce.

Potem poszli do salonu, gdzie Nick, który też zaczął się nagle trząść, nalał sobie szklanek szkockiej. Siedzieli potem ramię w ramię na kanapie, a otaczała ich ciężka, acz

²⁵ *Spitting Image* – telewizyjny program satyryczny emitowany w latach 1984-1992.

niekrepująca cisza, narzucona obojgu przez Catherine. Nick przypomniał sobie jedyną wizytę Leo w tym pomieszczeniu, kiedy kochanek zaskoczył go, wzruszył i wprowadził w mały niepokój, grając na fortepianie kawalek Mozarta. Obydwaj uraczyli się wtedy szklanką whisky; ten jeden jedyny raz Leo pił przy nim alkohol. Znowu poczuł piękno, świeżość i surowość tamtych czasów, początki życia pod dyktando instynktu, przyjemności, jakimi tętniły ulice, i cały Londyn, falujący w jesiennym chłodzie; wszystko tchnęło urokiem nowości i ryzyka, błyszczało na mrozie i rozgrzanej skórze, szokowało, odnalezione, hołubione, upragnione, to jedno ciało wśród milionów ciał obcych. Poczucie gorszącej oryginalności, polegającej na kochaniu się z mężczyzną, z tygodnia na tydzień traciło na sile, zastępowane przez prozaiczną radość z udanego romansu. Leo raz jeszcze kroczył przez salon, zrazu wyraźny, potem zamazany, niby w krzywym zwierciadle. Tamtego wieczoru, rzucając dokoła ironiczne spojrzenia, Leo zagościł w wysnionej rzeczywistości, dającej Nickowi złudną pewność posiadania na własność zarówno kochanka, jak całego tego domu. Do czego Nick miał przecież prawo – nadane przez zmysł estetyczny i siłę pożądania.

Deszcz ustał, a niebo zdążyło rozjaśnić się na chwilę przed nadejściem zmroku. Przez frontowe okna wpadało niepewnie blade bezbarwne światło, by równie niepewnie się cofnąć i znowu zajrzeć do środka. Nick sformułował w myślach zdania: – Mam strasznie smutną wiadomość. Dowiedziałem się dzisiaj, że zmarł Leo. Pamiętasz chyba... – Słowa te wszakże nie opuściły jego umysłu, zatrzaśnięte w nim szczelnie jak tekst trudnej spowiedzi.

Wsluchiwał się w ptaki w ogrodzie, bardziej niż zwykle koncentrując się na pobrzmiwającym w ich śpiewie tonie protestu i niechętniej uległości. Bezbarwne światło rozmyło się płomieniście na pozłacanych prętach kominkowego rusztu i marmurowych imitacjach winogron nad gzymsem; potem dotarło do toczonych nóg starego drewnianego krzesła, które rozbłysły niczym matę ludziki z brzuskami, kołnierzymi, głowami zdobnymi w klaunowskie kapelusze... Biła od nich jedna stoicka prawda: będą trwać setki lat dłużej aniżeli ta para młodych, wpatrzonych w nie ludzi.

O dziewiątej w dzienniku telewizyjnym mówiło się już o przytłaczającym zwycięstwie torysów. Nick wychylił kolejną szklankę whisky i poczuł z ulgą, jak w dobrze znany mu sposób alkohol wygładza szorstkie krawędzie dnia. Chciał, by okazywano mu szacunek, jaki należy się pograżonym w żałobie, i miał wrażenie, że coś traci, że brakuje

mu nagrody pocieszenia za poniesioną porażkę. Przez moment zastanawiał się nawet, czy nie wciągnąć kreski koki, lecz uświadomił sobie, że nie trzeba mu teraz narkotykowej euforii. Alkohol oddawał stosowny hołd powadze tego wieczoru i przez kilka godzin pośredniczył niejako między wymaganiami żałoby a potrzebami chwili bieżącej.

Wieczór wyborczy jak zwykle włókł się niemiłosiernie. Siedzący w telewizyjnym studiu analitycy i eksperci czekali na wyniki wyborów, by móc je skomentować i przepowiedzieć ciąg dalszy. Nuda czterech minionych tygodni objawiła się tutaj w najczystszej postaci, kiedy zaczęli podsumowywać zakończoną kampanię i snuć prognozy co do wyniku. Padło kilka zwietrzałych aforyzmów, odegrano uświęconą tradycją pantomimę telewizyjną. Połączono się z reporterami tkwiącymi w parunastu prowincjonalnych ratuszach i niemającymi jeszcze nic do powiedzenia. Za ich plecami członkowie komisji wyborczych ścigali się w przeliczaniu głosów, jakby po zakończeniu jednej rywalizacji przyszedł czas na kolejną. Ogłoszenie wyników z Barwick miało nastąpić znacznie później, teraz zaś przez pięć sekund Nick widział wewnątrz ratusza i całkiem znajome postacie przy pracy; potem pokazano filmik z kandydatami w trakcie kampanii. Styl Geralda był zdecydowany i pełen konkretów: kroczył on stanowczo przez rynek, rzucając dokoła swoje „dzień dobry” niczym szef, który przyszedł właśnie do biura i nie słyszy ani słowa z tego, co mówią do niego pracownicy. Z kolei kandydatka Sojuszu wdała się w beznadziejną dyskusję z Tracey Weeks, czyli kobietą – jak kandydatka się ponieważ zorientowała i czego nie chciała przyznać przed kamerą – kobietą niezupełnie zrównoważoną. To smutne, że elektorat z Barwick reprezentowała przed narodem właśnie stara Tracey. Nick zaśmiał się nieszczerze, żeby odciąć się od rodzinnego miasteczka, choć z przyjemnością oglądał je w telewizji. Emanowało klimatem spokojnej prowincji, zdziwionej, lecz nieprzytłoczonej zainteresowaniem, jakim nagle obdarzył ją szeroki świat. Nick znał Barwick od nieco innej strony.

Był na dole, gdy Catherine krzyknęła: – Pokazują Polly’ego! – więc popędził z powrotem na górę, aby oparłszy się o sofę, wlepić wzrok w szefa lokalnej komisji wyborczej. Polly Tompkins startował z Pershore, tradycyjnego bastionu torysów, w którym mimo to niezły wynik w roku 1983 odnotowała SDP²⁶. Jego wygrana nie była więc przesądzona, a Gerald, który bardzo Polly’ego podziwiał, twierdził, że w zwycięstwie

²⁶ SDP – Partia Socjaldemokratyczna.

przeszkodzić mu może wiek. Nick czytał kiedyś artykuł o młodych politykach, z którego wynikało, że na stu pięćdziesięciu kandydatów poniżej trzydziestki jedynie kilku ma szansę dostać się do parlamentu. Stojący w tej chwili na scenie Polly, gruby i klejący się od potu pod swoim dwurzędowym garniturem, wyglądał na dobre czterdzieści pięć lat, jak gdyby żył już swoją poselską przyszłością. Nick nie wiedział, czy życzy mu wygranej. Oglądał spektakl, a jako widz miał prawo być beztruosko okrutny, jak kibic w trakcie pojedynku boksinerskiego. A gdyby tak Polly został powalony na deski? Nick podejrzewał, że kandydaci znają już wynik, bo mogli asystować przy liczeniu głosów; z drugiej strony różnica mogła być bardzo mała i nikt jeszcze niczego nie wiedział. Polly wpatrywał się śmiało w reflektory i w miliony niewidocznych dlań ludzi, którzy kierowali na niego wzrok. Gdy ogłoszono kiepski wynik laburzystów, przez jego twarz przemknął grymas nieczulej litości. Potem przyszedł czas na jego nazwisko: – Tompkins, Paul Frederick Gervase; Partia Konserwatywna – w na wpół wyszeptanym nawiasie – siedemnaście tysięcy dwieście trzydzieści osiem głosów. – Słowo „głosów” zagłuszył triumfalny ryk publiki, który rozległ się tak szybko, że Polly przez moment nie wiedział co się dzieje. Tak to przynajmniej wyglądało. Twarz mu pobladła na kilka sekund, po czym przyłączył się do krzyczących, wyszczerzył zęby w szerokim chłopięcym uśmiechu i uniósł w górę zaciśnięte pięści. Wyglądało to makabrycznie. – Boże – jęknęła apatycznie Catherine, a Nick poczuł, że uśmiecha się smutno, acz z niekłamaną przyjemnością, bo szef komisji wyborczej mówił właśnie, walcząc z napierającym zewsząd hałasem: – Niniejszym ogłaszam, iż rzeczony Paul Frederick Gervase Tompkins został prawomocnie wybrany... – Paul Tompkins – powtórzył za nim reporter tonem, z którego wynikało niezbicie, że nie znał on Polly’ego jako „strasznej ciotuni” w Worcester College. – Zaledwie dwadzieścia osiem lat. – Polly miażdżył właśnie w swoim uścisku dłonie przegranych rywali. Następnie cofnął się o krok i rozejrzał dokoła, niby to zagubiony, napawając się wiewatami, tym pierwszym dreszczem popularności; a potem ruchem ręki przyzwał do siebie stojącą w głębi sceny kobietę. Podeszła do niego, ich ramiona zetknęły się ze sobą, a palce rąk splotły niepewnie; następnie Polly energicznym ruchem wyrzucił w górę ich złączone dłonie. – To wielki wieczór również dla żony Paula Tompkinsa – mówił komentator. – Pobrali się w ubiegłym miesiącu... Morgan Stevens, ozdoba centrali Partii Konserwatywnej... Pracowała niestrudzenie nad sukcesem małżonka... Polly dalej potrzasał niezgrabnie ich złączonymi w górze dłońmi, klapy marynarki ocierały mu się o

policzki, a w jego twarzy było coś, czego nie potrafił ukryć, coś głębszego niż pogarda: szaleńcza wiara w siebie. Powinien już wygłosić swą mowę, ale wolał jeszcze podelektować się aplauzem, przez co robił z siebie pajaca. Wysunął się krok do przodu, nie wypuszczając dłoni Morgan, po czym cofnął się szybko i pocałował żonę – jednak wcale nie jak żonę, tylko jak ciocię na imieninach. Ledwie zdążył wymówić dwa słowa, a na ekranie telewizora pojawili się znów komentatorzy w studiu.

– Czy Morgan naprawdę jest kobietą? – spytała Catherine.

– Dobre pytanie – odrzekł Nick. – Chyba tak.

– Morgan to imię męskie.

– No, była wszak Morgan Le Fay, słynna czarodziejka...

– Serio?

– Tak czy inaczej, Morgan jest żoną mężczyzny imieniem Polly, więc wszystko jest w najlepszym porządku.

Wyniki spływały teraz tak szybko, że nie ogłaszano już osobno wygranej poszczególnych kandydatów. „Przytłaczające zwycięstwo” Partii Konserwatywnej przybierało konkretny kształt w postaci zawrotnie rosnących wykresów. – Myślałam, że to poprzednio wygrali przytłaczająco – powiedziała Catherine. – Mieliśmy nawet książkę na ten temat: *Torysi jak lawina*.

– To prawda – rzekł Nick.

Wpatrywała się w ekran, z którego zniknęły wreszcie tabelki, wykresy i diagramy. – Ale przecież niewiele się zmieniło. Laburzyści mają o dwa mandaty więcej. Jakaż to lawina?

– Niby tak... – odparł Nick.

– Lawina to katastrofa. – Głos Catherine był prawie płaczliwy.

– Wielu ludzi może umrzeć.

Nick zrozumiał, że rozkojarzona Catherine myśli już o dosłownym znaczeniu tego wyrazu.

– W polityce ziemia obsunęła się nam parę lat temu – powiedział, aby zaznaczyć metaforę. – I chyba tak już zostanie.

Pół godziny później, gdy znowu połączono się z Barwick, w studiu zapanowało małe poruszenie, jak gdyby wszyscy wiedzieli, że teraz wydarzy się coś ciekawego. Nick i Catherine pochyliłi się do przodu. – Witamy w Barwick – powiedział młody brodaty

reporter. – Znajdujemy się we wspaniałym ratuszu, zbudowanym przez sir Christophera Wrena. (– Wcale nie – mruknął Nick). Za minutę nastąpi ogłoszenie wyników. Od ostatnich wyborów posłem z Barwick jest, jak wiadomo, Gerald Fedden... sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych... człowiek bardzo niezależny... być może w kolejnym rządzie otrzyma tekę ministra... w roku 1983 wygrał różnicą ponad ośmiu tysięcy głosów, ale tym razem prognozuje się duży wzrost notowań Sojuszu, który reprezentuje bardzo tu popularna Muriel Day... – Kamera pokazała trzech głównych kandydatów: Gerald jak gdyby nigdy nic przekomarzał się z pracownikami swojego małego sztabu, Muriel ćwiczyła już pełen godności uśmiech osoby pokonanej w rywalizacji, a laburzysta, łudzący się jeszcze co do rezultatu, przeglądał szybko trzy stronicowy tekst przemówienia.

Nick ze śmiechem zanurzył się znowu w kanapie, chcąc zmienić grobowy nastrój. Patrząc na ekran, czuł na sobie dziwną odpowiedzialność, jak gdyby miasto, z którego pochodził, i sala w ratuszu, którą sam kiedyś jako dziecko mierzył i rysował, miało za chwilę zdecydować o losach domu, w którym mieszkał obecnie. Było to uczucie kłopotliwe, lecz silniejsze od niego. Ludzie ze sztabów partyjnych ustawiali się już do kamery w oczekiwaniu na werdykt, a komisja wyborcza jeszcze coś ustalała. Następnie wyniesiono stoliki i metalowe urny; był to teatr bez śladu poezji – czynności mechaniczne, automatyczne, rutynowe.

Głos zabrał staruszek Arthur State, jak zwykle wolno cedzący słowa: – Ja, Arthur Henry State, jako przewodniczący komisji wyborczej w okręgu Barwick, hrabstwo Northamptonshire... – I dorzucił, rzecz jasna, jeszcze kilka oficjalnych formułek. Nick spojrzał kątem oka na Catherine, która wpatrywała się w ojca, stojącego na scenie za deklamującym wciąż Arthurem. Wyglądała na wyczerpaną widokiem człowieka, który w sposób dla niej niezrozumiały bez przerwy ingeruje w jej życie. Była też jednak podekscytowana: nie mogła wprowadzić nic zrobić, lecz tego wieczoru działały inne moce. Coś mogło się wydarzyć. Kandydat laburzystów nazywał się Brown, więc jego wynik został odczytany na samym początku; dostał osiem tysięcy trzysta dwadzieścia jeden głosów („o trzy tysiące więcej niż poprzednio”) i zgotowano mu teraz niechętny aplauz. Następna była Muriel Day, która poprawiła rezultat swojej partii sprzed kilku lat o dwa i pół tysiąca głosów, zyskując poparcie jedenastu tysięcy pięciuset siedmiu wyborców. Aplauz przyjęła z pełnym wdzięczności, acz nieco roztargnionym uśmiechem; musiała

niemalże uciszyć swych zwolenników, by Arthur mógł doprowadzić rzecz do końca, a wymagał on zupełnej ciszy i rozpoczynał na nowo każde przerwane zdanie. Jej wynik był całkiem przyzwoity, toteż dobrze znany Nickowi, sztuczny i protekcyjny uśmiech Geralda ukrywał zapewne pospiesznie czynione kalkulacje. Napięcie wzmogło się, gdy odczytywano wynik trudnego do przecenienia, choć przeoczonego tu wcześniej jakimś cudem Ethelreda Egga ze Strasznej Partii Szalonych Wariatów; dostał co prawda zaledwie trzydzieści jeden głosów, lecz wydawało się, że cały ratusz wypełniony jest jego sympatykami. Zerwał z głowy zielony cylinder i machając nim, tańczył przez chwilę na scenie w swoim klaunowskim kostiumie. Wydawało się, że jest nawet odrobinę podobny do Geralda, którego biały kołnierzyk i różowy krawat skrywała niebieska rozetka z licznymi tasiemkami oraz wysuwająca się z górnej kieszeni chusteczka. – Oj, przegraj, przegraj... – mruzczała Catherine. – Fedden – rzekł Arthur State – Gerald John (Partia Konserwatywna)... – Ktoś zadął w trąbkę, więc Arthur zaczął od nowa, osobiście akcentując drugie imię kandydata. – Jedenaście tysięcy osiemset dziewięćdziesiąt trzy. – Gerald wyszczerzył zęby w uśmiechu i zarumienił się na moment, bo pewnie pomyślał, że mimo wszystko przegrał ten wyścig. Ale potem rozległy się wiwaty, dość zresztą zabawne, bo przeplatane donośnym buczeniem, niechętnym szczęściarzowi, któremu znowu coś się fuksem udało.

Nick napełnił swoją szklankę i wyszedł na balkon, gdzie orzeźwiło go zaskakująco chłodne powietrze. Dramatyczne zwycięstwo tak małą różnicą głosów stawiało Geralda w kłopotliwej sytuacji; kłopot miał również Nick, który nie wiedział, jak się zachować, gdy poseł wróci do domu. Gratulacje mogą brzmieć sarkastycznie albo razić niestosowną w tej sytuacji radością; nawet Gerald wyczuje coś takiego. Mimo to został przecież ponownie wybrany i mógł dalej realizować swoje zamierzenia. Przez chwilę jego błyszczący uśmiech szybował ponad ciemnymi drzewami, by rozwiać się i zniknąć, jak każda efemeryczna wiadomość w telewizji. Drzewa z wolna nabierały ostrzejszych konturów za sprawą palących się w oknach świateł i odbijających światło nocnych chmur. Nick uwielbiał ogrody miejskie. Kiedy przechodził przez bramę dzielącą owe ogrody od domu Feddenów, zawsze unosił wzrok i wodził nim w obie strony, jak gdyby rosłe platany i białe stiuki na ścianach ucieleśniały jego życiową pomyślność. Miał ochotę tam teraz pójść, ale siąpił drobny deszczyk i zrobiło się naprawdę chłodno. Pośpiech nie był jednak potrzebny, bo czekało go jeszcze kilka cudownych letnich miesięcy.

Przypomniał sobie ów wieczór nerwów i cieni, kiedy na swojej pierwszej randce przyprowadził tu Leo. Wraciał myślami do innych mężczyzn, których rok wcześniej prowadził tą samą piaszczystą ścieżką za szopą ogrodnika... Był to swoisty trik Nicka, stosowany przezeń śmiało i pewnie, trik, który z czasem stracił nieco na uroku i nie przyprawiał już o dreszczyk ryzyka. Bez drinków, bez prysznic, bez form towarzyskich, samo zaspokojenie. I o to właśnie chodziło. Chociaż był to może zarazem sekretny hołd dla Leo i każdą z tych nieostrożnych schadzek Nick składał cześć pamięci przyjaciela. Leo nie wiedział, jak intensywnie Nick wyobrażał sobie jego postać, zanim jeszcze się spotkali; nie wiedział, jak pierwszy pocałunek, pierwszy kontakt z jego ciałem podziałał na chłopca, który wcześniej żył tylko tworam i własnego umysłu. Leo nie miał zbyt bujnej wyobraźni i na tym po części polegał jego urok. Był jednak genialny, jeśli chodzi o Nicka, którego życie zaczęło się w pewnym sensie od tego dużego czerwonego V.

Potrząsnął trzymaną w dłoni szklanką z whisky i zadrżał. Był w nastroju sprzyjającym oddawaniu czci i puszczaniu w niepamięć zaznanych krzywd. Bo i jak tu nie wybaczyć umarłym? Sam zresztą też wybaczenia potrzebował, lecz marszcząc czoło, odpędził tę myśl od siebie. Kiedy Rosemary zapytała go o ostatnie spotkanie z Leo, Nick znowu ujrzał ponure rozstanie na Oxford Street. Gęsty ślepy tłum, który zwykle osłaniał swym pędem pożegnalne czułości kochanków, tym razem utrudniał sprawę. Leo odjeżdżał wolno na swoim rowerze; odczekał jeszcze na zielone światło i po chwili zniknął za rogiem, nie obejrzawszy się za siebie. Tłum niemalże ukrył to, co Nick próbował sobie teraz przypomnieć: to ostatnie z kilku rozpaczliwych pożegnań, które wcale nie miało znamion ostatecznego rozstania. Przez kilka kolejnych tygodni odtwarzał w myślach tę tak przecież zwyczajną sekwencję zdarzeń, aby nadać jej sens, jaki okazała się w końcu posiadać. Bo w tamtej chwili była to tylko niecierpliwa ucieczka, chęć szybkiego zniknięcia w tłumie.

Później, całkiem niedawno, trzy, może cztery miesiące temu, pewnego deszczowego wieczoru w lutym, wydarzyło się coś, o czym nie przypomniał sobie dzisiejszego poranka. Wani był już chyba w Paryżu, a Nick pojechał do pubu w Shaftesbury na impulsywny podryw, z rozpalonym sercem w piersi, z rozognionymi udami. Wszedł od tyłu przez mały barek, oświetlony przez lampy gazowe, tchnący przyjazną atmosferą i oferujący szybszą obsługę. Przepychając się przez tłum, zauważył kilku znajomych, a gdy czekał potem na barmana, upatrzył sobie odwróconego do niego tyłem niewysokiego

czarnoskórego mężczyznę w wełnianej czapeczce, który rozmawiał z jakimś białym facetem w średnim wieku. Patrząc na jego odstające w pasie luźne džinsy i fragment niebieskich slipów, niespodziewanie przypomniał sobie o Leo, o zakrzywieniu jego pleców, o jego pełnych pośladkach. To podobieństwo go rozrzewniło, nie wywołując jednak burzy uczuć; było jak ciepły uśmiech losu, miast zmrozić poczuciem straty. Nick cieszył się, że właśnie tak to odebrał. Wodził uważnie wzrokiem po znajdującym się za stoiskiem barmanów dużym pomieszczeniu głównym, tętniącym setkami możliwości i promieniującym seksowną aurą miłości własnej. Gość w wełnianej czapeczce był stanowczo za chudy, by pobudzić wyobraźnię Nicka; poza tym wyglądał dziwnie: miał widoczną nawet od tyłu ogromną krzaczastą brodę, czarną, acz siwiejącą już przy uszach. Nick rzucił okiem na jego towarzysza, pochwycił jego spojrzenie i uśmiechnął się doń konspiracyjnie. A potem zamiast piwa zamówił colę z rumem.

Ruszył w głąb sali i spotkał znajomego. Rozmawiając z nim, sprawdzał swój wygląd w jednym z licznych tu luster i zerknął na czarnoskórego mężczyznę w czapeczce, którego twarz zwróciła się w tę samą stronę, aby po chwili znowu skierować się na rozmówcę. Jeszcze przez kilka sekund Nick bawił się nostalgiczną myślą o podobieństwie tego mężczyzny do Leo, aż uświadomił sobie, że jest to Leo w rzeczy samej. Siwiejąca broda skrywała wychudłą twarz, a czapka sięgała pod linię brwi. Nick nie przyjął tego do wiadomości, uznał to za niemożliwe. Odwrócił wzrok, żeby mężczyzna nie pochwycił jego spojrzenia w lustrze, by nie potwierdził szokującego domysłu. A kiedy spojrzał do lustra ponownie, zdołał już sam siebie przekonać, że nie zna tego człowieka. Przepychając się przez tłum, poczłapał do drugiego pomieszczenia. Tam zaś dostrzegł faceta, który spodobał mu się kiedyś w klubie Y, jak również grupkę młodziutkich Francuzów i masę innych mężczyzn, czyniących dokoła dziką wrzawę. Przeciskał się z grzecznym uśmiechem niczym spóźniony i trzeźwy gość przybyły na zwariowaną imprezę. Serce nie tylko rozpałało mu pierś, ale również waliło jak młotem, nie tylko czekało na to, co się wydarzy, lecz również dusiło się od winy i żalu. Odwrócił się instynktownie, odruchowo. Minutę później ten sam instynkt mógł pchnąć go ku Leo. Mimo to zachował się tchórzliwie. Bał się go po prostu. Bał się, że zostanie odtrącony, bał się własnych ponurych domysłów na temat stanu byłego kochanka. Może powinien tam wrócić i sprawdzić, czy się nie pomylił... Rozpromienił się nagle na myśl, że to wcale nie był Leo. Zaczął znowu przedzierać się przez zbiorowisko mężczyzn, których irytowały już chyba

jego wędrówki po sali. Zatrzymał się jednak odważnie przy facecie z Y i pogadał z nim chwilę, dość nieuważnie zresztą. Wiedział, że na lewym pośladku ma on wytatuowanego kolibra, widział go nawet pod prysznicem z całkiem konkretną erekcją, lecz każdy z tych odcisniętych w pamięci obrazów wydawał się teraz pozbawiony znaczenia. Dopił drinka kilkoma szybkimi łykami i zszedł po schodach do toalety. Gdy stojąc przy korytku pisuaru, rozglądał się kątem oka na boki, zauważył, że facet z Y przyszedł tu za nim; stali tak potem w napięciu oczekiwania, mijani przez innych mężczyzn, aż w końcu właściciel tatuażu z kolibrem znacząco skinął głową w stronę pustej kabiny. Nick, niemalże rozdrażniony tą propozycją, powiedział, że jest to zbyt ryzykowne, lecz poczuł też osobliwe wahanie i swoistą wdzięczność. Facet przedstawił się jako Joe i powiedział, że mieszka w Soho, że mogą tam pójść, że to tylko pięć minut na piechotę. Nick w końcu się zgodził. Mimo że odniósł błyskawiczny sukces i miało się spełnić jedno z marzeń, czuł, że to tylko tarcza ochronna i że o satysfakcji mówić tu nie sposób. – Tędy, bocznym wyjściem – powiedział Joe. – Okej – odparł Nick. Gdy wychodzili przez tylną salkę, Nick trzymał rękę na szerokich barach towarzysza, tuląc się wręcz do niego i szukając niewidzącym wzrokiem małej postaci w wełnianej czapeczce, postaci zupełnie Joemu nieznannej, postaci, która była kiedyś jego kochankiem.

– No nie... – powiedział Treat. – Sałatka gejszy!

– Jest naprawdę pyszna – rzekł Nick.

Treat wpatrywał się w niego ponad szklanką z koktajlem, aby przekonać się, czy nie żartuje. – No nie... Bez jaj...

– Co takiego? – zapytał Brad.

– Ależ właśnie z jajami – odparł Nick. – Sałatka gejszy dla gejów z jajami.

– Dla gejów z jajami! – powtórzył Treat z zalotnym wyrzutem.

– Tutaj akurat jaja są kurze – powiedział Nick.

– Muszę spróbować – rzekł Treat.

– Raz się żyje – powiedział Nick.

– Co takiego? – zapytał Brad.

– Treat chce spróbować sałatkę gejszy – wyjaśnił Nick.

– A... A! Rozumiem. Sałatka z gejszy! Dobre!

– No właśnie – powiedział Treat.

Nick uśmiechnął się, rozejrzał po restauracji i z satysfakcją stwierdził, że przy jednym stoliku siedzi dwóch słynnych aktorów, przy innym zaś równie słynna aktorka. Brad Craft i Treat Rush, będący jak dotąd jedynie dwoma muskularnymi spondejami o amerykańskiej proweniencji, okazali się parą łaknącą intensywnego życia towarzyskiego. Brad był istotnie duży i muskularny, przystojny i sympatyczny, choć nieszczerze rozgarnięty. Treat z kolei dużo mówił, był mniej więcej wzrostu Nicka i miał lśniąca blond grzywkę, którą nieustannie poprawiał swoim wąskim małym palcem. Przyjechali tu na wesele Nata Hanmera i zostali w Anglii na cały październik. – (Żeby tylko nie spędzać jesieni w Nowej Anglii – tłumaczył Treat). Wprawdzie mieli dziś rozmawiać o filmie, lecz najwyraźniej w dalszym ciągu bardziej intrygował ich Londyn, toteż bez przerwy zerkali na skwer za restauracją i zadawali dziesiątki niedbałych pytań o mniej

lub bardziej utytułowane osoby. Zadanie pytania im wystarczyło i nie kłopotali się już o odpowiedź, która przecież mogła być nudna. Nick zakładał, że w Gusto na nudę narzekać nie powinni. Widział, jak Treat popatruje na kuchnię, która – oddzielona niebieską ścianą ze szkła – wyglądała jak erotyczny kabaret, pełen uwijających się pod okiem szefa kuchcików.

– Znasz może Juliusa Moneya? – zapytał Brad.

– Miałem okazję go poznać – odparł Nick.

– To znany gość? Duże nazwisko?

– Owszem. Facet ma w Norfolk ogromny dom z czasów Jakuba I i fantastyczną kolekcję obrazów. Swoją drogą, zawsze myślałem, że...

– A co powiesz o Pomonie Brinkley? – zapytał Treat. – Rozmawialiśmy z nią. Co o niej myślisz?

– Nie znam jej – odrzekł Nick.

– Jest świetna – powiedział Treat.

– No... Poznaliśmy też tego całego lorda Johna... Fanshawa? – rzekł Brad. – Mówił, że dobrze cię zna, że jesteś najbardziej uroczym facetem w Londynie!

– Zgadza się – powiedział Treat i znów spojrzał na Nicka badawczo.

– Pomylił mnie chyba z kimś innym – odparł Nick kokieteryjnie, nie zdradzając się, że nigdy o tym lordzie nie słyszał.

– A Nata znasz naprawdę bardzo dobrze, co? – zapytał Treat.

– Ma się rozumieć – odparł Nick pewnym siebie głosem. – Studiowaliśmy razem w Oksfordzie. Ale ostatnio częściej niż Nata widuję jego matkę, która przyjaźni się z moją dobrą znajomą Rachel Fedden. – Czuł, jak to ostatnie nazwisko prosi się słabo o jakikolwiek wyraz uznania.

– Uroczy facet.

– Tak, prze sympatyczny. Miał ostatnio sporo kłopotów.

– Czyżby? – powiedział Treat. – Szkoda, że gość nie jest z branży.

– Hm... – mruknął Nick. – A jak żeście się ze sobą spiknęli?

– Poznaliśmy go w zeszłym roku jesienią. U Rosenheimów, w East Hampton. Właśnie tam poznaliśmy też... Antoine'a.

– I Martinę – dodał Brad.

– Tak, Martine – poprawił go Nick.

– Brad był nim zachwycony – powiedział Treat. Włożył słomkę do ust i zaczął sączyć ze szklanki czerwono brązowy płyn.

– Antoine to cudny facet, tak... – rzekł Brad.

– Nie widzieliście się z nim od tamtego czasu? – Nick miał świadomość, że powinien ich ostrzec, ale nie wiedział, jak zacząć.

– A więc Nat to lord czy coś w tym rodzaju? – zapytał Brad.

– Tak – odparł Nick. – To markiz.

– Dobry Boże! – mruknął pod nosem Treat.

– Markiz... Chirk, tak?

– Chirk to nazwisko rodowe. A tytuł brzmi: Markiz Hanmer.

– Brad...? Patrz, kto tam siedzi!

– A jego stary? Jaki ma tytuł? – dopytywał się Brad, kręcąc głową i wierząc się na swoim krześle.

– Jego ojciec to książę Flintshire. Ja mówię do niego „sir”.

– Treat! Niech mnie... Masz rację! To Betsy!

– Ona musi u mnie zagrać – powiedział Treat. – To świetna aktorka brytyjska.

– Nie wiem, czy uda się wam spotkać z księciem – ciągnął Nick. Był ciekaw, na ile jego ton stał się teraz pretensjonalnie podniosły przez samo użycie tego tytułu. O arystokratkach starał się zawsze mówić sucho i rzeczowo, wstydził się bowiem ojcowskiej kolekcji baronów i hrabiów. – Ja zetknąłem się z nim tylko raz. Książę nigdy nie opuszcza swojego zamku. Jest kaleką.

– Oj, wy Brytole... – powiedział Treat, jedynie w połowie odrywając od Betsy Tilden swoje dziecinnie urzeczzone spojrzenie. Stanowiła dla niego istny cud, a zarazem wyzwanie. Nick podejrzewał, że Treat zaraz do niej podejdzie. Z drugiej strony była przecież za młoda na panią Gereth i zupełnie nieodpowiednia do roli Fledy Vetch. – Jesteście tacy brutalni!

– Nie rozumiem... – rzeki Nick.

– Powiedziałaś właśnie, że facet jest kaleką.

Nick zarumienił się, bo zawsze zakładał, że celem krytyki może być tylko jego snobizm, nie zaś rzekoma „brutalność”. – Przykro mi bardzo, ale książę sam o sobie tak mówi. Nie może chodzić od dziecka. – Zarzut o brak delikatności nieco podciął mu skrzydła; tym bardziej że wycucie w doborze słów było mu w tym momencie wyjątkowo

wręcz potrzebne. Odchrząknął i rzekł: – Muszę wam coś powiedzieć... Ale... Proszę bardzo! – Uniósł dłoń w powitalnym geście, bo przy szatni stał Wani. Podnosząc się z krzesła, usłyszał, jak obaj Amerykanie mruczą do siebie: – Dobry Boże...

Nick podszedł do Waniego z pewnym siebie uśmiechem, ale targany burzą skrywanych emocji: litości, sprzeciwu, gotowości niesienia pomocy i wściekłości, że przyjaciela widzą inni. Kiedy Wani zdejmował kurtkę, jego laska spoczywała w ręce usłużnej szatniarki. – Cześć – powiedział Wani; dał do zrozumienia, że nie czeka na powitalny pocałunek. Odebrał od szatniarki swą elegancką czarną laskę ze srebrną rączką i pokuśtykał po marmurowej posadzce. Nie umiał jeszcze chodzić o lasce i wyglądał z nią jak student szkoły aktorskiej wcielający się w starego człowieka. Laska zresztą zarówno przyciągała do niego uwagę, jak i działała odstręczająco. Najpierw ludzie kierowali na nią wzrok, potem szybko spoglądali gdzie indziej.

Amerykanie podnieśli się z miejsc. Treat przyciskał serwetkę do piersi. – Cześć, Antoine! Super, że jesteś!

– Siemanko! – sapnął Brad jak do starego kumpla. Położył dłoń na plecach Waniego; to samo uczynił stojący z drugiej strony Nick. Wyglądało to tak, jakby mu winszowali jakiejś wygranej, choć przez garnitur czuli pod dłońmi twarde guzki jego kręgosłupa. Wani usiadł, uśmiechając się z powściągliwą kurtuazją, jak gdyby czekało go obecnie rutynowe cotygodniowe spotkanie, którego przebieg i wynik znał już zawczasu. Zapadło milczenie – wszyscy oswajali się z sytuacją. Nick uśmiechnął się do Waniego, ale za sprawą obu Amerykanów ponownie przeżywał dawny szok i wzruszenie chwyciło go za gardło.

– O czym gadacie? – zapytał Wani. Jego głos pobrzmiewał jeszcze większą apatią niż w całym ostatnim okresie, jakby jego właściciel zaznaczał, że nie wolno mu się forsować.

– Tłumaczyłem Bradowi i Treatowi zawilości związane z Chirkami – odparł Nick.

– A, jasne... – rzekł Wani, jakby to była stara zabawna historyjka. – Arystokracja świeżej daty. Dziewiętnasty wiek...

Treat roześmiał się i powiedział: – Dla mnie wystarczy. Starszej mi nie potrzeba.

– Przed katastrofą uchroniła ich Sharon – rzekł Nick. – Sharon, czyli księżna... – Nick przekazał pałeczkę Waniemu, który powiedział:

– Tak... Zbawienna transfuzja octu. – Wszyscy roześmiali się głośno, niby z żartu tyrana. I rzeczywiście w uwadze Waniego była szczypta okrucieństwa, wymierzonego w niego samego, a pośrednio również w rozmówców. – Zamawiamy – powiedział. Gdy wstał i ruchem ręki przyzwał Fabia, Brad i Treat spojrzeli na siebie i przez tych kilka sekund, nie zmieniając wyrazu twarzy, powiedzieli sobie wszystko. Fabio pojawił się natychmiast i jak zwykle zgadywał decyzje gości i chwalił ich trafność, powtarzając za nimi nazwy potraw, aby dokładnie zapisać je w pamięci. Zapewne jedynie Nick wyczuwał gorycz w jego głosie i szybko wybrzmiewającym śmiechu. Brad zapytał o sałatkę gejszy, a Fabio zareagował dyplomatycznym żarcikiem i zebrał ze stolika karty dań, przykładając je do piersi. Nick powiedział, że restauracja świetnie prosperuje, i uśmiechnął się, aby podkreślić swój udział w jej sukcesie, ponieważ Wani i on byli w ubiegłym roku na otwarciu tego lokalu i przychodzili tu regularnie. – Nie możemy narzekać – rzekł Fabio. – Nie, Nick. Nie możemy narzekać. – Przy drugim „narzekać” spojrzął chłodno na Waniego, po czym przeniósł wzrok na nowych gości przy drzwiach, którymi okazali się rzecz jasna Stallardowie. Kiedy po chwili ich witał, cały chłód zniknął i Fabio przeistoczył się znowu w serdecznego kelnera szczebioczącego wesoło z klientami najlepszego sortu. Trudno się dziwić, że poruszyły go zmiany w wyglądzie Waniego, lecz w jego zachowaniu było coś jeszcze: strach i niezadowolenie, jak gdyby Wani przez samą swoją obecność psuł reputację lokalu.

Sophie i Jamie podeszli do ich stolika. Jamie klepnął Waniego po ramieniu, a Sophie, miast pocałować go na przywitanie, jedynie zmarszczyła nosek, nie zbliżając się nawet do chorego przyjaciela. Jamie zagrał niedawno główną rolę w hollywoodzkiej komedii romantycznej o dość niskim budżecie i chwalił go za niezwykle wiarygodną kreację przystojnego absolwenta Eton z oklapłymi włosami. Sophie była w ciąży, więc w niczym na razie nie grała, choć grube koperty, wypełniające duży koszyk, z którym przysłała do restauracji, mogły zawierać scenariusze filmowe. Treat i Brad powitali ich ze szczerą radością, bo Jamie ciągle był brany pod uwagę jako potencjalny odtwórca roli Owena Geretha w *Spoils*. Wymieniono się wizytówkami i zaproszeniami, z których żadna strona nigdy nie miała skorzystać. Nie wspomniano o zdrowiu Waniego; gdy odchodzili, Sophie odwróciła się na moment i poprawiając włosy, spojrzała na niego z uśmiechem wyrażającym strach i współczucie.

– Miły gość – powiedział Brad.

Nick, ucieszony należną mu pochwałą za przedstawienie im aktorskiego małżeństwa, rzekł: – Stary Jamie...? O tak...

– Dawno się znacie?

– Tak. Z nim też studiowałem w Oksfordzie. Ale on bardziej przyjaźni się z Wanim.

Wani jednakże wolał nie podkreślać łączących go z Jamiem więzi. Siedział cicho i nieruchomo, trzymając na stole swoje wychudłe dłonie. Marynarkę miał wprawdzie zapiętą, lecz odstawała ona od korpusu niby za duży płaszcz. O ile wcześniej przyciągał uwagę swoją urodą i wdziękiem, o tyle obecnie budził ciekawość innych jako obiekt litości i szacunku. Zawsze pragnął być w centrum zainteresowania, a teraz potrzebował tego jeszcze bardziej. Nick pomyślał, że w pewnym sensie jego przyjaciel dalej jest piękny; przyznać to jednak otwarcie oznaczałoby snuć porównania przekraczające granice ludzkiej wytrzymałości. Miał ledwie dwadzieścia pięć lat. – Stallard zawsze był niedorzeczny – powiedział. – A teraz znalazł sobie idealną partnerkę w osobie prześlicznej panny Tipper.

– Czy... czy ona...? – bąknął Brad.

– To dla niego świetny układ. Jej ojciec zajmuje dziewiąte miejsce na liście najbogatszych Brytyjczyków i na dodatek jest synem biskupa.

– Biskupi chyba tyle nie zarabiają – powiedział Treat i pociągnął przez słomkę kolejny łyk koktajlu.

– Biskupi nie mają żadnych dochodów – rzekł Wani i po chwili spojrzał na rozmówców z uśmiechem, po którym dało się poznać, co sądzi o biskupach. Odpowiedziała mu seria nerwowych uśmiechów. Jego wychudła i pokryta plamkami twarz zyskała nowe środki wyrazu, należące do osoby nie tylko starszej, ale też trudnej do rozpoznania, wywodzącej się z zupełnie innego świata. Przeglądając się w lustrze, widział pewnie obcego człowieka i musiał aż wzdrygnąć się i unieść brwi ze zdziwienia. Nie można go było winić za mimowolne ironiczne grymasy, chociaż niekiedy, jak się wydaje, celowo je uwydatniał. Kości policzkowe wyglądały na kruche, a kości czołowe na ciężkie i chmurne; była to twarz jego ojca, którego wcześniej przypominał Wani jedynie przy świetle świec, teraz zaś w pełnym blasku dnia.

– Ojciec Waniego został lordem – rzekł Nick, ciekaw, komu tym zdaniem schlebia.

– No, no... – powiedział Brad. – Czy to oznacza, że ty też kiedyś będziesz lordem?

Przez kilka sekund panowało milczenie.

– To nie jest tytuł dziedziczny – odparł Wani. – A swoją drogą, co ty tam pijesz, Brad?

– Lepiej nie pytaj! – powiedział Brad, nieszczercze zakłopotany.

– To pewnie... Jak mu tam? Humphrey? To pewnie najnowszy wynalazek Humphreya. „Czarny poniedziałek”.

Wani znowu uśmiechnął się szeroko i sarkastycznie. – Szybko odgadłem, co? – Humphrey pełnił w Gusto czcigodną funkcję barmana, wystawiał (wysokie) rachunki i wysłuchiwał sekretów gwiazd. – Gość trenował na „Queen Mary”. O koktajlach wie wszystko.

– W tym jest... – powiedział Treat. – Hm... co w tym właściwie jest? Ciemny rum, wiśniówka i sambuca. I dużo soku cytrynowego. Smakuje jak staroświecki środek przeczyszczający.

– Mnie nie wolno już pić – przyznał Wani. – Ale mogę posłuchać.

Znowu zapadła chwilowa cisza. Treat powiódł małym palcem po swojej grzywce, a Brad westchnął i rzekł: – Tak... Właśnie chciałem o to zapytać... – Obydwaj Amerykanie poczuli wyraźną ulgę, gdy ten temat wreszcie wypłynął.

Wani podrapał się po brodzie. – Katastrofa – powiedział i marszcząc czoło, patrzył to na jednego, to na drugiego. – Trudno uwierzyć. W ciągu zaledwie kilku godzin jedna z moich cholernych firm straciła dwie trzecie wartości.

– A... A... A tak – odparł Brad i roześmiał się niezręcznie. – Tak. My też mieliśmy ostatnio ciężki okres.

– W ciągu jednego dnia przepadło na londyńskiej giełdzie dobre pięćdziesiąt miliardów.

Treat patrzył mu prosto w oczy, aby okazać, że rozumie i nie ma zamiaru wracać do tematu, przed którym Wani właśnie umknął. – Daj spokój – powiedział. – Indeks giełdowy w Nowym Jorku spadł o pięćset punktów.

– Otóż to – rzekł Wani. – To wasza wina!

Brad nie próbował się bronić; zaznaczył jedynie, że masa ludzi na Wall Street musiała pożegnać się z pracą.

– A co mnie to, kurwa, obchodzi? – powiedział Wani. – Tak czy inaczej, indeks odbija się od dna. Sytuacja jest już zdrowsza, coraz zdrowsza...

– Wszyscy się tym martwimy – oświadczył Nick z poczucia obowiązku.

Wani spojrzał na niego szyderczo i rzekł: – Poradzimy sobie na pewno. – Po czymś takim nie można już było mówić o jego śmiertelnej chorobie. Nick widział, że Amerykanie są tym wszystkim zakłopotani, bo Wani miał się przecież niebawem ożenić. Ich zrozumiała ciekawość musiała przegrać z powściągliwością.

W trakcie całego lunchu Brad, podobnie jak Wani, pił tylko wodę, a Nick i Treat raczyli się butelką chablis. Treat często chwycił Nicka za ramię i sugerował na stronie wspólny ciąg dalszy, Nick zaś starał się podtrzymywać rozmowę. Zadania nie ułatwiał mu onieśmielający wszystkich chłód Waniego, który wydawał się wręcz bawić wzbudzonym niepokojem. Zadając mu kolejne pytania, Brad i Treat wydawali się zachwyceni już tylko tym, że mogą to uczynić. Gdy na pytanie odpowiadał Nick, Wani słuchał go, po czym dorzucał jakieś drobne uściślenie lub dopowiadał coś od siebie. Obrął taktykę polegającą na okazywaniu zainteresowania danym tematem i dzieleniu się zwaną z nim wiedzą, aby po chwili ów temat porzucić i podsumować pogardliwym uśmiechem ciekawość amerykańskich gości. Jadł bardzo mało, a jego odraza do drogich potraw i do siebie samego za to, że nie jest w stanie ich spożyć, wsączyła się w rozmowę. Wyglądało to tak, jakby kawałki kurczaka i półprzezroczysta cukinia stanowiły dlań żalosne symbole świata zmysłowych rozkoszy, które najchętniej zmiótłby ze stołu jednym stanowczym ruchem.

Nie mówiono dotąd o filmie. Nick uznał, że to nie on powinien poruszyć ten temat jako pierwszy, ponieważ pomysł ekranizacji *Spoils of Poynton* był właśnie jego autorstwa. Przez wiele długich miesięcy ślęczał nad scenariuszem i odnosił niekiedy wrażenie, iż na podstawie jednej książki napisał książkę drugą. Czuł, że zasłużył na pochwałę. Wyobrażał sobie czasami, że jest w kinie Curzon i wodząc wzrokiem po łukowatych rzędach foteli, wchłania w siebie jednogłośnie westchnienia publiki, zachwyconej obrazami, które on sam po części stworzył; ba, w tych marzeniach pełnił też funkcję reżysera owego filmu. Pławił się w rozkoszy na myśl o entuzjastycznej recenzji Philipa Frencha²⁷. W tym samym zresztą okresie w kinach pojawiła się ekranizacja innej powieści Jamesa, *Bostończycy*, w której główną rolę odtwarzał – co za szaleństwo! – aktor grający wcześniej Supermana.

²⁷ Philip French – brytyjski krytyk filmowy.

– Nie jest zaiste zbyt trudno – rzekł Nick – wystawić sobie ironię tudzież skrywane ożywienie, z jakim Mistrz powitałby taki pomysł... – Wyobraźnia jego rozmówców okazała się jednak nader ograniczona.

– Właśnie... Pisujesz rewelacyjne listy – powiedział Treat i znowu ścisnął Nicka za ramię. – Takie brytyjskie!

– Hm... Może powinniśmy wreszcie pogadać o naszym filmie – rzekł Brad, gdy postawiono przed nimi ogromne puchary lodowe z owocami zatopionymi w różowym syropie. Wani patrzył na swoją porcję, jak gdyby zarówno ona, jak i film były zupełnie zbędnymi smakołykami. – Chyba że przełożymy to na przyszły tydzień...

– Bez różnicy – powiedział Nick, czując, jak wali mu serce. Pomyślał, że to niewiarygodne, iż jego piękny plan, ten najwspanialszy owoc fascynacji Henrym Jamesem, trafił w ręce tych dwóch głupków. Miał już świadomość, że nie chodzi o kosmetyczne poprawki, tylko o radykalną zmianę pierwotnej koncepcji.

– Twoje dzieło jest rewelacyjne, Nick.

– Tak, jest świetne – potwierdził Treat.

Brad zawahał się, wpatrzony w dekoracje z masy cukrowej na swojej porcji lodów malinowych. – Wiesz... Pisaliśmy już o tym w liście do ciebie. Jest problem. W tym scenariuszu facet nie zdobywa facetki, a potem to, o co wszyscy się biją, staje nagle w płomieniach, tak? To jest dość słabe.

– Naprawdę...? – powiedział Nick, po czym wyjaśnił, próbując dobyć z siebie cały swój urok: – Przecież to bardzo życiowa historia. Nawet za bardzo jak na... hm... konwencjonalny film. Bohaterem jest gość, który bardziej od ludzi kocha martwe przedmioty. I na końcu zostaje z niczym, oczywiście. Wiem: rzecz jest ponura, ale ponura jest chyba też sama książka, choć z drugiej strony to satyra.

– Mhm... Nie czytałem książki – rzekł Treat.

Nick zarumienił się za niego, bo Treat musiał być wszak zawstydzony i zakłopotany. Błąkająca się dotąd po głowie myśl o spędzeniu z nim paru intymnych chwil ulotniła się nagle, żegnana westchnieniem i wzruszeniem ramion.

– A ty czytałeś tę książkę, Antoine? – zapytał Treat.

Wani miał usta różowe od lodów, które zlizywał szybko z łyżeczki, aby czym prędzej zanurzyć ją znowu w zawartości pucharka. – Nie czytałem – odparł. – W takich sprawach wyręcza mnie Nick. Za to mu płacę.

– A może by tak – rzekł Brad – dopisać krótką scenkę miłosną z Owenem i... przepraszam...

– Fledą – powiedział Nick. – Fledą Vetch.

– Fleda Vetch! – roześmiał się Treat donośnie. – Co to za nazwisko? Tak może się nazywać tylko najbrzydsza dziewczyna w szkole.

– Mnie to nazwisko wzrusza – powiedział Nick. Brad spojrział na niego z wyrzutem.

– A mnie kojarzy się z wiedźmą – mruknął Treat tak cicho, jakby na tym jego sprzeciw miał się zakończyć. Po chwili jednak podjął wątek: – Daj spokój. Dzwonię do Meryl Streep i mówię jej: „Panno Streep, mamy dla pani wspaniałą rolę. Czy zgodzi się pani zagrać cudowną Fledę Vetch?”. Pomyśli, że właśnie zwymiotowałem.

Roześmiali się wszyscy oprócz Waniego, który cichym, acz podniosłym głosem powiedział: – Ona nazywa się Fleda Vetch – jak gdyby mieli ją wszyscy spotkać na ślubie Nata Hanmera.

– A niech się nazywa, jak chce – rzekł Brad. – Ale... Owen i Fleda... muszą częściej być razem. Tu trzeba trochę... namiętności!

– Facet musi się napalić – powiedział Treat, spoglądając na stolik Jamiego. Potem mrugnął do Nicka. – Czy on kiedyś... no, wiesz... – zniżył głos i nieśmiało odwrócił wzrok – w Oksfordzie... no... z innymi facetami... ktoś mi chyba wspominał...

– On jest hetero – rzekł Wani.

– Okej... – Treat pokręcił głową, jakby pytał retorycznie: I kto tu mówi o heterykach? W głosie Waniego pobrzmiwało jednak coś bardziej złowrogiego aniżeli zwykle zniecierpliwienie. Pobladł i wpatrywał się bez ruchu w swój deser, pogrążony w wewnętrznych rozważaniach, których nie mógł odłożyć na później. Odsunął się nieco od stołu, a wtedy z oparcia krzesła spadła jego laska, lądując z brzękiem na marmurowej posadzce. Gdy schylił się, by ją podnieść, Brad skoczył mu na pomoc i chwycił laskę, jakby to on zawinił i musiał uspokoić pozostałych gości widokiem swoich masywnych pleców. Zaciśnięte usta Waniego ułożyły się w kształt, jaki miały w chwilach intymnych, kiedy zbliżała się chwila rozładowania. Na krótki moment Nick ujrzał ich razem w sypialni... Potem Wani wstał z krzesła i zaczął oddalać się chwiejnym krokiem między stolikami.

Kilka sekund później Nick ruszył za nim, wpatrując się chmurnie w podłogę. Zbyt ruchem głowy rzucone przez Fabia chłodne „Signore?”. W wyłożonej czarnym

marmurem toalecie znajdowały się dwie kabiny, a w jednej z nich za uchylonymi drzwiami widać było Waniego, który pochylał się nad muszlą i rzygał. Nick stanął za nim i po chwili położył mu dłoń na biodrze. Wani wzdrygnął się, szepnął: – O, kurwa... – kucnął, zadrżał i znów zwymiotował. Wydawało się, że zwraca więcej niż tylko żalodne kęsy, które zdołał przełknąć w tej restauracji. Nick dotykał go delikatnie, jakby pragnął mu pomóc, a zarazem zniechęcić. Zebrał się na odwagę, pochylił i spojrzał do muszli ponad ramieniem przyjaciela. Zobaczył kawałki kurczaka, warzywa i dopiero co zjedzone lody. Wyrwał z pojemnika kilka papierowych ręczników, by w razie potrzeby obetrzeć twarz Waniemu. A potem stał i czekał na milczącego już przyjaciela. Pomyślał z ponurym rozbawieniem, że jest to ich najbardziej intymna chwila od wielu miesięcy. Patrząc na czarne porysowane ściany, przypominał sobie wieczory spędzane tu przed rokiem, gdy w obu kabinach szeleścił papier i słychać było postukiwanie szatkującej proszek karty kredytowej. Nad spłuczką znajdowała się nader poręczna półka, przy której stawało się po kolei. Noce zlewały się za sobą, roziskrzzone i rozedrgane. – No, dobra – rzekł Wani, biorąc do ręki swą laskę i uśmiechając się do Nicka nieśmiało. – Antoine nie dostanie już lodów.

Przed Gusto stał samochód Waniego i Nick odwiózł go potem na Lowndes Square. – Stokrotne dzięki – wyszeptał przeciągle.

– Nie ma sprawy, staruszku – odparł Nick. Zaparkował przed domem i przez chwilę siedzieli w milczeniu. Wani oddychał ciężko, jak gdyby zbierał siły przed rajdem lub skokiem do wody. Nie pomógł Nickowi żadnym wyjaśnieniem – tak zresztą było zawsze, bo Wani sam dla siebie stanowił prawo i sam definiował granice własnej swobody. Kiedy Nick pytał go, jak się czuje, Wani reagował oschłym zniecierpliwieniem, zirytowany, że Nick tego nie wie i że taką wiedzę pragnie pozyskać. Choroba dawała mu niezасłużone przywileje. Nick starł cienką warstwę kurzu z obitej czarną skórą deski rozdzielczej za kierownicą. Samochody również zmieniały się z upływem czasu: z początku oferowały setki możliwości, były szybkie i niezawodne, spełniały marzenia i same je ucieleśniały, niby mocny narkotyk; później zaś z wolna ujawniały swą kapryśność i ociężałość, o które wcześniej nikt ich nie podejrzewał, i popadały w niełaskę, związaną z nastaniem nowej mody.

– Muszę sprawić sobie nowe auto – powiedział Wani.

– Nie przeczę. To aż się sypie od kurzu.

– Przecież to, kurwa, antyk...

Nick obejrzał się przez ramię i przypomniał sobie, jak Ricky, ów genialny półgłówek z dawnych czasów (to znaczy, z ubiegłego lata), tkwił na tylnym siedzeniu z rozłożonymi szeroko nogami. – Ale zachowasz chyba tablicę rejestracyjną...

– Jasne. Jest warta tysiąc funtów.

– Stary dobry numer: WHO 6.

– Dobra... – rzekł Wani, niechętny jakimkolwiek sentymentom.

Nick uniósł wzrok i zobaczył lady Ouardi w jednym z okien salonu.

Odgarnawszy firankę, wpatrywała się w liście platanów, brązowiejące już na ospałym skwerze. Nick pomachał do niej, lecz ona albo ich nie dostrzegła, albo dojrzała ich już wcześniej i teraz, zgodnie ze swoim zwyczajem, wodziła oczyma wyobraźni po pejzażu nieistniejącej przeszłości lub przyszłości. Miała na sobie prostą wełnianą sukienkę i pojedynczy sznur pereł. W oczach Nicka była stworzeniem zamkniętym w czterech ścianach, spędzającym niewyobrażalnie samotne poranki i ściśle zaplanowane popołudnia. Firanka była zapewne dla niej zasłoną, która chroniła ją przed wzrokiem świata i która jej własny wzrok od świata odgradzała.

– Jak stoisz z kasą? – zapytał Wani.

– Poradzę sobie, kochanie. – Nick odwrócił się i uśmiechnął do niego, tak jak rok wcześniej, ze swoiście frywolną czułością. – Sumka, którą kiedyś mi dałeś, zdążyła się już rozrosnąć. – Dotknął dłoni Waniego, spoczywającej na jego udzie. Po kilku sekundach Wani oswobodził dłoń, żeby sięgnąć po chusteczkę. Przez cały ten tydzień, odkąd wrócił z Paryża, w powietrzu wisiało pytanie, którego Wani nie zadał tylko przez dumę, pytanie, które nie musiało zawierać się w słowach, ale w odważnym i wzruszającym geście. W tej jednak chwili powiedział:

– Powinieneś wyprowadzić się od Feddenów i zamieszkać wreszcie na swoim.

– To prawda – odparł Nick. – Głupio robię. Ale jakoś ze sobą wytrzymujemy. Nie wiem, czy poradziliby sobie beze mnie.

– Może i nie... – rzekł Wani. Odwrócił się i wyjrzał na zewnątrz: na chodnik, na brzydkie betonowe donice, na rower przyczepiony łańcuchem do barierki. – Zastanawiałem się ostatnio i doszedłem do wniosku, że mogę zostawić ci biurowiec w Clerkenwell.

Nick popatrzył na niego i szybko odwrócił wzrok; był wstrząśnięty i niemalże urażony.

– Wcale nie musisz tam mieszkać – dodał Wani.

– Nie w tym rzecz.

– Głupio mi zostawiać ci produkt niedokończony.

Nick pozwolił sobie na kilka westchnień i rzekł: – Nie rozmawiajmy o „zostawianiu”. – Po czym, delikatnie jak słoń, dorzucił: – Wtedy już będzie gotowy. – Trudno mu było znaleźć stosowne słowa. Wani obdarzył go krótkim mroźnym uśmiechem. Jak dotąd Nick umiał jedynie informować o chorobie Waniego; rozprawiał tę wiadomość dokoła, wywołując ponury, acz ekscytujący efekt słowami: „Boję się, że on umiera” albo „Jest umierający”. Był to jego własny dramat, który prócz trwogi i współczucia wywoływał w nim swoiste poczucie ważności swojej osoby. Teraz zaś, siedząc obok Waniego i słysząc, jak ten ofiarowuje mu biurowce, czuł się upokorzony, a nawet zdumiewająco rozgniewany na przyjaciela.

– No, zobaczymy – powiedział Wani. – Myślę, że ci się spodoba.

– Trudno mi o tym teraz myśleć – rzekł Nick.

– Muszę te sprawy załatwić, Nick. W piątek mam spotkanie z prawnikami.

– A co ja pocznę z takim biurowcem? – zapytał Nick posępnym głosem.

– Będziesz go po prostu posiadał – odparł Wani. – To tysiąc metrów kwadratowych przestrzeni biurowej. Znajdź kogoś, kto będzie go za ciebie doglądał, a kasa z czynszu da ci utrzymanie do końca życia.

Nick nie zapytał, kto niby ma mu w tym pomóc. Może zwróci się do Sama Zemana... Wyrażenie „do końca życia” zabrzmiało gładko, niemalże lekko, jakby odnosiło się do przyszłości, której Wani nic chciał nawet sobie wyobrazić. Rzeczony biurowiec sąsiadował z innym biurowcem i mieścił się opodal Smithfield Market. Wani wiedział, że Nickowi nie podoba się projekt, wedle którego budynek ten powstawał, więc darując go przyjacielowi, poniekąd znowu robił mu na złość i w pewnym sensie chciał dać mu nauczkę. – A co z Martine? – zapytał Nick.

– Bez zmian. Będzie dalej dostawać kieszonkowe, przynajmniej do chwili zamążpójścia. A potem otrzyma okrągłą sumkę.

Nick z uznaniem kiwnął głową, ale potem musiał zapytać: – To ty jej wypłacasz kieszonkowe?

Wani obdarzył go uśmiechem, który kiedyś mógł uchodzić za dowód wyniosłej przebiegłości, ale obecnie był już tylko szyderczy. – Nie ja – powiedział. – Myślałem, że się domyślasz. Mama zawsze ją opłacała, a raczej utrzymywała, mówiąc ściśle.

– Rozumiem – odrzekł Nick po chwili milczenia. Wani niewiele mu opowiadał o libańskich obyczajach. Zapewne przy kominku, pod pochylonym lustrem, odbyła się dyskretna transakcja. Nick znowu spojrzął na dom, lecz matka Waniego spuściła zasłony i teraz dyskrecja była już naprawdę absolutna: czarne drzwi wejściowe, zasłonięte okna, żółtobiały połysk ścian. – To czarujący układ: utrzymywać dziewczynę swojego syna.

– Na litość boską – mruknął Wani i odwrócił wzrok. – Ona nigdy nie była moją dziewczyną.

– Daj spokój, to oczywiste – rzekł Nick, rumieniąc się z własnej głupoty i czując zarazem niedorzeczną ulgę.

– Nie mów o tym mojemu papie. To jego ostatnie złudzenie.

Nick nie sądził, aby „do końca życia” nadarzyła mu się okazja spotkania z Bertrandem. Maty esteta czuł już, że te czarne drzwi na zawsze pozostaną dla niego zamknięte. Teraz wszakże otwarty się i stanęła w nich ubrana na czarno Monique wraz ze starą służącą. – Czekaają na ciebie – powiedział Nick niezbyt głośno.

Wani popatrzył na dom i prawie zamknął oczy w akcie komicznej pogardy. Były w tym wszystkie jego dawne zwyczaje, a gdy po chwili zatrzepotał powiekami, wrócił na moment cały jego rozkoszny egoizm. Sięgnął po leżącą przy fotelu laskę. – Jak wrócisz do domu?

– Chyba pieszo – odparł Nick bezmyślnie.

Wani pociągnął za klamkę i drzwi otwarły się z lekkim trzaskiem na chłodne niebieskie popołudnie.

– Wiesz, że bardzo cię kocham, prawda? – rzekł Nick. Jeszcze sekundę przed wypowiedzeniem tych słów nie podpisałby się pod ich znaczeniem, lecz wymawiając je, poczuł, że mogą być zgodne z prawdą. Próbował w ten sposób pokryć swoją niewdzięczność względem Waniego, przywrócić rzeczom właściwe proporcje. Wani sapnął, spojrzął na matkę, lecz nie zrewanżował się analogicznym wyznaniem. Ani razu nie powiedział Nickowi, że go kocha, choć może kochał, nie mówiąc o tym.

– Swoją drogą – rzekł teraz – powinienem cię ostrzec. Gerald może mieć kłopoty.

– Tak?

– Nie wiem, co się konkretnie stało, ale chodzi o zeszłoroczne przejęcie Fedray. Kreatywna księgowość, rozumiesz...

– Serio? Interesy z Maurice'em Tipperem?

– Myślę, że Maurice zabezpieczył się jak należy. Gerald też wyjdzie z tego cało, ale będzie wokół niego trochę szumu.

– Mój Boże... – Nick najpierw pomyślał o Rachel, a tuż potem o Catherine, która przez kilka minionych tygodni okazywała niezwykle nadpobudliwość. – Skąd o tym wiesz?

– Miałem telefon od Sama Zemana.

– Rozumiem – odparł Nick z odrobiną zazdrości. – Zadzwoń do niego.

Kiedy wysiedli z wozu, Nick kręcił się przez moment po ulicy, trudno mu bowiem było iść równie wolno jak chory przyjaciel. Przywitał Monique pocałunkiem i powiedział jej, że Wani zwymiotował cały lunch. Kiwnęła głową i w zabawnym, podpatrzonym gdzieś odruchu zacisnęła usta i przełknęła ślinę. Była dostojna i powściągliwa, lecz gdy ujęła syna pod ramię, na jej twarz wrócił wyraz matczynej władzy, z której wcześniej musiała zrezygnować, a która w tej chwili objawiła się jako zwierzęcy niemalże instynkt kochania własnego potomstwa i sprawowania nad nim opieki, nawet w sytuacji zupełnie beznadziejnej. Prowadzony przez obie kobiety Wani wydawał się kurczyć i maleć, uwolniony nagle spod towarzyskiej presji, która podtrzymywała go przez ostatnie dwie godziny. Zapomniano o dobrych manierach i drzwi zatrzasnęły się bez pożegnania.

Znalazłszy się po drugiej stronie ulicy Knightsbridge, Nick wszedł przez bramę Albert Gate do Hyde Parku. Przeciągnął się i poczuł, że od energicznego marszu, wywołanego poczuciem winy, rozboleły go łydki i uda. Miał dużo do przemyślenia, zresztą sam park wyglądał na zamyślony: kasztany okolone już były wiankami opadłych liści, a ogromne platany, bardziej odporne na zmianę pór roku, dalej mieniły się złotobrazowo. Nick chciał jednak tylko iść przed siebie. Po alei Rotten Row przejechała konno grupka młodych kobiet, on zaś, kiedy zniknęły, przeszedł przez tę aleję i poczuł pod stopami wilgotny bryłkowany piasek. Wiał przyjemny północno-wschodni wietrzyk. O tej porze roku w powietrzu unosiły się niespodziewane wspomnienia i czuło się, jak na ironię, że świat się właśnie odradza na nowo. Nick myślał o spotkaniach z Leo po pracy, gdy chłodna aura pulsowała mnóstwem obietnic. Kilka razy umówili się przy podium dla orkiestry, o tu, niedaleko, pod tym miedzianym esowatym daszkiem; jakież to dziwne, że akurat ten kształt, falujący na cienkich podporach, górował wtedy nad szybkim pocałunkiem, szybkim dotykiem, nad zdarzającymi się czasem nerwowymi unikami. Ruszył teraz po przekątnej i minął rzeźbę Watta *Energia fizyczna*: jeździec o ogromnych udach odgina się do tyłu i patrzy jak olśniony w stronę Pałacu Kensington. Nick rzucił nań jedno krótkie spojrzenie, bo jako koneser sztuki musiał jeźdźca zauważyć, lecz jako londyńczyk powinien uważać go za naturalny element codziennego krajobrazu.

Pomyślał o biurowcu w Clerkenwell. Wani kupił tam trzy wąskie budynki z epoki wiktoriańskiej, tworzące segment zabudowań na rogu dwóch ulic; jeden z nich skrywał się za dwoma pozostałymi i mieścił niegdyś pod swoim wysokim żelazno-szklanym dachem kompleks rozmaitych punktów usługowych. Wszystko to zbudowano solidnie z barwionej na czarno cegły, która okazała się w środku czerwona, gdy trzeba było owe gmachy zburzyć. Wisały tam dzwonki z nazwami wymarłych profesji, szklana węgielnica, szyld „Druki kościelne i prawnicze”. Niektóre okna były zabite deskami,

wszędzie walały się kable i dawało się zauważyć ślady wandalizmu. Gdy Wani go tam zaprowadził, Nick stwierdził, że chętnie wyremontowałby te budynki i sam tam zamieszkał. Oglądał piwnice i strychy, unosił drzwiczki w sufitach, wchodził na dachy i patrzył przez szkło na Waniego, który paradował na dole w swym pięknym garniturze, podrzucając kluczyki od samochodu. Nick wyobrażał sobie, jak właśnie w tym pomieszczeniu urządzają imprezę dla przyjaciół, lecz zachowanie Waniego, jego zniecierpliwienie i dekoncentracja mówiły mu, że ten pomysł nigdy nie doczeka się realizacji. Czuł się jak zrozpaczone dziecko, niemogące przekonać rodziców do spełnienia wymarzonej zachcianki. Każdy z tych budynków został, rzecz jasna, zrównany z ziemią i przez miesiąc lub dwa tylne ściany zasłoniętych dotąd gmachów mogły do woli kąpać się w słońcu. A potem zaczęto wznosić Baalbek House, ochrzczony tak poetycko przez Waniego, ale w Nicku budzący jak najgorsze emocje. Jego własne koncepcje co do projektu zostały wyśmiane przez architekta, który miał inną wizję udanej inwestycji i który inaczej podchodził do kwestii nakładów finansowych z nią związanych. Teraz zaś ten monstrualny budynek, przypominający konstrukcje z klocków Lego, z lustrzanymi szybami w oknach i rudawobrazowymi marmurami na ścianach, teraz ten budynek należał do Nicka.

Wchodząc do Kensington Park Gardens, Nick przypomniał sobie, co Wani powiedział mu o Geraldzie, i od razu zwolnił kroku, jak gdyby chciał spowolnić ów dziwny proces narastania kłopotów. Obawiał się spotkania z Geraldem, który był agresywny, gdy coś przeszkrobał, i zionął sarkazmem, gdy potrzebował pomocy. Przed domem stał jego rangę rover, z czego mogło wynikać, że Gerald wrócił już z parlamentu. Mogło to mieć swoje znaczenie. Jak już często się zdarzało, Nick nie miał pojęcia, co wolno mu było wiedzieć i co w gruncie rzeczy wiedział naprawdę, bo przecież wyrażenie „kreatywna księgowość” brzmiało raczej żartobliwie. Za rangę roverem stał mężczyzna w czerwonej skórzanej kurtce, oparty o dach innego samochodu i pogrążony w rozmowie z mężczyzną siedzącym za kierownicą tegoż auta. Gdy dostrzegł zbliżającego się Nicka, nie przerwał rozmowy, lecz jego oczy jednym szybkim spojrzeniem oszacowały niejako przybysza i uznały go za osobę nieistotną. Nick skręcił ku drzwiom z numerem czterdziestym ósmym, a szukając kluczy, obejrzał się na moment za siebie: mężczyzna dalej się w niego wpatrywał i nawet uniósł lekko głowę, jakby zamierzał do niego coś krzyknąć; uśmiechał się przy tym krępująco. Nagle przyjaciel z auta podał mu przez okno

aparat fotograficzny, on zaś przyłożył go szybko do oka i zrobił trzy zdjęcia w ciągu dwóch sekund. Nick był wręcz urzeczony leniwą precyzją tych pstryknięć i zbyt zaskoczony, by wiedzieć, co czuje. A czuł się upokorzony i zaszczycony, dowartościowany i nic nieznaczący, gdyż obaj panowie najwyraźniej nie mieli pojęcia, z kim mają do czynienia. Pomyślał dumnie, że nie będzie odpowiadał na żadne pytania, i zdumiał się, gdy żadne pytanie nie padło. Jeszcze nigdy otwarcie niebieskich drzwi wejściowych nie zajęło mu tyle czasu.

W holu było cicho. W kuchni Nick zastał Elenę; przywitał się z nią i okazał gotowość do pomocy. Szykowała właśnie „półtora posiłek” z dodatkową, małą jak dla dziecka lub człowieka chorego porcją dla Geralda, który miał spędzić długie godziny w parlamencie. – Widziałaś, co się dzieje przed domem? – zapytał Nick. Elena dalej wymownie ugniatała ciasto.

– Nie wiem – odparła.

– Gerald jest w domu?

– W pracy.

– To świetnie...

– Pani Fed na górze ze swój lord. – Elena wyglądała na wzburzoną, ale Nick wolał nie dopytywać się o powody: czy chodziło o to, co zrobił Gerald, czy o to, co teraz robią jemu. Przyczyna mogła zresztą być inna. – Ty zanieść taca? – spytała.

W czajniku gotowała się woda, a na tacy stały już dwie filiżanki i uwielbiane przez Rachel pierniczki. Nick podgrzał dzbanek i wsypał do niego dwie łyżeczki herbaty lapsang. Na każdej filiżance i spodku z tego kompletu widniał obrysowany wieńcem różowy pałacyk Petit Trianon, teraz już wyblakły po wielokrotnym kontakcie ze zmywarką. Nick zalał herbatę wrzątkiem, wymieszał, spuścił pokrywkę i podniósł tacę. Elena patrzyła na niego z sympatią, ale po chwili pokręciła głową i rzekła: – One są brukowcy. – Tym ostatnim słowem satyryczny dwutygodnik „Private Eye” określał londyńskich dziennikarzy i tego słowa używał też Gerald, chcąc podrażnić Toby’ego. Nick nie miał jednak pewności, czy Elena krytykuje dziennikarzy, czy sugeruje, być może, iż dom Feddenów sięgnął już bruku.

Drzwi do salonu były otwarte, a zbliżając się do nich, Nick zwolnił kroku. Lione! mówił właśnie: – Jeżeli zachował się jak ostatni głupiec, to poniesie konsekwencje. A jeśli nie, to dysponujemy środkami, by dowieść wszystkim, że jest czysty. – Wyrażał się

ze zwykłym sobie spokojem, lecz z jego głosu zniknęła wszelka serdeczność, tak jakby zakładał, że bardziej prawdopodobna jest pierwsza z wymienionych możliwości i że honor rodziny dozna uszczerbku. Nick zabrzączał tacą i wszedł do salonu. Rachel stała przy kominku, a Lionel siedział w fotelu; przez krótką chwilę Nick odnosił wrażenie, że ma przed sobą scenę z *Portretu damy*, w której Isabel na widok siedzącego małżonka i stojącej madame Merle dochodzi do wniosku, iż łączą ich bardziej intymne więzi, niż wcześniej się domyślała. – Och, mój drogi... – powiedziała Rachel, gdy Nick stanął w salonie niczym służący, czego zresztą tym razem nie wzięto za dobry żart. Lionel powitał go tylko spojrzeniem i przeniósł wzrok na siostrę. – Kiedy możemy się go spodziewać? – zapytał. – Ma jakieś wieczorne głosowanie – mruknęła Rachel. Stawiając tacę, Nick uznał, że choć nie podsłuchał żadnego sekretu, to wyczuł obecnie, iż relacje między rodzeństwem cechuje większa szczerłość i wzajemne zrozumienie, niż sądził do tej pory.

– Dziękuję, Nick – powiedziała Rachel.

– Zrobili ci zdjęcie? – zapytał Lionel.

– Tak – odparł Nick i z jakiegoś powodu zdecydował się dodać: – Obawiam się, że zdjęli mnie od niewłaściwej strony.

– No, nie są w tym rewelacyjni – rzekł Lionel, który demonstrując w tej chwili poczucie humoru tudzież siadając wygodniej i głębiej w fotelu, pragnął zapewne okazać, że nic złego się nie stało. – Mnie ostrzeżono zawczasu, więc wszedłem przez ogród.

– Dzięki Bogu mamy tu te ogrody – powiedziała Rachel. – Cztery wyjścia to dla nich za dużo.

Nick uśmiechnął się niepewnie. Wprawdzie nie przyniósł filizanki dla siebie, lecz wolałby wziąć udział w rozmowie. – Może mógłbym w czymś pomóc? – zapytał taktownie.

Lionel i Rachel spojrzeli na siebie, jak gdyby drugie było na tyle dobrze wychowane, by znać odpowiedź na to pytanie. Być może, nawet mimo obecności fotoreporterów, sprawa ta była dla Rachel naprawdę bardzo drażliwa i wolała jej teraz nie poruszać przy kimś spoza rodziny. – Ktoś rozpuszcza okropne plotki na temat Geralda – powiedziała wreszcie na swój wymownie obojętny sposób.

Nick zagryzł policzek i odrzekł: – Wani... Ouardi coś mi o tym wspominał.

– A więc rzecz jest już znana – powiedziała Rachel.

– Będzie znana powszechnie – rzekł Lionel.

Rachel nalala herbaty. Podając bratu filiżankę i talerzyk z pierniczkami, wyglądała na zatopioną w najczarniejszych myślach. – A co z Maurice’em Tipperem? – spytała.

Gryząc pierniczki, Lionel wyglądał jak posilająca się czujnie wiewiórka. Zlizawszy z ust kawałek lukru, oświadczył: – Maurice Tipper to nieopisany łajdak.

– Nie mogę się z tym nie zgodzić – odparła Rachel.

– Podejrzewam, że pomoże Geraldowi tylko wtedy, gdy będzie mógł tym samym pomóc sobie.

– Mmm... Dzisiaj przy lunchu widziałem się z Sophie – wtrąci! się Nick. – Unikała rozmowy.

– Jak dobrze, że Toby nie poślubił tej hipokrytki! – powiedziała Rachel, rzucając się łapczywie na to przeterminowane już nieco pocieszenie. I roześmiała się z pełną goryczy ulgą.

– Otóż to! – przytaknął Nick.

– Możesz zrobić dwie rzeczy – zwrócił się Lionel do Nicka. – Po pierwsze, nie puszczaj pary z ust. Po drugie, czy mógłbyś skoczyć po „Evening Standard”?

– Oczywiście. – Nick poczuł, że obecność fotoreporterów wprawia go nagle w ogromną nerwowość.

– A po trzecie, mógłbyś znaleźć moją córkę.

– No właśnie... – rzekł Lionel.

– Jest w fazie przerażająco maniakalnej – wyjaśniła Rachel. – Kto wie, co jej strzeli do głowy...

– Dobrze, postaram się – odparł Nick.

– Nie bierze już tych pigułek? – zapytał Lionel głosem niepewnym i stanowczym zarazem.

– Nie zdają egzaminu – wytłumaczyła Rachel. – Przed dwoma miesiącami Catherine prawie nic nie mówiła, a teraz prawie nie może przestać mówić. To bardzo męczące.

Oboje spojrzeli na Nicka. – Zrobię, co tylko się da. – Czuł, że postawiono mu swoiste ultimatum i że powinien dowieść swej przydatności dla rodziny. Musi działać błyskawicznie i okazać pewność siebie, albowiem centrum dowodzenia, skryte dotąd za aksamitną zasłoną, nagle wznowiło aktywność.

Catherine wróciła do domu koło szóstej. Myślała ostatnio o kupnie domu na Barbadosie i musiała o tym porozmawiać z Brantfordem. Gdy pocałowała Nicka na powitanie, poczuł w jej włosach zapach marihuany; była zatem nie tylko nad wyraz pobudzona, ale i naćpana. Co prawda przy drzwiach wystrzeliły w nią błyski fleszy, lecz ona potraktowała je niemal jak zjawiska naturalne, jak meteory śmigające w atmosferze jej własnej planety. – O co tu chodzi? – spytała i nie czekając na odpowiedź, wysunęła swój pierwszy domysł: – Kolejna wizyta pani premier?

– Niezupełnie – odparł Nick i ruszył za nią po schodach. Co jak co, pomyślał, ale kolejna wizyta pani premier jest w tej sytuacji mało prawdopodobna. – Martwiliśmy się o ciebie – powiedział. W salonie Rachel rozmawiała przez telefon z Geraldem, który ciągle był w Westminsterze i który skutecznie, jak się wydaje, uspokajał teraz żonę. Rachel zdobyła się na wyrozumiałość i wpatrując się w portret Toby'ego, mówiła: – Oczywiście, kochanie, zachowuj się tak jak zawsze. Spróbujemy,.. Do zobaczenia... Jasne. – Nick podszedł do frontowych okien, które błyszczały w słabnącym świetle zmierzającego się dnia i wyglądały na nienaturalnie duże. Obecność zniecierpliwionych mężczyzn przed domem drażniła i wprawiała w niepokój. Zasłon nigdy tu nie zasuwano, więc nawet po oswobodzeniu z uścisku brokatowych tasiemek odginały się one w paru miejscach, nie dając się szczelnie połączyć. Nick pochylił się, by zatrzasnąć nieużywane tu na ogół okiennice; gdy je zamykał, trzeszczały alarmująco.

Rachel opowiedziała Catherine o przyczynach zamieszania, do czego jej córka odniosła się z powściągliwym entuzjazmem. – Znakomicie – stwierdziła.

– Ta sprawa może naprawdę okazać się poważna – powiedział Nick.

– Nie mówisz chyba, że skończy się odsiadką? – Pewnie za sprawą trawki na twarzy Catherine pojawił się wyraz pocziwej dociekliwości.

– Nie – rzuciła zirytowana Rachel. – Poza tym Gerald nie zrobił nic złego. Wszystko to ma chyba związek z tym przebrzydłym Tipperem.

– To może Tipper trafi za kratki – powiedziała Catherine. – Albo cała rodzinka Tipperów. Tak by było najlepiej.

Rachel wykrzywiła twarz w niemiłym grymasie, by dać córce do zrozumienia, iż przedmiot jej żartów zbyt mocno ją obchodzi. – Na razie trwa śledztwo. Nikogo nie aresztowano, nie wysunięto żadnych oskarżeń.

– Rozumiem.

– Był tu wuj Lionel. Dodał mi trochę otuchy.

Nick mruknął potwierdzająco i spytał: – Może drinka?

– Poza tym wiesz przecież, kochanie, że twój ojciec nigdy nie dopuściłby się czegoś takiego. Jest na to zbyt doświadczony. Nie wspominając już o jego nieposzlakowanej uczciwości. – Rachel zarumieniła się lekko po tym solennym zapewnieniu.

– Czyli sprawa trafiła do gazet?

– Nie ma jej w dzisiejszym „Standardzie”. A Toby twierdzi, że nie ruszą jej w „Daily Telegraph”, bo rozmawiał już na ten temat z Gordonem. Twój ojciec mówi, że taką historię „Guardian” rozdmucha do niebotycznych rozmiarów.

– Ja wypiję... – powiedziała Catherine z pełnym fascynacji uśmiechem, pochylając się nad stolikiem z drinkami; w końcu zdecydowała się jednak na zwykły džin z tonikiem. Nick wymieszał oba trunki w taki sposób, by chinina wyraźnie przeważała nad jałowcówką, bo gdy Catherine znajdowała się w stanie maniakalnym, lepiej było uważać z alkoholem, gniewem, śmiechem – wszystkim, co mogło wprowadzić ją w jeszcze większe ożywienie. A potem wszyscy unieśli swoje szklanki lub kieliszki, kiwnęli głowami i rzucili znacząco: „Na zdrowie!”.

– Pamiętaj, kochanie – zwróciła się Rachel do córki – że nikomu nie wolno o tym mówić. Milczymy jak grób, by użyć słów taty.

– Zupełnie się nie znam na giełdzie i akcjach, więc nie macie się czym przejmować.

– Oni mogą coś z ciebie wyciągnąć podstępem, kochanie. Albo przekręcą to, co im powiesz. To ludzie bez zasad.

– Oni nie są nam życzliwi – Nick powtórzył jedno z oschłych stwierdzeń Lionela.

– Wyznają moralność grzechotników – dodała Rachel.

Catherine usiadła na kanapie i kołysząc głową nad swoją szklanką, popatrywała na matkę i Nicka, wystraszonych nieco rozkwitającym na jej twarzy kpiącym uśmiechem. Po chwili jednak uzmysłowili sobie, że to nie kpina, lecz szczere przekonanie, zaprawione co prawda szczyptą kalkulacji – przekonanie, że będą dzielić z nią jej radość. – Miałam taki wspaniały dzień – powiedziała.

Siedzieli w kuchni przy kolacji. Zazwyczaj Nick bardzo lubił wieczory, które Gerald spędzał w Westminsterze, lubił taki przytulny i kameralny nastrój znośnego dla wszystkich kryzysu. Jeżeli akurat zjawili się goście albo gdy Gerald i Rachel wychodzili gdzieś razem, nieobecność Geralda okazywała się jeszcze bardziej ekscytująca, dając

Nickowi subtelne poczucie władzy i szersze pole manewru niż podczas normalnych rodzinnych kolacji. Tego wszakże wieczoru nieobecność Geralda znamionowała naprawdę poważny kryzys i była dość zastanawiająca. Najwyraźniej bardzo się przejął zaleceniem Rachel, by zachowywać się tak jak zawsze.

– A nad czym dziś Gerald głośuje? – spytała Catherine.

– Oj, kochanie... Nie mam pojęcia. Na pewno jest to coś ważnego.

– Nie możemy do niego zadzwonić?

– On nie odbiera telefonów w biurze. A jeśli tkwi na sali posiedzeń lub w jakimś innym pomieszczeniu pałacu, to i tak jest dla nas nieuchwytny. – Mówiąc o Pałacu Westminsterskim, Rachel zawsze wpadała w małą egzaltację.

– Wróci po głosowaniu – rzekł Nick. Wiedział, że Gerald ma przy sobie należący do Penny telefon komórkowy. Rachel wolała mu pewnie oszczędzić rozwichrzonej, beładnej paplaniny, jaką mogła zafundować mu córka.

– O co chodzi z tym przejęciem? – zapytała Catherine.

– Jedna firma wykupuje drugą.

– Wykupuje większościowy pakiet akcji – uściślił Nick. – I przejmuje kontrolę nad przedsiębiorstwem.

– A oni mówią, że Gerald nie miał tych akcji, tak?

– Z tego, co wiem – rzekła Rachel, starając się przefiltrować podawane córce fakty – niektórzy manipulują czasem ceną akcji.

– Zwiększają ich wartość?

– Otóż to.

– Albo zmniejszają, ma się rozumieć – uściślił Nick.

– Mhm... – potwierdziła Rachel.

– A jak oni to robią?

– No... Chyba... W pewnym sensie... Hm...

– Mhm... – potwierdził Nick.

Uśmiechnęli się, skonsternowani własnym oderwaniem od rzeczywistości.

– Ale to nie to samo, co kupowanie firmy bardzo tanio, żeby potem ją podzielić i sprzedać?

– Nie... – odparta Rachel z pełną wahania stanowczością.

– Bo coś takiego robi sir Maurice Tipper. Wiem od Toby’ego. Maurice Tipper, cwany typek. To jest jak z kupowaniem starego domu: zdzierają wszystkie marmury, a potem burzą.

– A mieszkańców wyrzucają na bruk – dodał Nick.

– No właśnie!

– Podobno tym samym zajmował się w Afryce nasz Borsuk – rzekła Rachel, krzywiąc się, jakby dręczyło ją sumienie. – Ale nie wiem, czy to prawda.

– Och, Borsuk... – powiedziała Catherine czule i lekceważąco zarazem. – Swoją drogą, co się z nim dzieje?

– Często wyjeżdża – odparła Rachel zdawkowo, jak gdyby wolała zmienić temat.

– Muszę się do niego odezwać.

– Dobry pomysł.

– Muszę odezwać się do paru osób, które ostatnio pozniwały mi z życia. To okropne, tracić z oczu tylu znajomych. – Catherine dalej buchała energią, lecz teraz z niesmakiem przypomniała sobie minione lato, kiedy okropne było dla niej wszystko.

– Będzie zaskoczony twoim telefonem – powiedziała Rachel.

– A wiesz, że widziałam się dzisiaj z Russellem?

– Naprawdę? – rzekła Rachel bez entuzjazmu.

– Pamiętasz go?

– Jakżeby inaczej!

– Ja też go pamiętam – rzekł Nick.

– Wypytywał mnie o was wszystkich.

– Lepiej miej się na baczności – powiedział Nick, rzucając Rachel porozumiewawcze spojrzenie.

– Ależ to są stare dzieje! – odcięła się Catherine, ogarnięta wesołą irytacją. Po chwili zaś oświadczyła: – Jeżeli Gerald będzie musiał podać się do dymisji, zabiorę was wszystkich na Barbados. Tak będzie najlepiej. Oczekamy tam, aż sprawa przycichnie.

– To bardzo miłe z twojej strony – odrzekła Rachel. – Ale to tylko gdybanie, moja droga.

– Oj, mamoo... Ten dom stoi przy samej plaży, a obok jest jeszcze ogromny basen. Do wyboru, do koloru.

– Wierzę, że jest tam wspaniale.

– Może tego mu właśnie potrzeba. Czegoś zupełnie innego...

– Masz dziwne pojęcie o tym, czego potrzeba innym ludziom – powiedziała Rachel.

– Już dawno to zauważyłam.

– Daj spokój. Przecież wiadomo, że Gerald przeżyje bez tej żalostnej diety oselskiej.

– Zapominasz, kochanie, że... twój ojciec naprawdę chce pełnić służbę publiczną.

– Okej. Po powrocie rzucicie się w wir działalności charytatywnej! Na pewno jest to bardziej pożyteczne niż siedzenie na stołku w Ministerstwie Opieki Społecznej i obcinanie ludziom świadczeń. Tata może założyć fundację: Fundację Geralda Feddena. Po czymś takim ludzie umieją się zmienić, zauważają biedotę i tak dalej.

– Poczekamy, zobaczymy – stwierdziła Rachel. Złożyła serwetkę i wstała od stołu.

Nick i Catherine wrócili do salonu. – Puść jakąś muzyczkę, kochany – powiedziała Catherine.

– Nie wiem, czy twoja matka...

– Coś miłego, dobra? Żadnej „apokapłaksy”. Okej, ja wybiorę. – Podeszła do szafki z płytami, uklękła i przechyliwszy głowę, wyciągnęła jeden longplay, nucąc pod nosem jakąś irytującą melodię. Nick usłyszał, jak igła uderza w płytę i rozlegają się znajome trzaski.

– Ścisż trochę, kochana...

Ściszyła i pokręciła głową: – Ten wujek Nick! – Z głośników dobieły się smętne podrygi *Tańców symfonicznych* Rachmaninowa. – Proszę bardzo! Przecież to lubisz – powiedziała.

– W pewnym stopniu – odparł Nick, który bardzo, ale to bardzo nie chciał teraz słuchać tego utworu.

– Jest cudowny – orzekła Catherine, unosząc ręce i spoglądając z niewidzialnej sceny na równie niewidzialną widownię. Nick jako nastolatek uwielbiał tę kompozycję, a będąc na pierwszym roku studiów, słuchał jej wręcz na okrągło, aby potwierdzić w sobie i pogłębić tęsknotę, która miała potem stanowić istotę jego życia; melodia ta zatem snuła się w nim przeciągle niczym bezkresna solówka saksofonowa. Teraz jednakże jej melancholia okazała się bolesna, a nawet złowroga. Patrzył na wpół świadomie, jak Catherine płąsa po salonie, pogrążona w niepokojącym transie. On też tańczył nieraz przy tym utworze, tyle że sam, we własnym pokoju, gdzie upiwszy się wcześniej,

świętował dni, w których widział się z Tobym, bądź opłakiwał brak kontaktu z przyjacielem.

– W tym też jest trochę „apokapłaksy” – powiedział, gdy rozległy się prawosławne zaśpiewy. Catherine wymachiwała rękami jak ostatnia heretyczka. – To tak jakby tańczyć swinga w soborze Pokrowskim. – Tymi płaskimi żarcikami starał się pokryć zakłopotanie. Catherine uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, po czym spojrzała na niego chmurnie, bo nie skorzystał z jej zaproszenia. Przypomnił sobie, jak przed czterema miesiącami błąkała się po pokojach niby smutne zapłakane dziecko. A teraz wcielała się w Ninę Makarową! Umykała jej melancholijność tej kompozycji, te zmienne, zdradzieckie harmonie. Był w tym ruch, więc było i życie. – Wiesz co, kochanie? – powiedział. – Sytuacja jest niewesoła. Dziwnie to trochę wygląda, gdy skaczesz tu sobie po salonie, a twoja matka tak bardzo się niepokoi... to znaczy, niepokoiśmy się wszyscy, rzecz jasna. – Poprawił się, bo z jednej strony pragnął zaznaczyć, że on też należy do rodziny, z drugiej zaś wolał ukryć własny niepokój, nie wiedział bowiem, na ile jest im tutaj potrzebny, a na ile po prostu przeszkadza. Catherine go nie słuchała, tylko dalej nucila sobie pod nosem z niezłomną pogodą ducha, lecz chwilę później niespodziewanie przestała tańczyć. Podeszła do dużego okna w tylnej części salonu i stanąwszy tam, poprzez własne odbicie w szybie patrzyła na migające za drzewami światelka. Układały się one zapewne w jakiś wzorek, który – jeśli odczytać go mądrze i z wyczuciem – mógł wydać patrzącemu jednoznaczne polecenie. Odwróciła się i uśmiechnęła do Nicka przymilnie. Potem usiadła na szerokim oparciu jego krzesła i przysunęła się do niego.

– Tak... – powiedziała. – Ucieknijmy stąd na moment. Masz tutaj swój samochód?

– Hm... Tak – odparł Nick. – Stoi za rogiem. Ale... niedługo wróci Gerald.

– Gerald może wrócić za sto lat. Przecież wiesz, że oni czasami głosują dopiero po północy, jeżeli posłowie mają obstrukcję.

– Albo są zatwardziali!

– Otóż to! Szybko wrócimy. Mam pewien pomysł.

Pomysł, którego realizacja pociągałaby za sobą nieobecność w chwili powrotu Geralda, nie mógł nie być przekonujący. Do salonu weszła Rachel, a Nick poczuł się, jakby przyłapano go na czymś zdoznanym, bo Catherine niemalże napierała na niego jak zalotna nastolatka. – Dzwonił Gerald – powiedziała. – Posiedzenie przeciągnie się dość długo. Rozpatrują projekt ustawy, którego Gerald musi... hm... przypilnować.

– Jak się czuje? – zatroszczyła się Catherine.

– Sądząc po głosie, nie najgorzej. Mówił mi, że mamy się nie martwić. – Emanowała z niej odzyskana pewność siebie; niewykluczone, że usłyszała właśnie, jak bardzo małżonek ją kocha. Ruszyła przez salon, szukając wzrokiem jakiegokolwiek drobnego zajęcia; w końcu znalazła na stole kilka płatków chryzantemy, zgarnęła je i wrzuciła do kosza. – Lubię ten utwór – powiedziała. – To Rachmaninow, prawda? – Smutny walczyk z drugiej części właśnie nabierał rozpędu. Wzrok Rachel skierował się ponad ich głowy i spoczął na obrazie Guardiego, wywołując zapewne falę wspomnień. Przez chwilę Nick myślał, że Rachel również puści się w tany, bo nagle bardzo upodobniła się do córki. Na wygłupy pozwalała sobie jednak wyłącznie przy grze w kalambury i przy zabawie w przysłowki.

– Mamo – powiedziała Catherine. – Nick i ja wybędziemy stąd na pół godziny, okej?

– Ależ kochanie... Po co?

– Mamy coś do załatwienia. Nie powiem ci co, ale... Szybko wrócimy!

– Czy to jest dobra chwila?

– Właśnie – powiedział Nick. – Też mam wątpliwości.

– Nie będę z nikim rozmawiać, bez obaw!

– Jeżeli wychodzisz – rzekła Rachel po chwili namysłu – to Nick powinien ci towarzyszyć.

– Przejedziemy się jego samochodem – tłumaczyła Catherine. – Nick będzie ze mną przez cały czas. – I roześmiawszy się radośnie, przyłgnęła na moment do przyjaciela.

Rachel spojrzała na Nicka trochę nieufnie, jakby nie była przekonana, że może on ręczyć za bezpieczny powrót Catherine, a Nick pomyślał, iż musi dobrać z siebie większe zasoby odporności psychicznej, niż wydawało mu się do tej pory. Uśmiechnął się słabo, skinął głową i przymknął oczy jak człowiek bardzo już znużony i przez to wyrozumiały. – Wracajcie jak najszybciej – powiedziała Rachel. – I wejdźcie do domu od tyłu. Przyda się wam latarka.

Gdy schodzili po schodach, Nick usłyszał przerywające walczyk groźne fanfary; był ciekaw, czy Rachel będzie dalej słuchać muzyki. W holu Rachmaninow rozbrzmiewał prawie równie głośno jak w salonie, napędzając cały dom aurą romantyzmu.

Catherine nie chciała zdradzić Nickowi celu wyprawy i mówiła mu tylko, gdzie ma skręcić. Oddalali się od domu i od samotnej w tym domu Rachel, a Nick wzdychał dobroduszenie, rad, że przyjaciółka nie wyczuła dręczącego go napięcia. Kiedy minawszy Marble Arch, wjechali na Park Lane, Nick zauważył: – Wygląda na to, że zmierzamy do Westminsteru.

– Poniekąd – odparła Catherine. – Zobaczysz. – Porzuciła już zalotność, lecz dalej tryskała radością i humorem.

– Nasza wizyta w Izbie Gmin nie ma chyba większego sensu.

– Nie, nie...

Wjechali na Grosvenor Place i sunąc potem Victoria Street, zbliżali się do oświetlonego reflektorami Opactwa Westminsterkiego. Następnie wtoczyli się na Parliament Square i ujrzeli jaśniejące oblicze Big Bena, które zawsze wzruszało Nicka niczym ulubione zdjęcie z uwielbianej w dzieciństwie książki. Zegar wskazywał dziewiątą trzydzieści i tęże godzinę wybijał, chociaż zagłuszał go ryk autobusów. – Dalej już nie możemy – powiedział, lecz Catherine kazała mu skręcić w lewo. Pojechali więc w kierunku Whitehall, minęli Downing Street i Banqueting House, po czym skręcili w stronę Tamizy i znaleźli się na niewielkiej uliczce, przy której pięło się do nieba rozległe gmaszysko z epoki wiktoriańskiej. Był to jeden z elementów nadrzecznego krajobrazu, którego obecność Nick rejestrował podświadomie, nigdy nie domyślając się ani nie dowiadując, co też w owym budynku się mieści; w głowie utkwiał mu tylko kształt dachu, kojarzący się z dachami zamków nad Loarą. Zaparkował po drugiej stronie uliczki, przy jakimś ponurym ministerstwie. Dokoła panował osobliwy mrok, a świeciły się tylko szklane zadaszania nad wejściami do gmaszyska, przywodzące na myśl lampy gazowe i dorożki. Pod jednym z takich zadasznień rysowała się charakterystyczna sylwetka portiera. Przez moment Nick miał wrażenie, że czuje najgłębszą istotę Londynu, niedostrzeganą na co dzień i niezmienną jak warkot wszechobecnych samochodów; składało się na nią rytmiczne, podziemne niemalże pulsowanie ośrodków władzy – władzy narzucającej porządek i wymagającej bezgranicznego posłuszeństwa. A potem Nick przypomniał sobie pewien fakt: – To tu mieszka Borsuk, prawda?

– Mama właśnie o nim wspomniała – odparła Catherine nieco zagadkowo.

Nick pojął, że jego przyjaciółka znowu się wygłupiła i że ta wyprawa to efekt irracjonalnej zachcianki. Zagłębił się w fotelu i zacisnął usta, lekko poirytowany. Mimo to

w szaleństwie Catherine mogła być jakaś metoda. – Myślisz, że Borsuk coś wie o tej sprawie? – zapytał. – Zresztą pewnie go tutaj nie ma, kochana. Miał wyjechać do RPA. – Jednakże Catherine otwarła już drzwiczki, nie wdając się w dalszą dyskusję z Nickiem, jakby go wcale nie słuchała. Zachowywała się pewnie i stanowczo, niczym wyznawca, który doznał objawienia. Nick nie chciał tam iść, bo nie lubił Borsuka, bo ta niechęć była odwzajemniona, bo wzrosłaby jeszcze, gdyby Nick zjawiał się u niego niespodziewanie w towarzystwie jego córki chrestnej, znajdującej się na dodatek w stanie maniakalnym. Nie było to w końcu zwykłe mieszkanie, tylko „garsoniera do dupczenia”, by użyć terminu Barry’ego Grooma. Nick wyobrażał je sobie jako mały apartament hotelowy, w którym Borsuk prowadzi swe wymęczone romanse ze znacznie młodszymi odeń kobietami, a odgrywając przy nich supermana, wypada równie pretensjonalnie, jak zdobiące tę wymyśloną garsonierę, sztychy na ścianach i szafka z barkiem w stylu chippendale.

Przeszli pod jednym ze szklanych zadaszeń i znaleźli się w wyłożonym brązowym marmurem holu. Słuchający radia mężczyzna w portierni kiwnął głową, jakby znał ich od dawna. Catherine, umalowana, ubrana w ciemny płaszcz i tchnąca niezłomną pewnością siebie, była zdolna pokonać każdą przeszkodę, toteż z nich dwojga jedynie Nick zachowywał się podejrzanie. Gdy czekali na windę, mogli jeszcze cofnąć się i wyjść. Catherine stała uśmiechnięta i drżała z emocji; rozpięła płaszcz, ręce wsunęła do kieszeni. – Jesteś pewna? – zapytał Nick. Wiedział, że powinien ją zawrócić, choć przecież z drugiej strony próbował usilnie dotrzymać jej kroku. Jej obecna brawura stanowiła wyzwanie dla jego rozsądnie bojaźliwej natury, a jej przecucia, nawet te najbardziej szalone, budziły w nim swoisty respekt. Pomyślał, że jej stan da się porównać do podniecenia po zażyciu koki, tyle że efekt był tu bardziej mentalny aniżeli zmysłowy. Rozległ się ostrzegawczy dzwonek, drzwi windy się rozsunęły i wybiegła z nich Penny Kent.

– Penny! – Nick stał jak wryty; wzruszył ramionami i uśmiechnął się niepewnie. Catherine była już w windzie; mrużyła oczy i oddychała głośno. Nick poczuł się jak idiota, a zarazem uradowała go świadomość, że właśnie odkrył coś ważnego, chociaż nie wiedział, co to jest. Wyszczerył zęby i rzucił dyplomatycznie: – Co porabiasz?

Penny zatrzymała się i odwróciła; wyglądała na zirytowaną i wystraszoną jednocześnie. Najpierw pobladła, a potem, w ciągu trzech lub czterech sekund (gdy

Catherine tupnęła i warknęła: – No dalej, Nick!), obląła się rumieńcem, który z policzków rozprzestrzenił się szybko na szyję i uszy. – Eee... Nick – powiedziała, dzielnie walcząc z zażenowaniem. – Chyba... Nie powinnam...

Nick, zmieszany, nie chciał zachować się niegrzecznie, choć rozkoszował się rumieńcem sekretarki Geralda, ciesząc się w duchu, że sam się nie zaczerwienił. Zablokował drzwi windy najpierw stopą, a potem ręką, bo mechanizm okazał się nad wyraz uparty. – Jak Gerald? – zapytał.

– No dalej, Nick! – powtórzyła Catherine.

Wsunął się tyłem do windy, a Penny pokręciła głową, zrobiła krok do przodu i zdążyła jeszcze powiedzieć: – Jego tu nie ma, Nick. Jego tu nie ma... – zanim drzwi zamknęły się na dobre.

– No cóż... – rzekł Nick, spojrzał na Catherine, potem na lustrzaną ścianę windy, w której stali oboje jak para obcych sobie ludzi, skrępowanych obecnością drugiego. Nawet w tym starym dostojnym budynku ktoś musiał wyskrobać na gładkich stalowych drzwiach pochyłe słówko KURWA. Nick przypomniał sobie, jak parę lat temu, gdy Gerald zatrudnił Penny, Borsuk wytrwale z nią flirtował. Żał było patrzeć na tę okropną heteryczną rywalizację, bo o ile Nickowi na Penny, rzecz jasna, nie zależało, o tyle na swoją ofiarę wybrał tu Borsuk najlepszego z przyjaciół. Uśmiechnął się gorzko, spojrzał w lustro i rzekł: – Borsuk wpadnie we wściekłość, kochana. Nie powinniśmy o tym wiedzieć. – Ale winda zatrzymała się właśnie i Catherine wychodząc, zmarszczyła szydyczko brwi, jak gdyby nie mogła uwierzyć, że przyjaźni się z osobnikiem tak mało domyślnym i tak tchórzliwym.

Ruszył za nią po czerwonym dywanie korytarza, mijając pokryte brązowym lakierem drzwi, opatrzone dzwoneczkami i tabliczkami z nazwiskiem. Po drugiej stronie rząd brązowo-żółtych okien witrażowych wychodził na mikroskopijny dziedziniec, na którym świeciły się teraz słabo jedynie tylne okienka paru mieszkań. Słychać było włączony telewizor, lecz wszystkie inne dźwięki ginęły w wyłożonych boazerią ścianach dostojnego gmaszyska, tłumione z podziwu godną dyskrecją. Łuki kinkietów, wygiętych niby łabędzie szyje, budziły na wpół świadome skojarzenia z oświetleniem gazowym, dając złudzenie podróży w czasie, złudzenie przytłaczające, choć, przynajmniej dla Nicka, niepozbawione swoistego uroku. Ostanie drzwi po lewej były lekko uchylone, być może w oczekiwaniu na powrót Penny. Catherine wcisnęła guzik dzwoneczka i przez moment stali

oboje nieruchomo, patrząc na oprawną w mosiężną ramkę kartkę z napisem „D.S. Brogan”. Raptem aż za bardzo znajomy głos krzyknął: – Otwarte! – i Catherine spojrzała z satysfakcją na Nicka, po czym wsunęła mu dłoń pod ramię. Było gorzej, niż Nick się spodziewał. Nie miał najmniejszej ochoty tam wchodzić i gdyby Catherine nie trzymała go tak mocno, wyrwałby się i uciekł. Rozległo się głośne westchnienie i miękkie odgłosy kroków; drzwi się otwarły i stanął w nich Gerald. Był bez butów, bez marynarki i krawata; miał odpięty i przekrzywiony kołnierzyk, a w lewej ręce trzymał papierosa. – O, cześć, Gerald! – powiedział Nick, natomiast Catherine, rozpromieniona oburzeniem, rzuciła: – Ależ tato! Miałeś rzucić palenie!

I

Fotoreporterzy szybko zorientowali się w topografii ogrodów miejskich, chociaż musieli się rozdzielić, żeby przynajmniej jeden z nich stał przy każdej z czterech bram. Rozkładali przenośne drabinki i popatrywali nad zarośniętym krzewami ogrodzeniem przez swoje lornetki i teleobiektywy, marząc o udanym zdjęciu. Sprzyjały im jesienne opadłe liście. Temat był wprawdzie gorący, lecz wystarczyło uzbroić się w odrobinę cierpliwości. Widywali się tak często, że rywalizacja nierzadko przekształcała się w przyjaźń, scementowaną przez wspólną obojętność wobec ofiar ich pracy. Rozmawiali ze sobą przez telefony komórkowe i wznosili prześmiewcze toasty herbatą z mlekiem, przyniesioną tu w termosach. Potem otwierała się brama przed domem i wyłaniał się z niej, na przykład, Toby, który kiedyś pracował z tymi ludźmi i który teraz musiał im się wymykać. Szedł ku jednemu wyjściu, po czym skręcał nagle i biegł w stronę innego; wtedy fotoreporterzy rzucali stek przekleństw i pobrzękując swą aparaturą, pędzili truchtem wzdłuż ogrodzenia; niektórzy nawet wskakiwali do samochodów. Później Geoffrey Titchfield ruszał na cogodzinny obchód ogrodów miejskich, który okazał się niezbędny po przyłapaniu w nich paru „sępów”, by użyć jego określenia. – Panowie nie mają prawa tu przebywać – oświadczył im wtedy. – Proszę o natychmiastowe opuszczenie tego terenu. – Sir Geoffrey był dogłębnie poruszony zaistniałą sytuacją. Akt demaskacji jego idola, sam w sobie szokujący, zyskał na sile wraz z początkiem inwazji na ogrody, grożącej jeszcze większą dezorganizacją życia.

Od strony ulicy zatrzaśnięto w domu wszystkie okiennice i zasunięto zasłony, tak że światło dzienne przybrało wewnątrz barwę straszego kaca lub jakiejś innej przypadłości przykuwającej człowieka do łóżka. Oświetlenie elektryczne w połączeniu z przyćmionym

światłem słonecznym tworzyło mdlą, chorobliwą mieszaną. Na wycieracze pod drzwiami lądowały kolejne gazety i spoczywały tam potem groźnie, czekając, aż wyciągnie się po nie niechętna ręka. „Milioner z Izby Gmin, jego elegancka małżonka, jego rumiana blond sekretarka”. „Zdesperowana córka opowiada o romansie ministra”. Wyglądało na to, że Catherine rozmawiała z Russellem, a Russell pogadał ze starym kumplem zatrudnionym w „Daily Mirror”; a potem ruszyła lawina. Rzecz ciekawa, na wszystkich zdjęciach „zrozpaczona Cathy” uśmiechała się niemalże triumfalnie. Tak było dnia pierwszego.

Drugiego dnia Gerald stwierdził, że nie chce się znowu poniżyć i przemykać przez ogrody na oczach spacerujących z psami i grających w tenisa sąsiadów. Włożył więc na głowę kapelusz z bardzo szerokim rondem, narzucił na siebie dwurzędowy płaszcz i wyszedł drzwiami od frontu prosto na uliczny plan filmowy. Wozy transmisyjne, reflektory, wsparte o ramię kamery, mikrofony w gąbkowych osłonkach, tłum reporterów – wszystko to nagle ożyło, by spełnić wreszcie swą funkcję. Od świeżo pobielonych ścian domu odbijało się sztuczne światło. Będąc w centrum uwagi, Gerald jak zwykle tryskał energią, grał główną rolę w tym filmie, niezależnie od kontekstu. Nick, stojący za zasłoną na drugim piętrze, widział, jak Gerald staje na chodniku przed domem i mówi gładkim donośnym głosem: – Dziękuję, panowie. Nie mam nic do powiedzenia. – Tkwiący przed nim w półokręgu dziennikarze zwracali się doń „sir”, „Gerald”, „panie Fedden” i „panie ministrze”. – Czy zamierza pan rozstać się z żoną? – Tędy, Gerald! – Panie Fedden, czy odpowiada pan za wykorzystanie informacji poufnych? – Gdzie jest obecnie pańska córka? – Panie ministrze, czy poda się pan do dymisji? – Nick widział, jaką przyjemność sprawia im zadawanie z kamienną twarzą tych wszystkich drwiących pytań, jak bardzo cieszy ich te pięć minut sprawowania realnej władzy. Przeraziło go to nie na żarty. Zastanawiał się, jak on sam stawiałby czoło podobnej sytuacji. Gerald przemieszczał się wolno, cierpliwie, dostojnie, dbał o zachowanie właściwych form, choćby treść była dla niego upokarzająca. Wsiadł w końcu do rangę rovera i niemalże tratując fotoreporterów, odjechał bezzwłocznie do Izby Gmin, aby złożyć rezygnację.

Nick wypuścił z dłoni zasłonę i ominąwszy przeznaczone dla gości łóżka, wyszedł na nieco jaśniejszy podest drugiego piętra. Z sypialni wyłoniła się Rachel. – Przepraszam za to absurdalne zaciemnienie – powiedziała. – Nie mam zbyt wielkiej ochoty na

bezpośredni kontakt z fotografami. – Jej żywy i pogodny głos zniechęcał do okazywania współczucia.

– To zrozumiałe.

Miała na sobie czerwono-czarny kostium wełniany, naszyjnik i kilka pierścionków; z pewnością dobrze wyszłaby teraz na zdjęciu. Nick spojrzał w głąb zacienionej obecnie białej sypialni Feddenów. Za pierwszymi drzwiami znajdował się mały przedpokój, z którego wchodziło się do bocznie usytuowanej łazienki, dalej zaś widać było drzwi drugie, zapewniające parze małżonków luksus absolutnej dyskrecji i intymności. Nick dojrzał tylko kawałek łóżka i okrągły stolik z oprawnymi w srebrne ramki zdjęciami Toby'ego i Catherine. Po raz pierwszy i ostatni był w tym pokoju tuż po przeprowadzce, owego pierwszego lata, kiedy to założywszy ręce do tyłu, chodził bezgłośnie jak intruz po tym sanktuarium małżeńskiej miłości, zawłaszczając to pomieszczenie na potrzeby własnych erotycznych fantazji.

– Mmm... Dziwne czasy – stwierdziła Rachel, jakby zwracała się do kogoś słabo jej znanego i niezbyt lubianego, z kim jednak musi przetrwać ten kryzys. Nick próbował doszukać się w tych słowach dobroduszej ironii, która zawsze pobrzmiwała w lakonicznych wypowiedziach Rachel, lecz tym razem chyba niczego takiego nie usłyszał. Może Rachel przez cały czas miała świadomość, że Nick wie o romansie Geralda i Penny, a jej obecna oschłość świadczyła o zgorzknieniu i zakłopotaniu.

– To prawda – powiedział. Współczuł jej bardzo, lecz nie miał pojęcia, jak mógłby to okazać; czuł się osobliwie zablokowany. W pewnym sensie ta chwila sprzyjała większemu otwarciu się na drugiego człowieka i można było to wykorzystać. Wydawało mu się, że na ruinach małżeństwa Feddenów uda mu się zbudować z Rachel naprawdę piękną przyjaźń. Ich dawny sojusz, zawiązany przez wspólne kpiny z pompatycznego Geralda, zacieśni się jeszcze i wzmocni również ją samą.

Spojrzała na niego z zaciśniętymi przez moment ustami, odwróciła się i ruszyła w dół, nie zwracając uwagi na portret Catherine, namalowany przez Normana Kenta i w oczach Nicka grający pewną rolę w trwającym tu i teraz dramacie.

– Dobrze by było, gdybyś znalazł Catherine – powiedziała już na schodach. Nick, który szedł za nią, roześmiał się nerwowo, czego natychmiast pożałował. – Powinna być z rodziną – dodała Rachel, nie odwracając się. – Potrzebuje opieki. Ten człowiek bardzo mnie niepokoi.

– Nie dziwię się – rzucił skwapliwie Nick. – Nie dziwię się ani trochę. – Czuł, że musi znaleźć nowy ton, aby pocieszyć kobietę dwakroć od niego starszą. Zrozumiał, że dając wyraz tej akurat obawie, tłumi wszystkie pozostałe zmartwienia. – Na pewno jest u niego bezpieczna – odparł – ale mogę tam zaraz pojechać, jeśli chcesz. – Aż zachwiał się na schodach, tak bardzo chciał okazać jej szacunek i wsparcie. W gruncie rzeczy potwornie bał się reporterów, nie wiedział, jak sobie z nimi poradzić, jak w ogóle radzić sobie z ludźmi, którzy nie okazują szacunku i wsparcia. Niepokoił go również Russell, przypadkowy współsprawca tego całego skandalu. Catherine znajdowała się teraz w jego mieszkaniu w Brixton, gdzie eks-chłopak „opiekował się” nią, odprawiając z kwitkiem każdego, kto chciał się z córką Geralda zobaczyć.

– Zrozum, ja nie mogę tam jechać, bo od razu obskoczyliby mnie dziennikarze – rzekła Rachel na podeście pierwszego piętra, jak gdyby już tutaj poczuła zagrożenie. Świat zewnętrzny okazał się dla niej nagle nie tylko obcy, ale i wrogi, a świat wewnątrz domu postradał raptem dawną przytulność. Gdy odwróciła się, na jej kamiennej twarzy poruszały się jedynie usta. Nick pomyślał, że Rachel się rozpłacze, i w pewnym sensie na to liczył, bo była to wszak w tej sytuacji rzecz jak najbardziej naturalna, stanowiąca przy tym oznakę zaufania; mógłby ją teraz objąć, czego nigdy wcześniej nie robił. Wyobraził sobie, jak szybkim zmysłowym ruchem wtula podbródek w jej wełniany kostium, jak czuje na ustach jej przyprószone siwizną włosy; Rachel przyłgnęłaby do niego z ulgą, drżąca, pełna akceptacji, a potem on zaprowadziłby ją do salonu, gdzie usiedliby i zdecydowali, co dalej z Geraldem.

– Oczywiście, że nie powinnaś... – odparł Nick. – To jasne.

Zamrugła szybko i postanowiła ulżyć sobie w inny sposób: – W końcu podobno jesteś świetny w obciążaniu, to znaczy, w wyciąganiu ludzi z opresji.

Po raz pierwszy usłyszał z jej ust szyderstwo; nie miał żadnej gotowej repliki. Przygnębiony, wlepił wzrok w dywan, potem w nogi stolika, potem w gładki próg drzwi do salonu. – Bo wiesz... – dodała Rachel. – Zakładaliśmy zawsze, że będziesz miał oko na Catherine.

Próbował sobie przypomnieć, kiedy wcześniej słyszał ten ton. Musiała to być jedna z tych ujmujących i zaskakująco zabawnych chwil szczerości, gdy zirytował ją jakiś działacz partyjny, jakiś prostak udzielający się na konferencji torysów. – Wiesz... – powiedział. – Staralem się. Chyba zdajesz sobie sprawę... – Nie doczekał się potwierdzenia. – No ale

Catherine jest dorosła, ma własne życie... – Roześmiał się lekko, jakby podkreślał rozsądek zawarty w swej odpowiedzi; taki śmiech zazwyczaj wystarczał, by odzyskać jej przychyłność.

– Co ty powiesz! – Rachel też się roześmiała, ale inaczej, jakby charknęła.

Nick oparł się o mahoniową poręcz i próbował po omacku znaleźć właściwą reakcję w obliczu zupełnie nowych okoliczności. Ostrożnie, ważąc każde słowo, powiedział: – Przyjaźniłem się z nią na tyle, na ile mi na to pozwalała. Przecież wiesz, że jej przyjaciele często się zmieniają, że jest nimi wszystkimi... rozczarowana. Więc pewnie zachowywałem się odpowiednio, skoro dalej cieszę się jej zaufaniem.

– Nie przeczę, jest ci bardzo oddana, to prawda – powiedziała Rachel. – Tak jak my wszyscy – dorzuciła stanowczo, lecz jakby trybem warunkowym, niczym rzecz bez większego znaczenia. – Chodzi jedynie o to, żebyś dbał o jej dobro, a nie po prostu... spiskował z nią, żeby spełnić jej zachcianki. Catherine jest bardzo poważnie chora.

– Tak, oczywiście – mruknął Nick, zmrożony tą reprimendą. Rachel milcząco badała puls własnych uczuć. Po chwili znów zamrugła, zaczerpnęła powietrza i westchnęła ciężko, jakby dalej nie posiadała się z oburzenia. – Wtedy, tamtego wieczoru, zostawiłem ją z Geraldem – rzekł Nick. – Z nim powinna być bezpieczna.

– Bezpieczna? Ona w ogóle nie powinna się tam pojawić.

– Daję ci słowo, że nie wiedziałem, dokąd mnie wiezie...

– Ona cię donikąd nie wiozła. To ty ją wiozłeś tym swoim okropnym auteczkiem. – Przerwała. – Wybacz...

Nick nie był pewien, czy tym ostatnim słowem cofa oskarżenie, czy może ze smutkiem je podtrzymuje. Marszcząc brwi, patrzył na nią łagodnie, bo chciał jej wybaczyć w odruchu chłopca, który nie jest w stanie znieść narzuconego mu poczucia winy. – Wiesz, w jakim ona była stanie. Nie mamy zresztą pojęcia, co się z nią dzieje w tej chwili, jeżeli nie wzięła ze sobą lidu.

– Mmm... Litu...

– To kwestia odpowiedzialności, wiesz? Zakładaliśmy, że rozumiesz swoje zobowiązania względem Catherine... i względem nas, rzecz jasna.

– No... Tak... – Zrewanżował się uśmiechem za zadany mu cios.

– Myśleliśmy, że poinformujesz nas o wszelkich... problemach. – Jej kateryczny, pełen mocnych akcentów ton był dla Nicka czymś nowym; sygnalizował zmianę w ich

wzajemnych stosunkach, które trudno będzie potem sprowadzić na dawne tory. Przywykł już do jej szybkich ustępstw, do pogodnie wyrażanych sprzeciwów... – Na przykład dopiero wczoraj wieczorem dotarła do nas wiadomość o bardzo poważnym wydarzeniu sprzed czterech lat.

– Nie rozumiem – rzekł Nick, kręcąc głową. To „do nas” było bardzo deprymujące, bo najwyraźniej podkreślało solidarność z Geraldem.

– Myślę, że świetnie wiesz, o czym mówię. – Patrzyła na niego z niesmakiem, który przekłada się na niemożność ujęcia w słowa istoty rzeczy. – Nie mieliśmy pojęcia, że pod naszą nieobecność Catherine próbowała... zrobić sobie krzywdę.

– Nie wiem, co do was na ten temat dotarło. Na pewno żadnej krzywdy sobie nie zrobiła. Prosiła mnie, żebym z nią został, więc zostałem. Nic się nie stało. Miała tylko jeden ze swoich złych dni.

– Niczego nam nie powiedziałaś. – Rachel pobladła z gniewu.

– Ależ Rachel, proszę cię... Catherine nie chciała was niepokoić, nie chciała psuć wam wakacji. – Wracały na wpół zapomniane usprawiedliwienia i pojawiło się dławiące poczucie, że sytuacja go przerasta. – Zostałem z nią, rozmawialiśmy... – Mało brakowało, a zacząłby się przechwalać.

– Tak, mówiła, że spisałeś się na medal. Swoją drogą, tamtego wieczoru, u Geralda, Catherine ciągle się tobą zachwycała. – Nick wlepił wzrok w podłogę, a potem spojrzął na czarne połączane miejscami słupki balustrady, wygięte w kształt litery S, zza których dobiegał odległy zgrzyt klucza w zamku i dźwięk otwieranych drzwi. Jakiś głos na ulicy powiedział: – Tutaj, kochanie! – i dzwoneczek nad drzwiami zabrzączał ponownie, gdy drzwi się zatrzasnęły.

Rachel stała nieruchomo, pani na swoich włościach, kipiąca świętym oburzeniem. Nick, nie próbując bynajmniej oswobodzić się z sieci oskarżeń, jakimi go obrzuciła, zszedł parę stopni po schodach i wyjrzał przez balustradę. Nie, to nie była Catherine, tylko Eileen, „stara” sekretarka Geralda, patrząca teraz w górę na Nicka. Miała na sobie ciemny płaszcz, a w ręce trzymała czarną torebkę. Wyglądała jak ktoś, kto wyszykował się na eleganckie przyjęcie, ale niestety pomylił daty. Nick domyślał się, że chciała dobrze wypaść w obiektywach fotoreporterów. – Cześć, Eileen – powiedział.

– Pomyślałam, że wpadnę i zajmę się, czym trzeba.

– Dobry pomysł – odparł Nick.

– Obiecałam, że się zajmę...

– Znakomicie. – Nick uśmiechnął się uprzejmie, dając jednak do zrozumienia, że jest zajęty i że musi powrócić do przerwanej czynności. Żartowano tu zawsze, że Eileen podkochuje się w Geraldzie, który zresztą otwarcie kpił z jej pracowitości i zapobiegliwości. Nickowi kojarzyła się przede wszystkim z początkowym okresem jego mieszkania w tym domu, kiedy istotnie „zajmowała się, czym trzeba” – z okresem, który Rachel przewracała teraz na nice.

– Przyniosłam „Standard” – powiedziała, podchodząc do schodów i kładąc dłoń na wieńczącej poręcz ślimacznicy. – Raczej ci się nie spodoba. – Zrobiła parę kroków w górę, a Nick zszedł do niej z mglistym poczuciem, że doręczono mu wezwanie i musi je odebrać. Wiedział, że musi zachować najwyższą ostrożność, aby złagodzić siłę wymierzonego w Rachel ataku. Ustawił się zgrabnie jedną stopą na jednym, drugą na drugim schodku, i rozprostował gazetę. Na pierwszej stronie widniało jego zdjęcie. Wróć do tego za moment, pomyślał i spojrzał na nagłówek, który wydał mu się bezsensowny. Znowu popatrzył na zdjęcie i zauważył, że obok zamieszczono fotografię Waniego. Na artykuł nie było już miejsca, bo nedorzeczne nagłówki i zdjęcia zdominowały całą stronę. Poczuł, że żal mu Bertranda: „Rozwiąży syn lorda chory na AIDS”. I podtytuł: „Przyjaciel gej lokatorem ministra”. Trudno to było ogarnąć, trudno przełknąć od razu. Nick odniósł dziwne wrażenie, że balustrada znikła i że podłoga w holu wznosi się ku niemu; nie zemdlał jednak, był w pełni świadomy. Mógł trzeźwo uznać te wiadomości za złe. Potem przypomniał sobie ich bezpośrednie źródło i zaczął czytać artykuł, rejestrując głucho dudnienie gdzieś w okolicach mostka.

II

– Nick... Do jasnej cholery...! – powiedział Toby w jadalni nazajutrz rano.

Nick zagryzł policzek. – Wiem...

– Nie miałem o tym zielonego pojęcia. Nikt z nas o tym nie wiedział. – Odsunął od siebie leżący na stole egzemplarz „Today” i opadł na krzesło.

– Kotka wiedziała. Zorientowała się, gdy w zeszłym roku byliśmy we Francji. – Nick użył rodzinnego przydomka Catherine ze świadomością, że prawdopodobnie nie ma już do tego prawa.

Toby patrzył na niego z urazą, jak gdyby przypominał sobie dworek, stół pod daszkiem i basen, przy którym upili się razem owego długiego upalnego popołudnia. – Wiesz... Mogłeś mi powiedzieć. Mogłeś mi zaufać. – Toby zdradził mu tamtego dnia kilka własnych bardzo intymnych sekretów, wkraczając z powodzeniem na zastrzeżony dotąd dla Nicka świat analizy emocjonalnej. – Dwóch najlepszych przyjaciół, rozumiesz? Wyszedłem na kompletnego kretyna.

– Zawsze chciałem ci o tym powiedzieć, kochanie. – To ostatnie czułe słówko odbiło się od Toby'ego jak piłka. – Ale Wani nie chciał nawet o tym słyszeć. – Nick patrzył nieśmiało na starego przyjaciela. – Wiem, że ktoś, kogo długo nie dopuszczano do tajemnicy, bardzo boleśnie to przeżywa. Ale nie chodzi tu przecież o ciebie konkretnie. Sekret to coś, czego po prostu nie można wyjawiać, nieważne komu.

– Hm... A teraz to! – Sięgnął do sterty gazet i wyciągnął z niej „The Sun”. – „Gejowskie harce w letniej posiadłości pana posła”. – Odrzucił od siebie gazetę pogardliwym i nieco wyzywającym ruchem.

– Ich pojęcie o harcowaniu jest doprawdy ujmujące – powiedział Nick, starając się rozładować atmosferę.

– O harcowaniu...? Ujmujące...? – powtórzył Toby z niedowierzaniem i żalem, że musi tym tonem zwracać się do człowieka, któremu zawsze tak bardzo ufał. Wstał i podszedł niepewnym krokiem do drugiego krańca stołu. W jadalni dalej panował nastrój przewlekłego kaca; promienie słoneczne sączyły się słabo przez szczelinę nad zamkniętymi okiennicami, a poślacane kinkiety jarzyły się purpurowym światłem. Toby stanął na tle Lenbachowskiego portretu swojego pradziadka: tęgawego przedstawiciela dawnej burżuazji, odzianego w szczelnie zapięty czarny płaszcz. Genealogiczny instykt Nicka podpowiadał mu, że jego przyjaciel będzie coraz to bardziej upodabniać się do swego protoplasty. Toby miał teraz na sobie czarny garnitur, niebieską koszulę i czerwony krawat. Wybierał się na jakieś zebranie, a i obecna rozmowa mogła z formalnym zebraniem się kojarzyć. Po swoim przodku odziedziczył zapewne szacunek dla niecierpiących zwłoki spraw biznesowych tudzież wyniosłą nieumiejętność przewidywania skandali.

– Przepraszam – rzekł Nick.

– No tak... – westchnął Toby, jak gdyby ważył w myślach brzemie, którym został obciążony, i zastanawiał się, co jeszcze może go czekać: wszak ostatnio ciągle wybuchały wokół niego kolejne zaskakujące informacje. Oparł się o stół i wlepiwszy wzrok w gazetę, starał się ukryć skrępowanie. – Najpierw pogłoski o finansowych przekrętach taty, potem sprawa taty i Penny, potem ty i Ouardi z tym całym choróbskiem...

– Przecież wiedziałeś, że Wani ma AIDS.

– Mmm... Tak... – odparł Toby niepewnie. Ułożył gazety w równy stosik z miną zawziętą i nieobecną zarazem. Każdy tytuł dowodził niezbitcie, jak bardzo zdumiewająca była jego obecna sytuacja. – Na dodatek moja cholerna siostrunia na dobre już zwariowała.

– To ona wpakowała nas w tę kabałę.

– Jakby nienawidziła taty...

– To nie jest takie proste...

– Ciebie też nienawidzi. Co ją ugryzło?

Nick przypomniał sobie rozmowę sprzed lat, gdy nad oksfordzkim jeziorem Toby opowiadał mu o siostrze... – Wydaje mi się, że to wcale nie jest nienawiść – rzekł Nick. – Po odstawieniu litu Catherine zrobiła się prawdomówna, taki ma nastrój i już. Swoją drogą, ona zawsze lubiła wygarnąć prosto w oczy i wcale nie chciała nas teraz zranić. Po prostu trafiła w łapy typków, którzy bardzo nie lubią Geralda, to wszystko.

– Tak czy inaczej, straszny syf – orzekł Toby, nie pozwalając Nickowi na zmianę ról. Szeroko otwarte oczy i drżące smutno usta stwarzały niebezpieczeństwo, że zaraz się rozpłacze.

– Straszny syf, zgoda – potwierdził Nick i aż wzdrygnął się na myśl, że próbował właśnie wytłumaczyć Toby'emu to, co on sam wie najlepiej. Wszyscy go oszukali lub odmówili mu zaufania, co zresztą też jest odmianą oszustwa; byto to naprawdę okropne, lecz Nick stwierdził, że jest osobliwie rozbawiony i że usta wykrzywiają mu się w lekkim uśmiechu.

– Najlepsze zdjęcia są w „Independent” – powiedział Toby. – Chłopcy trzymają wysoki poziom.

– Tak. W porównaniu z nimi „Telegraph” wypadł blado.

– Ale „Mail” poradził sobie nieźle. – Toby rozpostarł rzezoną gazetę. Na dwóch pełnych kolumnach „zgryźliwy analityk” pastwił się nad „sprawą Feddenów”, znaną mu, jak twierdził, „od środka”. Pod zrobionym w Hawkeswood zdjęciem, na którym Toby trzymał Sophie w tanecznym uścisku, widniał podpis Russella. Wpatrując się w podłogę, wręcz unikając wzroku Nicka, Toby powiedział: – I co my teraz poczniemy?

– Właśnie. Wszystko jest w zawieszeniu.

– To znaczy... Nie wyobrażam sobie, żebyś tu dalej mieszkał. – Gdy przez kilkanaście sekund wpatrywał się potem w Nicka, jego cudowne brązowe oczy nie były już tak łagodne i rozbiegane jak dawniej.

– Nie, nie... To oczywiste. – Nick spojrział na niego chmurnie, jak gdyby uraziła go sama sugestia, że mógłby mieć inne zamiary.

Toby zacisnął usta, wstał, wyprostował się i zapiął marynarkę. Uznał zapewne, że mógł się z tego zadania wywiązać lepiej, lecz mimo wszystko sprawę załatwił. Wciąż niespokojny, acz zadowolony, ruszył szybko w stronę drzwi. – Muszę zamienić słówko z mamą – powiedział. – Przepraszam.

Nick został sam. Czuł, że najgorszy z tego wszystkiego był gniew przyjaciela – coś zupełnie bez precedensu. Siedział dalej przy stole, patrząc na własną podobiznę w gazetach. Na jednym ze zdjęć wchodził do domu Feddenów, na innym zaś był o cztery lata młodszy, pod muszką i w smokingu od stryjecznego dziadka Archie’ego, nieźle już wstawiony. To niewiarygodne, pomyślał, ale nie udało im się dotrzeć do zdjęcia z panią premier. Mimo to mieli wszystko inne: seks, władzę, pieniądze, wszystko, czego zawsze pragnęli. A przy tym wszystko, czego zawsze pragnął Gerald. Występowała tu dziwna zbieżność. Nick czuł, że wtargnięto w jego życie, strasznie i bezsensownie, ale zarazem jakąś twardą wciąż cząstką siebie obserwował wypadki ze swego rodzaju dystansem i pogardą. Zgrozą przejmowała go myśl o hańbie, jaką ściągnął na rodziców, choć w końcu on sam niczego nowego się nie dowiedział. Długa rozmowa telefoniczna, najpierw z ojcem, potem z matką, okazała się właśnie trudniejsza przez to, że nie umiał udawać zaskoczenia; dla nich z kolei wszystko to było „dość szokujące”, wymagało wyjaśnień i prosiło się wręcz o kontrofensywę. Nick zauważył, że odpowiada lekceważąco, tym mocniej ich raniąc, bo przecież w głębi ducha pragnęli dla niego jak najlepiej, martwili się o niego, chcieli go chronić. Z drugiej strony wyprowadzały go z równowagi sugestie, że spodziewali się kłopotów, że przeczuwali, iż coś tutaj nie gra. Dla Nicka nic nie było tu

szokujące i nie mógł zrozumieć, z czego aż taką sensację robią dziennikarze. Wiedział o Penny, wiedział o sobie i Wanim. Jeśli coś szokowało, to właśnie prasa. „Chciwość wygrywa z roztropnością” – pisał Peter Crowther, jak gdyby odkrył nieznaną wcześniej prawdę. W ten oto sposób spędzone u Feddenów lata, przepojone intensywnym i głęboko intymnym romantyzmem, przedstawiał światu obłudny pismak.

Zabrzączał dzwonek, a ponieważ nikt nie zareagował, Nick podszedł do drzwi i wyjrzał przez nowego judasza. Zamajaczyły w nim rysy wściekłego i napuszonego Barry’ego Grooma, który po chwili przesunął się w bok, aby zadzwonić raz jeszcze. Nick otworzył drzwi i omijając wzrokiem pana posła, powiódł spojrzeniem po niemalże wyludnionej ulicy, – Witaj, Barry. Wejdz, proszę... Tak, już sobie poszli...

– Dziękuję uprzejmie – odparł Barry, a wchodząc, zmarszczył brwi i zacisnął usta. – Przyszedłem do Geralda.

– Tak, oczywiście. – Trudno było powiedzieć, czy Barry traktuje Nicka jak służącego, czy jak nieożywioną przeszkodę. – Tędy – rzekł Nick, odwrócił się zgrabnie i ruszył w głąb holu. – Strasznie mi przykro z powodu tej całej makabry. – Mówiąc to, poczuł osobliwą przyjemność. Przez chwilę zdawało się, że Barry przyjmuje to wyjaśnienie, lecz potem jego twarz znowu stężała.

– Stul pysk, głupi pedale! – Zdanie to było dość nieoczekiwane i może dlatego miało dużą siłę wyrazu.

– No... – Nick popatrzył w ogromne, wiszące w holu lustro, jakby szukał tam świadka. – W ten sposób...

– Stul pysk, ty cwelu! – Barry zacisnął zęby, odepchnął Nicka i sam już szedł dalej w stronę gabinetu Geralda.

– A chuj ci w dupę – powiedział Nick, a raczej wyszeptał bezgłośnie te słowa, bo bał się, że Barry odwróci się i zdzieli go pięścią w twarz. Gerald otworzył drzwi i wyściubił głowę jak zapracowany dyrektor szkoły.

– O, Barry! Dobrze, że jesteś. – Co rzekłszy, posłał Nickowi pełne wyrzutu spojrzenie.

– Ty ponury, bezmózgi, chciwy i brzydki... cwelu... – mrucał Nick pod nosem, zaskoczony i rozbawiony ciśniętymi w niego inwektywami. Chodził po holu, wpatrzony w marmurową szachownicę posadzki, i mrugał oczami, nie posiadając się ze zdumienia. Był ciekaw, czy krzątająca się w kuchni Elena słyszała wybuch Barry’ego. Zawsze

protestowała, nieśmiało wprawdzie, lecz jednoznacznie, gdy Geraldowi wymknęła się jakaś „kurwa”; traktowała to bardzo poważnie.

– Cześć, Elena – rzekł Nick, wchodząc do kuchni.

– Więc przyjsć pan Barry Groom – powiedziała Elena. Była wprawdzie kobietą drobną, lecz kuchnię zdawała się wypełniać w całości, jakby nieustannie ją patrolowała. – Jemu kawa?

– Nic nie mówił. Ale sędzę, że nie.

– Jemu nie kawa?

– Nie... – Patrzył na Elenę z powściągliwą sympatią, ciekaw, na ile opłacało mu się paroletnie okazywanie jej ciepłych uczuć. – Swoją drogą, nie będę dziś na kolacji. – Elena uniosła brwi i zacisnęła usta. Rewelacje na temat Waniego i Nicka musiały porządnie ją oszołomić. Trudno było powiedzieć, czy do Eleny kiedykolwiek dotarło, że Nick jest gejem. – Zrobił się nam tutaj niezły bałagan, prawda? *Un pasticcio... un imbroglio*.

– *Pasticcio, si* – roześmiała się szorstko. Takie próby rozmówek w jej ojczystym języku zawsze umiały ich nieco rozbawić. Weszła teraz do spiżarni i mówiła coś, stojąc plecami do Nicka, który niczego nie rozumiał.

– Przepraszam. Możesz powtórzyć?

– Jak długo ty jest tutaj? – Wpatrywała się w rząd puszek w regale.

– W Kensington Park Gardens? Latem minęły cztery lata, czyli... cztery lata i trzy miesiące.

– Cztery lata. Dobrze czasu.

– Tak, to był dobry okres – poprawił ją półgłosem, chociaż nie to zamierzała powiedzieć. Sięgała po coś na górnej półce i Nick, niewiele od niej wyższy, wyciągnął rękę, by jej pomóc. – Borlotti? – Kiedy podawał jej puszkę z fasolą, musiała przynajmniej kiwnąć głową w podziękowaniu. Wyszedł razem z nią, jak gdyby liczył na kolejne zadanie. Przyłożyła do puszki otwieracz i zaczęła kręcić rączką; Nick widział ją przy tej czynności dziesiątki, setki razy: gdy otwierała konserwy z pomidorami, *fagiolli* i innymi produktami, które wolała w takiej właśnie postaci, nie zaś świeże. I nagle sprawa stała się dla Nicka jasna i jednoznaczna: – Elena... Teraz to ja muszę złożyć rezygnację.

Spojrzała na niego przenikliwie, aby upewnić się, czy dobrze go zrozumiała, po czym kiwnęła głową, a może nawet się uśmiechnęła, rozbawiona trafnością wybranych przez Nicka słów. Krzątała się teraz przy stole tak gorliwie, jakby chciała wyrazić żal z

powodu usłyszaną wieści. Nick zresztą też był poruszony i patrzył na nią z nadzieją. Za plecami Eleny wisiały na ścianie rodzinne zdjęcia, a ona sama, pochylona i bez przerwy zajęta, tworzyła niejako wraz z nimi większą kompozycję wizualną; widniała zresztą na jednym z nich, z paniczem Tobym w dzieciennym łóżeczku – była z nimi od samego początku, od legendarnych czasów w Highgate... Zaczęła siekać cebulę, ale po chwili uniosła wzrok i spytała: – Pamięta, kiedy ty przyjsz tu pierwszy raz?

– Oczywiście – odparł Nick.

– Kiedy my spotkali...

– Jasne – zachichotał i zarumienił się nieznacznie, bo nigdy jeszcze nie rozmawiali o owym drobnym nieporozumieniu sprzed lat. Ucieszył się, że Elena o tym wspomniała. Nie było powodu do wstydu, bo przecież zachował się wtedy szarmancko i potraktował ją nie tylko jak równą sobie, ale nawet jak kogoś wyżej od niego postawionego.

– Ty myślał, że ja pani Fed.

– Tak, pamiętam. Nie znałem wtedy żadnej z was. Ale widzę elegancką kobietę i...

Elena, która dalej siekała cebulę, nagle zacisnęła powieki i powiedziała: – W tamten dzień ja myślę sobie: on jest... *sciocco*, on nie wie nic. Jest miły, ale jest... wiesz... – Popukała się palcem w czoło.

– *Pazzo*...? – zaryzykował Nick.

– On niemądry – dokończyła Elena.

Nick poszedł do swojego pokoju i stanął, wpatrzony w parapet, na który padały obojętne przedpołudniowe promienie późnojesiennego słońca. Był zamyślony, lecz jego myśli nie wyrażały się w słowach, stanowiły czystą abstrakcję, jednoznaczną i smutną. Potem pojawiły się proste słowa, jakby ktoś je Nickowi napisał. Najlepiej, najpiękniej zabrzmiałyby w liście, gwarantującym pełną kontrolę nad formą i treścią. Gdy je wymówić, drżący głos mógłby wypaczyć ich znaczenie. Nick zszedł na dół, do Geralda.

Przez uchylone drzwi do gabinetu słychać było, jak Gerald mówi coś do Barry'ego. Nick stał na korytarzu i, jak to już nieraz się zdarzało, niechętnie wchłaniał w siebie słowa nie dla niego przeznaczone. W tym gabinecie często rozmawiano przez telefon, często podejmowano decyzje biznesowe i polityczne, a omawiane tam sprawy dorosłych ludzi dawały Nickowi poczucie bezpieczeństwa i kojarzyły się z urywkową rozmową rodziców w trakcie nocnej podróży samochodem, gdy jako dziecko przysypiał na tylnym siedzeniu.

Zdarzało się, rzecz jasna, że wpadł mu w ucho taki czy inny sekret; nieszczerze i tylko przed sobą samym zdziwiony tym, co słyszy, upajał się zaufaniem, jakie w nim pokładano i na jakie zasługiwał. Teraz zaś perorował Barry: – Nie rozumiem, jak mogłeś do tego dopuścić. – Gerald zakaszlał i burknął coś ponurym głosem. – Co tu, kurwa, robi ten mały pedał? – ciągnął Barry. – Dlaczego przez cały czas po twoim domu kręci się ta mała ciota?

Mówił coraz głośniejsze, a Nick czuł, że przyspiesza mu puls w oczekiwaniu na reakcję Geralda. Wrzał z oburzenia i chęci odwetu. Barry Groom nie miał przecież zielonego pojęcia o życiu rodziny Feddenów. – Muszę chyba przyznać – rzekł Gerald – że błędnie go ocenilem. Co zresztą nieczęsto mi się zdarza, bo raczej znam się na ludziach. Ale tym razem... owszem. Popełniłem błąd.

– I za ten błąd musisz zapłacić. – Barry okazał się bezwzględny.

– Lubiły go moje dzieci, a nasz dom był zawsze otwarty dla ich przyjaciół.

– Hm... – mruknął Barry, który publicznie wydziedziczył swojego syna „dla zasady”, chcąc, by budował własny majątek od zera. – Ja nigdy mu nie ufałem – powiedział. – Zapewniam cię: znam ten typ. Nic nie mówi, a po cichu myśli swoje. Pamiętam, jak parę lat temu siedziałem tu z nim po kolacji i myślałem sobie: nie twoje tu miejsce, ty mały lizodupie, za wysokie progi dla ciebie. I wiesz, co ci powiem? On o tym wiedział! Widziałem, że rwie się na górę, do kobiet.

– Wiesz... – Gerald próbował zdobyć się na nieśmiały protest. – My nigdy nie mieliśmy z nim problemów.

– I to zasrane poczucie wyższości! – Barry sądził zapewne, że wulgaryzmy świetnie nadają się do podkreślania niezbyt przyjemnych prawd. Nick pamiętał, jak owego wieczoru Barry dowiódł, że jest człowiekiem bez klasy, wybuchając gradem bezładnych przekleństw. – Oni nas nienawidzą. Nie mogą się rozmnażać i pasożytują na dobrodusznym naiwniakach twojego pokroju. Kleją się do ciebie, kleją się do Ouardich. Nie dziwię się ani trochę, że sprowadził na manowce twoją córkę, wykorzystał ją, trudno to inaczej określić. Homosie robią takie numery.

Gerald wymruczał jakieś niemrawe potwierdzenie. Nick opierał się o futrynę drzwi, lekko schylony, jakby chciał właśnie zapukać. Mieszało się w nim kilka uczuć: przede wszystkim złość na Geralda, który nie umiał go obronić, i dziwna, rozkoszna wręcz wrogość wobec Barry'ego. Ten ostatni był wielokrotnym cudzołożnikiem i eks-

bankrutem, więc Nick, jako człowiek przez niego znienawidzony, musiał z definicji zasługiwać na szacunek. Ale Gerald... Gerald, mimo wszystkich swoich wad, zaliczał się jednak do przyjaciół...

– Nie muszę ci mówić – ciągnął Barry – że Doiły Kimbolton wpadła w furję. A Ouardi wpłacił na konto partyjne kolejne pół miliona funtów.

Nick podreptał z powrotem do jadalni i usiadł na swoim miejscu przy stole. Ponownie przyjrzał się zdjęciu, na którym Gerald Fedden obejmował Penny Kent, zdjęciu zrobionym z odległości kilkuset metrów, przez co para kochanków wyglądała na nim jak zbiór bezsensownych kropek.

Po wyjściu Barry'ego Nick odczekał minutkę, wrócił pod gabinet Geralda i wsunął głowę w uchylone drzwi. Rozejrzał się szybko, jak gdyby sprawdzał, czy Gerald jest sam, i słabym uśmiechem dał do zrozumienia, że cieszy się z nieobecności Barry'ego. Gerald, który stojąc przy biurku, przeglądał jakieś dokumenty, uniósł wzrok znad swoich półokrągłych okularów. – Czy to dobry moment? – zapytał Nick. Chrząknięcie Geralda mogło oznaczać „co”, „nie” lub „tak”, po nim zaś dało się słyszeć gniewne westchnienie. Nick wszedł i zamknął za sobą drzwi, ponieważ nie chciał, by ktoś postronny słyszał tę rozmowę. W gabinecie wciąż czuło się klimat rozmowy poprzedniej, a po niskim skórzanym fotelu widać było wyraźnie, że właśnie tam siedział poprzedni gość. Tak jakby odbywała się teraz kolejna ze zwieńczonych decyzją narad, których doniosłość potwierdzał przytłaczający zapach skórzanych obić, stęchły zaduch po cygarach i wysoki połysk mebli.

– Moment jest znakomity – odparł Gerald, zdejmując okulary i obdarzając Nicka krótkim chłodnym uśmiechem.

– To znaczy... – powiedział Nick, słysząc, jak własne słowa zyskują inne znaczenie.
– Zabiorę ci tylko momencik.

– Hm... – mruknął Gerald, jak gdyby sugerował, że sprawa, którą muszą wspólnie załatwić, zajmie im trochę więcej czasu. Rzucił okulary na biurko i podszedł do okna. Miał na sobie bawełniane spodnie dojazdy konnej i nijaki brązowożółty sweter, przez co w jego wyglądzie symboliczna pokuta łączyła się z oficerską stanowczością – najwyraźniej opracowywał już plan wielkiego powrotu. Nick miał niemądre poczucie, że spotkał go przywilej wtargnięcia w prywatność Geralda w trudnej dla niego sytuacji a jednocześnie, i to jeszcze bardziej dziwiło, czuł się śmiertelnie jego osobą znużony.

Gerald patrzył przez okno na ogród, lecz w gruncie rzeczy sondował głębiny własnej niedoli. Nick nie wiedział, czy ma się odezwać – jak przewidywał, nie było to łatwe – stał więc, trzymając się oparcia krzesła, i czekał w napięciu, aż Gerald do niego przemówi. Ten zaś rozpoczął od pytania: – Jak Wani?

A więc zdobył się jednak na mroźną przyzwoitość. – Jak już wiesz – odparł Nick – Wani jest ciężko chory. Raczej beznadziejnie...

Gerald lekko kiwnął głową, jakby zaznaczał, że brak nadziei cechuje nie tylko tę sprawę. – Ciężka przeprawa dla rodziców. – Odwrócił się i przenikliwym spojrzeniem starał się wymóc na Nicku analogiczne współczucie. – Biedny Bertrand. Biedna Monique.

– Tak...

– Stracić jedyne dziecko. – Obydwaj usłyszeli w tym niepełnym zdaniu echo słów lady Bracknell²⁸, toteż Gerald szybko zażegnał niebezpieczeństwo ześlizgnięcia się w ton żartobliwy. – Trudno to sobie nawet wyobrazić. – Pokręcił wolno głową i znowu stanął przy biurku. Miał tak wymuszenie poważny i współczujący wyraz twarzy, jakby naprawdę w duchu się śmiał. Była w tym również nutka pretensjonalnej ekliwkości, bo w końcu i on „stracił” dziecko, więc mógł szczerze się z Ouardimi solidaryzować. – I straszna tragedia dla tej dziewczyny.

Przez chwilę Nick nie rozumiał. – A... Mówisz o Martine.

– O jego narzeczonej.

– Tak... Prawdę mówiąc, ona wcale nie była jego dziewczyną.

– Jak to? Przecież mieli się pobrać.

– Może nawet by się pobrali, ale tylko dla zachowania pozorów. Płacono jej za to...

Gerald zadumał się na moment, po czym znacząco uniósł brwi, zgorzkniały i zrezygnowany. Miał kiepskie pojęcie o realiach życia gejów i nigdy tego tematu nie poruszał w rozmowach z Nickiem, nigdy nie robił żadnych aluzji, nie pozwolił sobie choćby na drobny żarcik. Teraz zaś chwila mato sprzyjała edukacji, aluzjom czy żartom. Nick roześmiał się nerwowo i rzekł: – Mnie będzie go bardzo brakować, rzecz jasna.

²⁸ Lady Bracknell – postać ze sztuki Oscara Wilde’a *Bądźmy poważni na serio*.

Gerald wrócił do swoich papierów, posegregował je i włożył do tekturowej teczki, zapinanej na gumkę. Następnie spojrzął na oprawione fotografie Rachel i pani premier, jakby szukał w nich aprobaty, i rzekł: – Przypomnij mi, jak do nas trafiłeś.

Nick nie był pewien, czy względy grzecznościowe istotnie każą mu odpowiedzieć na pytanie sformułowane w ten sposób. – Jak wiesz – odparł jednak, wzruszając ramionami – trafiłem tu jako przyjaciel Toby’ego.

– Aha... – Gerald kiwnął głową, ale dalej nie patrzył na Nicka. Usiadł za biurkiem na czarnym dyrektorskim fotelu. Skrzywił twarz w wyrazie przesadnego zdziwienia. – A ty naprawdę przyjaźniłeś się z Tobym?

– Oczywiście – odrzekł Nick.

– Osobliwa to musiała być przyjaźń, prawda...? – Uniósł wzrok, niby to obojętnie.

– Nie sędzę.

– On chyba nic o tobie nie wiedział.

– Ależ Gerald... Ja to ja! Nie jestem żadnym najeźdźcą z kosmosu. Studiowaliśmy razem przez trzy lata.

Gerald nie przyznał mu racji, tylko obrócił się na fotelu i znowu wyjrzał przez okno. – Dobrze ci się tu żyło, prawda?

Nick aż sapnął z rozczarowania. – Oczywiście...

– Okazywaliście ci ogromną serdeczność, prawda? I w pewnym sensie uczestniczyłeś w naszym życiu. Przyjaźniąc się z nami, poznałeś wiele wybitnych osób, obracałeś się w doborowym towarzystwie.

– Tak, oczywiście. – Nick musiał zaczerpnąć tchu. – Również dlatego tak strasznie ubolewam nad tym, co się stało... – i uzupełnił szczerze, acz zrećnie: – Chodzi mi o ten ostatni incydent z Catherine.

Gerald wyglądał na bardzo obrażonego – nie oczekiwał od Nicka dyplomatycznych przeprosin, szczególnie takich, którymi przeprasający ubolewa nad zachowaniem córki przepraszanego. – Obawiam się – powiedział, jakby czynił jedynie marginalną uwagę – że nigdy nie rozumiałeś mojej córki.

Nick wziął to za dobrą monetę i wyjaśnił: – Podejrzewam, że trudno zrozumieć kogoś, kto cierpi na ten rodzaj choroby, jeśli samemu się przez to nie przeszło, jeśli nie przeszło się przez wszystkie jej fazy. Z tego, co ostatnio robiła Catherine, nie wynika bynajmniej, że przestała kochać ciebie i Rachel. Kiedy jest w stanie maniakalnym,

przebywa w świecie nieograniczonych możliwości. Z drugiej strony trzeba przyznać, że ona tylko powiedziała prawdę... – Pomyślał, że może wreszcie udało mu się nawiązać kontakt z rozmówcą, który milcząco marszczył brwi. Potem jednak, zupełnie jak w wywiadach telewizyjnych, Gerald podjął przygotowany uprzednio temat, jakby nie padła żadna obiekcja, jak gdyby nikt nie odniósł się do jego wcześniejszych słów.

– A czy związek z naszą rodziną, z taką rodziną, nie wydał ci się trochę dziwny, odrobinę osobliwy?

Nick pomyślał, że było to istotnie niezwykle, że na tym polegał urok owego związku. – Jestem tu tylko lokatorem – powiedział. – Mieszkam tu, bo zaprosił mnie Toby. – Zaryzykował i dodał: – Równie dobrze można mówić o związku twojej rodziny ze mną.

– Zastanawiałem się na tym – rzekł Gerald. – Wiem, że homosie robią takie numery, czytuje się o tym w gazetach. Nie możesz mieć własnej rodziny, więc przyklejasz się do innej. Sądzę, że jak minęło trochę czasu, nie mogłeś już wytrzymać z zazdrości, z zawiścią patrzyłeś na wszystko, co mamy, a to, przy twoim pochodzeniu społecznym... sprawiło, że zemściłeś się na nas w dość podły sposób. A przecież – uniósł ręce – prosiliśmy tylko o zachowanie lojalności.

Najdziwniejszy, najbardziej zdumiewający w tym wszystkim był fakt, iż Gerald nie postawił Nickowi żadnego konkretnego zarzutu i w sposób zupełnie w swoim mniemaniu naturalny przebierał niewinnego baranka w przygotowane dlań zawczasu szatki kozła ofiarnego. Walka nie miała sensu, lecz Nick, odrywając się w pewnym sensie od młodzieńca, który kurczowo trzymał się oparcia krzesła, powiedział zduszonym głosem: – Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz, Gerald. Ale zarzucanie mi nielojalności to naprawdę gruba przesada. – Uzmysłowił sobie, że nigdy wcześniej nie krytykował Geralda w jego obecności, a i Gerald musiał to sobie teraz uświadomić, bo aż wzdrygnął się z niedowierzaniem i agresywnie obrócił słowa Nicka przeciwko niemu:

– Nie, to ty, kurwa, nie masz zielonego pojęcia, o czym sam mówisz! – Zerwał się z fotela, po czym znowu się w nim zagłębił z szyderczym uśmiechem na ustach. – Naprawdę uważasz, że o twoich sprawach można mówić tak samo jak o moich? To znaczy... Pytam raz jeszcze: za kogo ty się uważasz? I co, kurwa, robisz w tym domu? – Ostrzejsza forma i treść uwolniły w nim falę gniewu, która rozlała się po jego twarzy, zmartwiałej nagle i oniemiałej jak po wylewie.

Nick, roztrzęsiony i równie wściekły jak Gerald, wydusił z siebie oświadczenie, z którym tu przyszedł, tyle że wbrew wcześniejszym założeniom uczynił to tonem prostacko sarkastycznym: – Przygnębi cię wobec tego wiadomość, że dziś wyprowadzam się z tego domu. W gruncie rzeczy tylko to chciałem ci powiedzieć.

A rozzłoszczony dalej Gerald, udając, że niczego nie słyszy, warknął: – Jeszcze dziś wyprowadzisz się z tego domu.

Księżna nalegała, by Gerald i Rachel przyjechali na wesele. Gerald wykonał upokarzający telefon: – Uwierz mi, Sharon – mówił donośnym głosem. – Nie mógłbym sobie wybaczyć, gdybym zepsuł ci tak radosny dzień chociażby chwilą niepotrzebnego zakłopotania. – Zanim Sharon zdążyła upomnieć go stanowczo, by nie wygadywał takich głupstw, Gerald ciągnął dalej: – No dobrze, no dobrze... – tonem sugerującym, że wcale nie miał takich intencji. Postępował zgodnie z protokołem samoponiżenia, który sobie narzucił i do którego niechętnie się stosował. – Pomyślałem tylko, że wypada zapytać... – dodał, jak gdyby naprawdę uważał, że mógłby kogokolwiek wprowadzić w zakłopotanie. W piątek rano Feddenowie pojechali zatem do Yorkshire.

Wani sprawił sobie nowy wytworny żakiet tudzież smoking z wąskimi spodniami i ze zwężeniem na wysokości klatki piersiowej, ukrytym przez odstające klapy. Stroje te wyglądały jak eleganckie ubranka małego księcia, które zapewne włoży na siebie tylko raz, zanim z nich wyrośnie. Rozłożone na łożu z baldachimem, przypominały dwóch niezwykle chudych ludzi, spoczywających równolegle przy sobie. Pod łóżkiem stały dwie pary lakierków. Pomagając Waniemu przy pakowaniu, Nick zajrzał z przyzwyczajenia do skórzanej aktówki, tam zaś wypatrzył dwucentymetrowy zwitek różowego papieru. Wyjął go szybko i schował, kierowany nowym kodeksem honorowym, albowiem stary okazał się już nieaktualny.

Gdy przyszedł, Wani leżał rozwalony na kanapie przed telewizorem; w magnetowidzie kręciła się taśma z jakimś ostrym pornoosem, lecz Wani miał zamknięte oczy i lekko otwarte wykrzywione usta. Nick musiał odczekać aż osłabnie w nim pierwszy wybuchowy odruch przerażenia, przekształcając się w mniejszy płomień litości. Już po raz drugi pochylał się nad drzemającym Wanim nie po to, by, jak kiedyś, zachwycać się intymnym widokiem kochanka, lecz po to, by sprawdzić, czy żyje. Westchnął, usiadł przy nim i roztkliwił się nad sobą, co działo się zawsze, gdy musiał nad kimś sprawować

opiekę; napawał się wtedy swoją rozważą i świadomością, że sam kiedyś umrze. Pomyślał, że tak mogą czuć się rodzice, ukrywający przed dzieckiem własne zmartwienia. Nie powiedział Waniemu, że po południu przeszedł ponowny test na obecność HIV; był to kolejny poważny rytuał, jeszcze bardziej przerażający dlatego, że nie wolno mu było o nim mówić. Kątem oka widział, jak film wręcz wylewa się z telewizora na podobieństwo prymitywnych form życia, jak ledwo rozpoznawalne członki i otwory mieszają się na pomarańczowo-różowo-fioletowej tafli ekranu. Przez chwilę wpatrywał się w ten spektakl bardziej uważnie, czując zarazem pogardę i żal. Był to jeden z pornosów uznawanych już za klasyczne, nakręcony jeszcze przed erą antyseptycznych gumek jako nieodzownego akcesorium erotycznego. Wani nie znosił tej modyfikacji – przynajmniej pod tym względem miał w sobie coś z estety. Z nastawionego cicho telewizora dobiegały monotonne jęki aktorów: – *Tak... o tak, o tak... tak... ooo... tak, tak... o tak...*

– Samochód już jest? – zapytał Wani, mocno jeszcze zaspany. Sprawiał wrażenie złąknionego i liczył chyba, że auto po niego nie przyjechało i że cała wyprawa zostanie odwołana. Szofer ojca miał go zawieźć do Harrogate kasztanowym rolls-royce'em silver shadow. Jechał z nimi pielęgniarz, czarnowłosa niebieskooka Szkotka imieniem Roy, budzący w Nicku przyjemne uczucie zazdrości.

– Roy będzie tu za moment – rzekł Nick, ignorując posępną minę i ton przyjaciela. Potem zaś, chcąc zachęcić go do podróży, dodał: – Muszę przyznać, że gość jest niczego sobie.

Wani podniósł się, usiadł i rozprostował nogi. – Młody Roy nazywa rzeczy po imieniu – powiedział.

– A co niby nazwał po imieniu?

– Znęca się nade mną.

– Pielęgniarki muszą być twardzi.

Wani zrobił kwaśną minę. – Ale nie wtedy, gdy płacę im tysiąc funtów za minutę pracy.

– Myślałem, że lubisz ostrą jazdę. – Nick usłyszał w swoim głosie ton ironicznie protekcyjny. Pomógł Waniemu wstać. – Tak czy inaczej, cztery godziny w rolls-roycie powinny nieco go zmiękczyć.

– Otóż to – odparł Wani. – Straszny z niego lewak. – Przez krótką chwilę na jego twarzy gościł koszmarny uśmiech, typowy dla dawnych perwersji.

Kiedy zabrzączał dzwonek, Nick zszedł na dół i ujrzał Roya pogrążonego w rozmowie z szoferem. Roy, mniej więcej w jego wieku, miał na sobie ciemnoniebieskie spodnie i koszulkę z dużym wycięciem pod szyją; z kolei pan Damas ubrany był w ciemnoszary garnitur, pogrzebowy krawat i szarą czapkę z daszkiem. Stali do siebie bokiem – Roy, szczery i rzeczowy, przejęty plagą AIDS, demonstrował swoją odwagę i zaangażowanie wręcz wyzywająco względem pana Damasa; ten ostatni woził Ouardich, jeszcze gdy Wani był małym chłopcem, a do jego choroby odnosił się z należnym poszanowaniem, choć, jak przystało na wychowanka Bertranda, również go nieco za ten stan rzeczy obwiniał. Ostatnie artykuły w gazetach okryły go hańbą, która musiała się zmagać z wymogami lojalności; widać to było po jego kwadratowej twarzy i ruchach skrytych w skórzanych rękawiczkach dłoni. Poprawił teraz czapkę i chwycił dwie zniesione przez Nicka walizki.

– A więc nie jedziesz z nami, Nick? – zapytał Roy z seksowną przyganą w głosie.

– Nie. Muszę załatwić tu parę spraw.

– I nie ochronisz mnie przed tymi wszystkim książętami, damami i całą resztą...

Nagła otucha, jaka w niego wstąpiła po tym króciutkim akcie flirtowania nad pochyloną głową Waniego, musiała przegrać z nakazami ostrożności. Nick nie przyzwyczał się jeszcze do faktu, że jego przypadek, który sam traktował z dystansem, budzi powszechną ciekawość; dowodził tego sposób, w jaki obcy mu ludzie zakładali, że świetnie go znają. – Myślę, że sam potrzebowałbym ochrony – powiedział.

Roy uśmiechnął się wesoło. – Wiesz, kto tam będzie?

– Wszyscy – rozległ się charczący głos.

Roy zajrzał na tylne siedzenie rolls-royce'a, gdzie Wani wiercił się nerwowo, przykryty kocem i otoczony masą zbędnych poduszek. – Już siedzisz wygodnie? – zapytał Roy, jak gdyby zwracał się do najbardziej rozbrykanego ucznia w klasie. Jego energia była zaraźliwa, bo pesymizm łączył się w nim z nadzieją.

Pan Damas obszedł samochód i niemal bezgłośnie zatrzasnął drzwiczki. Owo niezwykle ciche precyzyjne „klik” symbolizowało powierzony mu, choć nienależący do niego tajemniczy świat rolls-royce'a. Wani siedział już spokojnie, wpatrzony w połyskliwy cień przydymionych szyb. Nick pomyślał, że widzi go po raz ostatni, że właśnie teraz, w środku dnia, przyjaciel zniknie z jego oczu na zawsze. Ostatnio często miał takie przeczucia. Dał znak, że chce jeszcze coś przekazać, i szyba bucząc cicho, obniżyła się o

kilka centymetrów. – Pozdrów ode mnie Nata – powiedział. Wani wpatrywał się gdzieś poza niego, pogrążony w krainie ironicznych domysłów, i po kilku sekundach bez słowa zamknął okno.

Nick wszedł do zionącego pustką biura na parterze i zaczął porządkować rzeczy w swoim biurku. Nie musiał wyprowadzać się z Abingdon Road, a szukając nowego lokum, pomieszkiwał w apartamencie na górze, lecz czuł potrzebę zmiany i chciał na nowo zorganizować sobie życie. Wani co prawda nic na ten temat nie wspominał, ale nietrudno było się domyślić, że firma ES zamyka podwoje. Nick cieszył się, że ominie go udział w weselu Nata, choć z drugiej strony jego nieobecność może zostać odebrana jako przyznanie się do winy, do własnej nędzy moralnej. Ujrzał sekwencje niemal filmowych scen, w których przyjaciele, nie spostrzegłszy jego nieobecności, zrywają się z połączonych krzeseł, by rzucić się w wir tańca. Po chwili namysłu stwierdził, że coś takiego widział kiedyś zapewne w którejś z produkcji spółki Merchant-Ivory.

Zabrzączał dzwonek. Nick wyjrzał przez okno i stwierdził, że tam, gdzie wcześniej stał rolls-royce, tkwi obecnie jakaś furgonetka. Gdy wyszedł na zewnątrz, przed domem kręcił się chuderławy młodzik w baseballówce, a przez otwarte drzwi furgonetki wylewała się głośna muzyka – piosenka *I Wanna Be Your Drill Instructor* z filmu *Full Metal Jacket* – odbijając się echem od ścian okolicznych budynków. – ES? – rzucił młodzian. – Dostawa. – Gdy już wyłożył na wózek duże kwadratowe pakunki, zniknął z nimi za drzwiami biura. Zdominował na pięć minut tę część ulicy; było to tutaj duże wydarzenie. W pakunkach znajdował się pierwszy numer magazynu „ES”. – Serdeczne dzięki – rzekł Nick. Przez cały ten czas stał nieco na uboczu z niemrawym uśmiechem człowieka bezczynnego i czekał na moment, w którym będzie mu wolno zapoznać się z dostarczonym produktem. Młodzian krzątał się pracowicie, demonstracyjnie zadyszany; pomyśleć by można, że obecne zlecenie nie pozwala mu na szybką realizację kolejnej dostawy, że wszystkie wyznaczone mu zadania najchętniej zrealizowałby jednocześnie. Kładąc pakunki, podzielił je na cztery niskie kolumny, po trzy w każdej. Każdy pakunek był podwójnie przewiązany niebieską taśmą z plastiku, a gdy Nick spróbował ją zerwać, złamał sobie paznokieć. – Podpis, proszę – powiedział młodzian, wymachując kartką; z kieszeni dżinsów wyciągnął długopis. Nick nagryzmolił coś w rodzaju podpisu, a gdy oddawał pokwitowanie, stwierdził, że młodzian mrużąc oczy, wpatruje się w niego z lekko przechyloną głową. Nick zarumienił się, lecz nie zmienił wyrazu twarzy. Jeżeli ten

chłopak czytał „Daily Mirror”, to mógł istotnie go rozpoznać; poczuł, jak narasta w nim agresja i koncentruje się na osobie dostawcy. – Nie chce pan obejrzeć? – zapytał młodzian, lecz zanim usłyszał odpowiedź, wyciągnął z drugiej kieszeni nożyk introligatorski, wysunął ostrze i przeciął taśmę na leżącym najbliżej pakunku. Następnie zerwał szary papier, wyjął jeden z błyszczących egzemplarzy pisma, obrócił go w dłoniach i podał Nickowi. – Proszę uprzejmie! – Nick trzymał magazyn jak trofeum za zwycięstwo w zawodach, jawnie uszczęśliwiony, dzieląc się radością z dostawcą, który stał teraz przy jego ramieniu i starał się pojąć, o co w tym wszystkim chodzi. – Tak, piękne – rzekł chłopak. – To anioł, no nie?

– Zgadza się – odparł Nick. Simon spisał się na medal: czarne połyskliwe tło, po prawej biały cherubin Borrominiego, którego długie wygięte skrzydło sięgało koniuszkiem grzbietu pisma, tam zaś stykało się ze skrzydłem anioła z ostatniej strony okładki; po rozłożeniu magazynu obydwie skrzydła układały się w idealnie zaokrągloną literę S. Jedyne napisy można było dojrzeć na grzbiecie, gdzie w dolnej części prostą czcionką wydrukowano: ES, NUMER 1.

Nick stwierdził, że lepiej w tej chwili pisma nie otwierać, choć wszystko wrzało w nim z ciekawości; wolał jednak być wtedy sam. Młodzian z podziwem pokręcił głową i rzekł: – No, zajebiste. Za przeproszeniem, znaczy się. – Wyciągnął rękę, a Nick ją uściskał. – Na razie.

– Tak... Dzięki!

– Nie ma sprawy.

Nick uśmiechnął się i patrzył przez moment, jak jego pierwszy krytyk wychodzi z biura.

– Dobra... – powiedział do siebie, gdy był już sam, lecz dalej uśmiechał się nieśmiało. Usiadł przy opróżnionym już biurku Melanie, położył pismo na środku blatu i otworzył je z miną człowieka liczącego na niespodziankę. I rzecz jasna jego oczom ukazała się najpierw luksusowa kraina cesarzy, ponieważ na pierwszych trzech rozkładówkach królowali Dior, Bulgari i BMW, owi niewiarygodni rodzice chrzestni kapryśnej kokainowej pociechy Nicka i Waniego. Szybko zerknął na stronę ósmą, gdzie znajdowała się stopka: „Redaktor naczelny: Antoine Ouardi. Zastępca redaktora naczelnego: Nicholas Guest”. Zarumienił się z dumy i poczucia swoistej uzurpacji. Pokrzepiła go myśl, że rodzice wpadliby w zachwyt, widząc jego nazwisko w kontekście

pozytywnym, nie zaś jako źródło wstydu i zmartwień. Kartkował dalej, poświęcając każdej ze stron ledwie kilka sekund, bo przecież miał za sobą dziesięciokrotną lekturę odbitek korektorskich, które sam zresztą zawiózł do drukarni. Mimo to odniósł wrażenie, iż w tej postaci wszystkie te strony przeszły osobliwą metamorfozę, toteż na wszelki wypadek mrużył oczy, aby nie dojrzeć jakiegoś nieusuwalnego już błędu.

Sygnowany przez Nicka artykuł, zamieszczony na jednej z ostatnich, najbardziej prestiżowych stron pisma, znajdował się tuż za tekstem Anthony'ego Burgessa na temat burdeli i uwagami Marca Cassaniego o włoskim pseudogotyku, a traktował o linii piękna; ilustrowały go cudnej jakości zdjęcia przedstawiające sofy, broszki, lustra, jeziora tudzież nogi rokokowych świętych. Nick czytał swój tekst z bijącym mocno sercem, cofając się w paru miejscach, aby raz jeszcze przebiec wzrokiem po takim czy innym ładnym zdaniu. W lekturze towarzyszyli mu inni admiratorzy: profesor Etrrick, który nareszcie odzyskał wiarę w rzadko widywanego studenta... Anthony Burgess, który przeglądając w Monako egzemplarz autorski, z zachwytem zatrzymał się właśnie w tym miejscu... Lionel Kessler, relaksujący się na kanapie z czasów Ludwika XV, otoczony przez es owa te linie, kontent, że jego młody, powszechnie oczerniany przyjaciel okazał się facetem do rzeczy. Uśmiechając się z zadowoleniem, Nick przeglądał ostatnie strony z krótkimi artykułami o zestawie do gry w madżonga i ołowianych żołnierzach zbieranych przez brytyjskie władze kolonialne w Indiach. Z satysfakcją stwierdził ponownie, że na trzeciej stronie okładki widnieje reklama Je promets. A potem był już tylko drugi anioł z uniesionym skrzydłem. Nickowi podobało się wszystko bez wyjątku, a początkową niepewność zastąpiło przekonanie, że udało im się stworzyć arcydzieło.

Opadł go osobliwie chwiejny nastrój cechujący chwile przełomowe. Pięć minut później żałował, że nie może raz jeszcze przygotować numeru do druku; to było już niewykonalne. Poszedł z pismem na górę, otwierając je kilkanaście razy na chybił trafił w różnych miejscach. Zauważył, że spod całego zewnętrznego przepychu wyziera jakaś bezduszna złośliwość. I tak być powinno. Ten intensywny i sztuczny połysk przypominał blask marmurów i werniksu, symbolizując coś, co dobiegło kresu.

Żałował, że nie ma przy nim Waniego, który wyjechał o pięć minut za wcześniej. Mógłby zabrać pismo do Yorkshire i rozdać je gościom, sprezentować po egzemplarzu Toby'emu, Sophie, księżnej, Bradowi i Treatowi. Nick wyobraził sobie, jak Roddy Shepton, we fraku i cylindrze, przegląda nieufnie wręczony mu magazyn, czekając, aż

służba przyniesie drinki. Wyobraził też sobie Waniego, jak powłócząc nogami, przemieszcza się z pokoju do pokoju, by z mrozącym krew w żyłach uporem pokazywać im wszystkim jedyną piękną rzecz, na którą przeznaczył część swojej fortuny – potwierdziłby niniejszym bądź zaprzeczył ich oczekiwaniom, że czegoś w życiu dokona lub że nie uda mu się osiągnąć niczego. Spotkałby go odruchowy aplauz, z jakim przyjmuje się w tych kręgach publikacje dzieci z bogatych domów, aplauz ten wszakże byłby zaprawiony niesmakiem z powodu jego choroby, jak również zadawnionym niepokojem z powodu jego pochodzenia. Egzemplarze „ES” walałyby się po sypialniach i toaletach. Nick westchnął z żalu, ale potem się opamiętał, bo przecież Wani nie zdążył zabrać pisma ze sobą. Poza tym można było sobie wyobrazić rzeczy znacznie gorsze. Nick bał się na przykład, że nie dość uważnie przejrzał bagaż Waniego – w kieszeniach lub w zwiniętych skarpetkach mogły wszak tkwić inne zwitki z kokainą. Majowy kryzys siłą rzeczy osłabił nałóg Waniego, lecz zawieszenie wyroku i powrót do Londynu, do przyjemności, jakie oferowało to miasto, musiało wiązać się z setkami pokus. Wprawdzie Nat odstawił już prochy, lecz kilkoro spośród jego przyjaciół brało dość regularnie i mogło niezbyt rozważnie zaoferować Waniemu kreskę koki. A Wani miał słabe serce. To byłoby samobójstwo. Stojąc w kuchni przy oknie, Nick ledwo dostrzegał ściany sąsiednich domów, ponieważ w duchu słyszał już, jak dzwoni do niego Sharon lub Gerald, aby krótko i zwięźle wypełnić swój obowiązek. Ciężki atak serca. Nie dało się nic zrobić.

Gdy wrócił do dużego pokoju, na stole dalej leżało „ES”. Dziwny start miał ten tytuł, skoro drugi numer miał się nigdy nie ukazać. Dobrze by było, gdyby wszyscy o tym wiedzieli i cenili to wydanie pisma jako wartość samą w sobie, nie zaś jako zapowiedź czegoś, co rozwinie się dopiero w przyszłości. Ów jedyny numer „ES” spoczywał teraz w jednym z pokoi mieszkania Waniego i tego ciepłego jesiennego dnia mógł uchodzić za poświęconą mu tablicę pamiątkową, tyle że zamiast nazwiska i listy dokonań widniało tam tylko białe anielskie skrzydło.

Nazajutrz rano Nick pojechał po swoje rzeczy do Kensington Park Gardens. Był ciekaw, czy również w Yorkshire siąpi taki jak tutaj przelotny deszczyk, czyniąc spustoszenie na kapeluszach obecnych na ślubie pań. Szeroka ulica była pusta w sposób typowy dla wielu innych londyńskich ulic, zapadających w chwilowy bezruch i ciszę,

wśród której chodniki, fasady budynków i pomazane deszczem okna wywołują wspomnienia o tym, co nigdy nie miało miejsca. Do domu z numerem 48 wszedł błyskawicznie, by nie przyciągać do siebie uwagi, lecz potem, jakby na złość sobie samemu, głośno zatrzasnął drzwi.

W środku, w holu, beznamiętny warkot londyńskiego życia przeistaczał się w ciche buczenie, jakby w szarawym świetle ginęły co donośniejsze dźwięki. Nick czuł, że panuje tu teraz niesamowity spokój, trwalszy niż tegoroczne kłopoty – spokój, jakim cieszyli się domownicy przed jego tutaj przybyciem i jaki królować będzie po jego wyprowadzce. Przy schodach płonęła blade pozłacana latarenka, za to w jadalni cienie gęstniały w narożnikach i wisiały jak kłęby dymu pod sufitem. Boullé'owski zegar tykał jak zwykle z obojętną czujnością. Nick wspiął się po kamiennych schodach i wszedł do salonu. Musiał tylko odnaleźć kilka swoich drobiazgów: parę płyt wmieszanych rodzinnie w kolekcję Feddenów, jakąś pożyczoną im powieść, która nigdy nieprzeczytana tonęła coraz to głębiej pod stosem innych książek. Gdy stanął przy fortepianie, pomyślał, że mógłby po raz ostatni zmierzyć się z Mozartowskim *Andante*, lecz uznał, iż efekt byłby nadmiernie sentymentalny i żałośnie wręcz niestosowny. Toby spoglądał na niego z portretu, ów symbol okresu dorastania, burzy hormonów i wielkich oczekiwań. Jego widok niejako ponaglił Nicka, który stanął w końcu przy kominku, przyciskając do piersi odzyskaną własność. Na zewnątrz przemknęła ciężarówka, a szyby w oknach zatrzęsły się na moment, solidaryzując się z rykiem silnika i grzechotem obluźowanej kłapy; potem zaś znowu po domu rozlała się niemal zupełna cisza. I coś jeszcze... Ten zapach: zapach narzut na kanapach, zapach błyszczących mebli, zapach lilii, zapachy niemalże kościelne... Nick czuł, jak jego zmysły rzucają się na tysiące wrażeń, do których zdążyły się przyzwyczaić, i jak natychmiast się ich wypierają.

A wszystko to przesączone było osobami Geralda i Rachel. Nick zszedł do kuchni, w której czystość i obfitość produktów, słoiki, korkowa tablica czy starannie udrapowane ściereczki komponowały się w głęboko zakorzeniony system życiowej rutyny. On był tu na tym etapie intruzem, spoglądającym na fotografie nieobecnych znakomitości.

Później zszedł do piwnicy po kilka kartonów leżących w *trou de gloire*. W tej rupieciarni pod kuchnią stały stare pozłacane krzesła, intrygujące stoły i zamglone, nieużywane od dawna lustra; to właśnie tam, w owej podświadomości domu, pan Duke przechowywał swoje puszki z farbą, swoje drabiny i skrzynki z narzędziami, jak również

osobisty czajnik i kalendarz – było to w pewnym sensie jego królestwo, więc Nick niemal zakładał, że go tam teraz zastanie. Gdy włączył światło, w oczach zamigotała mu fioletowa tapeta ze wzorkiem w czarne zawijasy, jedynie częściowo zasłonięta przez te wszystkie rupiecie. Zawsze wprawiała go w zdumienie, mówiła bowiem coś o czasach, gdy Gerald i Rachel jeszcze tu nie mieszkali, tudzież o charakterze poprzednich właścicieli tego przybytku. Podobnie jak jego rodziców, Geralda i Rachel ominęły lata sześćdziesiąte z typowym dla tego okresu natłokiem nowych możliwości i mnogością opłacalnych błędów. Niewykluczone, że mieszkając jeszcze w Highgate, dysponowali kadzidelkiem, a na podłodze mieli rozłożone poduszki; tutaj wszelako pokój z fioletową tapetą służył za rupieciarnię. Nick znalazł kilka kartonów po winie i zaniósł je z trudem na górę. Zastanawiał się, kto mógł tu mieszkać przed Feddenami. Od czasu gdy te okolice wynurzyły się ze stajni i slumsów Notting Hill, zyskując na wartości i prestiżu, dom ten nie mógł mieć więcej niż trzech lub czterech właścicieli. Należał zresztą do tych domów, które wzmacniają w mieszkańcach dobre mniemanie o sobie samych. Nickowi przypomniała się Geraldowa słabość do urządzania wystawnych przyjęć, która znalazła swą kulminację podczas wizyty pani premier. A było to ledwie rok temu; wtedy też odbywało się deszczowe jesienne wesele...

Gdy dotarł na podest drugiego piętra, postawił kartony i wszedł do sypialni Geralda i Rachel. Z okien rozciągał się widok na przysłonięte zacinającym deszczem ogrody, na niesione przez wiatr duże brązowe liście platanów – widok jeszcze piękniejszy niż z jego pokoju na poddaszu, skąd było widać wierzchołki drzew, dachy domów i majaczącą w oddali kościelną wieżę. Jesienią ogrody jakby się kurczyły: dawało się dostrzec nawet ulicę za ogrodzeniem. Nick odwrócił się i po miękkim bladym dywanie podszedł do małżeńskiego łóża. Kto spał po tej stronie? Tutaj na pewno Rachel, bo obok leżą powieści i stopery. Naprzeciw wisiał pejzażyk Gauguina, którym obdarował ich kiedyś Lionel. Na okrągłym stoliku z drewna orzechowego, prócz flakonika z lawendą i porcelanowych puzderek, stało kilka zdjęć oprawnych w czerwony aksamit, srebro lub kość słoniową.

Nick wziął do ręki fotografię, na której Toby był jednym z panów tyryjskich – Nick nie pamiętał jego imienia. Jako zausznik Peryklesa doglądał on spraw państwowych pod nieobecność pryncypała; pojawiał się tylko na początku i pod koniec sztuki, a akty środkowe spędzał leniwie w pawiloniku dla graczy w krykieta, który w trakcie spektakli plenerowych pełnił funkcję aktorskiej garderoby. Rzecz działa się w czerwcu, na zewnątrz

unosił się zapach jeziora i świeżo skoszonej trawy, w dusznym zaś pawilonie czuło się woń kreozotu i siemienia lnianego. Toby zdjął już z siebie ciężką tunikę i w oczekiwaniu na grającą Marinę Sophie udawał, że zamierza się kijem do krykieta. I właśnie wtedy ktoś zrobił mu zdjęcie. Miał na sobie ciemne rajtuzy i własne zamszowe buty. Jego nagi tors odcinał się biało od pokrytej makijażem szyi i twarzy – twarzy kobiecej, twarzy baletmistrza, twarzy aż nazbyt pięknej. Sposób, w jaki prężył mięśnie, z pewnością rozbawił innych obecnych. W tamtym spektaklu Nick grał rolę Cerymona, pana z Efezu, który na brzegu morza ożywia spoczywającą w trumnie królową Taisę. Było to jedno z najbardziej przejmujących doświadczeń w życiu Nicka. „Cnotę i mądrość zawsze uważałem / Za skarby większe niż ród i bogactwo...”²⁹. Serce kołatało jak szalone, oczy wypełniły się łzami. A potem było po wszystkim – Nick schodził ze sceny wolno i dostojnie, jakby odpływał i nikał poza kręgiem reflektorów, z dala od oczu pogrążonej w mroku widowni, śledzącej już dalszy bieg akcji. Zerwał z twarzy siwą brodę, zrzucił z siebie płaszcz i popijając guinnessa, patrzył, jak Toby „nieświadomie” prezentuje swe mięśnie przed Sophie; oboje byli bardzo zajęci sobą tudzież przejęci dalszym ciągiem sztuki, w której mieli jeszcze swoje pięć minut. Toby nie był rewelacyjnym aktorem, lecz jego postać należała do czysto retorycznych, brak jej było psychologicznej głębi; wydawało się jednak, że do niej pasuje, więc spotkał się z ciepłym przyjęciem. Grał zresztą tak, jakby aktorstwo nie różniło się zbytnio od wiosłowania czy gry w rugby. Nie był ani skromny, ani próżny.

Nick wiedział, że nigdy już tej fotografii nie zobaczy, więc ociągał się z odłożeniem jej na stolik. Zdjęcie połyskiwało w deszczowym świetle jako symboliczna przyczyna jego pobytu w tym domu. Był ciekaw, czy w tym przypadku, podobnie zresztą jak z Wanim i Leo, wyobraźnia mogła cofnąć czas – czy ten elegancki student drugiego roku z nogami sportowca i cudownym tyłeczkiem mógł dalej podniecać, kiedy znało się go już pięć lat później jako człowieka otyłego. Sama wyobraźnia zapewne nie poddałaby temu zadaniu i trzeba ją było wspomóc zdjęciem; wymagało to estetycznej odwagi, bo należało zaprzeczyć faktom. Nick zrobił rzecz pełną głupiego patosu: zostawił na szkle rozmazany ślad swoich ust i koniuszka nosa.

²⁹ William Shakespeare, *Perykles*, przeł. Krystyna Berwińska.

Potem w swoim pokoju na górze zdejmował z półek książki i wrzucał je jak cegły do kartonów. Odpierał od siebie pokusę nostalgii – długie wakacje dobiegły kresu, życie nabrało rozpędu i utraciło dawną stabilność. Na najbliższym tygodniu kładło się cieniem oczekiwanie na wyniki testu. Poczucie ulgi, którego doświadczył, zgłaszając się na badanie i decydując się spojrzeć prawdzie w oczy, wygasło szybko w ciągu kilku kolejnych dni i teraz, myśląc o tym, czuł się niewiarygodnie samotny. Był to jego trzeci test i siła magicznej liczby trzy wydawała się na przemian minimalizować i zwiększać szansę na wynik pozytywny.

Kartony wypełniły się błyskawicznie, zgodnie z niepojętą formułą, wedle której zawartość jednej półki mieści się w jednym kartonie. Gdy Nick zniósł na dół jedno z tych pudeł i stawiał je na podłodze w holu, usłyszał, jak ktoś otwiera tylne drzwi, wyciera nogi i otrząsa parasol. Elena? A może znowu Eileen? Tak czy inaczej, wizyta którejkolwiek z nich była mu bardzo nie na rękę. Irytowały go te kobiety, przemykające się po domu ukradkiem, a przy tym z dużą pewnością siebie. Wszedł do kuchni, robiąc znudzoną minę.

– O Boże! – szepnęła zadyszana Penny, przyciskając do piersi złożony już różowy parasol. Potem, wściekła, że ją wystraszone, rzuciła: – Mmra... Cześć, Nick – i podeszła do zlewozmywaka, również robiąc znudzoną minę. – Myślałam, że ciebie już nie ma.

– A ja myślałem, że nie ma ciebie – odparł Nick, siląc się na łagodny głos. Uznał, że trzeba zakończyć toczoną od dawna wojnę, bo przecież znaleźli się oboje w podobnej sytuacji. Miał nadzieję, że Penny okaże mu choć trochę współczucia, na co nigdy się dotąd nie zdobyła, a co jemu zawsze przychodziło z łatwością.

Odłożyła parasol, który wyglądał jak rozwinięty kwiat, i podeszła do Nicka. – Za pięć minut już mnie nie będzie. Przyszłam po swoje rzeczy. – Tak jakby blokował jej drogę. – Nie pojechałeś na wesele – zauważyła.

– Stwierdziłem, że sobie odpuszczę.

– Ja ich nie znam, rzecz jasna...

– Nat jest przesympatyczny.

– Mhm.

– Chyba nikt nie zna jeszcze Beatriz. Łącznie z Natem!

– Jest Argentynką, prawda?

– Tak. I majątną wdową. Jej pierwszy małżonek złamał kark, grając w polo. – Zawahał się i dodał: – Podobno jest w czwartym miesiącu.

Penny westchnęła ponuro. – Przynajmniej to mnie ominęło. – Poczyniwszy to drobne sarkastyczne wyznanie, minęła go i wyszła z kuchni.

Widział ją po raz pierwszy od owego wieczoru w garsonierze Borsuka i musiał przyznać, że było w niej coś intrygującego, a nawet zaskakująco i ponuro fascynującego. Przed tygodniem jej nazwisko znała tylko rodzina, nauczyciele i przyjaciele z uczelni oraz koledzy z pracy; teraz zaś miliony ludzi na świecie usłyszały o jej życiu intymnym. Nick patrzył, jak Penny zagłębia się w korytarzu; może jednak się pomylił, uważając ją za nieustannie zapracowaną ambitną kobietkę, pozbawioną poczucia humoru... Uśmiechnął się blado, dręczony małym wyrzutem sumienia, i chwilę później wszedł za nią do gabinetu Geralda. Penny na stojąco czytała prawie metrowy faks, który teraz pospiesznie odłożyła na biurko. – Gdzie będziesz mieszkał? – zapytała krótko i konkretnie, niby szef podwładnego.

– Na razie przesiaduję u Waniego. – Nick uśmiechnął się smutno zza szafki własnego skandalu, lecz kolejnego ataku się nie doczekał. – A potem poszukam czegoś dla siebie.

– Pieniądze nie stanowią dla ciebie problemu?

Nick wzruszył ramionami. – Przez ostatni rok z okładem radzę sobie przyzwoicie. Z małą pomocą przyjaciół... A ty?

– Ja nie mam zbyt dużo.

– Nie, nie... To znaczy... Gdzie będziesz mieszkać?

– Na razie wróciłam do domu.

– Rozumiem... A jak przyjął to wszystko Norman?

– A jak myślisz? Nie najlepiej. – Przesunęła kilka leżących na biurku dokumentów, zakrywając nimi, na pozór przypadkiem, zwinięty w rulon długachny faks. – On nienawidzi Geralda. Zawsze go nienawidził.

Nick wolno pokręcił głową, jakby ta kwestia go przerastała. – Nigdy nie mogłem tego zrozumieć. Tylko dlatego że Gerald jest torysem?

– Bzdura. Gerald zabrał mu Rachel. Czegoś takiego się nie wybacza.

– To było dawno temu – rzekł Nick, odwracając się w stronę okna, aby ukryć zdziwienie.

– Tata już taki jest. Za młodu myślał, że będzie bogaty i szczęśliwy. A potem zjawił się Gerald.

Był to istotnie przełom, którego znaczenie poznała na własnej skórze. Nick roześmiał się krótko i dziwnie wzruszył zarazem. – Wszyscy wiemy, że Gerald lubi rywalizację.

Szukając czegoś w szufladzie, Penny mruknęła: – Mmm... – Nie, to nie było zwykłe współzawodnictwo, lecz jakaś aberracja: skraść facetowi narzeczoną, a potem posuwać jego córkę. Nick aż jęknął z niedowierzania.

– Słyszałaś, że znowu ma dostać kierownicze stanowisko? – zapytał.

– Tak... Słyszałam.

– Zdumiewające, prawda? Tym bardziej że ciągle wisi nad nim ta historia z akcjami...

– Jest im potrzebny – odparła Penny.

– Owszem. – Przypomniał sobie, jak przyszła tu po raz pierwszy: niewinna, dyspozycyjna, z dobrym dyplomem. Siedząc przy rozjaśnionym świecami stole, sprawiała wrażenie nieco zarozumiałej. A teraz miała zmęczony wzrok i odwracała oczy od zbyt silnego światła. – Naprawdę nie mogę wyjść ze zdumienia, gdy ktoś publicznie zhańbiony jednego dnia składa rezygnację, a następnego obejmuje posadę dającą mu osiemdziesiąt tysięcy rocznego dochodu.

Obawiał się, że Penny zaprotestuje przeciwko „publicznemu zhańbieniu”, ona jednak odrzekła: – Takimi prawami rządzi się świat. Musisz to zrozumieć. – Usiadła za biurkiem i rozglądała się uważnie, jak gdyby w głębi ducha chciała oczyścić je z sentymentów.

– Pewnie wolisz zostać sama – rzekł Nick, ale podszedł do biurka i spojrzął na faks, który skreślony był niestaranną ręką Geralda. Kończył go swobodny ideogram, mogący oznaczać „ukłony”, „całuję” lub „witam”, oraz duże G tudzież małe serduszko. Penny wpatrywała się w Nicka intensywnie, przyznając poniekąd, że jest adresatką wieńczących list czułości. Zamrugła i podjęła szybką decyzję.

– Nie wyrzeknę się go, Nick.

– Hm?

– Nie ma mowy.

– Rozumiem.

– Nie obchodzi mnie, co powie tata, pani premier albo naczelny „The Sun”.

Nick patrzył na nią z szacunkiem, ale musiał powiedzieć: – Wydawało mi się, że sytuacja rozdzieliła was definitywnie.

– Co...? A tak... W oczach społeczeństwa, i owszem. Chcemy, by ludzie tak myśleli.

– „Chcemy”?

– Jesteśmy w sobie bardzo zakochani.

Nick wpatrywał się w podłogę, chyba trochę zniecierpliwiony. Najwyraźniej wszystko miało uparcie toczyć się po swojemu: najpierw Rachel nie chce się rozstać z Geraldem, a teraz nie chce zostawić go Penny. Ten człowiek musiał mieć w sobie coś niezwykłego, coś, czego Nick nie umiał zrozumieć. Ta historia mogła ciągnąć się w nieskończoność, dostarczając bogatego materiału „zgrzyźliwemu analitykowi”. – Ale jak wytrzymujesz całą tę tajemnicę? – zapytał, ciekaw, jak ktoś inny odpowie na zadane mu kiedyś pytanie.

– Może wcale nie będziemy się z tym ukrywać.

– Hm... – Nick uniósł jedną brew i zachichotał oschle. Penny zarumieniła się, lecz dalej trwała niewzruszenie przy swoim.

– Nie mam zamiaru się niczym przejmować – powiedziała.

– No cóż...

– Catherine zawsze kpiła, zawsze szydziła z Geralda – rzekła Penny stanowczo, jakby chciała zakończyć temat, który sama rozpoczęła.

– A Gerald chyba nie pozostawał jej dłużny – odparł Nick z pewnym wahaniem. Podejrzewał, że w oczach Penny świat układa się w spójną całość wyłącznie jako zbiór wielorakich antagonizmów.

– Wiem, że mnie zawsze nienawidziła. – Penny zaśmiała się ponuro, jakby tym ostatnim słowem obejmowała również Nicka. Nigdy się z tym nie zdradziła, ale musiała wiedzieć, co on zawsze o niej myślał i mówił.

– Przecież wiesz, że to nieprawda – mruknął Nick ze świadomością, że i tak jej nie przekona. – W tej chwili Catherine najbardziej nienawidzi samej siebie.

Penny zmarszczyła brzozę, a cała jej twarz przybrała wyraz dość staroświecki. – Bawiła się naszym kosztem, ot co.

– To nie była zabawa, Penny. Ona z początku jest bardzo pobudzona, ale potem strasznie się męczy. Na tym polega stan maniackalny. – Uzmysłowił sobie, że całą swą

wiedzę na temat Catherine czerpie Penny z relacji Geralda, podczas gdy on, jeśli nie liczyć przyjacielskiej intuicji, opiera się tylko na wymęczonej prozie doktora E.J. Edelmana.

– Trudno to porównać z męczarnią, jaką zadała innym – rzekła Penny, bynajmniej nieskruszona.

Nick pokręcił głową, zdumiony. Pomyślał, że nic już nie wskóra. Penny tymczasem, zbyt przejęta, by spojrzeć mu w oczy, rzekła: – Zakładam, że to ty jej o nas powiedziałeś...

– Ależ skąd!

– Takiego zdania jest Gerald.

– To dla niego typowe – odparł Nick. – Gerald uważa, że sama by na to nie wpadła. A w gruncie rzeczy jego córka przerasta nas wszystkich inteligencją.

– A ja dałabym głowę, że już we Francji wyczułeś coś między nami.

– Martwiłem się o Rachel. Jak przyjaciel o przyjaciółkę.

– Ciekawe, czy ona też widzi w tobie przyjaciela. – Penny obdarzyła go krótkim nieprzyjaznym uśmiechem i oparła się łokciami o blat biurka. – A teraz proszę wybaczyć – rzekła i dodając oklepaną formułkę: – Wzywają mnie obowiązki – odprawiła Nicka jak natrętnego interesanta.

Nick zamknął niebieskie drzwi, dwukrotnie przekręcił klucze w zamkach yale i chubb, po czym nerwowo zsunął owe klucze z metalowego kółka, otworzył klapkę na listy i wrzuciwszy je do środka, usłyszał ich brzęk na marmurowej posadzce. Zajrzał przez klapkę i stwierdził, że są już poza jego zasięgiem. Miał jeszcze klucz do tylnych drzwi, więc gdyby zechciał, mógł jeszcze dostać się do domu; po chwili jednak również ten klucz wylądował obok pozostałych. Najtrudniej przyszło mu rozstać się ze lśniącym brązowym kluczem yale otwierającym bramę do ogrodów miejskich i kryjącym przez to w sobie jakąś tajemnicę. Nick mógłby pewnie go sobie zatrzymać – któż by takie rzeczy pamiętał – i dalej cieszyć się rzeczywistym, acz nieformalnym prawem wstępu do ogrodów. Leniwie wodził wkoło oczami w oczekiwaniu na własną decyzję. Nie potrafił wszakże wyobrazić sobie, jak wraca tu niczym duch i wpatruje się w okna Feddenów, szukając w nich błyszczących oznak życia, które toczy się już bez niego. Byłoby to bolesne i bezsensowne. Po raz ostatni uniósł klapkę, wsunął w nią dłoń i po króciutkiej chwili upuścił klucz na wycieraczkę.

Jego mały samochód pękał w szwach od kartonów i zwojów ubrań na wieszakach, uginając się pod ich ciężarem, jak gdyby siedziało tam kilka osób. Nick stał przy nim, wciąż zamyślony, i nagle zaczął iść przed siebie. Chodnik zdążył już częściowo wyschnąć, lecz niebo dalej prezentowało się groźnie, zasnute ruchliwymi chmurami. Wysokie białe fasady domów mieniły się matowym blaskiem. Raptem Nick nabrał przekonania, że wynik testu okaże się pozytywny. Słowa codziennie wypowiedane innym ludziom zostaną teraz skierowane do niego, tam, w tym cichym gabinecie, gdzie biurko, dywan i nowomodny kwadratowy fotel ułożą się w scenografię mającą trwale naznaczyć tę chwilę. Na ścianie wisiał tam tchnący spokojem pejzaż, a z okna rozciągał się widok na szpitalny komin. Nick był jeszcze młody, nie zdążył wyćwiczyć się w stoicyzmie. Co zrobi po wyjściu z gabinetu? Szedł dalej, z trudem łapiąc oddech, osaczony w biały dzień przez wizje makabrycznej przyszłości. Próbował zdobyć się na racjonalizację swoich obaw, były one wszelako zbyt silne, zbyt świeże. Cały ten proces zachodził wprawdzie w nim samym, ale i świat zewnętrzny, samochody stojące przy chodniku, sunąca wolno taksówka, kościelna wieża pośród drzew, wszystko to również uległo metamorfozie, odsłaniając swoją istotę. Tak czuje się człowiek na hajcu, tyle że ma też wtedy świadomość udziału w grze, w zabawie. Mieszkający opodal motocyklista, jak zwykle w skórzanej kurtce i spodniach, wyszedł dostojnym krokiem na ulicę i uruchomił swój pojazd. Nick wpatrywał się w niego przez chwilę, następnie odwrócił wzrok, zdjęty nieodpartym żalem, który zmroził go i odseparował od tego człowieka. Bo ten człowiek nie mógł mu pomóc. Nie mógł go też ocalić żaden z przyjaciół. Gdy nadejdzie stosowna pora, wiadomość ta dotrze do nich, burząc starannie zaplanowany dzień. Obudziwszy się nazajutrz, przypomną sobie po chwili. Nick szukał w ich twarzach uczuć, jakie wywoła poznany dzień wcześniej fakt, i stwierdził, że jego postać szybko zniknie z ich życia. Ileż spraw, ile sukcesów, powieści i nowych prądów nie było mu dane poznać, ilu rzeczy nie dożył, pomyślą niekiedy owi nieliczni, co zachowają go w pamięci. Wrażenie *déjà vu*, którego doświadczył tego poranka, idąc tu pustą ulicą, wróciło teraz w odmiennej postaci: przeniesione o kilka dekad w przyszłość, rzucone w wir spraw nigdy przezeń niepoznanych. Było to wstrząsające, był w tym strach, na który składały się emocje z różnych etapów jego krótkiego życia: dorastania, tęsknoty za domem, zazdrości oraz litości, której przedmiot stanowił on sam, lecz która zarazem sięgała dalej, poza niego, aby przekształcić się w miłość do świata, miłość wręcz szokująco bezwarunkową.

Obejrzał się i patrzył przez moment na dom Feddenów, po czym wznowił swój senny marsz. Zdumiał go widok numeru 24, ostatniego tu domu, zdobnego w stiukowe festony i łuki. Znalazł się na rogu ulicy i sam ten fakt, samo istnienie takich miejsc, stało się nagle ucieleśnieniem piękna.